

Martin Gail

Przywoływacz dusz



calibre 0.9.43



GAIL Z. MARTIN

Przywoływacz

Dusz

Kroniki Czarnoksiężnika

Przełożyła: Marta Koniarek

Wydawnictwo „dwójka bez sternika”

Tytuł oryginału: „The Summoner”.

Copyright © Gail Z. Martin 2007

Copyright for the Polish translation: Dwójka bez sternika s.c. 2011

Książka jest chroniona polskim i międzynarodowym prawem autorskim. Jakiegokolwiek jej powielanie lub nieautoryzowany użytek jej zawartości jest zabroniony bez pisemnej zgody wydawcy lub właściciela praw autorskich.

Redakcja: Sylwia Sandowska-Dobija

Korekta: Magdalena Górnicka

Opracowanie graficzne okładki:

Teresa Bubak-Mitela

www.bubak-mitela.com

Ilustracja na okładce: Michael Komarck

Projekt typograficzny, skład i łamanie

w programie „Scribus” na licencji GNU pod Linuxem

ISBN 978-83-62432-05-9

Wydanie I, Kraków 2011

Wydawnictwo „Dwójka bez sternika” s.c. Kraków

www.wydawnictwo2bs.pl

2bs@wydawnictwo2bs.pl

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. (022) 721-30-00

www.olesiejuk.pl

Druk i oprawa:

drukarnia@dd-w.pl

Podziękowania

Ta książka by nie powstała, gdyby nie cierpliwość, wsparcie i wiara mojej rodziny, przyjaciół i znajomych. Jestem głęboko wdzięczna mojemu mężowi i dzieciom za to, że umożliwiali mi pracę, zachęcali do niej i śledzili jej rezultaty. Dziękuję także rodzinie i przyjaciołom, którzy czytali kolejne wersje i poddawali swoje sugestie. A szczególne podziękowania należą się Ethanowi Ellenbergowi, mojemu agentowi, oraz Christianowi Dunn, mojemu wydawcy, za to, że we mnie uwierzyli.

Rozdział pierwszy

– Uważaj, książę – ostrzegł duch. – Tej nocy grozi ci ogromne niebezpieczeństwo.

Martris Drayke słyszał odgłosy zabawy świętujących tłumów, dobiegające zza gomółkowego okna. Blask pochodni lśnił zza szyby, a ubrane w kostiumy postacie tańczyły, śpiewając i pogwizdując, wokół zamkowej wieży. Przebrani za cztery wcielenia Jedynej Bogini, świętej Pani Margolanu, uczestnicy fety szli, zataczając się, za podobizną Matki Staruchy. W czasie tego Święta Zmarłych byli bardziej zajęci żłobaniem piwa niż wspomnianiem zmarłych.

– Z czyjej strony? – Tris skupił ponownie uwagę na swoim widmowym gościu. Duchy pałacu Shekerishet były tak liczne, że nie przypominał sobie, by kiedykolwiek przedtem widział tego konkretnego ducha – mężczyznę o pociągłej twarzy z opadającymi powiekami, którego

staromodny strój świadczył o tym, iż był on dworzaniem sto lat temu. Zjawa zamigotała i próbowała powiedzieć coś więcej, ale nic nie było słyhać. Tris pochylił się jeszcze bardziej. Dziś akurat duch powinien być łatwiejszy do zobaczenia, w czasie Nawiedzin bowiem – jak powszechnie nazywano to święto – duchy chodziły otwarcie po świecie i nawet sceptycy nie mogli udawać, że ich nie widzą. Pałacowe duchy były przyjaciółmi Trisa od czasów jego dzieciństwa, zanim jeszcze zrozumiał, że ci niematerialni towarzysze nie byli tak łatwo widoczni dla ludzi z jego otoczenia.

– Duchy... wygnane – wykrztusił wreszcie znikający duch. – Strzeż się... Łapacza Dusz.

Tris z trudem uchwycił ostatnie słowa rozwiewającej się zjawy. Zaintrygowany, przysiadł na piętach, a jego miecz zastukał o kamienną posadzkę. Pukanie do drzwi sprawiło, że o mało co nie stracił równowagi.

– Co tam robisz, a może nie jesteś sam? – Zażartował sobie przez drzwi Ban Soterius.

Zasuwka się podniosła i krzepki kapitan gwardii wparował do środka. Nic w sposobie bycia młodzieńca nie tłumaczyło jego silnie woniejącego piwem oddechu, poza potarganymi brązowymi włosami i lekko pogniecioną wykwinną tuniką.

– Jestem teraz sam – powiedział Tris, zerkając na miejsce, gdzie przedtem znajdował się duch.

Soterius przeniósł spojrzenie z Trisa na pustą ścianę.

– Wciąż ci powtarzam, Tris – rzekł gwardzista – że powinieneś więcej wychodzić do ludzi. Ja nie mam ochoty na pogaduszki z duchem... chyba że będzie to ładna dziewczyna z kuflem piwa.

Tris uśmiechnął się.

– Czy widziałeś duchy dziś w nocy?

Soterius zastanawiał się przez chwilę.

– Właściwie, jak już o tym wspomniałeś, to nie tyle co zwykle, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że to Nawiedziny. – Rozpromienił się. – Ale wiesz, jak one przepadają za ciekawymi historiami. Są pewnie na dole i słuchają, jak Carroway snuje swoje opowieści. – Pociągnął Trisa za rękaw. – Chodź. Nie ma takiego prawa, które mówi, że książęta też nie mogą się zabawić. A kiedy tak tu z tobą stoję na górze, mogę przegapić spotkanie z miłością mojego życia na dole w sali biesiadnej!

Dobry nastrój Soteriusa sprawił, że Tris zaśmiał się cicho. Kapitan gwardii był ulubieńcem córek dworskich wielmoży. Jasnobrązowe włosy miał krótko przycięte pod hełm bojowy. Był średniej budowy ciała, opalony i gibki od ćwiczeń przeprowadzanych z gwardzistami. Wszystko w jego postawie i sposobie bycia wskazywało na to, iż był wojskowym, lecz figlarny błysk w jego ciemnych oczach łagodził rysy twarzy i sprawiał, że lgnęły do niego panny na wydaniu. Tris cieszył się, że odwracało to uwagę owych panien i ich ambitnych matek od niego samego. Był o głowę wyższy od Soteriusa, smukły i szczupły. Często mu mówiono, że kanciaste rysy twarzy i wystające kości policzkowe odziedziczył po obydwójgu rodzicach, lecz jasnoblond włosy otaczające jego twarz i opadające na ramiona były ewidentnie spuścizną po królowej Serae, tak jak i zielone oczy, które przypominały oczy jego babki, słynnej czarodziejki Bava K'aa. Dla dam dworu była to bardzo atrakcyjna mieszanka.

– Obiecuję, że zejdę zaraz za tobą – powiedział Tris, a Soterius uniósł sceptycznie brew. – Naprawdę. Chcę tylko, zanim przyjdę, zapalić świeczkę i położyć podarunek w komnacie babki. A potem możesz mnie zabrać na wycieczkę po karczmach, którą mi obiecywałeś. Soterius wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Trzymam cię za słowo, książę Drayke – zaśmiał się. – Zbieraj się. Tak dziś wieczór świętują, że zaraz skończy im się piwo, a wiesz, że brandy mi szkodzi.

Tris słuchał niknących w korytarzu kroków przyjaciela, a potem sam ruszył do komnat

rodziny. Miał wrażenie, że z szeregu obrazów i arrasów śledzą go milczące spojrzenia dawno nieżyjących królów Margolanu, przodków króla Bricena. Dynastia Bricena była jedną z najdłużej utrzymujących się przy władzy monarchii Siedmiu Królestw. Patrząc na ich poważne oblicza i znając opowieści o tym, co musieli wycierpieć, obejmując tron, Tris cieszył się, że to nie jemu przypadnie korona. Wyjął pochodnię z obejmy na ścianie i otworzył drzwi do komnaty swojej babki. Zapach kadzideł i mikstur nadal unosił się w komnacie czarodziejki, pięć lat po jej śmierci. Tris zamknął za sobą drzwi. Pomyślał, iż to, że nawet teraz nikt nie ruszał rzeczy należących do tej czarodziejki świata duchów, świadczyło o tym, jakim szacunkiem darzyła ją jej własna rodzina. Czarodziejka Bava K'aa zasłużyła jednak na tego rodzaju podziw, i choć on sam pamiętał ją bardziej jako rozpieszczającą go babcię, to legendy o jej mocy sprawiały, że zawahał się – przez moment – zanim wszedł dalej do pokoju.

– Babciu? – wyszeptał Tris. Postawił świeczkę na stole stojącym na środku komnaty i zapalił ją słomką z pochodni. A potem rozłożył symboliczne dary w postaci miodowych ciasteczek oraz małego kufła piwa i uczynił nad nimi znak błogosławieństwa Bogini. Następnie, zerknąwszy, aby upewnić się, że drzwi są zamknięte i że nikt go nie zobaczy, wszedł na pleciony dywanik na środku pokoju. Spleciony z jej czarodziejskich sznurków chodnik pokrywał zabezpieczony czarami krąg, w którym pracowała jego babka. Tris poczuł znajome mrowienie magii, jakby ślad jej dawnych perfum. Posługując się swoim mieczem niczym rytualnym sztyletem, Tris obszedł dywan dookoła, tak jak nauczyła go babka, i poczuł, jak wokół niego wznosi się krąg ochronny. Niebiesko-biały blask pojawił się wyraźnie w jego umyśle, choć był niewidoczny. Tris przymknął oczy i wyciągnął prawą rękę.

– Babciu, wzywam cię – wyszeptał, wyczulając zmysły na jej obecność. – Zapraszam cię na ucztę. Przyłącz się do mnie w Kręgu.

Tris zamilkł. Jednak po raz pierwszy od jej śmierci nie usłyszał odpowiedzi. Spróbował raz

jeszcze.

– Bava K’aa, twój krewny zaprasza cię na ucztę. Przyniosłem ci podarek. Przyjdź do mnie.

Nic w komnacie się nie poruszyło i Tris otworzył oczy, zaniepokojony. Wtedy to migoczące światełko przyciągnęło jego wzrok. Wydawało się znajdować daleko poza kręgiem, szamocąc się i mrugając, jakby uwięzione wewnątrz siatki. Kiedy jednak przyjrzał mu się lepiej, rozpoznał postać swojej babki, stojącą w znacznej odległości, przesłoniętą przez mgłę.

– Babciu! – zawołał, lecz zjawa się nie zbliżyła. Jej usta się poruszyły, lecz nic nie usłyszał, i dreszcz przebiegł mu po plecach. Nie potrzebował słów, żeby z zachowania babki odczytać ostrzeżenie. Choć Tris nie słyszał głosu Bava K’aa, to obecność zagrożenia była wystarczająco czytelna.

Zimny wiatr przeleciał bez ostrzeżenia z wyciem przez komnatę, chociaż okiennice były zamknięte. Pochodnia zamigotała, a świeca zgasła. Podmuch wiatru uderzył w krąg, który wyczarował Tris, i obraz jego babki znikł. Dwie porcelanowe figurki spadły z trzaskiem na podłogę, a kotary nad łóżkiem załopotwały, gdy poryw wiatru zrzucił z biurka zwoje i przewrócił krzesło. Tris zacisnął zęby i walczył, aby utrzymać magiczną osłonę. Poczuł jednak gęsią skórkę na ramionach, gdy chłód przeniknął nawet przez plecionkę i krąg. Wizje czegoś, co było tam przez chwilę, pojawiły się w jego umyśle. Czegoś złego, czegoś starego i silnego, zagubionego, polującego, niebezpiecznego.

A potem, tak szybko jak się pojawił, wiatr ustał, a wraz z nim znikło poczucie zagrożenia.

Kiedy Tris był już pewien, że nic w komnacie się nie porusza, podniósł trzęsącą się dłoń w milczącym podziękowaniu dla Czterech Twarzy Bogini, a potem zamknął krąg. Zadrzał, gdy magiczny blask gasł w jego umyśle. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Tylko porwane pergaminy, rozbite figurki i przewrócone krzesło świadczyły o tym, że coś się stało. Bardziej zaniepokojony niż przedtem, Tris odwrócił się ku wyjściu.

Jakaś kobieta krzyknęła w korytarzu. Tris rzucił się ku drzwiom z mieczem w dłoni. W półmroku dostrzegł szamoczącą się parę – ciemna męska postać górowała nad jedną z pokojówek, która usiłowała umknąć.

– Puść ją! – Tris uniósł groźnie miecz. Wykorzystując ten moment, przerażona kobieta wbiła zęby w ramię napastnika, wyrwała się i uciekła korytarzem tak szybko, jakby jej życie od tego zależało. Tris poczuł ucisk w gardle, gdy napastnik się wyprostował i odwrócił, rozpoznał bowiem jego sylwetkę, zanim jeszcze w świetle pochodni załśnił cienki złoty diadem na skroni mężczyzny.

– I znowu zepsułeś mi zabawę, bracie. – Jared Drayke obrzucił go wściekłym spojrzeniem przymrużonych oczu. Najstarszy syn króla Bricena ruszył w stronę brata, a jego chód powiedział Trisowi, że Jared nieźle już sobie popił w to święto. Tris nie dał się jednak zastraszyć, choć serce podchodziło mu do gardła. Piwo nigdy nie osłabiało celności ciosów Jareda ani nie zmniejszało jego szermierczych umiejętności, a Tris zarobił wystarczająco wiele siniaków z ręki brata, by poznać, w jakim nastroju jest tego wieczora Jared.

– Jesteś pijany – wycedził Tris.

– Na tyle trzeźwy, żeby złoić ci tyłek – odparował Jared, który już zaczął podwijać rękawy tuniki.

– Tylko spróbuj.

– Ośmielasz się podnosić na mnie stal?! – ryknął Jared. – Mógłbym kazać cię powiesić.

Nikt nie będzie grozić przyszłemu królowi Margolanu!

– Wątpię, abym zawisł, dopóki rządzi ojciec – odparł Tris, choć serce mu waliło. – Może tak wzięłbyś do łóżka którąś z córek wielmożów, zamiast gwałcić służebne? A może opłacenie rodzin po ich zniknięciu byłoby zbyt kosztowne?

– Nauczę cię posłuchu – warknął Jared; był na tyle blisko, że Tris czuł kwaśne piwo w

jego oddechu. W mgnieniu oka Jared dobył miecza i rzucił się do ataku.

Tris sparował; potrzebował obydwu rąk, żeby skontrolować pchnięcie, które bez wątpienia miało go trafić. Zrobił krok do tyłu, z trudem odpierając wściekły atak brata. Jared napierał, a w jego oczach płonął bezrozumny gniew. Tris walczył o życie, wiedząc, że nie będzie w stanie długo bronić się przed nacierającym Jaredem, który spychał go z powrotem w blask umieszczonej w obejmach pochodni.

W oddali dały się słyszeć kroki na kamiennej posadzce.

– Książę Jaredzie?! – zawołał seneszał Zachar. – Gdzie jesteś, książę? Twój ojciec życzy sobie cię widzieć.

Zakławszy, Jared odsunął się kilka kroków od parującego jego cios Trisa.

– Książę Jaredzie?! – zawołał znowu Zachar, bliżej i bardziej nagłaco.

– Słyszałem cię! – krzyknął w odpowiedzi Jared, mierząc Trisa czujnym spojrzeniem. Tris ostrożnie opuścił miecz, lecz nie schował go do pochwy, dopóki brat tego nie zrobił.

– Nie myśl sobie, że rachunki są wyrównane, bracie – warknął Jared. – Zapłacisz mi za to.

Zapłacisz przed świtem! – obiecał. Kroki Zachara słychać było teraz znacznie bliżej i Jared odwrócił się, wychodząc seneszałowi na spotkanie.

Przez chwilę Tris stał w miejscu, aż serce mu zwolniło i złapał oddech po tej konfrontacji.

Kiedy już się uspokoił, ruszył ku sali biesiadnej. Zwolnił dopiero wówczas, gdy zbliżył się do drzwi i dotarły do niego odgłosy i wonie uczyty.

Gdy Tris dołączył do przyjaciela, Soterius obrzucił go sceptycznym spojrzeniem.

– Skąd ten pośpiech?

Gwardzista był zbyt spostrzegawczy, by nie zauważyć potu lśniącego na czole Trisa w tę chłodną jesienną noc czy też wyraźnego, wywołanego walką, rumieńca.

– Odbyłem właśnie krótką rozmowę z Jaredem – odparł Tris, wiedząc na podstawie ich

długiej znajomości, że Soterius domyśli się reszty.

– Czy twój ojciec nie może...? – spytał szeptem Soterius.

Tris potrząsnął głową.

– Ojciec nie może... czy też nie chce... przyznać, jakiego potwora spłodził. Nawet dobrzy królowie są ślepi na pewne sprawy.

– Miłego świętowania, bracie – zabrzmiał z tyłu roześmiany dziewczęcy głos i Tris się odwrócił.

Za nim stała jego siostra Kait ze swoim łownym sokołem siedzącym na rękawicy. Miała tuzin wiosen i była w wieku, kiedy to większość księżniczek drobi małymi kroczkami i upaja się wykwintnymi sukniami. Kait promieniała w swoim stroju sokolnika, luźnej tunice i spodniach skrywających jej zaokrąglające się kształty. Włosy miała ciemne, jak Bricen, splecione w praktyczny warkocz, co tylko podkreślało, jak bardzo była podobna zarówno do Trisa, jak i Jareda, Obdarzona ciemnymi jak u ojca oczami i wdziękiem matki, Kait zapewne już wkrótce znacznie przyciągać wzrok potencjalnych zalotników, pomyślał Tris i niepokój ścisnął mu serce,

– Czy nikt nigdy ci nie powiedział, że powinnaś się przebrać na Nawiedziny? – zażartował i – mimo wydarzeń w korytarzu – uśmiechnął się, gdy Kait spojrzała na niego kwaśno.

– Dobrze wiesz, drogi bracie, że jest to jedyna noc w roku, kiedy mogę nosić praktyczne ubrania, nie gorsząc całkowicie matki ani szacownych dam dworu – odparowała. Sokół, jeden z tuzina, którymi opiekowała się jak dziećmi, poruszył się niespokojnie na uwięzi, zdenerwowany gwarem rozweselonego tłumu.

– Czy weźmiesz tego ptaka ze sobą w dniu ślubu? – przekomarzał się z nią dalej Tris.

Kait zmarszczyła nosek, jakby wyczuła zepsute mięso.

– Nie poganiaj mnie. Może będę go miała ze sobą w noc poślubną i nie będę musiała od razu rodzić bachorów!

– Kaity, Kaity, co by matka na to powiedziała? – zacmokał Tris w udawanym zdumieniu, a Soterius się roześmiał.

Kait dała bratu lekkiego kuksańca w ramię.

– Powiedziała by to, co zwykle mówi – zripostowała, niewzruszona. – Że powinna szybko znaleźć mi kandydata na męża, zanim zgorszę cały dwór. – Wzruszyła ramionami. – Konkury już się zaczęły.

– Wiesz – powiedział Soterius, mrugając do niej – matka może ci znaleźć kogoś, kogo naprawdę polubisz.

Kait uniosła brew.

– Na przykład ciebie? – Odpowiedziała tak kąśliwie, że zarówno Tris, jak i Soterius znowu się roześmiali.

Soterius uniósł rękę, żeby ją udobruchać.

– Wiesz, że nie to miałem na myśli.

Kait wyglądała tak, jakby miała rzucić kolejną ciętą ripostę, spojrzała jednak na milczącego brata.

– Coś niewiele mówisz, Tris.

Tris i Soterius wymienili spojrzenia.

– Miałem małe starcie z Jaredem – powiedział Tris. – Trzymaj się od niego z daleka dziś wieczór, Kaity. Jest w paskudnym humorze.

Kait przestała się przekomarzać i Tris zobaczył pełne zrozumienie w jej oczach, które nagle wydały się starsze niż u dwunastolatki.

– Słyszałam o tym – powiedziała, krzywiąc się. – Gadają o tym w stajniach. O mało co nie zatłukł stajennego na śmierć za to, że jego koń nie był gotowy. – Przewróciła oczami. – Przynajmniej mnie udało się trzymać z dala od niego przez kilka dni.

Tris spojrział na nią i zmarszczył brwi.

– Skąd masz tego siniaka na ramieniu?

Kait dotknęła go nieśmiało.

– To nic takiego – powiedziała, odwracając wzrok.

– Nie o to pytałem, Kaity – naciskał Tris. Czuł już wzbierający gniew za ten siniak i wszystkie inne zarobione przez lata.

Kait nadal nie patrzyła mu w oczy.

– Zasłużyłam sobie na to – westchnęła. – Jared wyzywał się na jednym z kuchennych psów, a ja walnęłam go w głowę bochenkiem chleba, żeby szczeniak mógł uciec. – Skrzywiła się. – Nie był tym zachwycony.

– Niech go szlag! – zaklął Tris. – Nie martw się, Kaity. Już ja się postaram, żeby trzymał się od ciebie z daleka – obiecał, choć obydwoje wiedzieli, że poprzednie próby nie skończyły się szczególnym powodzeniem.

Kait uśmiechnęła się słabo.

– Czy myślisz, że po przyjęciu mógłbyś przygotować jeden z tych twoich okładów?

Trochę mnie boli.

Tris zmierzwił jej włosy, czując taką mieszaninę gniewu na Jareda i miłości do Kait, iż myślał, że serce mu pęknie.

– Oczywiście, Kaity. Nie muszę już nawet wykradać ziół z kuchni.

Dawno temu, kiedy byli jeszcze dziećmi, Tris robił nocne wypadki do kuchni, żeby zdobyć zioła do opatrywania siniaków i skaleczeń spowodowanych przez Jareda. Choć był tylko osiem lat starszy od Kait, to odkąd się urodziła, był jej samozwańczym opiekunem. Może poruszyło go to, jak małe dziecko i samotna wydawała się w ramionach mamki. A może kierowała nim obawa, że małe dziecko będzie bardziej zabawnym celem dla znanego z okrutnego poczucia humoru Jareda

niż nieszczęsne koty i psy, które z nieprzyjemną regularnością znikwały z pokoju zabaw.

Zawsze trzymali się razem, a on często brał na siebie wybuchy gniewu Jareda. Jared odstraszał kolejne niańki swoimi napadami złości. Kiedy Kait podrosła, ona i Tris odnaleźli poczucie bezpieczeństwa, jednocząc siły przeciwko Jaredowi; byli w stanie zmusić go do dania za wygraną, kiedy nie stanowili już tak łatwego celu.

– Ojciec musi wreszcie nas wysłuchać – rzekła z nadzieją Kait, przerywając jego rozmyślenia.

Tris potrząsnął głową.

– Ale jeszcze nie teraz – powiedział. – Nie chce słuchać tego, co mówię, choć coraz bardziej się z Jaredem kłóczę. Czasami mam wrażenie, że kłóczę się nawet wtedy, kiedy mówią „dzień dobry”.

Kait westchnęła, a ptak na jej rękawicy poruszył się nerwowo.

– Może matka...?

I znowu Tris dał odpowiedź przeczącą.

– Za każdym razem, gdy próbuje coś powiedzieć, ojciec oskarża ją o to, że faworyzuje swoje dzieci kosztem Jareda. Nie sądzę, aby całkowicie pogodził się ze śmiercią Eldry – dodał.

Matka Jareda zmarła, wydając na świat pierworodnego Bricena, a nabranie ochoty do ponownego ożenku zajęło królowi niemal dziesięć lat. W czasie tej dekady, kiedy ojciec Jareda był pogrążony w rozpacz, młodym księciem mało kto się zajmował i chłopak nie był uczony dyscypliny.

– Matka już nawet o tym nie wspomina – dodał Tris. – Po prostu stara się, żebyś nie wchodziła mu w drogę.

– Ojoj – Kait wyszeptała pod nosem. – Kolejne kłopoty.

Tris podążył za jej spojrzeniem i ujrzał ubraną w czerwone szaty postać, która stanęła w

wejściu do sali biesiadnej. W pomieszczeniu zapadła cisza. Foor Arontala, główny doradca

Jareda, odziany w powłóczyste szaty barwy krwi maga Ognistego Klanu, ruszył przez tłum.

Tłum rozstępował się przed nim pospiesznie, desperacko starając się zejść mu z drogi, lecz na jego bladej niczym porcelana twarzy o delikatnych rysach, wyglądającej spod przepastnego kaptura, nie odmalowała się nawet świadomość ich obecności.

– Nienawidzę go – wyszeptała Kait tak cicho, że tylko Tris i Soterius ją słyszeli. – Szkoda, że nie ma tu babki. Zgniotłaby go jak pchłę – dodała, demonstrując jeszcze gestem to rozdeptywanie.

– Babka nie żyje – odparł bezbarwnym głosem Tris, myśląc o tym, jak wcześniej tego wieczoru bez powodzenia starał się skontaktować z duchem Bava K’aa. Chciał powiedzieć Kait, co się wydarzyło, jednak powstrzymał go fakt, że Bava K’aa zawsze utrzymywała jego naukę w głębokiej tajemnicy.

– Szkoda, że twój ojciec nie sprowadził wcześniej do Shekerishet swojego własnego maga

– dodał szeptem Soterius. – Nawet wioskowa czarownica byłaby lepsza niż to – powiedział ze starannie skrywanym obrzydzeniem.

Foor Arontala sunął z nadnaturalną płynnością przez zamilkły tłum, jakby nie zauważał

jego istnienia, po czym wyszedł z sali w jej przeciwległym końcu. Minęło jednak kilka minut, zanim zabawa znowu się zaczęła, a jeszcze dłużej trwało, zanim nabrała tempa.

– Niech go Starucha porwie – zaklął pod nosem Tris.

– On wygląda tak, jakby już to zrobiła – zachichotała Kait.

Soterius postarał się rozluźnić atmosferę.

– Czy muszę wam obydwójgu przypominać, że zabawa wciąż trwa? – Zbeształ ich z

udawaną surowością. – Carroway snuje tam już swoje opowieści od ponad świecy – dodał, wskazując ręką – a wy to przegapiliście.

– Czy on tam nadal jest? – Spytała z nagłym zainteresowaniem Kait. – Czy jest jeszcze wolne miejsce?

– Przekonajmy się – powiedział Tris, mając nadzieję, że ta rozrywka rozwieje jego ponury nastrój.

Carroway, mistrz bard Margolanu, siedział otoczony urzeczonymi słuchaczami. Sądząc po panującym wokół niego ścisłu, bajarz zbliżał się do kulminacyjnego momentu swojej opowieści. Carroway opisywał ściszym głosem, który zmuszał słuchaczy do pochylenia się ku niemu, przygodę z czasów panowania prapradziadka Trisa.

– Jeźdźcy ze Wschodniej Marchii przedzierali się ku pałacowi. Dzielni mężczyźni próbowali ich odeprzeć, lecz najeźdźcy wciąż napierali. Widać było już pałacową bramę! Kamienie spływały krwią sięgającą aż po kostki, a wszędzie dookoła ranni, jęcząc, domagali się sprawiedliwości.

Mówiąc to, Carroway przechylił się na bok i jakby mimochodem zapalił dwie szare świece.

– Król Hotten walczył z całych sił, wszędzie wokół niego miecze ścierały się ze szczękiem i wrzała bitwa. Dwukrotnie zbliżali się do niego skrytobójcy. Dwukrotnie ciśnięte sztylety o mało co nie trafiły do celu.

Z leniwym wdziękiem ramię Carroway’a powędrowało w górę, dwa sztylety pojawiły się znikąd i wbiły się *tup, tup* w drewno za znajdującym się najbardziej z tyłu słuchaczem. Dzieci krzyknęły, a potem zaczęły chichotać, kiedy zrozumiały, że to sztuczka bajarza.

– Znużonym obrońcom brakowało już żołnierzy – ciągnął dalej Carroway. – Była to wigilia Święta Zmarłych – Nawiedziny, jak my to nazywamy – kiedy to duchy śmiało wędrują pośród nas. Mówi się, że w czasie Nawiedzin duchy mogą stać się materialne, jeśli zechcą, i stworzyć taką iluzję, że śmiertelnicy nie są w stanie odkryć ich oszustwa, aż... – Przerwał i na

jego gest w odpowiednim momencie pojawił się kłęb dymu – wszystko, co wydawało się w nocy takie materialne, znika wraz z nadejściem poranka. Wiedząc o tym, król Hotten błagał swojego maga, aby ten uczynił wszystko, by powstrzymać najeźdźców. Mag już sam był u kresu sił i czuł, że rzucenie potężnego zaklęcia zapewne będzie oznaczać jego śmierć, lecz zebrał całą moc, jaką posiadał, i wezwał samego ducha ziemi, Boginię Mścicielkę i dusze zmarłych.

– Z przesiąkniętych krwią kamieni zaczęła wstawać mgła. Początkowo unosiła się nad samą ulicą, kłębiąc się wokół nóg najeźdźców, ale potem zgęstniała i podniosła się tak, że sięgała końskich uzd. Wkrótce zmieniła się w wyjący wiatr i przerażeni najeźdźcy patrzyli, jak pojawiają się w niej twarze i sylwetki, zniekształcone przez burzę. I tej świątecznej nocy dawno temu duchy zdecydowały się przyjąć realną postać, ukazać się w całości, tak, że wydawały się tak samo rzeczywiste i materialne jak wy czy ja.

Delikatna mgielka unosiła się ze świeczek Carroway'a, kłębiąc się po posadzce pałacu i wysuwając macki ku słuchaczom; ci drgnęli zaskoczeni, gdy ją zauważyli, i wpatrzyli się w Carroway'a szeroko rozwartymi oczami. I wtedy cienka zasłona dymu uformowała się w postaci z opowieści, widmowe smugi przyjęły formę stojących dęba koni i przemykających duchów.

– Duchy Shekerishet powstały. Żeby bronić go przed najeźdźcami, dzięki mocy zmarłych i woli wszystkich dzielnych wojowników, którzy kiedykolwiek polegli w obronie króla i królestwa. Wycie, wrzaski i ostrzegawcze zawodzenie powstających z martwych duchów podniosło się ponad szumem wiatru, a mgła była tak gęsta, że rozdzieliła atakujących.

Carroway poruszył nadgarstkiem i z ręki wypadły mu dwie małe kuleczki, które uderzyły o twardą podłogę z piskiem i zawodzeniem. Słuchacze podskoczyli na swoich siedzeniach, rozwierając szeroko oczy ze strachu.

– Skonfundowani i przerażeni napastnicy rzucili się do ucieczki – ciągnął dalej Carroway.

W swoich szarych szatach barda, w słabym świetle migoczących pochodni, sam wyglądał jak postać z legendy.

– Mur duchów zmusił ich do wycofania się prosto na czekające miecze armii Margolanu.

Widmowi strażnicy pałacu odparli wroga i puścili się w pościg za najeźdźcami, aż ci poszli w rozsypkę za bramą – powiedział, wyciągając rękę.

Jego słuchacze krzyknęli z udawanego strachu, gdy na rozkaz Carroway’a buchnął dym, formując zjawę wojownika-kościotrupa wielkości człowieka, dobywającego miecz z pochwy zwisającej przy jego kościstej nodze.

– Mówią, że duchy nadal bronią Shekerishet – rzucił z uśmiechem Carroway.

– Powiadają, że duchy zamku bronią go przed intruzami i nie pozwolą, żeby tym, którzy się w nim znajdują, stała się krzywda. Mówią, że klątwa maga króla Hottena wciąż utrzymuje się w mocy i że każdy następny królewski mag umierając, wzmacniał jej działanie – ciągnął Carroway.

– I taka oto – zakończył z zadowoleniem – jest historia Bitwy pod Dworską Bramą.

Tris zaśmiał się cicho, gdy dzieci z szeroko rozwartymi oczami wychodziły, pozostawiając przebranego w kostium bazarza, by ten zebrał swoje rzeczy. Kait podeszła do Carroway’a i przesłała mu żartobliwego całusa.

– Strasznie mi się podobało! – Zapiszczała entuzjastycznie. – Ale musisz sprawić, żeby opowieść była bardziej przerażająca.

Mrugnęła do barda.

– Gdybym nie przysięgła, że nigdy nie wyjdę za mąż, to wybrałabym ciebie – dodała.

Tris podejrzewał, że Kait tylko częściowo żartuje, choć znała przyjaciela Trisa z dzieciństwa tak długo, że był dla niej jak brat.

– Będzie miała od tego koszmary – zażartował Tris, ratując czerwieniącego się minstrela.

Carroway uśmiechnął się,

– Mam taką nadzieję. Przecież o to chodzi w Nawiedzinach.

Wstał, wygładzając poły swojego płaszcza. Minęła ich grupka przebranych w kostiumy świętujących ludzi, obejmujących się ramionami, śpiewających głośno i fałszywie.

– Dobrych Nawiedzin dla ciebie, bardziej, i dla pozostałych! – Zawołał jeden z nich, rzucając Carroway’owi złotą monetę, którą bazarz złapał w locie.

– Tobie też, panie, dobrych Nawiedzin! – Zawołał w podzięcie Carroway, unosząc monetę, po czym teatralnym gestem sprawił, że ta zniknęła, co wywołało radość biesiadników.

Carroway dorównywał wzrostem Trisowi, był jednak szczuplejszy i poruszał się z wdziękiem tancerza. Jego długie kruczoczarne włosy otaczały twarz o rysach tak przystojnych, że wręcz pięknych. Jasnoniebieskie oczy z długimi rzęsami błyszczały inteligencją i ostrym dowcipem.

U boku Carroway’a pojawił się Ban Soterius.

– Tylko nie pozwól, żeby kapłanki usłyszały, że tak mówisz – ostrzegł go z udawaną surowością. – To jest Święto Zmarłych, młodzieńcze. – Soterius uśmiechnął się i zatarł rękę. – Nieraz mi o tym przypominano, kiedy byłem w szkole.

Carroway wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– „Nawiedziny” o wiele łatwiej powiedzieć – rzucił łobuzersko. – Poza tym jak inaczej można nazywać święto umarłaków?

– Do zobaczenia później – powiedziała Kait do całej trójki i dotknęła sokoła, żeby go uspokoić, gdy minęła ich głośna grupa świętujących ludzi. – Miłego święta! – Zawołała. – Tylko nie wpakujcie się w zbyt duże kłopoty.

– Łatwo ci mówić – odparował Tris. Gdy Kait wmieszała się w oddalający się tłum, odwrócił się do Carroway’a. – Chodź, bo spóźnimy się na ucztę.

Ci trzej młodzieńcy, nie mający nawet dwudziestu wiosen, byli chyba najbardziej pożądanymi kawalerami w Margolanie i obiektem uwagi wszystkich ambitnych matek na dworze. Soterius rozkoszował się tym zainteresowaniem i rzadko można go było spotkać bez damy u boku, lecz Carroway wybierał raczej partnerki spośród dworskich artystek, śpiewaczek i muzyków, których talent szanował i na których nie robiła wrażenia jego pozycja ani przyjaźń z Trisem.

Ku wielkiemu rozczarowaniu wielu matek na dworze, a nawet – jak podejrzewał Tris – jego własnej matki Serae, Trisowi udawało się z powodzeniem unikać swatek. Eskapady Jareda nauczyły Trisa ostrożności, ponadto nie spotkał jeszcze żadnej córki tutejszego wielmoży, z którą mógłby odbyć więcej niż raz ciekawą rozmowę. Jego dobrowolnie wybrana samotność stanowiła ostry kontrast z rozwiązłością Jareda i Tris był świadom tego, że niektórzy dworscy dowcipnisie wymyślali własne, mniej pochlebne przyczyny jego niechęci do wybierania kandydatek na małżonki i odrzucania ich z taką samą częstotliwością, jak czyniła to reszta dworu. Niech sobie gadają, myślał. Nie miał zamiaru sprowadzać panny młodej do Shekerishet, kiedy Jared był w pobliżu, i jeszcze mniejszą ochotę miał na to by, narażać własne dzieci na okrucieństwo brata.

Może kiedyś, pomyślał tęsknie, patrząc, jak Soterius i Carroway przekomarzają się swobodnie z mijającymi ich przebranymi w kostiumy dziewczętami. Może kiedyś, kiedy będę bezpieczny w wiejskiej posiadłości ojca, z dala od dworu, z dala od przyjęć, z dala od Jareda...

– Przepowiedzieć ci przyszłość? – Zachrypiał z tyłu jakiś głos.

Tris odwrócił się zaskoczony i zobaczył w niszy zgarbioną starą kobietę przyzywającą go sękatym palcem. Rozpoznał od razu, że jest jednym z pałacowych duchów, choć tej nocy duchy chodziły otwarcie po świecie, sprawiając wrażenie materialnych.

– Tobie, książę Drayke, i twoim przyjaciółom, za darmo.

– Skąd ona się wzięła? – wymruczał Soterius.

Carroway wzruszył ramionami.

– Zobaczmy, co przyniesie przyszłość.

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć – wzdragął się Soterius, lecz Carroway już ciągnął Trisa za rękaw.

– Chodź – żartował. – Chcę wiedzieć, jak sławnym będę bardem.

– Mów za siebie – wyszeptał pod nosem Soterius. – Naprawdę, nie jestem pewien...

– Zgadzam się z Banem – wymruczał Tris.

– Nie ma w was ducha przygody. No, dalej – nalegał bard.

Starucha podniosła wzrok, żując kawałek ziela snów. Kropla śliny spłynęła po jej szczeciniastym podbródku, gdy odgarnęła kosmyk tłustych włosów i pokiwała głową, przyglądając się młodzieńcom przenikliwymi zielonymi oczami, które zdawały się przewiercać ich na wylot. Jej suknia wykonana była z wypłowiałego jedwabiu, kosztownego niegdyś, który dawno jednak stracił swoją świetność; pachniała piżmem i korzennymi przyprawami. Jasnowidząca siedziała przy niskim, misternie rzeźbionym stoliku, którego wytarty blat pokryty był skomplikowanymi runami. Na środku stolika stała kryształowa kula na złotej podstawce. Zarówno kula, jak i podstawka były o wiele lepszej jakości, niż Tris się spodziewał, toteż przyjrzał się uważniej starej kobiecie.

Uniosła kościsty palec i wycelowała go w pierś barda.

– Ty pierwszy, minstrelu – wychrypiała i gestem nakazała Carroway’owi przyklęknąć.

Przymrużonymi oczyma spojrzała na Trisa i Soteriusa. – Czekaście w milczeniu.

Zanuciła ochryple pradawną i dziwną pieśń, tak cicho, że Tris nie zdołał uchwycić słów.

Jej sękaty ręce głaskały kryształ, obejmowały go delikatnie, unosząc się tuż nad jego gładkim owalem. Kula zaczęła się jarzyć kłębiącym się w jej jądrze zimnym błękitem, który stopniowo

wypełnił cały kryształ jasnym niebieskim blaskiem. Starucha przymknęła oczy, kołysząc się i nucąc.

Kiedy się odezwała, usłyszeli czyste tony dziewczęcego głosu, bez śladu gardłowej chrypki.

– Jesteś twórcą opowieści i tym, który odbiera życie – rzekł dziewczęcy głos. Czysty jak dzwoni i nadnaturalny.

– Twoje opowieści będą najwspanialszymi, jakie zna Margolan, lecz smutek, tak, wielki smutek nauczy cię twych pieśni. Uważaj, tkacz snów – ostrzegł głos. – Będziesz wędrować wśród nieśmiertelnych. Strzeż dobrze swej duszy.

Tris zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Soterius przyglądał się, stojąc nieruchomo.

Carroway patrzył szeroko otwartymi ze zdumienia oczami na kołyszącą się wróżbitkę. Twarz jasnowidzącej odprężyla się, jakby zapadła kurtyna, a głos umilkł.

– Wyośmy się stąd – powiedział Soterius.

– Zostańcie – nakazała starucha, i choć nie podniosła głosu, wychrypiany rozkaz zatrzymał Soteriusa w miejscu.

– Podejdz, żołnierzu – powiedziała, gdy wciąż oszołomiony Carroway podnosił się na nogi. Poblady Soterius usłuchał.

Z przepastnych kieszeni swojej poszarpanej szaty wiedźma wyciągnęła wytartą talię kart.

Kart do wróżenia. Tris rozpoznał specjalność przydrożnych wyroczeni i przedmiot salonowych zabaw dam dworu. Starucha zręcznie wyłożyła cztery karty.

– Wól – wychrypiała, nazywając karty. – Czarna Rzeka. Moneta. Mroczna Pani. – Potem zaśmiała się gardłowo. – Przemawiają w imieniu Bogini. Patrz uważnie.

– Nie rozumiem...

– Milcz! – Wykoślawionym palcem pogładziła pierwszą wytartą kartę. – Wól to karta siły.

Będziesz się cieszył dobrym zdrowiem i siłą, żołnierzu. Ta karta razem z Czarną Rzeką mówi o wojnie – powiedziała jakby do siebie, a jej oschły głos nabrał śpiewnego tonu. – Będzie ci się wiodło. O tym mówi Moneta. Ale – syknęła, gdy złamany paznokieć zawisł, drżąc, nad ostatnią kartą – strzeż się. Będziesz bowiem podróżował mrocznymi drogami, w towarzystwie umarłych i nieumarłych. Będziesz jednym ze sług Mrocznej Pani. Strzeż mocno swej duszy.

Soterius przełknął z trudem ślinę, wpatrując się w karty. Potem zerknął nerwowo na kulę, która pozostała przejrzysta i pusta. Starucha spojrzała na Trisa i przywołała go do siebie bez słowa. Tris posłuchał jej i z walącym sercem zajął miejsce, które Soterius pospiesznie opuścił.

– Daj mi rękę – nakazała starucha, wyciągając swoją. Tris powoli podał jej dłoń, odwracając ją wnętrzem do góry, a wiedźma przyciągnęła rękę do siebie. – Przypadnie ci w udziale wielka misja, Synu Pani – wyszeptała, przesuwając paznokciem wzdłuż ledwie widocznej linii na dłoni Trisa. – Któż wie, jak ona się skończy? – wymruczała, rysując teraz paznokciem po bruzdach we wnętrzu dłoni Trisa. – Wiele dusz leży na szali. Twoja ścieżka wiedzie w mrok. – Wciągnęła gwałtownie powietrze, a jej palec zadrżał.

– Co się stało? – wyszeptał Tris, bojąc się podnieść głos.

– Naprawdę należysz do Pani – wychrypiała. – Twoja dłoń nie zdradza, kiedy umrzesz.

– Każdy kiedyś umiera.

– Wedle woli Pani. Twój czas należy do niej. Naprawdę jesteś w rękach Pani – wyszeptała.

– Strzeż dobrze swej duszy albo wszystko będzie stracone.

A potem obraz starej kobiety zamigotał, i choć jej usta się poruszyły, nie usłyszeli żadnych słów. Tris czuł, jak dziwna moc przyciąga ducha, moc, której nie potrafił nazwać. Duch zaczął się rozwiewać, najpierw zmieniając się w mgiełkę, a potem rozplywając w nicość.

Soterius pociągnął Trisa za koszulę, niemal go podnosząc.

– No, dalej! – ponaglił go głosem, w którym pobrzmiwały zaczątki paniki. – Chodźmy.

Z sali biesiadnej dolatywała won pieczonego mięsiwa. Ogień buzował z trzaskiem w ogromnym palenisku, a muzycy grali skoczną melodię, gdy goście się schodzili. Carroway dołączył do innych minstreli, z przyjemnością przyjmując lutnię, którą wcisnął mu do ręki jeden z jego przyjaciół. Tris dostrzegł Jareda z przodu sali, koło królewskiego stołu, jak wściekle ruga służącego. Zauważył, że seneszał Zachar bardzo stara się zachować spokój, próbując nie okazać dezaprobaty ani zażenowania. Kait wskazała Trisowi dwa siedzenia koło siebie i wraz z Soteriusem precyzyjnie przeszli przez tłum, aby zająć swoje miejsca. Sokół Kait poruszył się nerwowo, więc dała znak sokolnikowi, który posadził ptaka na swojej rękawicy i zabrał do cichszej stajni.

– Twój ojciec nigdy nie pozwalał na obecność sokołów przy stole w jego wiejskiej posiadłości – wyszeptał Soterius do Kait. – Będę mu musiał powiedzieć, jak to wygląda na dworze.

Kait zrobiła rozczarowaną minę.

– Kolejna moda, którą możesz się podzielić z wiejską szlachtą – powiedziała z udawanym lekceważeniem.

Tris zerknął na Soteriusa, widząc, że jest spięty.

– Co się stało? – spytał, przesuwając wzrokiem po tłumie, który czekał na przybycie Bricena.

Soterius potrząsnął głową, i choć miał obojętny wyraz twarzy, w jego oczach widać było niepokój.

– Gwardziści pełniący służbę w czasie uczyty nie są tymi, których wyznaczyłem – powiedział ściszym głosem. – Porozmawiam ze stojącym tam porucznikiem.

Ale w tym momencie trąbka herolda obwieściła przybycie króla Margolanu, Bricena.

– Później – wymruczał Soterius, sfrustrowany tym zdarzeniem.

Tris patrzył, jak Bricen i królowa Serae przechodzą przez tłum, zatrzymując się, aby przywitać się z cisnącymi się wokół osobami, pragnącymi przekazać im życzenia. Nienaturalne ożywienie ojca powiedziało Trisowi, że król wypił już kilka kufli piwa w swoich prywatnych apartamentach, zanim przyłączył się do obchodów. Sarae, zawsze chłodna i opanowana, zdawała się sunąć po parkiecie, łaskawie przyjmując ukłony i dygnięcia dam oraz wielmożów, którzy ustawili się w szeregu między stołami. Bricen pomógł Serae wejść na podwyższenie, a widząc, jak Jared beszta służę, spiorunował swojego najstarszego syna wzrokiem. Ten odpowiedział mu wściekłym spojrzeniem, nie próbując nawet ukrywać przed otoczeniem napięcia panującego między ojcem a synem.

– Szacowni państwo! – ryknął król. – Dziś wieczorem niech radują się tak żywi, jak i martwi! Kiedyś byli tacy sami jak my. I na Boginię, my będziemy kiedyś takimi, jakimi oni są teraz, zatem najlepiej, abyśmy jedli i pili, póki możemy!

Król zajął miejsce i obmył ręce w podanej mu misie. Podczaszowie rozpoczęli swoją pracę, a procesja kuchennej służby ruszyła za stolnikiem ku królewskiemu stołowi, niosąc półmiski parującej pieczonej dziczyzny. Carroway i pozostali muzycy zaczęli grać skoczną melodię i znowu rozległ się gwar rozmów przerwanych przybyciem króla. Jednak mimo radosnej atmosfery Tris poczuł przenikający go chłód. Zagadkowe ostrzeżenie ducha zabrzmiało ponownie w jego głowie. Rozejrzawszy się po sali biesiadnej, nie zobaczył żadnego z pałacowych duchów, które zwykle były widoczne, nawet dla tych, którzy nie mieli ani śladu magicznego talentu. Nigdy nie pamiętał, żeby duchy były nieobecne na takiej uczcie, zwłaszcza w czasie Nawiedzin.

Podczas kolacji Tris wyczuwał narastające napięcie Soteriusa. Przy pierwszej okazji żołnierz wstał od stołu i oddalił się, żeby porozmawiać z porucznikiem dowodzącym gwardzistami. Wrócił za kilka chwil jeszcze bardziej zaniepokojony.

– Co się dzieje? – wyszeptał Tris.

– Nie podoba mi się to. Ten porucznik powiedział, że Jared nakazał mu zmienić gwardzistów. – Soterius niemal niezauważalnie pokręcił głową. – Rozejrzyj się. To wszystko są nowi gwardziści, młodszy, którym podoba się ta gadka Jareda o większej armii. Ja wyznaczyłem więcej doświadczonych ludzi, w których lojalność wobec króla nie wątpię.

Tris spojrzął ponad tłumem. Soterius miał rację. Jared od wielu miesięcy odwiedzał koszary, aby – jak powiedział, pytany przez króla – „podnieść morale” gwardii. Bricen, zmęczony zapewne bezustannymi kłótniami ze swoim dziedzicem, nie wypytywał go dalej. Teraz Tris zaczął mieć złe przeczucia w związku z tym nagłym zainteresowaniem się Jareda armią. Przyglądając się gościom, stwierdził, że równie niepokojące były twarze, które widział – i których nie widział – wśród biesiadników. Niewielu tu było starszych wielmoży, lordów i baronów, których lojalność wobec korony była absolutna. Ci, którzy znaleźli się wśród gości, wyglądali na skrzepowanych, co było rzadkością na legendarnych ucztach Bricena. Tris dostrzegł następnie wielu nowych wielmożów, właścicieli ziemskich, którzy zdobyli ten status w pierwszym pokoleniu na polu bitwy lub zaskarbiwszy sobie niedawno królewską łaskę. Tris wiedział, że podobnie jak gwardziści, ci nowo utytułowani ludzie patrzyli przychylnym okiem na płomienną retorykę Jareda, namawiającego do ekspansji i podboju; uważali ją za bardziej ekscytującą niż stabilne rządy Bricena. Pod pretekstem zwrotu pucharu z kiepskim winem Tris przywołał Zachara. Odpowiedź na zadane szeptem pytanie wcale nie zmniejszyła jego obaw.

– Zachar mówi, że wielu starszych wielmożów odpowiedziało późno na zaproszenie, jakby nie zostali powiadomieni na czas – przekazał szeptem Soteriusowi. – To bardzo dziwne. I w każdym przypadku istniał jakiś palący powód, dla którego nie mogli przybyć.

– Myślisz, że wiedzą o czymś, o czym my też powinniśmy wiedzieć?

Tris rzucił ukradkowe spojrzenie na koniec stołu należący do Jareda; obok niego siedział

Foor Arontala i bawił się jedzeniem na swoim półmisku, nic jednak nie jedząc.

– Może te palące powody powstały z czyjąś „pomocą” – powiedział Tris, odwracając wzrok, gdy beznamiętne spojrzenie Arontali powędrowało w jego stronę.

– Co zatem zrobimy w tej sprawie? – spytał Soterius; jego słowa stłumione zostały przez kęs dziczyzny.

Tris zastanowił się.

– Chcę zobaczyć, co się dzieje w pracowni Arontali.

Soterius zadławił się mięsem i stojący za nim sługa musiał walnąć go w plecy.

– Co takiego chcesz zrobić? – wychrypiał, gdy tylko pociągnął łyk wina. – Oszalałeś?

Tris nie odpowiadał przez chwilę, czując na sobie spojrzenie Jareda. Kiedy ten wrócił do rozmowy z magiem w czerwonej szacie, Tris znowu spojrzał na Soteriusa.

– Jeśli Jared coś knuje, to można się założyć, że stoi za tym Arontala. I nie będziemy wiedzieć, o co chodzi, dopóki nie zajrzemy do jego pracowni.

Tris nie był przygotowany na to, by opowiedzieć przyjacielowi o ostrzeżeniu przekazanym mu przez ducha. Stwierdził jednak, że jeśli zagrożeniem jest coś takiego jak „Łapacz Dusz”, to pierwszym miejscem, gdzie należałoby tego szukać, jest biblioteka maga Ognistego Klanu.

– Wiesz, że nie znam się na magii – odparł szeptem Soterius. – Ale wierzę moim gwardzistom, kiedy mówią mi, że drzwi do komnat Arontali są zamknięte zaklęciem. Nikt tam nie wchodzi ani stamtąd nie wychodzi bez niego.

Tris w zamyśleniu gryzł barani udziec.

– To spróbujmy oknem.

Soterius ugryzł kawałek chleba.

– Nie. To nie najlepszy pomysł. Poza tym myślałem, że masz lęk wysokości.

– Mam – przyznał Tris. – Ale to w imię dobrej sprawy. No dalej, od zeszłego roku nie

mogłeś się doczekać, żeby znowu wsadzić mnie w tę swoją uprzęż do wspinaczki. A poza tym zawsze lubiłeś robić jakieś akrobacyjne sztuczki na Nawiedziny, żeby Zachar jeszcze bardziej posiwiiał. – Zaśmiał się. – Jednego roku postanowiłeś, że zejdziemy na linach z wieży, i o mało co nie zestrzelili nas wartownicy. W następnym roku chciałeś przerzucić się z sypialni na drugą stronę dziedzińca, ale zamiast tego wylądowałeś w stajni.

– Dzięki niech będą Matce i Dziecięciu, że na sianie, a nie na gnoju – rzucił sucho

Soterius. – Mówisz poważnie, co?

Tris skinął głową.

– Zbyt wiele spraw dzieje się inaczej, niż powinno. Będziemy mieli okazję, żeby to zrobić, kiedy kolacja dobiegnie końca i świętowanie przeniesie się do miasta.

Dalszy ciąg kolacji przebiegł spokojnie, z występami żonglerów, akrobatów i magików, które nawet Trisowi poprawiły nastrój. Carroway, który zorganizował tę wieczorną rozrywkę, zdawał się zadowolony z siebie, zajmując się swoimi przyjaciółmi-aktorami, poprawiając wymyślne kostiumy i makijaże w przeciwległym kącie sali biesiadnej. Przyglądał się z dumą, jak jedna po drugiej grupa wykonawców wychodzi, aby popisać się przed królem. Gdy Carroway skończył długą, rzewną balladę, która należała do ulubionych utworów Serae, Bricen – z takim samym legendarnym entuzjazmem, jakim wykazywał się na polowaniu – klaskaniem i pokrzykiwaniem zaczął wyrażać swoją aprobatę, wywołując jeszcze większy aplauz gości. Tris jednak miał wrażenie, że matka była czymś zaprzątnięta i odliczała czas do chwili, kiedy będzie mogła się udać do swoich prywatnych komnat. To było dziwne, jego matka bowiem – choć nie tak żywiołowa jak Bricen – słynęła z tego, że była uprzejmą gospodynią i miała słabość do ballad Carroway’a.

Gdy dzwony na wieży wybiły północ, otworzyły się zewnętrzne podwoje prowadzące do sali biesiadnej. W drzwiach stanęła postać w czarnej szacie z przepastnym kapturem

przysłaniającym twarz, trzymająca w rękach lśniący puchar. Postać skłoniła się bez słowa przed Bricenem, a ten wstał, odgrywając swoją rolę w tym przedstawieniu.

– Witaj, Duchu Babki – przemówił król. – Jesteśmy gotowi do marszu.

Zza postaci w szacie Staruchy wychynęło trzech przebranych aktorów; każdy miał na sobie kolejny wizerunek Bogini o czterech obliczach: Matki, Dziecięcia i Kochanki. Cztery twarze jednej bogini, cztery aspekty Światła jednego bóstwa. Król podał ramię Serae i razem poprowadzili procesję ku czekającym aktorom; stoły pustoszały, gdy Pozostali goście ruszyli za nimi. Tris zobaczył, że Soterius przyciągnął spojrzenie Carroway'a i zrobił delikatny ruch ręką, a minstrel skinął potakująco głową. Wkrótce procesja opuściła salę biesiadną.

Tris zaciągnął Soteriusa w boczny korytarz, pozwalając, by wyminęli ich rozbawieni biesiadnicy. Carroway pojawił się tam kilka minut później.

– Co się dzieje? – spytał bard, kiedy przeszli ostatni goście. Trzej przyjaciele weszli głębiej w mrok, a Tris wyrżał zaniepokojony na oświetlony pochodniami główny korytarz. żeby upewnić się, że są sami,

– Ojciec i reszta rodziny rozstanie się z gośćmi przy głównej bramie – syknął. – Jest już późno, więc wszyscy powinni się udać do łóżek. Jak się uspokoi, możemy iść do wieży i stamtąd zacząć opuszczać się w dół.

Soterius spojrzał na niego krzywo.

– Wyjaśnijmy sobie kwestię królewskiej prerogatywy – zaprotestował. – Tris ma durny pomysł, przez który zostaniemy spaleni na popiół albo zamienieni w żaby – narzekał z rezygnacją, podczas gdy Tris wyjaśniał Carroway'owi, co mają zamiar zrobić tej nocy.

– Ja się na to piszę – stwierdził minstrel, gdy Tris skończył. – My, bardowie, mamy pozytywny stosunek do magii – oświadczył z udawanym zadufaniem, mającym rozdrażnić Soteriusa. I rzeczywiście gwardzista się nachmurzył. – W przeciwieństwie do tych wojskowych

typków, które wierzą tylko w to, co zobaczą. Możesz na mnie liczyć.

– To, co widzę, wystarczająco mnie martwi – rzucił gderliwie Soterius. – Zaczekajcie tu.

Przyniosę ekwipunek.

Rozdział drugi

Soterius przyniósł ze swoich komnat dużą torbę i cała trójka ruszyła korytarzami

Shekerishet. W tych wczesnych godzinach porannych nocna zabawa na zamku dobiegała końca.

Jedynie kilku przebranych w kostiumy, ociągających się z odejściem gości przemykało po dziedzińcach, gdy Tris i jego przyjaciele wspinali się po schodach do położonych wyżej komnat.

Zmierzali do części zamku leżącej nad salami audiencyjnymi króla. Tris starał się z całych sił odegnać wcześniejsze złe przecucia. Mimo ostrzeżeń ducha i zjawy jego babki nie pojawiło

się żadne zagrożenie. W innych okolicznościach dzisiejsza przygoda mogłaby nawet być zabawna, nawiązywała bowiem do wspólnych eskapad z młodzieńczych czasów. Byli wówczas

żywołowymi chłopcami, osobistym przekleństwem Zachara, jak lubił im powtarzać seneszał.

To, że Tris był drugim synem króla, nie chroniło go wcale przed zruganiem, jeśli przesadził z wygłupami.

– Jesteś małomówny – stwierdził Soterius.

Tris wzruszył ramionami.

– Może mam już dość zabawy. To był długi tydzień.

– Carroway – zwrócił się do barda – czy widziałeś jakieś pałacowe duchy od czasu spotkania z tą wróżbitką?

Carroway potrząsnął głową.

– Właściwie to nie. To dziwne, zwłaszcza w czasie Nawiedzin. Widziałem mnóstwo ludzi przebranych za duchy, ale nigdzie nie było widać prawdziwych duchów.

Tris pokiwał głową, zaniepokojony.

– Coś jest nie tak. Czy widzieliście, w jaki sposób znikła ta wróżbitka, jakby została odciągnięta? I gdzie jest reszta duchów? W czasie święta zawsze jest tyle samo duchów co śmiertelników. Pałacowe duchy są zawsze bardziej widoczne w czasie Nawiedzin.

– Stąd ta nazwa, no nie? – zażartował Carroway. – Przyznaję, że to dziwne. – Wzruszył ramionami. – Może zabawiają gości na dziedzińcu. Albo może nawet one za mocno świętowały i wróciły tam, gdzie duchy udają się na spoczynek.

– Może – odpowiedział bez przekonania Tris.

To otrzeźwiło Carroway’a.

– To nie jedyna rzecz, która dała ci do myślenia, że dzieje się coś złego? – spytał i spojrzał znacząco na Trisa.

Tris zawsze umniejszał swój magiczny talent przed Soteriusem, za to Carroway był chętnym pomocnikiem, kiedy Bava K’aa prosiła chłopców o udział w pomniejszych czarach. Carroway spokojnie przyjmował dziwną zdolność Trisa do rozmawiania z duchami o każdej porze roku – nie tylko w czasie Nawiedzin – i wykorzystywał w niektórych swoich najlepszych opowieściach i pieśniach historie opowiadane przez dawno zmarłych dworzan.

Tris nauczył się wcześniej ukrywać swój talent prawie przed wszystkimi, choć Kait i Bava K’aa po cichu zachęcały go do korzystania z niego. Instynktownie czuł, że Jared nie powinien podejrzewać, iż jest obdarzony jakimś magicznym talentem. Cieszył się, że pałacowi dowcipnisie nie mieli kolejnego tematu do rozmów.

– Pospieszcie się! – wyszeptał Soterius, przytrzymując otwarte drzwi. Weszli za nim do ciemnego pomieszczenia. Carroway zapalił pochodnię.

– Jaki jest plan? – spytał Tris.

Soterius wyszczerzył zęby w uśmiechu, rozpakowując torbę. Na podłogę wypadły dwa duże i ciężkie zwoje sznura. Gdy Soterius je rozłożył, Tris zobaczył dwie uprząże do wspinaczki

składające się ze skórzanych pasków i klamerek. Soterius wcisnął się w jedną z uprząży i podał drugą przyjacielowi.

– Pomóżcie mi z tym, dobra? – syknął.

– I co teraz? – spytał sceptycznie Carroway. – Ludzie nie chodzą po ścianach jak muchy.

– Na ziemiach mojego ojca wszyscy schodzą po takich ścianach jak ta – stwierdził

Soterius.

– Wszyscy? – zażartował Tris.

– No cóż, głównie ludzie gór, ale u nas jest wielu górali i dużo górskich zboczy, więc rzeczywiście wszyscy! – odparł Soterius. – Pomóżcie mi to przymocować, zanim nas złapią.

Jeśli Zachar ma znowu zmyć mi głowę, to przynajmniej chcę na to zasłużyć!

– Masz naprawdę dziwne hobby – wymruczał Carroway, zawiązując mocno sznur wokół haka.

– Uznam to za komplement, padł bowiem z ust człowieka, który zarabia na życie puszczeniem dymnych duchów – odparował Soterius. Kiedy już zapiął swoją uprząż, zajął się Trisem, ponownie sprawdzając mocne skórzane rzemienie i klamry. Kiedy obydwaj mężczyźni byli usatysfakcjonowani stanem swojego sprzętu do wspinaczki, przywiązali sznury do żelaznych pierścieni osadzonych głęboko w kamiennych ścianach. Soterius otworzył okno i wyjrzał. Później usiadł na szerokim kamiennym parapecie i przerzucił nogi na zewnątrz, a potem spojrział cztery piętra w dół na kamienne płyty. Byli w najwyższej części pałacu Shekerishet.

Najstarsze partie Shekerishet zostały wyciosane w ścianie góry niemal pięćset lat temu.

Wykonany z tego samego szarego granitu co strome zbocza, stary pałac był kwadratową, pozbawioną ozdób i groźnie wyglądającą fortecą, ze szczelinami strzelniczymi i blankami. Od pokoleń królowie Margolanu rozbudowywali stary zamek, dodając całe skrzydła i nowe wieże, tak że teraz Shekerishet rozciągał się u podnóża stromych górskich grani, rzucając ponury cień

na miasto i leżące poniżej gospodarstwa.

Soterius poklepał z uśmiechem parapet, żeby Tris do niego dołączył. Kiedy ten spojrzał w dół na dziedziniec, przez chwilę walczył z zawrotami głowy.

– W porządku, zaczynamy. – Soterius odepchnął się od parapetu i przez moment kręcił się w miejscu, aż ustawił się tyłem do dziedzińca i oparł stopy o kamienną ścianę.

– Powinniśmy namalować ci na plecach tarczę strzelniczą, żeby ułatwić sprawę łucznikom – syknął Carroway.

– Zabawne – wymruczał Soterius. – Miej pod ręką tę swoją flagę, Tris, na wypadek, gdyby ktoś wpadł na jakiś głupi pomysł.

Tris poklepał kieszeń z ukrytym w niej proporcem drugiego syna, który miał go identyfikować w czasie bitwy. Dzisiejszej nocy, gdyby strażnik ich zauważył, rozwinięty proporzec, aby łucznik wstrzymał się ze strzałem, dopóki Tris nie zostanie rozpoznany.

– W porządku, Tris. Twoja kolej.

Młodzieniec przełknął z trudem ślinę i zaczął opuszczać się z krawędzi parapetu.

– Właśnie sobie przypomniałem, jak bardzo nie znoszę wysokości. – Wciągnął gwałtownie powietrze, gdy przez chwilę wirował w chłodnym jesiennym powietrzu, walcząc z pragnieniem zamknięcia oczu. Świadom tego, że przyjaciele mu się przypatrują, Tris pokiwał głową na znak, że jest gotowy.

Soterius powoli schodził w dół po gładkiej kamiennej ścianie zamku. Tris podążył jego śladami, starając się nie szarpać co i raz sznura dla dodania sobie otuchy. Choć często przy ładnej pogodzie uprawiali razem z Soteriusem wspinaczkę na urwiskach wokół Shekerishet, Tris nie wspinał się, odkąd skończyło się lato, i czuł tę przerwę w swoich obolałych mięśniach. Było zimniej, niż się spodziewał, i chłód szczypał go w twarz. Zerknął na Soteriusa, lecz gwardzista wyszczerzył tylko zęby w uśmiechu, gdy wiatr zwiął mu ciemne włosy na oczy. Gdyby król

wyjrzał teraz z okna, musieliby się gęsto tłumaczyć, ale na tym właśnie polegało piękno Nawiedzin. Prawie wszystko można było wybaczyć, składając to na karb nocnej zabawy. Tris zmarszczył brwi, kiedy zbliżył się do okien na drugim piętrze. W jednym z nich widać było dziwną czerwoną poświatę, która nie przypominała blasku ognia w kominku. To światło wylewało się z komnat Foorą Arontali, pulsując w rytmie uderzeń serca. Ignorując zaniepokojone spojrzenie Soteriusa, Tris przesunął się w stronę okna. Poczł znajome, oznaczające bliskość magii, mrowienie na granicy postrzegania. Ale magia, którą wyczuwał, była inna niż moc jego babki. Nawet będąc w odległości ramienia od okna, czuł aurę grozy, która niemal go odpychała. Posuwał się dalej, choć atmosfera zagrożenia była prawie namacalna, i mimo iż nie spowalniała go żadna fizyczna bariera, im bardziej zbliżał się do celu, tym bardziej miał wrażenie, że brodzi w głębokiej lodowatej wodzie. Zmuszając się do pokonania strachu, Tris pochylił się, żeby zajrzeć przez okno. W komnacie panowały ciemności, lecz żar w kominku dawał dość światła, by mógł rozpoznać wyposażenie pracowni czarodzieja. Kielichy i rytualne sztylety, plecionki z różnych sznurków, misa do wywoływania wizji, karteczki i kości – używane przy wróżbach – oraz pęki suszonych ziół, które walczyły o miejsce z fiołkami proszków i mikstur. Jednak tylko jedna rzecz w komnacie czarodzieja przyciągnęła uwagę Trisa, paraliżując go, jakby wiedziała, że on się tam znajduje. Na postumencie w rogu pokoju stała kryształowa kula wielkości ludzkiej głowy, z której wylewał się pulsujący blask koloru krwi. Kiedy Tris się jej przyglądał, światło jakby się skupiło i mógłby przysiąc, że przez chwilę kierowało się w jego stronę niczym krwawe oko, świadome jego obecności. Trisowi serce podeszło do gardła i nagle nie był pewien, czy zdoła się oderwać od tego widoku.

– Straciłeś rozum? – Soterius syknął tak, że Tris aż podskoczył.

– Nie czujesz tego? – wyszeptał, odsuwając się od okna.

Soterius obrzucił go sceptycznym spojrzeniem.

– Czuję, że mi tyłek zamarza, jeśli o to ci chodzi.

Nagle usłyszeli gniewne męskie głosy dobiegające zza drzwi do komnaty czarodzieja.

Cofnęli się i przyłgnęli do ściany, gdy głosy się zbliżyły i światło pochodni zapłonęło w pomieszczeniu. To Jared i król, pomyślał Tris i serce mu zamarło. Tym razem, niezależnie od tematu ich kłótni, była ona bardziej zażarta. Bricen dostał niemal apopleksji z wściekłości, ale Tris nie był w stanie uchwycić słów z powodu zgiełku zabawy odbywającej się w mieście.

Przysunął się bliżej, żeby zajrzeć do komnaty, i aż zatkało go z przerażenia.

To magiczne światło, a nie blask pochodni, oświetlało pokój. Coś było nie w porządku, straszliwie nie w porządku. Ręce Arontali jarzyły się niebieskim magicznym światłem, przyszpilając króla do chropowatej kamiennej ściany. Choć Tris nie słyszał słów, wyraz twarzy króla Bricena nie pozostawiał żadnych wątpliwości, podobnie jak złowrogi grymas, który wykrzywił twarz Jareda, gdy następca tronu podszedł do ojca z uniesionym w górę sztyletem.

Przerażony Soterius zaczął szarpać za linę jak nowicjusz na pierwszej wspinaczce, dając znak Carroway'owi, żeby ich podciągnął. Trisowi serce podeszło do gardła, gdy Jared wbił sztylet głęboko w pierś Bricena. Właśnie szykował się do rozbicia kopniakiem szyby, gdy Soterius wpadł na niego i Tris wyrznął o ścianę z takim impetem, że stracił oddech.

– Oszalałeś? – syknął Soterius. – Nie masz szans. Musimy sprowadzić strażę –

argumentował, walcząc z całych sił z szamoczącym się Trisem. W tym momencie Carroway zareagował na jego sygnał i zaczął wciągać ich w górę. Tris już na tyle odzyskał rozsądek, że na ostatnim odcinku zaczął się sam wspinać, i dysząc z przerażenia, dał nura w okno, zamiast się nie wczłgać.

– Wyglądacie, jakbyście zobaczyli samą Mścicielkę! – powiedział Carroway, pomagając Soteriusowi wstać.

– Król! – wyjąkał Soterius, zdrętwiały ze strachu i zimna. – Zabili króla!

– To nie jest zabawne – rzekł Carroway, wyglądając raz jeszcze przez okno, aby się upewnić, że nie zwrócili na siebie uwagi straży. Zamilkł jednak i zbladł, spojrzawszy na Trisa.

– To prawda – wydyszał Tris. Serce waliło mu tak mocno, że ledwie mógł mówić. –

Widziałem, jak Jared...

– Nie mogliście zbyt wiele widzieć. – Carroway zerknął niepewnie na Soteriusa. – Nie byliście tam w dole wystarczająco długo.

Soterius zaczął się wyplątywać z upręży do wspinaczki tak szybko, jak mu na to pozwalały zziębnięte ręce.

– Był tam król i Jared – powtórzył gwardzista, jakby przemawiał do opóźnionego w rozwoju dziecka. – I Arontala. Niebieskie światło przyspiliło króla do ściany. A potem zbliżył się Jared i, na Boginię, raz po raz dźgał króla Bricena sztyletem – powiedział, zamykając oczy, by uciec od tego wspomnienia.

Tris wyminął go i ruszył ku drzwiom prowadzącym do schodów dla służby.

– Muszę ostrzec matkę i Kait.

– Tris! – zawołał Soterius, chwytając go za ramię. – Skoro Jared zabił króla, to ciebie też będzie chciał zabić. Musimy cię stąd zabrać – stwierdził z wojskowym opanowaniem. – Teraz, kiedy Bricen nie żyje, ważą się losy korony. Jared będzie chciał usunąć wszelkie przeszkody.

Musimy zapewnić ci bezpieczeństwo.

– Nie bez Kait i matki – warknął Tris, gdy szok zmienił się w gniew. Wyrwał się przyjacielowi i otworzył drzwi wiodące do tylnych schodów.

– W porządku, ale my też idziemy – powiedział Soterius i rzucił linę Carroway’owi. –

Trzymaj. Ponieś to. Ja mam miecz, a ty nie. – Zaryglował drzwi do pomieszczenia i dobył miecza. – To ich przynajmniej trochę zatrzyma, kiedy przyjdą nas szukać.

Ku jego zdziwieniu bard także wyciągnął mały sztylet z fałd swojej tuniki.

– Myślałeś, że służy tylko do opowiadania historyjek? – spytał. – Niektórzy twoi kompani z wojska lubią od czasu do czasu poturbować barda.

Soterius wyminął Trisa i poprowadził ich w dół schodami. Na dole otworzył niezamknięte na klucz drzwi. Komnata sypialna była wywrócona do góry nogami.

Królowa Serae leżała koło drzwi, a jej odświętna suknia splamiona była krwią.

– Matko! – zawołał Tris, czując wzbierającą panikę, gdy przecisnął się obok Soteriusa i wpadł do komnaty.

– Najjaśniejsza Bogini – wyszeptał Carroway. – Jared zorganizował przewrót!

Proszę, proszę nie, Tris błagał Boginię, przypadając do Serae. Jej ciało było jeszcze ciepłe, gdy zdusiwszy krzyk, obrócił matkę na plecy, by spojrzeć jej w twarz. Kiedy jej głowa opadła bezwładnie na ramię Trisa, zobaczył wystający z piersi kobiety sztylet, który zakończył jej życie. Ścisnęło go w gardle i łzy stanęły mu w oczach, kiedy na próżno nasłuchiwał bicia jej serca. Nie żyła.

Szloch wydarł mu się z gardła, gdy tak tulił Serae, zaciskając powieki, a nie dające się powstrzymać łzy płynęły mu po twarzy. Wreszcie położył ciało Serae delikatnie na podłodze, zamknął jej niewidzące oczy i wyszeptał modlitwę do Pani.

Nagły jęk przestraszył Trisa i spowodował, że Soterius błyskawicznie obrócił się z dobytym mieczem. Ukryta niemal całkowicie wśród szczątków przewróconego łoża leżała Kait.

Tris i Carroway podbiegli do niej, odsuwając z drogi połamany mebel oraz ciało zabitego strażnika i uwolnili ją z płątaniny koców. Kait leżała blada i nieruchoma, a jej zakrwawiona tunika była dla Trisa ostrzeżeniem, by nie liczył na zbyt wiele.

– Słyszysz mnie, Kait? – wyszeptał, biorąc ją w ramiona i przytulając do swojej splamionej już krwią Serae tuniki. *Mroczna Pani, proszę*, błagał w duchu. *Nie one obydwie. Proszę,*

oszczędź ją.

– Co się stało? – spytał cicho, gdy grymas bólu wykrzywił twarz Kait. Jej usta były sine, a oddech szybki i płytki. Krew siostry przesączała się między jego palcami, gdy próbował uciskać głębokie cięcie na jej brzuchu. Jedyne najbardziej doświadczony bitewny uzdrowiciel poradziłby sobie z tak rozległymi obrażeniami, a takiego nie mieli pod ręką.

Kait otworzyła oczy i uśmiechnęła się słabo.

– Wiedziałaś, że przyjdiesz, Tris. Czy ty też nie żyjesz?

Tris zdławił szloch, nie wstydząc się łez płynących mu po twarzy. Potrząsając głową, próbował przemówić.

– Nie, Kaity – wychrypiał wreszcie. – A przynajmniej jeszcze nie. Ty też nie.

– Już wkrótce. Widziałam Boginię. Czeka.

– Kto to zrobił? – spytał łagodnie Tris, chwytając ją za rękę, jakby chciał przyciągnąć jej ducha.

Kait zakaszłała i krew splamiła jej wargi.

– Ludzie Jareda – wyszeptała. – Czekali na nas. Próbowałam chronić matkę. Byłbyś ze mnie dumny.

– Jestem dumny – wyszeptał Tris, starając się powstrzymać łzy.

– Powinieneś być mnie widzieć, starszy braciszku. Myślę, że załatwiłam jednego.

Tris spojrział na ciało strażnika.

– Załatwiłaś, Kaity. Załatwiłaś.

– Muszę już iść.

– Kaity, zostań ze mną!

Jej oczy rozwarły się szerzej.

– Tris... Też tu jesteś. Tak jak babcia. – Rozkaszała się mocniej i Tris pomyślał, że już

umarła. – Zostanę, jeśli będziesz tego chciał – wyszeptwała, a jej oczy się zamknęły. – Złapię cię tylko za rękę po tej stronie.

Ten obraz Kait trzymającej go za rękę płonął jasno w umyśle Trisa, gdy przyciskał ją do siebie. Całym sobą pragnął, aby tak było. Kiedy jednak walczył, aby zatrzymać jej ulatującego ducha, coś innego, coś silniejszego starało się ją odciągnąć. Kait zadygotała w jego ramionach i zwiotczała. Tris oparł głowę o jej ramię i zapłakał, kołysząc i tuląc pozbawione życia ciało siostry.

Tris, musisz uciekać, odezwał się w jego umyśle głos Kait dobiegający z oddali. Tris podniósł wzrok i zmarszczył brwi. Kait stała przed nim, prawdziwa, choć niematerialna, jarząc się delikatną poświatą jak pałacowe duchy.

– Kaity? – wychrypiał zboliałym głosem.

Duch zadrżał.

– Udało ci się, Tris. Zatrzymałeś mnie tutaj. Masz moc babki – powiedziała Kait. Jej obraz znowu zadrżał, omal nie gasnąc, a na jej twarzy odmalował się lęk, gdy jej ducha zaczęło coś przyciągać niczym dym zasysany do komina. – Rzucono zaklęcie na pałacowe duchy. Arontala... Pomóż mi, Tris – błagała, gdy jej duch zniknął.

Kiedy Carroway gwałtownie wciągnął powietrze, Tris uświadomił sobie, że zjawą była widoczna także dla pozostałych. Soterius wyglądał na wstrząśniętego, nigdy bowiem nie widział, jak Tris posługuje się magią. Carroway wpatrywał się w puste miejsce, gdzie przed chwilą stał duch Kait, a jego pobladła twarz świadczyła o tym, że nie spodziewał się po Trisie tak potężnej magii. Tris delikatnie złożył ciało Kait wśród koców i przykrył ją prześcieradłem.

– Wynośmy się stąd, zanim do niej dołączymy – rzekł łagodnie minstrel.

Tris czuł, jak żal i szok przepływają przez jego ciało, napełniając je wściekłością.

– Niech piekło pochłonie Jareda! – zakrzyknął, podnosząc się chwiejnie na nogi. Z

mieczem w dłoni rzucił się ku drzwiom wiodącym na korytarz. Soterius zablokował mu przejście.

– Puść mnie! – wycedził Tris. – Niech to szlag, przepuść mnie! – Krew dudniła mu w uszach, gdy próbował mieczem wyrąbać sobie przejście; Soterius sparował jednak jego cios i zmusił go do cofnięcia się od drzwi. Carroway złapał go od tyłu i pociągnął na ziemię, próbując wyrwać mu miecz. Tris machał po omacku wolną ręką, oślepiony przez łzy, z trudem łapiąc powietrze.

Szybkim machnięciem miecza Soterius sprawił, że klinga Trisa znalazła się poza jego zasięgiem, i rzucił się, żeby przygwoździć go do podłogi.

– Nie zbliżysz się nawet do Jareda, ten jego mag rozkwasi cię jak żabę – warknął. – Nie pomożesz swojej matce ani Kait. Ale możesz ocalić Margolan, uciekając stąd i wracając na czele własnej armii.

– Możemy to zrobić szybko? – syknął Carroway, który tymczasem zajął miejsce przy drzwiach. Dysząc ciężko, Tris przymknął oczy i skapitulował.

– W dół tylnymi schodami – zarządził Soterius, puścił Trisa i rzucił mu miecz, który ten upuścił. – Wychodzą na kwatery służby. Pobiegnijmy do stajni. Ruszajcie.

Zbiegli w dół po wąskich schodach i wpadli z dobytymi mieczami do kuchni. Przestraszyli pomywaczki, które wrzasnęły i uciekły z pomieszczenia. Tris usłyszał dobiegający z korytarza na zewnątrz tupot wojskowych butów i zaraz potem szcęk stali. Drzwi do sali biesiadnej otworzyły się z hukiem i do środka wpadło trzech żołnierzy w królewskich barwach, goniących dwóch mężczyzn, którzy toczyli desperacką walkę o życie. Tris i pozostali ukryli się z boku kominka – to starcie odcięło ich jedyną drogę ucieczki. Tris widział walczących tylko przelotnie, lecz rozpoznał w przysadzistym mężczyźnie z wydatnym torsem, długą ciemną brodą i oliwkową cerą Harrtucka, osobistego strażnika króla, który często strzegł Bricena.

– Nie oddam tego pałacu bez walki! – krzyknął Harrtuck, wykonując uniki i parady. Jego towarzysz pchnął mieczem i trafił przeciwnika. Tris i Soterius wymienili spojrzenia, po czym z okrzykiem rzucili się do walki u boku Harrtucka, spychając do tyłu zaskoczonych napastników.

– Miło was widzieć – wydyszał Harrtuck, wykorzystując tę nagłą przewagę.

– Uważaj! – krzyknął Carroway i Tris się obrócił z mieczem w gotowości, w samą porę, żeby zobaczyć, jak jeden z gwardzistów chwyta się zaskoczony za pierś i powoli osuwa na podłogę. Powiększająca się plama czerwieni otaczała sztylet Carroway’a wbity aż po rękojeść w żebra mężczyzny. Tris rzucił się z okrzykiem na towarzysza martwego mężczyzny.

– Wkrótce będziesz martwy, tak jak król – szydził z niego ów żołnierz, zmuszając go do zrobienia kroku w tył.

Ogarnięty żalem i gniewem Tris natarł z całych sił, trzymając miecz oburącz. Zdrajca cofnął się, zaskoczony tym wściekłym atakiem. Zaraz jednak znowu uderzył z morderczym błyskiem w oku, gdy trzech kolejnych gwardzistów wpadło do sali, by do niego dołączyć. Kątem oka Tris dostrzegł, jak Carroway chwyta stojak na pochodnie niczym kij, żeby odeprzeć natarcie jednego z napastników. Soterius i Harrtuck skupili się na dwóch pozostałych nowo przybyłych, pozostawiając Trisa, który krążył wokół uśmiechającego się gwardzisty w zabójczym szermierczym tańcu.

Nagle w kominku eksplodowało czerwone światło i Tris rzucił się do przodu, rozpoznając jedną z salonowych sztuczek Carroway’a. Sztuczka na tyle odwróciła uwagę żołnierza, że Tris zdołał się przedostać przez jego obronę i wbić ostrze. Gwardzista poleciał do przodu, o mało co nie wytrącając mu miecza z dłoni. Błysk stali w blasku ognia był jedynym ostrzeżeniem dla Trisa, że kolejny przeciwnik rzucił się na niego ze sztyletem w jednej dłoni i mieczem w drugiej. Tris sparował cios miecza, ale gwardzista zdołał wbić mu sztylet w bok. Tris zatoczył się i w tym momencie zobaczył, jak gwardzista wygina się w łuk i sztywnieje, po czym osuwa się na

kolana, rękoma sięgając za plecy, w których tkwił nóż, a Carroway stoi z ponurą satysfakcją nad umierającym zdrajcą.

Tris przycisnął zraniony bok dwoma rękoma, a Carroway i Soterius popędzili ku niemu.

Harrtuck rozprawił się szybko z pozostałymi napastnikami. Jego sprzymierzeniec leżał martwy na podłodze. Carroway przetoczył stopą napastnika, który zranił Trisa, i pochylił się nad nim, żeby wyciągnąć sztylet, a potem ukląkł i dwoma szybkimi ruchami wytarł nóż o tunikę martwego mężczyzny.

– Pojawia się kolejni żołnierze – ostrzegł ich Soterius.

– Zabili króla, księżę Martrisie – wydyszał Harrtuck. – Żaden z nas nie zdołał go uratować.

Musisz uciekać!

Tris wciągnął gwałtownie powietrze, gdy Carroway próbował go podnieść do pozycji siedzącej. Potem Soterius przyklęknął obok Trisa i zbadał jego ranę. Z wyrazu twarzy doświadczonego szermierza Tris wywnioskował, iż rana jest paskudna.

– Musimy zaprowadzić cię do uzdrowiciela – rzucił krótko Soterius i skinął na Carroway'a, żeby mu pomógł podnieść Trisa na nogi.

– Tak, ale najpierw musimy wyprowadzić was z Shekerishet – stwierdził Harrtuck.

Jakby na sygnał doszły ich odgłosy kroków na tylnych schodach. Harrtuck dał znak Carroway'owi, żeby osłaniał Trisa, podczas gdy on sam i Soterius zajmą się nowo przybyłymi.

W sali pojawił się krzepki gwardzista w królewskich barwach, wraz z dwoma innymi żołnierzami. Harrtuck czekał w milczeniu, aż cała trójka znalazła się w jego zasięgu.

– Teraz! – krzyknął osobisty strażnik króla i rzucił się do przodu, trzymając nisko miecz, którym przebił gwardzistę. W powietrzu dał się słyszeć świst, a potem głucho łupnięcie, i stojący na czele gwardzista poleciał do przodu, obejmując rękoma sztylet Carroway'a, podczas gdy miecz Soteriusa wychynął z mroku, zgrabnie przerabując trzeciego mężczyznę od barku aż do

biodra.

– Dalej! – krzyknął Soterius i ruszył biegiem w stronę Trisa i Carroway’a, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby zabrać sztylet. Ranny Tris czuł, jak krew dudni mu w uszach, a nogi robią się miękkie w kolanach.

– Nie uda nam się tak łatwo stąd wydostać – syknął Carroway, gdy ruszyli ku drzwiom.

– Masz jakieś lepsze pomysły? – warknął Soterius.

– Właściwie to tak – odparował minstrel. – Tędy.

Carroway raczej pociągnął niż poprowadził Trisa i pozostałych do składziku pod tylnymi schodami. Wszędzie walały się tutaj płaszcze i tuniki, maski oraz kostiumy z nocnej zabawy.

– Masz, zobacz, czy pasuje – powiedział, podnosząc z podłogi czarną tunikę, pelerynę oraz maskę, i wcisnął je Soteriusowi.

– Chyba oszalałeś – odparł z niedowierzaniem szermierz. – Uciekamy, żeby ocalić życie, a ty chcesz...

– Po prostu zrób to – warknął Carroway, wybierając z tej plątaniny kolejne stroje i rzucając je Trisowi i Harrtuckowi.

– Co, na Siedem Królestw... – mruknął Harrtuck.

– Tutaj przebierają się artyści przed wyjściem na ucztę – wyjaśnił jednym tchem

Carroway, zrzucając płaszcz i ściągając przez głowę tunikę. – Wrócą jutro rano, żeby zabrać swoje rzeczy, ale dziś w nocy nie przejmowali się bałaganem, było zbyt wiele do roboty. Dzięki niech będą Bogini.

Gdy Carroway podszedł do niego z peleryną w dłoni, Tris poczuł, jak krew uderza mu do głowy, i nogi się pod nim ugięły. Gdy osuwał się na podłogę, usłyszał jeszcze zaniepokojone okrzyki swoich towarzyszy, a potem w pomieszczeniu zapadła ciemność.

Tris ocknął się i spojrzał w gwiazdy. Chłodne jesienne powietrze szczypało go w twarz,

wokół niego tłoczyli się ludzie śmierdzący piwem i potem, a ich hałaśliwe piosenki zagłuszały cichsze pieśni kapłanek.

Spróbował usiąść, lecz poczuł przyciskającą go dłoń.

– Leż spokojnie – syknął Soterius. – Idziemy w procesji ku bramie miejskiej.

Tris bał się, że znowu zemdleje z bólu promieniującego z boku, ale zacisnął zęby i zwalczył napływającą ciemność. Szara szata z przepastnym kapturem okrywała jego ciało i twarz. Dłonie miał pokryte czarną farbą. Kosmyk włosów, który wysunął się spod kaptura, miał inną barwę niż jego rzucający się w oczy sięgający do ramion jasno-blond kucyk.

– Spokojnie – ostrzegł go Soterius. – Carroway sprokurował przebranie. W twoim przypadku zrobiliśmy wszystko, co się dało, biorąc pod uwagę okoliczności – rzucił przepraszająco.

Tris zdał sobie sprawę, że leży na marach jako jedna z wielu figur zmarłych niesionych w czasie uroczystości do rzeki, której wody uniosą ku morzu tę długą procesję postaci, darów i kwiatów. Do składanych ofiar dołączano prośby o pomoc skierowane do Bogini lub zmarłych bliskich, modlitwy o wstawiennictwo albo naprawienie jakiejś niesprawiedliwości lub płynące z serca wyrazy tęsknoty za tymi, którzy spoczywali na łonie Pani. Jednak mimo tej poważnej strony owego święta Nawiedziny były także nocą zabawy w mieście i ten rok nie był wyjątkiem, niezależnie od tego, co się wydarzyło na zamku. Chorągwie wisały w każdym oknie, łopocząc na zimnym nocnym wietrze. Wozy ulicznych przekupniów tarasowały ulice i przebrani w kostiumy, świętujący ludzie musieli się przepychać przez zatłoczone przejścia. Wszędzie pachniało kielbaskami i piwem, świecami i kadzidłem. Gdzieś w otoczonym murem mieście rozzwoniły się dzwony, Tris słyszał też żalosne zawodzenie fletów i dudnienie bębnów. Pomyślał, że jeśli dopisze im szczęście, wmieszają się w tłum i wraz z procesją dotrą do Kupieckiej Bramy. Sądząc po wesołości tłumu, wieści o zdradzie w pałacu nie dotarły jeszcze do

miasta. I być może nigdy nie dotrą.

Jared jest bowiem sprytny, tak jak i jego mag. Nikt poza Trisem, Soteriusem i garstką gwardzistów nie był świadkiem samego ataku. Jared może wymyślić historyjkę o skrytobójcach i obwinić martwych gwardzistów. Magia Arontali zapewne stworzy dowody lub też zaćmi wzrok tych, którzy mogliby zobaczyć coś innego.

Bricen był popularnym królem, gdyż nie rekwirował plonów, a jego żołnierze nie łupili lokalnych gospodarstw ani nie gwałcili córek wieśniaków. Serae zaś zaskarbiła sobie sympatię arystokracji; jej łagodny sposób bycia wyraźnie kontrastował z wybuchami złości Eldry. Dwór odwdzięczał się jej, obdarzając większym zainteresowaniem i przychylnością Trisa i Kait niż Jareda, którego ponury sposób bycia i mroczne przyzwyczajenia były przedmiotem plotek.

Mimo tego Bava K'aa powiedziała kiedyś Trisowi, że dlaospółstwa jeden król jest taki sam jak drugi, jeśli tylko podatki nie ulegają zmianie. Być może nikt nawet nie przejmie się tym, jak zginął Bricen, choć Tris był pewien, że rządy Jareda nie będą tak łagodne.

Tłum posuwał się główną ulicą miasta ku zewnętrznej bramie i leżącemu za nią cmentarzysku. W centrum tłumu znajdowały się wielkie lektyki, na których niesiono posągi czterech aspektów Bogini Światła. Dobosze walili w bębny, fleciści grali, a brzęk tamburynów przebijał się przez zgłębawiających się ludzi. Lektyki i umieszczone na nich posągi podskakiwały ponad tłumem, utrzymywane w górze przez panujący ścisk.

Kostiumy były takie same jak zwykle. Widać było „arystokratów” i krzykliwie ubrane damy, rzecznych kupców i legendarnych bohaterów oraz równie wielu ludzi przebranych za różne oblicza Pani, a także dorosłe kobiety i dzieci w białych powłóczystych szatach Dziecięcia i osoby obydwu płci w uwodzicielskim stroju Kochanki. Inni – kobiety i mężczyźni – odziani byli w dostojny strój wielkodusznej Matki. A także widma Chenne i Bogini Mścicielki w szkarłatnych szatach z ciemnym kapturem. Noc Nawiedzin była również nocą Mrocznych

Aspektów i tej nocy to mrok rządził. Wielu świętujących preferowało jednak barwne, strojne szaty dwulicowej Bogini Szczęśliwego Trafu i to oni ciskali w tłum czekoladowymi monetami i wymalowanymi kartami. Jeszcze inni paradowali po ulicach w jarmarcznym przepychu Dziwki Athiry – nie potrzebowali szczególnych umiejętności, żeby naśladować jej kołyszący się pijacki chód. Wyglądający niczym mroczne cienie w blasku pochodni i kłębiącym się dymie, odziani w szare płaszcze ludzie odgrywali rolę Istry, Demonicznej Bogini. Zgarbione postacie starych i młodych nosiły maski i poszarpane łachmany Staruchy Sinha.

Jedna bogini, osiem aspektów – cztery należące do światła i cztery mroczne. Tris zawsze podejrzewał, że aspekt, który dana osoba czciła, wiele mówił o tej osobie oraz o królestwie i tradycji, z jakiej się wywodziła. Margolan skłaniał się ku Matce, choć wielu w jego granicach czciło również aspekt Dziecięcia. Isencroft, leżący na wschodniej granicy Margolanu, oddawał cześć Chenne, wojownicze. Księstwo na północnym wschodzie, będące domem dla karawan i kompanii najemników, kupców i kuglarzy, skłaniało się ku Kochance. Wschodnia Marchia, południowy sąsiad Księstwa, czciła Dziwkę, ulubienicę hazardzistów i najemnych żołnierzy. Dhasson, na zachód od Margolanu, sprzyjał adoracji wszystkich twarzy Pani, poza Staruchą. Niechęć Dhasson do przyjęcia czcicieli Staruchy była naturalna, biorąc pod uwagę jego południowego sąsiada, Nargi, którego kapłani o wiecznie skwaszonych minach bezlitośnie wymuszali stosowanie ascetycznych doktryn Staruchy. Trevath, południowy sąsiad Margolanu i częsty rywal, podzielał nargijskie oddanie dla Staruchy, jednak w państwie znanym z kopalni i wspaniałych dywanów taki kult miał bardziej praktyczny charakter i służył umocnieniu władzy królewskiej.

Mroczna Pani była patronką vayash moru, nieumarłych, którzy pojawiali się nocą.

Niewielu śmiertelników oddawało cześć Mrocznej Pani, za to jej imię często padało w przekleństwach. Niewielu mówiło o ósmym aspekcie, mrocznym lustrzanym odbiciu Dziecięcia.

Kult Bezkształtnego ustał wiele pokoleń temu, a teraz, jeśli w ogóle wspomniano o tym najstraszniejszym aspekcie, to rozglądając się nerwowo wokół i wykonując znak ochrony przed złem. Niemal wszyscy mieszkańcy Siedmiu Królestw okazywali symboliczną cześć przynajmniej jednemu aspektowi, choć Tris słyszał, że niektórzy w tajemnicy oddawali się dawnym praktykom, wierze w duchy i moce skał i drzew, strumieni i mrocznych miejsc pod ziemią.

Mówiono, że te wierzenia były obecne w Siedmiu Królestwach tysiąc lat temu, zanim najechał je Grethor Długoręki ze wschodnich stepów. Pod jego panowaniem Margolan rozkwitł. Jego magowie byli wszechmocni, a bogactwo i potęga na tyle pociągające, że wiara w Jedną Boginię o Wielu Twarzach stopniowo wypierała stare wierzenia, choć elementy przesądów i krwawych ofiar zachowały się w okrutnym kulcie Nargi, dla którego przykrywką był kult Staruchy.

Tris przyglądał się ze swoich noszy, jak jakaś młoda dziewczyna przebrana za Boginię-Dziecię wychynęła z tłumu przy drodze i zaczęła rzucać kawałki kolorowych szmat i słomy zamiast słynnych naręczy kwiatów, którymi Bogini-Dziecię obsypywała tych, których obdarzała łaską.

Kiedy Tris ją mijał, młoda dziewczyna podniosła wzrok i ich spojrzenia się spotkały.

Jesteś wybranym przeze mnie orężem, zabrzmiał głos w umyśle Trisa, dziwnie wyraźny, dobiegający zewsząd i jednocześnie znikąd, i kiedy tak patrzył w oczy tej młodej dziewczyny, miał przez chwilę wrażenie, że rozjarzyły się na bursztynowo, a twarz należy do samej Bogini-Dziecięcia, a nie do dziecka-śmiertelnika. *Nie umieraj, dopóki cię nie wezwę. Twój czas jeszcze nie nadszedł*. Gdy tak patrzył dziewczynie w oczy, poczuł, jak rana w boku go pali, jakby przyłożono mu do poszarpanego ciała rozżarzony do czerwoności pogrzebacz. Zesztywniał i wygiął się w łuk, zagryzając wargę, żeby nie krzyknąć. Głos znikł równie nagle jak się pojawił, a

kiedy Tris się rozejrzał, dziewczyna także zginęła mu z oczu.

Wstrząśnięty, zamknął oczy. *Mam zwidy*, pomyślał, przełykając z trudem ślinę. *Niech Bogini ma mnie w swej opiece, chyba umieram.*

– Jeśli Harrtuck znalazł dla nas konie – wyszeptał Soterius – to będzie czekał z nimi w następnej uliczce.

Carroway skręcił przy mrocznym wylocie następnej uliczki i znaleźli się w wąskim, krętym zaułku, w którym ledwie zmieściłoby się dwóch jadących obok siebie jeźdźców.

Harrtuck wyszedł z mroku i przywołał ich. Carroway i Soterius podążyli za żołnierzem do miejsca, gdzie czekały niecierpliwie cztery silne konie przywiązane do chybotliwej barierki.

Harrtuck ostrożnie pomógł im postawić nosze Trisa na ziemi.

– Czy jesteś w stanie jechać, panie? – spytał, pochylając się nad Trisem.

Księżę pokiwał głową.

– Nie mam wyboru – powiedział i zaczął się podnosić, zaciskając zęby. Był zdumiony, kiedy nie poczuł bólu w boku, przyjął jednak pomoc Harrtucka przy dosiadaniu nerwowego wierzchowca. Cała czwórka ostrożnie ruszyła w stronę procesji.

– Niech piekło pochłonie Parki – syknął Soterius, gdy znaleźli się wśród pielgrzymów i świętującego tłumu.

Garstka pałacowych gwardzistów kręciła się przy bramie, z dala od swoich zwykłych pozycji. Byli pieszo, lecz mieli osiodłane konie, które czekały w pobliżu. Tris i Harrtuck wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Czy jesteśmy gotowi? – Głos Soteriusa ledwie przebił się przez panujący zgiełk.

– Będziemy musieli uciec się do podstępu, żeby się przedostać – ocenił Harrtuck. – Jeśli zostaniemy rozdzieleni kierujcie się na północny trakt.

– Na twój znak – zgodził się Tris, nie spuszczając wzroku z wartowników przy bramie.

Czekali, aż procesja rozciągnie się szeroko na zakręcie i strumień świętujących ludzi zbliży się do bramy. Byli jakieś dwieście jardów od bramy, i choć ta była otwarta, to każdy, kto przez nią wchodził lub wychodził, musiał przejść obok straży.

– Teraz! – krzyknął Soterius i popędził konia prosto ku bramie. Pozostali zrobili to samo, a znajdujący się w pobliżu ludzie zaczęli schodzić im z drogi. Brama wydawała się Trisowi oddalona o całą wieczność, gdy pochylony nisko na koniu zmusił go do galopu.

Wykorzystując zaskoczenie wartowników, Soterius i Harrtuck pierwsi rzucili się do ataku, dobywając mieczy i torując uciekinierom drogę przez bramę. Tris czuł niemal oddech wierzchowca Carroway'a za sobą, gdy ich konie pomknęły w ciemność panującą za bramą miejską. Za nimi słychać było okrzyki gwardzistów, którzy rzucili się w pościg.

– Już prawie nam się udało! – krzyknął Soterius.

Konie gnały w dół zbocza ku drodze w dole, oddalając się od miasta. Kiedy dotarli do gościńca, wokół nich zaczęła się kłębić mgła, która podniosła się z traktu.

Mgła szybko zgęstniała i sięgała już końskich uzd. W tym oparze coś zimnego i materialnego musnęło nogę Trisa. Przerazone konie zaczęły kwiczeć, szarpać się i wierzgać. W ciemnościach zabrzmiało dobiegające z lasu straszliwe zawodzenie i we mgle pojawiły się jęczące upiory z otwartymi ustami. Coraz więcej ohydneho oparu napływało ku nim z ciemnego lasu. Pasma mgły zmieniały się w chwytające macki, a kłęby oparu rozdymały się i rozciągały, formując budzące grozę twarze o pustym spojrzeniu. Cała rzesza wyjących, jęczących jak potępieńcy duchów z wyciągniętymi przed siebie zakrzywionymi niczym szpony rękoma przemknęła obok uciekinierów. Tris ścisnął kurczowo wodze, starając się zapanować nad spanikowanym wierzchowcem.

– Patrzcie! – zawołał Soterius. Tris zerknął przez ramię. Duchy zebrały się wokół gwardzistów, a kłębiąca się mgła jeszcze bardziej zgęstniała. Zawodzenie upiorów zagłuszyło

krzyki gwardzistów.

- Wynośmy się stąd! – zawołał Harrtuck, przekrzykując ten piekielny zgiełk, i pognął swego konia galopem po gościńcu. Pozostali podążyli za nim, ale dopiero milę dalej przestali słyszeć wrzaski gwardzistów i zawodzenie umarłych.
- Cóż to takiego było, do diabła? – chciał wiedzieć Soterius, kiedy wreszcie zatrzymali zdyszane konie na rozstajach.
- Odnależliśmy wreszcie pałacowe duchy – powiedział Tris, zerkając niepewnie przez ramię. Otaczająca ich noc była cicha i chłodna.
- Co pałacowe duchy robiły poza miastem? – spytał Carroway.
- Nie wiem, ale dzięki niech będą za nie Dziecięciu – wychrypiał Harrtuck.
- Pamiętacie, że przez większą część nocy nie widzieliśmy żadnych duchów? – powiedział Tris, zerkając ponownie w ciemność za plecami,
- Tak, Tris ma rację. – Soterius bacznie obserwował otaczający ich mrok. – Po spotkaniu z tą wróżbitką nie widać już było żadnych duchów, co nigdy się nie zdarza w pałacu, zwłaszcza w noc Święta Zmarłych.
- A jeśli Arontala je wygnał? – snuł domysły Tris, nie mając na razie ochoty opowiedzieć im o spotkaniu z duchem babki. – Duchy przysięgły chronić króla, prawda? Pamiętacie opowieść Carroway’a? Jeśli Arontali udało się wygnać duchy, to znaczy, że ojciec był słabiej chroniony niż zwykle – ciągnął dalej łamiącym się głosem.
- Masz rację, książę Drayke – dał się słyszeć głęboki głos dobiegający od strony rozstajnych dróg i czterej mężczyźni drgnęli zaskoczeni.

Obrócili się i zobaczyli kilka kroków od nich mężczyznę na szarym rumaku. Chociaż jego twarz była częściowo skryta w mroku, Tris rozpoznał Comara Hassada, jednego z najbardziej zaufanych zbrojnych swego ojca. Choć towarzysze Trisa nie zauważyli niczego szczególnego,

on sam zdał sobie sprawę, że ich nowy przewodnik jest duchem.

– Comarze, co się stało? – spytał, próbując uspokoić swojego spanikowanego konia.

– Nie ma czasu, książę. Jedźcie za mną, a zaprowadzę was w bezpieczne miejsce – powiedział Hassad, po czym bezgłośnie zawrócił konia i ruszył galopem leśną drogą.

Jechali jeden za drugim, Hassad na czele, potem Tris, a za nim Carroway. Harrtuck i Soterius zamykali tyły. Tris musiał wyciągać wzrok, żeby nie zgubić przewodnika z oczu w niemal całkowitych ciemnościach panujących w lesie. Tylko tętent kopyt przerywał nocną ciszę. Wreszcie blask księżyca przebił się przez przecinkę wśród drzew i ujrzeli Hassada już po drugiej stronie polany, czekającego w półmroku. Tris poczuł, jak włoski na karku stają mu dęba. Gdy wjechali ponownie w mrok lasu, zaczął wsłuchiwać się bardziej uważnie w tętent końskich kopyt. W ciszy lasu słychać było wyraźnie odgłos czterech pędzących koni, a kiedy Tris przyjrzał się ich przewodnikowi, zdał sobie sprawę, że z jego wierzchowca nie bucha para tak jak z pozostałych zdyszanych koni.

Chłód powietrza nie miał nic wspólnego z narastającym odrętwieniem, jakie książę czuł w środku, kiedy zmagał się z bólem, lękiem i żalem. Proste czynności związane z poganianiem konia pomagały mu odsunąć od siebie uczucia, które chciały go przytłoczyć.

Podążali za swoim przewodnikiem przez prawie jedną świecę, aż Shekerishet i miasto pozostały daleko w tyle, a oni niemal wydostali się z ciemnego jak smoła lasu. Wreszcie Hassad zwolnił, a potem się zatrzymał.

– Nie mogę jechać dalej, panie – rzekł mężczyzna, niemal niewidoczny w mroku. – Ale mam dla ciebie podarunek. Przyjmij go – powiedział i podał Trisowi z nabożeństwem długi, wąski, owinięty płótnem pakunek. – To jest miecz twojego ojca. Niech zaprowadzi cię z powrotem do domu, abys rządził Margolanem jako dobry i prawowity król – rzekł z powagą, gdy Tris przyjął zawiniątko.

– Już niemal wyjechaliście z lasu – ciągnął dalej Hassad, spoglądając na pozostałych. – Po drugiej stronie znajduje się mała wioska. Jest w niej gospoda, która nazywa się Oko Jagnięcia. Zatrzymajcie się w niej na noc. Będziecie bezpieczni. Ci, którzy prowadzą tę gospodę, zaopatrzą was na dalszą podróż.

– Oko Jagnięcia? – zdziwił się Harrtuck. – Kiedy ją odbudowali? Spłonęła w zeszłym roku.

– Poszukajcie schronienia w gospodzie. Tam będziecie bezpieczni – powtórzył Hassad.

Nagle z tyłu zaszeleściło listowie, gdy jakieś zwierzę przemknęło w poszukiwaniu kryjówki. Kiedy Tris się odwrócił, żeby znowu zapytać o coś przewodnika, droga przed nimi była pusta.

– Nie ma go – rzekł cicho Carroway, rozglądając się dookoła.

– Nie zniknął przecież tak po prostu – zaprotestował Soterius, ściągając wodze swojego spłoszonego wierzchowca. Kilkanaście kroków dalej zatrzymał się. – Myślę, że Powinniście to zobaczyć – powiedział i dał znak, by podjechali.

Tris, Harrtuck i Carroway zbliżyli się do niego. Na drodze leżał martwy wierzchowiec w barwach zbrojnych Margolanu, powalony przez bełt z kuszy. Jego nieszczęsny jeździec, częściowo uwięziony pod martwym zwierzęciem, leżał nieruchomo; zbroja nie ochroniła go przed strzałą, która przebiła mu pierś.

– To on, prawda? – wychrypiał Carroway. – I to nie wydarzyło się chwilę temu, co?

– No, no – mruknął Harrtuck, przyglądając się trupowi z opanowaniem zaprawionego w boju żołnierza. – Myślę, że nie żyje od kilku godzin.

– Bałem się, że to powiesz – wyszeptał Carroway.

Soterius zerknął z ukosa na barda.

– Więcej wody na młyn twoich opowieści, minstrelu. Przy tej historii słuchacze nie będą

możliwy wyjść z podziwu.

– Jeśli pożyjemy tak długo – wtrącił Tris, zerkając na otaczający ich ciemny las.

Na twarzy Carroway'a malowało się wyraźnie widoczne przerażenie.

– Te opowieści o tym, że duchy mogą stać się materialne w czasie Nawiedzin... Nigdy tak naprawdę nie sądziłem...

– Im szybciej zjedziemy z drogi, tym lepiej – przerwał mu Soterius. Wydawał się równie zaniepokojony jak pozostali, lecz jego bojowe wyszkolenie wzięło górę nad strachem. – Lepiej ruszajmy.

– Dokąd? – spytał ściszym głosem Carroway. Tris obejrzał się na minstrela i zobaczył, że twarz młodzieńca jest blada, a oczy szeroko otwarte. Wątpił, aby on sam wyglądał dużo lepiej, sądząc po tym, jak waliło mu serce.

– Do Oka Jagnięcia. – Tris wzruszył ramionami i pognął konia do cwału. – Chyba że ktoś ma jakiś lepszy pomysł.

Znaleźli się na skraju lasu na szczycie wzgórza. Widoczne w dole ogniska jarzyły się dodającym otuchy blaskiem.

Nawet ludzie na wsi świętowali Nawiedziny, choć z mniejszym zapamiętaniem niż ich pobratymcy w mieście. Co bardziej pobożni udawali się przy blasku świec na pielgrzymkę do kurhanów. W oddali Tris dostrzegł sznur piechurów zmierzających na cmentarz. Pobożni zdawali się być w mniejszości, gdyż to głównie dźwięki muzyki i odgłosy zabawy niosły się w chłodzie i ciszy nocy.

– Patrzcie, to musi być ta gospoda – powiedział Carroway, wskazując samotną budowlę, która usadowiła się przy drodze na obrzeżach wioski. Jej okna jarzyły się światłami i dym wydobywał się z komina; nawet z tej odległości Tris czuł woń pieczonego mięsiwa.

– Wygląda całkiem solidnie jak na miejsce, którego już nie ma – mruknął Soterius,

obrzucając sceptycznym spojrzeniem Harrtucka, a ten wzruszył ramionami.

– Od dawna tu nie byłem. Jeśli przynosiła karczmarzowi wystarczająco duży dochód, to pewnie ją odbudował.

– Albo to jest jedna z tych iluzji, jak w opowieściach – wyszeptał Carroway.

– Czy w tych twoich opowieściach są jakieś użyteczne wskazówki, jak odróżnić prawdę od iluzji? – wycedził Soterius.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Carroway bardziej piskliwym niż zwykle głosem.

– Próbuję być posłuszny duchowi – stwierdził oschle Tris, kierując konia w stronę schodzącej stromo w dół drogi. – jeśli Hassad nas tu posłał, to miał po temu powód. Ruszajmy.

Krzepiąco solidne drewniane drzwi uchyliły się pod dotknięciem ręki Trisa. Izba dla gości była pusta, lecz w powietrzu unosił się ciężki zapach pieczonego mięsiva pomieszany z tytoniowym dymem. Mimo polan płonących na palenisku w pomieszczeniu panował chłód.

– Strasznie tu cicho jak na świąteczną noc, co? – wymruczał Soterius, opierając rękę na głowicy miecza.

– Biorąc pod uwagę to, jak wyglądamy, może mamy szczęście – mruknął pod nosem Tris, zerkając na ich niechlujne kostiumy. Ostrożnie zbliżyli się do pustego baru i książkę uderzył pięścią w drewniany szynkwias, żeby przywołać karczmarza.

– Potrzebujemy pokoju na jedną noc – wychrypiał Harrtuck, gdy w drzwiach do kuchni pojawił się rumiany, gruby mężczyzna w ogromnym fartuchu poplamionym piwem i mięsem.

– Ach tak – rzekł beznamiętnie stojący w półmroku karczmarz i gestem zaprosił ich do wejścia. – Dwa miedziaki od osoby. Znajdźcie sobie pokój na górze.

Tris wyostrzył zmysły maga i poczuł ostrzegawcze mrowienie świadczące o obecności duchów. Uczucie to było silne i dodawało otuchy. Zmierzył wzrokiem milczącego karczmarza.

Obraz zadrgał i rozmazał się, zaś widmo kiwnęło potakująco głową. *Na moją duszę i Panią, ty i*

twoi przyjaciele jesteście tu bezpieczni dzisiejszej nocy, usłyszał Tris w swoim umyśle. Spojrzał na towarzyszy – roztrzęsionych po walce i przestraszonych odbytą jazdą – ale oni nie wyczuwali tutaj niczego nadnaturalnego. Kiedy jednak wchodzili po schodach, zauważył, że każdy z wojowników trzyma miecz na podorędziu; nawet Carroway ścisnął sztylet za pasem.

– Tu są łóżka dla czterech – powiedział Soterius, otwierając pierwsze drzwi. Kiedy weszli, na szafce nocnej płonęła już świeca. Na stole zobaczyli półmisek z kiełbaskami, serem i twardymi sucharami oraz dwa pełne dzbanki piwa z czterema kubkami.

– Tylko suszone mięso i ser – burknął Carroway opadając na krzesło. – A przecież czuję zapach gulaszu.

– Tak, ale to jednak jedzenie, a my zjechaliśmy z drogi – warknął Soterius, miotając się po pokoju jak zwierz w klatce.

Stał koło jedynego okna i patrzył na ulicę poniżej, ale tylko kilku podróżnych wędrowało po nocy.

– Niezbyt przyjazne typy, co? – wymruczał Harrtuck, gdy Carroway podsunął każdemu tacę z jedzeniem i zaczął napełniać kubki. – Z tym całym miejscem jest coś nie tak. Nie mogę się już doczekać poranka.

– Ja mam dość przygód jak na jedną noc – stwierdził Carroway, wychylając kubek piwa. – Ale Soterius ma rację. Po dzisiejszej nocy będę miał ballady, za których usłyszenie zapłacą mi złotem!

Tris pozwolił im mówić. Czuł w tym miejscu krzepiącą obecność duchów, obiecujących im czujność i opiekę. I coś jeszcze, wszechobecną magię, która otaczała ich niczym ochronny krąg. Już miał powiedzieć swoim towarzyszom, że ich gospodarz jest duchem, jednak zmienił zdanie. Zbyt wyraźnie widział zakłopotanie na twarzy Soteriusa i lęk w spojrzeniu Carroway’a, gdy rozmawiał z duchem Kait i przekonali się, co tak naprawdę oznacza jego moc. Mógłby się

założyć o własną duszę, że byli tu bardziej bezpieczni niż na trakcie, lecz nigdy nie zdoła ich przekonać, by zostali w gospodzie, jeśli im powie.

Tris postanowił zatem milczeć. Był zziębnięty i znużony po nocnej jeździe, a do tego przytłoczony tym wszystkim, co wydarzyło się tego wieczora. Król był martwy. Jego rodzina zabita. A Jared był zdrajcą. Teraz zaś on i jego przyjaciele byli zbiegami, uciekającymi, aby ocalić życie. Zmagał się z obrazami ciał Serae i Kait, mordu na Bricenie. Źródłem lodowatego odrętwienia, od którego mrowiło go w palcach i które przenikało chłodem jego ciało, była zarówno jego zboleła dusza, jak i panujący na dworze ziąb.

– Obejrzyjmy twoją ranę – przerwał jego rozmyślenia Soterius. Garnek wody gotował się już nad ogniem.

– Popatrzcie no tu! – zawołał Harrtuck. Na kominku spoczywała paczuszka ziół leczniczych i dwa flakoniki oliwy oraz stosik poszarpanego na bandażę płótna. – Wcale mi się to nie podoba – wymruczał. – Zbyt to wszystko dziwne.

Soterius przyklęknął obok Trisa i delikatnie podniósł porwaną, przesiąkniętą krwią koszulę.

– Na Dziwkę! – wyjąkał, podnosząc wzrok na przyjaciela. – Gdzie się podziała twoja rana?

Tris spojrzał w dół. W miejscu, gdzie powinna być otwarta rana, widać było nienaruszone ciało. Carroway wymienił zdumione spojrzenia z Soteriusem i Harrtuckiem.

– Zanim stwierdzę, że zwariowałem – rzekł z niedowierzaniem bard – niech mi ktoś powie, że widział w tym miejscu ranę od noża. Ban? Tov?

Soterius i Harrtuck pokiwali milcząco głowami.

– Tak, i to paskudną ranę – wymruczał Soterius.

Carroway i Harrtuck podeszli bliżej.

– Na Panią i Dziecię – zaklął Harrtuck. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem! –

zakrzyknął zaprawiony w bojach wojak.

Carroway spojrzał na Trisa, czekając na wyjaśnienie. Tris opowiedział więc, co się stało w trakcie procesji, zdając sobie sprawę, jak zwariowana była ta historia. Soterius nadal gapił się w miejsce, gdzie przedtem był rana. Tris wiedział, że jego pragmatycznemu przyjacielowi trudno jest uwierzyć w to wyjaśnienie. Harrtuck zmarszczył brwi, ze zdumieniem potrząsając głową. Carroway'owi zaś oczy się zaświeciły na myśl o prawdziwej interwencji Bogini. Tris czuł, że jedynie z szacunku dla tragedii, która rozegrała się tego wieczora, Carroway powstrzymuje się od bezlitosnego zasypania go pytaniami o to doświadczenie.

Zjedli kolację w milczeniu. Na ulicy ktoś grał na lutni i pijane głosy wznosiły się w chóralnej pieśni przy wtórze miarowych kroków. W samej gospodzie panowała cisza. Tris otulił się płaszczem.

– Zimno w tej gospodzie jak diabli – rzucił Harrtuck, pogryzając kiełbasę. – Im szybciej się stąd wyniesiemy, tym bardziej będę się cieszyć.

Wiedząc, że Soterius obejmie pierwszą wartę, Carroway i Harrtuck udali się na spoczynek; bard przysunął ławę bliżej do ognia, a Harrtuck usadowił się na krześle. Kiedy zasnęli, Tris podszedł do okna. Po raz pierwszy od tragedii wreszcie pogрузzył się w rozpacz, szlochając bezgłośnie. Potworność tego, co się stało, ostateczność straty i rosnąca świadomość grożącego mu teraz niebezpieczeństwa napływały ku niemu falami. Otrząsnął się wreszcie z żalu, otrzeźwiony zimnym podmuchem powietrza, który wpadł przez zamknięte okno, i spojrzał na jasne gwiazdy na niebie. Zaparło mu dech w piersi. Wokół księżycy w pełni płonęła słaba poświata, obwieszczająca wszem i wobec, że tej nocy umarł król. Ze wzrokiem wbitym w gwiazdy Tris przyklęknął na jedno kolano i podniósł miecz leżący na jego otwartych dłoniach.

Chenne, Mścicielko Wszelkiego Zła, wysłuchaj mnie! Na całą magię Margolanu, na dusze mojej babki i mojej rodziny, pozwól, bym stał się narzędziem twojej sprawiedliwości. Weź moje

życie, moją duszę, cokolwiek potrzebujesz, i pozwól mi naprawić krzywdy wyrządzone tej nocy.

Naraz zewsząd i znikąd dobiegł kobiecy głos, tak piękny, że przeniknął do samej duszy

Trisa, i tak potężny, że na jego dźwięk serce podeszło mu do gardła.

Przyjmuję twoją prośbę, tak jak uczyniłam z prośbą twojej babki, powiedział głos i Tris

poczuł, jak przemknął obok niego jakiś niewidzialny byt, potężniejszy niż którykolwiek z

duchów Shekerishet. A potem tak szybko, jak się pojawiło, poczucie tej obecności znikło.

– Czy dobrze się czujesz? – spytał brzmiący bardzo ludzko głos.

Tris drgnął, odwrócił się i zobaczył Soteriusa stojącego z rękoma wspartymi na biodrach.

Choć na jego twarzy malował się niepokój, to nic nie wskazywało na to, że przyjaciel usłyszał

głos, który wciąż pobrzmiwał mu w uszach, i słowa Pani. Tris opuścił miecz i bez wyjaśnienia

schował go do pochwy.

– Chcę dowiedzieć się wszystkiego, co ty i Harrtuck wiecie o wojnie – stwierdził

beznamiętnie; jego głos brzmiał czysto i mocno. – Przyjmę wszystko, czego możecie mnie

nauczyć o szermierce. – Spojrzał w oczy swojego przyjaciela i wiedział już, że Soterius

zrozumiał, jakiej zdrady się dopuszczają i jak wysoka jest stawka w tej grze. – Wiem, jakim

królem będzie Jared. Muszę go powstrzymać.

Soterius pokiwał głową z powagą.

– Przypuszczałem, że dojdiesz do takiego wniosku – powiedział i ku zdumieniu Trisa

przyklęknął na jedno kolano, składając mu hołd. – Tak jak służyłem twemu ojcu, będę teraz

służyć tobie. – Głos przyjaciela drżał z emocji.

– Na Panią – przysiągł – pomogę ci zasiąść na tronie Margolanu, mój panie. – Kiedy

podniósł wzrok na Trisa, w jego oczach błyszczały łzy. – Nie mogę pozwolić, aby ten potwór

rządził krajem.

Oszołomiony Tris odzyskał głos dopiero po chwili.

– Dziękuję – wykrztusił, prosząc przyjaciela, by powstał z kolan. Przeszedł go dreszcz, gdy podmuch chłodnego nocnego wiatru wpadł przez pęknięte okno. – Zanim jednak zrobimy to wszystko – powiedział – może lepiej trochę się prześpimy, w przeciwnym razie nocne powietrze dokończy dzieła, którego – jak na razie – nie udało się dokonać Jaredowi.

Tris zdjął buty i całkowicie ubrany wyciągnął się na łóżku, zakopując się w rozliczne koce, niezrażony głośnym pochrapywaniem Harrtucka. Choć wątpił, aby obrazy ujrzone tego wieczora pozwoliły mu zasnąć, to jednak wyczerpanie zwyciężyło, uwalniając go od mrocznych wspomnień.

Rozdział trzeci

Stukająca na wietrze okiennica obudziła Trisa. Otworzył oczy i w tym momencie napłynęły do niego wspomnienia wydarzeń poprzedniej nocy. Usiadł półprzytomny, czując w obolałych mięśniach wczorajszą jazdę, i przyjrzał się pomieszczeniu. Pojedyncza okiennica zwisała na jednym połamanym zawiasie, łomocząc na wietrze. Ostre odłamki szkła wystawały ze zniszczonej ramy okiennej, a poranne słońce wpadało przez wielkie dziury w spalonym dachu. Jego łóżko było jedynie zbitymi wypłowiałymi deskami. Po przeciwległej stronie pokoju dostrzegł swoje odbicie w popękany lustrze, zaśniedziałym od długiego działania żywiołów. Zaczął badać otoczenie zmysłami maga. Duchy, których obecność czuł tak silnie w nocy, zniknęły, tak jak i ta wszechogarniająca moc, którą wtedy wyczuł.

– Harrtuck, obudź się – powiedział. Gwardzista śpiący na ławie koło kominka odpowiedział chrapnięciem i przetoczył się na bok.

– Obudź się! – naciskał Tris i krzepki wojownik wreszcie oprzytomniał.

– Co? Och, Tris. Na Boginię, ale dobrze mi się spało – Wymruczał, przeciągając się i przecierając oczy. Usiadł i zamarł.

– Co, na Święte Dziecię, tu się dzieje? – wychrypiął, rozglądając się po zniszczonym

- pomieszczeniu. Wtedy właśnie otworzyły się ze skrzypnięciem drzwi i do pokoju wszedł Soterius; na jego bladej twarzy malowało się oszołomienie. Zaraz za nim wszedł Carroway z oczami szeroko otwartymi ze strachu.
- Co, do diabła, stało się z gospodą? – spytał Soterius, rozglądając się po pokoju.
- Na dole jest tak samo? – zapytał Tris; wcale nie był zaskoczony, kiedy żołnierz skinął potakująco głową.
- Tak. A dzbanek i miska, z której korzystałem zeszłej nocy, leżą w kawałkach na podłodze, choć nie słyszałem, jak pękały.
- Popatrzcie tam. – Harrtuck wskazał na zniszczoną komodę. Leżały na niej cztery czyste, starannie złożone na kupce stroje podróżne, a obok nich stos płaszczy do jazdy w nieokreślonym brunatnym kolorze.
- Są prawdziwe – stwierdził Tris, przyjrzawszy się jednemu z płaszczy. – Bogini wie, że ich potrzebujemy.

Z dobytymi mieczami ruszyli ostrożnie po częściowo spalonych schodach do izby dla gości, gdzie zobaczyli zwęglone szczątki połamanych stołów. Ciężkie frontowe drzwi wisiały krzywo na zawiasach, a martwe liście fruwały po zniszczonym szynkwasiu.

– Tam – powiedział Carroway, wskazując ręką. Na jednym z kilku stołów, które jeszcze stały, zobaczyli stos zapasów. Pakiecik sucharów oraz tyle suszonego mięsa i zapakowanego sera, że starczy im na tydzień, duży woreczek suszonych owoców i cztery nowe, pełne bukłaki. Obok bukłaków leżał mieszek srebrników, które zapewnią im strawę i schronienie przez dwa tygodnie.

– Spójrzcie na te monety – sapnął Harrtuck, gdy Tris wysypał zawartość sakiewki na dłoń. Wziął jedną z monet i podniósł ją do światła. – Spójrzcie na datę.

We wczesnym świetle poranka Tris dostrzegł datę wybitą pod wizerunkiem swego ojca.

Datę sprzed dwudziestu lat.

Czterech mężczyzn bez słowa wymieniło spojrzenia. Strach wycierał wyraźnie z oczu Carroway'a, a Soterius i Harrtuck ledwie maskowali swój niepokój. Nawet w Margolanie, gdzie duchy często poruszały się otwarcie wśród żywych, taki pokaz był czymś niezwykłym, niezależnie od tego, czy było to Święto Zmarłych, czy też nie. Tris w milczeniu rozważał decyzję, którą podjął zeszłej nocy, aby nie wspominać o prawdziwej naturze ich dobroczyńców, idąc powoli za pozostałymi do stajni. Jeśli powie im prawdę, czy nie będą zbyt przerażeni, by jechać dalej? Jeśli jednak będzie ukrywał, co jest w stanie zrobić i kim jest – a Pani wie, że sam nie był tego pewien – to będą za nim podążać karmieni kłamstwem. Stwierdził wreszcie, że mają prawo wiedzieć, jak wygląda prawda, choć myśl o tym, że stanie się przez to kimś obcym dla swoich towarzyszy, wpędziła go w jeszcze bardziej ponury nastrój.

Poculi ulgę, przekonawszy się, że konie czekają tam, gdzie je zostawili.

– Oporządzono je i przykryto kocami – zauważył Soterius, podnosząc wzrok na częściowo nadpalony dach stajni i wyraźnie widoczne przez ziejące dziury niebo.

– Ano, napojono je też i nakarmiono – dodał Harrtuck, potrząsając głową. – Jak żyję, nigdy czegoś takiego nie widziałem. – Spojrzał na Trisa. – Wygląda na to, że te twoje pałacowe duchy czuwają nad tobą.

Tris właśnie na coś takiego czekał.

– Jestem wam winien przeprosiny – stwierdził, wytrzymując spojrzenie sceptycznie nastawionego Soteriusa. – Zeszłej nocy, kiedy dotarliśmy do gospody, zdałem sobie sprawę; że karczmarz jest duchem, jednak przysięgam na Panią, nie wiedziałem, że karczma jest w takim stanie – Powiedział wskazując na wałącą się ruinę. – Bałem się, że nie będziecie chcieli zostać tu na noc, jeśli będziecie o tym wiedzieli. Wyczuwałem, że duchy dobrze nam życzą. Wiedziałem, że będziemy bezpieczniejsi tutaj niż na gościńcu, ale nie byłem pewien, czy zdołam was o tym

przekonać. Czy będziecie chcieli zostać... wiedząc, co potrafię.

Wziął głęboki oddech.

– Zawsze widziałem duchy, kiedy inni ich nie widzieli – mogłem z nimi rozmawiać, przywoływać je. Babka nauczyła mnie nieco magii. – Jednak to, co wydarzyło się zeszłej nocy, zatrzymanie ducha Kait, wyczuwanie duchów poza pałacem, wskazuje, że widzę i rozpoznaję to, czego nie widziałem przedtem. Myślę, że babka nie powiedziała mi prawdy o tym, co potrafię. Nie znam siebie samego. I nie będę miał wam za złe, jeśli nie będziecie chcieli dalej ze mną jechać – dokończył z powagą.

– Jesteś Przywoływaczem Dusz – wyszeptał z podziwem w głosie Carroway. Choć miał oczy szeroko otwarte, to nie ze strachu, lecz ze zdumienia. – Powiadają, że każdy wielki mag ma swego następcę, aby przejął jego moc, kiedy mag umrze. W opowieściach ta moc czasami przechodzi na niego w chwili, gdy czarodziej umiera. Ale czasem... – jego głos rósł w siłę, gdy wciągał się w opowiadaną historię – potrzeba jakiegoś szoku, tragedii, aby ów dziedzic otworzył się na tę spuściznę.

Spojrzał na Trisa z rosnącym podnieceniem.

– Jesteś dziedzicem magii Bava K'aa – powiedział z nabożną czcią. – Jeśli Arontala to podejrzewa, będzie chciał twojej śmierci jeszcze bardziej niż Jared.

Tris dostrzegł sprzeczne uczucia w spojrzeniach dwóch żołnierzy. Słabo znał Harrtucka, lecz Soteriusa znał dobrze. Ban Soterius był pragmatycznym człowiekiem, przywykłym do radzenia sobie z tym, co widział, czego dotyczył i z czym mógł walczyć. Przyglądając się wewnętrznemu konfliktowi malującemu się na twarzy przyjaciela, Tris przypomniał sobie, że żołnierze znani byli z nieufności do magów, i wtedy ku jego zaskoczeniu Harrtuck powoli przyklęknął na jedno kolano, a w sekundę później uczynił to także Soterius.

– Nadal jesteś Martristem Drayke – powiedział Harrtuck. – I nadal jesteś jedyną nadzieją

Margolanu. Może Pani wie, że tylko mag zdoła wygrać z tym demonem w pałacu. Gdzie ty się udasz, tam i ja, panie.

– Tris – poprawił go książkę, wciąż oszołomiony wydarzeniami tego poranka. – Po prostu

Tris. – Uśmiechnął się smutno do przyjaciela. – Nie pozostało mi już nic, co pozwalałoby nazywać mnie „panem”.

– Nie mogę powiedzieć, żebym rozumiał magię czy choćby jej ufał – powiedział z wahaniem Soterius – ale ufam tobie. Możesz na mnie liczyć.

Zawstydzony, lecz z uczuciem ulgi, Tris podziękował przyjaciołom. Carroway skłonił się nisko, a potem wyprostował się i uściskał Trisowi dłoń.

– Dziękuję wam wszystkim – powtórzył książkę.

Harrtuck klepnął go po ramieniu.

– Zostaw to Bogini, Tris. Ona ma swoje sposoby.

– A my zobaczymy się z Nią wcześniej, niż byśmy chcieli, jeśli się stąd zaraz nie wyniesiemy – rzucił niecierpliwie Soterius. – Jedźmy, zanim będziemy mieć towarzystwo.

– Dokąd mamy jechać? – spytał Carroway, bezwiednie gładząc konia po pysku. – Zeszłej nocy po prostu staraliby się uciec. Ale teraz musimy dokądś się udać.

Tris zdał sobie sprawę, że wszyscy patrzą na niego.

– Na północ – powiedział wreszcie. Choć zeszłej nocy miał niewiele czasu, próbował znaleźć odpowiedź na to samo pytanie. – Do Dhasson, królestwa mojego wuja. Król Harrol ożenił się z siostrą mojego ojca. Będziemy tam bezpieczni.

– To niezły plan – przyznał Soterius. – Król Harrol jest sprawiedliwym władcą i mam dobre zdanie o jego armii, więc jeśli się tam znajdę, to nie będzie najgorzej.

– Jego dwór jest też dobry dla minstreli – dorzucił Carroway, klepiąc swojego konia. – A przynajmniej tak mówią.

– A zatem na północ – zgodził się Harrtuck. – Ale jazda zajmie nam dwa miesiące, a jesteśmy poszukiwani. Twój brat bez wątplenia wyznaczył nagrodę za twoją głowę, Tris. Pewnie jesteś poszukiwany za zamordowanie króla, a za to karze się stryczkiem – dorzucił. – Jeśli nagroda jest wystarczająco duża i zostaniemy schwytani, to nie będziemy mieli okazji do opowiedzenia swojej wersji tej historii.

– Jednak droga na północ jest fatalna, zwłaszcza o tej porze roku, kiedy nadchodzi zima – ciągnął dalej Harrtuck. – Nie uda się jej przebyć bez przewodnika. Przydałby się też jeszcze jeden miecz, bo im bardziej zbliżymy się do gór, tym więcej napotkamy bandytów.

– Nie mamy dość pieniędzy na wynajęcie przewodnika – stwierdził Soterius, zaciskając popręg i poprawiając uzdę.

– To prawda – rzekł z namysłem Harrtuck i spojrzął na Trisa. – Czy moglibyśmy obiecać zapłatę po dotarciu do Dhasson?

Tris zastanawiał się przez chwilę, a potem skinął głową.

– Nie będziemy przecież prosić o wiele, nie wynajmujemy w końcu całej armii. Ale gdzie znajdziemy przewodnika? I skąd będziemy wiedzieć, że on nas nie wyda?

Harrtuck uśmiechnął się, wskakując na siodło.

– Jeśli uda nam się znaleźć człowieka, którego mam na myśli, to on nas nie wyda.

Walczyłem u jego boku. Nie jest zdrajcą. I jest też cholernie dobrym przewodnikiem, o ile nie dał się zabić przez te swoje interesy.

– Gdzie znajdziemy tego cudotwórcę? – spytał oschle Soterius, siadając w siodle.

Harrtuck podrapał się po głowie.

– Z tego, co ostatnio słyszałem, Vahanian handlował nad rzeką. Przewoził jedwab i brandy z Księstwa do Nargi.

Soterius spojrzął z ukosa na gwardzistę.

– Brandy i jedwab do Nargi? Ich kapłani patrzą nieprzychylnym okiem na picie, a poza tym nie wiem, do czego im potrzebny jedwab, skoro trzymają swoje kobiety w zamknięciu.

Harrtuck zaśmiał się.

– O to właśnie chodzi, mój chłopcze. Kapłani patrzą na to nieprzychylnym okiem, lecz wielu „wiernych” nie podziela ich zdania. Człowiek może się wzbogacić, dostarczając im to, czego potrzebują, pod warunkiem, że kapłani się o tym nie dowiedzą. – Zacmokał i potrząsnął głową. – Oczywiście jeśli się dowiedzą, zostaniesz ukarany dla przykładu. Z tego, co słyszałem, niewiele jest gorszych sposobów na odejście z tego świata.

– Świetnie – wymruczał Soterius. – Albo jest bogatym człowiekiem, albo jest martwy.

– Nie wyobrażam sobie, komu chciałoby się jechać do Nargi – powiedział Carroway, wsiadając na konia, i obejrzał się na zrujnowaną gospodę. – Ich kapłani już dawno przepędzili minstrelów. Teraz pozostali jedynie świątynni bardowie, ponieważ jednak są wyznawcami Staruchy, wątpię, by mieli wiele przyjemnych tematów do tworzenia pieśni.

– Może dlatego potrzebują jedwabiu i brandy – zażartował Soterius, wbijając pięty w bok swojego wierzchowca. – Ruszajmy.

Podróżowali po mniej uczęszczanych drogach, trzymając się skraju lasu, kiedy tylko było to możliwe. Wraz z końcem świątecznych dni i nadciągającą zimą liczba podróżnych zmniejszała się. Robiło się coraz bardziej zimno i Tris cieszył się ze swojego grubego płaszcza. Jechał w milczeniu, pozwalając innym się przekomarzać.

Trudno mu było to wszystko ogarnąć. Z jednej strony czuł lodowatą determinację, z drugiej jednak nie mógł uwierzyć, że był teraz zbiegiem, bez króla i kraju, celem dla łowców nagród i wynajętych skrytobójców. Odczuwał też wyrzuty sumienia na myśl o tym, że Soterius, Harrtuck i Carroway pozostawili wszystko, aby za nim podążyć. Nie miał żadnych wątpliwości co do tego, w jaki sposób będzie rządził Jared, który nie raz występował przeciwko „słabym”

rządom Bricena. Trzymający wszystko żelazną ręką król, magowie–szpiedzy i podatki mające utrzymać dużą armię – to było to, w co wierzył Jared. I niech Bogini ma w swojej opiece każdego, kto stanie mu na drodze, albo kupców czy rolników, z których będą ściągane te podatki.

I nikt nie mógł nic na to poradzić oprócz niego samego. Na samą myśl o tym zaschło mu w ustach. Tris lubił swoją pozycję drugiego syna, z dala od wścibskich spojrzeń. Miał te same lekcje z prawa, historii i królewskich rządów co Jared, ponieważ najstarsi synowie nie zawsze dożywali objęcia tronu, jednak w jego przypadku nie było nigdy tej presji, jaka łączyła się z byciem następcą tronu. Z przyjemnością przeżyłby swoje życie w jednej z wiejskich posiadłości ojca, w otoczeniu swoich książek i psów, z dala od dworskich intryg. Ale teraz ta możliwość znikła raz na zawsze. Umarła razem z królem Bricenem i Tris opłakiwał tę stratę równie mocno jak swoją rodzinę.

Siąpiący zimny deszcz spływał mu po płaszczu i czynił podróż uciążliwą. A w dodatku pozostały jeszcze pytania.

Co miała na myśli Kait, mówiąc, że Tris żył i jednocześnie znajdował się w krainie zmarłych? Albo to, że w jej oczach wyglądał jak ich babka, czarodziejka Bava K'aa? Tris zadrzał. Przyszły mu do głowy na wpół zapomniane rozmowy i sny, które były za bardzo rzeczywiste, by można je było zapomnieć. Jednak w tej chwili czuł się zbyt nieszczęśliwy, by się nad nimi zastanawiać, więc pozwolił myślom wędrować, skupiając się na czymś tak trywialnym jak tętent końskich kopyt na mokrej drodze.

Kiedy dotarli wreszcie do miejsca nocnego postoju, nędznej karczmy, Tris złapał Harrtucka za rękaw, zanim żołnierz zdążył rozkulbaczyć konia.

– Musisz nauczyć mnie walczyć – powiedział spokojnie, patrząc mu w oczy.

Harrtuck zaśmiał się cicho.

– Uczył cię Jaquard, panie. Tris – poprawił się. – Jest jednym z najlepszych nauczycieli szermierki.

– Ale nie nauczył mnie tego, co muszę zrobić. Jared omal mnie nie załatwił w korytarzu, pijany i na wpół oszalały z wściekłości. Tak nie może być, jeśli mam odzyskać Margolan. Harrtuck kiwnął głową, jakby po raz pierwszy dostrzegł wyraźnie, co kryło się za propozycją Trisa.

– Ano, masz rację – stwierdził w końcu. – Jak sobie życzysz. Zajmijmy się końmi, a potem zrobimy sobie małą rundkę. Nie ma na co czekać.

Później, kiedy Soterius i Harrtuck nie dali się już namówić na dalszą naukę, poszli na kolację do sali dla gości. Spoceni i zdyszani, trzech mężczyzn wyglądali tak, jakby właśnie wrócili z szaleńczej przejażdżki. Carroway od razu Podszedł do kominka, by zabawić innych nielicznych gości romantycznymi balladami i opowieściami o bohaterach z przeszłości Margolanu. Choć był niemal nie do rozpoznania z przefarbowanymi włosami i w niemodnej tunice, zrezygnował z wykonywania teatralnych sztuczek i ograniczył swój repertuar do starszych piosenek, które znał każdy wędrowiec. Sądząc po zainteresowaniu służby i oberżysty, ta gospoda nigdy jeszcze nie gościła tak utalentowanego barda. Wdzięczni goście rzucili Carroway’owi kilka monet, które minstrel uprzejmie przyjął.

Karczmarz, wynędzniały i zgarbiony mężczyzna, przyniósł Trisowi i jego towarzyszom wielkie talerze dziczyzny w porach wraz z dużym dzbankiem piwa. Mężczyzna skrzywił się, usłyszawszy brzęk naczyń tłuczonych w kuchni, i potrząsnął głową.

– Zawsze tak się dzieje o tej porze – wymruczał.

– Wygląda na to, że macie problem z waszą dziewczką służebną – powiedział współczująco Harrtuck, wychylając jednym haustem połowę piwa.

Znękany oberżysta westchnął.

– Na Boginię, gdyby tylko o to chodziło.

Na górze trzasnęły drzwi i zadudniły ciężkie kroki. Chudy mężczyzna wytarł ręce o swój poplamiony fartuch i pobiegł z powrotem do kuchni. Tris zadrżał, czując nagły chłód i znajome mrowienie. Choć niczego nie widział, wyczuwał obecność rozgniewanego ducha, przemykającego tuż za zasięgiem jego wzroku.

– Niedużo ludzi jak na taką zimną noc – stwierdził Soterius znad swojego kufła.

– Ano, i to nie z powodu sąsiedztwa innych karczm – odparł Harrtuck. – Nie ma tu w okolicy żadnej innej, przynajmniej w odległości godziny jazdy.

– To miejsce nie jest znowu takie złe – powiedział Tris.

– Ciekawe, dlaczego...

Z góry dobiegł łoskot i obecni w karczmie goście aż podskoczyli. Albo kilku podróżnych urządziło na górze burdę, albo właśnie zawaliła się część dachu. Tris spojrzał na karczmarza, lecz ten tylko przewrócił oczami, wymruczał coś pod nosem i zajął się swoją pracą, postanowiwszy zignorować ten hałas. Kątem oka Tris uchwycił jakiś ruch, jakby przemykający cień.

– Niech to szlag! – zawołał Harrtuck, zrywając się na równe nogi, żeby uniknąć strumienia piwa wylewającego się z przewróconego kufła. Zaraz pojawiła się dziewczka służebna ze ścierką, prosząc o wybaczenie i wycierając rozlane piwo.

– Mój łokieć nawet nie trącił tego cholerstwa – mruknął żołnierz, starając się zetrzeć piwo z płaszcza.

– To żaden kłopot, panie – zapewnił go karczmarz, wciskając mu do ręki kolejny kufel. – Nie przejmuj się tym. Odejmę ten pierwszy od rachunku – powiedział, po czym oddalił się z pustym kuflem.

Tris i Soterius wymienili spojrzenia.

– Dziwny gość – stwierdził Soterius, zerkając w stronę szynkwasu, gdzie karczmarz rozmawiał przyciszonym głosem z kucharką. – Jeśli ci goście na górze się nie uspokoją – dodał – to nie odpoczniemy za wiele tej nocy.

Tymczasem Carroway skończył swoje pieśni i przyjął kufel piwa od jednego z wdzięcznych gości, a potem z nieszczerym uśmiechem zagał rozmowę z mężczyzną, który postawił mu kolejkę. Tris był pewien, że bard zdobędzie Więcej informacji, niż sam ich udzieli. Kiedy pozostali goście zdali sobie sprawę, że nie będzie już więcej rozrywki, zaczęli kończyć posiłek, żeby wyjść. Towarzysz Carroway’a dołączył do nich pospiesznie i w ten sposób czwórka uciekinierów została jedynymi gośćmi w izbie.

– Ciekawe, dokąd im tak śpieszno tak późno w nocy – rzucił Harrtuck.

Tris spojrział ku ciemnym oknom.

– Czy powinniśmy się martwić? – szepnął. Tymczasem Carroway postawił pożyczoną lutnię w rogu sali i ruszył w ich stronę. I znowu Tris dostrzegł kątem oka przemykający cień, a zaraz potem instrument upadł na podłogę z brzękiem i niepokojącym trzaskiem.

Carroway podbiegł ze zbolaną miną, żeby podnieść instrument.

– Nie rozumiem – powiedział skonsternowany, podnosząc lutnię i obracając ją w dłoniach.

– Postawiłem ją ostrożnie, nie powinna była upaść – stwierdził, patrząc na zniszczony instrument, którego złamany gryf wisiał na samych strunach. – Przepraszam – powiedział ze smutkiem do karczmarza, podając mu instrument.

Karczmarz wziął od niego lutnię.

– Wypadki się zdarzają – powiedział szybko. – Jeśli skończyliście posiłek, zaprowadzę was do pokoju.

W tym momencie do sali wpadł jakiś młody chłopak i pognał ku karczmarzowi.

– Tatku, chodź szybko! – wysapał. Karczmarz pochylił się, żeby wysłuchać jego

pospiesznego wyjaśnienia, a Tris i jego przyjaciele wymienili zaniepokojone spojrzenia. Po chwili karczmarz wyprostował się.

– Syn mówi mi, że w tę stronę zmierza trzech margolańskich gwardzistów – powiedział chudy mężczyzna. – Zatrzymują ludzi, żeby dowiedzieć się, czy nie widzieli czterech uciekinierów z miasta.

Zamilkł, a potem wyglądało to tak, jakby podjął decyzję.

– Jeśli nie macie ochoty zaraz tam wracać, chodźcie ze mną – rzucił krótko, dając znak, żeby za nim poszli.

Ze spojrzenia Soteriusa i faktu, że jego dłoń opadła na głowicę miecza, Tris domyślił się, co gwardzista pomyślał. Nie mieli jednak wyboru, musieli przyjąć propozycję karczmarza, jeśli nie chcieli walczyć teraz ze strażą. Mimo to nagła chęć ukrycia czworga zupełnie obcych ludzi była na tyle dziwna, że wzbudziła ich podejrzenia.

– Pospieszcie się – popędził ich karczmarz. Zerkając na drzwi, Tris i jego przyjaciele podążyli za mężczyzną do kuchni, gdzie koło paleniska stała pulchna kobieta i szczupła dziewczyna – dziewczyna służebna. Tris domyślił się, że to reszta rodziny karczmarza; przy tak nielicznej klienteli nie mógł sobie pozwolić na więcej pomocników. Wszyscy odsunęli się na bok bez słowa, gdy karczmarz poprowadził Trisa i pozostałych uciekinierów do małego składziku.

Jakby domyślając się, co im chodzi po głowie, karczmarz uśmiechnął się.

– Na tyłach są drzwi, jeśli się o to martwicie. Można je otworzyć kopniakiem, gdybyście musieli. Ale nie doprowadzę do was gwardzistów – zapewnił ich. – Tacy jak oni niejedną raz mnie poturbowali. Cokolwiek żeście zrobili, że was szukają, niech was Bogini błogosławi – powiedział, nakazując im się pospieszyć.

Drzwi zamknęły się za nimi i znaleźli się w pomieszczeniu, do którego wpadało przez

szczeliny między deskami bardzo niewiele światła. Czterej mężczyźni dobyli broni i skryli się za baryłkami zapasów i beczkami wina. Usłyszeli przyciszoną rozmowę, a potem serię trzasków i łomotów, kiedy gwardziści demolowali karczmę. Potem ciężkie kroki zbliżyły się do ich kryjówki. Drzwi zatrzeszczały, a następnie uchyliły się nieco, po czym dał się słyszeć odgłos tłuczonych naczyń i żołnierz odwrócił się, przeklinając.

– Nikogo tu nie ma! – zawołał.

– Na górze też nikogo nie ma – powiedział drugi głos.

– Hej, ty, karczmarzu – warknął trzeci człowiek. – Jeśli ich zobaczysz i wydasz, dostaniesz złoto. Wyglądasz na takiego, któremu mogłoby się przydać.

– Każdemu by się przydało – stwierdził bez żenady karczmarz. – Zapamiętam, coście powiedzieli.

– Ruszajmy – rzucił trzeci mężczyzna i usłyszeli oddalające się kroki. A potem odgłos kufla uderzającego o ścianę, jakby ktoś cisnął nim z całych sił, i kroki znowu się zbliżyły.

– Co to ma znaczyć?!

– Proszę, panie, spadł – przepraszała dziewczka służebna.

– Spadł! – krzyknął rozsierdzony gwardzista. – O mało co nie trafił mnie w głowę!

– Musiał stać za blisko skraju półki – wtrącił się karczmarz. – Proszę o wybaczenie. Nic się nie stało. Czy może zechcą panowie wziąć bukłak wina na drogę?

To udobruchało gwardzistę, kroki bowiem oddaliły się i już nie powróciły. Trisowi tymczasem myśli kłębiły się w głowie, kiedy analizował zasłyszaną rozmowę. Jak to – na górze nie było nikogo, choć odgłosy wskazywały na to, że toczyła się tam zacięta walka? Zanim jednak zdążył to przemyśleć, usłyszał zbliżające się lekkie kroki karczmarza i mężczyzna odryglował drzwi ich kryjówki.

– Poszli sobie – wyszeptał, dając im znak, żeby wyszli. Ostrożnie, mrugając, gdy ich oczy

przyzwyczajają się do względnej jasności panującej w kuchni, Tris i pozostali wyszli ze składziku z bronią w gotowości.

– Co się stało? – spytał Soterius.

Karczmarz wzruszył ramionami.

– To naturalne, że zatrzymali się tu w poszukiwaniu zbiegów. – Zerknął z ukosa na żonę, co świadczyło o tym, że celowo odpowiedział tylko na część pytania Soteriusa.

– Niezależnie od tego, czemu tak postąpiłeś, dziękuję – powiedział Tris, gdy Soterius podszedł do drzwi izby gościnnej, wyjrzał na zewnątrz i dał znać, że wszystko w porządku.

– Jak już sobie poszli, możecie zostać na noc – zaproponował właściciel karczmy.

Tris spojrzał na Harrtucka, a ten wzruszył ramionami.

– Może tak będzie bezpieczniej. – Wojak w zamyśleniu gładził się po podbródku, jakby nadal miał tam niedawno zgoloną brodę. – Wiemy, że gwardziści już tu byli. I nie ma powodu, żeby wracali. A nigdzie w pobliżu nie ma innego miejsca, żeby się zatrzymać na noc.

Tris spojrzał ponownie na karczmarza.

– Jesteśmy wdzięczni za twoją gościnność.

– Nie rozumiem tylko jednej rzeczy – stwierdził Carroway. – Jeśli nie ma nikogo na górze, to kto tak hałasował?

Karczmarz zamarł, a potem wymienił zaniepokojone spojrzenie z przysadzistą kucharką.

Wreszcie, jakby pogodził się z tym, że i tak straci tych gości, wynędniały mężczyzna powiedział:

– Na górze nie ma żadnego człowieka. Ale jest duch o paskudnym temperamencie, który zrujnował tę gospodę, a mnie razem z nią. – Użalając się nad sobą, karczmarz oparł się o ścianę i zakrył twarz rękoma.

– Wygrałem tę gospodę uczciwie w karty w czasie letniego święta rok temu – ciągnął dalej

nieszczęśliwy. – Powinienem był wiedzieć, że nie wyjdzie z tego nic dobrego. Dowiedziałem się, że w gospodzie zaczęło straszyć już wcześniej, duch przeganiał podróżnych, tłukł naczynia, nie pozwalał ludziom spać, rozumiecie – westchnął.

– Doprowadziło to nas na skraj ruiny. Każdej nocy jest to samo. Wydaje się, że cała armia demoluje pomieszczenia na górze, ale kiedy tam wchodzę, nic nie jest ruszone. A potem to coś przenosi się do sali dla gości i robi sztuczki – takie jak z tą lutnią dziś wieczór czy z piwem waszego przyjaciela.

Wzruszył ramionami.

– Lubi też zaczepiać dziewczyny w kuchni. – Westchnął. – Nic tu nie pomoże, tylko

Przywoływacz Dusz, ale w Margolanie nie ma Przywoływacza, odkąd Bava K'aa odeszła do Pani.

Przygnębiony karczmarz ruszył w kierunku pokojów.

– Zawsze tak jest – biadał. – Zimno jak w grobie. Trudno utrzymać zapaloną lampę. Ale nikt nigdy niczego nie widział, słysząc tylko kroki i stukanie.

Podczas gdy karczmarz opowiadał, Tris wbił wzrok w ciemność. Nie czuł strachu w obecności ducha, tylko krew szybciej mu krążyła i serce waliło na myśl o spotkaniu z nim. Nagle zmarszczył brwi. W końcu korytarza zobaczył delikatną poświatę przypominającą światło słoneczne przезierające przez mgłę. Zrobił krok w tym kierunku i blask zaczął gasnąć. Kierując się instynktem, Tris zamknął oczy i w myślach wysłał zawołanie do tej mgiełki. *Ty tam! Nie ruszaj się!*

Blask się zawahał, a potem rozjarzył mocniej. Zachęcony tym Tris wyciągnął rękę, wciąż mając zamknięte oczy. *Pokaż się! Nie chcemy ci zrobić krzywdy.*

Stopniowo mgła zaczęła się materializować, przybierając kształt pozbawiony ciężaru, aż wreszcie pojawiła się przed nimi sylwetka mężczyzny. Stojąca za Trisem kucharka głośno

wciągnęła powietrze, a karczmarz zaklął pod nosem, jasno dając do zrozumienia, że zjawą jest teraz widoczna dla wszystkich. Tris przyjrzał się tej milczącej postaci. Był to młody mężczyzna, może kilka wiosen starszy od Trisa, o mocnej, lecz szczupłej budowie ciała typowej dla oracza, ubrany w samodiałowe odzienie wieśniaka. To, co jednak uderzyło Trisa najbardziej, to był gniew, jaki bił z jego sylwetki, twarzy i spojrzenia.

– Zacny człowieku – powiedział ostrożnie ksiązę, ośmielając się otworzyć oczy. Duch stał przed nim równie materialny jak postać widziana w myślach. – Pokój z tobą – powiedział w geście powitania. – Czemu szkodzisz tej gospodzie?

Z początku Tris nic nie słyszał, kiedy zjawą zaczęła mówić. Zamknąwszy oczy, żeby znowu się skoncentrować, zaczął słyszeć głos, który dochodził jakby z oddali.

– Właśnie był okres siewów – mówił duch. – Miałem sakiewkę skriwenów, wszystko, co posiadała moja rodzina, żeby kupić dwie krowy na jarmarku. Tam – wskazał za siebie – napadł na mnie rozbójnik. – Cień jego dłoni powędrował ku widmowej szyi. – Poderżnął mi gardło, zabrał moje pieniądze i pozostawił mnie w lesie. Chcę odzyskać moje pieniądze – powiedział po prostu. – I chcę, żeby postawiono mi nagrobek.

– Słodka Matko i Dziecię – wykrztusił stojący za Trisem karczmarz. Dało się słyszeć ciche łupnięcie i Tris domyślił się, że albo kucharka, albo dziewczka służebna zemdląła. Tris zrobił krok w kierunku ducha i powoli wyjął cztery monety z sakiewki u pasa, pieniądze znalezione w pierwszej gospodzie.

– Jeśli chłopak zanieś je twojej rodzinie, będą mogli kupić te twoje krowy i nie tylko – zaproponował i wyciągnął dłoń z monetami w stronę ducha. – A ja i moi towarzysze możemy wznieść kurhan w lesie, jeśli zechcesz. Jeśli to zrobimy, to czy spocznieś w spokoju i nie będziesz już nękać tego dobrego człowieka?

Duch się zawahał, jakby rozważał ten układ, a potem powoli skinął głową.

– To dobra propozycja – powiedział. – Spocznę w spokoju.

Tris gestem nakazał synowi karczmarza wystąpić do przodu, i ten, choć się trząsał ze strachu, zrobił, jak mu kazano.

– O świcie, jak tylko chłopak będzie mógł bezpiecznie podróżować, zabierze te pieniądze tam, dokąd każesz – rzekł spokojnie Tris, a duch ponownie skinął głową.

– A teraz... – Tris dał znak, aby reszta zaczęła schodzić po schodach – czy pokażesz nam, gdzie spoczywasz, abyśmy mogli zapewnić ci spokój?

Duch znikł.

– Gdzie on się podział? – wykrztusił karczmarz, wycofując się w kierunku schodów.

– Jest pewnie na tyłach – domyślił się Carroway. Wzruszył ramionami, kiedy pozostali odwrócili się i wbili w niego wzrok. – No cóż, nie musi przecież korzystać ze schodów!

I rzeczywiście, kiedy wyszli na tyły gospody, okazało się, że duch czeka na nich na skraju lasu. Tris dał znak swoim towarzyszom, żeby do niego dołączyli, i ruszyli w ślad za duchem. Po jakimś czasie zjawa zatrzymała się kilka kroków od ścieżki i wskazała ręką, a kiedy Tris zbliżył się do tego miejsca, pokiwała z zadowoleniem głową.

– Pomóżcie mi – powiedział Tris i pochylił się, żeby podnieść spoczywający nieopodal kamień wielkości melona. Potrącił stopą coś częściowo ukrytego pod liśćmi i w rozproszonym świetle księżyca dostrzegł pośólkłą biel wyblakłej kości. Delikatnie położył na niej kamień, po czym odwrócił się, żeby wziąć kolejny od Carroway'a. W kwadrans wzniesli niewielki kurhan i Tris wykonał nad nim znak Bogini. Kiedy znowu spojrzał na ducha, nie było już widać gniewu w jego postawie, a jego niezbyt ładna twarz miała tęskny wyraz.

– Spoczywaj w pokoju, dobry człowieku – powiedział z powagą ksiązę, unosząc dłoni.

Duch stawał się coraz bardziej niewyraźny, aż stał się tylko mgłą, a potem mgła rozwiała się w świetle księżyca.

Tris patrzył w miejsce, gdzie przedtem stała zjawa, czując zarówno satysfakcję z tego, że był w stanie uwolnić jej duszę, jak i żal, że odbyło się to przy świadkach.

– Zajmę się końmi – powiedział Soterius i odwrócił się. Tris zmarszczył brwi, patrząc, jak jego przyjaciel odchodzi, lecz Harrtuck podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie martw się nim – wychrypiał. – Czy ci się to podoba, czy nie, przetrwanie tego wszystkiego zajmie mu trochę czasu. W końcu... – wojak zaśmiał się cicho – my, żołnierze, nie ufamy zbyt magom. Ja wolałem zawsze wierzyć w zimną mocną stal niż w całą tę abrakadabrę. – Zamilkł na chwilę. – Aż do teraz.

Tris nadal patrzył za Soteriusem. *Co, na Cztery Twarze Bogini, ze mną się dzieje?* zastanawiał się, odczuwając niepokojącą mieszankę dumy i strachu. Przywoływanie ognia, zapalanie świeczek bez patyczka, wykonywanie drobnych magicznych sztuczek, to normalne. Ale być dziedzicem magii babki, władać mocami, które one miała... To nie może być prawdą! A jeśli jest i Carroway ma rację, jeśli on jest Przywoływaczem Dusz, magiem – to na Panią, cóż takiego to oznacza? Zanim jednak zdążył się nad tym zastanowić, Carroway pociągnął go za rękę.

– Żywi nie powinni przechadzać się nocą po lesie – ostrzegł go bard. – Wracajmy do ognia. Chyba przyda ci się kapka brandy, a ja chętnie przegryzę nieco tego sera, który widziałem na szynkwasie.

Tris pozwolił towarzyszom, choć niechętnie, by zaprowadzili go z powrotem ku przyjaznym światłom gospody. Karczmarz i jego rodzina czekali na nich i powitali go z szacunkiem godnym króla, aż Tris zaczerwienił się, zawstydzony.

– Wszystko, czego sobie życycie, macie za darmo – rzekł uszczęśliwiony gospodarz. – Strawę, napitki, łóżka i paszę dla waszych koni. – Uśmiechnął się i wyprostował.

– Teraz może wreszcie wyciągniemy trochę skriwenów z tej kupy desek! – zawołał i

odtańczył razem z pulchną kucharką krótkiego oberka, po którym puciołowata kobieta zarumieniła się i zasapała.

Tris przyjął ich dary w postaci jedzenia i picia, choć jedyne, czego pragnął, to porządny haust brandy i łóżko na noc. Poprosił karczmarza, by nic nikomu nie mówił o tym, co się tutaj wydarzyło. Uświadomił sobie bowiem, że w wyniku jego nieprzemyślanej reakcji na udrękę ducha mogą znaleźć się w jeszcze większym niebezpieczeństwie, jeśli Arontala usłyszy o tej historii.

Harrtuck siedział koło niego przy kominku, nic nie mówiąc, lecz samą swoją obecnością upewniał go, że wydarzenia tej nocy nie nadszarpnęły w żaden sposób jego lojalności. *Słodka Pani, to, co się wydarzyło, z pewnością zmieni sposób, w jaki mnie postrzegają*, pomyślał Tris, przełykając palącą brandy. *Ja sam nie wiem, co to znaczy.*

Brandy zrobiła swoje i Trisowi zaczęły kleić się powieki. Podziękował za zaproponowany chleb i suszone owoce, twierdząc, iż wdzięczna rodzina i tak już wystarczająco dużo zrobiła, i z trudem wspiął się na górę, by położyć się spać.

Rozdział czwarty

Dzień po tym, jak pozostawili za sobą gospodę, w której już nie straszyło, siedzieli wokół małego ogniska w prowizorycznym obozie. Otaczały ich odgłosy dzikich zwierząt i ciemność lasu. Tris był wciąż spocony po lekcji szermierki z Soteriusem i Harrtuckiem; uśmiechnął się w duchu, przypominając sobie ich pochwały dla jego rosnących umiejętności. Tej nocy piekli drobną zwierzynę, którą udało im się złapać we wnyki, i siedzieli w milczeniu, wpatrując się w płomienie. Wciąż byli o dzień drogi od Ghorbalu, tętniącego życiem handlowego miasta w dopływie rzeki Nu, z dala od miejsca, gdzie jej bystry nurt wzbierał, wpływając do morza. W końcu Tris przerwał milczenie i spojrzał na Harrtucka.

– Opowiedz mi raz jeszcze, co się wydarzyło tam w koszarach – rzekł. Starał się

zachowywać obojętny ton, ale wiedział, że Harrtuck z łatwością odczyta emocje w jego spojrzeniu.

– Wszyscy w koszarach wiedzieli, że stosunki między Jaredem a jego ojcem nie były przyjazne – zaczął cicho Harrtuck, patrząc w ogień. – Twój brat nie krył się z tym, i ci z nas, którzy byli lojalni wobec twojego ojca, próbowali ostrzec Bricena. Ale wielu żołnierzy lubiło Jareda, miał bowiem proste pomysły, które oni byli w stanie zrozumieć.

– Po jakimś czasie niektórym żołnierzom zaczęła się podobać koncepcja Jareda, że królestwem mógłby rządzić młody, waleczny człowiek. – Zamilkł na chwilę. – Choć nie jestem pewien, czy ten pomysł był całkowicie jego – dodał, zerkając na Trisa.

– Arontala. – Tris wymruczał nazwisko maga jak przekleństwo. – Powinienem był się domyślić.

– Jeden z ludzi Jareda wpadł do koszar i krzyknął, że król nie żyje – ciągnął dalej Harrtuck.

– Jakiś tuzin naszych, wiernych królowi, ruszyło ku pałacowi, mając nadzieję na ocalenie ciebie i królowej oraz Kait, lecz nam się nie udało – z wyjątkiem ciebie, panie.

– A pozostali, którzy poszli z tobą? – spytał cicho Tris.

– Wszyscy są martwi. Ja też bym zginął. Resztę już znasz.

– Dziękuję – szepnął książę. Wpatrywał się w płomienie, starając się odepchnąć od siebie wspomnienia. Nie udało mu się. Prześladowały go w snach i na jawie towarzyszyły każdej jego myśli. *Gdyby tylko udało mi się zmusić ojca, żeby mnie wysłuchał, pomyślał z żalem, zaciskając dłonie w pięści. Powinienem był zrobić więcej, bardziej się postarać, by ojciec zobaczył, jak niebezpieczny jest Arontala i jaki naprawdę jest Jared. Wbił paznokcie we wnętrze dłoni, aż pociekła krew. Ojciec jednak nie chciał słuchać ani mnie, ani Kait, kiedy mówiliśmy mu, jak Jared bije służących... albo nas. Matka próbowała, ale jej także nie chciał wysłuchać. Może nie starałem się wystarczająco mocno, wystarczająco często. Może mógłbym zrobić więcej. A teraz,*

dlatego, że tego nie zrobiłem, Kait i matka nie żyją.

– Tris – powiedział cicho Carroway i książkę zdał sobie sprawę, że bard wołał go już od kilku minut. – Nie wiń siebie. Zrobiłeś tyle, ile było można.

Tris zerwał się na równe nogi jak wystrzelony z procy.

– Gdybym zrobił wszystko, co było w mojej mocy, nie siedzielibyśmy tu teraz! – krzyknął.

– Matka i Kait by nie zginęły. Powinienem był zmusić ojca, by to dostrzegł. Powinienem był wyzwać Jareda na pojedynek. Na Dziwkę, jeśli jestem magiem, powinienem był spróbować powstrzymać Arontalę, gdy ten zjawił się w pałacu po raz pierwszy. Był wówczas słabszy.

– A ty byłeś zaledwie chłopcem – powiedział cicho Carroway. – Twój ojciec nie próbował znaleźć nowego nadwornego maga, kiedy twoja babka umarła. Może nie wiedział jak. Może nie chciał się dzielić władzą. Myślę, że twój ojciec przyjął z ulgą fakt, że Jared przejął inicjatywę. Pewnie miał nadzieję, że to znak, że Jared wyrasta z burd i rozpusty.

– A jeśli babka właśnie po to udzielała mi nauk? – spytał Tris zdławionym głosem. – Jeśli przewidziała coś takiego i uczyła mnie po to, abym to właśnie powstrzymał? Gdybym bardziej się przykładał do nauki, więcej ćwiczył, może moc spłynęłaby na mnie przed tym wszystkim. Może miałem powstrzymać Arontalę, lecz tego nie zrobiłem.

– Takie gdybanie może doprowadzić człowieka do szaleństwa – stwierdził Harrtuck, przyglądając się ze współczuciem, jak Tris ociera oczy rękawem. – Co się stało, już się nie odstanie. Wydaje mi się też, że powinieneś jak najbardziej oddalić się od Margolanu. Kiedy już znajdziemy się w Dhasson, obmyślimy najlepszy sposób na obalenie tego łajdaka. Jednak dzisiejszej nocy nic już nie możemy zrobić, tylko dotrwać do rana.

Tris pokiwał głową, choć nie sądził, żeby był w stanie zasnąć.

– Wiem – powiedział zduszonym głosem. – Ale ucieczka nie wydaje mi się godnym postępkiem.

Harrtuck obrzucił go cynicznym spojrzeniem.

– Lepiej być martwym?

Kiedy Tris odwrócił się z powrotem do ognia, Harrtuck wzruszył ramionami i zaczął pomagać Soteriusowi przyciągać sosnowe gałęzie bliżej ogniska, żeby mogli udać się na spoczynek. Carroway przez kilka minut przyglądał się Trisowi przechadzającemu się skrajem lasu i zagłębionemu w niemej kłótni z samym sobą, a kiedy Soterius i Harrtuck odeszli dalej, żeby zająć się końmi, podszedł do niego.

– Nie było do tej pory okazji, żebym mógł ci powiedzieć, jak mi przykro z powodu Kait i tego wszystkiego – rzekł.

– Dziękuję – wyszeptał Tris. – To przypomina koszmar, z którego lada chwila się obudzę, zobaczę Kait i powiem jej, jak bardzo ją kocham.

Zamknął oczy, próbując zatamować łzy, które napływały.

– Najgorsze jest to, że wiem, iż ona gdzieś tam jest – wychrypiał, kiedy zapanował nad głosem. – Czuję to, lecz nie mogę jej do siebie przywołać. Coś ją powstrzymuje. – Spojrzał na Carroway'a, wiedząc, że przyjaciel rozumie jego ból. – Jest uwięziona, przerażona, a ja nie jestem w stanie jej pomóc – przyznał udręczonym głosem. – Co z tego, że potrafię rozmawiać z duchami, jeśli nie mogę pomóc tym, których kocham najbardziej? Nie mogę jej znowu zawieść, ale nie wiem, jak jej pomóc.

Carroway położył dłoń na jego ramieniu, żeby dodać mu otuchy.

– Nie wiem, jak jej pomóc, ale znam ciebie. Gdybyś tylko zechciał mnie wysłuchać, powiedziałbym ci, że nie mogłeś zrobić niczego inaczej tam w Shekerishet, ale wiem, że nie przyjmiesz ani jednego mojego słowa.

Tris potrząsnął głową.

– Nie, nie przyjmę, ale dziękuję, że tak mówisz.

– Prześpij się trochę – nakazał mu Carroway. – Ban obejmie pierwszą wartę.

We śnie Trisa Bava K'aa stała wyprostowana i nieustępliwa, taka jak była za życia; ciemnowłosa kobieta, której wiek dodał zaledwie ślady siwizny i kilka zmarszczek. Nawet kiedy nie miała na sobie szarej szaty z ciemnografitowym płaszczem, świadczącej o tym, iż jest czarodziejką świata duchów lub Przywoływaczem Dusz, otaczała ją aura mocy.

– Tris! – zawołała go postać ze snów.

– Jestem tutaj, babciu.

– Nadszedł czas.

– Na co, babciu?

– Żebyś sobie przypomniiał moje nauki – odparła Bava K'aa. Wyciągnęła rękę i Tris poczuł, jak jej ciepła dłoń zaciska się wokół jego palców. – Musisz sobie przypomnieć, czego się nauczyłeś. Nie lękaj się. Moc do ciebie przyjdzie, Trisie. Przygotowałam cię.

– Do czego? – spytał znowu. Postać Bava K'aa wydawała się tak prawdziwa, a jej dotyk tak mocny, że trudno było uwierzyć, że to tylko sen. Instynktownie przytulił się do niej, tęskniąc za jej dodającym otuchy dotykiem, a w spojrzeniu ducha dostrzegł zrozumienie dla swego bólu. Wyraz twarzy babki złagodniał, jednak zaraz potem na jej obliczu odmalował się niepokój.

– Margolanowi i Siedmiu Królestwom grozi większe niebezpieczeństwo niż Jared – powiedziała widmowa postać babki kategorycznym tonem, którego używała zamsze, kiedy doradzała królom. – Pojawiło się zło. Obsydianowy Król znów się przebudził. Arontala pragnie uwolnić go z miejsca, w którym go uwięziliśmy dawno temu. Musisz go powstrzymać – powiedziała, wbijając w niego spojrzenie, które zajrzało mu aż w duszę. – Dobrze dobieraj sobie nauczycieli.

– Dlaczego moja moc nie objawiła się wcześniej, zanim... zanim oni zginęli? – chciał

wiedzieć Tris. – Mógłbym wtedy powstrzymać Arontalę...

– Nie byłeś jeszcze gotów – odparł duch. – Moc wie, kiedy naczynie jest gotowe.

Wiedziała, odkąd się urodziłeś, że jesteś moim następcą, Trisie – powiedziała babka. – Żeby chronić cię przed... innymi... nie mogłam ci tego powiedzieć, dopóki moc na ciebie nie spłynie.

Miała nieugięte spojrzenie.

– Nauczyłam cię wielu rzeczy, ale także tego, jak o nich zapomnieć, dopóki nie nadejdzie właściwy czas. – Lekko się uśmiechnęła. – Teraz musisz sobie przypomnieć.

– Babciu! – zawołał Tris. – Co to takiego Łapacz Dusz?

Duch drgnął i w jego spojrzeniu odmalował się ogromny niepokój.

– Co wiesz o Łapaczu Dusz?

Tris opowiedział jej o ostrzeżeniu ducha. Bava K'aa słuchała z powagą, a potem pokiwała głową.

– Powinnam była to przewidzieć. Gdy Obsydianowy Król został pokonany, było nas zbyt mało i byliśmy zbyt wyczerpani, żeby zniszczyć go całkowicie. Toteż uwięziliśmy jego duszę w pradawnej kuli, portalu prowadzącym do otchłani. Ta kula nazywa się Łapaczem Dusz.

Uważaliśmy, że jest bezpieczna, ale może byliśmy zbyt pewni siebie, zbyt mocno chcieliśmy to już zakończyć. Jeśli Arontali uda się uwolnić duszę Obsydianowego Króla, to wszystko pójdzie na marne. Obsydianowy Król połączy swoją moc z mocą Arontali, przejmując jego ciało, i powróci, by rządzić światem.

Obraz czarodziejki zadrżał i Tris przestraszył się, że zupełnie zniknie.

– Nie ma teraz wystarczająco wielu potężnych magów, aby go pokonać, tak jak my to uczyniliśmy, gdyby się znowu pojawił. Potrzeba byłoby całego pokolenia, a on już by się postarał, żeby wszyscy, którzy mogliby mu zagrozić, zostali zgładzeni.

Spojrzała na Trisa.

– Musisz pokonać Arontalę. Musisz znaleźć sposób na całkowite zniszczenie duszy

Obsydianowego Króla. Cała nadzieja w tobie, moje dziecko.

Zanim zdążył jej zadać jeszcze któreś z pytań, które kłębiły mu się w głowie, zjawa znikła, pozostawiając go zaskoczonego, przebudzonego i zlanego zimnym potem.

Ognisko zgasło i lekki szron pokrył ziemię. Jednak poranny chłód nie był jedynym powodem, dla którego Tris odczuwał zimno. Nigdy w życiu nie miał tak realnego snu. Odetchnął głęboko, a jego oddech zamienił się w mgiełkę w porannym powietrzu.

Kiedy Carroway kończył wartę, Tris zebrał drewno na opał i rozniecił ogień na nowo.

Chłód, jaki pozostawił po sobie sen, nie zniknął, i Tris słyszał, jak w uszach pobrzmiwa mu głos Bava K'aa. Z wdzięcznością przyjął kubek mocnego, gorącego napitku, który Harrtuck uwarzył nad ogniem.

– Znajdujemy się niedaleko od miejsca, gdzie – z tego, co słyszałem – Vahanian ostatnio robił interesy – powiedział Harrtuck, opierając się o drzewo, z twarzą przesłoniętą parą unoszącą się z kubka. To, czego nie zostawiły im duchy z gospody, Harrtuck nabył w ostatnio mijanej wiosce. Były to bardzo podstawowe towary, lecz wystarczające, żeby utrzymać ich przy życiu, dopóki nie zdobędą lepszych. Tris przeciągnął się, obolały od jazdy konnej bardziej niż kiedykolwiek w życiu; ze smutkiem uświadomił sobie, iż życie księcia w czasach pokoju sprawiło, że nie był w formie.

Harrtuck zauważył jego obolałość i uśmiechnął się do niego szelmowsko.

– Jeszcze tydzień, Tris, i przywykniesz.

Tris pocieszał się tym, że nawet Soterius sprawiał wrażenie zeszywniałego i obolałego.

Jednak wyglądało na to, że na Harrtucku te ostatnie kilka dni przygód nie wycisnęły swojego piętna – choć był o dwanaście lat starszy od Trisa i jego przyjaciół – co było pewnie wynikiem wielu ciężkich lat spędzonych w drodze z królewską armią.

– Dlaczego Vahanian miałby się zgodzić na zostanie naszym przewodnikiem? – spytał

Soterius, siadając przy ognisku i z wdzięcznością przyjmując ciepłe racje, które rozdawał Harrtuck. Tris nigdy nie widział Soteriusa tak ponurym, gwardzista zachowywał też większy dystans niż zwykle.

– Po pierwsze dlatego, że mu zapłacimy – odparł Harrtuck. – A po drugie dlatego, że jest mi winien kilka przysług.

– I to wystarczy, żeby chciał ryzykować życie? Jesteśmy teraz raczej gorącym towarem. Harrtuck wzruszył ramionami.

– Nie zamierzam przecież obwieszczać, kim jesteście, kiedy będę was przedstawiać.

Vahanian jest przyzwyczajony do przewożenia trefnych ładunków. O niektóre rzeczy się pyta, a o inne nie. Nie pierwszy raz będzie przewoził kontrabandę, przez którą może zginąć. – Zamilkł na chwilę. – Wiem, że nie przepadasz za najemnikami, Soteriusie, ale czasami to zło konieczne. Jonmarcowi Vahanianowi można zaufać. A nie o każdym można to powiedzieć.

– Pewnie będzie chciał, żebyśmy podróżowali z karawaną, przynajmniej część drogi – ciągnął dalej Harrtuck, żując kawałek pieczonego mięsa. – Większość karawan zawsze szuka najemnych żołdaków. Dobrzy najemnicy nie chcą się wałęsać w poszukiwaniu guza z gromadą sprzedawców dywanów, zwłaszcza że nawet bogate karawany płacą mniej niż arystokratyczne rody, dlatego szermierze zatrudniani przez karawany odchodzą, jak tylko zdobędą trochę doświadczenia.

– Najemnicy, hmm – mruknął sceptycznie Tris.

– Nie jest to najgorsze życie, biorąc pod uwagę alternatywy. – Harrtuck pociągnął łyk parującego napitku. – Jedzenie jest za darmo. A to miła rzecz, wówczas gdy jest się zdanym na samego siebie. Ponadto w karawanach jest mnóstwo ciekawych typów – stwierdził sucho.

– Będziemy posuwać się wolniej, niż gdybyśmy podróżowali sami, ale za to nie będziemy

takim wyraźnym celem. Jared pewnie się domyśli, że udasz się do królestwa twojego wuja, i wyśle ludzi, żeby cię szukali. Będziesz członkiem karawany, a w grupie zawsze jest bezpieczniej. Jeśli jeszcze będziesz musiał odpierać ataki bandytów, to jest to niezły sposób, żeby poznać prawdziwe życie – dodał Harrtuck, odstawiając kubek na pieńki. – To może być dla ciebie interesujące, książę.

To prawda, pomyślał Tris. Niewiele wiedział o zwyczajnym życiu. Otrzymał klasyczne królewskie wychowanie, jako nastoletni chłopak oddany został na kilka lat pod opiekę swojego wuja, u którego był uczony i wychowywany przez gromadę guwernerów i doradców. Niewiele jednak wiedział o zwykłych ludziach. Tak jak powiedział Harrtuck, to mogło być interesujące.

– Myślę, że to właśnie nam zaleci – powiedział Harrtuck, przeciągając się. – Ale z Vahanianem, któż to wie?

– Gdzie zatem znajdziemy tego legendarnego awanturnika? – spytał cierpkim tonem Soterius.

Gwardzista wzruszył ramionami.

– No cóż, to trudna sprawa. Słyszałem, że ostatnio handlował koło Ghorbalu, na rzece.

Tam zaczniemy. Oczywiście nie ma gwarancji, że wciąż tam jest. – Splunął. – Do diabła, nie ma gwarancji, że on w ogóle żyje.

– To przynajmniej dzień jazdy stąd – zaprotestował Soterius.

– Pewnie tak. Ale kierunek jest dobry, przynajmniej nie stracimy czasu, jeśli go nie znajdziemy.

– To brzmi rozsądnie – odparł Tris.

– Ja optuję za wszystkim, co zwiększa nasze szanse dojechania na północ w jednym kawałku – wtrącił się Carroway. – Mam zbyt wiele pomysłów na opowieści, żeby teraz umierać.

Ghorbal było niewielkim, kwitnącym miasteczkiem na skrzyżowaniu głównych szlaków między Margolanem, Księstwem, rzeką a drogami na wschód wiodącymi przez Wschodnią Marchię i Nargi. W Ghorbalu karawany uzupełniały zapasy przed wyruszeniem na północ, ku bardzo dochodowym ziemiom Księstwa, albo pozbywały się mniej „ortodoksyjnych” ładunków, zakazanych przez ponurych kapłanów Nargi, zanim udały się do tej wschodniej teokracji. Na przygranicznych terenach Nargi, koło Ghorbalu, kwitł czarny rynek; znajomość z odpowiednimi ludźmi i wysoka łapówka sprawiały, że przemytnicy mogli bezpiecznie podwajać swoje dochody, przemycając kontrabandę do tego nieprzyjaznego królestwa. Dalej na południe rzeka była pilnowana przez nargijskie garnizony i kupcy, którzy byli na tyle głupi, żeby zapuścić się za tę granicę, nigdy nie wracali.

Góry Tordassian rozciągające się między Ghorbalem a Księstwem na północy były pełne zdradzieckich przełęczy i mrocznych kniei, lecz mimo to klejnoty i złoto z Księstwa oraz bogate rynki Wschodniej Marchii przyciągały nieustraszonych kupców. Główny szlak handlowy przebiegał na północy, tuż nad Ghorbalem, i trzeba było miesiąca jazdy, żeby dotrzeć do najlepszej przeprawy rzecznej prowadzącej do Dhasson i potem przez przełęcz do Księstwa z jego bogatymi kopalniami, a następnie na słynny dwór we Wschodniej Marchii. To sprawiało, że Ghorbal było popularnym przystankiem zaopatrzeniowym. Nargi, leżące na wschodnim brzegu rzeki Nu, oficjalnie nie przejawiało zainteresowania towarami z Ghorbalu, ale przemytnicy uznawali północną granicę nargijską za zyskowny rynek – patrole Margolanu przymykały bowiem oko na tego rodzaju handel. Tak więc tereny na południe od Ghorbalu, wzdłuż rzecznej granicy z Nargi, gdzie patrole margolańskie były liczne, należały do kupców, a góry, gdzie patroli było niewiele, do ludzi wyjętych spod prawa.

Ghorbal przycupnęło w zakolu największego dopływu rzeki Nu. Był to szeroki, szybki szlak handlowy prowadzący na południe i zachód. Choć dalej na północ Nu stawała się

wzburzona i niemal nie nadawała się do żeglugi, to między Ghorbalem a Morzem Południowym była wręcz marzeniem każdego kupca.

Pozostawili konie przywiązane w zagajniku po północnej stronie miasta, dla bezpieczeństwa, jak wyjaśnił Harrtuck. W ten sposób mogli przemieszczać się po mieście piechotą i mieć szansę na ucieczkę, gdyby okazała się konieczna. Ghorbal rozciągało się na nadrzecznej równinie i było to skupisko niskich białych budynków oraz rozległych placów targowych. Słyszeli, jak tętni życiem, zanim jeszcze weszli do miasta, a poranne powietrze pachniało końmi, kadzidłem, wystawionymi na rynku zwierzętami i gotowanym mięsem.

– To miejsce pulsuje życiem – zauważył Soterius, przeciskając się pomiędzy ulicznym handlarzem prowadzącym wypakowany wóz i otyłym kupcem z osłem załadowanym cartelasiańskimi dywanami.

– Bądźcie czujni – ostrzegł ich szeptem Harrtuck. – Ghorbal nie jest miejscem dla bojaźliwych.

– Świetnie – wymruczał Carroway. Rozejrzał się dookoła, a potem się rozpromienił, gdy zobaczył nieopodal grającego minstrela. – Z drugiej strony – dodał, nie odrywając wzroku od barda – to może nie być takie złe miejsce.

– Zakładając, że Vahanian w ogóle tu jest – spytał Tris, czując się nieswojo w tej cizbie ludzi – to gdzie teraz może być?

Choć Carroway nałożył ponownie farbę, która maskowała jego jasnoblond włosy, Tris i tak czuł się bezbronny, jakby ich czwórka wyróżniała się w tłumie, stanowiąc łatwy cel. Im szybciej opuszczą Ghorbal, tym bardziej będzie zadowolony.

Harrtuck wzruszył ramionami.

– Równie dobrze może w ogóle nie ma go już w mieście. Nie zarabia pieniędzy, siedząc w jednym miejscu – zaśmiał się. – Właściwie biorąc pod uwagę, w jaki sposób zarabia pieniądze,

nie przeżyłby, siedząc w jednym miejscu.

Mężczyzna zatrzymał się, żeby się zorientować, gdzie się znajdują.

– Minęło trochę czasu, odkąd ostatni raz byłem w Ghorbalu – rzekł, rozglądając się dookoła. – Ale są dwa dobre miejsca, od których możemy zacząć poszukiwania. Jedno to leżący tam plac targowy – wskazał na północ – a drugie to gospoda Smocza Zmora we Wschodniej Dzielnicy.

– Gdzie zaczniemy? – spytał Soterius.

– Zaczniemy od obydwu – odpowiedział Harrtuck. – Ty i Carroway udacie się do gospody.

Nie będzie w tym nic dziwnego, że żołnierz i minstrel idą do Zmory, jeśli nie wejdziecie tam razem. – Obrzucił Carroway'a sceptycznym spojrzeniem. – Idźcie osobno, ale miejcie siebie nawzajem w zasięgu wzroku. Soteriusie, idź za Carroway'em. A ty, Carroway, miej oczy szeroko otwarte.

– Tris i ja udamy się na targowisko. Spotkamy się przy koniach o zmierzchu. To może nam zająć kilka dni – ostrzegł. – Jeśli znajdziecie Vahaniana, powiedzcie mu, że Harrtuck ma dla niego propozycję i że ma okazję zarobić dużo złota – dodał z uśmiechem.

– Mamy po prostu wejść do gospody i zapytać o niego? – spytał osłupiały Carroway.

Harrtuck uniósł brew.

– Niewielu jest w Ghorbalu ludzi, którzy nie znają Jonmarca Vahaniana, ze złej albo dobrej strony. Ci w gospodzie raczej go lubią, jak pamiętam, jako że płacił rachunki i rzadko demolował to miejsce.

– Musi być z niego świetny gość – wymruczał Soterius.

Harrtuck zignorował tę ironiczną uwagę.

– Tracimy czas, chłopaki – burknął wojak. – Nie zdziwiłbym się, gdyby Jared wysłał żołnierzy na poszukiwanie aż tak daleko na wschód.

– Robi się coraz weselej – rzucił ponuro Carroway, gdy wraz z Soteriusem podążyli ku gospodzie.

Im bliżej było do targowiska, tym większy ścisk panował na krętych uliczkach miasta. Wreszcie Tris i Harrtuck znaleźli się na dużym placu targowym zastawionym kupieckimi wozami. Na każdym z nich powiewały flagi z wizerunkami sprzedawanych towarów. Plac pachniał skórą, przyprawami i pieczonym mięsiwem. Wszędzie wokół nich handlarze, podnosząc głos, targowali się z kupującymi. Inni kupcy zachwalali swoje towary, nawołując przechodniów i pokazując sprzedawane wyroby. Ta kakofonia głosów mieszała się ze stukotem wozów i staccato końskich kopyt. Ponad tym zgiełkiem wznosił się dobiegający gdzieś z targowiska śpiew minstrela.

– Gdzie go mamy szukać? – spytał Tris. W tym tłumie czuł się bardzo niepewnie.

Harrtuck wzruszył ramionami.

– Może być wszędzie. Albo nigdzie. Jeśli los jest sprawiedliwy, to siedzi w nargijskim więzieniu. Albo jest martwy w wyniku jakiegoś nieudanego interesu – dorzucił.

– Jak on wygląda?

Harrtuck jeszcze raz wzruszył ramionami.

– Ze sposobu, w jaki chodzi, domyślisz się, że dobrze włada mieczem. Jest z urodzenia człowiekiem pogranicza, ale spędził tyle czasu na rzece, że potrafi rozmawiać ich gwarą jak tubylec. Ciemne włosy, ciemne oczy – ciągnął wojak. – Potrafi każdego oczarować, ale często nie umie w porę się wycofać i wtedy jest w stanie kogoś rozsierdzić.

Tris rozejrzał się po zatłoczonym targowisku. Żaden z kupców nie przypominał z wyglądu

Vahaniana. Byli zbyt starzy, zbyt wysocy, zbyt grubi. Przez trzy świece przeszukiwali

targowisko, ale za każdym razem, gdy Harrtuck wyłaniał się z kupieckiego kramu, potrząsał

głową.

– Mówi, że zetknął się z nim dwa tygodnie temu, ale nie widział go od tamtej pory – zameldował po wizycie u ostatniego kupca, po czym pogładził się po podbródku, gdzie przedtem miał zarost. – Myślę, że musimy znaleźć jakieś miejsce na nocleg. Wygląda na to, że Jonmarc wpada tu regularnie, więc jeśli nie znajdziemy go dziś, to możemy mieć więcej szczęścia jutro.

Tris zmarszczył brwi.

– Chyba że w tym czasie dogonią nas margolańscy gwardziści.

Harrtuck wzruszył ramionami.

– To możliwe. Ale z Margolanu prowadzi wiele dróg i nie wszystkie wiodą przez Ghorbal. Jeśli więc nie szuka nas cała armia, to sprawdzenie wszystkich wiosek po drodze zajmie im trochę czasu. Poza tym to najlepszy plan, jaki mam.

– Wiem – odparł zdenerwowany Tris – ale to nie znaczy, że on mi się podoba.

Drugiego dnia przeszukiwali kolejne wąskie, kręte uliczki Ghorbalu. Spędzili dwie świece koło wejścia do składu kupca jedwabnego, któremu wydawało się, iż tego ranka widział Vahaniana, gdy nagle Tris zauważył trzech gwardzistów na koniach w barwach Margolanu.

– Mamy towarzystwo – wyszeptał Harrtuck. Schowali się do piwiarni, dopóki gwardziści nie pojechali dalej, lecz to spotkanie sprawiło, że Tris poczuł się jeszcze bardziej zagrożony.

– Nie możemy czekać tu całe wieki – powiedział, kiedy usiedli w cieniu sklepu handlarza kerifem i sączyli ten gorący, gorzki napój, przyglądając się przechodniom.

– Cierpliwości – poradził Harrtuck. – On tu jest. Jestem tego pewien. Ma swoje własne powody, by się nie rzucać w oczy. Ale zbyt wielu ludzi go ostatnio widziało. Wróci.

Rozpytywali się jeszcze przez kilka dni, zbierając kolejne wskazówki co do ruchów Vahaniana. W końcu siódmego dnia od ich przybycia do Ghorbalu Harrtuck skreślił ku kramowi handlarza dywanami, który zachwalał swoje towary w bełkotliwej rzecznej gwarze

cartelasiańskich kupców.

Tris trzymał się z tyłu, wypatrując oznak tego, że on i Harrtuck wzbudzili nadmierne zainteresowanie. Na razie handlarze i kupujący zajęci byli swoimi sprawami i nie przejmowali się obecnością kilku obcych ludzi wśród nich.

– Szukamy handlarza – zaczął Harrtuck, ale kiedy przeszedł na niezrozumiałą gwarę, Tris nie był w stanie śledzić tej rozmowy. Po kilku minutach Harrtuck wrócił do miejsca, gdzie stał książę, i rzekł, opierając ręce na biodrach:

– Cóż, mówi, że tamten wóz należy do Vahaniana, ale nie widział go przez cały ranek. –

Wskazał na solidny wóz wypełniony belami materiału. Furgon był nadal zaprzężony w silnego konia, przywiązanego przy wylocie trzech rozwidlających się bocznych uliczek. *Dobre miejsce do szybkiej ucieczki*, pomyślał Tris.

– Zatem zakładając, że nie został aresztowany przez władze, powinniśmy go znaleźć, jeśli będziemy mieć jego furgon na oku.

– Wreszcie – mruknął Tris. Czuł się nieswojo, będąc tak na widoku. Carroway zmienił ich wygląd, farbując jasnoblond włosy Trisa na nie rzucający się w oczy brązowy kolor i obcinając swoją modną fryzurę tak, by przypominała powszechnie spotykany styl. Włosy Soteriusa zostały rozjaśnione do jasnobrązowego odcienia, zaś Harrtuck zgolił brodę, jednak te przebrania mogły tylko do pewnego stopnia ukryć ich przed kimś, kto naprawdę ich szukał.

Wybuchło jakieś zamieszanie i Tris starał się zobaczyć, co się dzieje. Przynajmniej tuzin nargijskich kapłanów zgromadził się wokół kupców na nabrzeżu, wymachując gniewnie rękami i pokrzykując gardłowym, brzmiącym jak staccato, głosem. Zrobiło się jeszcze bardziej nieprzyjemnie, gdy ich głosy się podniosły i kapłani zaczęli plądrować towary kupców, podnosząc je i potrząsając nimi z emfazą.

Tris zrobił krok w ich kierunku, żeby lepiej się przyjrzeć, lecz Harrtuck złapał go za ramię

i wciągnął we wnękę.

– Mamy kłopoty, chłopcze – wyszeptał. – Wrócili margolańscy gwardziści i idą w tę stronę. Nie odwracaj się – syknął.

– Musimy ostrzec pozostałych.

– Nie ma na to czasu. Są wystarczająco bystrzy, żeby bezpiecznie wrócić – warknął Harrtuck, wsuwając się za stertę koszy.

– Ci gwardziści nie chodzą od tak sobie, oni kogoś szukają – zauważył Tris, obserwując trzech żołnierzy, którzy przeciskali się przez tłum, zadając pytania. Potem gwardziści podeszli do kobiety w niebieskiej szacie, a ta skinęła głową i wskazała miejsce, w którym Tris i Harrtuck stali jeszcze przed chwilą. – Zmierzają w naszą stronę.

– Tutaj. – Harrtuck pociągnął Trisa za rękaw w stronę wozu Vahaniana. Wielki furgon zawalony był zwiniętymi cartelasiańskimi dywanami i belami delikatnych kourdijskich jedwabów. – Wskakuj, chłopcze – wyszeptał. – Jeśli gwardziści nie będą przeszukiwać każdego kupca, możemy tu zaczekać na Vahaniana.

Ledwie zdążyli zakopać się pod dywanami i jedwabiami, dobiegły ich głosy nargijskich kapłanów, jeszcze głośniejsze i ostrzejsze. Wybuchł chaos, gdy sterty towarów zwały się z hukiem na ziemię. Tris i Harrtuck niewiele widzieli ze swojej kryjówki, lecz za to usłyszeli biegnące w ich stronę kroki.

Nagle furgonem szarpnęło do przodu, a potem zaczął toczyć się coraz szybciej, pędząc prosto na margolańskich gwardzistów. Z tyłu za wozem biegli rozjuszeni kapłani.

– Ty tam, zatrzymaj się! – krzyknął gwardzista, lecz woźnica to zignorował, prowadząc furgon z zawrotną szybkością.

Nieszczęśni gwardziści nie mieli wyboru i musieli usunąć się z drogi, żeby wóz ich nie rozjechał. Grupa rozgniewanych kapłanów rzuciła się w pościg za uciekającym furgonem.

Tris i Harrtuck starali się utrzymać na wozie, gdy szarpało nim na wyboistej uliczce.

Towary podskakiwały i przesuwały się, obijając ich.

– Trzymaj się! – syknął Harrtuck, gdy wóz jedynie na dwóch kołach pokonał zakręt, pozostawiając za sobą część swojego cennego ładunku. Nargijscy kapłani, nie będąc w stanie biec dalej, podnieśli dywany i jedwabie, które spadły z wozu, i wciąż wykrzykując przekleństwa i groźby, wymachiwali nimi w powietrzu.

Nie zważając na tłum, woźnica furgonu pędził ulicami.

– Dokąd on jedzie? – wycedził przez zaciśnięte zęby Tris, starając się nie spaść z wozu.

Zwinięty dywan uderzył go z tyłu w głowę, a dwie śliskie belki jedwabiu zsunęły się na niego, przykrywając go. Rozwinięte jedwabie łopotały na wietrze za wozem niczym barwne chorągwie.

– Nie wiem, ale powozi tak, jakby sama Mścicielka nas goniła – rzucił w odpowiedzi

Harrtuck, który także starał się nie zsunąć z wozu pod naporem spadających dywanów. Woźnica krzyknął radośnie, gdy wóz minął w pędzie bramę miejską i znalazł się na otwartym gościńcu.

– Będziemy mieć długą drogę powrotną – wymruczał Tris, trzymając się z całych sił, aż rozbolały go ramiona. Nie mieli wyboru, musieli pozostać na wozie, niezależnie od tego, dokąd zmierzał, a przynajmniej dopóty, dopóki furgon nie zwolni. W końcu, nie mniej niż pół świecy po opuszczeniu miasta, wóz zmniejszył swoją zawrotną szybkość, a potem zatrzymał się koło niewielkiej kępy drzew.

– Gdzie jesteśmy? – wyszeptał Tris. Harrtuck wzruszył ramionami. – Czy myślisz, że on wie, że tu jesteśmy?

Harrtuck potrząsnął głową.

– Nie może wiedzieć. Ta osoba nie była nawet w zasięgu wzroku, kiedy my...

Przerwał mu bełt kuszy, który wbił się w dywan tuż obok jego ramienia.

– Radziłbym wam poruszać się bardzo powoli – wycedził mężczyzna. – Przy drugim

strzale poprawia mi się celność.

Harrtuck uśmiechnął się szeroko.

– Na Dziwkę! – zaklął. – To był twój najlepszy strzał! – Tris spojrział na niego, jakby ten oszalał, lecz Harrtuck uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Wychodźcie! – rozkazał woźnica, lecz już z mniejszą pewnością w głosie. Powoli, z uniesionymi rękoma, Tris i Harrtuck wygrzebali się spośród belek jedwabiów i zwojów dywanów i stanęli na ziemi.

Kusza woźnicy była naciągnięta i wymierzona w ich piersi. Mężczyzna był może o jakieś dziesięć wiosen starszy od Trisa, miał kasztanowe, równo przycięte włosy, które opadały mu do ramion. Jego ciemne oczy błyszczały żywą inteligencją, a ogorzała twarz świadczyła o wielu latach spędzonych na powietrzu. Miał bliznę biegnącą od prawego ucha aż do obojczyka. Jednak to, co uderzyło Trisa najbardziej, to pewność, z jaką mężczyzna trzymał kuszę, oraz zdecydowana postawa zawiadyki, która mówiła schwytanym mężczyznom, że nie blefował na temat swojej celności.

– Vahanian? – wyszeptał Tris, wciąż trzymając ręce w górze.

– Odłóż już tę zabawkę, dobrze, Jonmarc? – mruknął Harrtuck. – Tracę czucie w koniuszkach palców.

Jonmarc Vahanian przez chwilę przyglądał się zdumiony wojakowi, a potem powoli zwolnił naciąg i opuścił kuszę. Chwilę później na jego przystojnej twarzy pojawił się szeroki, krzywy uśmiech.

– Harrtuck, ty stary diable. – Podeszedł bliżej, śmiejąc się. Harrtuck uściskał go i klepnął mocno po plecach.

– Nadal żyjesz, Jonmarc – powitał go. – Interes musi się kręcić.

Vahanian zbył tę uwagę wzruszeniem ramion.

– Znasz mnie, Tov. Jakoś sobie radzę.

– Kim byli twoi przyjaciele tam na targowisku? – spytał Harrtuck. – Nigdy w życiu nie widziałem cię w towarzystwie tylu kapłanów. Byłem pewien, że tym razem nie wywiniesz się Starusze.

Vahanian roześmiał się.

– Właśnie wysłuchiwałem przyjaznego kazania tutejszego... hmm... cechu kupieckiego. –

Wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, że delektował się tą scysją.

– Od kiedy to kapłani interesują się tym, co masz do zaoferowania? Nie mów mi, że złożyłeś śluby – zażartował Harrtuck.

Vahanian zarechotał.

– To mało prawdopodobne, chyba że Mrocznej Pani – zaśmiał się. – Wierną służbą przez całe życie nie zdołam odplacić Bogini za to, co jestem jej winien. – Nagle spoważniał. –

Przemyślałem pewne towary do Nargi. Cartelasiańskie dywany i różne takie.

Harrtuck spojrział na niego skonsternowany.

– Czemu dywany wywołały taką reakcję kapłanów?

Vahanian popatrzył w niebo z udawaną niewinnością.

– Trudno powiedzieć. Tyle że gdzieś tam po drodze ktoś wypchał zwoje dywanów jedwabiami z Mussa i tordassiańską brandy.

Tris przysłuchiwał się tej rozmowie w milczeniu, starając się wyczuć tego kupca-awanturnika.

Jeśli Vahanian przeżył, szmuglując tak długo pod nosem Nargijczyków, to z pewnością musi być tak dobry, jak twierdził Harrtuck. Jeśli jednak powodowała nim chęć zysku, a na to wyglądał, to może ona wygrać z przyjaźnią, której istnienie zakładał Harrtuck. Tris przyglądał się, jak dwóch mężczyzn przekomarza się, i próbował się odprężyć, ale nadal trzymał dłoń blisko

miecza.

– Nie wyjaśniłeś jeszcze, dlaczego ukrywaliście się na moim wozie, Tov – powiedział

Vahanian.

Harrtuck wziął głęboki oddech.

– Mam dla ciebie propozycję handlową, Jonmarc. Potrzebny nam przewodnik.

Vahanian przeniósł spojrzenie z Harrtucka na Trisa i z powrotem.

– Nam?

– Mnie, temu młodzieńcowi i jeszcze dwóm innym – odparł Harrtuck, darując sobie prezentację. – Musimy jechać na północ, do Dhasson.

– To jedźcie – odparował przemytnik. – Mnóstwo ludzi robi to bez przewodnika.

Harrtuck potrząsnął głową.

– To jest nieco bardziej skomplikowane, Jonmarc. Wiesz, jakie są w zimie drogi wiodące na północ, a już zbliża się pora burz śnieżnych. Obecność przewodnika zwiększa szanse na dotarcie do celu, a ja nie mam w tym przypadku ochoty igrać z losem.

Umilkł na chwilę.

– Jest jeszcze jeden mały szkopuł, o którym nie wspomniałem – powiedział powoli. –

Mamy do przewiezienia dość trefny ładunek.

Vahanian wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Teraz mówisz moim językiem. – Zmarszczył brwi. – Ale Dhasson ma otwarte granice.

Niewiele się tam szmugluje, bo większość rzeczy sprzedaje się jawnie, poza zieleń snów, a wiesz, że ja nim nie handluję.

Harrtuck wbił w niego przenikliwe spojrzenie.

– Nie spodziewam się kłopotów z dostaniem się do Dhasson, ale z wydostaniem się z

Margolanu – stwierdził spokojnie. – A ten ładunek to ludzie.

Vahanian zmierzył Trisa przeciągłym, spokojnym spojrzeniem, zanim znów spojrzął na Harrtucka.

– Mów dalej.

Żołnierz wzruszył ramionami.

– Mam trzech przyjaciół, którzy byli świadkami pewnego nierozważnego posunięcia ze strony dość wysoko postawionego wielmoży – skłamał. – Widzieli, jak zabija innego wielmożę. Udało im się uciec, ale morderca wie, że byli świadkami tej zbrodni. Wyznaczył nagrodę, aby mieć pewność, że nie będą mieli okazji opowiedzieć o tym przyjaciołom zabitego mężczyzny.

Oblicze Vahaniana było nie zdradzającą niczego maską, a jego oczy wyrażały sceptycyzm.

– Wiesz, że jesteś moim dobrym przyjacielem, Tov – odpowiedział wymijająco, a w jego głosie zabrzmiała melodia rzecznej gwary. – Ale zazwyczaj nie szmugluję ludzi i mam po temu dobry powód. Nie chcę zostać skrócony o głowę.

– Wiem dobrze, Jonmarc, że za odpowiednią cenę przemycasz wszystko oprócz niewolników i ziela snów.

– Będzie musiała być cholernie wysoka.

– To dwukrotność nagrody, kiedy już bezpiecznie dotrzemy do Dhasson – zaproponował Harrtuck, a na jego pokrytej szramami twarzy pojawił się chytry wyraz.

– W złocie?

– W złocie – obiecał Harrtuck.

– A kto aż tak bardzo ucieszy się z uratowania tych świadków, że zapłaci tak ogromną sumę?

– Król Harrol.

Vahanian milczał przez chwilę, przyglądając się bacznie Trisowi, jakby starał się rozszyfrować ostatnie kilka minut tej rozmowy.

– Król, co? – powiedział niepewnie po chwili. – Czy mówiąc „trefny”, nie umniejszyłeś nieco powagi sprawy? – spytał oschle.

– Może ociupinę – przyznał Harrtuck.

– A jak bardzo dziany jest ten wielmoża, który chce złapać tych dwóch?

– Ma spore fundusze. Wystarczające, żeby wynająć zwiadowców i łowców nagród oraz opłacić szpiegów stąd do granicy.

– Uch, huh. – Vahanian spojrział uważnie na Harrtucka.

– A co mnie powstrzyma od sprawdzenia, czy ten wielmoża nie podniesie stawki? – spytał. Harrtuck wzruszył ramionami.

– Nic. Poza tym, że utrzymuje go u władzy krwawy mag, a on sam trzyma ludzi w jarzmie niewoli.

Harrtuck podniósł wzrok i wymienili spojrzenia z Vahanianem, a Tris miał wrażenie, że tych dwóch przekazało sobie więcej informacji, niż zostało powiedziane słowami.

– Ten sam, na którego natknąłeś się w Chauvrenne – dodał Harrtuck, przymrużając oczy.

Przez chwilę, zanim Vahanian znowu przybrał maskę obojętności, Tris miał wrażenie, że dostrzegł błysk w oczach przemytnika. Vahanian ponownie zmierzył go taksującym spojrzeniem, a potem zacisnął szczęki.

– Nie podoba mi się ta sprawa, Tov, ale zrobię to – powiedział. – Wiedziałeś o tym, jeszcze zanim mnie znalazłeś.

Harrtuck wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Podejrzewałem, ale nie wiedziałem. Jesteś dobrym człowiekiem, Jonmarc.

– Jestem głupcem w branży, w której głupcy umierają młodo – warknął Vahanian. – Nie zapominaj ani przez chwilę, że spodziewam się dobrej zapłaty.

– Nawet bym nie śmiał, Jonmarcu – odparł niefrasobliwie Harrtuck. – A teraz znajdziemy

miejsce na nocleg i wyprzęgaj tę swoją szkapę, żebym mógł pojechać z powrotem do Ghorbalu po dwóch pozostałych członków grupy.

Kiedy Soterius, Harrtuck i Carroway przybyli do przydrożnej karczmy w górze rzeki, zobaczyli Trisa czekającego z Vahanianem.

– A to jest ostatni członek naszej drużyny – przedstawił Soteriusa Harrtuck. – Ban, były kapitan gwardii naszego wielmoży o wątpliwej reputacji – dodał, rzucając Soteriusowi znaczące spojrzenie.

Vahanian zlustrował go wprawnie.

– Kapitan, co? – powiedział tonem świadczącym o tym, że nie robi to na nim wrażenia. – Jesteś niezły w posługiwaniu się tym? – spytał, wskazując głową na jego miecz.

Soterius spojrzał mu w oczy, podejmując wyzwanie.

– Nie zostałem kapitanem przez przypadek – odparł spokojnie. – Mogłem pokonać w walce każdego z moich ludzi, a wszyscy oni byli wyszkoleni przez mistrza.

– Uch, huh. – Vahanian odwrócił lekceważąco wzrok, jakby już wyrobił sobie własne zdanie. – No cóż, teraz ja jestem waszym przewodnikiem, co oznacza, że płacicie mi za to, żebyście dotarli żywi do Dhasson, więc musicie podporządkować się moim zasadom. – Odwrócił się z powrotem w stronę ogniska. – Zasada numer jeden: zabij sukinsyna albo zejź mi z drogi.

Soterius zjeżył się na to, ale ostrzegawcze spojrzenie Harrtucka sprawiło, że złagodził swoją odpowiedź.

– A zasada numer dwa? – spytał, nie próbując ukryć buty w swoim głosie.

Vahanian obejrzał się na niego z odrobiną cierpkiego rozbawienia.

– Dajcie mi dużo miejsca na nogi – odparł tajemniczo.

– Co ten gość sobie myśli, że kim on jest? – wymruczał później Soterius, kiedy wraz z Trisem wchodzili po schodach do swoich pokojów.

Tris zaśmiał się cicho.

– Widocznie Harrtuck uważa, że opinia, jaką Vahanian ma o sobie samym, jest zasłużona.

Za taką sumę, jaką zgodził się mu zapłacić, lepiej, żeby tak było.

– Ile Harrtuck mu powiedział?

– Niewiele – odparł Tris. – Podał mu podstawowe fakty, pominął kilka rzeczy.

Zaproponował dwukrotność nagrody, jeśli dotrzemy żywi do pałacu w Dhasson. Vahanian wie, że jesteśmy gorącym towarem, ale nie wie, kim jesteśmy.

– Ani jak bardzo gorącym towarem jesteśmy – dodał Soterius. – Czy mu ufasz?

Tris wzruszył ramionami.

– Nie. A przynajmniej jeszcze nie. Jeśli jest uczciwym najemnikiem, to nie zmieni strony w samym środku wojny. Harrtuck walczył u jego boku, a to się liczy. Ale nie sądzę, żeby mógł utrzymać się przy życiu, będąc zbyt sentymentalnym.

– W takim razie myślimy podobnie – rzekł Soterius. – Będę go miał na oku.

Rozdział piąty

Miecz zaśnił w świetle słonecznym, próbując trafić do celu. Zaciskając zęby, młoda kobieta o kasztanowych włosach sparowała cięcie, czując ból w ramionach od tego potężnego ciosu.

– Dobrze, zbliż się bardziej, jeszcze bardziej – polecił jej nauczyciel szermierki, a ona natarła, tnąc zdecydowanie, z determinacją. A potem nadarzyła się sposobność, na którą czekała.

Z okrzykiem rzuciła się do przodu, przedostała się przez jego obronę i trafiła go w ramię wywatowanej kurtki do ćwiczeń. W górze mały gyregon o zielonych łuskach zatrzepotał skórzastymi skrzydłami i zaskrzeczał, podniecony.

– Dobra robota, Wasza Wysokość, dobra robota! – pogratulował jej nauczyciel, zdyszany, ale zadowolony.

Kiara Sharsequin, księżniczka Isencroftu, uśmiechnęła się ze znużeniem i otarła pot z czoła wywatowanym rękawem. Związane z tyłu w węzeł kasztanowe włosy okalały twarz, w której widoczne było podobieństwo zarówno do matki ze Wschodniej Marchii, jak i do ojca z Isencroftu. Ciemne migdałowe oczy i nieco ciemniejsza cera przydawały egzotycznego wyrazu jej północnym rysom, które wraz ze wzrostem i wystającymi kośćmi policzkowymi odziedziczyła po ojcu. Mały gyregon podfrunął i wylądował jej na ramieniu, a ona pogłaskała go po łuskach.

– Na Panią, kazałeś mi się napracować, Darry! – zawołała, łapiąc oddech.

– Dość już na dzisiaj – rzekł Darry, wciąż uśmiechając się na widok jej triumfującej miny.

– Znacznie lepiej parujesz i ostatnio bardziej energicznie przechodzisz do ataku. Wyladowujesz swoją frustrację?

Kiara sięgnęła ręką. Żeby poluzować węzeł krępujący jej włosy, potrząsnęła głową i kasztanowe fale spadły kaskadą, otaczając jej twarz.

– Domyśliłeś się. Czasami mam wrażenie, że ty i te lekcje to jedyne, co chroni mnie przed obłądem.

Darry spoważniał.

– Tak właśnie sobie myślałem, Kiaro. Ale jesteś Pobłogosławioną przez Boginię – przypomniał jej. – Święta Pani nad tobą czuwa.

Kiara westchnęła i schowała miecz do pochwy, po czym usiadła na ławce, żeby wyswobodzić się ze swojego wywatowanego ubrania.

– Mam taką nadzieję, Darry. Ale biorąc pod uwagę moje szczęście, to Ona pewnie straciła zainteresowanie albo zupełnie o mnie zapomniała.

– To mało prawdopodobne, księżniczko – odparł Darry, a jego ogorzała twarz złagodniała, kiedy się uśmiechnął i przesunął dłonią po gęstych, mocno przetykanych siwizną włosach. –

Pamiętam, jak Pani ci się ukazała, zresztą każdy, kto wtedy żył, pamięta! Nie, Ona ma dla ciebie jakieś zadanie – rzekł z przekonaniem. – I tak jak ty, modłę się, żeby to dobrze wróżyło Isencroftowi.

Kiara odłożyła na bok wywatowaną kurtkę.

– Ja także, Darry – powiedziała w zadumie. – Ale obawiam się, że ostatnio nic nie wróży dobrze Isencroftowi.

– Jesteś zmęczona, księżniczko. Może rano wszystko nie będzie ci się wydawało aż tak przytłaczające – powiedział nauczyciel szermierki i dotknął pieszczotliwie jej podbródka. Uśmiechnęła się, ale był to uśmiech wymuszony, nie było bowiem widać wesołości w jej oczach.

– A jeśli nawet nie, to może poczujesz, że zdołasz temu sprostać. – Zamilkł na chwilę. – Przynajmniej możesz dziękować, że minął kolejny dzień, a Ty nie zostałeś wybrana do odbycia Podróży.

Kiara potrząsnęła głową i podniosła wzrok ku sufitowi sali ćwiczeń.

– To kolejny powód do zmartwienia – powiedziała z rezygnacją. – Kłopoty na północnej granicy, Cama i Cariny nie ma od kilku tygodni i nie było od nich wieści, a ojciec... – Umilkła. – I właśnie teraz Zgromadzenie Sióstr wezwało mnie do odbycia Podróży...

– Może po prostu dowiadujesz się, że rządzenie nie jest takie proste, co, mój mały sokole?

– Mężczyzna schował swój miecz. – Ale zaufaj Zgromadzeniu Sióstr. Nie dokonują wyboru o tak sobie. Spodziewam się też, że w przypadku Pobłogosławionej przez Boginię Podróż związana z osiągnięciem pełnoletności nie będzie czymś zwyczajnym.

– Jeśli próbujesz podnieść mnie na duchu, to nie jestem pewna, czy to akurat jest takie pocieszające – powiedziała Kiara i wstała, czując już, jak protestują jej obolałe mięśnie. Raz jeszcze przeklęła w duchu tradycję Isencroftu nakazującą, aby cała arystokracja, kobiety i

mężczyźni, celowali w szermierce, z której słynęła jej kraina. Wiedziała, że Darry nie może tego usłyszeć, jako że żołnierz miał w zwyczaju przypominać jej, iż nawet wieśniacy, poza kobietami z niemowlętami u piersi oraz dziećmi zbyt małymi, żeby dźwić broń, mieli ćwiczyć posługiwanie się choćby najprostszą nawet bronią. Pochodzenie z Isencroftu oznaczało znajomość szermierki. Modliła się, żeby przygotowania jej ludu wystarczyły. Bała się jednak, że tak nie będzie. Rozległy Isencroft miał więcej stad zwierząt niż ludzi; mieszkańcy rozproszonych ludzkich osad wznosili swoje domy na płaskich równinach Isencroftu, które miały żyzną ziemię i dobre pastwiska. Nikt nie pamiętał, żeby w Isencrofcie kiedykolwiek panował głód. Jednak za życia poprzednich pokoleń wojny przychodziły niemal tak regularnie jak deszcze; atakował ich jeden sąsiad po drugim, spragniony ziemi Isencroftu i dostępu do Morza Północnego.

Kiara ufała umiejętnościom bojowym swego ludu. Jednak niebezpieczeństwo, które czało się teraz za granicami królestwa, nadeszło ze strony magii, a nie ludzi.

– Jest jeszcze Margolan – westchnęła, pomagając Darry’emu pozbierać broń porzucaną w czasie ćwiczeń.

– Słyszałem, że przybył posłaniec – rzucił od niechcienia Darry.

Kiara prychnęła mało dystyngowanie.

– Ładny mi posłaniec. Mała, napuszona gnida. Przybył, aby przynieść królewskie pozdrowienie i zaproszenie od Jego Królewskiej Mości Jareda z Margolanu do odwiedzenia go w jego pałacu. I przypomnienie o zaręczynowym kontrakcie podpisanym zaraz po moim urodzeniu.

Skrzywiła się, pomagając Darry’emu odłożyć broń na miejsce.

– Jego Królewska Mość – powtórzyła szyderczo. – Wszyscy nasi szpiedzy donoszą o tym samym, że zamordował swoją rodzinę dla zdobycia tronu.

– To niebezpieczne słowa, księżniczko – ostrzegł ją Darry – nawet jeśli prawdziwe.

– Oczywiście, że prawdziwe! – odparowała, opierając rękę na biodrze i obrzucając mężczyznę gniewnym spojrzeniem. – A teraz chce powiększyć swoje imperium. Poprzez małżeństwo.

– Twój ojciec nigdy cię nie zmusi...

– Ale mój ojciec nie jest sobą – przerwała mu, opadając z rezygnacją na ławkę w sali ćwiczeń. – Obydwoje o tym wiemy. A jeśli Jared ma jakichś szpiegów – nie mówiąc już o mrocznych magach, którzy ponoć wypełniają jego wolę – to o tym wie. Jeśli to nie on w ogóle to spowodował – dodała ponuro. – Ten jego demon Arontala bez wątpienia potrafiłby stworzyć klątwę tak potężną jak ta, którą rzucono na mojego ojca.

– Za bardzo się zamartwiasz, Pobłogosławiona przez Boginię – powiedział łagodnie Darry, stawiając stopę na ławce i opierając się łokciem o kolano. – Nasz lud z pewnością nie pozwoli, żebyś została zmuszona do małżeństwa wbrew swojej woli.

Kiara wzruszyła ramionami.

– Sam mi mówiłeś, że my, w których żyłach płynie królewska krew, często mamy mniejszą możliwość wyboru w życiowych sprawach niż najbiedniejszy z wieśniaków. Zbyt wiele spraw wisi teraz na włosku, Darry – powiedziała, przyciągając kolana do piersi jak dziecko i obejmując je mocno rękoma. – Wielmoże na pewno podejrzewają, że ojciec nie czuje się dobrze. Nie potrafi teraz nawet zachować pozorów, a im dłużej będzie „niedomagał”, tym więcej będzie krążyło plotek. Dwa słabe zbiory pod rząd i zła pogoda w tym roku mogą doprowadzić do tego, że z nadejściem zimy zapanuje głód. Margolan był niegdyś godnym zaufania sojusznikiem. Teraz jednak, kiedy Isencroft stał się tak słaby, wystarczy zagrożenie ze wschodu albo magiczne bestie z północy i nie będziemy mieć wyboru. Ja nie będę miała wyboru – wyszeptała – i będę musiała kupić bezpieczeństwo Isencroftu za cenę swojej osoby.

– Na Dziecię i Staruchę, ale jesteś dziś w ponurym nastroju! – zawołał Darry. – Chcesz

pomówić jeszcze o jakichś nieszczęściach? Zaraza? Powódź? Szarańcza? – Uśmiechnął się szelmowsko. – Może dodatkowe sesje ćwiczeń zwrócą myśli ponurej księżniczki ku bardziej pożytecznym sprawom?

Kiara podniosła głowę i obrzuciła go groźnym spojrzeniem znad splecionych rąk.

– Istnieje kara za zabicie księżniczki zbyt dużą ilością ćwiczeń z bronią. Na pewno istnieje.

A jeśli nie, to już ja się postaram, żeby Allestyr zaraz ją stworzył.

Darry zaśmiał się.

– Odkąd Carina wyjechała, za bardzo się zamartwiasz, księżniczko – skarcił ją. – Zaufaj

Jasnej Pani. Isencroft i ty dożyjecie jeszcze szczęśliwszych dni.

Kiara westchnęła, wstała i przeciągnęła się. Poklepała instruktora czule po ramieniu.

– Mam nadzieję, że masz rację, Darry. Przez wzgląd na nas wszystkich. – Czowała swoje obolałe mięśnie i wiedziała, że nawet po gorącej kąpieli, z nadejściem poranka ból nie minie.

Upragniona gorąca kąpiel skończyła się jednak o wiele za szybko, a czekająca ją tego wieczora praca martwiła Kiarę bardziej niż bolące mięśnie. W prywatnym saloniku obok jej sypialni najbliżsi doradcy Kiary czekali na jej przybycie. Dziewczyna wśliznęła się do komnaty i przywitała grupkę ludzi, którzy wydawali się mocno zaniepokojeni.

– Czy wszystko gotowe, Tice? – spytała chudego białowłosego mężczyznę.

Tice skinął głową.

– Wszystko gotowe. Wasza Wysokość. Błagam cię jednak, byś to jeszcze przemyślała.

Ryzyko jest zbyt duże.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że nie mamy innego wyjścia – odparła z uporem, biorąc od niego małą aksamitną sakiewkę. Wyjęła z niej delikatny naszyjnik wysadzany klejnotami, które błyszczały w blasku świecy. Podała swoją świecę mężczyźnie, założyła naszyjnik i podniosła

głowę.

– Jesteś zbyt młoda na takie obowiązki – zaprotestował Tice.

Kiara obrzuciła go spojrzeniem z ukosa.

– Rozpieszczasz mnie, Tice – skarciła go łagodnie. – Czyż ojciec nie powiedział ci, że jestem już za stara, aby być „odpowiednią” partią? W tym wieku, mając niemal dwadzieścia wiosen, wiejska dziewczyna ma już czwórkę bachorów, a nawet piątkę, jeśli młodo zaczęła i każdego roku rodzi po jednym – powiedziała, uśmiechając się szelmowsko.

– Wasza Wysokość. – Tice cmoknął z dezaprobatą, choć nie zdołał ukryć rozbawienia. – Mam nadzieję, że powściągniesz swój język przy ludziach.

Kiara zaśmiała się cicho.

– To zależy. Chciałabym, żeby ten margolański ambasador przekonał swojego króla, że jestem zupełnie nieodpowiednia dla takiego wspaniałego władcy – odparła z sarkazmem.

– Kolejne przywoływanie wizji zapewne nie jest konieczne – argumentował Tice. – Powinnaś oszczędzać siły. Za wiele od siebie wymagasz.

Kiara dotknęła palcami pradawnego wisiora o skomplikowanym wzorze. Był wysadzany owalnymi kamieniami, a każdy reprezentował jeden z pięciu klejnotów poświęconych Bogini: brylant pochodzący z najgłębszych jaskiń, rubin barwy ognia, szmaragd zielony jak morze, szafir błękitny jak niebo i bursztyn przypominający oczy Pani.

Metal, z którego został zrobiony wisior, był wygładzony przez lata użytkowania, a od jego mocy mrowiły ją palce.

– Naprawdę, Tice – powiedziała, dotykając delikatnie jego ramienia – za bardzo się martwisz. – Uśmiechnęła się swoim najbardziej ujmującym uśmiechem, a Tice potrząsnął głową z rezygnacją,

– Zawsze potrafiłaś owinać mnie wokół swojego palca, Kiaro, i to się pewnie nie zmieni.

Proszę cię tylko, żebyś oszczędzała siły. Isencroft cię potrzebuje.

– Wszyscy są obecni, Wasza Wysokość – powiedział Hellen, jej zaufany gwardzista.

Chociaż od samego początku był obecny przy każdym Rytuale, to i tak wyglądał na spiętego.

Kiara spojrzała na tę niewielką, pełną obaw grupkę. Pięciu jej najbliższych doradców czekało na magiczny obrzęd z niepokojem, lecz jednocześnie z wielkim zaangażowaniem.

Allestyr, królewski seneszał, skinął głową w milczącym powitaniu, podobnie jak brat Felix, akolita Wyrocni.

– Zaczynam wznoszenie ochronnego kręgu. – Cerise, uzdrowicielka zmarłej matki Kiary, wystąpiła do przodu, żeby podnieść kielich z ołtarza znajdującego się na środku komnaty. Nawet jej talent uzdrowicielki nie był w stanie poradzić sobie ze spowodowanym podeszłym wiekiem zgarbieniem pleców i lekkim utykaniem.

Pozostali stanęli w kręgu. Kiara weszła do środka. Jae tym razem przysiadł na ramieniu Tice'a. Brat Felix uniósł ręce z nabożną czcią, pokazując wszystkim kolejny kielich, który trzymał delikatnie w swoich spracowanych dłoniach. Był niski i szeroki, wypełniony wodą. Kiara wzięła kielich od brata Felixa i trzymając go przed sobą, głęboko odetchnęła i zaczęła rytuał.

– Moce, wysłuchajcie mnie! Bogini Światła, przybądź! – wyrecytowała, zamknawszy oczy, aby się skupić. – Jestem Wybranką Isencroftu, pochodzę z królewskiego rodu. Zebraliśmy się tutaj, żeby przywołać pradawne Moce. Roszczę sobie prawo do Mocy przez wzgląd na dziedzictwo mojej krwi i prawo do korony. W imię aspektów Świętej, chrońcie to królestwo. Niech Matka broni go jak swojego pierworodnego, a Mścicielka strzeże jego granic. Niech Mroczna Pani wielbi je jak swojego kochanka, a Dziecię w swej niewinności chroni jak ukochaną. Niechaj mojej woli stanie się zadość!

Kielich rozjarzył się, oświetlając twarz Kiary niesamowitą błękitną poświatą. A potem

powietrze w komnacie zaczęło się poruszać, krążąc wokół nich. Początkowo delikatnie, potem jednak jego siła rosła, aż przelatywało wokół nich z wyciem i Kiara miała wrażenie, iż dostrzega twarze w tej magicznej wichurze.

– Duchy Ziemi, wysłuchajcie mnie! Wiatry Północy, bądźcie mi posłuszne! Wody Południowych Krain, nagnijcie swój bieg do woli Wybranki! Ognie Wschodzącego Słońca, poddajcie się moim rozkazom! Ziemi naszych przodków pod słońcem zachodu, nakazuję ci prawem dziedziców Isencroftu odsłonić to, co ukryte, i znaleźć to, co nam drogie. Niechaj tak się stanie!

Nieruchoma woda w kielichu zaczęła się jarzyć w głębi, a już po chwili formujący się w niej obraz był niemal skończony.

– Cam i Carina – zameldowała Cerise, gdy zobaczyła w kielichu podróżujących kuzynów Kiary. Opary poruszyły się i obraz się zamazał. Kiedy woda znowu stała się przejrzysta, Cerise głośno wciągnęła powietrze. Obrazy zmieniały się teraz tak szybko, że trudno je było rozpoznać; były to płomienie i błysk mieczy. Potem Kiara spojrzała w głąb bursztynowej mgły. Carina była w niebezpieczeństwie, a Cam wymachiwał mieczem z ponurym wyrazem twarzy i włosami zlepionymi potem. Wreszcie obraz przesłoniła szara mgła. Kiara osunęła się na kolana i obraz znikł.

– Przerwij krąg! – syknęła Cerise. – Nie możemy ci pomóc, dopóki nie przerwiesz kręgu!

– Wietrze i Ogniu, Ziemi i Morzu, uwalniam was! – wyszeptała Kiara. Blask w kielichu przybladł, a potem zgasł, ginąc w mroku. Kellen objął Kiarę i delikatnie podniósł ją z podłogi, a brat Felix wziął kielich od Cerise.

– Co takiego zobaczyła? – spytał Allyster.

Uzdrowicielka potrząsnęła głową.

– Obawiam się, że nie dobrego. Cam i Carina są w niebezpieczeństwie, ale woda nie

pokazała jasnego obrazu. Nie wiadomo, czy była to wizja tego, co już było, tego, co dopiero ma się wydarzyć, czy też czego, co może ulec zmianie.

– Dziękuję – wyszeptała Kiara, wciąż opierając się ciężko na Kellenie. Czuła wokół drganie pozostałości mocy, które wezwali. Kellen otworzył barkiem ciężkie drzwi do sypialni Kiary i Cerise pomogła księżniczce położyć się do łóżka. Potem brat Felix podszedł, by się nią zająć, zaś Tice i pozostali stanęli pod ścianami komnaty w oczekiwaniu.

– No i? – spytał Tice.

Cerise podniosła wzrok i odsunęła z oczu kosmyk siwych włosów.

– Wydobrzeje. Ale każde przywoływanie wizji ją wycieńcza.

Kiara uniosła głowę, żeby spojrzeć na starą uzdrowicielkę.

– Wiecie, że nie znoszę, jak mówicie o mnie tak, jakby mnie tu nie było – zganiała ich, lecz zmęczony uśmiech złagodził jej utyskiwania.

Cerise poklepała Kiarę po dłoni i przysunęła puchar do jej ust. Dziś w nocy otrzymali odpowiedź, jakiej szukali. Cam i Carina, Królewski Rycerz i Królewska Uzdrowicielka, byli w niebezpieczeństwie, a wynik ich misji – polegającej na odszukaniu Zgromadzenia Sióstr i znalezieniu recepty na chorobę króla – niepewny. Cerise skończyła swoje zabiegi i wstała. Księżniczka walczyła ze snem, zdecydowana zachować przytomność, kiedy pozostali byli w pobliżu. Jae porzucił swoje miejsce na ramieniu Tice’a, przefrunął na wezłowie Kiary i usiadł tam jakby na straży.

Allestyr zdjął imbryk z ognia i nalał każdemu do pucharu grzanego wina. Cerise, trzymając swój puchar w dłoniach, opadła na krzesło i wpatrywała się w ogień.

– Ona za wiele od siebie wymaga, zajmując miejsce ojca i przygotowując się do swojej Podróży. Nieobecność Cariny tylko pogarsza sprawę – powiedziała.

– Może Wyrocznia... – zaczął Allestyr.

– Wiesz, że król jest rozżłoszczony na Wyrocznię – przerwała mu ze znużeniem Cerise. –

Bogini zbyt rzadko udziela rad dotyczących kłopotów Isencroftu.

– Wkrótce będziemy potrzebować jakiejś odpowiedzi – wtrącił Kellen, osuszając swój puchar.

– Wiem, Kellenie – wyszeptała Cerise. – Wiem.

Być może potem powiedzieli coś jeszcze, ale grzane wino, ciepło ognia i zmęczenie po tym wieczorze wreszcie pokonały Kiarę i mimo jej wysiłków, żeby nie zasnąć, zapadła w sen.

Rozdział szósty

Jared Drayke bębnił palcami w stół.

– Nie mówi wszystkiego, co wie – warknął.

Foor Arontala dał znak odzianemu na czarno katowi i obiekt irytacji Jareda znowu wrzasnął, gdy rozżarzone do czerwoności żelazo przypaliło mu ciało.

– Proszę, już nie! – zawołał żołnierz błagalnym tonem. – Panie, przysięgam, że powiedziałem wam wszystko!

Nastrój Jareda pogarszał się z każdą chwilą.

– Gdzie jest mój brat?

Twarz żołnierza była blada z przerażenia.

– Nikt tego nie wie, panie, przysięgam, że mówię prawdę. Zgubiliśmy jego trop w

Ghorbalu, kiedy uciekł z tym najemnikiem Vahanianem. Jakby się pod ziemię zapadł. Nic więcej nie potrafię powiedzieć. Litości, panie, błagam – wyjęczał zwiadowca. Spętany łańcuchami jak prosię i zmuszony do klęczenia przed królem, mężczyzna był półprzytomny, a świeże rany na jego twarzy i ramieniu świadczyły o frustracji Jareda.

Na prośbę o litość Jared odpowiedział przekleństwami.

– Nie, oczywiście, że nie potrafisz nic powiedzieć. Zawiodłeś mnie. – Jared skinął

ponownie na kata, a ten odłożył pogrzebacz i podniósł topór. – Wiesz, jakie są konsekwencje.

Zanim zwiadowca zdążył się obrócić, kat zamachnął się toporem i zgrabnie odrąbał mu głowę. Ciało, wciąż tryskające krwią, upadło na podest do prowadzenia przesłuchań, a krew spłynęła wąską rynną biegnącą wzdłuż jego krawędzi do ozdobnej misy. Jared odwrócił wzrok z obrzydzeniem.

– Wystawcie jego ciało przed koszarami – rozkazał. – Niech posłuży za przykład. Może następny zwiadowca bardziej się przyłoży. – Ostentacyjnie zwrócił gniewne spojrzenie na maga w czerwonej szacie, który stał milcząco koło wygasłego paleniska. – A mój mag niewiele lepiej się sprawił – rzucił sucho zaraz po tym, jak kat wywlókł ciało i głowę z pomieszczenia.

Foor Arontala był chudym mężczyzną z lekko przygarbionymi ramionami i prostymi brązowymi włosami, które opadały niechlujnie na jego bladą młodzieńczą twarz. Szaty koloru zaschłej krwi podkreślały bladość maga. Jasnobłękitne oczy Arontali zdradzały jego prawdziwy wiek – stulecia, a nie tylko dziesięciolecia – zaś wąskie wargi skrywały siekacze potwierdzające pogłoski, iż jest on jednym z nieśmiertelnych. Z wyrazu twarzy Arontali jak zawsze nic nie można było wyczytać.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, co masz na myśli, panie.

Jared prychnął pogardliwie.

– Idź do diabła. Zapewniałeś mnie, że wszystko pójdzie gładko.

– I poszło – odparł mag, nie poruszony złością Jareda. – Tron Margolanu należy do ciebie, a wszyscy, którzy stawiali opór, zostali uciszeni.

– Ale mój brat żyje – warknął Jared. – Może zebrać wokół siebie niezadowolonych z moich rządów i zakwestionować moje prawo do tronu.

– Twój brat nigdy nie wykazywał najmniejszej chęci rządzenia.

– Nie musi jej wykazywać – pieklił się Jared. – Wystarczy, że pożyje na tyle długo, by

dotrzeć do Dhasson, a już inni postarają się wszcząć bunt.

– Zatem musimy zrobić wszystko, żeby nigdy nie dotarł do Dhasson.

Jared wstał i podszedł do okna. Była jesień i tylko grube mury pałacu chroniły przed przenikaniem chłodu do wnętrza komnaty. Ciemnobrązowe włosy króla opadały miękkimi falami do ramion, okalając twarz, która byłaby przystojna, gdyby nie aroganckie skrzywienie ust i bezlitosny błysk brązowych oczu. Podobieństwo między Jaredem a jego młodszym przyrodnim bratem było wyraźne, choć Tris był blondynem, a Jared szatynem.

– Co proponujesz?

– Jestem pewien, że on zmierza na północ. Prowadzi tam tylko kilka dróg. Wynajmij tropiciela, żeby go odnalazł, i wynagródź go za to dobrze.

– I nic więcej? Sam mogłem na to wpaść. Czy mag nie może wymyślić czegoś lepszego?

Arontala zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

– Można wykorzystywać magię i można wykorzystywać ludzi. Moja magia potwierdza, że twój brat żyje i podąża na północ. Ale bez bardziej precyzyjnych informacji nie mogę go unieszkodliwić, nie eliminując przy tym sporej części ludności wzdłuż północnego szlaku.

– Więc zrób to!

Arontala sprawiał wrażenie lekko rozbawionego.

– To nie byłoby mądre, panie – odparł, odsuwając się od ściany. – Nawet ty panujesz za zgodą ludu. I moja moc będzie bezskuteczna, jeśli wystarczająca liczba ludzi zechce zmiany twoich rządów. Nadal krążą plotki o śmierci twojego ojca. I o podejrzanym mrocznym magu – dodał z lekką ironią. – Boją się ciebie, lecz nie czują do ciebie nienawiści. Jeszcze nie. Zaczekaj, aż twój brat umrze, zanim staniesz się im bardziej nienawistny, w przeciwnym razie dasz bratu niepotrzebną przewagę.

Jared odwrócił się, by wyrzeć przez okno.

– To wynajmij tych swoich skrytobójców i dobrze im zapłać. Chcę, żeby Tris zginął.

– Jak sobie życzysz, panie.

Jared obejrzał się na niego przez ramię.

– A ta druga sprawa? Czy ją załatwiłeś?

Arontala był już po przeciwległej stronie komnaty, choć Jared nie widział, kiedy tam się przemieścił. Był to irytujący zwyczaj i prawdopodobnie właśnie dlatego mag wciąż to robił.

Arontala podniósł misę z krwią żołnierza i przesunął palcem po jej krawędzi. Zwilżył wargi językiem, uniósł misę i zaczął pić. Jareda przeszedł dreszcz na widok błysku jego białych zębów.

– Oddawaj się tym swoim ohydnyim praktykom gdzie indziej – warknął. – Mag, który może poruszać się tylko w ciemnościach, ma dla mnie jedynie połowiczną wartość.

Arontala odstawił pustą misę; jego usta były nieskazitelnie czyste.

– Nie powinieneś mówić o tym, czego nie pojmujesz, panie – rzucił sucho. – Jeśli wolisz, mogę inaczej się żywić, ale nie wiem, czy nawet ty jesteś wystarczająco potężny... jak na razie... żeby bezkarnie ukrywać wyklętego vayash moru.

– Ta cała twoja mroczna magia nie na wiele mi się zdała – warknął Jared. – A jeśli chodzi o plotki, to czy sądzisz, że ludzie z gminu uwierzyliby, iż udzieliłem schronienia któremuś z twoich pobratymców... po tym, jak tyle wysiłku włożyliśmy w wytępienie innych vayash moru?

– Zamilkł na chwilę. – Nadal myślę, że mógł z nich być większy pożytek... dla nas.

– Ach tak – odpowiedział Arontala tym swoim spokojnym głosem, który Jared postrzegał jako kpiący. – Jared Drayke, pogromca vayash moru, obrońca królestwa. Nawet ja nie mogłem zapanować nad tak wieloma... jak to powiedziałaś... moimi pobratymcami.

– Nawet ty? – spytał szyderczo Jared.

Arontala machnął lekceważąco ręką.

– Są jeszcze pałacowe duchy.

– Na sztylet, którym zabiłeś swojego ojca, został rzucony czar mający zniszczyć jego duszę i ciało. Ciało zostało spalone, a popioły zmieszane z suchym murszem i rozsypane przy pełni księżyca. Żadna magia nie przywoła go z powrotem – odparł Arontala.

– A pozostałe duchy?

– Niektóre zostały wygnane i nie mogą wrócić, chyba że je wezwę. A jeśli chodzi o twoją macochę i jej dzieciaka, to ciągle mam na oku ich duchy – powiedział mag z zabójczym uśmiechem, chodząc naokoło pulsującej czerwieni kuli. – Czekają na Karmienie. – Przesunął dłoń tuż nad powierzchnią kuli. – Są bezpieczne w moim Łapaczu Dusz. – Uśmiechnął się.

– Jest jeszcze Bava K’aa – warknął król. – Widziałem, co potrafi.

– Bava K’aa nie żyje.

Jared odwrócił się w stronę maga i potrząsnął głową.

– Ona była mistrzynią magii. I to potężną. Mogła kazać pozostać swojemu duchowi.

– I dlatego ustanowiliśmy ochronny krąg wokół sali tronowej, kiedy twój ojciec zmarł – odparł Arontala. – Rzuciłem też zaklęcie, które wyгнаło pałacowe duchy. Jeśli jej duch tu jest, choć go nie wyczuwam, to nie przyszedł na pomoc Bricenowi.

Jared zaczął się przechadzać po komnacie.

– Nie, nie przyszedł – powiedział cicho, jakby sam do siebie. – Ale ona zawsze faworyzowała bachory Serae. Myślę, że planowała, że to syn Serae będzie rządził. – Podniósł wzrok na maga. – Chcę, żebyś znalazł jej ciało i zniszczył je.

Arontala obrzucił go sceptycznym spojrzeniem.

– Bava K’aa została pochowana w cytadeli Zgromadzenia Sióstr. Nic poza wojną nie naruszy ich systemów obronnych.

– Skąd wiesz, co da się zrobić, a co nie?! – wybuchł Jared. – Masz się postarać, żeby nic mi nie przeszkodziło. Jeśli nie możesz tego zrobić, znajdę potężniejszego maga, który to potrafi!

Arontala wyglądał na lekko rozbawionego.

– Wyczuwam, iż obawiasz się czegoś więcej niż ducha Bava K’aa.

Jared przestał się przechadzać przed wygaszonym paleniskiem i wpatrzył się w jego ciemny otwór.

– Zawsze słyszałem, że czarodzieje muszą mieć dziedzica swojej magii. – Odwrócił się do Arontali i zmusił do spojrzenia w jego szydercze ciemne oczy. – A jeśli ten mój cholerny brat jest jej dziedzicem?

Jak zwykle spojrzenie maga nic nie zdradzało.

– Nie masz powodu, by w to wierzyć. Twój brat wykazywał jeszcze mniejsze zainteresowanie magią niż rządzeniem. Ale, Jaredzie, jeśli uważałeś go za takie zagrożenie, to dlaczego sam go nie zabiłeś? Miałeś wystarczająco wiele okazji.

– A jeśli on ma moc Bava K’aa? – ciągnął dalej z uporem Jared. – Czy zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? Może wezwać jej ducha do walki ze mną, posłużyć się jej mocami przeciwko mnie i przejąć tron. Jeśli odziedziczył dar babki i zostanie Przywoływaczem Dusz, wówczas będzie miał na swoje rozkazy zarówno duchy, jak i nieumarłych.

– Lękasz się bajek dla dzieci i opowieści o duchach.

– Zatem udowodnij mi, że się mylę! Wypędź Zgromadzenie Sióstr. Dopilnuj, żeby Bava K’aa nie powróciła z martwych. I znajdź mojego brata!

– Jak sobie życzysz, panie. – Arontala złożył niski ukłon, który wydawał się Jaredowi oznaką fałszywego szacunku. – Ale jest jeszcze kilka szczegółów, które mogą cię zainteresować.
– Mów.

– Rzuciłem zaklęcie ustawiające magiczną barierę na granicy z Dhasson. – Na wąskich ustach maga pojawił się uśmiezek zadowolenia z własnej przebiegłości. – Jest nakierowane na twojego brata. Gdy tylko przekroczy granicę, zaklęcie wezwie wszystkie mroczne istoty w

Północnych Krainach. – Arontala uśmiechnął się z ukontentowaniem. – Nikt nie zdoła przeciwstawić się tym... istotom... i przeżyć.

– Nikt poza magiem – wymruczał ponuro Jared. – Mój brat ma tyle żywotów co kot.

Znowu zaczął się przechadzać po komnacie.

– Choć powtarzasz mi, że jesteś najpotężniejszym magiem w Siedmiu Królestwach, to nie powiedziałaś mi, kto stworzył te mroczne bestie, jako że sam nie potrafisz takich wyczarować.

Po raz pierwszy Jaredowi udało się zdobyć przewagę nad Arontalą i mag odwrócił się, machnąwszy lekceważąco ręką.

– Nie ma znaczenia, kto je stworzył. To, co ma znaczenie, to fakt, że wykorzystaliśmy te bestie.

– Nie ma znaczenia, kto je stworzył – powtórzył oschłym tonem Jared – dopóki ten mag się nie pojawi i nie wystawi nam rachunku.

– Są bardziej palące sprawy, którymi należy się zająć – odpowiedział ze zniecierpliwieniem Arontala.

– Takie jak mój brat.

– Jest tylko przeciętnym szermierzem, panie – odpowiedział protekcjonalnym tonem Arontala. – Nawet gdyby miał pomoc, to tych stworzeń, z którymi będzie się musiał zmierzyć, jest zbyt wiele. Nie przeżyje przekroczenia granicy. A przynajmniej nie pożyje zbyt długo.

– Twoje zapewnienia są czcze – warknął Jared. – Nie spocznę, póki on nie umrze.

– Nie będziesz musiał długo czekać, Wasza Królewska Mość. – Arontala podszedł do okna. – Czy masz aż tak mało wiary we mnie?

– Tak – odparował Jared. – Nie dałeś mi Isencroftu i nie pozbyłeś się mojego brata. Jeśli taka prosta sprawa przekracza twoje możliwości...

– Tylko słaby król posługuje się magią, kiedy wystarczy umiejętność rządzenia –

odpowiedział ze zniecierpliwieniem Arontala, odwracając się od okna. – Masz przymierze podpisane przez twojego ojca i króla Donelana z Isencroftu, które przypieczętowały zaręczyny księżniczki Isencroftu z następcą tronu Margolanu. Już nakazałem Catorilowi udać się tam, aby przywieźć księżniczkę Kiarę z wizytą. Musisz tylko zrobić na niej wrażenie. Myślę, że nawet ty powinieneś sobie z tym poradzić.

Jared obrzucił maga wściekłym spojrzeniem.

– Powinieneś być już rozwiązać problem z Donelanem – odparł, znowu się przechadzając.

– On nadal może zabronić księżniczce tego małżeństwa. Kiedy go zabijesz, Kiara nie będzie miała wyboru, Isencroftowi grozi głód. Nawet dumna księżniczka-wojowniczka musi dostrzec, że nie ma innej alternatywy poza... opieką ze strony Margolanu.

Arontala przyglądał się Jaredowi z ironicznym rozbawieniem.

– Mówi się, że to nie magowie najbardziej uzależniają się od magii. Rzuciłem na Donelana wyniszczające zaklęcie, ale on mu się opiera. Uczynienie czegoś więcej na taką odległość to trwonienie mojej mocy.

– Ja o tym zdecyduję! – warknął Jared. – Miałeś go uśmiercić.

– Cierpliwości, panie. Cierpliwości. Niemądrze by było afiszować się z naszymi mocami.

Jeszcze nie teraz. Donelana nie widziano od kilku miesięcy. Gdyby nie to, że ujrzałem go w przywołanej wizji, można by przyjąć, że już nie żyje. A Kiara Sharsequin nie jest jedną z tych twoich głupiutkich metres. To Pobłogosławiona przez Boginię wprawna wojowniczka. Będziesz musiał własnymi siłami zdobyć jej zgodę na to małżeństwo. – Uśmiechnął się chłodno. – Po ślubie dopilnuję, aby zmarła.

– Kolejne obietnice – wymruczał Jared. – Odejdź. Mam już dość twojego gadania.

Przynieś mi wieści od twoich szpiegów, gdy dotrą na północne drogi. Chcę wiedzieć, kiedy mój brat przekroczy granicę.

Arontala skłonił się z przesadną gracją.

– Jak sobie życzysz, panie – powiedział, lecz spojrzenie, którym obrzucił króla, nie pozostawiało wątpliwości, że ten pokaz uniżoności był jedynie kolejną niebezpieczną grą. Patrząc, jak mag odchodzi, Jared wzdrygnął się. Pomyślał, że czarodziej może składać tyle zapewnień, ile tylko chce, ale nie docenia Bava K’aa. A jeśli chodzi o duchy, to w pałacu jest ich aż nadto. Nawet teraz, mimo ochronnej osłony Arontali, mógłby przysiąc, że wyczuwa ich obecność, że są rozgniewane i szydzą z niego. Musi mieć pewność, że Tris nigdy nie będzie mógł czerpać z ich mocy, nigdy nie zwróci pałacowych duchów przeciwko niemu, tak jak stało się wiele pokoleń temu, gdy wystąpiły przeciwko tym, którzy napadli na króla Hottena. Arontala mówi, że je wygnał, ale on czuje, że są tuż za bramą, i czekają. Jared znowu wyjrzał na zewnątrz, starając się uspokoić swoje bijące jak oszalałe serce. Potrafił zapanować nad żywymi, ale umarli to zupełnie inna sprawa.

Rozdział siódmy

Rozbili obóz na skraju niewielkiego lasu, daleko od linii drzew, żeby nie dostrzeżono ich z wioski w dole. Na drodze było dużo ludzi wracających z obchodów święta albo wiozących towary na ostatnie jarmarki przed nastaniem zimy, więc Harrtuck bez obaw rozpalił małe ognisko.

– Co teraz? – spytał Tris, gdy najemnik usiadł przy ognisku, trzymając w dłoniach kubek gorącego rozwodnionego piwa, żeby się ogrzać.

Vahanian spojrzał na niego.

– Teraz wymyślimy jakąś przykrywkę, żeby udać się na północ. – Wypił zawartość kubka i odstawił go na bok. Splótł dłonie i spojrzał w ogień. – Karawana to dobra przykrywka – powiedział po chwili milczenia. – Można się ukryć wśród ludzi, a jednocześnie podróżować całkiem sprawnie.

– Ale czy nie za wolno? – spytał Carroway, kończąc kolację. – Karawana musi przecież

często się zatrzymywać, żeby sprzedawać swoje towary i wystawiać przedstawienia.

– To lepsze niż czterech uciekinierów i przewodnik, starający się nie rzucać w oczy – odparł Vahanian, nie odrywając spojrzenia od ognia.

– To co zrobimy? – spytał Soterius, odstawiając talerz.

– Po prostu podejźmy i powiemy: hej, wy tam, chcemy być waszymi najemnikami?

Harrtuck roześmiał się.

– Trochę tak – rzekł Vahanian i także się uśmiechnął. – Mam na myśli pewną konkretną karawanę, jeśli będzie przejeżdżała tu w pobliżu. Należy do mojego starego przyjaciela Maynarda Lintona. Maynard nas zatrudni bez zadawania pytań i zatrzyma dla siebie swoje teorie o strażnikach, którzy sprawiają wrażenie zbyt dobrze urodzonych – powiedział, obrzucając znaczącym spojrzeniem Trisa i Soteriusa.

– Jak go znajdziemy?

Vahanian wzruszył ramionami.

– Na drugim końcu lasu jest wioska. Pójdę do tamtejszej gospody. Karczmarze zawsze wiedzą, gdzie są karawany.

Już po godzinie najemnik schodził na dół do wioski, podczas gdy Tris i reszta pozostali ukryci w lesie. Vahanian zatrzymał się na skraju wsi, żeby zorientować się w sytuacji.

Wyglądało na to, że panuje tu spokój. Część chorągwi świątecznych wciąż wisiała na rogach budynków, łopocząc żałośnie na zimnym jesiennym wietrze.

Gospoda znajdowała się na obrzeżach osady, jej połamany szyld wisiał krzywo i był nieczytelny. Vahanian wszedł po zapadniętych schodkach, odsuwając stopą leżącego na nich pijaka, i otworzył brudne drzwi. Kiedy wchodził do środka, coś przemknęło mu po bucie.

Gospoda była zatłoczona, ale zawdzięczała to raczej brakowi konkurencyjnych przybytków niż

jakości jedzenia. Przyjrzał się klienteli – kupcy trzeciego sortu, drobne rzeźmieszki, nieliczne i brzydsze niż zwykle dziwki oraz paru najemników, którzy sprawiali wrażenie zwyczajnych zbirów.

Zajął miejsce przy barze, plecami do ściany, i swobodnie oparł but o drążek krzesła, kiedy karczmarz przyniósł mu kufel piwa. Przez świecę słuchał w milczeniu, jak goście narzekali na podatki i strażników, błotniste drogi i za dużo deszczu. Zaczął słuchać uważniej i przyglądać się tłumowi, kiedy rozmowa zeszła na temat kłopotów na północy, ale nie usłyszał nic konkretnego, oprócz pogłosek o mrocznej magii i wściekłych bestiach. W drodze na północ było niewiele karczm, dlatego ci, którzy tędy często podróżowali, rozpoznawali się nawzajem. A to dotyczyło także łowców nagród, z którymi Vahanian pragnął uniknąć spotkania bardziej niż zwykle.

– Słyszałeś coś o karawanach zmierzających w tę stronę? – spytał, osuszając zawartość kufła, i przesunął monetę po lepkiem drewnie baru.

Karczmarz wzruszył ramionami, ugryzł monetę i wrzucił ją do kieszeni fartucha.

– Słyszałem, że jakaś najeżdża – odparł tonem, który sugerował, że skosztował już zbyt wiele własnych trunków.

– Jakaś konkretna?

– Może. Podobno karawana Courasa będzie przejeżdżała tędy za kilka tygodni w drodze na południe – dodał karczmarz, wycierając kieliszek i odstawiając go do ponownego użytku. –

Gadają, że karawana Lintona zmierza na północ i będzie tu za jakieś dwa albo trzy dni.

Vahanian skinął głową i pociągnął łyk piwa. Nagle zamarł, rozpoznawszy przysadzistego mężczyznę z tłustymi blond włosami, wstającego od stołu na tyłach sali. Miał wrażenie, że to ten mężczyzna szukał go w Ghorbalu. Łowcy nagród mieli mnóstwo czasu, kiedy w grę wchodziło tropienie swojej ofiary. Jeśli mężczyzna domyślił się, w jakim kierunku zmierza Vahanian, to na pewno najpierw sprawdzał gospody. Byłoby to wystarczająco złe, gdyby Vahanian zajmował się

swoimi zwykłymi interesami, ale kiedy miał ze sobą uciekinierów, tak duże ryzyko było nie do przyjęcia. Doszedł do wniosku, że musi coś z tym zrobić. Patrzył, jak łowca nagród przeciska się między zatłoczonymi stolikami ku drzwiom – przy czym obrócił się lekko, tak że jego twarz była ukryta przed przechodzącym mężczyzną – a potem odstawił piwo i ruszył za nim w noc.

W ciemnościach panujących w zaułku za gospodą Vahanian zaatakował od tyłu przysadzistego łowcę nagród.

– A więc, Chessis, wciąż siedzisz w tym interesie – powiedział, przyduszając go.

– Puść mnie, Vahanian. Nie ciebie szukam.

– Pewnie. I nie jestem dla ciebie wart mnóstwa pieniędzy jako trup.

– To było dawno temu – wychrypiął Chessis. – Pewnie już wycofali nagrodę.

– Jakoś w to wątpię. Co tu robisz?

Łowca nagród obrócił się lekko. Vahanian zbyt późno uświadomił sobie, że w czubku jego buta znajduje się ostrze, i nóż rozciął mu nogawkę. Puścił mężczyznę i odskoczył do tyłu, wyciągając własne ostrze. Chessis zaczął krążyć wokół niego w przysiadzie, szukając okazji do ataku. W wąskiej uliczce, z plątaniną sznurków do suszenia prania w górze, posługiwanie się mieczem było niemożliwe. Vahanian również przykucnął z nożem w dłoni, gotowy do ataku.

Chessis rzucił się do przodu. Vahanian sparował cięcie. Chessis wykonał fintę, a potem znowu zaatakował i jego nóż trafił Vahania w ramię. Najemnik obrócił się, klnąc, i jego lewa stopa wystrzeliła ku zaskoczonemu łowcy nagród, uderzyła mocno w rękę trzymającą nóż i broń upadła na ziemię. Zanim Chessis zdołał odzyskać równowagę, Vahanian obrócił się i wbił nóż głęboko w pierś łowcy nagród. Mężczyzna jęknął, złapał za rozlewającą się plamę czerwieni na swojej koszuli i osunął się na ziemię; w tym momencie Vahanian poczuł sztych miecza wbijający mu się w plecy.

– Może jest tu za ciasno, żeby walczyć – powiedział chropawy głos – ale mam dość

miejsca, żeby przebić cię na wylot, Jonmarc.

Vahanian upuścił nóż i podniósł ręce.

– Witaj, Vakkis.

– Kiedyś, zanim cię zabiję, będziesz musiał mnie nauczyć tej swojej pracy nóg – stwierdził chłodno napastnik. – Naprawdę jesteś niesamowity, Jonmarc. Będzie mi ciebie brakowało, kiedy umrzesz. Ucieczka z Nargi już sama w sobie jest wyczynem. A nauczenie się ich sztuki walki to niebywałe osiągnięcie. – Vakkis zacmokał. – Zrobi się nudno, kiedy cię nie będzie, Jonmarc.

– Nie wiedziałem, że tak się mną przejmujesz, Vakkis. Chętnie dam ci teraz pierwszą lekcję, jeśli chcesz. – Odpowiedzią był czubek miecza wbijający się między jego łopatki.

– Wiesz, Chessis mówił prawdę – ciągnął dalej Vakkis. – W tej chwili nie szukamy ciebie. Mamy innego klienta.

– Jesteście jak zaraza – mruknął Vahanian i tym razem od dźgnięcia mieczem pociekła krew.

– Gdzie jest Martris Drayke?

– Skąd, do diabła, miałbym to wiedzieć?

– Odwróć się powoli, trzymając ręce w górze. – A gdy Vahanian wykonał polecenie, Vakkis wymierzył miecz w okolice jego serca.

– Teraz zapytam raz jeszcze. Gdzie jest Martris Drayke?

– Starzejesz się, Vakkis – odparł Vahanian. – Tracisz słuch. Nie wiem, do diabła, o czym mówisz.

Uśmiech wypełził powoli na twarz Vakkisa.

– Naprawdę nie wiesz? – zaśmiał się łowca nagród. – Nie mógłbym sobie wymarzyć niczego lepszego: Jonmarc Vahanian dał się wykiwać.

– Cieszę się, że jeden z nas dobrze się bawi. Może powiesz, co cię tak śmieszy?

Zimny uśmiezek Vakkisa sprawił, że jego kanciaste rysy twarzy stały się bardziej wyraziste w świetle księżyca.

– Udało im się wywieść mnie w pole w Ghorbalu, ale słyszałem, że się do ciebie przyłączyli. Nasz mały królobójca, Martris Drayke z Margolanu, i jego przyjaciele kupili sobie przewodnika. – Vakkis przyglądał się Vahanianowi z rozbawieniem. – Naprawdę nie wiedziałeś?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Ku zdumieniu Vahaniana Vakkis sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął małą sakiewkę pełną monet, którą rzucił u jego stóp.

– Nawet jak na twoje standardy masz tu godziwe wynagrodzenie za informacje – powiedział, robiąc krok w tył i opuszczając miecz. – A teraz powiedz, gdzie jest Martris Drayke.

– Idź do diabła.

– Lojalność u ciebie, Jonmarc? Jestem zaskoczony – zacmokał Vakkis. – Myślałem, że pozbywasz się jej, kiedy otrzymujesz wynagrodzenie.

– Idź pieprzyć boginię.

– Ten czas jeszcze nadejdzie – rzekł łowca z chłodnym uśmiechem. – Pomyśl o mojej propozycji. Łatwo mnie znaleźć. Ta sakiewka to tylko zaliczka. Jared z Margolanu obiecał uczynić bogatym każdego, kto przyprowadzi mu brata żywego. A nie można pozwolić, żeby król, honor czy ojczyzna stanęły człowiekowi na drodze, gdy w grę wchodzi pieniądze.

Łowca nagród zrobił jeszcze jeden krok w tył, tak że teraz jego twarz była ledwie widoczna w mroku zaułka.

– Pomyśl o tym, Jonmarc – powiedział, a jego głos niósł się w chłodnym nocnym powietrzu. – To więcej pieniędzy, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Odpal mi działkę, a przestanę na ciebie polować. Bogactwo i wolność, i to tylko za dostarczenie towaru. Jaki

człowiek interesu mógłby się temu oprzeć? – zakończył, wtapiając się w mrok.

Vahanian nie ruszał się przez kilka minut, dopóki się nie upewnił, że Vakkis rzeczywiście znikł. Dopiero wówczas uświadomił sobie, jak mocno bije mu serce. Bogactwo i wolność.

Spojrzał na sakiewkę u swoich stóp. Tylko jedna rzecz jest gorsza od łowcy nagród, powiedział głos w jego głowie. Kapuś, któremu ten płaci za wystawienie ofiary. Chłodne nocne powietrze przeszło mu płuca. Stał jeszcze przez chwilę, a potem, zaskakując samego siebie, przeszedł obok sakiewki i ruszył ku wylotowi uliczki; zatrzymał się tylko po to, żeby podnieść leżący nóż.

Kiedy Vahanian wrócił, znalazł Trisa na skraju obozu, sprawiającego króliki, które Harrtuck przyniósł na kolację.

– Tej nocy zabiłem przez ciebie człowieka, księżę Drayke – wycedził przez zęby. Tris zeszywniał i wstał, a Vahanian kontynuował. – Nie sądziłeś, że należałoby mi powiedzieć prawdę, choć to ja będę nadstawiać karku, żeby doprowadzić was do Dhasson?

– Jonmarc, ja...

– Wyjaśnijmy sobie coś od razu – przerwał mu najemnik. – Nie ruszę się stąd, dopóki nie dowiem się, o co tu chodzi. Dopóki nie poznam całej historii. Jeśli spodoba mi się to, co usłyszę, i uwierzę w to, zaprowadzę was do Dhasson. Jeśli nie, odejdę, a wy możecie sobie poszukać kolejnego głupca. I, Wasza Wysokość, ja nie jestem niczym wasalem. Jeśli zabiorę was do Dhasson, a w tej chwili stoi to pod wielkim znakiem zapytania, to na moich warunkach, według moich zasad. Rozumiesz?

Tris wziął głęboki oddech i skinął głową.

– Dobrze – powiedział Vahanian. – To oznacza, że jesteś bystrzejszy niż większość członków królewskich rodzin. A teraz posłuchajmy twojej historii – całej.

– Vahanian, wróciłeś – przerwał im Harrtuck, zachodząc mężczyznę od tyłu. Vahanian

odwrócił się i jednym płynnym ruchem wyrzwał Harrtucka pięścią w szczękę.

– Za co to, do diabła?! – krzyknął wojak.

– Dowiedziałem się od łowcy nagród, kim naprawdę jest nasz „ładunek” – warknął Vahanian. – Mógł mnie zabić, a ja nawet nie wiedziałem, że powinienem był się tego spodziewać.

– Jonmarc, nie rozumiesz...

– Rozumiem, że moje życie jest równie ważne jak życie tych twoich trzech arystokratów – wycedził Vahanian. – I że nie mogę zdecydować, jakie ryzyko warto podjąć, jeśli nie wiem, jaka jest stawka.

Rozgniewany, odwrócił się, a Harrtuck powoli podniósł się z ziemi.

– Właściwie to nie widzę w tej chwili żadnego powodu – nawet waszych pieniędzy – dla którego powinienem zaprowadzić was do Dhasson.

– Arontala wrócił. I tym razem ma wpływ na króla, a nie zwykłego generała – powiedział cicho Harrtuck, a Vahanian zeszywniał, słysząc to nazwisko.

– Skąd wiecie?

Żołnierz parsknął śmiechem.

– Skąd wiemy? To dlatego, że o tym wiemy, jesteśmy teraz w lesie i odmrażamy sobie dupską, zamiast grzać się przy miłym pałacowym kominku. – I razem z Trisem opowiedzieli całą historię.

Tym razem Tris pominął tylko to, co się stało z Kait w sypialni, i późniejszy sen o siostrze i babce-czarodziejce.

Kiedy już skończyli, Vahanian siedział w milczeniu przez kilka minut, wpatrując się z nieodgadzionym wyrazem twarzy w swoje dłonie.

– Zabiorę was do Dhasson i co potem?

– Potem dostaniesz pieniądze od króla Harrola i odejdziesz – burknął Harrtuck. – I od tej pory twoje klejnoty będą bezpieczne.

– A wy?

– Ja wrócę – powiedział spokojnie Tris. – Ktoś musi powstrzymać Jareda. Jestem jedynym, który może to zrobić.

– Zamierzasz powstrzymać Foorę Arontalę? Posłuchaj, książę, nawet jak będziesz miał całą armię króla Harrola, to nie wystarczy.

– Nie lekceważ go – rzekł cicho Harrtuck. – Jego babką była Bava K’aa. On jest Przywoływaczem Dusz.

– Jest magiem? – rzucił ostro Vahanian, przenosząc spojrzenie z Trisa na Harrtucka. – Nie powiedziałaś mi, że on jest magiem.

– Nie jestem prawdziwym magiem – wtrącił Tris. – W każdym razie jeszcze nie.

– Cóż, ja nienawidzę magów.

– W tej chwili nie jestem nawet uczniem maga.

– Książę, jeśli chcesz zmierzyć się z Arontalą i masz nadzieję przeżyć, to lepiej, żebyś był cholernie dobrym magiem – powiedział Vahanian. – Cieszę się, że mnie tam przy tym nie będzie.

– Mówiłem ci, że najemnik to zły pomysł – burknął Soterius, który tymczasem przyszedł z obozu. – Nie można im ufać, dla nich liczą się tylko pieniądze.

– Młode szczeniaki najgłośniej szczekają – zripostował Vahanian, wzruszając ramionami.

– Jeżeli tyle wiesz, to sam ich poprowadź. Znam inne sposoby, żeby zarobić tyle złota, ile zechcę.

– Od dziesięciu lat chcesz dopaść Arontalę – zaprotestował Harrtuck. – Po tym, co się stało w Chauvrenne, powinieneś się cieszyć z tej okazji.

Cyniczny uśmieszek wykrzywił twarz Vahaniana.

– Nie możesz cieszyć się zemstą, jeśli nie żyjesz – odparł. – Daruj sobie to gadanie.

Zaprowadzę was do Dhasson, a potem będziecie zdani sami na siebie.

I odszedł, pozostawiając ich w blasku ognia.

– I co teraz? – spytał Tris.

Żołnierz spojrział z frustracją w niebo i splunął.

– Niech ochłonie – powiedział wreszcie i pogładził nieistniejący zarost na podbródku. – Na

Dziwkę, brakuje mi mojej brody! To cholerstwo cały czas mnie swędzi.

– Nie podoba mi się to. – Soterius spoglądał nienawistnym wzrokiem ku miejscu, w którym zniknął Vahanian.

– Tobie nie spodobałby się żaden najemnik, nawet gdyby przyprowadziło go tu Dziecię i zaręczyła za niego sama Dziewica albo zostałby przyniesiony na skrzydłach Mścicielki – burknął Harrtuck. – Wiem, Ban, co wy, gwardziści, myślicie o najemnikach. Ale ja byłem najemnym żołnierzem, a przecież mi ufasz, prawda?

– Wiesz, że tak.

– Zatem zaufaj mi – naciskał Harrtuck. – Jonmarc da się przekonać. – Popatrzył w stronę rozgniewanego najemnika, który był ledwie widoczny w ciemnościach. – Tylko dajcie mu trochę czasu.

Tris pochylił się i podniósł puste wiaderko.

– A tymczasem ja przyniosę trochę wody – powiedział, chcąc zrobić coś więcej, niż tylko siedzieć i czekać. Zszedł po zboczu ku wioskowej studni. W ciągu dnia, kiedy myślał o jeździe, był w stanie odsunąć od siebie wszechogarniającą żalność. Jednak kiedy nadchodziła noc, poczucie straty stawało się niemal nie do zniesienia. Ze wszystkiego, co zostawił, najbardziej brakowało mu Kait. Czasami ta strata bolała tak, jakby ktoś pozostawił mu głęboko w środku

czubek złamanego miecza. A czasem niczego nie czuł. Tylko świadomość, że będzie może musiał przegonić margolańskich żołnierzy, powstrzymywała go od szukania ulgi w flaszcze brandy, którą Harrtuck miał ze sobą. I tak zmagał się z tym tępym bólem uniemożliwiającym mu skupienie się na czymś innym, zastanawiając się, kiedy i czy w ogóle ten ból zelżeje.

Drewniany uchwyt kołowrotka zaskrzypiał w proteście, kiedy Tris wyciągał wiadro wody.

Nagle poczuł, że ktoś klepie go natarczywie po ramieniu. Obrócił się, puszczając korbę i dobywając miecza, lecz wokół studni było pusto. Jesienny wiatr szczypał go w twarz i Tris uświadomił sobie, że noc zrobiła się nagle chłodniejsza. Włoski zjeżyły mu się na karku i rozejrzał się znowu, wyczuwając mrowienie świadczące o obecności ducha.

– Pokaż się – wyszeptał w mrok.

Czekał. Kiedy nic się nie poruszyło, odwrócił się i zaczął wyciągać wodę ze studni, a wtedy znowu poczuł, że ktoś puka go w ramię. Tym razem, zanim się odwrócił, postawił wiadro na krawędzi kamiennej studni. Zamknął oczy i skupił się na tym mrowieniu, wzywając ducha całą siłą swej woli. Kiedy otworzył oczy, stała przed nim zjawia młodej kobiety. Miała na sobie sukienkę pomywaczki, która była w modzie we wcześniejszym pokoleniu. Dziewczyna była mocnej i korpulentnej budowy, a jej spojrzenie było przepełnione tak ogromnym smutkiem, że Tris instynktownie podszedł do niej, żeby ją pocieszyć.

– Panie, czy widziałeś moje dziecko?

Potrząsnął głową, a w smutnych oczach dziewczyny pojawił się lęk.

– Było tu jeszcze chwilę temu – powiedziała. – Pobiegałam tylko po kolejne wiadro.

Spojrzała w głąb studni, a potem krzyknęła z przerażeniem:

– Och, Słodka Bogini, tam jest jego czapeczka! – i rzuciła się w wodę, zanim Tris zdążył zareagować.

Jego serce biło jak oszalałe, kiedy tak wpatrywał się w spowitą ciszą studnię, domyślając

się, jaka tragedia przykuła ducha dziewczyny do tego miejsca. Bez wątpienia pozostawiła swojego maleńkiego synka na chwilę bez opieki, a kiedy wróciła, zobaczyła, że wspiął się na krawędź studni, żeby do niej zajrzeć, i wpadł do wody. W rozpaczy rzuciła się za nim. Od tej pory skazana była na powtarzanie tej strasznej sceny przez całą wieczność.

Może jednak nie, pomyślał Tris. Oparł dłoń o zimny kamień studni i zamknął oczy. Poczł dreszcz emocji i zapragnął spróbować czegoś, co z trudem w ogóle sobie wyobrażał.

Zawierzywszy bardziej instynktowi niż rozsądkowi, sięgnął w myślach do tej skazanej na wieczne potępienie dziewczyny, przebywającej w spowitej ciszą krainie duchów, tej w której w pałacu zobaczył Kait. Po chwili poczuł przyciąganie, które stawało się coraz silniejsze, i siłą woli nakazał dziewczynie, aby się zmaterializowała. Kiedy otworzył oczy, stała przed nim, przezroczysta, lecz dobrze widoczna.

– Chcę ci pomóc – powiedział łagodnie. Pomyślał, że jeśli mu się udało zatrzymać w tym miejscu ducha Kait, to może zdoła pomóc temu duchowi przejść na drugą stronę, choć nie miał pojęcia, jak tego dokonać.

– Nie odejdę bez mojego synka.

– Udowodniłaś swoją miłość, zostając z nim. Spłaciłaś swój dług. Możesz odpocząć.

Wbiła w niego na wpół oszalałe z rozpaczy spojrzenie.

– Nie bez mojego synka.

Tris odwrócił się z powrotem w kierunku studni. Zamknął oczy, koncentrując się, i wyciągnął rękę w stronę ciemnej wody. Nic się nie poruszyło. Choć czuł, jak szybko się męczy, spróbował raz jeszcze, i znowu nie było żadnej reakcji. Za trzecim razem poczuł w odpowiedzi lekkie szarpnięcie i, ciągnąc z całych sił mocą swojej woli, stopniowo zaczął wyczuwać obecność innego ducha, małego i słabego. Kiedy otworzył oczy, duch maleńkiego dziecka siedział na krawędzi studni, a zjawą kobiety z westchnieniem rzuciła się do przodu, żeby

przycisnąć go do piersi.

– Zgubiłem się – płakał chłopiec, przytulając się do matki. – Zgubiłem się w ciemnościach.

Tris poczuł, jak go ściska w gardle, kiedy patrzył na te dwa mocno obejmujące się cienie.

Wreszcie uniósł rękę w geście pożegnania.

– Czas, żebyście odeszli.

Kobieta spojrzała na niego; w jej oczach malował się teraz spokój.

– Nie wiem, jaką mocą potrafisz czynić coś takiego, ale dziękuję ci – powiedziała, dygając niezgrabnie. – Musisz być wybrańcem Pani.

– Pójdiesz teraz do Niej? – spytał Tris, a duch kobiety skinął głową.

– Jesteśmy zmęczeni – powiedziała, tuląc mocno dziecko do siebie. – Teraz, kiedy jesteśmy razem, czas odpocząć.

Tris wyciągnął rękę, tak jak robiła to jego babka w obecności ludzi, którzy mieli umrzeć.

Próbował sobie przypomnieć, co w takich chwilach mówiła Bava K'aa, żeby oddać ducha tego przesłania, jeśli nawet nie będą to takie same słowa. Głowa go rozboleła od tego wysiłku tak bardzo, że aż zmąciło mu to wzrok.

– Śpij, siostrze – powiedział ledwie słyszalnym głosem. – Niech wiatry poniosą cię na spoczynek. Niech rzeka cię poprowadzi, a ciepła ziemia przyjmie. Pani powita cię i utuli w swoich ramionach. Niech tak się stanie.

W jego umyśle pojawił się przelotnie obraz starej kobiety mieszającej w głębokim kotle, a gdy otworzył oczy, zarys sylwetek matki i dziecka zaczął się rozmazywać. Kobieta podniosła rękę, pozdrawiając go, a mały chłopiec pomachał mu na pożegnanie.

– Co, do diabła, tu się dzieje? – rozległ się z tyłu szorstki głos. Tris obrócił się i zobaczył

Vahaniana stojącego po drugiej stronie studni, z rękoma wspartymi na biodrach; na jego twarzy malowały się gniew, niedowierzanie i niepewność.

Tris przełknął z trudem ślinę i wskazał na wiadro.

– Przyszedłem nabrać wody – powiedział, mając nadzieję, że głos mu nie drży. Od tego wszystkiego, co się właśnie stało, kręciło mu się w głowie.

– Nie to miałem na myśli – wycedził Vahanian. – Stoisz tu w ciemnościach, rozmawiając z duchami. Twój przyjaciel mówił prawdę, co? Jesteś magiem. – To ostatnie słowo zabrzmiało oskarżycielsko.

– Nie wiem, kim jestem – warknął Tris. – Jestem księciem bez królestwa, synem bez rodziny, uciekinierem i żebrakiem. Co ci do tego?

– Jak już powiedziałem, albo wiem wszystko, albo odchodzę – powiedział Vahanian lodowatym tonem. – Nie zamierzam pytać cię raz jeszcze, ale mogę to z ciebie wydusić. Co, do diabła, zrobiłeś?

Tris oblizał nerwowo wargi.

– Ja... nie jestem tak naprawdę pewien – przyznał. – Zawsze widziałem duchy, mogłem z nimi rozmawiać, nie tylko w trakcie Nawiedzin, ale cały czas. Widziałem nawet duchy, których nikt inny nie widział. – Wzruszył ramionami. – Pewnie miałem szczęście. Ale nigdy nie dostrzegałem ich poza pałacem. A teraz, od czasu tych... morderstw – zmusił się do kontynuowania – zauważam duchy poza Shekerishet z taką samą łatwością, z jaką widziałem pałacowe duchy.

– Nie mieliśmy Przywoływacza, odkąd umarła czarodziejka w Margolanie – rzekł Vahanian, przygryzając wargę. – To było pięć, może sześć lat temu. Nie było nikogo, kto odprowadziłby duchy na spoczynek, nikogo poza jasnowidzącymi i oszustami, żeby przekazać wiadomość na drugą stronę. Żadnego sposobu, aby uzyskać ich błogosławieństwo i mieć pewność, że jest ono prawdziwe.

Przyjrzał się Trisowi z namysłem.

– Jeśli jesteś tak dobry, jak sądzi Harrtuck, to naprawdę jesteś najbardziej gorącym towarem w Margolanie. Wyobrażam sobie, że Arontala i ten nowy król bardzo chcieliby dostać cię w swoje łapska.

Zanim Tris zdążył odpowiedzieć, Vahanian podniósł wiadro.

– Jutro porozmawiamy o tym, jak nie być łatwym celem – wycedził, odchodząc w kierunku obozu, a Tris musiał się pospieszyć, żeby za nim nadążyć. – Wątpię, żeby twój wuj mi zapłacił, jeśli będziesz martwy.

Przy kolacji wokół obozowego ogniska Vahanian zdał raport ze swojej wizyty w wiosce.

– Mamy szczęście. Karawana Lintona zmierza w tym kierunku; jadą na północ – dokładnie tam, dokąd chcemy się udać.

Soterius pochłonął swoje jedzenie i poszedł zająć się końmi, wyraźnie starając się schodzić z drogi Vahanianowi. Tris siedział cicho po drugiej stronie ogniska; nie spieszyło mu się, żeby odpowiadać na kolejne pytania najemnika, nie miał też ochoty zastanawiać się nad implikacjami tego, co stało się przy studni.

Vahanian zdawał się tego nie zauważać. Spoglądał w dół zbocza ku cichej wiosce. Było tuż po zmierzchu i mieszkańcy spędzali stada, aby zamknąć trzodę na noc. Blask kuchennych palenisk ogrzewał małe domki, smużki dymu biły z kominów i w bezwietrznym nocnym powietrzu dolatywał ich zapach pieczonego mięsa.

– Nie powinniśmy mieć problemu z najęciem się jako dodatkowi strażnicy – stwierdził Vahanian. – Mają „kłopoty” na północy, choć nikt nie mówi dokładnie, jakie. Z pewnością jednym z nich są bandyci. – Potrząsnął głową i wgrzył się w królika, którego podał mu Tris. – Nie byłbym zdziwiony, gdyby doszło do przygranicznych utarczek. Za północnym pasmem górskim żyją bardzo dzikie klany, które zawsze trudno było utrzymać w ryzach.

Zamilkł na chwilę i wpatrzył się w ogień. Harrtuck obrzucił go sceptycznym spojrzeniem.

– Nie mówisz nam wszystkiego.

Vahanian wzruszył ramionami.

– Mam jakieś dziwne przeczucia w związku z tym, co usłyszałem – przyznał w końcu. –

Ludzie się boją, a niektórzy z gości gospody nie należą do tych, których łatwo przestraszyć.

Miałem wrażenie, że wiąże się z tym jakaś mroczna magia, a przynajmniej – dodał – ludzie podejrzewają jej istnienie.

– No to pięknie – mruknął Soterius, który właśnie wrócił po oporządzeniu koni. – Z bandytami można walczyć. Przed magią nie możemy się bronić.

Tris poruszył się nerwowo, gdy Vahanian obrzucił go znaczącym spojrzeniem.

– Jeśli informacje z gospody są prawdziwe – ciągnął dalej najemnik – to ta karawana zmierza w naszą stronę. Możemy poczekać, aż do nas dotrą, ale kończą nam się racje żywnościowe. Albo możemy wyjechać im naprzeciw. Wprawdzie trochę się cofniemy, ale jak już ich znajdziemy, nie będziemy musieli się starać o pożywienie. – Zamilkł na chwilę. – Będziemy tylko musieli uważać na gwardzistów.

– Jako że zawsze idę za głosem mojego żołądka – powiedział Carroway – to jestem za tym, żebyśmy pojechali ich poszukać.

Tris uśmiechnął się na tę szybką analizę przeprowadzoną przez przyjaciela.

– To brzmi rozsądnie.

– Cieszę się, że to powiedziałeś – stwierdził Vahanian, a Harrtuck zaśmiał się cicho. – Bo jazda bardziej mi odpowiada niż siedzenie na miejscu. Wyruszamy rankiem.

Później tej nocy, kiedy z ogniska pozostał tylko żar, Tris owinął się ciasniej płaszczem, gotowy objąć wartę. Było zimno jak na tę porę roku – szron pokrył liście, a ziąb przenikał aż do

kości. Mimo późnej godziny był zupełnie rozbudzony, kiedy czekał na powrót Vahaniana obchodzącego granicę obozu.

Wreszcie najemnik pojawił się i Tris zebrał się na odwagę, żeby wstać i wyjść mu na spotkanie.

– Niech Bogini zabierze każdego, kto jest na tyle głupi, żeby przebywać na dworze w taką jak ta noc – zaklął Vahanian, strząsając mokre liście z butów. Jego oddech przemienił się w mgiełkę w chłodnym powietrzu. – Nie zazdroszczę ci kolejnej warty.

– Wyglądasz, jakbyś stoczył walkę.

Vahanian wzruszył ramionami.

– Tam ktoś był. Przyłożyłem mu raz, ale uciekł, niech go szlag. – Potrząsnął głową. –

Może to bandyta, a może szpieg. – Spojrzał znacząco na Trisa. – Miej oczy szeroko otwarte. On może wrócić.

– Muszę cię o coś poprosić, Jonmarc.

– Może jutro, co? Wątpię, żebym zdołał się ogrzać dziś w nocy, ale przynajmniej chciałbym się położyć.

– Naucz mnie walczyć.

Vahanian spojrzał na niego, a potem chwilę się zastanawiał, zanim odpowiedział.

– Tak, pewnie. Będziesz musiał nauczyć się walczyć, jeśli masz zarabiać na życie jako ochrona karawany.

– Nie to miałem na myśli. Potrzebuję twojej pomocy. Harrtuck mówi, że jesteś najlepszy.

– Doprawdy? – zaśmiał się cicho Vahanian. – Nie wierz we wszystko, co słyszysz. Choć w tym wypadku Harrtuck ma rację.

– Zatem zrobisz to?

Vahanian roześmiał się chrapliwie.

– To nie jest jakaś wytworna sala ćwiczeń, a ja nie jestem twoim nauczycielem szermierki.

Gdybym nie był tak dobry, już dawno bym nie żył. Każda stoczona walka nauczyła mnie tego, co wiem. Tej wiedzy nie da się przekazać, trzeba samemu zdobyć doświadczenie.

– Chcę zabić człowieka, który zamordował moją rodzinę – powiedział Tris, zaskoczony tym, jak beznamiętnie zabrzmiały te słowa, kiedy wreszcie zdobył się na to, by je wypowiedzieć.

– A to sprowadzi ich z powrotem, co? Daj sobie spokój. Nic nie przywróci im życia.

Zapomnij o tym i żyj dalej.

– Nie mogę przywrócić im życia, ale mogę kazać Jaredowi zapłacić za to, co uczynił.

– I to wszystko sam – zadrwił Vahanian. – Zabić smoka, ocalić księżniczkę, być prawdziwym bohaterem.

– Wcale tego nie powiedziałem.

– Znałem wielu bohaterów. Sam ich grzebałem.

– Chciałbym przynajmniej mieć realną szansę. Jeśli jesteś tak dobry, mógłbyś mi ją dać.

– Ja niczego nie daję – odparł Vahanian, odwracając się. – Trzeba mi zapłacić. I to dobrze.

– Więc ja ci zapłacę. Podwójnie.

– Podwójnie?

– Tak, podwójnie. Jak tylko dotrzemy do Dhasson.

– Dhasson jest daleko stąd – odparł sceptycznym tonem Vahanian. – Możesz już nie żyć, zanim tam dotrzemy.

– Tak jak i ty. Chyba obydwaj będziemy musieli zaryzykować.

Vahanian uśmiechnął się chłodno.

– Zatem masz nauczyciela. Bądź gotów o świcie. Opuścisz jeden dzień i po umowie.

Tris skinął głową, czując ucisk w żołądku.

– W porządku.

– A teraz pozwól mi choć trochę się przespać, dobrze? – rzucił gderliwie Vahanian, kierując się w stronę łoża z sosnowych gałęzi, które uprzednio sobie przygotował. – Mam już dosyć na dzisiaj.

Tris patrzył, jak mężczyzna się oddala, a potem wziął głęboki oddech i ruszył na obchód. Miał dziwne uczucie, że sprawy zaczynają się układać w całość, jakby porwał go wartki nurt.

Och, Kait, pomyślał, wybacz, że cię zawiodłem. Sięgnął umysłem w ciemność i poczuł znajome mrowienie świadczące o obecności jej ducha gdzieś daleko. Duch Kait był zamazany, jakby powstrzymywało go coś potężnego. Poczuł przerażenie dziewczyny. A potem obraz znikł tak szybko, jak się pojawił, jakby ciężkie drzwi przesłoniły światło, i Tris otworzył oczy.

Coś uwięziło ducha Kait, coś na tyle potężnego, że powstrzymywało ją od przyjścia na wezwanie Trisa, i na tyle złego, że nawet umarli się tego lękali. W umyśle Trisa pojawił się obraz jarzącej się kuli w komnacie Arontali. Jedynym sposobem na uwolnienie ducha Kait było odnalezienie Łapacza Dusz i zniszczenie duszy Obsydianowego Króla, a warunkiem powodzenia było zabicie Arontali.

O świcie Tris szturchnął butem Vahaniana.

– Odejdź – burknął najemnik, przetaczając się na drugi bok.

Tris znowu go szturchnął, mężczyzna otworzył oczy i jęknął.

– Już świta. – Tris czerpał perwersyjną przyjemność z reakcji najemnika. – Chodźmy.

Klnąc, Vahanian skrzywił się i usiadł.

– Dobrze, już dobrze – wymruczał. – Tam jest polanka – pokazał ręką. – Chodźmy.

Tris ruszył za nim w kierunku polanki, z dłonią wspartą o miecz. Kiedy dotarli na otwartą przestrzeń, Vahanian zatrzymał się i splótł ręce na piersiach.

– Dobądź miecza – powiedział, zupełnie już rozbudzony. – Pokaż mi swoją postawę i jak

trzymasz miecz.

Księżę wykonał jego polecenie, a Vahanian obszedł go dookoła, oceniając.

– Nieźle – powiedział po chwili. – Widać, że pobierałeś jakieś nauki.

– Muszę wiedzieć więcej niż to, czego uczą na sali szermierczych ćwiczeń.

– Cóż, jeśli na to wpadłeś, to jesteś o wiele mądrzejszy niż większość arystokratów, których spotkałem – wymruczał Vahanian.

Szybki świst miecza przecinającego powietrze był jedynym ostrzeżeniem. Reakcja Trisa była bardziej instynktowna niż przemyślana; obrócił się, odbijając klingę w ostatniej sekundzie i ledwie unikając paskudnego cięcia. Zaciekłość ataku Vahaniana sprawiła, że Tris – parując kolejne cięcia – zaczął się zastanawiać, czy najemnik nie chce mu wyrządzić krzywdy. Jednak determinacja w spojrzeniu Vahaniana powiedziała mu, że zaczęła się lekcja.

Odpowiedzią na pierwszy szczęk stali był krzyk, jaki się podniósł w obozie. Zanim Tris i Jonmarc zdążyli wymienić z tuzin ciosów, wszyscy pozostali przybiegli. Wprawdzie atak Vahaniana całkowicie pochłonął uwagę Trisa, ale kątem oka zauważył, że Soterius dobył miecza, podejrzewając najgorsze.

– To tylko lekcja! – zawołał do nich Vahanian, a Tris, obracając się, żeby sparować cięcie, zdał sobie sprawę, że jego nauczyciel nie jest nawet zdyszany.

Nagle miecz Vahaniana świsnął Trisowi koło ucha. Poczuł, jak mu serce wali, gdy sparował atak przeciwnika. Odgarniając z oczu zlepione potem włosy, Tris pomyślał, że jeśli przeżyje swoją pierwszą lekcję, to może się czegoś nauczyć. Instynkt nakazał mu zrobić unik. Wymierzył pchnięcie ku górze i jego klinga zwarła się ze szczękiem z ostrzem Vahaniana, zmieniając jego kierunek, lecz nie zatrzymała sztychu miecza. Tris krzyknął z bólu, gdy ostrze drasnęło mu ramię.

– Dosyć! – Vahanian opuścił miecz. Dysząc ciężko, Tris także opuścił broń, oczekując

jakiejś sztuczki, Vahanian jednak schował miecz do pochwy i zbliżył się, marszcząc brwi z prawdziwym zatroskaniem.

– Pozwól mi to obejrzeć.

– Nie jest tak źle – oświadczył, przyglądając się ranie. – Przemyj to odrobiną ziołowej herbatki Harrtucka i zabandażuj. Za kilka dni nie będzie po niej śladu.

– Dobry jesteś – wysapał Tris, przeklinając siebie za brak tchu. Vahanian przyglądał mu się z rozbawieniem.

– Tak, muszę być dobry – odparł wreszcie. – Ten, kto cię uczył, dał ci dobre podstawy. Ale trzymał się reguł. A rządząca tu reguła numer jeden jest taka, że nie ma reguł.

– Zauważyłem – odpowiedział ponuro książe, przykładając dłoń do rany na ramieniu.

Choć nie była głęboka i nie powinna zmniejszyć jego zdolności do walki, to Jaquard, pałacowy nauczyciel szermierki, nigdy celowo nie spowodowałby takiego obrażenia.

Vahanian będzie surowszym nauczycielem.

– Nieźle się broniłeś pod sam koniec – podsumował najemnik. – Zanim się zdekoncentrowałeś. Powtórz to następnym razem.

Rozdział ósmy

Karawana znajdowała się bliżej, niż mówiono w gospodzie, i dogonili ją w przeciągu jednego dnia. Tris wraz z pozostałymi zsiadli z koni i poprowadzili wierzchowce wśród zgiełku rozstawianego jarmarku. Karawany były bardzo popularne, dostarczały bowiem zarówno rozrywki, jak i towarów. Przywoziły też dworskie plotki i wieści o modzie, o której wiejskie kobiety mogły rozprawiać, nawet jeśli nie mogły jej naśladować.

Ta karawana przybyła z Trevath na południu. Przeciskając się przez tłum w poszukiwaniu Maynarda Lintona, Tris zastanawiał się, ileż to osób zaangażowanych było w przygotowywanie jarmarku, przenoszenie towarów i przepędzanie zwierząt. Odwiedził już wiele targowisk w

Margolanie, ale zawsze po tym, jak je rozstawiono, nigdy zaś nie chodził wśród uwijających za kulisami się pomocników i artystów.

– Nieźle sobie radzą, co? – Harrtuck wymierzył mu kuksańca, domyślając się, o czym Tris myśli.

– Widzę to z zupełnie nowej perspektywy – przyznał książę. – To zdumiewające, że wszyscy wiedzą, dokąd mają iść i co robić.

– Kwestia praktyki – wzruszył ramionami Harrtuck. – Kilka lat temu spędziłem trochę czasu z karawaną na zachodzie. To niezłe życie, choć im bardziej spokojne, tym nudniejsze dla takich jak my.

Tris uśmiechnął się na tę nonszalancję szermierza, Harrtuck zaś wyszczerzył zęby w uśmiechu, jakby czytał w jego myślach.

– Och, Vahanian zajmie się tym, żebyś zmęźniał, nie bój się – zapewnił go ze śmiechem. – Już my się postaramy, żebyś zarobił na swoje utrzymanie.

Zamilkł na chwilę.

– Zaczekajcie tutaj – powiedział. – Sprawdzę parę rzeczy, kiedy Vahanian będzie nas przedstawiał. Trzymajcie się z dala od kłopotów.

– Myślisz, że grozi nam tu niebezpieczeństwo? – wyszeptał Carroway.

– Pytanie brzmi – prychnął Soterius – czy może nam grozić jeszcze większe niebezpieczeństwo?

– Chodźcie! – zawołał Vahanian stojący obok obszernego wypłowiałego namiotu. – I pospieszcie się. Chcę wam przedstawić przywódcę karawany.

Zanim zdążył odsunąć płachtę namiotu, usłyszeli gniewne głosy niosące się w chłodnym powietrzu.

– Kaine, mówiłem ci już – powiedział jakiś starszy mężczyzna. – Czekają na nas w

Dhasson. Gdybym pozwolił, żeby była plotka kierowała tą karawaną, to nigdy nie opuściłbym południowej placówki.

– Jak możesz nie zwracać na to uwagi? – odparował rozgniewany głos. – Kolejni podróżni z północy mówią o zaczarowanych bestiach w Dhasson, a ty mimo to prowadzisz tam karawanę, jakbyś wybierał się na letni piknik!

– Musimy zapłacić za naszą strawę i konie – zripostował pierwszy głos. – Przeżyliśmy wojnę, powódź i szarańczę. Nie możemy uciekać przed cieniami.

– Zobaczysz, co te cienie zrobią z twoją karawaną, jeśli pojedziesz do Dhasson!

Vahanian odsunął płachtę namiotu i w tym samym momencie wyszedł z niego wściekły młody mężczyzna o rudych włosach. Przeszedł między nimi, nawet nie podnosząc na nich wzroku, i zniknął w ciżbie krzątających się członków karawany.

– W karawanie znajdziesz wszystkiego po trochu, nawet wariatów – powiedział spokojnie Vahanian, bagatelizując to wydarzenie. – Chodźcie za mną.

I wszedł jako pierwszy, za nim Soterius, potem Tris, Carroway i Harrtuck.

Wnętrze namiotu było umeblowanie równie wygodnie jak dworska komnata, tyle że wszystkie meble i ozdoby można było łatwo przenosić. Sądząc po dywanach na ziemi i gobelinach wiszących na ścianach, ta karawana robiła zyskowne interesy.

– Jonmarc, co za niespodzianka! – powitał ich tubalny głos. Niski, korpulentny mężczyzna z mocno opaloną twarzą wstał zza przenośnego stolika do rachunków i wyszedł im na spotkanie, uśmiechając się szeroko. Pochwycił dłoń Vahaniana w mocnym uścisku i poklepał najemnika po ramieniu, choć ten był od niego wyższy o głowę.

– Witaj, Maynardzie – powiedział Vahanian. – Jak tam interesy?

– Nieźle – odpowiedział gruby kupiec poruszający się z nerwową żywotnością. – Południe nam się przysłużyło. Zabraliśmy trochę przypraw i jedwabów, które dobrze się sprzedadzą na

północy. Minęło sporo czasu, odkąd odwiedziła ich karawana, byli więc też żądni rozrywki – dodał z uśmiechem.

Vahanian zaśmiał się cicho.

– Jestem pewien, że twoi ludzie dobrze ich zaopatrzyli.

– We wszystko, co najlepsze – pochwalił się Linton. – Ale ty nigdy nie przepadałeś za karawanami, Jonmarc.

– Chcemy się nająć do pracy u ciebie, przynajmniej dopóki nie dotrzecie do Dhasson.

Linton zmrużył oczy, obrzucając taksującym spojrzeniem resztę grupy. Jego wzrok zatrzymał się dłużej na Trisie, po czym popatrzył ze sceptycyzmem na najemnika.

– I pewnie nie powiesz mi, dlaczego?

Vahanian wzruszył ramionami.

– Okoliczności ulegają zmianie. Teraz jest dobry moment, by udać się na północ.

– Więc chcecie gdzieś się ukryć?

W odpowiedzi Vahanian tylko się uśmiechnął.

– Kto was szuka?

– Nikt ważny. Jared z Margolanu.

Linton zrobił kilka kroków i stanął przed Trisem.

– Ci trzej wyglądają na zbyt obolałych od jazdy konnej, żeby być prawdziwymi najemnikami – powiedział, Vahanian uniósł brew, czekając na jego dalsze teorie.

– Mają zbyt delikatne ręce jak na kogoś, kto nimi pracował.

Tris czuł, jak stojący obok niego Soterius zjeżył się. Carroway sprawiał wrażenie spiętego, a jego spojrzenie omiatało nerwowo całe pomieszczenie. Harrtuck nie wyglądał na poruszonego.

Tris zaczął się zastanawiać, czy pomysł Vahaniana był dobry. *Jeśli aż tak bardzo rzucamy się w oczy...*

– Powiedzmy, że mamy za zadanie jak najszybciej pozbyć się tych dwóch problemów – stwierdził beznamiętnie Vahanian. – W drodze odciski szybko się wyrabiają. Nawet jeśli nie spotkasz żadnych bandytów, oni zarobią na swoje utrzymanie przy rozbijaniu obozu.

Linton raz jeszcze spojrział na Vahaniana, jakby ważył na szali przyjaźń i niebezpieczeństwo. A potem, wzruszywszy ramionami, uśmiechnął się szeroko.

– Możecie zostać tak długo, jak chcecie, Jonmarc – powiedział, wracając do stolika. – Jeśli wieści ze szlaku są prawdziwe, to kilku więcej najemników – nawet kiepskich – może się bardzo przydać – dodał.

Vahanian skrzyżował ręce na piersi.

– Co słyszałeś, Maynardzie?

Gruby przywódca karawany wzruszył ramionami.

– Szalone opowieści, ubarwiane przy każdym opowiadaniu. Słyszałem, że niektóre z klanów na obrzeżach Dhasson burzą się. A jeśli to prawda – powiedział z uśmiechem – to dobrym ludziom z Dhasson może się przydać dla uspokojenia nieco rozrywki.

– Czy to wszystko, co mówią?

Linton zmarszczył brwi i spuścił wzrok.

– Nie, nie wszystko – stwierdził wreszcie. – Mówi się o mrocznej magii. Potworach. Wiesz, jacy są ludzie na wsi, Jonmarc. Pochmurny dzień składają na karb magii.

Vahanian uśmiechnął się.

– Albo słabą kartę. Ja osobiście winię magię za stęchłe piwo.

Zamilkł na chwilę i odchrząknął.

– Maynardzie, słyszeliśmy, co mówił twój ostatni... ehem... gość...

Twarz Lintona spochmurniała i mężczyzna odwrócił się.

– Kaine. Niech porwie go diabelska Dziwka! Przyłączył się do karawany tydzień temu i

był to najdłuższy tydzień, jak sięgam pamięcią.

– To pozbądź się go.

Linton zaczął się przechadzać.

– Bogini wie, że chciałbym, ale on jest najlepszym ustawiaczem namiotów, jakiego mamy, a mój poprzedni ustawiacz spadł i złamał sobie kręgosłup. Może znajdę jakiegoś w Dhasson, ale tu, na tym zadupiu... – machnął ramieniem – nie znajdziemy innego.

Vahanian zmarszczył brwi.

– Doskonały moment wybrał, przyznasz, Maynardzie?

Ogorzały przywódca karawany podniósł wzrok i potrząsnął głową.

– Zawsze byłeś aż do przesady podejrzliwy, Jonmarc, i – Pani i Dziecię wiedzą – to utrzymuje cię przy życiu. Ale czasami pech to po prostu pech.

W tym momencie uniosła się kłapa namiotu.

– Maynardzie, jesteś tu?

Do pomieszczenia weszła ciemnowłosa kobieta i zatrzymała się tuż przed korpulentnym przywódcą karawany.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Carino? – spytał Linton. Niewysoka kobieta miała na sobie szatę uzdrowicielki, wiszącą luźno na jej szczupłym ciele. Krótkie ciemne włosy okalały śliczną twarz, na której malowała się determinacja. Miała jasną karnację klanów znad Morza Północnego. Jej zielone oczy błyszczały żywiołowością i inteligencją, a zdecydowanie wysunięta do przodu szczeka świadczyła o tym, że kobieta nie pozwoli, by ją ignorowano. Choć widać było wyraźnie, że Carina nie zauważyła ich obecności, to Tris dostrzegł, że Vahanian zwrócił uwagę na uzdrowicielkę.

– Najmujesz kapłanki, Maynardzie? – zażartował.

– Musisz coś zrobić z Kainem – zażądała Carina, ignorując komentarz Vahaniana.

– Co znowu?

– Podburza ustawiaczy namiotów. Kiedy nie opowiada historii o duchach, przekonuje ich, że zostaną zasypani śniegiem na północnym szlaku, zanim dotrą do Dhasson. Sprawił też, że połowa z nich wierzy, że gdy tylko przekroczą granicę, napadną na nich potwory, żeby ich pożreć.

Westchnęła, rozłoszczona.

– Obydwaj moi pomocnicy odeszli tego ranka, po prostu oddalili się, mamrocząc coś o potworach. Nie tylko ich stracisz, jeśli nie zamkniesz ust Kaine’owi.

– Może ja zdołam pomóc – wtrącił się Vahanian, występując do przodu.

Carina zmierzyła go chłodnym taksującym spojrzeniem.

– Jak?

Mężczyzna uśmiechnął się czarująco.

– Spotkałem już takich jak Kaine. Mogę wziąć go na bok i przemówić mu do rozumu.

Sądząc po minie Cariny, uzdrowicielka nie miała wątpliwości co do tego, jak przebiegnie ta rozmowa.

– Nie, dziękuję. Jeśli połamiesz mu kości, będę je musiała nastawić, a i tak mam już dość roboty.

Znowu odwróciła się do Lintona.

– Jeśli istnieje jakieś wyjście, poza zignorowaniem Kainem i stłuczeniem go na miazgę, to radzę, żebyś z niego szybko skorzystał.

Linton zacmokał uspokajająco.

– Jestem pewien, że Jonmarc miał na myśli coś mniej drastycznego – powiedział, rzucając ostrzegawcze spojrzenie Vahanianowi. – Porozmawiam z Kaine’em. Tyle tylko, że on jest jedynym wspinającym się ustawiaczem namiotów, jakiego mam.

– Ja pochodzę z gór – wtrącił nagle Soterius, celowo nie wspominając, z których. –

Wszyscy się tam wspinają. Nie znam się za bardzo na namiotach, ale wspięcie się na czubek namiotu to dla mnie nie problem.

– Jesteście pełni niespodzianek – wymruczał pod nosem Vahanian.

– To może okazać się przydatne. – Linton rozchmurzył się i objął Carinę ramieniem. –

Obiecuję ci – powiedział – że się tym zajmę.

Choć spojrzenie kobiety mówiło, że nie jest o tym całkowicie przekonana, skinęła głową i odeszła.

Linton zaś odwrócił się z powrotem ku Trisowi i jego przyjaciółom.

– Idźcie obejrzyć karawanę – zaproponował. – Może nie jest największa w Siedmiu Królestwach, ale nie będziecie zawiedzeni.

Zamilkł na chwilę.

– I nie przejmujcie się Cariną. Jest złośnicą, ale nigdy przedtem nie miałem tak piekielnie dobrej uzdrowicielki. Mamy szczęście, że jest z nami. Właśnie udawała się na północ, tak jak wy – dodał.

– Skąd mamy wziąć namiot i jakieś zapasy? – spytał Vahanian. – Nie mieliśmy czasu, żeby spakować się przed podróżą.

Linton obrzucił go sceptycznym spojrzeniem.

– Aż tak źle? Idźcie do mojego kwatermistrza. Powiedzcie mu, że to ja was przysłałem, a on da wam wszystko, czego potrzebujecie.

– Dziękuję, Maynardzie.

– Wystarczy, że w ramach podziękowań postarasz się, żeby tym razem nie przepędzili mnie z miasteczka, Jonmarc.

– Obiecuję – odparł Vahanian z szelmowskim uśmiechem.

– Uch, hmm – wymruczał sceptycznie Linton. – Zobaczymy.

Wyszli z namiotu w jasne słońce późnego poranka. Powietrze było rześkie. Tris pomyślał, że zmierzając na północ, przyspieszą nadejście zimy. Dostrzegł kupców ustawiających dziesiątki jaskrawo pomalowanych straganów z chorągwiami w radosnych barwach przedstawiającymi ich towary. Robocze drużyny rozstawiały wielkie namioty. W powietrzu unosił się zapach pieczonego mięsa oraz gotowanych warzyw i Tris uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny.

– Mamy wiele do zrobienia, zanim będzie czas na posiłek – powiedział Vahanian.

Po jednej stronie terenu, który zajmowała karawana, byli opiekunowie zwierząt ze swoją kolekcją egzotycznych stworzeń. Był tam wielki skórzasty stawar z południowych dżungli, wymachujący ze znużeniem ogonem. Dwa dorosłe maccony chodziły w tę i z powrotem w swoich klatkach; ich wspaniałe futro błyszczało, a ciemne oczy sprawiały wrażenie niepokojąco inteligentnych. W klatkach znajdowały się wszelkiego rodzaju zwierzęta oraz setki rozwrzeszczanych ptaków o jaskrawym upierzeniu. Nawet z tej odległości smród był powalający.

Po drugiej stronie placu byli kupcy wystawiający swoje towary: przyprawy z Trevath, pięknie kutą biżuterię i klejnoty z margolańskich kopalni, wspaniałe tkaniny ze wschodu, świecidelka i wyroby garncarskie oraz setki innych pożądanых towarów z Siedmiu Królestw. Jakiś kupiec rozwinął pakunek z małym kobiercem z Noorish i wywiesił go na straganie, nonszalancko demonstrując swoje bogactwo. W Shekerishet było wiele takich gobelinów i Tris wiedział, że nawet małe chodniczki były tak drogie, iż nikt poza drobną szlachtą nie mógł sobie na nie pozwolić.

Błysk klejnotów na jednym ze straganów przyciągnął jego uwagę. Tris nie wiedział, czy były one prawdziwe, czy też były to udane podróbki, lecz klejnoty te płonęły ogniem w jasnym słońcu. Na innym kramie wystawiono płowe skóry z zachodnich równin, wygarbowane i

obrobione przez wprawnych rzemieślników. Na wystawie wisały buty i pochwy, siodła i plecaki oraz mocno wytarty skórzany pancerz. Kupiec miał ciemnobrązową wysuszoną skórę, która sprawiała wrażenie tak samo wygarbowanej jak jego towary. Przez chwilę mężczyzna przyglądał się czwórce nowo przybyłych, a potem odwrócił wzrok i zajął się swoją pracą.

– Nie jest to najgorsze miejsce, jeśli się ma trochę pieniędzy do wydania – stwierdził Harrtuck, wsadzając ręce do kieszeni.

– Patrzcie tylko, oto nasza „przyjaciółka”. – Tris podążył spojrzeniem za wzrokiem Soteriusa. Kawałek przed nimi, przy palenisku do gotowania, uzdrowicielka Carina rozmawiała ze starą kobietą, która obracała pieczeń na ruszcie.

– Wiesz, Carina jest całkiem ładna, jeśli nie przeszkadza ci jej wybuchowy temperament.

– Ona jest uzdrowicielką, Ban – rzucił sucho Tris. – Wątpię, żeby czekała, aż umilisz jej życie.

Soterius wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nigdy nie wiadomo. Praktykowanie sztuki leczenia może być samotnym zajęciem.

Wtedy właśnie spomiędzy namiotów wyszedł ogromny ciemnowłosy mężczyzna i podszedł do paleniska. Choć nie dotknął Cariny, jego postawa i bliskość wskazywały wyraźnie na to, że są parą. Był wyższy od Vahaniana i dwa razy większy, miał ogromne dłonie i grube ramiona. Szopa potarganych ciemnych kędziorów okalała mu twarz, przysłaniając zielone oczy.

Tris pomyślał, że mężczyzna wygląda tak, jakby był w stanie sam wznieść największy namiot karawany. Carina przemówiła do niego czule i olbrzym się uśmiechnął.

W tej dwójce jest coś dziwnego, pomyślał Tris. Coś, co sprawia, że nie pasują do tego miejsca, tak samo jak my.

Jego rozmyślenia przerwało wołanie Vahaniana, żeby szli za nim. Popołudnie minęło im

szybko na rozstawianiu namiotów i kramów. Soterius wykorzystał swoje umiejętności wspinaczkowe, żeby pomóc przy wznoszeniu namiotów, podczas gdy Carroway dołączył do grupy bardów i minstreli; wkrótce śmiał się i opowiadał historyjki jak reszta grupy. Tris przeciągnął się, po czym skrzywił, czując swoje obolałe mięśnie. Ponieważ nie miał takiego doświadczenia we wspinaczce jak Soterius ani talentu gawędziarza jak Carroway, przyłączył się do Vahaniana i Harrtucka, którzy zajmowali się rozbijaniem obozu. Ta praca uzmysłowiła mu dotkliwie, iż nie był w ogóle przygotowany do życia poza dworem. Brak mu było umiejętności wykonywania najprostszych nawet zadań. Harrtuck trzymał się blisko niego, podpowiadając mu, co ma robić, ale i tak Tris zauważył wiele pytających spojrzeń rzuconych w jego kierunku i wyczuł ton pobłażliwości w wydawanych mu poleceniach.

Pomyślał, że tych kilka mięśni, które jeszcze nie były nadwerężone po konnej jeździe, będzie go bolało rano po tym, jak z pozostałymi dźwigał, ciągnął i pchał, przygotowując karawanę do wieczornych występów. Harrtuck bez problemu skupił się na robocie, lecz Vahanian ciągle zachowywał czujność. Tris wątpił, by najemnik kiedykolwiek pozwalał sobie na odprężenie. Kiedy ostatnie sznury zostały zawiązane i ostatnie kołki wbite, Tris wyprostował się, cały obolały. Ciekaw był, ile czasu zajmie mu przystosowanie się do wymogów nowego życia i czy długo tak pożyje.

Harrtuck zatrzymał się przy nim, uśmiechając.

– A ty myślałeś, że kolacja jest za darmo. Rozluźnimy cię małą lekcją szermierki – obiecał, uśmiechając się jeszcze szerzej, kiedy zobaczył jego minę. – To najlepszy znany mi sposób odprężenia się po długim dniu. I pozwoli nam spotkać się z innymi tutejszymi najemnikami – dodał, rozglądając się dookoła. – Lepiej poznać umiejętności pozostałych strażników, zanim wpakujemy się w trudną sytuację.

– To samo pomyślałem – powiedział Vahanian, stając za Trisem. Ciemne włosy najemnika

były potargane przez wiatr, rękawy miał podwinięte do pracy, a pot lśnił na jego skroni. Poza tym jednak Vahanian wyglądał tak samo jak zwykle. Tris odprężył się nieco, mówiąc sobie, że jeśli Vahanian czuje się tu bezpiecznie, to znaczy, że nie jest źle.

– Ustawiacze namiotów gadają na potęgę – przekazał im szeptem Soterius, który zdążył już do nich dołączyć. – Nikt nie wierzy, że wypadek głównego ustawiacza namiotów to był naprawdę wypadek. Pilnujcie się przy Kaine. Jest tak lubiany jak schwytyany we wnyki skunks. Zamilkł na chwilę.

– I jeszcze jedno. Bardzo się starał ze mną porozmawiać. Może jest po prostu ciekawski, ale próbował z całych sił dowiedzieć się, kim jestem i skąd przybyłem, więc miejcie się na baczności. Założę się o mieszek złota, że będzie próbował tego samego z każdym z was.

Vahanian wzruszył ramionami.

– Tacy jak on są w każdej karawanie. Im mniej powiemy, tym lepiej.

– Czy sądzisz, że on jest szpiegiem? – spytał Tris.

Harrtuck prychnął.

– Wszystko jest możliwe. Lepiej mieć głowę na karku i oczy szeroko otwarte.

Godzinę przed zmierzchem, gdy rozpalono ogniska by przygotować kolację, Vahanian zaprowadził Trisa i pozostałych na otwarty teren niedaleko skraju obozu.

– Zaczniemy szlifować wasze szermiercze umiejętności – powiedział, wysuwając miecz z pochwy. Soterius jako pierwszy odpowiedział na to wyzwanie.

– Myślę, że nie doceniasz tego, czego nauczył nas Jaquard – odparł, zbliżając się ostrożnie.

Lekki uśmiezek wykrzywił kąciki ust Vahaniana.

– Nie sądzę. – Uniósł ostrze w górę i zaczął krążyć. Potem wyprowadził pchnięcie do przodu i Soterius je sparował, a ich miecze zwały się ze szczękiem. Soterius obrócił się i zamachnął klingą, mierząc wysoko. Dał się słyszeć zgrzyt stali, a Vahanian błyskawicznie padł i

przetoczył się po ziemi. Soterius rozwarł szeroko oczy, obracając się w poszukiwaniu swojego przeciwnika. I wtedy Vahanian natarł, a Soterius wciągnął głośno powietrze i upuścił broń, chwytając się za ramię. Jego przeciwnik rozwarł pięść i pokazał mu mały sztylet.

– Wasz nauczyciel szermierki nauczył was pewnych reguł – powiedział spokojnie Vahanian, podczas gdy Soterius oglądał małe draśnięcie na swoim ramieniu. – A tutaj nie ma żadnych reguł. Im szybciej się tego nauczycie, tym dłużej pożyjecie.

– Zraniłeś mnie! – powiedział zdumiony Soterius.

Harrtuck prychnął pogardliwie.

– Mógł cię trafić w serce, chłopcze! Trzeba mieć niezłe umiejętności, żeby zranić tak lekko. Jonmarc ma rację. Znajomość ulicznej walki, a nie turniejowych reguł, pozwoli wam przeżyć.

– Gotowy do walki? – Tym razem Vahanian spytał z uśmiechem Trisa.

Ten odpowiedział nieśmiałym uśmieszkiem i przyjął pozycję bojową. Nie miał złudzeń co do tego, jak skończy się ta walka, ale zacisnął szczęki i rzucił się z okrzykiem do ataku.

Dostrzegł błysk zaskoczenia w oczach Vahaniana. Mężczyzna przechwycił jego klingę w pół wymachu, odbijając ją. Tris wyprowadził kolejne proste pchnięcie, lecz Vahanian odskoczył w bok i natarł tak szybko, że książę sparował cięcie, kierując się bardziej instynktem niż tym, co widział. Ostrza przez krótką chwilę ślizgały się po sobie ze zgrzytem, a potem Tris uwolnił swoją broń i znowu natarł.

Wyczuł raczej, niż zobaczył, jak Vahanian przykuca, przetacza się i obraca, żeby skontrolować jego cięcie. Choć sztych jego miecza zaczepił o rękaw najemnika, Tris poczuł podmuch powietrza z tyłu prawej nogi i ujrzał, jak Vahanian zrywa się z opuszczonym mieczem, uśmiechając się szeroko.

– Niezła robota, Tris! – pogratulował mu Soterius. Harrtuck zarechotał. Tris opuścił miecz

i spojrzął na Vahaniana, nie próbując nawet ukryć rozgoryczenia.

– Myślę, że podciąłbyś mi ścięgno, gdybyś chlasnął mnie tym ostrzem, prawda? – spytał.

Vahanian wbił czubek miecza w miękką ziemię i oparł obie dłonie na głowicy. Tris zauważył z kwaśną miną, że mężczyzna nawet nie był zdyszany.

– Masz rację – odparł najemnik. – Jeśli jesteś wystarczająco szybki, to dobre posunięcie, bo masz pewność, że przeciwnik nie rzuci się na ciebie.

– To nieczyste gierki – stwierdził Soterius, uśmiechając się znacząco.

Vahanian wzruszył ramionami.

– Kiedy wolisz się nauczyć takich posunięć, teraz czy wtedy, kiedy jakiś skurwysyn dziabnie cię w czasie walki?

Soterius podniósł rękę przeproszającym gestem.

– Nie będę się w tej sprawie sprzeczał, Jonmarc – dał za wygraną. – Spędziłem dość czasu w koszarach, żeby móc podawać w wątpliwość kwestię rycerskości i honoru.

Vahanian uniósł brew.

– Rycerskość, owszem, ale honor to zupełnie coś innego.

– To nie było posunięcie nowicjusza – odezwał się jakiś chrapliwy głos.

Podnieśli wzrok i zobaczyli krzepkiego olbrzymia, który wcześniej był z Cariną.

– Nie jestem nowicjuszem – odpowiedział spokojnie Vahanian. Tris zauważył, że najemnik nie uniósł miecza ani nie schował go do pochwy, i domyślił się, że nie wyczuwa zagrożenia.

– To widać. – Niesforne ciemne włosy okalały twarz ogromnego mężczyzny niczym burzowa chmura, a skórę miał zbrązowiałą od wielu lat spędzonych na powietrzu. Był ubrany w prostą tunikę i spodnie, lecz pas na miecz wiszący na biodrach był kunsztownej roboty. Jeśli klinga w pochwie dorównywała głowicy, to była to porządnie wykonana, praktyczna bron. *Jest*

w nim coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka, pomyślał Tris.

– Jestem Cam. – Ciemnowłosa mężczyzna zwrócił się do Vahaniana, lecz obrzucił spojrzeniem pozostałych. – Przyglądałem się waszym ćwiczeniom. Jeśli można, chętnie przyłączę się do was na kilka rundek.

– Pewnie – zgodził się uprzejmie Vahanian. Tris pomyślał, że jeśli będą mieli szczęście, to ten wielki mężczyzna może się okazać dobrym źródłem informacji o pozostałych strażnikach, którzy przyłączyli się do karawany.

Po walce Harrtucka z olbrzymem Tris przekonał się, że Cam był zaskakująco zwinny jak na swój wzrost i dobrze władał mieczem. Choć przyglądanie się klindze w akcji nie pozwalało podziwiać mistrzostwa jej wykonania, to Trisowi wydawało się, iż dostrzegł runy wyrzeźbane na płazie miecza i zawiłe obce pismo na rękojeści. Była to nietypowa bron jak na najemnego żołdaka. Albo została skradziona, albo też – podobnie jak w ich przypadku – kryła się za tym historia, którą nie należało się z nikim dzielić.

Kiedy Tris i Vahanian kończyli kolejną rundkę, doleciały ich zapachy kolacji niosące się w rześkim nocnym powietrzu. Tris otarł twarz rękawem i odgarnął włosy z czoła. Przy trwających ponad świecę ostrych ćwiczeniach człowiek pocił się nawet w chłodnym jesiennym powietrzu. Już miał zaproponować, żeby poszli na kolację, kiedy od strony obozu przybiegł jakiś mężczyzna.

– Cam! Chodź szybko! – zawołał. – Jesteś potrzebny!

Olbrzym bez słowa schował miecz do pochwy i skinąwszy grupie głową, ruszył biegiem do obozu.

– Tak czy owak, to już koniec na dzisiaj – powiedział Vahanian, chowając swoją broń. – Przekonajmy się, o co to całe zamieszanie.

Choć szli nieco wolniejszym krokiem, cały czas mieli Cama na oku. Krzepki wojownik

przewyższał bowiem o głowę niemal każdego w obozowisku. Cam zwolnił do truchtu, kiedy znalazł się w bardziej zatłoczonej części obozowiska, a potem znowu pognął biegiem, kiedy posłaniec wskazał kierunek na lewo.

Tris zauważył, że rzeczywiście pojawiły się kłopoty, ale nie tego rodzaju, o jakich pomyślał. Spodziewał się jakiejś bójki albo schwytania złodzieja, a tymczasem runął jeden z większych namiotów, w których występowali artyści z karawany. Tris wraz z przyjaciółmi z trudem przecisnęli się przez zgromadzony wokół tłum.

– Co się stało? – spytał księżę jednego ze stojących z przodu mężczyzn.

– Ten cholerny słup pękł w połowie – odparł. – Kraveck mocował ostatnie liny, kiedy słup się przewrócił, a on razem z nim.

Carina przyklękła koło leżącego na ziemi ustawiacza namiotów. Kiedy zbliżył się Cam, wyciągnęła rękę do ogromnego mężczyzny, a on chwycił ją i stał tak przez chwilę, rozmawiając z dziewczyną przyciszonym głosem. Potem Cam uniósł swoją ogromną rękę, prosząc o ciszę, i tłum od razu umilkł, odsuwając się o kilka kroków.

Carina raz jeszcze wyciągnęła lewą rękę do Cama, zamknęła oczy i zaczęła przesuwać prawą dłońią po ciele rannego. Tris patrzył, jak jej twarz wykrzywia się z bólu, a powieki zaciskają od cierpienia, które dzieliła z mężczyzną.

Potem powoli położyła mu dłoń na czole, wciąż pozostając w kontakcie fizycznym z Camem. Mężczyzna miał zamknięte oczy i rozluźnioną twarz, jakby był całkowicie otwarty na działania Cariny.

Tris pomyślał, że kobieta czerpie z niego moc uzdrawiania. Kraveck musiał być naprawdę w złym stanie.

Dłoń Cariny pozostała na czole Kravecka przez kwartę świecy. A potem znowu powoli zaczęła się poruszać, tym razem nad jego piersią. Jej twarz wykrzywił grymas i Tris miał

wrażenie, że Kraveck oddycha z większą łatwością.

Carina zatrzymała rękę tuż nad żebrami Kravecka. Przełknęła z trudem ślinę i pochyliła się do przodu, a Tris miał wrażenie, że szczupła uzdrowicielka wkłada w ten ruch resztki sił. Przez niemal połowę świecy jej usta poruszały się w skupieniu, a ciało było napięte od wysiłku. Potem nagle się osunęła i Cam pochwycił ją w ramiona i delikatnie podniósł. Uniosła głowę i jedną ręką wskazała, dokąd ma ją zanieść.

– Ty tam! – zawołał Cam do jednego ze stojących nieopodal ustawiaczy namiotów. –

Zrobiła dla niego wszystko, co mogła, i teraz chce, żeby zanesiono go do budynku, gdzie łatwiej będzie się nim opiekować. Mówi, żeby wsunąć mu deskę pod plecy, żeby nie zepsuć tego, co naprawiła, i od razu go tam zanieść. Przyjdzie zaraz, jak tylko odpocznie.

Dwaj ustawiacze namiotów rzucili się, żeby wykonać polecenie Cama. Tris zauważył, że ogromny mężczyzna sam wygląda na wyczerpanego. Czekał, tuląc Carinę w ramionach, dopóki mężczyźni nie zrobili tego, o co prosiła, a potem ruszył w kierunku namiotu uzdrowicielki; tłum podążał za nim jak za jakimś prorokiem.

– Widywałem już uzdrowicieli – powiedział Vahanian – ale nie takich jak ona. Ciekawe, co tu robi uzdrowicielka obdarzona takim talentem, prawda?

– Może zostali wypędzeni z jakiegoś arystokratycznego dworu?

Vahanian potrząsnął głową, wciąż patrząc w ich stronę.

– Wątpię. Taki talent jest bardzo rzadki.

– Moim zdaniem niebrzydka też z niej kobieta – stwierdził stojący z tyłu Soterius.

Vahanian wzruszył ramionami.

– Przyjaciele i kochankowie są zakładnikami losu, który ich okrutnie rozdziela. Człowiek uczy się tego, jeśli wystarczająco długo jest w drodze – powiedział i ruszył w stronę przewróconego namiotu, gdzie już roiło się od pracujących ludzi, którzy przygotowywali to

miejsce na przybycie wieczornych tłumów.

– Nasz przyjaciel zawsze ma na koniec jakąś cyniczną uwagę – stwierdził ponuro Soterius, przyglądając się, jak Vahanian odchodzi. – Nigdy nie spędziłem tyle czasu z najemnikiem. Jeśli wszyscy są tacy jak on, to pewnie niewiele straciłem.

– Nie wszyscy, tylko ci, którzy wystarczająco długo pożyją, chłopcze – wtrącił Harrtuck, dołączając do nich. – Kiedy przeżyjesz tak wiele trudnych chwil co Jonmarc, to założę się, że też będziesz taki szorstki w obyciu.

– Nie mogę się doczekać, kiedy dotrzemy do Dhasson – odparował Soterius.

Tej nocy przyszły sny. Tris usłyszał bardzo wyraźnie wołającą go Kait, zupełnie jakby stała w jego namiocie. Jej wołanie było tak błagalne, że aż serce mu się ścisnęło.

– Kait, jesteś tu? – spytał cicho, nie będąc pewnym, czy śni, czy już się obudził.

– Pomóż mi, Tris! – Głos Kait był stłumiony i dobiegał z oddali. Tris skupił się, zapadając w lekki trans. Duch Kait nadal był daleko.

– Kait, gdzie jesteś? – zawołał. Sprawiała wrażenie, jakby go nie słyszała. Jej głos stał się bardziej zdesperowany, a błagania pełne udręki. Choć Tris bardzo się starał, nie był w stanie przyciągnąć do siebie jej ducha ani zbliżyć się do niej. Jakby rozdzielała ich gruba szyba.

Widział Kait, lecz nie mógł nic zrobić, żeby zniszczyć to przezroczyste więzienie, ani by pokonać dzielącą ich przestrzeń.

– Pomóż mi, Tris. Pomóż mi.

Obudził się drżący, zlany potem. Serce mocno mu waliło. *Wariuję*, pomyślał. Zmusił się do oddychania głęboko. Żeby opanować drżenie, i spróbował wykorzystać ćwiczenia medytacyjne, których nauczyła go babka. Nie udało się. Ukrył twarz w dłoniach; chciało mu się szlochać, tak jak w noc. dokonania morderstw. *Przyjdę po ciebie, Kait. Żywy lub martwy, przyjdę*

po ciebie. Wydostanę cię stamtąd, przysięgam!

– Dobrze się czujesz? – dobiegł głos zza ścianki namiotu. Soterius wsunął głowę przez klapę.

– To znowu tylko zły sen – odpowiedział Tris, mając nadzieję, że głos mu nie drży.

– Pewnie masz do nich prawo – przyznał Soterius. – Ja ciągle śnię o tych ślicznych dziewczętach tam w domu. Tej nocy, kiedy wyjechaliśmy, wystawiłem jedną do wiatru.

Tris podniósł wzrok; ledwie dostrzegął twarz przyjaciela w blasku księżyca.

– Przepraszam – powiedział cicho. – Zniszczyłem wam wszystkim życie.

Soterius uśmiechnął się ze znużeniem.

– Trochę już za późno, żeby tego żałować – zażartował. – Ale ty nie poprosiłeś nas, żebyśmy z tobą pojechali, zrobiliśmy to z własnej woli.

Wzruszył ramionami.

– Nie pozostawiłem tam nikogo szczególnego, tylko kilka złamanych serc. – Wyszczерzył zęby w uśmiechu. – Harrtuck nigdy nic nie mówił o rodzinie. Myślę, że koszary były dla niego domem. Carroway miał na oku piękną flecistkę, ale ona o tym chyba nie wiedziała – dodał – więc nie przejmuj się nami. Ja patrzę na to jak na okazję, żeby zobaczyć trochę świata.

Tris przeciągnął się.

– Chyba raczej okazję do tego, żeby ponosić ten świat na swoich barkach – powiedział. – Jestem tak obolały po rozstawianiu namiotów, że pewnie i tak nie uda mi się zasnąć.

– Wiem, co masz na myśli. A to, co nie boli po rozstawianiu namiotów, boli po tych cholernych ćwiczeniach z Vahanianem. Nie byłem tak zmęczony nawet wtedy, kiedy wstąpiłem do gwardii! – Zamilkł na chwilę. – Już wszystko w porządku?

– Tak. – Powątpiewanie na twarzy Soteriusa wskazywało, że nie uwierzył w kłamstwo.

Poszedł jednak, skinąwszy przyjacielowi głową. Tris wyrżał przez klapę namiotu i wpatrzył się

w księżyc. Głos Kait, dobiegający teraz z oddali, wciąż go przyzywał. Wiedział, że nie zaśnie tej nocy. A może nawet już nigdy.

Rozdział dziewiąty

Kiedy Tris przyszedł, żeby przejąć wartę po Vahanianie, doleciały go odgłosy kłótni. I rzeczywiście, za rogiem zobaczył Vahaniana i Carinę pogrążonych w zacieklej sprzeczce.

– Był jednym z moich pacjentów! – krzyczała zajadle Carina.

– Nie był na tyle chory, żeby nie móc obrobić kieszeni innych biedaków – odparował

Vahanian. – Posłuchaj, paniusiu, kiedy ja jestem na warcie, to jestem na warcie. I kiedy coś zobaczę, to się tym zajmuję.

– To nie oznacza, że wolno ci wyciągać chorego człowieka z łóżka i wlec go do Lintona! – warknęła. – On miał gorączkę.

– Był całkiem zimny, jak go złapałem. Odrobina smoczego korzenia pod język może sprawić, że pojawią się wypieki. Tak jak i odrobina suchodrobu w kieliszku wina. Zapytaj Lintona. On spędził trochę czasu w Noor. Wie wszystko o lekach... i o truciznach. Codziennie zażywa trochę wdowego serca zmieszanego z brandy, żeby zabezpieczyć się przed truciznami.

– To niczego nie zmienia. Wywlokłeś chorego człowieka z mojego szpitala, przeciągnąłeś go przez cały obóz i oskarżyłeś o kradzież. Jeśli coś dotyczy moich pacjentów, to chcę o tym wiedzieć, zanim wyciągniesz kogoś za ucho na gościniec i każesz mu się wynosić.

Vahanian zaklął i skierował wzrok ku niebu.

– Złapałem go, gdy trzymał łapę w kieszeni innego pacjenta. Z całym szacunkiem, kapłanko, ale rób to, co do ciebie należy, i pozwól, żebym ja robił swoje.

– Z przyjemnością – wycodziła, czerwona na twarzy – jeśli przez to, co ty robisz, nie będę miała jeszcze więcej poturbowanych pacjentów.

Wyrzuciła ręce w górę w geście rezygnacji.

– Nie wiem, czemu w ogóle sobie zawracam głowę. I tak mnie nie posłuchasz. I nie jestem kapłanką – dodała i odeszła w stronę chaty, która służyła jej za mały szpital.

– Nie odzieraj mnie ze złudzeń! – zawołał za nią – Mówisz z taką pewnością siebie, jakby przemawiała przez ciebie sama Pani!

W odpowiedzi przez drzwi wyleciał gliniany kubek i przeleciał tak blisko głowy najemnika, że musiał się uchylić.

– Wiesz, jak postępować z kobietami – rzucił ironicznie Tris.

Vahanian zaśmiał się cicho.

– Myślę, że Carina nie lubi żadnego mężczyzny, który nie jest na noszach.

– Naprawdę schwytałeś złodzieja?

Vahanian wzruszył ramionami.

– Tak. Ale nie to mnie martwi. Myślę, że to mógł być ten, na którego napadłem, gdy się skradał wokół naszego obozu. Miał starego siniaka dokładnie w tym miejscu, gdzie wyrząłem tamtego gościa w szczękę. Ale nie jestem pewien.

– Czemu ten sam podejrzany osobnik miałby się tu kręcić?

– To dobre pytanie. Ale przychodzą mi do głowy same paskudne odpowiedzi. Może znalazł to, czego szukał, i teraz ma to coś na oku. – Najemnik spojrzał znacząco na Trisa. – A może w ogóle nie jest wami zainteresowany. Może szpieguje karawanę i innych podróżnych na użytek bandytów. Może wtedy, kiedy nas znalazł, szukał po prostu łatwej okazji do zwędzenia sakiewki.

Tris milczał przez kilka chwil.

– Będę szczególnie ostrożny – powiedział wreszcie. – Wyglądasz na zmęczonego. Idź się trochę przespać.

Vahanian uśmiechnął się.

– Najpierw trochę piwa i żarcia, a potem spanie. Ale dobrze myślisz – powiedział, skręcając w stronę namiotu-kuchni.

Mimo złych przeczuć Vahaniana warta Trisa przebiegła spokojnie i kiedy zapadł wieczór, z przyjemnością przekazał obowiązki Harrtuckowi.

– Słyszałem, że Vahanian znowu ściał się z uzdrowicielką – stwierdził Harrtuck.

Tris wzruszył ramionami.

– Chyba nie zdenerwował się tak bardzo jak Carina. Wydawało mi się, że raczej dobrze się bawił.

Harrtuck zaśmiał się.

– To cały Vahanian. Kiedy chce, potrafi naprawdę działać na nerwy.

Wystawił twarz na wiatr i zamilkł na chwilę.

– Co się stało? – spytał Tris.

Żołnierz potrząsnął głową, marszcząc brwi.

– Trudno powiedzieć. To tylko przeczucie. Coś jest nie tak, jak być powinno. Ktoś nas obserwuje. – Wzruszył ramionami. – Myślę, że dziś wieczór zrobię dodatkowy obchód. –

Zamilkł na chwilę. – Właściwie to może przyślesz tu Soteriusa? Może to nic takiego, ale tej nocy przyda mi się dodatkowy miecz.

– Pewnie. Sprowadzę go.

Tris nie dodał, że też ma złe przeczucia. Zanim Harrtuck o tym wspomniał, złożył je na karb swojego zdenerwowania, teraz jednak nie był już co do tego przekonany. Rozglądając się po ogniskach, które jarzyły się na tle zimnego jesiennego nieba, pomyślał, że nie będzie jednak kłaść się wcześniej tej nocy – na wszelki wypadek.

Kiedy wieczorne ogniska zaczęły już przygasać, w lesie zagrzmiał tętent końskich kopyt.

Spomiędzy drzew zaszarżowali jeźdźcy, wymachując wysłużoną bronią i wydając z siebie bojowy krzyk, od którego krew ścinała się w żyłach. Było ich co najmniej dwa tuziny. W obozie wybuchło zamieszanie – mężczyźni i kobiety uciekali przed napastnikami lub pędzili po broń. Nieuzbrojony kucharz karawany podniósł kocioł z resztkami zupy i klnąc, chlusnął parującym płynem na najbliższego jeźdźca. Ten zamachał rękoma jak szalony i zleciał ze stającego dęba konia.

– Bandyci! – krzyknął Vahanian, dobywając miecza. Z mroku nocy nadleciał grad płonących strzał i wszędzie wokół namioty karawany i furgony stanęły w płomieniach, a woźnice nadbiegli, przeklinając, żeby gasić pożary.

Ludzie na koniach okrążyli obóz. Widząc ich nieskładnie dobrane zbroje i uprzęż koni, Tris domyślił się, że napastnicy zebrali się razem raczej przypadkiem niż celowo. Bez wątpienia kolejni ukrywali się w lesie, i to oni byli odpowiedzialni za ten grad strzał. Kiedy bandyci rzucili się do ataku, Tris pognał, żeby zająć miejsce w szeregu z mieczem w gotowości.

Strzała drasnęła go w ramię. Niektórzy z członków karawany z okrzykiem rzucili się do natarcia, podczas gdy pozostali zaczęli zestawiać wozy razem dla obrony albo biegli zająć się końmi. Kątem oka Tris dostrzegł przelatującego ducha, a w chwilę później drugiego i trzeciego. *Słodka Chenne, widzę, jak oni umierają!* pomyślał, walcząc z paniką. Jego dar uległ wzmocnieniu w ciągu tych tygodni od ucieczki z pałacu i coraz łatwiej mu było zobaczyć duchy, nie był jednak w stanie zablokować ich szeptów, kiedy otaczały żywych. Ale, gdy nie odbywało się to w ferworze walki, owe szepty nie przypominały odgłosów wrywania duszy z ciała i rozdzielania ciała od ducha.

Jeden z bandytów zmierzał prosto w stronę Trisa na spienionym, ogarniętym bitewnym szalem koniu. Starając się zachować spokój, Tris uchylił się i sparował cięcie jeźdźca, choć koń omal go nie stratował. Napastnik zawrócił i znowu zaatakował. Tym razem Tris utrzymał

pozycję, przykucnął nisko i zamachnął się mieczem blisko ziemi, żeby trafić w wierzchowca.

Kwiczący koń upadł na ziemię, zrzucając jeźdźca. Tris zabił biedne stworzenie jednym cięciem, a potem zwrócił się ku jeźdźcowi, gdy bandyta zerwał się na nogi z oczyma zamroczonymi wściekłością i z okrzykiem, z uniesionym mieczem rzucił się na niego. Tris natarł, przedarł się przez obronę mężczyzny i wbił mu miecz głęboko w pierś. Bandyta jęknął i osunął się na kolana, chwytając się za pierś. Jego oczy rozwarły się szeroko i zaklął, zaskoczony, a potem upadł.

Tris poczuł nagły zawrót głowy, jakby ktoś go mocno uderzył. Potrząsnął głową, żeby mu się w niej rozjaśniło, i popatrzył na umierającego bandytę. Miał wrażenie, jakby dwa identyczne ciała leżały jedno na drugim. Ta druga postać stawała się coraz bardziej przezroczysta, aż wreszcie wstała, wbiła w niego smutne i znaczące spojrzenie, po czym rozwiała się w powietrzu. Zanim Tris zdołał otrząsnąć się z tego widoku, usłyszał za sobą tętent kopyt i zatoczył się od ciężkiego uderzenia w bok głowy, a potem świat utonął w czerni.

Kiedy oprzytomniał, sytuacja nie wyglądała dobrze. Bandyci walczyli jak opętani. Będąc na koniach, mieli dużą przewagę, i napad kosztował karawanę dwukrotnie więcej ofiar. Przyglądając się Vahanianowi i Harrtuckowi, Tris stwierdził, że najważniejsze to powalić tyle wierzchowców bandytów, ile tylko się da. Choć głowa pękała mu z bólu, podniósł się chwiejnie na nogi. Zgiełk wywoływany przez otaczające go duchy groził Trisowi obłędem, więc wyszeptał zaklęcie ochronne, którego nauczyła go Bava K'aa. Nie uciszyło ono duchów, lecz odsunęło je na tyle daleko od jego myśli, że mógł działać.

Nagle dostrzegł, że przeciwnik Vahaniana próbuje przedrzeć się do serca karawany, a bandyta ten piekielnie dobrze posługiwał się bronią. Płomienie, które wystrzeliły w środku karawany, odciągnęły przynajmniej połowę ludzi od obrony, pognali bowiem, żeby ratować namioty i wozy. Tris podniósł swój leżący na ziemi miecz i ruszył w stronę toczącej się bitwy.

Z prawej strony dostrzegł starą wiedźmę, która z determinacją wymachiwała oburącz toporem, starając się utrzymać przeciwnika z dala od siebie. Miała oszalałe spojrzenie, jej sękatę rękę zaciskały się na styliśku topora tak, aż zbieleły jej kłykcie, a usta poruszały się, wymawiając magiczne słowa. Nagle bandyta upuścił miecz, jakby oparzony – to głowica rozjarzyła się aż do czerwoności. Zgarbiona staruszka wykorzystała okazję, jaką dało jej to zaklęcie, i bez litości zamachnęła się toporem.

Tris pognął biegiem w stronę walki, całkowicie ignorując ból głowy i duchy powstające z zabitych na polu bitwy. Carroway dołączył do niego w połowie drogi, wyłaniając się z dymu, który spowijał płonący obóz.

– Patrz, tam! – krzyknął Tris, wskazując ręką. Budynek, który Carina zmieniła w prowizoryczny szpital, przyciągnął uwagę jednego z bandytów; mężczyzna próbował się do niego wdrzeć. Carina, uzbrojona tylko w długi kij, zagrażała mu drzwi. Tris dostrzegł kątem oka, jak Vahanian, rozprawivszy się ze swoim przeciwnikiem, rzuca się biegiem w stronę chaty uzdrowicielki.

– Może uda mi się pomóc – wyszeptał Carroway, sięgając do sakiewek u pasa po jedną z kulek, których używał przy opowiadaniu swoich historii. Flara zielonego światła przestraszyła bandytę, dając Vahanianowi sposobność do ataku i powalenia go. Tris spojrział w górę i zobaczył kolejną smugę zielonego światła, która wystrzeliła z ręki minstrela.

– Salonowe sztuczki – powiedział Carroway z szelmowskim uśmieszkiem. Jego prawa ręka drgnęła, ostrze śmignęło i uśmierciło jednego z bandytów, wbijając mu się zgrabnie między łopatki. Carroway podbiegł do leżącego bandyty i spokojnie wyszarpnął ostrze.

Tris zachwiał się, czując dusze oddzielające się od umierających ciał. *Pani, ratuj mnie, jest ich tak wiele!* pomyślał, starając się odnowić zaklęcie, które stanowiło jakąś ochronę przed szaleństwem.

Tymczasem Carina z ponurą determinacją broniła pacjentów w swoim szpitaliku, kiedy kolejny bandyta rzucił się do ataku. Bandyta wymierzał ciosy, a ona parowała je laską, ale widać było, że nie ma już siły.

– Trzeba zapłacić cenę za wejście! – zawołał Vahanian i rozbójnik się odwrócił.

– A jaką? – zapytał, unosząc miecz.

– Musi ci być potrzebny uzdrowiciel – odparował Vahanian i zamachnął się mocno mieczem. Przerąbany od ramienia aż po biodro, rozbójnik osunął się na ziemię, kiedy nadbiegli Tris i Carroway, wymachując mieczami. Tris doznał wstrząsu, czując swoimi zmysłami maga nagłą śmierć bandyty, i z całych swoich słabnących sił uczepił się ochronnego zaklęcia.

– Nieźle się broniłaś – powiedział Vahanian do Cariny. Kobieta oddychała ciężko, a jej przesiąknięta potem tunika przylegała do ciała. Odgarnęła drżącą ręką krótkie ciemne włosy wpadające jej w oczy.

– Dobrze się czujesz?

– Dojdę do siebie – zapewniła go, choć jej słowa były bardziej zdecydowane niż ton głosu. Słyszając zbliżające się z tyłu kroki, Vahanian odwrócił się do kolejnego przeciwnika, a Carina podniosła swoją laskę i wycofała się w mrok zrujnowanego budynku. Tris stanął na straży na zewnątrz.

Nagle rozległ się głuchy dźwięk przypominający grzmot. To jeden z głównych namiotowych słupów złamał się i upadł na dach prowizorycznego szpitala, ciągnąc za sobą stojący w płomieniach namiot. Płonące płótno zapaliło dach chaty uzdrowicielki.

– Dach płonie! – zawołał Tris, próbując przekrzyczeć panujący zgiełk.

Vahanian i Soterius byli tak blisko, że go usłyszeli.

– Zostaw bandytów i chodź ze mną! – krzyknął Vahanian do Soteriusa, a Tris, nie czekając, zakrył twarz tuniką i wpadł do środka. Trzaskające płomienie trawiły zwisające płótno

zniszczonego namiotu. Ogień szybko rozprzestrzenił się na słomiany dach budynku i dym buchał przez drzwi. Kiedy Tris przedzierał się przez dym, Carina już ratowała jakiegoś mężczyznę z płonącego budynku, z trudem ciągnąc jego ciężkie ciało. Choć dym sprawiał, że głowa jeszcze bardziej go rozbolała, Tris pomógł Carinie odciągnąć mężczyznę w bezpieczne miejsce.

Vahanian i Soterius przybiegli, gdy Tris i Carina znaleźli się już na świeżym powietrzu.

Najemnik chwycił Carinę za ramiona, gdy znowu odwróciła się w kierunku płonącego budynku.

– Zostań tu! – krzyknął. – My wyciągniemy pozostałych!

– Moi pacjenci, moje ryzyko – odparowała, wrywając się. – Jest ich tam wielu.

I zanim któryś z nich zdołał ją powstrzymać, Carina pomknęła z powrotem do płonącego budynku. Soterius wpadł za nią w drzwi, ale zaraz się wycofał, z trudem łapiąc oddech.

Vahanian zerwał płaszcz z ranego mężczyzny, zanurzył płótno w stojącym nieopodal wiadrze i pobiegł z mokrą szmatą ku drzwiom.

– Macie, użyjcie tego – powiedział, drąc ociekający wodą materiał na szerokie pasy.

Tris i Soterius wyrwali mu je z rąk.

– Będziemy mieli tylko jedną szansę – uświadomił im Soterius głosem stłumionym przez szmatę.

– Chodźmy. – Tris przycisnął mokry materiał do twarzy.

Trzej mężczyźni wpadli razem w dym, po czym osunęli się na kolana, niemal całkiem oślepieni. Soterius poczołgał się do tyłu, gdzie widać było ledwie dostrzegalny zarys jakiejś postaci. Niedaleko wejścia ręka Vahaniana natrafiła na nogawkę spodni. Mężczyzna zarzucił sobie ranego człowieka na plecy i dysząc, z oczami piekącymi od dymu, wyczołgał się tak szybko jak mógł za drzwi. Zaraz potem wskoczył z powrotem w dym, Tris tymczasem pełził dalej. Z tyłu w ciemnościach dostrzegł Carinę zmagającą się z pacjentem. Nagle w górze rozległ się trzask przypominający uderzenie pioruna.

– Carino! – krzyknął Vahanian i dał nura ku uzdrowicielce w momencie, gdy belka nad jej głową złamała się w deszczu iskier. Widząc pękającą belkę, Tris poczuł szok i przerażenie Cariny, a zaraz potem przepełniły go moc i strach.

– Nie! – Ochryple rozkaz wyrwał się z jego gardła, gdy ukląkł, wyciągając rękę w kierunku belki. Poczuł, jak narastająca moc wystrzela z jego dłoni, i belka została odrzucona na bok.

– Biegnij! – wydyszał Vahanian, popychając Carinę w stronę wyjścia i wlokąc ostatniego pacjenta ku drzwiom. Tris ruszył za nimi, ale upadł, z trudem łapiąc oddech w straszliwym żarze. Kiedy poczuł, jak świat wokół niego pociemniał, czyjeś mocne dłonie chwyciły go za ramiona i na poły niosąc, na poły ciągnąc, wywlokły na trawę. Z tyłu za nim drewniane belki chaty zajęczały jak umierający człowiek, po czym zwały się, tryskając płomieniami i iskrami. Ktoś wylał na niego wiadro wody i Tris powoli oprzytomniał. Kłuło go w płucach, kaszłał i z trudem oddychał. Jak przez mgłę czuł oparzenia na ramionach i łydkach. Usiłował przejrzeć na oczy, oślepiony popiołem i dymem.

Budynek szpitala leżał w zgliszczach, płonąc szybko. Wszędzie w obozie rozbrzmiewało rżenie koni i szczęk mieczy. Walka toczyła się jednak nieco dalej, już nie w sercu obozowiska.

– Odparli bandytów. To dobrze. Nie mogę oddychać, a co dopiero walczyć – wychrypiał Vahanian.

Z dymu wyłoniła się stara czarownica, niosąc prymitywnie wyciosany kubek.

– Wypij to – powiedziała, wciskając Trisowi kubek w dłonie. Wypił z wdzięcznością, czując, jak płyn pali jego obolałe gardło. Choć nie wiedział, co to była za mikstura, od razu zaczęła działać; wzmocniła go na tyle, że był w stanie się podnieść i rozjaśniło mu się w głowie. Carina ukląkla i pochyliła się nad jednym z pacjentów, których wyciągnęli z palącego się budynku. Zaczęła uderzać go z całych sił w pierś.

– Na Panią, oddychaj, do diabła, oddychaj! – szlochała.

Vahanian podszedł do klęczącej kobiety.

– Carino...

– Przed pożarem już dobrze oddychał – próbowała przekonać samą siebie. Jej ubrudzona sadzą szata była podziurawiona od spadających iskier. Łzy spływały po pokrytej popiołem twarzy, a zlepione włosy wpadały jej do oczu, kiedy pochylała się nad swoim podopiecznym. – Oddychaj, do cholery!

Vahanian złapał ją za ramiona, lecz ona się wyrwała.

– Nie! – krzyknęła. – Muszę mu pomóc.

– On nie żyje – powiedział łagodnie najemnik. – Spójrz na niego. Już za późno.

Carina ukryła twarz w dłoniach.

– To nie twoja wina. Popatrz, miał ranę w okolicy żeber. I tak miałby trudności z oddychaniem, a do tego ten dym...

Uniosła głowę i obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

– Nie rozumiesz, co to znaczy stracić pacjenta.

– Nie – przyznał cicho. – Wiem tylko, jak to jest stracić żołnierzy będących pod moim dowództwem.

– Pani musi nad tobą czuwać, skoro wyszedłeś z tego żywy – stwierdziła czarownica, zabierając Trisowi kubek. Napełniła go ponownie i podała Soteriusowi, który przyjął go z wdzięcznością. Tris zauważył oparzenia na jego twarzy i ramionach; żołnierz pewnie był w nie lepszym stanie niż on sam.

– Dziękuję, że mnie stamtąd wyciągnąłeś – powiedział.

Soterius przyglądał mu się przez chwilę, nic nie mówiąc, i Tris zrozumiał, że przyjaciel widział, jak posłużył się magią, żeby odrzucić belkę na bok.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział wreszcie, i choć brzmiało to szczerze, zaraz odwrócił wzrok.

On już nie wie, co o mnie myśleć, stwierdził Tris, wciąż czując w gardle palącą miksturę czarownicy. *<i> Nie pisał się na to, żeby być wasalem maga.*

Staruszka wzięła kubek i podała go Vahanianowi, ten jednak zbył ją machnięciem ręki i pokazał, że ma się zająć Cariną, Stara kobieta przyklękła koło dziewczyny i przytuliła ją, pozwalając uzdrowicielce wypłakać się na swoim ramieniu jak zrozpaczonemu dziecku.

Vahanian popatrzył na Trisa i ich spojrzenia się spotkały. Obydwaj wiedzieli, że płonąca belka zmieniła kierunek upadku na jego rozkaz. *On nienawidzi magii jeszcze bardziej niż Soterius*, pomyślał Tris, widząc wyraz oczu najemnika. *Jego wyjęty spod prawa książę jest początkującym magiem. To kolejny powód do zmartwienia.*

– Gdybyście posłuchali mojej rady, nic takiego by się nie stało – dobiegł ich pełen zjadliwości głos. To Kaine deptał po piętach Maynardowi Lintonowi, gdy przywódca karawany przedzierał się ostrożnie przez zgliszcza.

– Gdzie jest uzdrowicielka? – chciał wiedzieć Kaine. – Jestem ranny.

– Pani uzdrowicielka jest zajęta, idź sobie – powiedział Vahanian, stając na jego drodze.

Kaine chciał go wyminąć.

– Jest uzdrowicielką, niech więc uzdrawia – warknął.

Tym razem klinga Vahaniana zagroziła mu drogę.

– Powiedziałem, że pani jest zajęta – wychrypiał. Chyba zaczął odczuwać dzisiejszą bitwę w każdym obolałym mięśniu i rozważał możliwość wyładowania złości na Kaine.

– Odejdź.

– Wspaniały z ciebie obrońca, Jonmarcu Vahanianie. Całkiem możliwe, że to robota twoich przyjaciół-bandytów – rzucił szyderczo Kaine, cofając się przed błyszczącą klingą. –

Powiedziałem Lintonowi, że najęcie cię do pracy oznacza kłopoty. Nie doszłoby do tego, gdybyśmy nie zwerbowali tej twojej złodziejskiej mordy.

Vahanian zrobił krok w stronę Kaine'a, unosząc wyżej miecz.

– Nadal mam dość siły, żeby przebić cię na wylot, Kaine, i zrobię to, jeśli jeszcze tu będziesz, kiedy policzę do pięciu. Jeden...

– Widzicie, o czym mówię? – poskarżył się Kaine, robiąc kolejny krok do tyłu. –

Zarąbałby mnie z zimną krwią, aby...

– Dwa... – warknął Vahanian, zbliżając się.

– Nie chcę, żebyś mnie dźgnął, Vahanianie – odparował Kaine, oblizując krew z rozciętej wargi. – Ale zważcie na to, co mówię – powiedział, spoglądając na Trisa i pozostałych. – Pech nas nie opuści, dopóki się go nie pozbędziemy.

– Trzy...

Zerknąwszy niepewnie na najemnika i jego miecz, Kaine uniósł ręce w geście poddania i wycofał się, znikając w tłumie ludzi, którzy powracali do swojego zniszczonego obozu.

– Szkoda, że nie przebiłeś tego wichrzyciela na wylot – rzucił ponuro Soterius, gdy

Vahanian schował miecz do pochwy.

– Nie warto się wysilać – odparł najemnik i spojrzał na Carinę, która nadal szlochała w ramionach staruszki.

– Zaopiekuję się nią – powiedziała czarownica, klepiąc dziewczynę po plecach. –

Zajmijcie się swoimi sprawami.

Vahanian zrobił kilka kroków, po czym nagle się zatrzymał. Tris dogonił go i spojrzał na martwego bandytę u jego stóp. Vahanian przeniósł spojrzenie z martwego mężczyzny na Carinę i z powrotem.

– To ten sam złodziej, którego wczoraj wypędziłem z obozu, ten sam, który się koło nas

krećił – stwierdził beznamiętnie. – Dorwaliśmy go wreszcie. – Zaklął. – Czasami nie znoszę mieć racji.

Widząc poczucie straty i żalu malujące się w oczach dziewczyny, darował sobie uwagę, którą miał rzucić.

– Chodźcie – powiedział ze znużeniem do pozostałych. – Czas posprzątać.

O wschodzie słońca w zniszczonym obozowisku panował spokój. Półprzytomny ze zmęczenia, wciąż czując skutki działania dymu, Tris wspinał się po zboczu w stronę karawany. Głowa swędziała go pod bandażem, który przykrywał ranę, a sama rana pulsowała bólem. Soterius razem z pozostałymi znosił ciała bandytów na stos do spalenia. Potworny smród płonących ciał przyprawiał Trisa o mdłości.

Karawana była w całkowitej rozsypce. Z niektórych wozów pozostały tylko zwęglone szczątki. Na środku polany tlił się główny namiot, a słupy przypominały spalone kości wystające z ziemi. Między zgliszczami przechadzał się Maynard Linton, potrząsając głową.

– Straciliśmy większość zarobku z tego sezonu – powiedział ze smutkiem; jego twarz o obwisłych policzkach była obrazem nieszczęścia i rozpacz. – Całe furgony spalone. Nie wiem, ilu zabitych i rannych, i to wszystko przed nadchodzącą zimą. – Znowu potrząsnął głową. – Niedobrze. Niedobrze.

W tym momencie Tris spostrzegł Carroway'a objuczonego dwoma wiadrami wody. Tunikę miał porwaną, jeden rękaw rozdarty od barku aż po nadgarstek. Pomazany sadzą i poplamiony krwią, bard uśmiechnął się ze znużeniem na widok Trisa.

– Cieszę się, że widzę cię w jednym kawałku – powiedział, zatrzymując się. – Chodź ze mną. Carina potrzebuje każdej pomocnej dłoni,

Tris wziął jedno wiadro i skierowali się ku największemu ocalałemu namiotowi.

Nadpalony dach przepuszczał słońce. Tris pochylił się, przechodząc pod zwisającą płachtą.

Namiot został zamieniony w polowy szpital – ranni leżeli na kocach w równych rzędach.

Wyglądało na to, że z prawie stu członków karawany niemal połowa potrzebowała opieki Cariny.

Zapadła noc. Tris i Carroway przynieśli pochodnie, żeby oświetlić namiot. Wioskowa czarownica Alyzza pracowała u boku Cariny, robiąc okłady i warząc ziołowe herbatki. Zarówno Cam, jak i stara wiedźma mieli uzdrowicielkę na oku, pilnując, żeby odpoczywała, jadła i piła.

Obserwując Carinę, Tris uświadomił sobie, że ona i Cam są do siebie niesamowicie podobni.

Może są rodzeństwem, a nie kochankami?

Kiedy noc dobiegała już końca, Tris stwierdził, że życie samozwańczego medyka jest równie ciężkie jak życie żołnierza. Carroway pewnie włączył się w ten chaos, dźwigał rannych, kierował innymi, którzy przynosili swoich towarzyszy na leczenie, rozszczepiał drewno na łupki oraz kule i darł materiał na bandaże.

W środku namiotu nad ogniem gotowała się woda potrzebna Carinie do herbatek i okładów. Tris poszedł w ślady Carroway'a, starając się nie skupiać ani na własnej pulsującej bólem głowie, ani – w chwilach, kiedy głowa go nie bolała – na pytaniach dotyczących tego, co widział na polu bitwy.

Kiedy blask jutrzeńki zalał wzgórze, Carina podeszła do ostatniego pacjenta. Miała wyczerpaną twarz i podkrążone oczy. Tris domyślał się, że dziewczyna porusza się już tylko dzięki sile woli, i jego podziw dla uzdrowicielki jeszcze bardziej wzrósł.

Carina delikatnie położyła rękę na ranie pacjenta i zamknęła oczy, wspierając się o Cama.

Po kilku chwilach pacjent uśmiechnął się, zdziwiony i ukazała się prawie zagojona rana, choć normalne gojenie potrwałoby kilka tygodni. Podczas kiedy mężczyzna wyrażał swoją wdzięczność, uzdrowicielka oparła się o Cama, zupełnie wyczerpana.

Podeszło kilku późnialszych z drobniejszymi obrażeniami.

– Wróćcie jutro – rzucił szorstko olbrzym, obejmując Carinę ramieniem. – Zrobiła już wszystko, co była w stanie uczynić tej nocy.

Szepnął coś do dziewczyny, a gdy ona skinęła głową w odpowiedzi, podniósł ją jak dziecko i z ponurą miną – żeby nikt nie ośmielił się go zatrzymać – wyszedł z namiotu. Maynard Linton podążył za Camem.

– Czy ona dojdzie do siebie? – spytał, kładąc dłoń na jego ramieniu.

Cam skinął głową, kołysząc uzdrowicielkę w ramionach niczym zmęczone dziecko.

– Będzie jak nowa, czego nie można powiedzieć o nich wszystkich – rzekł i skinął głową w kierunku namiotu.

Linton wyciągnął rękę i delikatnie odgarnął ciemne włosy z oczu uzdrowicielki.

– Podziękuj jej, proszę, ode mnie, jak się obudzi – powiedział cicho.

Cam kiwnął głową.

– Tak zrobię – obiecał, a potem przepchnął się przez tłum w kierunku własnego namiotu i znikł w środku.

Kilka chwil później Harrtuck i Soterius znaleźli Trisa i Carroway'a. Przynieśli im półmiski napełnione jedzeniem.

– Macie. Jedzcie. Niezależnie od tego, jak ciekawie było, nie usprawiedliwia to opuszczania posiłków – powiedział Soterius.

Milczeli przez chwilę, pochłaniając łapczywie jedzenie.

– Linton zawsze najmuje najlepszych kucharzy, na jakich go stać – powiedział z pełnymi ustami Harrtuck. – Zdaje się, że to jedyna dobra rzecz w tej wyprawie – zakończył, zbierając resztę jedzenia grubą kromką chleba.

– Musi mu się nieźle powodzić, jeśli podróżuje z nimi taka pierwszorzędna uzdrowicielka

– stwierdził Tris. Rozejrzał się dokoła. – Gdzie jest Vahanian?

Harrtuck wzruszył ramionami.

– Gdy go widziałem ostatnio, pomagał palić ciała. Nie będę zaskoczony, jeśli po tym wszystkim będzie popijał z Lintonem w jego namiocie.

I rzeczywiście, gdzieś w połowie obozowiska, na przeciwległym krańcu pola, palił się stos pogrzebowy. Grożące im w podróży niebezpieczeństwa stawały się boleśnie wyraźne. Będą potrzebowali czegoś więcej niż tylko odrobiny szczęścia, żeby mogli dotrzeć żywi do Dhasson. Kiedy Tris znalazł się sam w swoim namiocie, poczuł się zbyt wyczerpany i obolały, by mógł zasnąć. Siedział więc i wpatrywał się w migoczący płomyk świecy. Wizje, jakie ujrzał na polu bitwy, były wyraźne i niepokojące. *Na Panią, pomyślał, jeśli się bardziej nie postaram, to nie będzie ze mnie żadnego pożytku. Nie pożyję na tyle długo, żeby dotrzeć do Dhasson, a tym bardziej odzyskać Margolan, jeśli będę widział każdego ducha na polu bitwy!* W żołądku mu się przewracało na myśl o tym, jak bardzo zawiódł, jak nie na wiele się przydał, broniąc obozu. Jego magiczne zdolności były bardziej niebezpieczne niż przydatne.

– Nie bądź dla siebie taki surowy, Tris – odezwał się nagle głos.

Tris drgnął i rozejrzał się po małym namiocie. Obraz Bava K'aa migotał i był ledwie widoczny.

– Mam niewiele czasu – ostrzegła go. – Nie zdołałam przygotować cię na tę chwilę, kiedy spłynie na ciebie moc. Powinnam była przewidzieć, że... takie okoliczności... mogą obudzić moc. Wybacz mi.

Tris wyciągnął rękę do zjawy, a ona podплыnęła bliżej i też wyciągnęła rękę. Poczuł mrowienie, gdy jej niematerialna dłoń musnęła jego palce, i zamknął oczy, by powstrzymać łzy. Potem odczuł mrowienie w całym ciele i przemożne wrażenie obecności babki, jakby przez chwilę połączyła się z nim umysłem. Otworzył oczy i wpatrzył się pytająco w ducha, a ten

uśmiechnął się smutno.

– Nie mogę zostać – powiedział z żalem. – Nawet w tej chwili mroczna moc cię szuka.

Słuchaj uważnie, Tris. Masz moc potrzebną do tego, aby stać się wielkim Przywoływaczem

Dusz, potężniejszym nawet niż ja byłam. Ale musisz nauczyć się nad nią panować.

Zawahała się, a jej obraz zamigotał i zbladł.

– Jared już szuka sposobu, żeby na zawsze pozbyć się mojego ducha. Gdyby nie to, sama bym cię uczyła. Udaj się do Biblioteki Zachodniej Marchii. Tam znajdziesz nauczyciela do dalszej nauki.

– Ale Biblioteka Zachodniej Marchii została zniszczona w Wojnach Magów. Ona już nie istnieje.

– Pozwoliliśmy ludziom tak myśleć – powiedziała Bava K’aa ze znaczącym uśmiechem. – Biblioteka ujawnia swoje tajemnice tylko tym, za których ręczy Zgromadzenie Sióstr.

– Pokaz mi, jak mam zapanować nad tym, co widzę. Na nic się nie przydam moim przyjaciołom, jeśli nie będę mógł ich chronić.

– Muszę iść – powiedział duch. – Nie wiem, czy jeszcze kiedyś przyjdę. W Zachodniej Marchii znajdziesz zaczątek tego wszystkiego, czego szukasz. Jedź z błogosławieństwem Pani. – I duch uniósł rękę na pożegnanie.

– Zaczekaj, proszę! – zawołał Tris.

Duch rozwiął się już jednak, przechodząc w mgiełkę, a potem zniknął zupełnie. Tris przez dłuższą chwilę wpatrywał się w miejsce, gdzie przedtem widział ducha, dopóki migocząca świeca nie przypomniała mu, która to godzina. Zapadł w niespokojny sen, gdy brzask zaczął rozjaśniać niebo.

Rozdział dziesiąty

Minęły dwa dni od ataku bandytów, zanim Tris miał okazję porozmawiać z Cariną sam na

sam. Starał się tak ułożyć swoje zajęcia, żeby mieć namiot uzdrowicielki na widoku, ale ona nie opuszczała go samotnie przez irytująco długi czas. Wreszcie dostrzegł swoją szansę, gdy Carina nadchodziła z przeciwległej strony obozowiska karawany. Był to ostatni dzień przed dalszą jazdą i drużyny robocze zaczęły już składać namioty i stragany. Przy rozbijaniu i zwijaniu obozu dochodziło do największej ilości wypadków i Carina była wtedy najbardziej zajęta, nie więc dziwnego, że trudno było z nią porozmawiać.

– Chciałem podziękować ci za to, co zrobiłaś – powiedział Tris, dotykając rozcięcia na czole, które już się prawie zagoiło. Carina obrzuciła go zmęczonym spojrzeniem i zmarszczyła lekko brwi, jakby próbowała go sobie przypomnieć.

– Jesteś jednym z tych wynajętych strażników, prawda? – spytała. – Pomogłeś mi wynieść pacjentów, kiedy chata płonęła.

Tris skinął głową. Przyglądała mu się jeszcze chwilę, jakby starała się coś ująć w słowa, potem jednak odwróciła wzrok.

– Przyjaciele nazywają mnie Tris – rzekł. Wiedział, że nie udało mu się ukryć margolańskiego akcentu, ale przynajmniej miał często spotykane imię. Jego matka, królowa Serae, szybko zdobyła sympatię ludu Margolanu i jej imię oraz imiona jej dzieci stały się niezwykle modne w tych czasach, kiedy on był chłopcem. Wyglądało na to, że nikt nie przepadał za Eldrą ani Jaredem na tyle, żeby dawać swoim dzieciom ich imiona, i była to kolejna rzecz, którą Jared miał za złe Trisowi i Kait. Teraz Tris był wdzięczny za to, iż nie było nic dziwnego w tym, że parobek nosił takie samo imię jak książę.

Uzdrowicielka uśmiechnęła się z wahaniem.

– Uratowałeś mi życie w tamtej chacie. Dziękuję.

Zakłopotany Tris pominął te słowa milczeniem.

– Chciałbym z tobą porozmawiać. – Zamilkł na chwilę. – Chciałbym porozmawiać z

tobą... o tym, jak robisz to, co robisz.

Carina spojrzała mu prosto w oczy.

– To nietypowa prośba jak na szermierza – powiedziała obojętnym tonem. – Nie błogosławię mieczy ani nie rzucam klątw na wrogów, dlatego nie mogę ci pokazać, jak to się robi.

– Nie to mam na myśli.

Obrzuciła go baczным taksującym spojrzeniem.

– W czasie pożaru... posłużyłeś się magią, żeby odrzucić belkę... Czy robiłeś już przedtem coś takiego?

– Nie – odpowiedział. – Ale moja babka była wioskową czarownicą – dodał, błagając ducha Bava K'aa o wybaczenia za te słowa. – Muszę się nauczyć... zrozumieć... jak mam zapanować nad swoją mocą, zanim kogoś zabiję, i jak obronić się przed duchami, zanim doprowadzą mnie do obłądu.

– Wejź do środka – powiedziała, zapraszając go do namiotu. Jej głos był szorstki ze zmęczenia, ale nie nieprzyjazny, a Tris pomyślał, że pewnie często była zasypywana takimi pytaniami przez ciekawskich. Pokazała mu, żeby usiadł, i przysunęła mały gliniany imbryk do ognia płonącego na środku klepiska. – Dlaczego sądzisz, że mogę ci pomóc?

– Nie wiem, do kogo jeszcze mogę się zwrócić. – Tris przemógł swoją nieśmiałość i spojrzał jej w oczy. – Kiedy byłem mały, moja babka nauczyła mnie trochę magii – na przykład zapalania ognia bez iskry. Teraz jednak jakby otworzyła się śluza – powiedział, a w jego głosie słychać było narastającą desperację. – Za każdym razem, kiedy śnię, przypominam sobie coś jeszcze, czego mnie nauczyła. Wyczuwam magię, ale kiedy jej dotykam, nie jestem pewien, czy to ja się nią posługuję, czy ona posługuje się mną. – Zamilkł na chwilę. – Carino, kiedy się dowiedziałeś, że potrafisz robić to, co robisz?

Dziewczyna milczała przez chwilę.

– Myślę, że w jakiś sposób zawsze o tym wiedziałam – powiedziała wreszcie cicho. – Ale zaczęłam się tego uczyć dopiero wtedy, kiedy... – przerwała raptownie – stałam się nastolatką.

– Ale skąd wiedziałaś? – naciskał Tris, a ona przyglądała mu się przez chwilę, zanim odpowiedziała.

– Po prostu... wiedziałam. Nie potrafię tego opisać. Czułam moc, ale nie wiedziałam, do czego służy i jak ją wykorzystać. Aż tu kiedyś, kiedy mój ulubiony koń został ranny, pielęgnowałam go i myślałam, jakby go wyleczyć, i wtedy to się po prostu stało. – Uśmiechnęła się. – Śmiertelnie się wystraszyłam.

– Wiedziałaś, dokąd się udać, żeby się więcej nauczyć?

Twarz Cariny stężała i uzdrowicielka odwróciła wzrok.

– To nie był żaden problem – odpowiedziała chłodnym tonem. – Zajęto się tym.

– Przepraszam – powiedział łagodnie Tris. – Nie chciałem być wścibski.

Carina potrząsnęła głową.

– Nic nie szkodzi. Chodzi tylko o to, że tam, skąd pochodzę, ludzie są zabobonni. Nie lubią magów. – Uśmiechnęła się smutno. – Właściwie lubią ich jeszcze mniej niż bliźniaki.

To dlatego taka utalentowana uzdrowicielka i wytrawny szermierz podróżują z mało znaną karawaną, pomyślał Tris.

– Posłuchaj, Tris, nic więcej nie mogę ci powiedzieć. – Była zakłopotana, jakby już powiedziała za dużo.

– To nie jest takie proste. – Tris potrząsnął z uporem głową. – Kiedy bandyci nas zaatakowali, widziałem, jak umierają – wyrzucił z siebie, zdenerwowany. – Widziałem, jak ich dusze oddzielają się od ciał – dodał szeptem. – Myślałem, że oszaleję. Tak się działo wszędzie, gdzie patrzyłem, dopóki jeden z najeźdźców nie wyrzucił mnie w głowę – zakończył ze

smutkiem, dotykając rany.

Carina zmarszczyła brwi, a Tris wyczuł, że nagle zaczęła go traktować poważnie.

– Widziałeś... dusze oddzielające się od ciał? – spytała powoli.

– Jeśli nie możesz nauczyć mnie niczego innego, pokaż mi, jak się od tego odcinać –

błagał. – Na pewno wiesz, jak blokować ból, żebyś mogła wykonywać swoje obowiązki. Jeśli się tego nie nauczę, to ani moi przyjaciele, ani ta karawana nie będą mieli ze mnie zbyt wielkiego pożytku.

– Czy rozmawiałeś o tym z kimś jeszcze?

– O tym, co się stało na polu bitwy? Nie – powiedział, spuszczaając wzrok. – Przyjaciele, z którymi podróżuję, wiedzą, że dysponuję pewną mocą, ale nie mają pojęcia, jak słabo nad nią panuję. Nic więcej im nie mówiłem. Ludzie uznaliby, że oszalałem. Myślę, że ta czarownica ma pewne podejrzenia.

– Tak – odparła z namysłem Carina. – Alyzza może coś podejrzewać. Była nadworną czarodziejką u jakiegoś pomniejszego wielmoży, lecz jej moce nie wystarczyły, żeby ocalić jego jedyne dziecko. Śmierć dziecka o mało co nie doprowadziła jej do obłędu i nie była już mile widziana na dworze, i tak oto znalazła się tutaj. – Carina wskazała na rozłożoną obozem karawanę. – Niespodziewanie, podobnie jak my wszyscy.

Znowu zamilkła, a kiedy Tris zaczął się już martwić, że odmówi mu pomocy, uzdrowicielka przemówiła.

– Pomogę ci tyle, ile będę w stanie – powiedziała powoli. – Poproszę też Alyzzę o pomoc.

Ale musisz uważać – ostrzegła go. – Nie mów nic o swojej mocy nikomu innemu. Możesz spowodować niepotrzebne zainteresowanie.

– Dziękuję – rzekł Tris, wstając.

Carina uśmiechnęła się smutno.

– Poczekaj z podziękowaniem, aż ci pomogę, dobrze? Wróc po lekcji szermierki, jeśli będziesz miał dość sił.

Wyślizgując się z namiotu, Tris czuł, że w jego głowie kłębią się setki pytań.

– Tylko pamiętaj, że ja pierwszy ją zobaczyłem – usłyszał głos Bana Soteriusa. –

Przyznam, że jesteś odważny, Tris, biorąc pod uwagę, jak ogromny jest Cam. Nie chciałbym się na niego natknąć, kiedy przyszedłbym w konkury.

Tris obrzucił Soteriusa ironicznym spojrzeniem.

– Na twoim miejscu też bym się bał, biorąc pod uwagę, jak często zmieniasz swoje towarzyszek.

Soterius wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To mój sposób dzielenia się radością – odparł, klepiąc Trisa po plecach. – Nie ma sensu zajmować się jedną, żeby inne były nieszczęśliwe. Wiesz, mógłbyś wziąć ze mnie przykład. –

Zniżył konspiracyjnie głos. – Teraz, kiedy nie musisz się martwić oficjalnymi zobowiązaniami, sam możesz wybierać i nikomu nic do tego.

– Przypomnij mi o tym, kiedy dotrzemy do Dhasson w jednym kawałku – odparł Tris. –

Doprawdy, Ban, to jest ostatnia rzecz, o jakiej myślę.

– Wiem. I w tym problem. Jesteś zbyt poważny. Odpowiednia kobieta mogłaby cię rozbawić. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Oczywiście nieodpowiednia również.

Tris walnął go po przyjacielsku w ramię i ruszyli ku głównej części obozu. Zanim rozpalono wieczorne ogniska, przydzielano ich do wielu zajęć przy zwijaniu obozu, i kiedy Tris wreszcie pochwycił półmisek z kolacją i znalazł miejsce przy ogniu, opadł zmęczony na kłodę.

Masując obolałe mięśnie, pomyślał ponuro, że Harrtuck obiecał mu, że zmężnieje w trakcie tej podróży. I rzeczywiście, odkąd przyłączyli się do karawany i musieli ładować i rozładowywać namioty, ekwipunek i towary, ciągnąć liny, żeby postawić ogromne namioty, i

wbijać kołki, które je podtrzymywały, Tris zaczął odkrywać, że ma mięśnie, których istnienia nie podejrzewał i które mogą boleć tak mocno, że uniemożliwiają zaśnięcie w nocy. A na dodatek potem, kiedy był już śmiertelnie znużony, czekała go jeszcze lekcja szermierki z Vahanianem. Tris wypił kufel piwa i pochłonął łapczywie resztę gulaszu. Wszystkie te działania być może uczynią z niego szermierza, ale najpewniej doprowadzą do jego śmierci.

Dołączył do nich Carroway, który sprawiał wrażenie tak samo wyczerpanego.

– Będę martwy, zanim dotrzemy do Dhasson – mruknął minstrel, pochłaniając posiłek. –

Nie dość, że przez cały dzień trzeba zabawiać publiczność, to jeszcze to cholerne wywijanie mieczem wieczorem.

Przeciągnął się i jęknął.

– Czy jesteś pewien, że Vahanian nie chce nas potajemnie wykończyć?

– Gotowi do wieczornej lekcji? – spytał Vahanian, przysiadając obok nich z parującym półmiskiem jedzenia. Najemnik uśmiechnął się, gdy Tris jęknął w odpowiedzi.

– Aż tak się cieszycie? W takim razie to znaczy, że dobrze się sprawujecie.

– Nie możesz przynajmniej wyglądać na zmęczonego? – narzekał Carroway, kończąc piwo.

– Ale po co? – odparł z pełnymi ustami Vahanian. – To nie sprawia, że robota staje się lżejsza.

– Nie, ale miałbym z tego mnóstwo satysfakcji – odpowiedział Tris. – Dokąd teraz zmierzamy?

– Dalej na północ – padła odpowiedź zza jego pleców. – I moim zdaniem to błąd.

Księżę odwrócił się i zobaczył Kaine'a, brudnego i zmęczonego.

– Na północy czekają nas same kłopoty. – Kaine pociągnął łyk piwa. – Oczywiście wszędzie ich pełno, jeśli wiesz, co mam na myśli – powiedział, zerkając z ukosa na Vahaniana.

– Chyba nie wiem – odpowiedział ostrożnie Tris.

Kaine prychnął.

– Gdzieś ty się uchowal? W Dhasson toczy się wojna. Oczywiście tak tego nie nazywają, ale tak czy owak to wojna – powiedział, ścisząc głos. – Niektórzy przybywający stamtąd ludzie mają do opowiedzenia naprawdę dziwne historie. Naprawdę dziwne – powtórzył, popijając kolejny łyk.

– Jak bardzo dziwne są te „dziwne” historie? – spytał Tris, pochylając się do przodu.

Kaine dokończył piwo i odstawił kubek, a potem odwrócił głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Tak dziwne jak te nadnaturalne bestie ze Zniszczonych Krain. Mówi się, że koło Dhasson widziano potwory, które nie zostały stworzone przez Boginię, jeśli wiesz, co mam na myśli. Przechodził tędy pewien dezertor, który opowiadał takie historie, że włosy dęba stawały. Armia Dhasson dostawała w skórę, a on nie miał ochoty zostać pożartym albo i coś gorszego, więc się ulotnił, a przynajmniej tak mówił – ciągnął ustawiacz namiotów, ocierając usta rękawem.

– Plemienni magowie nie potrafiliby wyczarować czegoś takiego – powiedział z namysłem Vahanian. *Na oddech Pani*, pomyślał Tris, *wygląda, jakby brał to na poważnie!*

– Nie wiem, jak to było kiedyś, ale teraz najwyraźniej potrafią – odparł Kaine. – Krążą też inne opowieści. O tym, jak dzień zmienił się w noc, i o błyskawicy, która miała dziwną barwę. O szarańczy, która pojawiła się znikąd, by równie szybko zniknąć. I o całych równinach wysuszonych na wiór, które zmieniały się w błoto, kiedy przechodziła przez nie armia, choć przez wiele dni nie padało – dorzucił Kaine. – Jeśli to nie czary, to co?

– To mi wygląda na magię – odparł Vahanian. Wstał i podszedł do beczki z piwem po kolejny kufel.

– Rozważny z ciebie człowiek – powiedział Kaine do Trisa, kiedy najemnik się oddalił. –

Dużo ludzi nie lubi magii, ale ja jestem z nią obyty. Widziałem różne dziwne rzeczy, których inaczej nie da się wytłumaczyć. Mam dla ciebie jeszcze jedną radę – dodał szeptem. – Nie wiadomo, ilu ludzi on zabił albo zdradził. Armia Wschodniej Marchii nie wiesz ludzi ot tak sobie, a na niego jest wyrok śmierci. Zdradził cały pluton pod Chauvrenne.

– Będę o tym pamiętał. – Myśli Trisa krążyły jednak bardziej wokół opowieści o magii niż wokół mrocznych ostrzeżeń Kamea dotyczących przeszłości Vahaniana. Magia z pewnością nie była czymś obcym dla kogoś, kto pochodził z Siedmiu Królestw. A jako wnuk Bava K'aa wiele razy przyglądał się babce rzucającej zaklęcia. Niektóre z nich były zwykłymi zaklęciami, takimi, jakie mogłaby rzucić każda wioskowa czarownica, jak na przykład zapalenie świecy bez iskry. Ale były i takie momenty, kiedy jako mały chłopiec ukrywał się w pokoju narad ojca, w nadziei, że nikt go nie zauważy i że będzie mógł przyglądać się ekscytującym przygotowaniom do wojny, a potem widział prawdziwą magię Bava K'aa, gdy przywoływała wizje w poszukiwaniu wrogów, wróżyła pogodę lub też dowiadywała się czegoś o przeciwniku z jego pozyskanych rzeczy.

Nie było zatem nic dziwnego w pojawieniu się magii, jeśli w Dhasson rzeczywiście toczyła się wojna. Tyle że mroczna magia, o której plotkował ustawiacz namiotów, była czymś nietypowym. Krążące legendy mówiły o tym, że była ona kiedyś równie często spotykana jak szarańcza i że ludność Siedmiu Królestw bardzo na tym ucierpiała. I że potem Magowie Światła zjednoczyli się, żeby stoczyć Wojny Magów na słabo zaludnionej dalekiej północy. Było to wiele lat temu, kiedy babka Trisa była jeszcze młodą kobietą. Jednak nikt, kto zapuścił się do Zniszczonych Krain, nie wątpił, że szalała tam niegdyś potężna magia. Były tam stworzenia i rośliny, które nie istniały nigdzie indziej, istoty z koszmarów żywiące się magią, która pozostała na tym obszarze i na długo uczyniła go nie nadającym się dla zwykłych ludzi. Na każdą opowieść o potworach w Zniszczonych Krainach przypadła przynajmniej jedna opowieść o

jakimś głupcu, który zapuścił się tam, by nigdy już nie wrócić. Historie o zagubionych skarbach gwarantowały stały napływ takich głupców i ożywiały legendy.

Patrząc w ogień, Tris pomyślał, że mroczna magia nie powinna już była się pojawić. Po Wojnach Magów stworzono tajne stowarzyszenie najbardziej potężnych czarodziejek – Katae Canei, które połączyły swoje siły po to, aby wykorzenić wiedzę o mrocznej magii, odkryć i wyeliminować każdego maga, który ośmieliłby się ją zgłębiać, i zniszczyć runy oraz księgi zaklęć mrocznych magów. Udawało im się to przez całe pokolenie. Plotka głosiła, że Bava K’aa była głową Zgromadzenia Sióstr Katae Canei, Tris nie wiedział, kto objął przywództwo po śmierci babki.

Zgromadzenie Sióstr nie ogłaszało takich rzeczy, a ponadto do Margolanu, który nie miał swojego nadwornego maga, docierało bardzo mało informacji. Jedno było pewne: jeśli w Północnych Krainach grasowały zaczarowane bestie, to ktoś bawił się mroczną magią. A powrót mrocznych magów byłby katastrofą – chyba że komuś uda się temu zapobiec.

W tym momencie zbliżył się Soterius i przysiadł obok niego, ogrzewając sobie dłonie gorącym kubkiem.

– Coś mnie ominęło?

Tris przeniósł spojrzenie z Kaine’a na Vahaniana i z powrotem.

– Po prostu rozmawialiśmy o podróży na północ. Kaine’owi nie podoba się pomysł jazdy do Dhasson.

Carroway machnął lekceważąco ręką.

– Nie martwię się Dhasson. Ale las po drodze do granicy to inna sprawa – powiedział i pociągnął długi łyk piwa. – Wiesz, tutejsi mieszkańcy nazywają go Ruune Videya, co znaczy „widmowe drzewa”. Krążą opowieści – mówił dalej, pochylając się do przodu – że dwieście lat temu Jaq Potępiony wyróżnął wieśniaków w czasie rebelii. – Zamilkł i pociągnął łyk piwa. –

Mówią, że wszędzie tam pochowane są ciała i że to dlatego las tak gęsto rośnie – dodał, zerkając na Kaine’a i Trisa. – Powiadają, że snują się tam duchy i czekają, aby się zemścić za swoją niezawinioną śmierć. – Spojrzał znacząco na Trisa. – Ale ja nie bardzo wierzę w te opowieści o duchach.

– Skoro jesteście zbyt leniwi na wieczorny trening to idziemy spać? – spytał Vahanian, podchodząc do nich i osuszając swój kufel jednym haustem. Tris skinął głową i wstał, ignorując ostrzegawcze spojrzenie Kaine’a.

– Jeśli jutrzejszy dzień będzie równie długi jak dzisiejszy, to pewnie nie będzie dość czasu na odpoczynek przed zimowym przesileniem – rzekł. – Dziękuję za opowieści – dodał, podążając za Vahanianem.

– Pamiętaj o nich! – krzyknął za nim Kaine. – O wszystkich!

Tris i Vahanian przeszli pół obozu, zanim książę przerwał milczenie.

– Mam wrażenie, że skądś się znacie.

Vahanian prychnął.

– Można tak powiedzieć. Kaine to kłamliwy sukinsyn i zawsze nim był. Poznałem go dawno temu, kiedy przekroczył nargijską granicę, a wściekły kapitan deptał mu po piętach.

Kaine chyba zaopiekował się jego złotem. Dziwię się, że nadal żyje.

– On też trochę się zdziwił, widząc ciebie.

– Mam taką nadzieję. – Tris usłyszał zaniepokojenie w głosie najemnika. – Jeśli bowiem jest inaczej, to ktoś go tu przysłał, żeby mnie odszukał. I choć jest sporo osób, które chowają do mnie urazę, to tylko jedna czuje do mnie niechęć od niedawna. Jeśli tak się sprawy mają, to Kaine szuka mnie tylko dlatego, że ktoś mu doniósł, iż ci towarzyszę. – Vahanian wpatrywał się w ciemny horyzont, jakby spodziewał się zobaczyć tam kolejnych rozbójników albo coś jeszcze gorszego.

– Dobranoc, Jonmarc – powiedział Tris, kiedy doszli do namiotów.

– Śpij czujnie – rzekł najemnik. – I trzymaj miecz na podorędziu.

Vahanian co wieczór sprawdzał, co dzieje się z wierzchowcami. Ich konie były lepsze niż przeciętne, i choć niemal wszędzie złodzieje koni byli wieszani, to i tak ciągle kradziono ich zaskakująco dużo. Kiedy upewnił się, że z końmi wszystko w porządku, zawrócił, drżąc w zimnym nocnym powietrzu. Wszedł do namiotu Lintona i zmrużył oczy. Obszerny namiot skąpany był w radosnym blasku lamp naftowych, a przenośny piecyk ogrzewał tę wielką przestrzeń.

– Dobrze wyglądasz, Jonmarc – zaśmiał się cicho przywódca karawany, wyciągając tacę z dużą karafką i dwoma kieliszkami. – Życie w drodze ci służy.

– Już od dawna bym nie żył, gdyby tak nie było – odparł Vahanian, rozsiadając się wygodnie i opierając stopy o kufer.

– Ta twoja „kontrabanda” wreszcie zarabia na swoje utrzymanie. – Linton nalał złocistą margolańską brandy i postawił przed nim kieliszek. – Kiedyś będziesz musiał mi opowiedzieć całą tę historię. Ratowanie arystokratów do ciebie nie pasuje.

Vahanian pociągnął łyk z kieliszka.

– Czasy się zmieniają – powiedział, spoglądając na Lintona, po czym odwrócił wzrok. – Byłbyś zdziwiony.

– Pewnie nie. – Linton opadł ciężko na składane skórzane krzesło.

– Powiedz, o co ci chodzi.

– Chodzi o to, Jonmarc – rzekł Linton, przerywając, żeby pociągnąć kolejny łyk brandy – że ktoś inny też się tego domyślił.

– Kto?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Jestem pewien, że nazwiska, które podali, są równie zmyślone jak przyczyny ich pojawienia się tutaj. Wcześniej dzisiejszego wieczora dwóch mężczyzn wygrało spore sumy przy naszych stolikach do gry. Na tyle duże, żeby zwrócili uwagę mistrza gry, i kiedy przyszedł, żeby pogratulować im wygranych – i upewnić się, że nie oszukiwali – poprosili o spotkanie z przywódcą karawany. Mistrz gry przyprowadził ich do mnie. Twierdzili, że handlują dywanami z zachodu i że zostawili swoje towary w gospodzie, w której się zatrzymali. Powiedzieli też, że niedawno przejeżdżali przez Margolan i że sytuacja tam nie jest taka jak kiedyś.

– Opowiedz, proszę – rzucił sucho Vahanian, pociągając długi łyk brandy.

Linton odchylił się na krześle, oparł stopy w ciężkich buciorach na solidnej skrzynce i dokończył trunek.

– Mówili, że w Margolanie jest nowy król i że interesy nie idą dobrze ze względu na nowe podatki. Krążą też pogłoski, że nie wszyscy członkowie rodziny króla Bricena nie żyją – zakończył, przyglądając się bacznie Vahanianowi.

Najemnik pociągnął kolejny łyk brandy i spokojnie spojrzał w oczy Lintonowi.

– I?

– Mam wrażenie, że moi dwaj goście odwiedzają jedną karawanę po drugiej oraz wszystkie gospody między Margolanem a Dhasson i opowiadają tę samą historyjkę.

– Dlaczego Dhasson?

Linton wzruszył ramionami.

– Powszechnie wiadomo, że król Harrol jest powinowatym Bricena. Gdybym był Martristem Drayke, to tam poszukałbym schronienia – dodał, wpatrując się znacząco w Vahaniana. – Powiedziałem im, że to ciekawa historyjka – ciągnął dalej – i odprawiłem, obiecując odwiedzić ich, kiedy znajdę się w ich prowincji i będę potrzebował dywanów na

handel.

– To dlaczego mi o tym opowiadasz?

– Bo jeden z tych mężczyzn był uderzająco podobny do Vakkisa – odparł Linton, odstawiając na bok trunek. – Miał szramę od noża, taką samą, jaką zostawiłeś Vakkisowi na policzku.

Najemnik postawił pusty puchar na stoliku.

– Jaką masz pewność? – spytał głosem, którym można by rzezać szkło.

– Dużą. Szef kasyna powiedział, że ten podróżnik był niesłychanie wprawiony w grze w kości i lubił valiquestrańską whiskey, a także nigdy, przenigdy nie siadał plecami do drzwi.

– To Vakkis – zaklął Vahanian. – Wiadomo, czy nadal mnie szuka?

Linton potrząsnął głową.

– Nic takiego nie mówił. Ale był ubrany lepiej niż zazwyczaj – więc albo ten jego interes łowcy nagród ostatnio dobrze idzie, albo jest na służbie u kogoś, kto ma dużo pieniędzy.

Wydawał margolańskie złoto.

– Niech to szlag.

– Jared Drayke może być królewskim skurwysynem – powiedział Linton, pochylając się do przodu i zniżając głos do ostrożnego szeptu – ale jest niebezpiecznym skurwysynem. I czy ci się to podoba, czy nie, on ma cię na celowniku, Jonmarc.

– Dokąd zmierzał Vakkis?

Ogorzała twarz Lintona zmarszczyła się w uśmiechu.

– Tak myślałem, że o to zapytasz. Do Gospody pod Dzikim w Westerhayen, niedaleko stąd. Ponieważ powiedział mi, że tam właśnie będzie, nie zaskoczy go zbyt, jeśli będzie miał towarzystwo.

– Tylko jeśli zauważy, że się zbliżam – odparł, wstając, Vahanian.

– Jonmarc...

– Nie martw się, Maynard. – Vahanian złapał za płaszcz. – Wiem, że stanowimy zagrożenie dla karawany. Pozwól, że zlikwiduję Vakkisa, a rankiem już nas tu nie będzie.

– Usiądź i przestań myśleć mieczem – burknął Linton. – Czy mówiłem coś o waszym odejściu? – Splunął głośno do spluwaczki z brązu stojącej koło stolika do rachunków.

– Nie zostałem bogatym starym kupcem przez to, że trząsałem się ze strachu za każdym razem, kiedy łowca nagród popatrzył w moją stronę. Czy myślisz, że jesteś jedynym w mojej karawanie, który jest poszukiwany? Jeśli załatwisz Vakkisa, to tym lepiej. Jak myślisz, dlaczego ściągnąłem cię dziś w nocy? Ale jeśli ci się nie uda, to musimy mieć oczy szeroko otwarte. On nie ma nic konkretnego, inaczej spadliby już na nas żołdacy króla Jareda. Tylko ostrzeż pozostałych, żeby się nie wychylali – ciągnął przywódca karawany, nalewając sobie znowu trunku.

Na usta Vahaniana wypełził uśmiech.

– Wiedziałem, że dobry z ciebie człowiek, Maynard, kiedy nie rozwodniłeś piwa – powiedział.

– A ja wiedziałem, że jesteś uczciwym najemnikiem, kiedy za nie zapłaciłeś – odparował Linton. – A teraz znikaj stąd. Pomyślnych łowów.

Rozdział jedenasty

Powietrze przesycone było dymem unoszącym się nad polem bitwy i zapachem krwi.

Dookoła słyhać było szcęk ścierających się mieczy i grzmiący tętent kopyt. Dzień chylił się ku zachodowi, ale walka o oblężone miasto trwała. Dla Kiary Sharsequin, księżniczki Isencroftu, nic nie miało jednak znaczenia poza mężczyzną z brodą, który leżał na ziemi, z trudem próbując złapać oddech.

– Król jest ranny! – usłyszała krzyk jakiegoś mężczyzny. Wieść obiegła szeregi. Przecisnęła

się przez grupę żołnierzy zebranych wokół jej leżącego ojca i łkając, przyklękła przy nim.

– Kiaro, musisz się przedrzeć – wykrztusił ranny mężczyzna; krew splamiła mu wargi, gdy próbował podnieść rękę. Nawet ten gest go wyczerpał. Kiara otarła mu usta rąbkiem swojej szaty.

– Nie zostawię cię.

– Musisz iść – wyszeptał. Zamknął oczy, a Kiara szlochała, trzymając go za rękę. Z tyłu za jego głową sztandar Isencroft leżał stratowany w błocie.

– Wasza Wysokość – rzekł z naciskiem gwardzista. – Musimy zabrać cię w bezpieczne miejsce.

– Nie zostawię go.

– Popatrzcie! – krzyknął gwardzista, wskazując ręką, i Kiara uniosła głowę. Powietrze za leżącym królem zadrgało. Migocząc, stało się materialne i przybrało postać surowej, silnej kobiety. Ciemne włosy miała krótko przycięte do noszenia pod hełmem bojowym, a jej ramiona były silnie umięśnione od władania mieczem. Kiara otworzyła usta ze zdumienia, stała bowiem na niecałą odległość ramienia od Chenne, Bogini Mścicielki.

– Kiaro – powiedziała zjawa.

– Tak – wyjąkała dziewczyna z szeroko rozwartymi oczami.

– Podnieś sztandar, Kiaro. Jeszcze nie wybiła godzina twego ojca ani twoja – powiedziała Chenne, wbijając w Kiarę spojrzenie swoich bursztynowych oczu. – Ciemność nadciąga, a ty masz klucz do jej rozproszenia. Podnieś ten miecz – rozkazała. Drżąc, Kiara sięgnęła po zakrwawiony miecz ojca i zacisnęła dłonie na jego głowicy. Chenne wyciągnęła swoją niematerialną dłoń i dotknęła sztychu miecza; fala rozpalonego do białości żaru przemknęła po ostrzu broni.

Kiara wciągnęła głośno powietrze. Klinga płonęła wewnętrznym błękitnym ogniem, jakby

dopiero co została wyjęta z paleniska. Chenne cofnęła rękę i zmierzyła Kiarę taksującym spojrzeniem.

– Wznieś ten miecz w moim imieniu, a armie Isencroftu pójdą za tobą w każdej słusznej sprawie – powiedziała Bogini Mścicielka. – Twoja rola stanie się jasna. Tylko uwierz – rzekła i jej postać zaczęła się robić coraz bardziej niematerialna. – Tylko uwierz.

Powietrze znowu zamigotało, a kiedy obraz znikł, Kiara stała z mieczem w dłoni i otwartymi ustami. Otaczający ją żołnierze przyklękli, aby oddać księżniczce hołd, a jej ojciec jęknął i stracił przytomność.

– Rozkazuj nam, księżniczko – powiedział z nabożną czcią stojący najbliżej żołnierz.

Wciąż drżąc, Kiara przełknęła ślinę, a potem ścisnęła mocno miecz oburącz i uniosła go wysoko nad głowę, żeby zebrać rozproszone siły. Zdawał się nic nie ważyć w jej dłoniach i nadal drżał od przepelniającej go mocy, bardziej jak relikwia niż broń.

– W imieniu bogini odeprzemy najeźdźców! – przysięgła, czując, jak miecz płonie magicznym ogniem. Jakiś żołnierz podniósł wysoko sztandar, dwóch innych zabrało rannego monarchę, a jeszcze inny przyprowadził Kiarze bojowego rumaka. A potem wszyscy zaczęli wznosić radosne okrzyki, skandując imiona bogini i Kiary...

– Wasza Wysokość – powiedział znowu, bardziej nagłaco, jakiś głos. – Obudź się, proszę.

Kiara Sharsequin przebudziła się w plątaninie przepoconej pościeli, czując na sobie pełne niepokoju spojrzenie Malae, jej damy dworu.

– Obudziłam się już, obudziłam – mruknęła, nadal mrugając oczami i próbując przekonać samą siebie, że wspomnienia tego snu odeszły już w niepamięć.

– Musisz się przygotować – powiedziała Malae. – Ambasador będzie tu w przeciągu godziny.

Jęknąwszy, Kiara skinęła głową, zamrugała jeszcze kilka razy, a potem półprzytomna

wstała.

– Nie wierzę, że przysyłają w tej sprawie ambasadora – rzekła, potrząsając głową.

Jakby potakując, Jae zaskrzeczał, a potem zeskoczył na jej nadgarstek i zaczął gulgotać z ukontentowaniem, gdy gładziła go po łuskach.

– Będzie tutaj szybciej, niżbyś chciała – zbeształa ją łagodnie Malae, prowadząc księżniczkę ku misce z ciepłą wodą, żeby się rozbudziła, a tymczasem Jae przeskoczył z ramienia Kiary na umywalnię.

– Jak się miewa ojciec? – spytała dziewczyna, sięgając po ręcznik.

– Tak samo jak zwykle – odpowiedziała ze smutkiem Malae. – Każdego ranka pytasz i codziennie odpowiedź jest taka sama.

– Wiem. – Kiara odłożyła ręcznik i podeszła do szafy. – Ale każdego ranka mam nadzieję, że powiesz mi coś innego.

Otworzyła drzwi szafy.

– Co się zakłada, przyjmując ambasadora przysłanego przez króla, którego nie chce się poślubić? – spytała. Sięgnęła po jedną suknię, ale pokręciła głową i wzięła następną, potem jednak zmieniła zdanie i odwiesiła ją na miejsce. Siedzący na umywalni Jae wyraził sykiem swoją opinię.

– Może coś smutnego – zasugerowała Malae, wskazując na szarą suknię, która nigdy nie należała do ulubionych ubiorów Kiary. – Coś takiego jak to. Nie jest ci w niej zbyt do twarzy.

Kiara rozpromieniła się.

– Doskonale. Upniemy moje włosy w trochę bardziej surowym stylu i damy sobie spokój z różem.

Potwierdzimy

wszystkie

jego

obawy

co

do

tego,

jak

wygląda

„księżniczka-wojowniczką”. – Westchnęła. – Przy odrobinie szczęścia będę mniej pociągająca, niż przedstawiają mnie ich opowieści.

– Nie jestem pewna, czy tak łatwo zniszczyć twój urok, Wasza Wysokość – zaśmiała się Malae, pomagając Kiarze wyciągnąć szarą suknię z szafy. – Ale może zdołamy znowu pozbyć się ich na jakiś czas.

Kiara westchnęła, zdejmując koszulę nocną.

– Musimy zrobić coś więcej niż tylko pozbyć się ich na jakiś czas, Malae. Chcę, żeby poszli sobie na dobre.

– Wiem, Wasza Wysokość. – Malae podała księżniczce szlafrok i posadziła ją na krześle.

Wzięła szczotkę i zaczęła czesać jej długie kasztanowe włosy. – Gdyby tylko król Jared był szlachetnym człowiekiem...

Kiara prychnęła w sposób, który zdecydowanie nie przystoi księżniczce.

– Szlachetny? Jared? Te słowa wykluczają się wzajemnie. Zwłaszcza po tym, o czym donoszą nasi szpiedzy,

– Czy jest jakaś szansa, że szpiedzy się mylą? – spytała z nadzieją Malae.

– Żadnej. Wiem też dokładnie, dlaczego jest mną zainteresowany. Chce Isencroftu.

Mógłby złupić to, co pozostało w skarbcu, i przez zaciąg naszych mężczyzn i chłopców

powiększyć swoją armię – powiedziała z goryczą. – A nasze ziemie uprawne mogłyby w dobrym roku zaopatrzyć ogromną armię. Wchłonięcie Isencroftu rozwiązałoby jego problemy.

– Musisz przyznać, Wasza Wysokość, że rozwiązałoby to również trochę problemów Isencroftu.

– Tak, wiem. W skarbcu nie zostało tyle, by wart był złupienia. A po trzech latach słabych zbiorów nasi mężczyźni i chłopcy mogą zechcieć opuścić swoje domy w poszukiwaniu przygód.

– Myślę, że jeszcze do tego nie doszło, ale jeśli chcesz uniknąć jego propozycji, musisz się postarać, żeby się nie domyślił, jak fatalnie wygląda nasza sytuacja.

– Muszę też utwierdzać go w przekonaniu, że ojciec dobrze się czuje – dodała Kiara, gdy Malae zaczęła splatać jej warkocze. – To jest najtrudniejsze. Jeśli on zda sobie sprawę, że sama rządę królestwem, odkąd ojciec zachorował, to przyśle armię, żeby sprowadzić mnie do Margolanu.

– Nisko się cenisz, Wasza Wysokość. I nie bierzesz pod uwagę lojalności swoich poddanych. Jesteś Pobłogosławioną przez Boginię. Przyszła do ciebie Chenne. Nasza armia pójdzie za tobą wszędzie, tak samo jak nasz lud.

Kiara wiedziała, że to prawda. Od tego dnia, kiedy zobaczyła na polu bitwy Boginię Mścicielkę i zebrała wokół siebie rozproszonych żołnierzy Isencroftu, była legendą. Nabożna cześć, jaką obdarzali ją wieśniacy, budziła w niej uczucie zażenowania, ale nawet spora grupa wielmożów traktowała ją z szacunkiem graniczącym z podziwem. Pomagało jej to oczywiście w czasie choroby ojca, arystokracja nie kwestionowała bowiem nigdy jej zdolności do sprawowania rządów w imieniu króla, dopóki ten nie wyzdrowieje – jeśli w ogóle wyzdrowieje. Zwyczajne choroby były wystarczająco złe, lecz magiczne były jeszcze gorsze. Najpierw była wojna, potem kiepskie zbiory. Donelan był królem, który miał niemal puste skatupy, bez szans na zebranie pieniędzy od swego zubożałego ludu. Kiara wiedziała, że nawet jeśli ojciec

wyzdrowieje, to przyszłość Isencroftu jest zagrożona.

– W jaki sposób go odprawisz. Wasza Wysokość? – spytała Malae, upinając jej włosy.

– Coś wymyślę – odpowiedziała, przyglądając się, jak kobieta wsuwa ozdobne szpile w jej włosy – choć kończą mi się już wymówki. Gdyby to nie przekreślało mojego prawa do sprawowania rządów, powiedziałabym, że wstępuję na służbę Bogini.

Malae zaśmiała się cicho.

– Byłaby to strata dla królestwa. Wasza Wysokość. Wątpię też, aby Bogini potrzebowała twoich ślubów. Już uznała cię za swoją.

Cokolwiek to znaczy, pomyślała ponuro Kiara. Spojrzała na siebie w lustrze. Sześć miesięcy ukrywania choroby ojca i dźwigania ciężaru królewskich rządów pozostawiło swój ślad. Miała wrażenie, że wygląda na wyczerpaną.

– Jestem chyba gotowa – oświadczyła z westchnieniem, a Jae sfrunął jej na ramię. – Kiedy przybędzie ambasador?

Malae wyrzała na dziedziniec.

– Już jest jego karetka. Za kilka minut ogłosi swoje przybycie.

Kiara pokiwała głową w zamyśleniu.

– Niech poczeka świecę. Nie może mu się wydawać, że na niego wyczekuję. A ja postaram się sprawić wrażenie władczej i poważnej, przypuszczam bowiem, że Jared wolałby małą, głupiutką lalkę, która chodziłaby za nim jak piesek pokojowy. – Uśmiechnęła się złośliwie. – A przynajmniej taki mam plan na początek.

Malae poprawiła jej suknię.

– Jestem pewna, że będziesz przekonująca.

– Mam taką nadzieję, Malae – odpowiedziała ze smutkiem, spoglądając w stronę okna. –

Mam taką nadzieję.

Chwila, której się obawiała, przyszła aż nadto szybko. Kiara zebrała się w sobie, uniosła spódnicę i ruszyła ku schodom, poprzedzana przez orszak wybrany przez Malae tak, żeby robił wrażenie. Kiedy usłyszała, jak seneszał ją anonsuje, wymieniając całe mnóstwo oficjalnych tytułów, podniosła głowę i wyprostowała ramiona, przypominając sobie, że ma sprawiać wrażenie poważnej i władczej, po czym ruszyła do komnaty, w której czekali emisariusze Jareda. Nie spieszyła się, wykorzystując zejście po długich schodach, by przyjrzeć się obu mężczyznom. Jeden z nich był potężnej budowy i sprawiał wrażenie nieokrzesanego, bardziej przypominał siłacza niż dyplomatę. Jego towarzysz lepiej pasował do swojej roli. Był szczupłym dystyngowanym panem w wieku zapewne sześćdziesięciu wiosen, o siwych włosach. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego i przez chwilę Kiara miała wyrzuty sumienia z powodu farsy, jaką miała właśnie odegrać. Zastanawiała się, czy ambasador przypłaci życiem niepowodzenie swojej misji. Sądząc po niepokoju malującym się w jego oczach, kiedy ich spojrzenia się spotkały, tak właśnie miało być. *Nie mam wyboru*, pomyślała, skłaniając głowę na powitanie. *On też nie ma. Książniczka czy wasal, obydwoje jesteśmy tylko pionkami.*

– Szacowni goście – zaintonował Allestyr. – Oto Jej Królewska Wysokość, Kiara Sharsequin, książniczka Isencroftu.

Kiara beznamiętnie spojrzała ambasadorowi w oczy, żeby ocenić jego reakcję.

– Wasza Wysokość – odpowiedział potężny mężczyzna, siląc się na dworską uprzejmość.

– Mam zaszczyt przedstawić ambasadora Catorila z królewskiego dworu w Margolanie.

Catoril zrobił krok do przodu i przyklęknął na jedno kolano, po czym chrząknął, dając znak swojemu gwardziście, żeby uczynił to samo. Starszy mężczyzna sprawiał wrażenie zażenowanego zachowaniem swojego towarzysza, choć starał się zachowywać spokój.

– Wasza Wysokość – powiedział. – To wielki zaszczyt.

– Możecie powstać – odpowiedziała lodowatym tonem Kiara.

Ambasador podniósł się z wdziękiem, podczas gdy jego towarzysz niezgrabnie wstał z kolan. Kłaniając się nisko, ambasador wydobył z sakiewki u pasa małe puzderko; zerkał przy tym nerwowo na Jae, który zachowywał się wyjątkowo natarczywie, próbując dziobnąć mężczyznę w rękę.

– Jeśli pozwolisz, Wasza Wysokość – powiedział Catoril – oto podarunek od Jareda, króla Margolanu. – Otworzył pudełeczko i oczom księżniczki ukazał się rubin wielkości migdała, jarzący się wewnętrznym ogniem. – To zaledwie symboliczny wyraz szacunku, jakim darzy cię nasz król.

Allestyr wystąpił do przodu, aby przyjąć prezent w imieniu Kiary, która cały czas zachowywała kamienny wyraz twarzy.

– Jej Wysokość ceni sobie ten gest – odparł seneszał, odbierając podarunek. – Twój król jest wielce hojny.

– Król Jared jest potężnym władcą, którego cały nasz lud darzy ogromnym szacunkiem – powiedział Catoril, a Kiara miała wrażenie, że mówiąc to, ambasador ledwie się powstrzymywał od nerwowego zerkania na stojącego obok niego prostaka. Zatem ten gwardzista miał za zadanie pilnować, żeby ambasador z czymś się nie wygadał. Ciekawe, cóż takiego mógł powiedzieć ten człowiek, że aż potrzebował strażnika.

– Mamy wiele do omówienia – powiedziała oficjalnym tonem księżniczka. – Znajdźmy po temu bardziej odpowiednie miejsce.

Allestyr poprowadził ich do małego saloniku, gdzie na stole przygotowano posiłek dla czworga oraz małą miseczkę z kawałkami mięsa dla Jae. Kiara uważnie przestudiowała protokół, aby potrawy, które zostały wybrane, oraz sposób ich podania były odpowiednie dla rangi ambasadora, lecz nie sugerowały, iż próbuje się zrobić na nim wrażenie.

Księżniczka zaczęła, aż wszyscy usiądą, zanim zagadnęła Catorila.

– Przebyłeś daleką drogę, ambasadorze – powiedziała, podczas gdy służba nalewała wino.

– Opowiedz mi o swojej podróży.

– Była spokojna. Wasza Wysokość – odparł. – Droga z Margolanu do Isencroftu jest prosta i bezpieczna. Nie spodziewaliśmy się żadnych przygód.

Kiara pomyślała, że Catoril jest honorowym człowiekiem. Niezależnie od tego, jaką miał opinię o królu Jaredzie, dobrze wykonywał swoją pracę. Przypomniał jej, że Margolan leży na tyle blisko, że może przysporzyć jej kłopotów, i że nie ma żadnych przeszkód, które mogłyby powstrzymać margolańskie wojska.

– To dobrze – stwierdziła beznamiętnie. – A jak się miewa twój król?

Siedzący u jej boku Jae skubał mięso. Kiara sądziła, że – przy odrobinie szczęścia – goście pomyślą, że to jej magiczny towarzysz, i doniosą, że jest czarownicą i w związku z tym nie nadaje się na małżonkę. Ale druga żona króla Bricena była córką Bava K'aa, najpotężniejszej czarodziejki w Siedmiu Królestwach. *Przy moim szczęściu, pomyślała, Jared będzie chciał mieć czarownicę za żonę.*

Catoril umyślnie unikał patrzenia na Jae.

– Król Jared cieszy się dobrym zdrowiem, Wasza Wysokość – powiedział nieco zbyt szybko. – Często ostatnimi czasy oddaje się polowaniom, co zawsze sprawiało mu przyjemność.

– Zamilkł na chwilę. – Król Jared zapytuje o zdrowie twego ojca, króla Donelana. Czy dobrze się miewa?

– Owszem, całkiem dobrze – skłamała. – On także jest zajęty łowami i przesyła wyrazy ubolewania, że nie może tu być, aby się z tobą spotkać – ciągnęła. – Jest w polu kilka dni drogi stąd i obawiam się, że nawet sprawy wagi państwowej przegrywają z okazją do upolowania wielkiego dzika – rzuciła żartobliwie.

– Sądzę, że król Jared zrozumie powód królewskiej nieobecności – odparł Catoril, i nawet

jeśli ambasador wyczuł oszustwo ze strony Kiary, to nie dał tego po sobie poznać. – Życzę królowi Donelanowi szczęścia na polowaniu.

Kiara skłoniła głowę.

– Przekażę mu. Zazwyczaj ma szczęście – powiedziała, czując żal, gdy wypowiadała to kłamstwo. Choć prawdą było, że Donelan był wyśmienitym myśliwym, to prawdą było także to, że przez cały sezon łowiecki nie czuł się na tyle dobrze, żeby polować.

Szybko odcięła się od tych myśli, jakby jej goście mogli je odczytać. Kiedy znowu spojrzała na Catorila, zobaczyła, że jego strażnik uważnie jej się przygląda. Nieporuszona, wytrzymała spojrzenie tego nieokrzesanego mężczyzny i gwardzista odwrócił wzrok. Pociągnęła łyżeczek wina. Im szybciej ci goście z Margolanu wyjadą, tym lepiej.

Służba postawiła przed nimi pierwsze danie. Pachniało wybornie i przypomniało Kiarze, jak bardzo jest głodna. Jae bezczelnie ukradł kąsek z jej półmiska.

– A jak się miewa rodzina królewska? – spytała, przyglądając się bacznie Catorilowi.

Wydawało jej się, że dostrzegła błysk bólu w jego oczach, choć jego twarz pozostała bez wyrazu.

– Wasz Wysokość nie słyszała? Kilka tygodni temu doszło do strasznej tragedii. W królewskich apartamentach wybuchł pożar. Nikomu poza królem Jaredem nie udało się uciec.

– Co za nieszczęście – wyszeptała Kiara. Gwardzista Catorila wyglądał na mocno zdenerwowanego; ze zmarszczonymi brwiami śledził każdy ruch ambasadora, którego delikatne dłonie poruszały się tak nerwowo gdy to mówił, że upuścił nawet nóż.

– Ale porozmawiajmy o radośniejszych sprawach. Wasza Wysokość – zaproponował Catoril, odzyskawszy panowanie nad sobą. – Przynoszę zaproszenie od króla Jareda, abyś odwiedziła Margolan jako jego dostojny gość. Możliwość goszczenia ciebie byłaby dla niego ogromnym zaszczytem.

– To mile. Niestety, muszę odmówić i wstrzymać się aż do wiosny – odpowiedziała, bacznie obserwując Catorila. – W Isencrofcie odbędą się religijne uroczystości, którym musi przewodzić pierworodna córka króla. Gdybym nie wypełniła swojego obowiązku i postanowiła udać się w podróż w takim momencie, mój lud poczułby się urażony.

– Król Jared będzie bardzo zawiedziony – odparł Catoril i Kiara miała wrażenie, iż dostrzegła błysk nerwowości w jego lodowato błękitnych oczach. – Miał nadzieję pokazać ci margolański festiwal przesilenia zimowego, który naprawdę robi wrażenie.

– Jestem zaszczycona, ale muszę wypełniać wolę mojego ludu.

– Nasza księżniczka odgrywa bardzo ważną rolę w uroczystościach zimowego przesilenia

– wyjaśnił Allestyr. – Nasz lud jest jej bardzo oddany – dodał seneszał, spoglądając znacząco na Catorila. – Wiecie, że Chenne ukazała się Kiarze na polu bitwy i obdarzyła ją swoim błogosławieństwem. Lud Isencroftu zrobi wszystko dla swojej księżniczki.

Jeśli Catoril zrozumiał to zawołane ostrzeżenie Allestry, to nie było tego widać po jego niewzruszonej minie.

– Zaiste – wymruczał starszy mężczyzna. – Nasze zwyczaje nieco się różnią, lecz król Jared szanuje kult Bogini panujący w Isencrofcie. Zaplanujemy zatem wiosenną wizytę i skorzystamy z okazji, aby pokazać księżniczce, jaki piękny jest Margolan, kiedy rozkwitają pąki.

– Jakże to uprzejmie z twojej strony – odparła Kiara, czując ucisk w żołądku. Chwilowo wymigła się od zaproszenia, ale będzie jej o wiele trudniej to zrobić, kiedy nadejdzie wiosna.

Wiedziała, że ma jeszcze dziewięć miesięcy na planowanie, lecz jej apetyt znikł zupełnie; służący zabrali nietknięty półmisek i postawili przed nią nowy talerz z parującą dziczyzną.

I tak minął dzień, każda ze stron próbowała wybadać drugą w rozmowie, która wydawała się miłą i niewinna. Kiedy Kiara wreszcie mogła się oddalić, nakazawszy służbie przygotowanie gości do snu, i wróciła do swoich apartamentów, była wyczerpana tą maskaradą. Malae czekała

na nią z niepokojem.

– Jak poszło, pani? – spytała, pomagając jej zdjąć suknię.

Kiara westchnęła.

– Raz jeszcze opóźniliśmy podróż, ale obawiam się, że wreszcie skończą mi się wymówki.

Malae zacmokała.

– Kupiłaś sobie trochę czasu. Wasza Wysokość, co samo w sobie jest cenne. Teraz musisz zaufać Camowi i Carinie. Wypełniasz swój obowiązek, dając im więcej czasu. – Starsza kobieta poklepała Kiara po ręce. – I kto wie? Może do wiosny Bogini wybierze cię do odbycia Podróży.

Kiara uśmiechnęła się ze znużeniem.

– To z pewnością uwolniłoby mnie od konieczności udania się do Margolanu, ale nie jestem pewna, czy będzie to przyjemniejsza przygoda. – Zamilkła na chwilę. – Czy pamiętasz, jak się zamartwiałam, kiedy byłam dzieckiem, a ojciec wyruszał w pole z żołnierzami? – spytała, zakładając koszulę nocną i opadając na łóżko. Malae uśmiechnęła się.

– Jakże mogłabym zapomnieć. Wasza Wysokość. Zwykle przychodziłaś do mnie do łóżka i odnosiłam cię z powrotem do twojej komnaty – zaśmiała się cicho.

– Nigdy nie sądziłam, że będę jeszcze bardziej się o niego martwić – stwierdziła smutno Kiara.

– Już za młodu przejęłaś ciężary związane z noszeniem korony – odparła Malae – tak jak twoja matka, I powiem ci to, co zawsze jej powtarzałam, kiedy w środku nocy przychodziła do moich komnat na filiżankę gorącej herbaty. Zaufaj Bogini.

Kiara uśmiechnęła się smutno na myśl o matce, królowej Viacie, która nie żyła od trzech lat. Viata była córką króla Wschodniej Marchii, starego i dumnego monarchy o rodowodzie niemal tak długim jak rodowód królewskiej rodziny Margolanu. Jej małżeństwo z Donelanem było swego rodzaju skandalem. Donelan był zaledwie trzecim królem z tej samej linii – co

świadczyło o burzliwej historii Isencroftu – i uzurpatorem w oczach zasiedziałej arystokracji Wschodniej Marchii. Co gorsza, było to małżeństwo z miłości, a nie zaaranżowany sojusz. Dlatego też Wschodnia Marchia niechętnie pozwoliła swojej księżniczce na poślubienie tego parweniuszowskiego króla z przygranicznego królestwa, w którym panował kult dziwnego, wojowniczego aspektu Jedynej Bogini.

Dwór Isencroftu równie nieufnie przyjął swoją nową królową z jej egzotycznymi rysami i mocnym akcentem oraz wiarą w obcy im aspekt Bogini, jednak wygrała wola młodego, zdeterminowanego i całkowicie zakochanego króla. I choć Viata przeżywała trudne chwile w stosunkach z arystokracją, to miłość królewskiej pary nigdy nie uległa zachwianiu, nawet wówczas, gdy owocem ich związku okazało się tylko jedno dziecko, i to dziewczynka.

To po Viacie Kiara odziedziczyła oczy w kształcie migdałów i ciemniejszą karnację, która pomieszana z jasną, północną karnacją Donelana sprawiała, że łatwo się opalała, gdy tylko zaczynało grzać słońce. Pośrednio ze względu na chłodne przyjęcie Viaty na dworze Kiara została zaręczona z Jaredem z Margolanu. Król Donelan doprowadził po jej urodzeniu do zaaranżowania tego małżeństwa, wierząc, że sojusz z pradawnym rodem Margolanu wzmocni pozycję jego własnego rodu w oczach klasy panującej Siedmiu Królestw.

– Wiem – westchnęła Kiara. – Ale sprawy źle się ułożyły. Zupełnie jakby Pani o nas zapomniała.

Malae odciągnęła kołdrę i dała znak zmęczonej księżniczce, żeby się położyła, a potem pochyliła się i owinęła ją kołdrą jak dziecko, przesuwając dłonią po jej czole.

– Chenne nie zapomina o swojej Pobłogosławionej – powiedziała.

Kiara złapała rękę Malae i przycisnęła ją do policzka.

– Zostań ze mną, proszę, póki nie zasnę.

Kobieta skinęła głową i podeszła do stojącego przy ogniu krzesła.

– Jak sobie zyczysz, księżniczko. – Usiadła na wygodnym krześle i owinięła się narzutą. –

A teraz śpij.

Mimo uspokajającego trzasku ognia i świadomości, że Malae jest blisko, minęła świeca, zanim Kiara zapadła w niespokojny, pełen koszmarów sen.

Kiara obudziła się gwałtownie. Zamrugła oczami, a potem uniosła się na łokciach. Słońce już wstało, lecz Malae zaciągnęła ciężkie kotary, żeby przesłonić światło i pozwolić jej spać. Jae drzemał na swoim miejscu na wezglowiu jej łoża, posykując cicho. Czuć było aromat ziołowej herbaty gotującej się w imbryku na ogniu. Choć Kiara uważała, że porusza się bezgłośnie, to Malae obudziła się i znalazła u jej boku, gdy tylko księżniczka nalała sobie filiżankę herbaty.

– Allestyr się o ciebie martwi – powiedziała, owijając ramiona Kiary miękkim wełnianym szalem.

– Wiem – odparła cicho, wpatrując się w tańczące płomienie. – Oni wszyscy się martwią. Przykro mi, że daję im powód do zmartwień.

Malae usiadła koło niej i położyła dłoń na jej ramieniu.

– Opiekowanie się tobą, księżniczko, to zaszczyt – powiedziała. – Ale ostatnimi czasy bardzo się martwimy, gdyż dzieje się wiele dziwnych rzeczy.

Kiara pokiwała ponuro głową.

– Coś się wydarzy, coś ważnego. Nie wiem. Co takiego, ale... Czuję to.

– Jesteś Pobłogosławioną przez Boginię. Może Bogini ma cię wybrać do odbycia Podróży.

Kiara potrząsnęła ze znużeniem głową i wypła łyk herbaty.

– Nie mogłoby się to zdarzyć w gorszym momencie.

Malae poklepała ją uspokajająco po ręce.

– Może Wyrocznia będzie w stanie pomóc.

– Też o tym pomyślałam, ale...

– Ale twój ojciec nigdy nie przepadał za przepowiedniami Wyroczeni – dokończyła za nią Malae, a Kiara pokiwała głową.

– To dziwne, prawda? Rządzą za niego królestwem już od kilku miesięcy, a jestem przestraszona jak podkuchenna, kiedy mam mu się sprzeciwić.

Malae zaśmiała się cicho.

– To wcale nie jest takie dziwne, księżniczko. On nadal jest twoim ojcem i nadal jest królem. Ale pamiętaj, on nie jest przeciwny Wyroczeni, tylko brakuje mu cierpliwości do jej mętnych proroctw. – Uśmiechnęła się. – Twój ojciec jest bezpośrednim człowiekiem. Nie lubi się domyślać, jakiej rady mu udzielono. Podejrzewam, że gdyby Wyroczenia przemawiała jasno, to twój ojciec zajmowałby jej sporo czasu.

– Pewnie masz rację, Malae – powiedziała Kiara, obejmując dłońmi filiżankę z herbatą. – Chyba po prostu boję się, że znajdę więcej pytań niż odpowiedzi.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i Kiara kazała gościowi wejść. Był to Allestyr; wyglądał tak, jakby już od świtu był na nogach i działał aktywnie.

– Księżniczko – powiedział delikatnie starszy seneszał.

– Ojciec cię wzywa.

Kiara z westchnieniem dopiła herbatę i odstawiła filiżankę. Malae już wstała i wręczyła jej ciepły wełniany szlafrok.

– Może twój ojciec będzie wiedział, co powinnaś zrobić – powiedziała. – Magia, która uczyniła go kaleką, nie dotknęła jego umysłu.

Kiara skinęła głową i się wyprostowała.

– Postaram się nie przysporzyć mu więcej zmartwień – rzekła. Jae wzbił się ze skrzekiem w powietrze i wylądował na jej ramieniu.

– On jest królem – dodała Malae. – Królowie się martwią, czy tego chcesz, czy nie.

– Myślę, że masz rację. – Księżniczka uśmiechnęła się i ruszyła za Allestyrem.

W apartamentach jej ojca, które zawsze pachniały skórą, wodą po goleniu i korzennymi przyprawami, unosił się teraz zapach choroby. Jego łuki do polowania wisiały pozbawione cięciw na ścianie. Strój do konnej jazdy leżał złożony na komodzie, koło królewskich szat.

Nawet jego ulubiona układanka leżała zapomniana na stole, gdyż jej składanie zbyt go teraz irytowało.

Kiara podeszła do ogromnego królewskiego łóża, gdzie wśród futer i koców spoczywał wsparty na poduszkach jej ojciec. Obok łóża stał parujący garniec grzanego wina doprawionego medykamentami, które pozwalały królowi zachować przytomność. Król Donelan uśmiechnął się i wskazał jej miejsce na skraju łóża. Kiara wdrapała się na nie i usiadła ze skrzyżowanymi nogami, owijając się w jedno z futer.

– Dzień dobry. Ptaszyno – powiedział czule król Donelan. Kiara wzięła go za rękę i przycisnęła ją do policzka. Król spojrzał na Jae, który podskakiwał na ramieniu Kiary, pragnąc zwrócić na siebie uwagę, i wyciągnął rękę, żeby go pogładzić po grzebieniu. – Dzień dobry, Jae. Udały się ostatnio łowy? – spytał, a gyregon zaskrzeczał, podekscytowany.

– Dzień dobry, ojczy. Jak się dziś czujesz?

Król Donelan zakasłał i potrząsnął głową, po czym delikatnie uwolnił dłoń i sięgnął po grzane wino; przez chwilę trzymał parujący kubek w dłoniach, zanim pociągnął łyk lekarstwa.

– Obawiam się, że czuję się tak samo jak zwykle. Ale ty wyglądasz na dość wyczerpaną, Kiaro. Opowiedz mi o wizycie ambasadora.

Kiara opowiedziała o wizycie Catorila i swoim uniku, a kiedy skończyła, król pokiwał w zamyśleniu głową.

– Dobrze sobie poradziłaś, Kiaro. Kupiłaś nam czas, ale masz rację, że kiedy przyjdzie

wiosna, trudniej będzie odwieść go od tego pomysłu. Jednak żadna inna odpowiedź by go nie zadowoliła, więc się nie zadręczaj.

Atak kaszlu wstrząsnął chorym monarchą i Kiara wzięła od niego kubek, żeby wino się z niego nie wylało.

– Dziękuję – powiedział, kiedy atak kaszlu minął. – Ale nie opowiedziałaś mi wszystkiego.

– Spojrzał znacząco na córkę. – Jesteś zbyt zmęczona jak na zwyczajny obiad z ambasadorem.

Przeprowadziłaś ostatnio kolejny magiczny rytuał?

Kiara pokiwała głową z zakłopotaniem.

– Domyśliłeś się czy Tice ci powiedział?

Król Donelan się uśmiechnął.

– Nie, Tice dochował tajemnicy. Ale zawsze wyczuwam królewską magię, kiedy posługuje się nią ktoś z mojego rodu, niezależnie od tego, czy robi to w mojej obecności, czy nie.

– Nie wiem, co robić, ojczy – wyrzuciła z siebie dziewczyna, spuszczać wzrok. – Twoja choroba się nie cofa, choć sprowadzamy wielu magów i medyków. Jeśli mają rację i jest ona magicznego pochodzenia, to nadal nie wiemy, który mag jest sprawcą. Margolan nie ustanie w wysiłkach, dopóki nie będziemy w stanie wojny albo dopóki Jared nie pojmie mnie za żonę. A zwiadowcy donoszą, że na zachodniej granicy pojawiły się mroczne stwory, nienaturalne istoty, których nie powinno tam być, ale są. Gdzie się nie obrócę, widzę, że Isencroft jest w niebezpieczeństwie, i mam wrażenie, że nic nie mogę zrobić, żeby to zmienić.

Kiedy tak mówiła, odczuła pewną ulgę, że może ubrać swoje obawy w słowa.

– W trakcie rytuału zobaczyłam, że Cam i Carina mają kłopoty. Widać było zagrożenie i płomienie... – Łza popłynęła jej po policzku, mimo iż starała się nad sobą zapanować. – Nie dotrą do Zgromadzenia Sióstr – powiedziała żałośnie. – I nie dowiemy się, czy Siostry wiedzą, jak cię uleczyć, a ja nie mogę sobie wyobrazić życia bez Cariny...

– Cicho, dziecko – powiedział surowo król Donelan, choć jego dłoń czule otarła łzy Kiary.

– A teraz posłuchaj mnie. Przede wszystkim pamiętaj, że wizja pokazuje to, co może się zdarzyć, a nie to, co zdarzyć się musi. Zatem to, co widziałaś, choć niepokojące, nie jest pewne. Cam i Carina są bardzo zaradni – powiedział król, uśmiechając się. – Nie spisywałbym ich jeszcze na straty.

Na chwilę pogrążył się w myślach.

– Zgadzam się jednak, że te inne sprawy są niepokojące, nawet dla takiego starego rumaka bojowego jak ja. – W jego oczach pojawił się smutek. – Nie chciałem, żebyś musiała wziąć to wszystko na siebie tak wcześnie, Kiara. Miałem nadzieję, że minie wiele lat, zanim to brzemię spadnie na twoje barki, i że będziesz miała małżonka, z którym będziesz mogła je dzielić. Tak mi przykro.

Kiara wzięła jego dłoń w swoje ręce.

– Och, ojciec – pociągnęła nosem. – Jestem ulepiona z twardej gliny. W końcu – uśmiechnęła się mimo wszystko – jestem twoją córką.

Król zaśmiał się cicho.

– Zaiste, jesteś nią. Ale nawet król wie, że należy ściągnąć pomoc, kiedy wróg ma przewagę liczebną. Oto zatem, co musisz zrobić – powiedział poważnym tonem, jakim zawsze wydawał królewski dekret. – Musisz udać się do Wyrocni w świątyni Chenne i uczynić to, co ci każe, nawet jeśli oznacza to wyruszenie w Podróż.

– Ależ, ojciec – zaprotestowała zdumiona Kiara, otwierając szeroko oczy. – Nigdy nie dawałeś wiary Wyrocni!

Twarz króla Donelana przybrała surowy wyraz, kiedy potrząsnął głową, uciszając jej protesty.

– Żadnych „ale”. Jeśli to oznacza, że będziesz musiała opuścić pałac, to właśnie to zrobisz.

Jeśli będzie to oznaczać, że musisz opuścić Isencroft, to tak się stanie. Jeśli nadszedł czas odbycia Podróży, to wyruszysz bez protestu. Tice i Allestyr zarządzili królestwem, kiedy brałem udział w kampaniach, na długo przed twoim urodzeniem. Nie są tak wiekowi, żeby nie mogli teraz znowu tego zrobić, jeśli Bogini tak sobie życzy.

Widząc zdecydowanie w jego oczach, Kiara przełknęła ślinę i skinęła głową,

– Tak, ojciec – powiedziała, spuszczać wzrok. Król złapał ją za podbródek i uniósł jej głowę, zmuszając do spojrzenia w jego niebieskie oczy.

– Kiara, jesteś bardzo dzielna. Bogini nie przybyła do ciebie po to, abyś tkwiła w pałacu uwięziona przez chorobę starca. Odkąd po raz pierwszy wziąłem cię w ramiona, wiedziałem, że urodziłaś się dla jakiegoś wyższego celu. Być może twój czas nadszedł.

Kiara kiwnęła głową i uściśnięła mocno jego dłoń.

– Zrobię, o co prosisz, ojciec. Udam się tam dziś wieczór.

– Tak lepiej. – Król znowu zaczął kaszleć i sięgnął po wino. – A teraz zostaw mnie z moimi lekami, moja droga. I niech ci przyrządzą porządniejsze śniadanie niż ta odrobina owoców, którą dziobiesz co rano.

Uśmiechnął się, widząc jej zaskoczenie.

– O tak, moja droga. Król wie nawet o takich rzeczach. A teraz uciekaj. – Machnął ręką. – Czuję, że mam ochotę się zdrzemnąć.

Patrzył, jak idzie ku drzwiom.

– Kiara! – zawołał jeszcze, a ona się odwróciła. – Zaufaj Bogini.

Rozdział dwunasty

Kiara wyruszyła jeszcze tej nocy, przy pełni księżyca. Jae dogonił ją, kiedy dotarła do stajni, i przysiadł na jej ramieniu, posykując pytająco, gdy przygotowywała konia. Sięgnęła ręką i podrapała go po łuskach tuż pod grzebieniem na głowie.

Kon, którego wybrała – czarny jak noc ogier – zarżał cicho. Intuicja, która podpowiedziała jej, żeby wybrać konia bojowego, popchnęła ją także do wzięcia siodła do długich podróży, choć Wyrocznia znajdowała się zaledwie o świecę jazdy od pałacu.

Zostawiła wiadomość dla Malae, informując ją o wyjeździe do Wyroczni, i dodała krótki liścik do Tice, który upoważniał seneszala i Allystera do przejęcia regencji aż do jej powrotu.

Nie jest to list, jaki się zostawia przed krótką przejażdżką, pomyślała, krzywiąc się przy zakładaniu popręgu.

Chwyciła juki i sprawdziła ekwipunek. Przytroczyła do boku miecz i pas ze sztyletami.

Założyła najwygodniejsze buty oraz ciepły płaszcz. Głęboko w sakwach podróżnych miała schowany sygnet z królewską pieczęcią, który otwierał wszystkie granice w Isencrofcie i kończył wszelkie spory.

Pod płaszczem do jazdy miała skórzany pancerz z lekką kolczugą, który zakładała zawsze wtedy, kiedy opuszczała teren pałacu. Ten ochronny strój maskował jej figurę, i teraz, gdy związywała swoje długie włosy w węzeł na karku, cieszyła się z tego, że tak rzadko przejmowała się swoim wyglądem. *Inaczej pewnie bym się pochorowała, bo teraz na pewno bardziej przypominam najemnika niż księżniczkę*, pomyślała.

– Wasza Wysokość.

Kiara spojrzała w kierunku dobiegającego z ciemności głosu. Rall, rycerz zmarłej królowej, wprowadził swojego konia w mały krąg światła rzucanego przez latarnię. – Już jesteśmy.

Towarzyszył mu Hastart, jeden z najbardziej zaufanych żołnierzy jej ojca. Posłała po nich, nakazując im przygotować się do nocnej jazdy i spotkać się z nią w stajni o północy. Zobaczyła, że potraktowali jej polecenie poważnie i dobrze przygotowali się do długiej i niebezpiecznej podróży.

– Dziękuję wam za przybycie – powiedziała, wskazując na siodło. – Muszę udać się do

Wyrocni z pilną prośbą. Pojedźcie ze mną do świątyni. Może Wyrocnia będzie miała dla nas jakąś wiadomość.

Obydwaj mężczyźni się uklonili.

– Jak sobie życzysz, księżniczko – powiedział Rall. – Będziemy ci towarzyszyć wszędzie, dokąd się udasz, dopóki będziesz nas potrzebować.

Nie chcąc zwracać uwagi na swoją misję, Kiara prześliznęła się bez słowa koło wartowników, dołączając do grupy podróżnych przejeżdżających przez bramę. Kiedy już nie było ich widać z pałacowych murów, popędziła konia ku świątyni Wyrocni.

Świątynia Wyrocni przycupnęła na skraju lasu, nad rzeką, gdzie drzewa rozstępowały się, ukazując przestwór nieba. Jej ściany z białego marmuru lśniły w blasku księżyca, a woda odbijała gwiazdy i płonący na ołtarzu ogień. Świątynię z trzech stron otaczały skarpy, na których znajdowały się kaplice pełniące zarówno funkcję ceremonialną, jak i obronną. Na polanie widoczne były sylwetki kamiennych obelisków poświęconych wojskowym bohaterom, obdarzanym łaską przez Chenne.

W świątyni panowała cisza, kiedy Kiara przywiązała konia do drzewa i weszła na marmurowy taras. Dała znak Rallowi i Hastartowi, żeby poczekali przy koniach, i ruszyła ścieżką w kierunku groty. Minęła sokolarnię poświęconą wojownicze Chenne, gdzie zaniepokojone ptaki zaczęły fruwać i kwilić.

– Cóż, teraz już z pewnością wiemy, że nadchodzimy – wyszeptała do Jae, który tak zainteresował się sokołami, że musiała go skarcić. Mały smok syknął, rozczarowany, i kręcąc swoim pokrytym łuskami łepkiem, zaczął rozglądać się w poszukiwaniu innej nocnej przekąski.

Kiara spojrzała w stronę ołtarza i zatrzymała się. Stała tam kobieta w białej szacie, która pojawiła się jakby znikąd. *Wyrocnia!* pomyślała księżniczka. Wzięła głęboki oddech, przełknęła

ślinę i podeszła bliżej.

– Wybacz, kapłanko, że przeszkadzam ci w nocy – zaczęła niepewnie. – Jestem Kiara z rodu Sharsequin i...

– Wiem, kim jesteś – przerwała jej zakapturzona kobieta. – Czemu szukasz Bogini?

– Przybyłam pomodlić się o zdrowie mojego ojca – odpowiedziała, mając nadzieję, że odwaga jej nie opuści. – I żeby zapytać Panią, jak ocalić nasze królestwo.

Kapłanka pokiwała głową.

– Twój ojciec jest umierający – powiedziała – ale choroba jest magicznego pochodzenia.

– Domyśliliśmy się, że to mroczny mag zesłał tę chorobę, pani.

Kapłanka znowu pokiwała powoli głową.

– Wysłałaś waszą najlepszą uzdrowicielkę w poszukiwaniu lekarstwa, zgadza się?

– Tak, pani. Ale minie trochę czasu, zanim ona wróci.

– Zgromadzenie Sióstr może opóźnić śmierć twojego ojca, ale aby zniszczyć zaklęcie, musisz unicestwić tego, kto je rzucił.

– Wasza Dostojność, nie mamy magów dysponujących taką mocą.

– To z Margolanu pochodzi zarówno zaklęcie, jak i rozwiązanie problemu – odparła kapłanka. – Mroczna ręka, która rzuciła zaklęcie, i Ten, Który Może Przywracać.

Jej głos przybrał śpiewny ton, kiedy zaczęła kołysać się w transie, wydając się niematerialną w swej białej szacie.

– Twoja droga wiedzie w innym kierunku. Jeśli chcesz ocalić swoje królestwo, musisz pozwolić, aby inni zajęli się ratowaniem twojego ojca. – Wyrocznia zamilkła na chwilę. –

Musisz odegrać swoją rolę w zniszczeniu tego, kto rzucił to zaklęcie. To, czego szukasz, znajduje się w Bibliotece Zachodniej Marchii. Nadszedł czas na odbycie Podróży. Musisz udać się do Zachodniej Marchii.

– Zachodnia Marchia! – wyszeptała Kiara. – Ale ona nie istnieje! To tylko bajka dla dzieci, czyż nie?

– Oto moja służebnica. – Kapłanka uniosła dłoń i Kiara zobaczyła jakąś postać ubraną w brązowe szaty maga ziemi, wyłaniającą się z cienia marmurowej kolumny. – Jeśli ci się uda, moja Wybranko, ocalisz króla i królestwo – ciągnęła dalej Wyrocznia, a jej głos stawał się coraz bardziej stanowczy, niepodobny do śpiewnego tonu kapłanki. – Jeśli ci się nie uda, nadejdzie ciemność.

Kiara dostrzegła przelotnie ten sam błysk nadnaturalnych oczu, który pamiętała tak dobrze z pola bitwy swojego dzieciństwa.

– Jedź z moim błogosławieństwem.

Po czym płonące ogniem oczy przygasły, a kobieta w szacie osunęła się z jękiem na ziemię. Jej kaptur opadł, ukazując śmiertelniczkę, kapłankę, przez którą przemawiała Bogini.

– Chodź ze mną, Kiaro Sharsequin – powiedziała stojąca w mroku postać w brązowych szatach. – Kapłance nic nie będzie. To przywilej służyć Bogini. Teraz przyszła kolej na ciebie.

– Muszę powiadomić moich gwardzistów – wyjąkała Kiara. – Nie mogę tak po prostu zniknąć.

– Obwieścimy im oraz twemu ojcu, że udajesz się w Podróż. Czekaj na tę chwilę. Chodź.

Postać wyciągnęła rękę i Kiara podeszła do niej mimo bijącego mocno serca, i zaniepokojonego posykiwania Jae. Postać owinęła ją swoim płaszczem pachnącym ziołami, dymem i mokrym po deszczu mchem. Zakręciło jej się w głowie i przez chwilę miała wrażenie, że ziemia usunęła jej się spod nóg. Kiedy postać rozchyliła płaszcz, świątynia znikła.

– Gdzie jestem? – spytała, a jej ręka powędrowała w stronę miecza.

– W klasztorze Zgromadzenia Sióstr – odparła jej spowita szatą towarzyszka; kaptur opadł i ukazała się starsza kobieta średniej budowy ciała, o ładnej, ogorzałej twarzy; jej niebieskie oczy

rozbłąsły rozbawieniem na widok konsternacji księżniczki.

– W Dhasson? – spytała Kiara, rozglądając się dokoła. – To właśnie tam wysłałam Carinę.

Przecież to dwa miesiące jazdy!

Odziana w szatę kobieta uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Nadal jesteśmy w Isencrofcie. Zgromadzenie Sióstr ma wiele klasztorów. Ten, o którym mówisz, jest jednym z nielicznych, o których ludzie wiedzą. Zbyt wielu próbowało nas zniszczyć ostatnimi czasy, dlatego mamy też swoje tajemne miejsca, I to jest jedno z nich.

Kiara rozglądała się w milczeniu, gładząc pazurki Jae, który, zaniepokojony, wbił je boleśnie w jej ramię. Sycząc, mały smok zerkał groźnie na ich gospodynię.

Kobieta spojrzała z uśmiechem na przestraszonego smoka i wypowiedziała słowo, które dla Kiary brzmiało jak woda spływająca po kamieniach. Ku jej zdumieniu gyregon natychmiast się uspokoił.

– Co mu powiedziałaś?

– Tylko to, że ani on, ani ty nie macie powodu do obaw – odparła Siostra.

– Potrafisz rozmawiać z Jae?

– Wiele musisz się nauczyć, Pobłogosławiona przez Boginię – rzekła czarodziejka. –

Chodź.

Kiara podążyła za kobietą przez labirynt korytarzy wykutych głęboko w skale. Powietrze było chłodne i świeże, a posadzka wygładzona od częstego używania. Po drodze mijały ciężkie drzwi prowadzące do komnat. W końcu znalazły się w wielkiej sali. Kryształki pokrywające skalne kolumny jarzyły się magicznym światłem, a w ogromnym kominku płonął dający ciepło magiczny ogień.

Za ogromnym owalnym stołem wykutym ze skały siedziały cztery Siostry. Kobiety nie nosiły żadnych ozdób i były ubrane w takie same zwyczajne brązowe szaty jak jej

przewodniczka, mimo to Kiara wyczuwała ich moc.

– Podejdź bliżej, Kiara z rodu Sharsequin – powiedziała jedna z Sióstr głosem przypominającym trzaskanie ognia wśród wyschłych liści. Kiedy potem się nad tym zastanawiała, Kiara wcale nie była pewna, czy w ogóle usłyszała ten głos, czy też zabrzmiał on tylko w jej umyśle.

– Prosiłaś Boginię o zdrowie dla króla i bezpieczeństwo Isencroftu. Powiedziała ci, jakie jest źródło tej klątwy – ciągnęła dalej kobieta. – Czy pragniesz zniweczyć to zaklęcie, żeby ocalić swoje królestwo?

Kiara bez wahania skinęła głową.

– Tak, Wasza Dostojność.

– Czy wyrzekniesz się przywilejów i swojej pozycji, jeśli Pani sobie tego zażyczy?

– Tak, Wasza Dostojność.

– A co z twoim życiem, Kiara Sharsequin? Tego zaklęcia nie rzucił śmiertelnik. Czy zaryzykujesz swoje życie?

Kiara przełknęła z trudem ślinę, lecz ponownie skinęła głową.

– Jeśli taka jest wola Bogini – wyszeptała przez ściśnięte gardło.

– Być może taka będzie, moje dziecko – stwierdziła czarodziejka, a jej niebieskie oczy błysnęły w magicznym świetle. – Podejdź bliżej.

Kiara wzięła głęboki oddech i podeszła. Jae siedział jak posąg na jej ramieniu. Kobieta zmierzyła ją wzrokiem i księżniczka poczuła jej przelotną obecność w swoim umyśle. Siostra skrzyżowała ręce na piersi i odchyliła się do tyłu, sprawiając wrażenie zadowolonej.

– Chenne dobrze wybrała – stwierdziła. – Tej nocy rozpoczynasz swoją Podróż.

Kiara skinęła w milczeniu głową. Poczucie, jakie miała jeszcze w pałacu, że podąża jakąś drogą, choć jej jasno nie widzi, stało się jeszcze silniejsze; było ono przerażające, lecz

jednocześnie miała wrażenie, że postępuje słusznie.

– W Bibliotece Zachodniej Marchii rzeczywiście znajdziesz wszystko, co jest potrzebne do złamania tego zaklęcia – mówiła dalej czarodziejka. – Jednak zanim to się stanie, trzeba pokonać wielkie zło.

– Wasza Dostojność, nie wiem, gdzie mam szukać Biblioteki Zachodniej Marchii.

Myślałam, że to tylko legenda.

Siostra pokiwała głową i spojrzała na swoje towarzyszki. I znowu Kiara poczuła ich obecność w swoim umyśle, jakby cztery kobiety odbywały tam naradę.

– Twoja Podróż jest częścią większej historii, która zaczęła się dawno temu – powiedziała wreszcie mówczyni.

– Wiele lat temu magowie Siedmiu Królestw stoczyli wielką wojnę; była to wojna między tymi, którzy chcieli wykorzystywać magię dla dobra wszystkich, a tymi, którzy pragnęli nagiąć ją dla własnej korzyści. W konflikcie, który o mało co nie zniszczył wszystkiego, mrok został odparty. Ale nie pokonany. Kiedy Wielka Wojna Magów dobiegła końca. Magowie Światła byli zbyt wyczerpani, aby dalej ścigać Mrocznych Magów, mieliśmy też nadzieję, że byli bardziej wykrwawieni niż my. Myliliśmy się. – Jej twarz stężała. – Oni powrócili. Tym razem musimy ich powstrzymać, zanim znowu powstaną, inaczej nie będzie spokoju. Ani my, ani świat nie przetrzyma kolejnej wielkiej wojny.

– Ale ja nie jestem prawdziwym magiem – zaprotestowała bez przekonania Kiara. –

Dysponuję tylko przysługującą mi z racji urodzenia magią królów Isencroftu. Potrafię zrobić bardzo niewiele. Jak mogę pomóc?

Czarodziejka uśmiechnęła się, zapatrzona w przestrzeń, jakby przypominała sobie coś z zamierzchłej przeszłości.

– Istnieją takie czary, które poszły w zapomnienie, księżniczko, może zostały zapomniane

także przez Mrocznych. – Spojrzała na Kiara, jakby zaglądała do jej duszy. – Nadszedł czas, aby przygotować cię do Podróży. O świcie musisz wyruszyć do Zachodniej Marchii.

Zanim Kiara zdążyła zadać pytania, które kłębiły jej się w głowie, przewodniczka w brązowej szacie dotknęła jej ramienia.

– Chodź ze mną – powiedziała i wyprowadziła ją z sali audiencyjnej.

Najwyraźniej oczekiwano jej tutaj. Na łóżku leżały: wytrzymały strój podróżny – Kiara wiedziała bez sprawdzania, że jest dokładnie w jej rozmiarze – sfatygowana skórznia, lekki kolczy napierśnik oraz sporych rozmiarów sakiewka, a na niej pergaminowa mapa, poźółkła ze starości. Obok zobaczyła zwyczajny, lecz pięknie wykonany sztylet, a przy nim małą aksamitną sakiewkę oraz gliniany, pospolicie wyglądający owal na rzemyku, na którym odcisnięte były runy, których Kiara nie rozpoznała.

Spojrzała na swoją przewodniczkę, czekając na wyjaśnienie. Kobieta skinęła głową w kierunku jej wyposażenia.

– Oto pierwsza lekcja spostrzegawczości, księżniczko. Co widzisz?

– Dużo ekwipunku, więcej, niż oczekiwałam.

– Dobrze go strzeż. Ten płaszcz podróżny ukryje twoją magię przed tymi, którzy będą jej szukać – powiedziała przewodniczka, wskazując długim cienkim palcem na wełniany płaszcz. – Zamień swój napierśnik na ten leżący na łóżku.

Podniosła rękę, gdy Kiara zaczęła protestować.

– Osłabi działanie magicznej broni, zaczarowanych sztyletów lub strzał, ale nie odbije ich całkowicie. Jego moc może się wyczerpać, więc nie wystawiaj się lekkomyślnie na cel.

Kiara obracała sztylet w dłoni, podziwiając kunszt jego wykonania.

– Strzeż go dobrze, księżniczko – powiedziała czarodziejka, stając za nią. – W rękach śmiertelnika unicestwia nieumarłego. W rękach maga niszczy duszę.

– Nieumarłego? – wyszeptała Kiara.

– Musisz się wiele nauczyć. Są wśród nas tacy, którzy nie są ani żywi, ani martwi.

Niektórzy z nich to czarodzieje, którzy zapragnęli dla siebie takiej mocy. Niektórzy są odmieńcami, gdyż tacy się urodzili lub przypadkowo utracili swoją śmiertelność. A jeszcze inni służą Mrocznej Pani jako vayash moru.

Kiara otworzyła Szeroko oczy.

– Ale wampiry to tylko bajki dla dzieci.

– Wiara w wampiry nie jest tematem tej rozmowy. – Sięgnęła po gliniany owal i wręczyła go księżniczce. – Strzeż go pilnie, Kiara – powiedziała z powagą. – Wykorzystaj tylko wtedy, gdy znajdziesz się w tragicznym położeniu.

Kobieta odwróciła talizman do światła i Kiara dostrzegła wzór wyciśnięty na jego powierzchni. Kiedy jednak przyjrzała się uważniej, linie się zamazały, jakby się poruszały.

– Ta pieczęć jest zaczarowana magią Zgromadzenia Sióstr – powiedziała czarodziejka. –

Kiedy się ją przełamie na pół, przeniesie tego, kto nosi ten talizman, oraz wszystkich obok niego do miejsca, które ta osoba wybierze w swoim umyśle. – Włożyła go ostrożnie do woreczka. –

Można go użyć tylko raz. – Spodziewając się, że Kiara będzie miała obiekcje, dodała: – Nie musisz być magiem, żeby używać tych przedmiotów. Znamy twój dar i jego ograniczenia.

Wskazała na mieszek z monetami, który leżał na łóżku.

– Masz tu dość złota na podróż. – Nagle uśmiechnęła się szelmowsko. – A przynajmniej tak nam się wydaje.

Przerwała, widząc, że Kiara milczy.

– Nie mówisz wszystkiego, Pobłogosławiona przez Boginię.

– Chodzi o to, że... wysłałam moją najbliższą krewną do Zgromadzenia Sióstr w Dhasson.

Powiedziano nam, że tam są najlepsi uzdrowiciele Zgromadzenia. Jeśli byliście tak blisko, to

dłaczego...

– Dlaczego po prostu nie pojawiłyśmy się z magicznymi miksturami, żeby pomóc? – Kiara kiwnęła głową.

– Wiemy o chorobie twego ojca. I choć bardzo bym pragnęła, by było inaczej, to nie mamy „magicznej mikstury”, która zniweczyłaby to zaklęcie. Rozesłałyśmy wiadomość do naszych sióstr w Siedmiu Królestwach, żeby się dowiedzieć, czy istnieje jakiś eliksir, który przedłużyłby życie twojemu ojcu, dopóki ty i inni nie zniszczycie tego, kto sprowadził na niego klątwę. – Zamilkła na chwilę.

– Wieści docierają powoli, nawet w Zgromadzeniu Sióstr. A z takiego cudownego przeniesienia, którego właśnie doświadczyłaś, można korzystać jedynie od czasu do czasu, na niewielkie odległości, i płaci się za to wysoką cenę. Poza tym jesteśmy tak samo ograniczone przez odległości i rączość konia jak nie-magowie – powiedziała, uśmiechając się smutno. – Jeśli zaś chodzi o nasz klasztor tutaj, jest to tylko mała kryjówka. Nie mamy tu uzdrowicielek.

– Ale przecież Zgromadzenie Sióstr ma najpotężniejszych magów na świecie – zdziwiła się Kiara. – Dlaczego musicie się ukrywać?

Spojrzenie Siostry przybrało smutny i nieobecny wyraz.

– Ludzie albo niszczą, albo obdarzają czią to, czego nie rozumieją – powiedziała cicho. –

Niestety, w całej naszej historii zetknęłyśmy się i z takimi, i z takimi ludźmi. Nie pragniemy ani uwielbienia, ani męczeństwa. A wśród naszych Sióstr zapanował strach – uzasadniony strach – że teraz, gdy Jared Drayke rządzi w Margolanie, możemy znowu stać się celem ataków.

– Dlaczego?

Siostra odwróciła wzrok.

– Mag Jareda Drayke’a, Foor Arontala, jest nam dobrze znany. Teraz, gdy kontroluje króla i zasoby jego królestwa, ambicje Arontali rosną. Będzie nas postrzegał jako zagrożenie, i

słusznie, gdyż jego magia krwi jest tą mroczną skazą, za której wypalenie Bava K'aa i inni oddali życie.

– Czy nie możecie go po prostu... porazić błyskawicą czy coś takiego?

Siostra zaśmiała się cicho.

– Chciałabym, żeby to było takie proste. Chyba nikt od czasów Obsydianowego Króla nie zasługuje bardziej na to, żeby go „porazić błyskawicą”, jak to ujęłaś. Jednak Zgromadzenie Sióstr nie wtrąca się bezpośrednio w rządzenie królestwami. Gdybyśmy to zrobiły, też dałybyśmy się uwieść władzy, a to doprowadziłoby nas do zguby. Dlatego działamy zakulisowa. Dajemy sposobność, prowadzimy, stwarzamy szczęśliwe zbiegi okoliczności – powiedziała ze znaczącym uśmiechem. – Ale nie możemy obalać i wynosić na tron królów. Uzurpowałybyśmy sobie rolę Pani. A w ten sposób dbamy tylko o to, aby Jej wola była wypełniana.

Kiara zastanawiała się przez kilka chwil.

– Jeśli Zgromadzenie Sióstr nie ma żadnej mikstury, to Carina na próżno wyruszyła w podróż.

Siostra potrząsnęła głową.

– Tego nie wiemy. Nasze Siostry we wszystkich królestwach będą przeszukiwać swoje zapiski i dadzą nam znać, jeśli pomoc się znajdzie. Masz rację, mówiąc, że uzdrowicielki w Dhasson należą co najlepszych. Być może przejrzą swoje archiwa i znajdą coś, co okaże się pomocne. Dlatego nie sędzę, aby ta podróż była na próżno – powiedziała, patrząc Kiarze w oczy.

– Myślę, że Pani wyznacza drogę, którą podążają.

Pukanie do drzwi przestraszyło Kiarę, lecz jej gospodyni ucieszyła się; widocznie spodziewała się odwiedzin.

– Wejść – powiedziała. Drzwi otworzyły się i jakaś inna kobieta wniosła tacę zastawioną jedzeniem. Kiarze zaburczało w brzuchu – było to przypomnienie, że jest niemal rano.

– Musisz już być głodna – stwierdziła przewodniczka, i choć nie straciła całkowicie swojej rezerwy, to teraz była niemal przyjazna. – Najedz się do syta i odpocznij. Masz przed sobą długą podróż.

– Co się stanie, kiedy się obudzę?

– Kiedy się obudzisz, będziesz mogła wyruszyć w drogę – odparła Siostra i odwróciła się, by odejść.

– Zaczekaj! – zawołała za nią Kiara. – Skąd będę wiedziała, czego mam szukać w tej Bibliotece?

– To, czego potrzebujesz, samo do ciebie przyjdzie.

I nie mówiąc już nic, wyszła, pozostawiając Kiarę i Jae samych.

Księżniczka patrzyła, jak zamykają się drzwi, po czym opadła na łóżko, a Jae zaczął okrażać pokój, posykując sceptycznie.

– Wiem, wiem – jęknęła, przemawiając do swojego towarzysza. – Też tak się czuję. Nie dość, że musiałam wyjechać w środku nocy i wysłano mnie w Podróż, to jeszcze, na Boginię, jesteśmy w Cytadeli Zgromadzenia Sióstr! – krzyknęła, a gyregon zagulgotał w odpowiedzi. – Wpadliśmy jak śliwka w kompot i nie ma już odwrotu. Ale nawet powstrzymanie mrocznego maga brzmi bardziej zachęcająco niż poślubienie Jareda!

Westchnąwszy, Kiara usiadła, czując zapach ciepłych bułeczek i gorącej herbaty. Pod srebrną pokrywką bulgotał gęsty gulasz. Z radością odkryła miskę pełną kawałków mięsa dla gyregona. Jae rozsiadł się naprzeciwko niej na stole i gulgotał z zadowoleniem, połykając te dary. A Kiara myślała na głos, przemawiając do swojego małego smoka między kolejnymi kęsami.

– Pamiętam legendę o Zachodniej Marchii. Leżała chyba niedaleko granicy Dhasson i

Wschodniej Marchii, w górnym biegu Nu. – Rozłożyła mapę na stole i zmarszczyła brwi. – Cam

i Carina udali się do klasztoru Zgromadzenia Sióstr w Valiquet, stolicy Dhasson. Mam więc miesiąc opóźnienia w stosunku do nich.

Przesunęła palcem po najbardziej uczęszczanych szlakach.

– Zachodnia Marchia leży prawie dwa miesiące jazdy stąd – powiedziała w zamyśleniu. – I to jazdy szybkim szlakiem przez górny Margolan i Pogranicze wzdłuż wybrzeża. I trzeba będzie się modlić o dobrą pogodę.

Skrzywiła się.

– Nie wiem, co jest bardziej niebezpieczne – ryzyko spotkania z bandytami na Pograniczu czy też liczenie na to, iż Jared nie zauważy, że przemykam się przez jego królestwo.

Zastanawiała się przez kilka chwil, po czym spojrzała na gyregona, który skończył posiłek i teraz bujał się w przód i w tył na tylnych łapach, gulgocząc z zadowolenia.

– Ten szlak jest oddalony przynajmniej o trzy tygodnie jazdy na północ od margolańskiego pałacu – snuła rozważania. – A Jared musiałby podejrzewać, że tam jestem, żeby mnie szukać.

Im bardziej zbliżymy się do Zachodniej Marchii, tym więcej czasu zajmie jego gwardzistom dogonienie nas, nawet jeśli o nas usłyszy.

Odłożyła mapę i wzięła filiżankę gorącej herbaty.

– Może Carina dowie się tego, czego potrzebuje, od Zgromadzenia Sióstr i ruszy w drogę powrotną do Isencroftu, zanim ja powrócę – zastanawiała się. – A może Zgromadzenie Sióstr też wyśle ją do Biblioteki. Nie pojmuję, jak czarodzieje rozumują! Dlaczego wszystko nie może być proste?!

Wstała, przeciągnęła się, przełożyła przedmioty leżące na łóżku i odchyliła grubą kołdrę.

– Przynajmniej wiemy, że tej nocy możemy się bezpiecznie wyspać – powiedziała do Jae i położyła się do łóżka, a gyregon ułożył się wygodnie na krześle obok niej, owijającym się ogonem z pełnym ukontentowania sykiem.

– Ciesz się tym – powiedziała sennie, zdmuchując świecę. – Myślę, że nie dane nam będzie spać spokojnie, dopóki nie wrócimy do domu.

Rozdział trzynasty

Jonmarc Vahanian wszedł ostrożnie do Gospody pod Dzikim. Różnobarwny tłum wypełniał główną salę. Przy kominku czterech kupców popijało nad parującymi półmiskami jedzenia. Przy ścianie skupiła się mała grupka kapłanów pogrążonych w cichej rozmowie nad butelką wina. Trzech gwardzistów lokalnego barona śmiało się hałaśliwie przy kominku nad dużym dzbanem piwa.

Przyglądając się tłumowi, stwierdził, że nie ma w nim nic niezwykłego. Rolnicy i kupcy pili razem, a bliżej kominka jakiś bard śpiewał przed niewielką publicznością. Nigdzie nie było widać Vakkisa. Vahanian zamówił posiłek i cartelasiańską brandy do popicia. Zmarszczył brwi. Już dawno nauczył się słuchać samego siebie, swojego instynktu, który wiele razy pozwalał mu ujść z życiem. A dziś w nocy był mocno zdenerwowany.

Nagle jego wzrok napotkał spojrzenie porażająco błękitnych oczu. Zamarł. Kiedy po raz pierwszy rozglądał się po sali, tego człowieka tutaj nie było. Mężczyzna był mniej więcej w wieku Vahaniana, miał arystokratyczne rysy i włosy barwy lnu. Był szczupły, a jego bladość świadczyła o tym, że nie pracował na słońcu. Przypatrywał się Vahanianowi z zaciekawieniem, aż dreszcz przebiegł mu po plecach.

– Oto pańska brandy – powiedział karczmarz, stawiając z głuchym stuknięciem zamówiony przez niego trunek, a zaraz potem talerz z parującym jedzeniem. – Należy się pięć skriwenów. – Vahanian wyjął monety i zapłacił karczmarzowi, a potem odwrócił się w poszukiwaniu stolika.

Mężczyzna o włosach w kolorze lnu znikł.

Vahanian znalazł wolne miejsce, gdzie mógł siedzieć plecami do ściany i przyglądać się

gościom w gospodzie, i usiadł, kiwnąwszy głową osobom siedzącym przy stole. Znowu spojrzął tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał blondyn, żeby się upewnić, że mężczyzny rzeczywiście tam nie ma. Obawy Vahaniana narastały w miarę, jak popijał swoją brandy. Powinien był dostrzec, jak ten człowiek wychodzi. Siedział twarzą do schodów prowadzących do pokojów na górze, więc jeśli mężczyzna po prostu udał się na nocny spoczynek, powinien był widzieć, jak tam idzie. Drzwi prowadzące do kuchni znajdowały się za szynkwasem, a duże okna gospody były zamknięte dla ochrony przed chłodnym nocnym powietrzem. Mężczyzna powinien więc wciąż być w gospodzie. Ale go nie było.

Odrywając myśli od jasnowłosego nieznajomego, Vahanian znowu zlustrował pomieszczenie. Specjalnie wybrał stolik blisko ludzi, żeby móc ich podglądać i podsłuchiwać. Trzech krzepkich gwardzistów w nieznanym mu barwach kończyło piwo przy stole koło kominka. Rudowłosego mężczyzna wyglądał znajomo, lecz Vahanian nie był w stanie go skojarzyć. Przez wiele lat stoczył zbyt wiele utarczek, ze zbyt wieloma gwardzistami, w zbyt wielu miejscach. Właściwie to połowa gwardzistów z Siedmiu Królestw powinna mi być znajoma, pomyślał pociągając brandy.

Kapłani przy pobliskim stoliku pochodzili z Nargi, lecz nie rozprawiali o żadnych tajemnych religijnych kwestiach. Zaprzętało ich zniknięcie młodej arystokratki, być może porwanej przez handlarzy niewolników, a ponure przypuszczenia, które snuli, zdawały się wyrazem szczerego zaniepokojenia historią młodej kobiety. Odrywając kawałek ciepłego chleba, Vahanian pomyślał, że jej los z pewnością jest przesądzony. Zetknął się raz z handlarzami niewolników i wystarczyło mu to na całe życie. Ludzie ci podróżowali po najmniej uczęszczanych szlakach wiodących przez sporne terytoria, gdzie było mało prawdopodobne, aby jakiś król albo wielmoża wysłał przeciwko nim wojska. To przez nich niektóre górskie przełęcze były przejezdne tylko dla dużych grup zbrojnych.

Pociągając łyk palącej gardło brandy, Vahanian pomyślał, że jeśli handlarze niewolników znowu tu grasują, to może należałoby ostrzec Lintona. Z przeciwległej strony sali doleciały go dźwięki rzewnej pieśni barda. Była to smutna ballada o młodej kobiecie, której miłość do nieumarłego zgubiła ich obydwoje. Ta stara pieśń miała tyle wersji, w ilu karczmach ją śpiewano, i kiedy śmiech gwardzistów zagłuszył ostatnią strofkę, Vahanian przekonał się, że jest w stanie odtworzyć ją z pamięci.

– Ale teraz niebezpiecznie jest podróżować – zagadnął go człowiek siedzący po jego prawej stronie. – Pojawiły się szajki bandytów, jakby zwykłych rozbójników było mało – biadolił. – Jakby wilki i pogoda nie były wystarczająco uciążliwe. Teraz podróż na północ można nawet przypłacić życiem. Jeśli nie dorwą cię te zaczarowane bestie, to dopadną handlarze niewolników.

– Może te zaczarowane bestie dopadną handlarzy niewolników i oszczędzą nam zachodu – odparł Vahanian.

Jego towarzysz chrząknął.

– Hmm. Dobrze by było, ale słyszałem, że tam można się tak wzbogacić, że jak tylko znikną jeden handlarz niewolników, to zaraz czterech następnych zajmuje jego miejsce.

Pochylił się i zaczął mówić konspiracyjnie.

– Chociaż słyszałem też, że na Przełęczy Joursay znaleziono szczątki, na widok których nawet handlarzom niewolników ścięła się krew w żyłach – dodał, owiewając Vahaniana przesiąkniętym rumem oddechem. – Szczątki bestii, które jakoby same się nawzajem porozrywały na strzępki, walcząc o to, co zostało z jakiejś opuszczonej przez Boginię grupy podróżników. Słyszałem też, że nikt nie widział takich bestii od czasów Wielkich Wojen.

Zaczarowane bestie, błogosławiona niech będzie Matka i Dziecię, prosto z baśni.

– To musi fatalnie wpływać na interesy – stwierdził Vahanian, słuchając jednym uchem i

ponownie omiatając wzrokiem salę. Była wyjątkowo zatłoczona jak na tak wczesny wieczór.

Może podróżni naprawdę obawiali się band handlarzy i magicznych potworów, i dlatego tak wcześnie szukali miejsca, by się schronić. Z drugiej jednak strony plotki mogły być rozsiewane przez karczmarzy, żeby ściągnąć gości. Sam zrobił coś podobnego wiele lat temu, kiedy pracował na rzece. Rozpuścił plotkę, że w jednym z dopływów pojawiły się zatrute węgorze, i postarał się, żeby wypłynęło tam kilka martwych ryb. Zanim panika minęła, Vahanianowi udało się przejąć większość interesów rywali, którzy pracowali na tym niefortunnym dopływie.

Oczywiście ujawnienie tego faktu doprowadziło do jego pospiesznego wyjazdu, ale tak to już było w tym interesie.

– Masz rację, to za duży problem, żeby jeden człowiek zdołał się z nim uporać – ciągnął dalej współbiednik Vahaniana, niezrażony jego mało entuzjastyczną reakcją. – Wygląda na to, że stary Vakkis ugryzł więcej, niż jest w stanie przełknąć.

Vahanian od razu skupił się na rozmowie.

– Czemu tak mówisz? – spytał od niechcienia, spoglądając w talerz, żeby zamaskować dręczącą go ciekawość. Poczł, jak serce zaczyna mu mocniej bić.

– Sprzedał się na służbę królowi Jaredowi z Margolanu, żeby oczyścić pogranicze z handlarzy niewolników i sprowadzić maga, który stworzył te potwory – odparł kupiec. – Mówi, że to ten sam czarodziej, który zabił króla Bricena, niech Bogini przyjmie jego duszę, i zapewne porwał tę arystokratyczną damę, żeby złożyć ją w ofierze w jakimś mrocznym rytuale. – Potrząsnął głową, wycierając chlebem resztkę sosu. – Ta to na pewno już jest martwa – stwierdził smętnie, wpychając chleb do ust. – A szkoda, bo król Księstwa zaoferował niezłą sumkę za jej powrót.

Zaciskając pięści pod stołem, Vahanian pomyślał, że to cały Vakkis. Łowca nagród wykorzystał plotki o kłopotach na północy do ukrycia prawdziwego celu swojej misji –

polowania na Trisa. Łącząc Trisa z mroczną magią i zniknięciem tej młodej arystokratki, Vakkis uniemożliwił Vahanianowi i pozostałym skorzystanie w trakcie podróży z pomocy arystokratycznych rodów. *Niech Mroczna Pani porwie jego duszę!*, zaklął w duchu. Teraz będą musieli być jeszcze bardziej ostrożni. Chcę dwa razy więcej, niż mi teraz płacą, niezależnie od tego, czy Arontala zostanie pokonany, czy nie, pomyślał, kończąc kolację. Nie po raz pierwszy zastanawiał się nad słusnością swojej decyzji, żeby doprowadzić uciekinierów do Dhasson. Przypomniawszy sobie słowa Harrtucka o tym, że tym razem Arontala objął swoimi wpływami króla, a nie zwykłego generała, tak jak pod Chauvrenne, i zamknął oczy. Minęło dziesięć lat, lecz nic nie zatarło wspomnienia tych okropieństw ani świadomości, jak bardzo mroczna magia może zdemoralizować dysponującego władzą człowieka i jakie zło może z tego wyniknąć. Nadal słyszał wrzaski wieśniaków, przypominał sobie ich strach. Zapach dymu drzewnego i pieczonego mięsa w gospodzie skojarzył mu się ze smrodem płonących chat i palących się ciał, aż zrobiło mu się niedobrze. Był pewien, iż tej nocy sny nie dadzą mu spokoju. Wspomnienia i szansa na wyrównanie rachunków z Arontalą były zbyt silne, żeby się od nich odwrócić, choć już dawno temu, pod Chauvrenne, dał sobie spokój z beznadziejnymi sprawami.

Nie będąc gotowym do opuszczenia światła i ciepła gospody, Vahanian pozostał jeszcze

przez świecę, słuchając podobnych opowieści i przyglądając się tej dziwnej zbieraninie podróżnych. Wreszcie wstał.

– Szczęśliwej podróży – powiedział do mężczyzn siedzących przy stole. Miał to, po co przyszedł. Teraz musiał wrócić do karawany, zaplanować strategię dotarcia na północ – i dowiedzieć się od swoich pracodawców jeszcze więcej o Arontali i jego wpływie na Jareda Drayke.

Tymczasem trzech gwardziści opróżnili swój dzbanek z piwem i ruszyli niezdarnie ku wyjściu. Przepychając się między stołami, wpadli na stojącego Vahaniana. Jednym z nich był ten

rudowłosy gwardzista, który wcześniej wydał mu się znajomy. Vahanian zmarszczył brwi.

Gwardziści byli nieodłącznym elementem jego fachu – trzeba było ich przekupywać albo unikać.

Na wszelki wypadek znowu usiadł na krześle, udając, że chce zamówić ostatnie piwo, i odczekał pół świecy przed wyjściem z gospody, żeby pozwolić gwardzistom się oddalić.

Przed gospodą było cicho, kiedy Vahanian wreszcie opuścił karczmę. Rozejrzał się wokół doświadczonego okiem. Na końcu uliczki jakiś żebrak opierał się na kij, przeglądając stertę łachmanów. Z drzwi po prawej stronie dochodziły odgłosy schadzki z uliczną. Rozstawione wzdłuż ulicy zaciemnione kramy przekupniów handlujących płodami rolnymi czekały na poranny targ. Każdy pusty kram obwieszony był sznurami gipsowych owoców, a za nimi stały w oczekiwaniu na poranny załadunek sterty palet na kółkach. Ostrożnie zszedł po schodach. Jego koń był przywiązany tuż u wylotu uliczki. Ręka Vahaniana powędrowała do rękojeści noża za pasem. Instynkt podpowiadał mu, że coś jest nie tak. Im szybciej dotrze do konia i ruszy w kierunku karawany, tym lepiej.

Mijane ciemne wnęki były puste. Na ulicy też nikogo nie było, jedynie żebrak przestępował z nogi na nogę i śpiewał cicho pod nosem. Vahanian skarcił w duchu samego siebie. *Tracisz wyczucie. Tak się dzieje, gdy zamiast wykonywać prawdziwą robotę, najmujesz się na przewodnika.*

Jedynym ostrzeżeniem, jakie otrzymał, był świst kija żebraka, który wyrznął go z całych sił między łopatkami, aż osunął się na kolana, a potem usłyszał jego śmiech, Vahanian podniósł się z nożem w dłoni, a tymczasem u wylotu uliczki pojawiło się dwóch gwardzistów z gospody, blokując mu drogę ucieczki. Obrócił się i zobaczył, jak „żebrak” ściąga brudne łachmany. Jego oczom ukazał się rudowłosy gwardzista, łypiący na niego pijackim wzrokiem i potrząsający trzymaną w dłoniach ciężką laską.

– Posłuchajcie, nie szukam z wami zwady – wydyszał Vahanian, z trudem łapiąc oddech. –

Pozwólcie mi przejść i uznamy, że nic się nie stało.

Rudowłosy gwardzista potrząsnął głową.

– Powiedziałem wam, że on nie będzie nawet pamiętał! – krzyknął do swoich przyjaciół.

Jego oczy się zwęziły. – Ale ja pamiętam.

Dwóch gwardzistów zbliżało się powoli, zmuszając Vahaniana do cofania się w głąb uliczki. Najemnik zerknął na swojego wierzchowca. Jeśli tylko uda mu się wymknąć, szybko go dopadnie. Koń był lekko przywiązany, co było bardzo ważną rzeczą w jego fachu, który często zmuszał do szybkiej ucieczki.

– Nie wiem, o co ci chodzi, ale nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz. – Vahanian grał na zwłokę, pozwalając dwóm gwardzistom nieco bardziej się zbliżyć. Potem przykucnął i okręcił się, a jego lewa noga wystrzeliła wysoko w górę, wykonując niemal doskonały kopniak w stylu Wschodniej Marchii. Nagle jęknął z bólu, który przeszył mu drugą nogę, i złapał za nóż wbity aż po rękojęć w jego udo.

– Tym razem bez tych twoich sztuczek, Vahanian – wycedził rudowłosy mężczyzna, gdy Jonmarc próbował się podnieść. – Odzyskam pieniądze, których mnie pozbawiłeś, albo odbiję to sobie na twojej skórze.

Vahanianowi udało się wreszcie wstać, choć prawa noga służyła mu jedynie do utrzymania równowagi.

– Posłuchaj, nie wiem, o czym mówisz – wysapał. Przez te wszystkie lata było zbyt wielu „niezadowolonych klientów”, zbyt wiele miejsc i zbyt wiele transakcji.

– Pozwól, że odświeżę ci pamięć. Gra w karty w Jalwarze pięć lat temu.

– Rubiny – odparł Vahanian przez ściśnięte gardło. – Zapłaciłem ci rubinami.

Gwardzista ponownie zamachnął się kijem i wyrznął go w zebra.

– Szkło – syknął, a Vahanian zatoczył się do tyłu, z trudem łapiąc powietrze. – Dałeś mi

nie niewarte szkło. A kiedy chciałem tymi „rubinami” spłacić swoje długi, przekłętą poborca podatkowy aresztował mnie za próbę oszustwa. – Twarz gwardzisty przybrała kamienny wyraz. – Odpracowałem ten dług na jego polach, na jego parszywych polach, i to przez ciebie. – Posłuchaj, dostaniesz co tylko chcesz, jestem pewien, że się dogadamy. – Vahanian znowu działał na zwłokę. Ucieczka nie wchodziła w grę, nawet gdyby udało mu się przedrzeć przez dwóch przyjaciół gwardzisty. Wątpił, żeby mógł wrócić do gospody. A wołanie o pomoc nie pomogłoby, goście w karczmie nie zwracali bowiem uwagi na nocne burdy – za dobrze były im znane.

Gwardziści próbowali zmusić go do wycofania się w głąb jednego ze straganów, gdzie mogliby bez przeszkód dokonać zemsty. Cofając się w kierunku straganu sprzedawcy melonów, Vahanian zauważył wiszący w górze sznur gipsowych owoców. Zwolnił nieco, żeby napastnicy bardziej się zbliżyli.

Wykorzystując całą siłę swojej zdrowej nogi, wyskoczył w górę i przeciął nożem sznur.

Podczas gdy ciężkie gipsowe owoce spadały, on rzucił się z impetem na ladę i przewrócił ją, po czym zwałił się na ustawione za ladą palety na kółkach.

Przyciskając paletę do bolących żeber, Vahanian dał nura; uderzył o wyboistą ulicę z rozmachem, który poczuł aż w kościach, tak że o mało co nie zemdłał. Wózek pomknął ku wolności, podczas gdy napastnicy walczyli z gradem gipsowych owoców. Jeszcze kawałek, wyszeptał Vahanian. Jeszcze kawałek.

Usłyszał z tyłu okrzyk i jeden z gwardzistów rzucił się za nim w pościg. Udało mu się chwycić Vahaniana za nogi i ściągnąć z palety. Drugi gwardzista szybko pokonał dzielącą ich odległość i brutalnie postawił go na nogi, wykręcając mu ręce do tyłu. Rudowłosy napastnik stanął przed nim, mierząc go lodowatym wzrokiem i bawiąc się trzymaną w dłoniach laską.

– Tym razem nie pójdzie ci tak łatwo, złodzieju – Warknął, a drugi mężczyzna wykręcił

mu mocniej rękę, tak że aż jęknął, gdy dały o sobie znać złamane żebra. – Dziś w nocy umrzesz.

– Posłuchaj, mam pieniądze, możemy to załatwić – próbował pertraktować, podczas gdy gwardziści zaczęli go popychać w stronę ukrytych w mroku straganów. Serce mu waliło.

Sytuacja ze złą szybko stała się beznadziejna. – Mnie samego oszukano z tymi rubinami. Nie zrobiłem tego umyślnie.

Wydostawanie się z tarapatów było jego specjalnością, lecz tym razem nie było żadnej szansy na ucieczkę. Groźby gwardzisty mogły się spełnić.

– Za późno, złodzieju – odparł beznamiętnie gwardzista. – Mieliśmy kiepski tydzień, a ty pomożesz nam rozładować frustrację.

Nagle Vahanian poczuł podmuch zimnego powietrza dolatujący z mroku i dostrzegł jakiś ruch, a potem coś pochwyciło gwardzistę z prawej strony i cisnęło o ścianę, jakby był dziecięcą lalką. Pozostali dwaj mężczyźni obrócili się z mieczami w dłoniach, by stawić czoła ciemności.

– Co to za sztuczka, Vahanian?! – krzyknął rudowłosy mężczyzna, przyjmując bojową postawę i wpatrując się w mrok.

Podmuch wiatru i wrażenie czyjejś obecności znowu wypełniło noc, a zaraz potem gwardzista po lewej od Vahaniana wydał z siebie zduszony jęk przerażenia. Zapadła cisza, rozległy się kroki i jakaś mroczna postać wyłoniła się z ciemności, trzymając z przerażającą lekkością martwego gwardzistę za zmiażdżone gardło.

– Coś ty za demon?! – krzyknął w mrok rudowłosy gwardzista głosem łamiącym się ze strachu. Postać zbliżała się ku nim, aż blask księżyca oświetlił jej twarz.

Był to mężczyzna o włosach barwy lnu.

Vahanian poczuł, jak radość z tego, że został uratowany, zmienia się w lodowaty ucisk w żołądku, żaden człowiek nie mógł unieść mężczyzny jedną ręką. Ostatni pozostały przy życiu gwardzista miał oszalałe ze strachu spojrzenie, miecz trząsał mu się w dłoni, a jego blada skóra

zrobiła się w blasku księżyca upiornie biała.

– Trzymaj się z daleka, czymkolwiek jesteś – rzekł drżącym głosem, wymachując groźnie mieczem. – Ten miecz został pobłogosławiony przez kapłankę. Działa przeciwko magii, więc nie zbliżaj się, ostrzegam cię.

Blondyn odrzucił na bok ciało drugiego gwardzisty i z zimnym uśmiechem w kącikach wąskich ust zaczął zbliżać się do rudowłosego, Vahanian, mając zagrozoną drogę ucieczki i wiedząc, że jest łatwym celem w swoim obecnym stanie, wcisnął się głębiej w mrok, mając nadzieję, że blondyna zadowolą trzy zabójstwa.

Gwardzista zamachnął się rozpaczliwie mieczem, próbując odstraszyć jasnowłosego mężczyznę. Mimo to nieznajomy wciąż się zbliżał, aż szybkim jak błyskawica ruchem wyrwał klingę z jego ręki. Przerażony mężczyzna osunął się na kolana, łkając. Blondyn stanął przed nim z beznamiętną miną, wyciągnął chudą, niesamowicie silną rękę i chwycił gwardzistę za kołnierz, a potem podniósł go na nogi i wziął w ramiona. Nieszczęśnik zamilkł, a Vahanian patrzył z przerażeniem, jak jasnowłosy mężczyzna ściąga wargi, odsłaniając ostre, nienaturalne zęby. Po kilku chwilach wysysanie dobiegło końca i vayash moru odrzucił martwego gwardzistę jak pustą skorupę. Wreszcie jasnowłosy mężczyzna odwrócił się w stronę ukrywającego się w mroku Vahaniana.

– Jesteś już bezpieczny – powiedział; w jego głosie pobrzmiwał ślad akcentu, którego Vahanian nie potrafił zidentyfikować.

– Tak? – Najemnik wyszedł z mroku w blask księżyca, wiedząc, że nie ma szans w walce z tym przeciwnikiem.

Zimny uśmiezek wypełził na usta nieznajomego.

– Nazywam się Gabriel – powiedział z typową dla nieśmiertelnych pewnością siebie. – Mam dla ciebie wiadomość od Zgromadzenia Sióstr. – Oblizał wargi. – Myślałem, że

porozmawiamy w gospodzie, ale ten ścisk... ciało... stał się nieprzyjemny. Kiedy postanowiłem zaczekać na ciebie na zewnątrz, usłyszałem przypadkiem o planach tych gwardzistów. Musiałem się... wtrącić.

– Masz dla mnie wiadomość?

– Martris Drayke nie może przekroczyć granicy Dhasson. Czeka tam na niego mroczna magia. To, czego szukacie na północy, znajdzie was w podróży. On nie może przekroczyć granicy.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Vahanian przybrał pokerową minę, co było nie lada wyczynem, gdyż serce waliło mu tak mocno, że ledwie mógł oddychać.

Gabriel uśmiechnął się zimnym uśmiechem, dzięki czemu jego zęby stały się bardziej widoczne, niż Vahanian by sobie życzył.

– Moja Pani powiedziała mi, że możesz być trudnym rozmówcą.

– A kimże ona jest? – Vahanian pozwolił sobie na odrobinę brawury.

– Jestem sługą Mrocznej Pani. – Odpowiedział Gabriel, bez śladu sarkazmu. – Tak jak i ty.

– Jediną boginią, której służę, jest Bogini Szczęśliwego Trafu.

W chłodnym spojrzeniu Gabriela widać było rozbawienie.

– Może. A może znasz Ją po prostu pod innym imieniem.

Zamilkł na chwilę z nie dającym się odczytać wyrazem twarzy i zlizął ostatnie kropelki krwi ze swoich warg.

– A teraz ruszaj, i jedź często uczęszczanym traktem. Nie jestem jedynym, który wyczuwa krew w ciemnościach.

– Tak, pewnie – rzekł roztrzęsiony Vahanian. – Jak sobie życzysz.

Odwrócił wzrok, żeby się upewnić, czy jego koń nadal czeka przywiązany, a kiedy znowu spojrzął tam, gdzie stał Gabriel, jasnowłosego mężczyzny już nie było. Vahanian wzdrygnął się.

Kuśtykając w stronę konia, pomyślał, że dziś w nocy o mało nie stracił życia. Najwyraźniej nie docenił stawki, o jaką toczy się gra.

Rozdział czternasty

– Carino – szepnął Tris. Wiedział, że głos mu drży nie tylko z zimna, kiedy tak stał pod namiotem uzdrowicielki.

– Carino!

Zaspana dziewczyna odsunęła klapę namiotu. Owinęła się ciasniej kocem, chroniąc się przed chłodem, i przetarła oczy.

– Tris, co się stało? Jest środek nocy.

– Potrzebuję twojej pomocy. Proszę, nie mogę czekać do rana.

Carina odsunęła się na bok i gestem zaprosiła Trisa do środka. Zapaliła dwie świece i pokazała mu, żeby usiadł.

– Wyglądasz okropnie.

– Nie spałem od wielu dni – wyznał. – Za każdym razem, kiedy zasypiam, wracają sny, a ja nie mogę ich odpędzić.

– Jakie sny? – Carina była już całkowicie obudzona i przytomna.

Tris odwrócił wzrok.

– Moja rodzina została zamordowana – powiedział cicho, przełykając z trudem ślinę. –

Ja... próbowałem przywołać ich duchy, ale nie mogę do nich dotrzeć. Czuję je, ale tak, jakby

były za jakąś ścianą, chcą przyjść, ale nie mogą. Coś je powstrzymuje, więzi. Wciąż śnię o Kait

– dodał szeptem. – O mojej siostrze. Jest przestraszona, woła mnie, a ja nie mogę do niej iść ani jej przywołać. Widzę tylko jej twarz przyciśniętą do jakiejś bariery, gdy mnie przyzywa. –

Wzdrygnął się i zamknął oczy.

Carina położyła mu dłoń na ramieniu.

– Czy to, czego cię nauczyłam, nie pomaga? – spytała łagodnie. W ciągu ostatniego tygodnia udało im się wykraść kilka godzin, żeby mogła pomóc Trisowi, nauczyć go, jak nie dać się przytłoczyć duchom, które wyczuwał wokół siebie.

Księżę potrząsnął głową.

– Nie na sny. Trzyma inne duchy z dala, ale nie pomaga na sny. Próbowałem. Próbowałem wszystkiego. Zeszłej nocy nawet siedziałem do późna, pijąc z Soteriusem i Vahanianem, aż zrobiło mi się niedobrze, ale i to nie pomogło – powiedział żałośnie. – Wciąż widziałem jej twarz. – Podniósł wzrok i spojrzał Carinie w oczy, czując, że uzdrowicielka może zajrzeć do jego wnętrza. – Zawiodłem ją już raz, Carino, kiedy nie ocaliłem jej życia. Nie mogę znowu jej zawieść. Przysiągłem, że po nią przyjdę, gdziekolwiek teraz jest, ale nie mogę się do niej dostać. Carina słuchała, przygryzając kosmyk włosów, całkowicie już rozbudzona.

– Spróbujmy jeszcze raz tego, czego cię nauczyłam – powiedziała, podnosząc rękę, żeby uciszyć jego protest. – Muszę zobaczyć, co się stanie – wyjaśniła. Jej spojrzenie złagodniało i położyła mu rękę na ramieniu. – Musi być jakiś sposób na przerwanie tych snów, Trisie – dodała z przekonaniem. – Pomogę ci go znaleźć.

Tris wbił w nią wzrok.

– Nie chcę jej zawieść, Carino – powtórzył. – Boję się, że jeśli przerwiemy te sny, to stracę jedyne łączące nas ogniwo. Czy możemy... – przerwał, szukając właściwych słów – osłabić moc snów, tak jak to zrobiliśmy z wyczuwaniem duchów, zamiast pozbyć się ich całkowicie?

Carina przyglądała mu się przez chwilę.

– Jestem uzdrowicielką, a nie magiem. Potrzebna nam Alyzza – stwierdziła. – Zaczekaj tu.

Po kilku chwilach wróciła, ciągnąc za sobą staruszkę jasnowidzkę. Alyzza wyglądała równie niechlujnie w środku nocy jak za dnia.

– Złe sny, chłopcze? – zaskrzeczała, siadając obok niego ze skrzyżowanymi nogami z

zaskakującą zwinnością.

Tris skinął głową. Alyzza pociągnęła Carinę za rękę, żeby uzdrowicielka usiadła koło nich.

– Ufasz starej, szalonej kobiecie, że ci pomoże, co? – zaśmiała się. – Musisz mieć bardzo złe sny. – Rozsiadła się wygodnie. – Przekonajmy się, co możemy zrobić.

Carina i Alyzza cierpliwie przeprowadziły Trisa przez rytuał ustawiania podstawowych magicznych zabezpieczeń. Patrzyły, jak wznosi bariery w swoim umyśle – tarcze, jak nazwała je Alyzza – które blokowały niechciane myśli i nie pozwalały im wtargnąć do jego wnętrza. Potem Alyzza poddała Trisa próbie, starając się przez nie przedrzeć. Raz po raz odpierał jej ataki, a Carina sięgała ku niemu świadomością uzdrowicielki, badając przepływ energii w jego ciele. Świt był już blisko, kiedy Tris przerwał, sfrustrowany.

– Myślę, że to do niczego nie prowadzi. Robię wszystko, czego mnie nauczyłyście, ale to nie wystarcza.

– Może spróbuj przespać się tutaj, a my będziemy mogły nad tobą czuwać – zaproponowała Carina. – Może twoje tarcze utrzymują się tylko wtedy, kiedy jesteś przytomny, a nie jesteś w stanie ich utrzymać, kiedy śpisz.

Tris potrząsnął głową.

– Już prawie ranek. Nie da się spać, kiedy obóz się obudzi. Może to była tylko moja wyobraźnia.

– Nie – wychrypiała Alyzza. – To nie był przypadek ani wyobraźnia. Masz w sobie moc, wielką moc.

– Jeśli mam w sobie taką wielką moc – warknął rozdrażniony Tris – to gdzie ona jest, kiedy jej potrzebuję?

– W zasięgu ręki – odparła stara czarownica, zaskoczona jego tonem. – Ale jest dzika i do tej pory to ona panowała nad tobą. Musisz się nauczyć rządzić nią.

Tris usiadł prosto na dywaniku i przeciągnął ręką po włosach.

– Nie rozumiem – powiedział ze znużeniem. – Jeśli pojawia się, kiedy jej potrzebuję, kiedy jestem w niebezpieczeństwie, czy to nie wystarczy?

Alyzza potrząsnęła głową.

– Im więcej korzystasz ze swojej mocy, tym więcej mocy przez ciebie przepływa. Mocy nie można powstrzymać. Każdy mag toczy nieustanną walkę, aby zapanować nad swoją mocą.

– A mroczni magowie? – spytał Tris, wpatrując się w krąg świec ustawionych na podłodze namiotu.

– Mroczni magowie żyją złudzeniem. Zżera ich własna moc, choć wierzą, że nad nią panują. Ale są tylko sługami Mroku.

– Jestem gotowy, żeby znowu spróbować – westchnął.

– Skup myśli – poradziła mu Carina. – Każ ogniewi i świecom zapłonąć, niech to popłynie z ciebie samego.

Tris zamknął oczy i wyciągnął rękę.

W swoim umyśle zobaczył krąg świec i wyczuł w sobie strumień mocy. Potem pojawiła się twarz Kait ze snu, usłyszał, jak go woła, wyczuł jej ból. Poczł, jak moc wzbiera, i ogień, który wystrzelił z jego wyciągniętej ręki, zapalił nie tylko jedną ze świec, ale z trzaskiem przeskakiwał po całym kręgu, aż wszystkie świece zapłonęły, spalając się niemal do cna. Carina krzyknęła głośno i odskoczyła, lecz starszka rzuciła się do przodu, złapała Trisa za rękę i zmusiła, by ją opuścił.

– Co się stało? – spytał, wpatrując się rozwartymi szeroko oczami w płonące świece. – Tak bardzo się starałem i nic z tego nie wychodziło – powiedział cicho – a potem pomyślałem o Kait i poczułem, jak przepływa przeze mnie coś potężnego.

– Mroczna magia – wyjaśniła starszka. – Potężna i bardziej uzależniająca niż ziele snów.

Twój gniew ją wezwał.

– Jeśli dałoby się ją okiełznać, kontrolować...

– Nie można jej kontrolować – przerwała mu Alyzza. – Za każdym razem, kiedy czerpiesz z mrocznej magii, twoja dusza jest zagrożona. Nawet najwięksi magowie czuli jej uwodzicielską siłę. Nie było maga potężniejszego niż Obsydianowy Król – staruszka zniżyła głos do szeptu – a nawet on nie był w stanie zapanować nad mrokiem. Pochłonął go i uczynił swoim niewolnikiem.

– Chcesz powiedzieć, że Obsydianowy Król był niegdyś magiem Światła? – Tris wpatrywał się w swoje ręce, jakby trzymał w nich zakrwawiony miecz.

– Tak, dawno temu. Niektórzy powiadają, że opętał go duch złego maga, potężniejszego niż on sam. Tak uważała największa czarodziejka, Bava K’aa. Według innych Obsydianowy Król sądził, iż mroczną moc można zaprząć w służbę dobra, nagiąć do jego woli. Jeśli tak było, to się mylił. To ona po latach go złamała, przytępiła jego umysł tak, że nie widział zachodzących w nim zmian. Nawet Bava K’aa nie zdołała przekonać go, żeby się jej wyrzekł – opowiadała dalej, jakby nie zauważyła, że Tris drgnął na wzmiankę o swojej babce. – I tak dobry człowiek stał się największym złem tego świata.

Tris zadrżał, wciąż wpatrując się w swoje ręce.

– Myślałem o mojej rodzinie – powiedział cicho. – O tym, jak zginęli, o tym, który ich zabił... i o wymierzeniu mu sprawiedliwości.

– To nie o wymierzeniu sprawiedliwości myślałeś – prychnęła Alyzza. – Myślałeś o zemście. Pragniesz być sprawcą jego śmierci.

– Tak – wyszeptał Tris, zamykając oczy i pochylając głowę. – Masz rację. Niech Bogini ma mnie w swojej opiece. Tego właśnie chcę.

– Musisz podjąć decyzję. Zemsta nic dobrego nie przyniesie. Jeśli to jej pragniesz, mroczna magia cię pochłonie i uczynisz takie zło, że w porównaniu z nim ich śmierć będzie

błahostką – stwierdziła staruszka. – Ale istnieje inna droga.

– Powiedz mi.

– Daj sobie spokój ze swoją rodziną. Nawet ty nie możesz wrócić im życia. – Alyzza

objęła go ramionami i przytuliła. – W Siedmiu Królestwach panoszy się większe zło niż to zło, jakim była ich śmierć. Walcz z nim. Jeśli pozwolisz, aby ten mrok cię wypełnił, wówczas on cię pochłonie.

Tris ukrył twarz w dłoniach.

– O Jasna Bogini – wykrztusił zduszonym głosem. – Pomóż mi – błagał. – Tak bardzo chcę go ukarać... Na Dziewicę i Dziwkę, gdybyście mogły widzieć, jak oni zginęli. – Otarł oczy rękawem. – A teraz duch Kait...

– Alyzzo, czy to konieczne? – zaczęła Carina, lecz staruszka gestem kazała jej zamilknąć.

– Nadchodzi czas decyzji – wychrypiała czarownica, a jej usta niemal dotykały ucha Trisa.

– Stałeś na rozstaju dróg. Wybieraj.

– Słodka Matko i Dziecię, pomóżcie mi – wykrztusił Tris. – Nie mogę... nie chcę... taki być.

– Bardzo dobrze. Mówisz prawdę. – Alyzza wypuściła go z objęć i wtedy Tris i Carina dostrzegli błysk noża w jej dłoni.

– Co takiego? Przyłożyłaś mu to do gardła – wyszeptała uzdrowicielka.

Alyzza pokiwała z powagą głową i schowała nóż w obszernych fałdach swojej szaty.

– Tak. I nawet najbardziej potężny mag nie zdołałby powstrzymać mnie od poderżnięcia mu gardła.

– Dlaczego?

– Bo nie mogłabym pozwolić mu żyć, gdyby wybrał mrok. A teraz wracajmy do lekcji – powiedziała staruszka, wygładzając szatę.

Rozdział piętnasty

– Kto idzie?! – zawołał w ciemność Soterius, gdy tętent kopyt przybliżył się do granicy obozu.

– Na Dziwkę – zaklął Vahanian, zatrzymując konia tak, żeby był widoczny. – Pozwólcie mi tylko położyć się do łóżka.

Zsiadł z konia, omal się nie przewracając.

– Zostawcie mnie – burknął, kiedy Cam i Soterius rzucili się ku niemu z pomocą.

Vahanian wiedział, że nie da się ukryć jego ran. Zaszła krew pokrywała prawą nogę i sączyła się spod prowizorycznie założonego bandaża. Twarz miał posiniaczoną, pękniętą wargę i śliwę na jednym oku. Z tego, jak bardzo trudno mu było oddychać, wnioskował, że kij gwardzisty złamał mu kilka żeber.

– Sprowadzę Carinę. Zaprowadź go do namiotu – rzucił Cam, i Soterius wziął Vahaniana pod ramię.

– Nie, nie rób tego – zaprotestował najemnik i zaklął cicho, widząc, że Cam już znikł.

– Nie chcesz zostać uleczony, Jonmarc? – zaśmiał się cicho Soterius.

– Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby leczeniu nie towarzyszył żaden komentarz – wymruczał ponuro Vahanian.

– Wiesz, Carina nie zachowuje się tak w stosunku do innych. Dla mnie jest bardzo miła. I jest w dobrej komitywie z Trisem. Bardzo dobrej.

– Tak? To czemu ja mam tyle szczęścia?

– Nie wiem. Może ona cię lubi.

– Widzę, że masz świetne poczucie humoru – rzucił Vahanian, starając się nie kuśtykać, ale zaraz dał sobie z tym spokój. – To jest równie prawdopodobne jak wizyta samej Bogini.

– Dziwniejsze rzeczy się zdarzały – zaśmiał się Ban Soterius. – Oczywiście to możliwe, że

po prostu strasznie ją irytujesz.

– To bardziej prawdopodobne. O wiele bardziej prawdopodobne.

Dotarli do namiotu Vahaniana i ten ostrożnie położył się na pościeli.

Soterius znalazł lampę i wkrótce było dość światła, żeby najemnik mógł przyjrzeć się swoim obrażeniom.

– Spotkałeś się ze starym przyjacielem? – spytał Ban. Vahanian poruszył się i skrzywił z bólu.

– Dawnym partnerem w interesach, jeśli chcesz wiedzieć – powiedział, prostując obiema rękami zranioną nogę, po czym ściągnął bandaż, odsłaniając głębokie cięcie nożem.

Soterius wlał wodę do dzbanka i sięgnął po czystą szmatkę. Wyżał ją i podał Vahanianowi, a ten zaczął ostrożnie przecierać ranę, żeby usunąć zaschlą krew.

– Istnieją łatwiejsze sposoby wyrównywania rachunków – stwierdził Soterius, opierając się o słup namiotu. – Można na początek zmienić nazwisko.

– Bardzo zabawne – rzucił oschle Jonmarc, zajęty oczyszczaniem rany. Tymczasem jego towarzysz sięgnął pod pryczę, pogrzebał pod nią chwilę i wyciągnął butelkę brandy i kubek, po czym nalał mu spory łyk.

– Skąd wiedziałeś, że tam jest?

Soterius wzruszył ramionami.

– Stwierdziłem, że nie możesz bez niej podróżować, a skoro jej nie widziałem, to gdzie indziej mogła być?

Vahanian zaśmiał się cicho.

– Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś bystrzejszy, niż na to wyglądasz? – zażartował.

– To zabawne, ale to samo mówiono o tobie.

Rozległy się kroki i usłyszeli głos Cariny.

– I po to nam przeszkadzałeś, Cam? – spytała, zatrzymując się przed namiotem. – Co to było? Bijatyka w gospodzie? Sprzedał gwardziście oszukaną brandy? A może znajoma kobieta wbiła mu nóż w plecy?

– Posłuchaj, on jest poważnie ranny – powiedział Cam i Vahanian, nawet ich nie widząc, mógł sobie wyobrazić, jak olbrzym ucieka się do swojego najbardziej chłopięcego uśmiešku, żeby przekonać Carinę, i jaka jest jej reakcja.

– Założę się, że Jonmarc przysłał ciebie, bo wiedział, co powiem, jeśli sam by przyszedł – stwierdziła ponuro Carina. – Prawda?

– Daj spokój, Carino. Wiem, że wy dwoje nie zawsze się zgadzacie, ale przecież uzdrowiłabyś konia, nawet gdyby cię ugryzł, prawda?

– To już przesada – wymruczał Vahanian. – Wylizywałem się z gorszych rzeczy bez niczyjej pomocy – dodał z naburmuszoną miną. Wylał kilka kropli brandy na ranę, a potem zeszywniał, zaciskając zęby z miną, która wywołała cichy chichot Soteriusa.

– Daj spokój, Jonmarc – powiedział. – Nic ci teraz nie pomoże.

Usłyszeli nadbiegające kroki i trzecia osoba dołączyła do Cama i Cariny.

– Co się stało? – wysapał Maynard Linton. – Wartownik zameldował, że przybył Jonmarc i wygląda tak, jakby ktoś go ciągnął za wozem. Och, dobrze, że już tu jesteś, Carino. Chodźcie. – I Maynard wpadł do namiotu, trzymając Carinę za rękę, a za nimi wszedł Cam z niepewnym uśmiechem na twarzy.

– Na Boginię Światła, Jonmarc! – wykrzyknął Maynard, potrząsając głową, kiedy zobaczył, w jakim stanie jest Vahanian. – Co zmagistrowałeś tym razem?

– Odbyłem tylko małą przyjacielską pogawędkę – rzekł ze śmiertelną powagą Vahanian.

Nawet dezaprobata widoczna na twarzy Cariny zniknęła, gdy zobaczyła rozmiar jego obrażeń.

– Połóż się – powiedziała oschle. Najemnik skrzywił się i wykonał jej polecenie.

Uzdrowicielka zmarszczyła brwi, oglądając jego ranę na nodze, kiedy Cam przybliżył lampę, a potem olbrzym podał jej torbę z lekarstwami i okładami. Pogrzebawszy w niej chwilę, dziewczyna wyjęła garść ziół i fiołkę niebieskiego płynu.

– Co się naprawdę stało, Jonmarc? – spytał Linton, gdy Carina zaczęła zajmować się nogą Vahaniana.

– Jak już powiedziałem, natknąłem się na kogoś, kogo kiedyś znałem. Auć! – Vahanian zeszywniał, gdy Carina wylała mu na ranę kilka kropel niebieskiego płynu. – Co to jest, ogień?

– Nic takiego, co powinno martwić najemnika o twojej reputacji – odparła chłodno, a Linton omal nie parsknął śmiechem.

– W każdym razie – ciągnął Vahanian – on był... niezadowolony z pewnego interesu, który kiedyś zrobiliśmy, i gdy natknął się na mnie w gospodzie, postanowił razem ze swoimi przyjaciółmi wyrównać rachunki.

– Czy dowiedziałeś się czegoś poza tym, że należy unikać dawnych klientów? – spytał Linton.

Vahanian skinął głową i chciał odpowiedzieć, ale właśnie wtedy Carina przyłożyła dłonie do jego rany i Cam dał im znak, żeby zamilkli. Potężny mężczyzna przysunął się bliżej, żeby położyć rękę na ramieniu Cariny, a ona skinęła lekko głową, dziękując mu za jego obecność.

Potem uzdrowicielka zamknęła oczy, rysy jej twarzy rozluźniły się i zapadła w trans. Wokół jej rąk zaczęło powoli płonąć słabe błękitne światło, Vahanian zeszywniał na chwilę, lecz potem się odprężył, a Carina odsunęła dłonie i ich oczom ukazała się rana, która wyglądała tak, jakby goiła się już kilka tygodni.

– Jak... – zaczął Vahanian, tym razem zupełnie poważnie, ale Cam dał mu znak, żeby zamilkł. Carina rozchyliła teraz pozostałości podartej koszuli i dotknęła jego złamanych żeber, a wtedy znowu zapłonął ten sam słaby niebieski blask. Soterius podszedł bliżej i patrzył jak

urzeczony, jak najemnik się rozluźnia, gdy lecznicza moc przenika jego połamane kości. Nawet Linton zagwizdał cicho z podziwu.

Carina była już zmęczona, lecz Cam delikatnie poprowadził jej dłonie do ostatniego obrażenia – mocno spuchniętego nosa. Vahanian chciał się przypatrywać, ale potem dał sobie spokój i zamknął oczy, kiedy znów zapłonęła łagodna niebieska poświata, zmniejszając obrzęk i zapoczątkowując zrastanie się połamanych kości. W końcu całkowicie wyczerpana uzdrowicielka oparła się o Cama.

– Obawiam się, że będziesz musiał zająć się tą wargą w tradycyjny sposób, za pomocą zimnej szmatki – wyszeptła. – Ale reszta powinna się zagoić.

– Dziękuję – powiedział Vahanian, tym razem bez sarkazmu w głosie.

– To nic takiego – odparła, spuszczać wzrok. – Jeśli chcesz, mogę ci teraz pomóc zasnąć.

– Jeszcze nie mogę zasnąć. Muszę coś powiedzieć Maynardowi.

– Cokolwiek to jest, może poczekać do rana, Jonmarc – zbeształ go łagodnie przywódca karawany.

Vahanian potrząsnął zdecydowanie głową.

– Nie. Na szlaku na północ czyha niebezpieczeństwo: handlarze niewolników. Krążą też opowieści o „magicznych potworach” i wygląda na to, że coś w tym jest.

– Na pewno nie będę czekał, do cholery! – rozległ się na zewnątrz gniewny głos i chwilę potem Kaine wepchnął się do środka, ciągnąc za sobą ciężki worek.

– Linton, muszę z tobą porozmawiać – warknął.

Linton odwrócił się ku niemu ze znużeniem.

– Nie teraz, Kaine. Cokolwiek to jest, może poczekać do rana.

– Nie, musimy porozmawiać teraz.

– Możecie porozmawiać gdzie indziej – rzuciła ostro Carina.

Kaine spojrział na Vahaniana i parsknął gardłowym śmiechem.

– Cudownego pomocnika sobie nająłeś, Linton. To niesamowite, że po pijaku trafił z powrotem.

Uśmiechnął się z wyższością na widok dezaprobaty w spojrzeniu Cariny.

– Linton i ja mamy sprawy do omówienia. Możesz odejść.

Cam wydał z siebie groźny pomruk i zrobił krok do przodu, Soterius sięgnął po miecz, a ręka Vahaniana powędrowała do noża u pasa.

– Radziłbym ci przeprosić damę – powiedział.

– Dość już tego! – warknął Linton. – Jonmarc, odłóż nóż. Cam i Soterius, dosyć już tego.

A jeśli chodzi o ciebie, Kaine, cokolwiek to jest, możemy o tym pomówić rano.

– Rano poprowadzę połowę karawany Przełęczą Karstan – odparował Kaine i uśmiechnął się z wyższością, widząc reakcję Lintona. – Słyszałeś, co powiedziałem. Te opowieści o straszydłach w lesie to nie są tylko bajki dla dzieci. Tam naprawdę krążą nadnaturalne bestie.

– Te bestie to bajdy w sam raz dla bardów.

– A to jest dla ciebie wystarczająco rzeczywiste? – Kaine sięgnął po worek i wyciągnął z niego odcięty łeb bestii o paszczy głębinowej ryby z wybałuszonymi oczami i szczelinami zamiast uszu. Vahanian odwrócił wzrok, przypominając sobie, jak dawno temu taka właśnie bestia pozostawiła mu bliznę, która biegła od podbródka aż po obojczyk.

Linton wciągnął powietrze ze zdumienia.

– Skąd wzięłeś to... coś?

Kaine wrzucił głowę z powrotem do worka i skrzyżował ręce na piersi.

– Jeden ze zwiadowców znalazł to świecę jazdy stąd. Jest wystarczająco źle, że taki potwór w ogóle istnieje, ale... gdzie jest ten, który go zabił? – spytał, pochylając się ku Lintonowi. – I dlatego połowa twojej karawany idzie przez przełęcz.

– Ale ta przełęcz prowadzi z dala od granicy z Dhasson – zaprotestowała Carina. – A

niektórzy z nas muszą się dostać do Dhasson.

– Kobieto, w Dhasson toczy się wojna. Atakują ich bestie takie jak ta. – Kaine szturchnął stopą worek. – A żeby się tam dostać, musimy przejść przez las, którego unikają nawet magowie. Pomyśl o tym, Linton. Jeśli udasz się do Dhasson, dotrzesz tam z połową karawany.

Jedź z nami, a zatrzymasz całą.

Twarz Lintona była teraz czerwona z wściekłości.

– Zejdź mi z oczu, Kaine! – ryknął. – I zabierz ze sobą tych tchórzliwych sukinsynów, którzy chcą odejść. To jest moja karawana i ja wybieram trasę. Przeprowadzałem moją karawanę przez śnieżne burze i pustynie, wzdłuż linii wrogich armii. Niech mnie porwie Mroczna Pani, jeśli dam się zastraszyć tym bajkom dla niegrzecznych dzieci albo takim jak ty.

Kaine uniósł ręce, udając, że daje za wygraną.

– Jak chcesz. Ale niewiele zarobisz w Dhasson z połową furgonów.

– Stworzyłem tę karawanę bez ciebie i jeśli będę musiał, zrobię to jeszcze raz, ty złodziejski skurwysynu! A teraz precz mi z oczu i ciesz się, że nie zrobię z ciebie przynęty dla kolejnego takiego wyklętego przez Boginię stwora! – I Linton wskazał leżący na ziemi worek.

Kaine spojrzał na groźnie wyglądającego Cama, miecz Soteriusa i ostrze noża Vahaniana, a potem na rozwścieczoną twarz Lintona. Naburmuszony, pochwycił worek i ruszył ku wyjściu.

– Pamiętaj, Linton, pożałujesz tego – rzucił groźnie, odchylając klapę namiotu. –

Zobaczysz.

Wysunął się na zewnątrz w momencie, gdy Linton chwycił ciężki puchar, żeby cisnąć nim w jego głowę. Zgromadzeni popatrzyli po sobie w milczeniu, kiedy mężczyzna wyszedł.

– Tylko nic nie mów, Jonmarc – warknął Linton.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparł z niewinną miną Vahanian.

– Dość już gadania na dziś – przerwała im Carina, obrzucając Lintona gniewnym spojrzeniem. – Ciebie to też dotyczy. On potrzebuje odpoczynku. Nie zamierzam znowu go uzdrawiać tylko dlatego, że nie dałeś mu odsapnąć. A teraz wynocha – rozkazała, wskazując na wyjście z namiotu.

Linton otworzył usta, jakby chciał się sprzeczać, ale zaraz zamknął je bez słowa i wyszedł wściekły. Cam podszedł do klapy namiotu i stanął tam z ramionami skrzyżowanymi na piersi jak żywe drzewo.

– Dziękuję za rycerskie zachowanie – powiedziała Carina, po raz ostatni oglądając świeżo zagojone rany Vahaniana. – Szkoda tylko, że nie mogłeś się podnieść.

Uśmiechnęła się w zaskakująco szelmowski sposób.

– Ale niech to zostanie naszą słodką tajemnicą. Cam i Soterius nikomu nie powiedzą, prawda?

Cam nie próbował nawet ukryć uśmiechu, wymieniając rozbawione spojrzenie z Soteriusem.

– Na pewno nie. Wasza tajemnica jest bezpieczna.

– Wielkie dzięki – odparł Vahanian. – Muszę ci powiedzieć – dodał zmęczonym głosem – że poturbowano mnie już mocniej... i to niejednym razem.

– Zdumiewające, że nie zmieniłeś branży. – Carina spakowała swoją apteczkę i zarzuciła ją na ramię. – To była przysługa dla Maynarda. Zazwyczaj nie leczę obrażeń po pijackich burdach. To tylko zachęca do brania udziału w kolejnych.

Ruszyła w stronę wyjścia z namiotu.

– Carino! – zawołał za nią Vahanian.

Odwróciła się. Tym razem twarz najemnika była zupełnie poważna.

– Nie zmieniaj zdania co do objazdu zaproponowanego przez Kaine’a. Nie ufam mu, nigdy

nie ufałem. Ma rację co do niebezpieczeństwa czyhającego na drodze. Ale mam przeczucie, że o czymś nam nie mówi, o czymś jeszcze gorszym czekającym na przełęcz.

Carina już miała rzucić ciętą ripostę, lecz zmieniła zdanie.

– Dziękuję za ostrzeżenie – powiedziała. – Mam takie samo przeczucie. – Owinęła się szalem i wyslizgnęła z namiotu.

– Jak na was dwoje poszło całkiem nieźle – zauważył Cam.

Vahanian przymknął oczy i jęknął.

– Nie mam teraz większych obrażeń niż na początku, więc pewnie masz rację. Ale czy ktoś ci już powiedział, że twoja siostra doprowadziłaby do pasji nawet umarłego?

Olbrzym zaśmiał się.

– Ona jest miła dla większości ludzi, Jonmarcu. To ty budzisz w niej najgorsze instynkty.

– Działam tak na wielu ludzi. Ale w ten sposób doszedłem do tego, co mam.

– Tak podejrzewałem – rzucił niedbale Cam.

– Za to ty jesteś bardzo skutecznym wykidajką – zrewanżował się Vahanian. – A właściwie to bardzo skutecznymi drzwiami.

– Miło, że to mówisz – zaśmiał się Cam. – Może to moja przyszłość. – Odwrócił się do Soteriusa. – Idź spać. Ja wezmę tę wartę. Już prawie świta.

– Soterius! – zawołał Vahanian i żołnierz odwrócił się. – Powiedz Trisowi, że mam dla niego wiadomość, ostrzeżenie od przyjaciela.

Soterius zrobił zdziwioną minę, ale skinął głową i wyszedł. Vahanian otworzył oczy i przez odchyloną klapę zobaczył namiot Cariny. W blasku świecy dostrzegł sylwetki jej towarzyszy, Trisa i tej wioskowej czarownicy, i zaczął się zastanawiać, co takiego przerwał Cam, przyprawiając do niego uzdrowicielkę. *Łowcy nagród i magowie*, pomyślał z sarkazmem. *Dwie rzeczy, które najmniej lubię. Ale może sytuacja zacznie się poprawiać,*

pomyślał. Kiedy jednak opadła kłapa namiotu i zadrżał od podmuchu chłodnego jesiennego wiatru, zwątpił w to.

Rozdział szesnasty

Kiara Sharsequin popędziła konia i owinęła się ciasniej płaszczem, chroniąc się przed jesiennym chłodem. Najbardziej niebezpieczną część podróży, pełną zagrożeń jazdę po północnych rubieżach Margolanu, miała już za sobą.

Kiara unikała karczm, wolała raczej spać na dworze niż ryzykować spotkanie z żołnierzami Jareda. Jednak to, że trzymała się z dala od zajazdów, nie oznaczało, że nie spotykała ludzi, gościńce pełne były bowiem kupców i wieśniaków, którzy na koniach, mułach, wozach i własnych barkach unosili cały dobytek, uciekając przed twardą ręką nowego króla Margolanu.

Większość z nich niewiele mówiła, tylko posuwała się szybko ku północno-wschodniej granicy i wolności. Kiara nie mogła się zdecydować, czy bezpieczniejsza będzie z dala od tłumu, czy też ukryta w ludzkiej cizbie, choć wątpiła, żeby ktoś z tych wywłaszczonych ludzi na tyle darzył Jareda Drayke'a miłością, żeby wydać w jego ręce odzianą na brązowo nieznaną z gyregonem.

Jednak wiedziała też, że kiedy stawka jest duża, szpiegzy mogą być wszędzie, dlatego trzymała się na uboczu i podchodziła do wieczornych ognisk dopiero wówczas, gdy większość uchodźców już zasnęła. Sama spała czujnie w pobliżu swojego konia, z mieczem na podorędziu.

Czasami dolatywały ją strzępki rozmów podróżnych, kiedy dzielili się opowieściami o swojej niedoli. I wtedy myślała, że jeśli choćby jedna trzecia tego, co słyszała, było prawdą, to Jaredowi Drayke udało się w trakcie swojego krótkiego panowania stać się jednym z najbardziej nikczemnych królów w historii Siedmiu Królestw.

Nie mogła jednak wątpić w to, co widziała na własne oczy. Raz minęli wioskę spaloną do

na, w której niedobitki przeczesywały popioły w poszukiwaniu swojego dobytku. Mówili, że została spalona przez margolańskich żołnierzy z rozkazu króla, który był niezadowolony z płaconych przez nich podatków. Innym razem zatrzymała się na skraju drogi, żeby zjeść, i kiedy usiadła, zobaczyła kości wystające z płytkiego, pospiesznie wykopanego grobu. A potem natknęli się na zagajnik z dziwnie kołyszącymi się gałęziami. Kiedy się zbliżyli, poznali prawdę: drzewa były szafotami, a jesienny wiatr bujał tuzin wiszących na nich ciał nieszczęśników. Nawet przelotne spojrzenie na pętle stryczków potwierdzało, że zginęli z ręki wojskowych. Łatwo się było domyślić, że była to zemsta margolańskich żołnierzy za jakieś przewinienie, prawdziwe czy też wymyślone.

A to, co widziała niedawno, na zawsze pozostanie w jej pamięci. Zobaczyli przy drodze kobietę tulącą niemowlę i zawołali, żeby dołączyła do ich grupy. Dopiero wtedy ujrzeli obłęd w jej oczach i zdali sobie sprawę, że kobieta tuli nie dziecko, lecz polano zawinięte w porwany koczek Bredziła coś o nadciągających żołnierzach, o ogniu i zabiciu jej rodziny, nawet dzieci, poza najmnieszym, a mówiąc to, przyciskała do siebie żarliwie polano. Nie dołączyła do mijających ją uchodźców; została, dalej złorzecząc opętana żalem i szaleństwem, przerywając tylko po to, żeby oprzeć polano delikatnie na ramieniu albo przystawić je czule do piersi.

Kiara nie była przygotowana na to, że tak bardzo poruszy ją los uchodźców, że jej nieufność w stosunku do Jareda Drayke'a przerodzi się najpierw w odrazę, a potem w rozpalony do białości gniew. Jako następczyni tronu Isencroftu była nauczona rządzić twardą ręką, lecz ze szczerą troską o swoich poddanych. Choć sposób jej wychowania sprawił, że spędziła niewiele czasu wśród nisko urodzonych, wiedziała, że życie wieśniaków jest wypełnione ciężką pracą i wiąże się ze skromnym stanem posiadania, ale nie z taką niedolą, jakiej doświadczyli ci ludzie z ręki Jareda.

Masz znaleźć sposób na uratowanie Isencroftu, a nie zbawiać świat, upominała siebie

surowo, jednak im więcej czasu spędzała wśród uchodźców, tym bardziej poruszał ją ich los. Z całego serca pragnęła zdetronizowania Jareda, choć z drugiej strony wiedziała, że nie powinna się wtrącać w sprawy Margolanu.

Często myślała o Camie, Carinie i o tej przerażającej wizji, którą miała w Isencrofcie. Czy ta wizja się spełniła? Czy może Cam i Carina przeżyli? A jeśli coś im się stało i nie przywiozą leku do Isencroftu, to czy ojciec dożyje końca jej Podróży?

Słońce już niemal chyliło się ku zachodowi, kiedy dotarła do pofałdowanych wzgórz, które znaczyły północno-wschodnią margolańską granicę. Pomyślała, że kiedy znajdzie się po drugiej stronie tych wielkich kamieni granicznych, jedno zagrożenie pozostawi za sobą. Jednak ulga zmieniła się w niepokój, kiedy grupa zwolniła, a potem zatrzymała się i uchodźcy zaczęli rozprawiać między sobą.

Kiara stanęła w strzemionach, żeby lepiej widzieć, a potem zakłęła i opadła na siodło.

Dwaj margolańscy gwardziści blokowali drogę, wymuszając haracz od uchodźców.

Niemal przez świecę zbieranina wygnańców przechodziła obok żołnierzy, zaspokajając ich żądania i oddając coś wartościowego w zamian za pozwolenie przekroczenia granicy. Kiara przygotowała dwa złote skriweny, będące zapewne równowartością tygodniowego żołdu gwardzisty.

Nastrój żołnierzy pogorszył się po sprzeczce ze starszym mężczyzną, w czasie której o mało co nie doszło do rękoczynów, aż stary zgarbiony kupiec wypruł w końcu dwa klejnoty ze skraju swojej podartej szaty. Wyglądało na to, że żołnierze mają ochotę wyładować swój zły humor na następnej rodzinie nieszczęśników.

– Proszę, panie – błagał wieśniak – dałem wam wszystkie moje pieniądze. Na litość Pani, pozwólcie nam przejść.

Za nim stała jego wychudła żona ze zbitą w gromadkę szóstką odzianych w łachmany

dzieci. W przeciwieństwie do większości uchodźców, którzy prowadzili konie i muły objuczone pakunkami albo zaprzężone do wyładowanych po brzegi wozów, ta rodzina podróżowała tylko w odzieniu, które miała na grzbiecie.

– Na pewno nie zostawiłeś żadnych monet zakopanych na polu? – szydził jeden z żołnierzy, podchodząc bliżej do mężczyzny w łachmanach. – Wszyscy wiedzą, że wieśniacy ukrywają swoje pieniądze. Dałeś mi tyle, że tylko siedmioro ludzi może przejść.

– Przysięgam na imię Bogini, panie, to wszystko, co mam – błagał wieśniak. Jeden z gwardzistów wyminął go i ruszył w kierunku zbitej w gromadkę rodziny.

– Skoro nie masz pieniędzy, możesz zapłacić w naturze. – Spojrzał lubieżnie i pochwycił jego najstarszą córkę, dziecko mające zaledwie dwanaście wiosen. Dziewczynka wrzasnęła przerażona, a gwardzista przyłożył jej nóż do gardła.

– Błagam, panie, wypuść ją! – Wieśniak padł na kolana, matka dziecka rzuciła się do stóp drugiemu żołnierzowi, a dzieci zaczęły zawodzić.

– Puść ją. – Kiara dobyła miecza i tłum rozstał się przed jej bojowym rumakiem, gdy ruszyła ku gwardzistom.

Kapitan przyjrzał się jej z drwiącym uśmiechem.

– No, no. Panienska na koniu z kawałkiem stali. Powinnaś pilnować własnego interesu, dziewczyno. Oczywiście – dodał – możesz zająć się moim.

– Puść ją – powtórzyła Kiara. Podjechała bliżej, aż Upiór stanął między gwardzistami a nieszczęsnym wieśniakiem; wiedziała, że mimo drwin strażnik zauważył, że dosiada wojskowego rumaka.

Gwardzista dobył miecza.

– To nie twoja sprawa. Odejdź.

– Teraz już moja – odparła, mając nadzieję, że dziewczynka będzie miała dość rozumu,

żeby uciec, kiedy nadarzy się okazja. – A teraz wypuść ją i pozwólcie nam przejść.

– My tylko robimy małą wymianę. – Gwardzista ruszył do przodu z uniesionym groźnie mieczem. – A teraz jedź, zanim stanie ci się krzywda.

– Chcesz wymiany? – odparowała. – To posmakuj tego!

Jej miecz załśnił w słońcu, gdy szarpnęła wodze Upiora tak mocno, że koń stanął dęba.

Machnięcie ręki spowodowało, że Jae wzleciał w niebo, a Kiara pognąła konia prosto na gwardzistów. Jakby na sygnał Jae dał nura ku żołnierzowi trzymającemu dziecko i jego szpony rozorały twarz mężczyzny, pozostawiając głębokie krwawe krechy. Klnąc z bólu i wściekłości, gwardzista puścił dziewczynkę. Ta odskoczyła, złapała ojca za rękę i razem z rodziną rzuciła się do ucieczki. Kiara wiedziała, jak imponujące wrażenie robi Upiór i jego bojowe wyszkolenie. I rzeczywiście, żołnierze przestraszyli się i cofnęli o krok. Z tyłu za nią uchodźcy zaczęli wznosić radosne okrzyki, prąc do przodu i wymachując gniewnie kijami oraz narzędziami rolniczymi.

– Znikaj, kobieto – rozkazał szorstko żołnierz. – To nie twoja sprawa. Jedź dalej i ciesz się, że nie zakujemy cię w kajdany za to, co zrobił ten twój piekielny smok!

Kiara nawet się nie poruszyła.

– Z tego, co widzę, mamy przewagę liczebną – powiedziała spokojnie. – Myślę, że lepiej, abyście to wy sobie poszli!

Jae zaskrzeczał ostrzegawczo w momencie, gdy Kiara kątem oka dostrzegła błysk sztyletu.

Odchyliła się w bok, częściowo parując mieczem cięcie sztyletem, i zdusiła przekleństwo, gdy ostrze drasnęło ją w ramię.

Kapitan najwyraźniej spodziewał się łatwego zwycięstwa, gdyż zupełnie nie był przygotowany na szybkość ataku Kiary ani siłę, z jaką wymierzyła cios mieczem. Stał i gapił się z otwartymi ustami, jak jego miecz wylatuje mu z dłoni i ląduje w pyle drogi. Tymczasem jego towarzysz przyglądał się nieufnie, jak Jae krąży nad jego głową, skrzecząc groźnie, raz po raz

dając nura ku dwóm żołnierzom i podrywając się w górę w ostatniej chwili, zagrażając im swoim ostrym dziobem i długimi szponami.

Dla podkreślenia swoich słów Kiara ponownie zmusiła konia, aby stanął dęba. Jego kopyta śmignęły kilka cali od głowy kapitana; z łatwością mógłby roztrzaskać czaszkę mężczyzny swoimi ciężkimi żelaznymi podkowami. Uchodźcy znowu ryknęli gniewnie i ruszyli do przodu, już nie wymachując laskami i motykami, lecz unosząc je, jakby chcieli zaatakować.

– Niech cię Dziwka porwie – zaklął kapitan i pochylił się, żeby podnieść miecz, a potem dwaj żołnierze zaczęli się wycofywać. – Zapłacisz za to, suko. Obiecuję ci.

W odpowiedzi Jae ruszył w pędzie ku głowie kapitana. Wrzasnąwszy, mężczyzna odwrócił się i rzucił do ucieczki za swoim towarzyszem. Jae puścił się za nimi w pogoń, skrzecząc, dopóki dwaj żołnierze nie znaleźli się poza zasięgiem wzroku. Potem przyfrunął z powrotem do swojej pani, przysiadł na jej ramieniu i zadowolony z siebie zaczął czyścić łuski.

Uchodźcy skupili się wokół Kiary, wykrzykując podziękowania i gratulacje.

Niezadowolona, że nie będzie mogła teraz podróżować w sposób nie rzucający się w oczy, westchnęła i w milczeniu przyjmowała podziękowania. Pragnęła jedynie przekroczyć granicę bez dalszych incydentów i ruszyć dalej tak szybko, jak to tylko możliwe. Kiedy rozentuzjasmowana grupa ruszyła znowu do przodu, jakiś mężczyzna przepchnął się w jej stronę; rozpoznała w nim wieśniaka, którego uratowała.

– Proszę o wybaczenie, panienko – powiedział, ściskając w dłoni postrzępioną czapkę. – Jestem wdzięczny za to, co uczyniłaś. Nie mieliśmy nic więcej do oddania, ale nie zniósłbym utraty Tessy. – Kiwnął głową w stronę młodej dziewczyny, która szła tuż za nim, spoglądając z podziwem na miecz i konia Kiary.

– Jesteś wojowniczką? – wyszeptała z uwielbieniem dziewczynka.

Mimo powagi sytuacji Kiara się uśmiechnęła.

– Niezupełnie – powiedziała, skrywając pochwę miecza pod płaszczem. – Tam, skąd pochodzę, wszyscy uczą się walki, odkąd potrafią utrzymać miecz w dłoni, abyśmy nigdy nie musieli cierpieć z rąk takich głupców jak ci dwaj – dodała, kiwając głową w kierunku, w którym uciekli obaj gwardziści.

– Nie mamy nic wartościowego – powiedział wieśniak – ale mój brat czeka na nas w obozie w Księstwie. Wiem, że jesteś wysoko urodzona, pani, i nie mam prawa prosić, ale może kiedy będziesz głodna, spożyjesz z nami posiłek. Mogłabyś spać spokojnie – bezpieczna z nami – dopóki nie ruszysz dalej. – Uśmiechnął się, speszony. – Powinnaś też udać się do uzdrowicielki z tym draśnięciem – dodał, zerkając na jej ramię.

Kiara niemal zapomniała o ranie, teraz jednak dotknęła rozdartego materiału i zobaczyła, że jest przesiąknięty krwią. Obmacując delikatnie ranę, oceniła, że nie jest groźna. W czasie walk ćwiczebnych odnosiła gorsze obrażenia. Jednak okład sporządzony przez uzdrowicielkę mógłby zmniejszyć ból i zapobiec zaognieniu się rany.

Kiara uśmiechnęła się do speszonego wieśniaka i jego ogarniętej nabożnym podziwem córki.

– Będę zaszczycona, mogąc z wami zjeść – powiedziała, a mężczyzna rozpromienił się, nie wierząc swemu szczęściu. Dziewczynka nieśmiało wyciągnęła rękę, żeby poklepać Upiora, lecz cofnęła się, kiedy wielki kary koń zwrócił ku niej spojrzenie swoich ciemnych oczu, potem jednak zebrała się na odwagę i delikatnie pogłaskała konia.

– Byłaś bardzo dzielna – powiedziała Kiara i dziewczynka uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Dziękuję – wyszeptała.

– Bardzo proszę. – Kiara starała się nie myśleć o tym, że żołnierze spotkali wiele innych młodych dziewcząt, którym nie mógł pomóc pojawiający się nagle obrońca. Ruszyła przez tłum

kłębiący się wokół wieśniaka, który stał się teraz jakby lokalną sławą. Uchodźcy rozstępowali się przed nią z szacunkiem, który ją krępował, szepcząc na temat Jae, bojowego konia i jej miecza.

Kiara westchnęła w duchu, rozdarta pomiędzy złością, że tak bardzo rzuca się w oczy, i świadomością, że nie mogła siedzieć beczynnie i pozwolić, żeby dziewczynkę skrzywdzono.

Teraz każdy bard w Księstwie będzie miał nową opowieść, a każdy pogranicznik w Margolanie nowy cel. Może tutaj, całe tygodnie jazdy od margolańskiego pałacu, ten incydent pójdzie w zapomnienie. Poprosiła o to w duchu Boginię. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała, to żeby margolańska gwardia ruszyła za nią w pościg. Wreszcie grupa powędrowała dalej, aż oddalili się od granicy i pojawiły się ogniska obozu uchodźców.

Obóz był tak naprawdę skupiskiem walących się chat zbudowanych ze szczątków drewna i namiotów zrobionych z poprzecieranych koców. Płonęło tu ponad pięćdziesiąt ognisk i Kiara domyśliła się z otaczającej ją krzątaniny, że przy każdym z nich zasiada od dziesięciu do piętnastu uchodźców. W obozie czuć było woń ekskrementów i zwierząt, pieczonego mięsa i ostrej cebuli. Jedynie jesienny chłód sprawiał, że ziemia nie stała się śmierdzącym błotnistym bajorem, a stepowe muszki pozostawające w zimowym uśpieniu nie dokuczały. Westchnęła, przyglądając się prowizorycznemu obozowi. Jeśli Jared nie zostanie powstrzymany, i to wkrótce, jeszcze więcej ludzi doświadczy niedoli życia w obozach, chyba że sąsiednie kraje będą zmuszone zamknąć swoje granice.

Wieśniak, który miał na imię Lessel, poprowadził Kiarę przez zatłoczony obóz, aż spotkali się z jego bratem, który był ciemniejszą wersją jego samego. Mężczyzna powitał ich serdecznie, zapraszając, by usiedli przy jego ognisku. Przywiązawszy Upiora, Kiara podążyła za Lesselem, potrącana przez tuzin jego bratanców i bratanków tłoczących się dookoła, żeby przyjrzeć się „panience z mieczem”. Z ulgą przyjęła fakt, że ani Lessel, ani jego brat nie zadawali żadnych

pytań, ciesząc się, że mogą okazać jej wdzięczność.

– Ci wszyscy ludzie – spytała Kiara, kiedy zjadła miskę gulaszu – są z Margolanu?

Tadrie, brat Lessela, pokiwał ponuro głową.

– Ano tak, panienko. I aż do śmierci króla Bricena byliśmy z tego dumni. Ale coś złego dzieje się w Margolanie i każdy, kto może uciec, tak właśnie robi. Każdy rozsądny człowiek zrobiłby to samo.

Kiara zmarszczyła brwi.

– Jak jest to możliwe, że sytuacja tak szybko się pogorszyła?

Tice nieraz mówił jej w czasie niekończących się lekcji historii, że wieśniacy często żyli przez całe pokolenia w godnych pożałowania warunkach, pod panowaniem królów tyranów, nie skarżąc się. Jak bardzo zatem musiało teraz być źle, skoro tak wielu ludzi porzuciło swoją ziemię i dobytek.

– Trudno to nawet ująć w słowa – powiedział Tadrie. Jedno z jego dzieci wdrapało mu się na kolana, a pies przysunął się bliżej ognia, wygrzebując z ziemi jakiś ochłap. – Nie wiem, czy to przez nowego króla, czy tego jego przeklętego maga, ale żaden zdrowy na umyśle człowiek nie może pozostać w Margolanie i długo utrzymać się przy życiu.

Zamilkł na chwilę, bezwiednie głaszcząc córkę po włosach.

– I nie chodzi tylko o podatki, panienko – kontynuował, wpatrując się w ogień. –

Przywykliśmy już do nich. I wiemy, że nowy król zawsze je podnosi, nawet jeśli nie mamy już nic do dania. Nie chodzi także o żołnierzy kradnących nasze świnie czy rozwalających nasze wozy, żeby dostać zapłatę.

Potrząsnął głową i w blasku ogniska w jego oczach pojawił się twardy błysk.

– Nigdy za panowania króla Bricena ani jego ojca czy dziada margolańscy żołnierze nie uprowadzali kobiet z naszych wiosek dla swojej uciechy – powiedział głosem zdławionym

gniewem. – Ani razu nasze domy i plony nie zostały spalone, nasze zwierzęta wyrżnięte, a mężczyźni powieszani. I nigdy nie widzieliśmy Mrocznych Stworów, które grasują teraz w lasach; czymkolwiek one są, niech ich Bogini porwie – zakończył, wzdrygając się.

– Mroczne Stwory? – Kiarę przebiegł zimny dreszcz. Jej dłoń bezwiednie opadła ku sztyletowi, który dało jej Zgromadzenie Sióstr. Siostra powiedziała, że ostrze niszczy nieumarłych, a w rękach maga zniszczy duszę nieśmiertelnego.

– Ano – odparł Tadrie. – Słyszałem o nich przelotnie, ale nikt, kto widział je z bliska, nie przeżył, żeby dokładniej opowiedzieć. Raz znalazłem szczątki jednego z nich – wzdrygnął się – choć nie wiem, co mogło go zabić. Gwardziści powiedzieli nam, że to był vayash moru. Ale to nieprawda.

– Skąd ta pewność? – Kiara pochyliła się do przodu, kiedy żona Lessela podeszła nieśmiało z parującym kubkiem rozcieńczonego piwa i dygnawszy niezdarnie, wcisnęła go w jej dłonie, a potem umknęła.

– Bo w Margolanie nigdy nie obawiano się vayash moru – rzekł, a Kiara starała się nie okazać zdumienia tym, jak zwyczajnie tych dwóch mężczyzn rozmawia o przebywających wśród nich nieumarłych. – Och, słyszeliśmy opowieści o miejscach, gdzie polowali na ludzi, ale za życia mojego ojca i dziada nigdy nie zostaliśmy przez nich skrzywdzeni.

– Właściwie to oni zdają się rozpoznawać złych ludzi, i jeśli kogoś zabijają, to takiego, co i tak miał zawisnąć za kradzież konia. Pewnie zazwyczaj żywią się zwierzętami, choć oczywiście rzadko je widzujemy – uśmiechnął się półgębkiem. – Nie zadają się z nami, jeśli nie muszą.

– Spotkałeś kiedyś jakiegoś?

Tadrie pokiwał z powagą głową.

– Ano. Oni są samotnikami. Ten, którego spotkałem, nie dał mi powodu do strachu. Może nie był głodny, kiedy się spotkaliśmy – zachichotał, a Lessel zaśmiał się razem z nim.

Nagle Tadrie spowaźniał.

– Ale teraz mają najgorzej w Margolanie. Obwinia się ich za to, co robią żołnierze. Każdy, kto ma dość rozumu, powinien wiedzieć, że to wszystko kłamstwa, ale ci, co się bali vayash moru, widzą teraz okazję, żeby się zemścić. Żołnierze palą vayash moru, przebijają kołkami, wyrzucają na światło słoneczne – albo i co gorszego.

Westchnął.

– Żołnierze na nic się nie oglądają, kiedy polują, jeśli wiesz, co mam na myśli. Wielu zwykłych ludzi spalili tylko z powodu tego, co ludziska opowiadali. – Znowu potrząsnął głową.

– Źle się dzieje, panienko.

Kiara popijała piwo w zamyśleniu. Pomyślała, że jeśli to, co mężczyzna mówił, było prawdą, to sytuacja mogła się rozwinąć na dwa sposoby. Albo vayash moru powstaną przeciwko Jaredowi Drayke i wywrą na nim zemstę, albo zerwą pokojowe stosunki ze swoimi sąsiadami i odpłacą im za prześladowania. Wzdrygnęła się. Tak czy owak, Tadrie miał rację. Był to zły czas na przebywanie w Margolanie.

Wtedy właśnie Lessel pochylił się do przodu i delikatnie dotknął jej ramienia.

– Musimy zaprowadzić cię do uzdrowiciela – powiedział.

– Jest taki uzdrowiciel, który przychodzi do obozu – dodał, wstając, Tadrie. – Nie wiem skąd. Nie jest jednym z nas. Chodź, poszukamy go.

Kiara podniosła się i podążyła za braćmi, lawirując między prowizorycznymi pośłaniami i przygaszonymi ogniskami, przestępując odpadki, omijając psy i kurczaki oraz śpiące dzieci i siedzących beczynnie dorosłych. Nie miała pojęcia, jak Tadrie orientuje się w tym chaosie.

Wreszcie dotarli do namiotu, który stał niemal poza obrębem obozu. Kilka niedużych kociołków parowało nad ogniem, roztaczając woń ziół oraz sukulentów, a stosy ziół suszyły się na prowizorycznych stojakach zrobionych z patyków. Przy ogniu siedział chudy mężczyzna o

zapadłych policzkach, mieszając w jednym z kociołków.

– Wybaczcie – powiedział z szacunkiem Tadrie, gdy mężczyzna spojrzał na nich. Jego wielkie, ciemne i przenikliwe oczy wpatrzyły się w Kiarę, jakby potrafiły zajrzeć w jej duszę. Uzdrowiciel wstał i Kiara zdała sobie sprawę, że pod obszerną szatą kryje się mężczyzna drobnej postury, choć jego przedramiona i dłonie wskazywały, że nie stronił od ciężkiej pracy. Brązowe włosy opadały mu do ramion lekkimi falami, a na szyi wisiało kilka amuletów. Już miał się odezwać, kiedy dostał napadu kaszlu, który trwał tak długo, że Kiara zaczęła się o niego niepokoić.

– Co mogę dla was zrobić? – spytał uzdrowiciel, kiedy kaszel wreszcie się skończył.

– Ta kobieta pomogła mojemu bratu w drodze z Margolanu – rzekł Tadrie. – Powstrzymała dwóch żołnierzy przed skrzywdzeniem dziecka. Została draśnięta w ramię. Czy możesz jej pomóc, proszę?

Uzdrowiciel skinął głową i Tadrie dał znak Kiarze, żeby podeszła bliżej.

– To jest Sakwi. Zajmie się tobą. My musimy teraz wrócić do naszej rodziny. Ale zapraszamy cię do spędzenia z nami nocy. Będziesz mogła spać bezpiecznie. Nikt tu nie pozwoli ci zrobić krzywdy.

– Dziękuję wam – odpowiedziała. – Zostawcie dla mnie miejsce. – Tadrie i Lessel pokiwali głowami, po czym ruszyli z powrotem w głąb obozu.

– A teraz obejrzyjmy twoje ramię – powiedział Sakwi. Delikatnie odsunął materiał i zmarszczył brwi, a potem podeszedł do kociołka przy ogniu, zamoczył w nim gałganek i wyjął parującą szmatkę.

– Najpierw ją oczyścimy. – Kiedy skończył, otworzył mały skórzany kuferek i zaczął w nim grzebać. Wyciągnął jakąś fiołkę, zanurzył drugą szmatkę w kolejnym kociołku i posypał ją zawartością fiołki, a potem rozcierał dłonią tak długo, dopóki na materiale nie powstała pasta.

Wreszcie zabandażował ramię Kiary. Ciepły okład był przyjemny i uśmierzał ból. Ostra woń ziół oczyściła jej umysł.

– Jak to możliwe, że kobieta podróżuje samotnie po Margolanie? – spytał.

Kiara popatrzyła w stronę ognia.

– Podróżuję w sprawie mojego ojca – odparła.

Sakwi obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

– Pokaż mi swój miecz.

Kiara zawahała się, ale potem wzruszyła ramionami i dobyła miecza, kładąc go płazem na dłoni, żeby mógł zobaczyć, jak blask ognia pełga po misternym grawerunku splecionych róż i cierni.

Uzdrowiciel wciągnął gwałtownie powietrze.

– Ty nią jesteś – rzekł i znowu zaczął kaszleć, jakby ten gwałtowny wdech wywołał kolejny napad. Silny kaszel trząsnął jego wychudłym ciałem.

– Wygląda na to, że sam potrzebujesz uzdrowiciela – zauważyła Kiara, chowając miecz do pochwy.

Sakwi potrząsnął głową.

– To coś, czego nie może wyleczyć żaden uzdrowiciel. Obawiam się, że to dotyk Bogini, może po to, by mnie nauczyć pokory – rzekł, uśmiechając się półgębkiem. – Może kiedyś zaprowadzi mnie do niej, hmm? Ale myślę, że jeszcze nie teraz. Jeszcze nie. Chodź, usiądź ze mną przy ogniu. Mam coś dla ciebie.

Zaciekawiona Kiara podeszła do ogniska i usiadła na pobliskiej kłodzie. Jae podfrunął, żeby przysiąść koło niej. Sakwi wpatrzył się w ogień.

– Dwa tygodnie temu śniłem o Bogini. Trzymała w dłoni opleciony różami miecz i poleciła mi, żebym zawiózł wiadomość do Margolanu. Powiedziała, żebym czekał między jej

zagubionymi dziećmi na tę, dla której przeznaczona jest ta wiadomość. Znalazłem ten obóz – wskazał na rozłożonych w pobliżu uchodźców – i czekałem. To jest miecz z mojego snu. Zatem ta wiadomość musi być przeznaczona dla ciebie.

– A co to za wiadomość? – spytała ostrożnie Kiara.

– Oto ona. – Sakwi sięgnął pod swoją szatę i wyciągnął osadzony w srebrze klejnot w kształcie gwiazdy wielkości jej dłoni. Wisior zawieszony był na mocnym łańcuszku.

– Co to takiego? – wyszeptała.

Głęboko osadzone, ciemne oczy Sakwiego zdawały się być starsze niż on sam.

– Dano mi to na przechowanie wiele lat temu. Powiedziano, żebym nie pokazywał nikomu, dopóki sama Bogini nie nakaże mi tego zrobić. A teraz ty przybyłaś tutaj. To, czego szukasz, znajdziesz w Bibliotece Zachodniej Marchii.

Amulet w kształcie gwiazdy pulsował w jego dłoni ciepłym blaskiem jak bijące serce.

– Biblioteka Zachodniej Marchii została zabezpieczona zaklęciami przed intruzami – ciągnął dalej Sakwi. – Powiedziano mi, że ten amulet pozwoli ci do niej wejść.

Gestem poprosił, żeby Kiara pochyliła głowę, i delikatnie założył jej na szyję łańcuszek z wisiorem. Klejnot rozjarzył się raz jeszcze, a potem przygasł.

– Co wiesz o Bibliotece?

– Ona nadal istnieje dla tych, których przysła Bogini – rzucił tajemniczo Sakwi. – A dla innych równie dobrze mogłaby nie istnieć. Przed tobą odkryje swoje tajemnice.

Kiara ostrożnie uniosła ciężki wisior i wsunęła go przezornie pod tunikę.

– Czy możesz powiedzieć mi coś więcej?

Sakwi potrząsnął głową.

– O Bibliotece nie. Ale popatrz. – Skinął lekko głową. – Wygląda na to, że ktoś jeszcze cię szuka.

Kiara podniosła wzrok i ogarnęła ją rozpacz. Na skraju tłumu stało pięciu margolańskich gwardzistów, ledwie widocznych w blasku ognia. *Pani, cóż takiego uczyniłam?* jęknęła w duchu. Wiedziała, że to jej szukają żołnierze, albo co gorsza – że planują odwet za jej ucieczkę na obozie i jego biednych mieszkańcach.

– Nie lękaj się – powiedział cicho Sakwi, nie spuszczać wzroku z gwardzistów. –

Okrażenie obozu zajmie im trochę czasu. Nie ośmielą się przejść środkiem. Ci uchodźcy nie mają nic do stracenia.

Odwrócił się ku niej.

– Idź tam – wskazał. Nieopodal pod drzewem o zwieszających się gałęziach rosło kilka rachitycznych krzaków.

– Ukryj się.

– Tam? Nawet królik nie zdołałby się tam ukryć.

– Ja cię ukryję – odparł uzdrowiciel i coś w jego tonie, wielka pewność siebie, pokonało jej opór. Pochylając się nisko, Kiara pomknęła ku zaroślom i skuliła się, trzymając jedną dłoń w pobliżu miecza, a w drugiej ściskając sztylet.

Żołnierze powoli okrążali obóz, odprowadzani milczącymi spojrzeniami uchodźców.

Nawet ze swojej kryjówki Kiara wyczuwała narastające napięcie, które powiedziało jej, że wszelki ruch ze strony gwardzistów doprowadzi do wywiązania się walki.

Słodka Chenne, nie pozwól, żeby ci ludzie zginęli za mnie! Tymczasem żołnierze zbliżali się. Sakwi zajmował się ogniskiem, nie zważając na nowo przybyłych. Ale wokół Kiary coś się zaczęło zmieniać. Im bardziej żołnierze się zbliżali, tym gęstsze wydawały się zarośla i tym niżej zwieszały się gałęzie coraz bardziej bujnego drzewa.

– Ty tam! – zawołał gwardzista. Uzdrowiciel wstał niespiesznie, przeciągnął się i spojrzał na niego beznamiętnie.

– Szukamy kobiety, wojowniczkę. Została ranna. Czy ją widziałeś?

Sakwi nie odezwał się, tylko potrząsnął niemal niedostrzegalnie głową. Gwardzista zmarszczył brwi.

– Myślę, że po prostu się rozejrzemy – powiedział mającym zastraszyć go tonem i zrobił krok w stronę miejsca, gdzie ukrywała się Kiara. W tym momencie z krzaków wyleciało, trzepocząc skrzydłami, stado nietoperzy. Ta żywa ciemna chmura pofrunęła prosto na gwardzistów. Przeklinając, żołnierze podnieśli ręce, żeby osłonić twarze, i szybko się wycofali, potykając się w pośpiechu. Wciąż jeszcze przeklinali, kiedy dopadli swoich koni i popędzili galopem w noc, opędzając się przed nisko latającymi nietoperzami.

Kiara nie poruszyła się, dopóki Sakwi nie dał jej znaku, żeby wstała. Przyjrzała się ze zdziwieniem swojej kryjówce. Były tu znowu rzadkie zarośla i patykowate drzewo o zwieszających się nisko gałęziach; nawet lis nie mógłby się tu ukryć, nie mówiąc już o uciekinierze.

– Jesteś magiem – powiedziała.

– Magiem ziemi – odparł. – Przyznam, że tak naprawdę nie jestem uzdrowicielem – ciągnął z niepewnym uśmiechem – chociaż moja magia pomaga mi przy hodowaniu ziół. A tego, co wiem, nauczyłem się lecząc samego siebie. – Znowu zaczął kaszleć tak mocno, że na jego wargach pojawiła się czerwona kropla krwi. Sięgnął pod szatę, wyciągnął mały złożony kawałek papieru i wysypał sobie proszek na język.

Po kilku chwilach kaszel ustał, a on znowu podniósł wzrok.

– Pieprz i czosnek – wyjaśnił. – Powstrzymuje krwawienie w płucach. Przynajmniej chwilowo.

– Dziękuję – powiedziała Kiara. – Zostawię cię, żebyś mógł się zająć swoją pracą, ale mam jeszcze jedną prośbę. Powiesz mi, gdzie jesteśmy, żebym mogła rozczytać mapę?

Sakwi uśmiechnął się i obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem, jakby mógł zajrzeć w głąb niej.

– Mogę zrobić coś więcej – powiedział i wydał z siebie niski, gardłowy dźwięk. Z mroku otaczającego obóz wyłonił się ciemnoszary lis z puszystą kitą; trzymał wysoko głowę, jakby nie zważał na ludzką ciżbę ani obozowe ogniska. Zwierzę zatrzymało się o krok od Kiary.

– Oto twój przewodnik – powiedział Sakwi. – Nie jesteś w stanie wymówić jego imienia, ale możesz myśleć o nim jako o Szarostopym.

– Wezwałś go? – spytała, zdziwiona, przyglądając się dostojnemu zwierzęciu, które wydawało się rozbawione jej zainteresowaniem.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– To część mojego daru – rzekł. – On zna najbezpieczniejsze ścieżki prowadzące do granicy. I jest najbardziej przebiegły ze swojego miotu, nie wprowadzi cię więc w zasadzkę ani nie powiedzie ku niebezpieczeństwu.

Siedzący w pobliżu Jae zaskrzeczał w proteście, a Szarostopy w odpowiedzi wydał z siebie cichy gardłowy dźwięk. Zdumiona Kiara obserwowała, jak gyregon i lis prowadzą wymianę zdań, która skończyła się tym, że Jae wrócił do czyszczenia swoich łusek, a Szarostopy sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie.

– Wyglądało to niemal tak, jakby one potrafiły... – wyjąkała.

– Wszystko jest możliwe, pani – odparł mag. – Możesz porozumiewać się z Szarostopym tak, jak porozumiewasz się z Jae. On cię rozumie i jest w stanie się z tobą komunikować. Zaufaj mu, a zaprowadzi cię do granicy.

Kiara skinęła głową, z pokorą godząc się z faktem, że lis wyraźnie przejmował odpowiedzialność za porozumiewanie się przez wzgląd na jej ograniczone zdolności w tym zakresie.

– Rozumiem – powiedziała wreszcie. – Dziękuję – dodała, spoglądając najpierw na Sakwiego, a potem na Szarostopego, który skinął łbem. – Minie trochę czasu, zanim do tego przywyknę – przyznała, zakłopotana.

Sakwi pokiwał głową.

– Bogini dobrze wybrała przeznaczoną ci misję, panno z mieczem. A teraz odpocznij. Dziś w nocy będziesz tu bezpieczna. Rano poszukaj Szarostopego, a on cię poprowadzi.

Kiara podziękowała mu raz jeszcze, a potem podążyła za Jae przez obozowy labirynt do ogniska Lessela i Tadrie. Wzruszona, przekonała się, że pełen wdzięczności wieśniak rzeczywiście zostawił dla niej miejsce najbliżej ognia i przygotował łoże z sosnowych gałęzi przykrytych poszarpanym prześcieradłem. Żadne z nich, nawet dzieci, nie chciało się z nią zamienić miejscami, nalegając, żeby zajęła honorowe miejsce. Speszona tymi dowodami wdzięczności, Kiara przyjęła ich wielkoduszność, ale pożyczyła wynędzniałej żonie Lessela swój płaszcz, żeby owinęła nim dwoje skąpo ubranych najmłodszych dzieci. A potem, zanim zdążyli obsypać ją kolejnymi specjalnymi względami, Kiara się położyła. Sen przyszedł niemal natychmiast.

Rozdział siedemnasty

Tris z trudem przełknął ślinę.

– Myślę, że już wystarczy jak na jeden dzień.

– Mamy bardzo niewiele czasu – stwierdziła Alyzza. – Musimy go jak najlepiej wykorzystać. Carino, przynieś nam z mojej torby kulę do wróżenia.

Potem wcisnęła kulę w dłoń Trisa.

– Przekonajmy się, co potrafisz z nią zrobić.

Tris obrócił kulę. Przypomniawszy sobie, jak trafne były wróżby takiej samej kuli w czasie Świąta w Margolanie i jak mroczną przyszłość pokazała.

– Ale ja nie wiem, jak się przywołuje wizje – zaprotestował.

– Możesz się nauczyć. Magowie każdego klanu potrafią przywoływać wizje, jedni lepiej, inni gorzej. Postaw kulę przed sobą – poleciała. – Oczyszczyć umysł. Skup się. Powiedz mi, co widzisz.

Tris wziął głęboki oddech i zrobił tak, jak kazała Alyzza. Ale kula do wróżenia pozostała ciemna.

– Nie się nie dzieje.

– Nie skupiasz się. Spróbuj jeszcze raz.

Księżę wziął kolejny oddech i zamknął oczy. Starał się ignorować odgłosy karawany dochodzące zza cienkich ścianek namiotu i tępy ból mięśni po lekcji szermierki z Vahanianem.

Wyobraził sobie kulę do wróżenia, usuwając z głowy wszystkie inne myśli, i kiedy zaczął zapuszczać się w głąb siebie, kula w jego umyśle rozjarzyła się, najpierw słabo, a potem mocniej, jasnożółtym blaskiem. Otworzył oczy i zobaczył, że szklana kula w jego dłoniach jaśnieje tak samo jak obraz kuli w jego umyśle.

Nagle kula do wróżenia zapłonęła jak schwytyany promień słońca, a głęboko wewnątrz kryształu uformował się obraz przysadzistego mężczyzny w średnim wieku, którego niegdyś ciemne włosy przyprószyła siwizna.

– Mój wuj – wyszeptał. Obraz zmienił się i Tris zobaczył kobietę, której podobieństwo do Bricena sprawiło, że ścisnęło go w gardle. – Siostra mojego ojca. – Kula wróżebna pociemniała.

Tris spojrzał pytająco na Alyzzę.

– Co takiego zobaczyłem?

– Odprysk czasu. O wiele więcej, niż się spodziewałam. Rzeczywiście masz moc – powiedziała wróżbitka z odrobiną podziwu w głosie. – Rozpoznałeś tę postać?

– To mój wuj. – Tris odłożył delikatnie szklaną kulę. – Ten, do którego się udaję.

– To ciekawe. Większość uczniów ma szczęście, jeśli przy pierwszej próbie szklana kula w ogóle się rozjarzy. Niektórym udaje się przywołać jakiś obraz, ale zwykle jest zbyt niewyraźny, żeby go rozpoznać. Jak to możliwe, że ty przy pierwszym wróżeniu nie tylko wywołałeś obraz, ale zobaczyłeś krewniaka? – Pochyliła się do przodu, aż jej pomarszczona twarz znalazła się zaledwie kilka cali od twarzy Trisa, a jej przesiąknięty piwem oddech dotarł do jego nozdrzy. – Bardzo ciekawe. Spróbuj raz jeszcze.

Tris znowu wziął szklaną kulę i przesunął dłońmi po jej gładkiej, ciepłej powierzchni. Zamknął oczy i powtórzył uspokajający rytuał, wpadając w lekki trans. Skupił myśli na szklanej kuli i sięgnął w ciemność. Coś od razu dotknęło jego umysłu. Ta nieznajoma moc wstrząsnęła nim tak, że omal nie upuścił kuli. W przeciwieństwie do ciepła, które Tris poczuł poprzednio, istota, która dotknęła jego umysłu, była zimna i nienawistna. Próbował zerwać kontakt, upuszczając kulę wróżebną i wycofując się, ale poczuł, jak ta istota podąża za nim. Alyzza rzuciła się na niego i objęła chudymi, lecz silnymi ramionami.

– Musisz się uwolnić, Tris! – syknęła. – Przerwij kontakt!

Bez żadnego ostrzeżenia obca moc znikła. Jej miejsce zajął potworny ból głowy. Gdy Alyzza puściła Trisa, osunął się na ziemię, zakrywając oczy dłonią.

– Co się stało? – spytała uzdrowicielka, pochylając się nad nim.

– Coś go szukało – odparła stara czarownica. – Coś złego i bardzo silnego.

Carina dotknęła czoła Trisa i ból zelżał. Otworzył oczy i zobaczył niepokój malujący się na jej twarzy.

– Kto cię szuka, młody magu? I dlaczego ktoś z takim talentem pracuje jako najemny pomocnik w karawanie? – wychrypiała Alyzza, choć z jej tonu wynikało, że nie spodziewa się odpowiedzi.

– Co to było? – spytał Tris.

– Nie wiem – odpowiedziała Alyzza śpiewnym tonem, który oznaczał, że myślami była gdzie indziej. – Coś potężnego, tak myślę. Coś złego, bardzo złego. Coś, co wie, że zaginałeś, i pragnie cię odnaleźć.

W jej bezzębny uśmiechu nie było niczego radosnego.

– Jak ukryć młodego maga, który dopiero się uczy? To jest problem – zastanawiała się na głos. – Niewyszkolony, stanowisz zagrożenie dla nas wszystkich. A to coś będzie szukało twojej mocy. To kłopot – wymruczała. – Nieważne. Musimy działać dalej i mieć nadzieję, że starczy nam czasu.

– Czy to „coś” może mnie zniszczyć?

– Phi! – syknęła Alyzza. – To jest najmniejsze z naszych zmartwień.

Odwróciła wzrok, jakby widziała coś w swoich wspomnieniach.

– To coś nie chce cię zabić. Najpierw cię pochłonie, zawładnie twoją mocą i posłuży się nią do czynienia zła. Jeśli będziesz wystarczająco silny, zabijesz swojego prześladowcę, ale do tego czasu będziesz już zdeprawowany.

– Nie ma nikogo innego, kto dokończyłby to zadanie – rzekł Tris, wpatrując się w ciemną kulę do wróżb. – Nie mogę dać za wygraną.

– Tak, musisz kontynuować. A ja ci pomogę na tyle, na ile moje skromne zdolności pozwolą. Ale musisz znaleźć prawdziwego nauczyciela.

– Gdzie?

– W Bibliotece Zachodniej Marchii – wyszeptała Alyzza. Na dźwięk tych słów młoda uzdrowicielka drgnęła. – Tam właśnie znajdziesz to, czego szukasz, jeśli jeszcze istnieje.

– Ale jak..

– Dość już tego! – oświadczyła nagle Alyzza, wstając. – Jestem zmęczona. Jutro, kiedy zapłoną wieczorne ogniska, przyjdź znowu. Będziemy mieć kolejną lekcję.

– A jeśli... to coś... znowu przyjdzie, żeby mnie odszukać?

– Uciekaj. Uciekaj, jeśli ci życie miłe.

Tris wśliznął się w zarośla na skraju lasu. Usiadł na skale i zaczął medytacje prowadzące do transu. Otaczające go odgłosy nocnego życia przybrały na sile, kiedy skupił się na pulsie lasu. Słyszał szmer małych przemykających stworzeń, cichy furkot nietoperzych skrzydeł, szelest liści.

Sięgnął zmysłami dalej i wyczuł rytm oddechu zwierząt, które zagrzebały się głęboko w swoich gniazdach i jamach. Jak do tej pory szło mu niezłe'

Carina i Alyzza pracowały z nim prawie co noc, wymyśliły rytuał ochronny, który – zazwyczaj – osłaniał go przed świadomością ciągłego cyklu narodzin i śmierci w otaczającym go świecie. Tris zaczął z większym powodzeniem blokować nieskończoną procesję zagubionych dusz, które go szukały; część z nich chciała odejść na spoczynek, inne były po prostu przyciągane przez jego moc jak ćmy do ognia. Metodą prób i błędów nabrał biegłości w rzucaniu prostych zaklęć wypędzania duchów i nauczył się dawno nie używanych rytuałów „przejścia”. Tak wiele duchów szukało u niego pomocy, że bez nich nie dałby rady im wszystkim pomóc bez doprowadzenia się do kompletnego wyczerpania.

Od śmierci jego babki w tych stronach nie było maga, który pośredniczyłby między światem żywych i umarłych, prosił zmarłych o błogosławieństwo czy odsyłał dusze do tamtego świata. Nie było też rozjemcy mogącego naprawić krzywdy, które przykuwały dusze do tego świata. Na szczęście – dzięki niech będą Bogini – nie każda dusza potrzebowała pomocy przy odejściu z tego świata.

Sen o siostrze nie powtórzył się już od czasu tej nocy, kiedy Tris przyszedł do Cariny, choć wspomnienie o nim nigdy go nie opuszczało, a błagalny głos Kait ciągle rozbrzmiewał w jego

umyśle. Carina i Alyzza nie chciały próbować ponownego przywoływania wizji po tym, jak przy ostatniej próbie jakaś nieznana moc starała się go dosięgnąć. Tris jednak nie chciał dać za wygraną. Dzisiejszej nocy postanowił raz jeszcze spróbować przełamać barierę, która więziła Kait, przyciągnąć siostrę do siebie i zakończyć jej cierpienie.

Wzniósł wokół siebie ochronny krąg do magicznego rytuału. Kiedy magiczne zabezpieczenia zostały ukończone, usadowił się wygodnie na kamieniu i zamknął oczy. Sięgając myślami ku duszom. *Kaity, jesteś tam?*

Obraz, jaki pojawił się w jego umyśle – twarz Kait za oddzielającą ich barierą, jej krzyki stłumione przez grubą szybę, malująca się wyraźnie w jej oczach desperacja – wstrząsnął nim. Zanim Tris zdążył odpowiedzieć, otoczyła go ciemność przesłaniająca twarz Kait i uciszająca jej krzyk. Choć mrok ten nie wydał z siebie żadnego głosu, Tris od razu rozpoznał w nim to milczące zło, które znalazło go podczas wróżenia. Mrok kłębił się wokół niego coraz szybciej, a on wyczuwał jego chłód i wrogość. Wiedziony instynktem, pognał przed siebie, rozpaczliwie próbując pozostawić w tyle ścigający go mrok. Czuł pełnię swojej mocy, a zmysły miał wyostrzone. Jego koncentracja została jednak zakłócona, kiedy obok niego przemknęła leśna mysz goniona przez jastrzębia. Trisem szarpnęło i wyczuł ducha myszy, jej przyspieszony puls i wypełniającą ją maleńką iskierkę życia. Jastrząb z furkotem skrzydeł spadł z nieba na swoją ofiarę. Tris poczuł panikę myszy i zestrojony ze zwierzątkiem, o mało co nie upadł, kiedy jastrząb zaatakował. Serce Trisa waliło jak oszalałe, kiedy próbował zerwać kontakt, zanim przerażenie myszy doprowadzi go do obłądu. Potem poczuł nagły przeszywający ból, gdy szpony wbiły się w ciało myszy, i w taki sam bolesny sposób, jakiego doświadczył na polu bitwy, Tris wyczuł, jak dusza małego stworzonka oddziela się od ciała i gaśnie.

– Nie! – wyrwało mu się z głębi gardła; bardziej przypominało to jęk niż artykułowany krzyk. Przestraszony jastrząb upuścił martwą mysz, a Tris poczuł, jak jego moc wzbiera. Patrzył,

jak zwierzątko pada na ziemię i spoczywa nieruchomo, a potem ku jego zdumieniu zmaltretowane ciało zaczęło drgać. Wyciągnął ku niemu rękę, ale w tym momencie ciężki but zdeptał ożywioną mysz, zdmuchując iskierkę życia i przerywając kontakt ze zwierzątkiem gwałtownym szarpnięciem, od którego zapało mu dech w piersiach.

Stała przed nim Alyzza, a na jej twarzy malowały się surowość i strach.

– Dlaczego? – wychrypiał Tris, rozdarty pomiędzy intensywnością swojego przeżycia a poczuciem niewypowiedzianej straty.

– Nie wiesz, co uczyniłeś? – Tris zobaczył w blasku księżyca, że kobietą wstrząsają dreszcze, choć nie wiedział, czy ze strachu, zimna czy złości.

Potrząsnął głową, wciąż wpatrując się w miejsce, gdzie leżała mysz.

– Niewiele wiem o magii dusz, ale to wiem – warknęła Alyzza. – Nie wolno nigdy zatrzymywać duszy, która chce odejść. Nie wolno nigdy ożywiać trupa. I nigdy nie wolno przywoływać zmarłych wbrew ich woli.

Tris przełknął z trudem ślinę, wciąż próbując odzyskać równowagę po tym gwałtownym wyrwaniu z transu.

– Ale... ja nie rozumiem... – Wyrzucał z siebie słowa, a Alyzza słuchała w milczeniu, a kiedy skończył, pokiwała głową.

– Duch, który pragnie pozostać, może zostać zatrzymany na tym świecie bez narażania twojej duszy – powiedziała stara czarownica, wbijając w niego gniewne spojrzenie swoich różnokolorowych oczu. – A dusza, która pragnie żyć, może zostać przywiązana do ciała, dopóki wyłom między nimi nie zostanie uleczony, jeśli dysponujesz taką mocą. Zaś umarli, którzy nie mogą opuścić tego świata, mogą zostać wezwani, jeśli nie pragniesz nagiąć ich do swojej woli ani zniewolić ich dusz. Ale... – pochyliła się ku niemu dla podkreślenia wagi swoich słów – żadnemu magowi Światła nie wolno ożywiać trupa ani przejmować nie swojego ducha. To jest

zakazane.

– Dlaczego? – Tris wpatrywał się z zalem w poszarpane ciało myszy, gdy Alyzza zdjęła z niego stopę.

– Nie dane mi było poznać tych tajemnic – odparła staruszka. – Wiem jednak, że sprzeciwiając się woli Pani, człowiek naraża swoją duszę. Obsydianowy Król wskrzeszał zmarłych, wpuszczał w nich inne dusze i zniewalał.

– Znałaś Obsydianowego Króla?

Czarownica zarechotała.

– Ci z nas, którzy wydali mu wojnę, nigdy tego nie zapomną, nawet w snach – powiedziała, a jej twarz ściągnęła się bólem. – Czy naprawdę sądzisz, że coś mniej straszniejszego doprowadziłoby mnie do szaleństwa?

– A jesteś szalona?

Alyzza zaśmiała się ochryple.

– O tak, oczywiście.

W tym momencie niedaleko skraju lasu dały się słyszeć krzyki i potem odgłos ciała zwalającego się ciężko na ziemię. Wytężając wzrok, aby nie uciekać się znowu do magii, Tris z trudem dostrzegł sylwetki dwóch walczących ze sobą mężczyzn. Słyszał, jak stękają z wysiłku, a ich pięści z głuchym odgłosem uderzają w ciało. Po chwili jeden z nich odniósł zwycięstwo i ukląkł na plecach drugiego mężczyzny, przyszpilając go do ziemi.

– Skoro już tu jesteś, Tris, to może mi pomożesz? – zabrzmiał w ciemnościach sardoniczny głos Vahaniana.

Tris chwycił za miecz i pobiegł, szczęśliwy, że może zostawić Alyzzę. Pomógł

Vahanianowi przytrzymać wyrywającego się jeńca, żeby związać mu nadgarstki, a potem obaj postawili mężczyznę na nogi.

– Co się stało? – wyszeptał Tris, kiedy prowadzili jeńca w stronę obozu.

– Złapałem szpiega – odparł krótko najemnik. – Nie powinien się kręcić w nocy wokół obozu. Nie chcę nawet myśleć, kto może kupować te informacje – dodał, popychając mężczyznę w stronę namiotu Lintona. – Czy powinienem zapytać, co robiłeś sam w lesie w nocy? – dodał ostrym tonem.

Tris odwrócił wzrok.

– Ja...

– Och, nieważne – przerwał mu Vahanian. – Pewnie i tak nie chcę wiedzieć.

Stanęli przed namiotem Lintona.

– Zobaczmy, co nasz gość ma do powiedzenia.

Gruby i niski przywódca karawany jęknął, gdy Vahanian ryknięciem zrobił mu gwałtowną pobudkę, i próbował po omacku zapalić świecę.

– Jonmarc, lepiej, żeby to było coś ważnego – powiedział, kiedy klnąc, podchodził do klapy namiotu.

– Stałem na warcie i natknąłem się na niego, jak się skradał – rzekł Vahanian, szturchając mężczyznę, a potem sięgnął po stołek i popchnął jeńca, żeby na nim usiadł.

– A teraz – rzekł, wyjmując sztylet zza pasa i obracając go w dłoniach, tak żeby padł na niego blask świecy – zobaczymy, co ma do powiedzenia.

Jeniec przeniósł spojrzenie z jednego na drugiego mężczyznę, a potem poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć, lecz bełkotliwe słowa były niezrozumiałe.

Linton zaczął klnąć.

– Doskonała robota, Jonmarc. Musiałeś złamać mu szczękę?

– Może uda nam się go uleczyć na tyle, żeby wydobyć z niego informacje. Poprosimy Carinę?

– Nie wyobrażam sobie lepszego sposobu na to, żebyś jej podpadł. Lepiej sam ją sprowadzę – rzekł z rezygnacją Linton. – Pewnie i tak już nie zasnę.

Tris i Vahanian czekali, a Maynard poszedł sprowadzić uzdrowicielkę. Ich jeniec siedział z ponurą miną na taborecie. Na jego twarzy zaczęły uwidaczniać się ślady walki z Vahanianem, jedno oko puchło mu szybko, a policzek zsiniał. Zdawało się, że minęła wieczność, kiedy usłyszeli, jak Carina i Linton nadchodzą, kłócąc się.

– Cóż, ten wieczór robi się coraz bardziej zabawny – wymruczał pod nosem Vahanian, gdy Linton sięgnął po klapę namiotu i przytrzymał ją, żeby Carina mogła wejść.

– Wiem, że proszę cię o nietypową rzecz, Carino, ale byłbym wdzięczny, gdybyś... –

Linton urwał jednak, kiedy podeszli do jeńca i Carina przeniosła spojrzenie ze związanego mężczyzny na Vahaniana, a potem spojrzała z wyrzutem na Trisa.

– Jeśli dobrze rozumiem... – uniosła hardo głowę i podeszła bliżej, jakby rzucała wyzwanie Vahanianowi – widzisz kogoś, kogo nie znasz, bijesz go na miazgę – wskazała głową na jeńca – a potem chcesz, żebym pomogła ci go przesłuchać?

Tris dostrzegł błysk gniewu w oczach najemnika.

– Nie potrzebuję twojej pomocy przy przesłuchaniu. Chcę, żebyś wyleczyła mu szczękę, aby mógł nam powiedzieć, dlaczego robił rekonesans wokół naszego obozu.

– Skąd wiesz, że nas szpiegował? Zdumiewa mnie, że go nie przebiłeś mieczem, zanim zadałeś jakieś pytania.

Mięsień na twarzy Vahaniana drgnął, lecz mężczyzna starał się nie stracić zimnej krwi.

– Rozwazałem taką możliwość – rzekł spokojnie. – Został tu jednak przysłany przez kogoś, a ja chciałbym wiedzieć, przez kogo i dlaczego.

Obrzuciwszy go gniewnym spojrzeniem, które wskazywało, że to jeszcze nie koniec kłótni, Carina podeszła, żeby zbadać jeńca. Po kilku chwilach potrząsnęła głową.

– Złamałeś mi szczękę – powiedziała, spoglądając, na Vahaniana.

– Wiem o tym – odparował. – Czy możesz to wyleczyć?

Uzdrowicielka spojrzała teraz na Lintona.

– Nie zamierzam uzdrowić tego człowieka tylko po to, żeby twój wynajęty mięśniak znowu go poturbował.

– Wiesz, że nigdy nie prosilibyśmy cię o coś takiego, Carino – rzekł przywódca karawany, starając się ją udobruchać – gdyby nie było to ważne. Spróbuj, proszę – dodał błagalnie.

– Rozumiesz chyba, że nie potrafię tak po prostu sprawić, żeby złamana kość była jak nowa. Mogę przyspieszyć zrastanie się kości, ale gdy skończę, on jeszcze przez jakiś czas może nie być w stanie mówić.

– Świetnie – wymruczał pod nosem Vahanian, a Carina obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

– Posłuchaj no, jeśli chciałeś z nim porozmawiać, mogłeś walnąć go w inną część ciała.

– Po prostu spróbuj – poprosił spokojnie najemnik. – Proszę.

Carina przeniosła spojrzenie z powrotem na Lintona.

– W porządku – powiedziała wreszcie. – Zróbcie mi miejsce.

Minęła prawie świeca, zanim Carina odsunęła się zmęczona od swojego pacjenta, a Linton wcisnął jej w dłonie kubek gorącego kerifu, który przyjęła z wdzięcznością. Jeniec miał wzrok wbity w ziemię i nadal milczał. Tris zauważył, że oprócz tego, że Carina naprawiła jakoś szczękę mężczyzny, udało jej się także zmniejszyć opuchliznę wokół podbitego oka i wyleczyć siniaka na policzku.

W trakcie tego uzdrawiania Vahanian stał, opierając się o słup namiotu, z rękoma skrzyżowanymi na piersi i ponurą miną.

– Zrobiłam wszystko, co mogłam – oświadczyła w końcu uzdrowicielka.

– Czy on może mówić? – wycedził Vahanian.

Carina spiorunowała go wzrokiem.

– Możesz spróbować.

– Dziękuję ci, Carino – wtrącił się Linton, stając między nimi i biorąc dziewczynę pod ramię. – Pozwól, że odprowadzę cię do twojego namiotu – powiedział, delikatnie prowadząc ją do wyjścia. – Naprawdę mamy szczęście, że jest z nami uzdrowicielka taka jak ty, i przepraszam, że tak do ciebie przyszedłem w środku nocy.

Nieczuła na jego pochlebstwa, Carina zatrzymała się przy wejściu do namiotu i obrzuciła Vahaniana groźnym spojrzeniem.

– Lepiej niech zostanie w jednym kawałku – rozkazała. – Nie mam ochoty robić tego jeszcze raz.

– Nie mogę tego obiecać – odparł spokojnie. – Czuwam nad bezpieczeństwem obozu i zrobię to, co konieczne.

– To, co będzie konieczne – powtórzyła Carina. Nawet jeśli miała ochotę jeszcze coś dodać, to się powstrzymała; odwróciła się i przyjmując ramię Lintona, ruszyła do swojego namiotu. Linton rzucił jeszcze przez ramię spojrzenie, które wyraźnie nakazywało Vahanianowi trzymanie języka za zębami, a potem pozwolił opaść klapie namiotu, pozostawiając Trisa i Vahaniana sam na sam z jeńcem.

– A teraz – powiedział Vahanian, podchodząc do jeńca – spróbujmy znowu zadać te same pytania – rzekł groźnym tonem. – Powinieneś też wiedzieć, że zazwyczaj nie słucham się tej pani. Lepiej więc będzie dla ciebie, jeśli powiesz mi wszystko, czego chcę się dowiedzieć.

Jeniec opowiedział im swoją historię i nie musieli już robić mu krzywdy. Twierdził, że szukał pożywienia i czegokolwiek do wyszabrowania. Tris widział po zachowaniu Vahaniana, że podejrzewa on, iż kryje się za tym coś jeszcze, ale po trwającym świecę przesłuchaniu najemnik

wreszcie cofnął się, klnąc i potrząsnął głową.

– Zadowolony, Jonmarc? – spytał Linton; ten mały, gruby człowieczek siedział na pufie i śledził przebieg przesłuchania z rękoma skrzyżowanymi na piersiach.

– Nie, ale niczego więcej się nie dowiem – odparł krótko Vahanian.

W tym momencie Cam wsunął głowę do namiotu.

– Wybacz, Maynardzie – zerknął na Trisa i Vahaniana – ale jacyś ludzie chcą się z tobą zobaczyć.

– Ten człowiek właśnie wychodzi. – Vahanian kazał jeńcowi wstać i poprowadził go ku wyjściu. – Odprowadź go na skraj obozu, Cam, i dopilnuj, żeby udał się w odwrotnym kierunku, niż zmierza karawana, dobrze?

Olbrzym skinął głową i złapał jeńca za ramię.

– Mogę to zrobić. Słyszałem, że miałeś niespokojną noc – rzucił ot tak sobie, spoglądając znacząco na Vahaniana.

– Nie wiem, kto ci to powiedział – odparł najemnik i przeniósł wzrok na trzech mężczyzn na koniach, ubranych w szaty kupców z Mussy. Za koźmi stały trzy juczne muły, każdy miał przytroczony z boku wysoki kosz wyładowany belami jedwabiu, owiniętymi dla ochrony w grube płótno.

Linton precyzyjnie się między Camem a Vahanianem i wyszedł kupcom na spotkanie.

– Witajcie, przyjaciele – zagał, starając się nie sprawiać wrażenia, że był całą noc na nogach. – Witajcie w naszej karawanie. Co możemy dla was zrobić?

– Nie wiem jak ty, ale ja bym coś zjadł i się przespał – wyszeptał Tris. – Chodźmy.

Vahanian potrząsnął głową, nie odrywając wzroku od kupców.

– Jeszcze nie. To mi się nie podoba. Coś tu jest nie tak. Chcę zostać.

Kupcy zsiadli z koni i podali wodze dwóm ustawiaczom namiotów.

Poszli za Lintonem do jego namiotu, nie oglądając się na Trisa i Vahaniana, ci zaś weszli za nimi do środka i zajęli pozycje z boku, starając się nie rzucać w oczy.

Linton gestem zaprosił kupców, żeby usiedli, i nalał każdemu z nich kubek kerifu z gotującego się nad ogniem kociołka.

– A zatem, przyjaciele, jaką macie sprawę?

– Jesteśmy kupcami jedwabiów z Mussy – odparł wyższy mężczyzna z brodą. Był potężnie zbudowanym człowiekiem, a jego opalenizna świadczyła o życiu w ciągłej podróży. –

Zmierzamy na południe, a ponieważ już od jakiegoś czasu jesteśmy w drodze, dobrze byłoby spędzić jedną noc z waszą karawaną, zanim pojedziemy dalej.

– Opowiedzcie mi o drodze na północ – poprosił Linton, siadając na pufie i ignorując Trisa i Vahaniana. – Słyszeliśmy wiele różnych opowieści.

Wysoki kupiec roześmiał się.

– Z pewnością. Szlak był bezpieczny, pogoda paskudna jak zwykle, a kobiety zadowolone z nowych jedwabiów.

Linton zmarszczył brwi.

– Droga była bezpieczna?

– I owszem – odparł wysoki kupiec. – Jak się tego można było spodziewać o tej porze roku.

– Nie napotkaliście niczego... nadzwyczajnego... w czasie podróży?

– Nie, a czemu pytasz?

Linton wzruszył ramionami.

– Krążą pogłoski o tym, że na drodze na północ widziano „dziwne rzeczy”.

Mężczyzna znowu się roześmiał, ukazując usta pełne złotych zębów.

– Podróżuję już od wielu lat, przyjacielu, i widziałem wiele dziwnych rzeczy. Ale tu po

drodze nie spotkałem niczego nadzwyczajnego.

– Możecie zostać na noc – powiedział Linton – ale my rano wyruszamy. Mamy nadzieję dotrzeć do granicy z Dhasson, zanim zimowa pogoda utrudni podróżowanie.

– To mądra decyzja. Zimowaliśmy tutaj raz w pobliżu, ale nie z własnego wyboru, tylko po prostu za długo zwlekaliśmy przed nadejściem burz. To nie była najmiłsza zima.

Wstał, a jego towarzysze zrobili to samo.

– Jeśli zaprowadzisz nas do miejsca, gdzie możemy odpocząć, nie będziemy ci się już naprzykrzać.

– Ktoś zaprowadzi was do naszego handlowego namiotu. Dziś zwijamy obóz, więc nie będzie używany. Możecie tam odpocząć, przynajmniej dopóki ludzie go nie złożą.

– Jesteś wielce uprzejmy – rzekł kupiec, kłaniając się, i mężczyźni opuścili namiot.

Najemnik podszedł do klapy i cały czas odprowadzał ich wzrokiem.

– Chyba powinienem zapytać, dlaczego zostałeś, Jonmarc – rzekł ze znużeniem w głosie

Linton. – Maniery nigdy nie były twoją mocną stroną, ale teraz zaczynasz się robić nieznośny.

– Oni kłamią – stwierdził z przekonaniem Vahanian. – Jeśli on jest kupcem z Mussy, to ja jestem nargijskim kapłanem.

Linton przyglądał mu się przez chwilę.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Przez lata szmuglowałem mussański jedwab. Kupcy nie podróżują o tej porze roku, obchodzą bowiem jakieś święto na cześć jedwabnika. Jedwab to ich jedyne źródło utrzymania. To święto jest dla nich bardzo ważne.

– Może oni nie są bardzo religijnymi kupcami.

– I ta jego opowieść o szlaku – ciągnął z uporem Vahanian. – Prawie każdy podróżnik opowiadał historie o magicznych stworach, od których włosy stają dęba. A ten kupiec próbował

sprawiać wrażenie, jakby w ogóle nie rozumiał twojego pytania.

– Może nie jest przesądny – burknął Linton. – Naprawdę, Jonmarc, zawsze byłeś ostrożny, ale nie widzę potrzeby...

– Coś jest nie tak. Nie podoba mi się to.

– Możesz się tym zamartwiać, ile chcesz – rzekł znużony Linton. – Ja wracam do łóżka.

Rozdział osiemnasty

Vahanian nie odezwał się ani słowem, odkąd wraz z Trisem opuścili namiot przywódcy karawany, zmierzał stanowczym krokiem z powrotem do namiotu, który dzielił z Harrtuckiem.

– Co teraz? – spytał Tris.

– Wyjeżdżamy – odparł stanowczo. – Linton potrafi być uparty jak osioł. Ten zwiadowca nie szukał jedynie kurczaków, a to, że zaraz po nim pojawili się ci „kupcy”, jest wysoce podejrzane.

– Idź się spakować – dodał, podchodząc do klapy namiotu. – Wynosimy się stąd.

– O co chodzi z tym pakowaniem? – spytał tubalnym głosem Harrtuck, gdy Vahanian wszedł do namiotu, a Tris podążył za nim.

– Schwytałem w nocy szpiega – stwierdził krótko najemnik. – A potem rankiem pojawiła się grupa „kupców z Mussy”, którzy chcą zostać na noc. Dzieje się coś złego i chcę, żebyśmy się stąd wynieśli.

Harrtuck wymienił spojrzenia z Trisem – książkę wzruszył ramionami – i wysuwając szczękę, zrobił krok w stronę Vahaniana.

– Jonmarc...

– Posłuchaj – przerwał mu Vahanian. – Wynajęliście mnie po to, żebym was ochraniał. I właśnie to robię. Myślę, że bandyci znowu przeprowadzili rekonesans. Nie jestem pewien, czy Kaine nie miał jakiejś karty w rękawie, kiedy odłączył się z częścią karawany. To śmierdzi, Tov,

i wcale mi się nie podoba.

– Wynajęliśmy cię, żebyś nas ochraniał, to prawda – odparł spokojnie Harrtuck, nie poruszony wściekłością Vahaniana. – Ale zostaliśmy także wynajęci do ochrony karawany. Czy zamierzasz tak sobie odejść?

– Tak. – I bez cienia skruchy najemnik zaczął zwijać swoje koce.

– A ja nie. – Żołnierz stanął w rozkroku, opierając na biodrach zwinięte w pięści ręce. – Złożyłem obietnicę i jej dotrzymam, przynajmniej dopóki nie dotrzemy do granicy z Dhasson.

– Miło było cię poznać – stwierdził Vahanian. – Bo według tego, co mówił ten vayash moru, który ocalił mi życie tamtej nocy, kiedy zostałem pokiereszowany, na granicy z Dhasson czeka na Trisa mroczna magia. Powiedział, że „to, czego potrzebujecie, odnajdzie was w drodze na północ” – dodał, cały czas upychając swoje rzeczy w juki.

– I tyle? – rzucił oskarżycielsko Tris. – Odjeżdżasz tak po prostu?

Vahanian odwrócił się, by na niego spojrzeć.

– To wy chcecie zostać. Chodźcie ze mną, a zaprowadzę was do przeprawy rzecznej i tam będziecie mogli zdecydować, czy udacie się do Dhasson, czy do Księstwa. Doprowadzę was do tego miejsca. Ale nie zamierzam zostać tu i stać się celem ataku.

– Na Boginię, czy zapomniałeś, o jaką stawkę toczy się gra, Jonmarc? – zaczął go przekonywać Harrtuck. – Tris jest jedyną nadzieją na powstrzymanie Arontali, jaka pojawiła się w ciągu dziesięciu lat. Ta szansa powinna być coś warta, zwłaszcza dla ciebie.

Vahanian odwrócił wzrok.

– Dziesięć lat to długi czas – wymruczał, rozzłoszczony, odwracając się, żeby wrócić do pakowania. – To, co dzieje się w Margolanie, to nie moja sprawa.

– Owszem, ale to, co wydarzyło się w Chauvrenne, było twoją sprawą – warknął Harrtuck.

– Ludzie zginęli tam za ciebie przez Arontalę. Czy może dziesięć lat to za długo, żeby o tym

pamiętać?

Vahanian odwrócił się do niego tak szybko, że Tris pomyślał, że przyłoży żołnierzowi.

– Nie – odparł groźnym głosem. – Ale może mam to już za sobą.

– Doprawdy? I to samo dotyczy Shanny?

Tym razem Vahanian zamachnął się i przywalił Harrtuckowi, ale ten wygiął się tylko do tyłu i nie ruszył się z miejsca. Nie odpowiedział mu uderzeniem, jedynie z podziwem pogładził się po szczęce.

– Cholernie dobry cios – powiedział. – Cholernie dobry. Za dobrze cię wyuczyłem.

Vahanian wpatrywał się w Harrtucka z ponurą miną, masując sobie pięść.

– Na Dziwkę, Tov, zasłużyłeś na to.

– Gdyby nie to, że Carina dopiero co cię wyleczyła, wbiłbym ci trochę rozumu do głowy – odparował Harrtuck. – Bandyci czy nie, Jonmarc, będziemy mieli większą szansę na przeżycie w grupie niż sami na szlaku, i powinieneś o tym wiedzieć. Ty nie uciekasz przed bandytami – rzucił wyzywająco, wysuwając podbródek, jakby zapraszał Vahaniana do zadania mu kolejnego ciosu. – Uciekasz przed Arontalą. Chcesz w końcu mieć okazję, żeby się na nim zemścić, czy nie?

Zdawało się, że minęła wieczność, kiedy Vahanian i Harrtuck mierzyli się gniewnymi spojrzeniami.

Wreszcie Vahanian zaklął i odwrócił wzrok, po czym ruszył do wyjścia.

– Dokąd idziesz? – chciał wiedzieć Harrtuck.

– Żeby podkuć konie – rzucił przez ramię najemnik. – Jeśli jesteśmy na tyle głupi, żeby tu zostać, to chcę, żeby od razu były gotowe do jazdy.

Tris nie odzywał się, dopóki nie umilkł odgłos kroków Vahaniana, a potem spojrzał na Harrtucka.

– Już po raz drugi wspominasz Chauvrenne. Może czas, żebyś mi powiedział, co się tam wydarzyło.

Przyjaciel wziął głęboki oddech i odwrócił wzrok.

– Już dawno temu przyjąłem taką zasadę, żeby nie mówić o Jonmarcu, a przynajmniej nie za dużo – powiedział, gładząc się po szczęce.

– Wiesz, o jaką stawkę toczy się gra. Chcę wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

Harrtuck zmierzył Trisa taksującym spojrzeniem.

– Zaczynasz się zachowywać jak król, panie – rzekł cicho. – Widać ta podróż dobrze ci służy. – Zamilkł na chwilę, a potem zacisnął usta, jakby podjął już decyzję.

– Spotkałem Jonmarca dziesięć lat temu, kiedy obydwaj zaciągnęliśmy się do wojska we Wschodniej Marchii, przy granicy z Dhasson. Byliśmy młodzi i sprawnie władaliśmy mieczem. To było dobre miejsce – westchnął – ale do czasu. Po jakimś roku armia dostała nowego dowódcę. A wraz z nim przybył mag z Ognistego Klanu. Wiesz, jakie zdanie żołnierze mają na ogół o magach. – Uśmiechnął się przepraszająco.

– Wiem.

– Ten dowódca, człowiek wielce szanowany w Cartelasii, zaczął się zmieniać i używać wojska dla własnych korzyści. Jonmarc był wtedy kapitanem i nie podobało mu się to, co się działo. Pewnego dnia jego pluton otrzymał rozkaz zebrania podatków w wiosce, która odmówiła ich płacenia. Pojechał tam, ale wieśniacy byli uparci i nie dali się zastraszyć żołnierzom, którzy wmaszerowali do wsi. Nadszedł rozkaz spalenia wioski. Jonmarc odmówił wykonania rozkazu, a żołnierze poszli w jego ślady.

– I co się stało? – spytał cicho Tris.

– Ruszono za nimi w pościg, zostali schwytani przez własną armię i sprowadzeni w kajdanach przed sąd wojskowy – rzekł z goryczą Harrtuck. – Przewodniczył mu sam dowódca,

mając u boku Arontalę. Kazał stracić cały pluton za zdradę, a Jonmarc musiał się temu przyglądać. A potem zabrał Vahaniana do wioski, sam ją podpalił i zostawił go, aby zginął razem z jej mieszkańcami.

Zamilkł na chwilę.

– W jakiś sposób udało mu się uciec. I tak ucieka od tamtej pory. To dlatego wybrałem Jonmarca na przewodnika. Jest nie tylko najlepszym szermierzem, jakiego spotkałem, ale tak samo zależy mu na upadku Arontali jak tobie, Tris.

– To dlaczego...

– Dlaczego nie rwie się do zemsty? Może dlatego, że jedyną osobą, którą wini bardziej niż Arontalę, jest on sam. Nie wiem. Wiem tylko, że był jednym z najbieglejszych strategów w armii Wschodniej Marchii i że zmarnował ostatnie dziesięć lat na szmugłowanie rzeką jedwabiów i brandy. Chyba po prostu dał za wygraną.

– Jeśli on jest tak dobry jak mówisz i czuje, że coś tu śmierdzi, to może powinniśmy potraktować to poważnie. – Tris uniósł rękę, zanim Harrtuck mógł zaproponować. – Zgadzam się z tobą w kwestii pozostania z karawaną, przynajmniej dopóki nie przejedziemy przez las. Ale może powinniśmy zachować większą czujność.

Harrtuck przygryzł wargę, a potem pokiwał głową.

– Ano, nic się nie stanie, jeśli będziemy spać z jednym okiem otwartym. Porozmawiam z Banem i Carroway'em.

– I z Camem – dodał Tris. – Mam dziwne przeczucie, że on i Carina są w to jakoś wplątani.

– Módl się do Pani, żeby ta ostrożność Jonmarca okazała się przesadzona. Las nie jest dobrym miejscem na kłopoty.

Tris ruszył do wyjścia z namiotu.

– Dokąd idziesz? – spytał Harrtuck.

– Żeby podkuć konie – odparł, nie odwracając się. – Tak na wszelki wypadek.

Tris znalazł Vahaniana w prowizorycznej stajni. Podkuwał konie. Sprawdzał osprzęt i przygotowywał zapasy, trzymając na podorędziu miecz i kuszę. Jeśli nawet stajenni zauważyli ich starania, to nic nie powiedzieli, pozwalając im działać.

Przez kilka godzin Tris i Vahanian pracowali w milczeniu; przerwali późnym rankiem, żeby zjeść drugie śniadanie i przespać się na belach siana. Dopiero kiedy wydłużone cienie popołudniowego słońca przeszły w noc, a stajenni udali się do swoich łóżek, Vahanian wreszcie się odezwał,

– A więc – rzekł, nie podnosząc wzroku znad kopyta, które oglądał – pewnie Harrtuck opowiedział ci o Chauvrenne. – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie i Tris skinął głową.

Jonmarc zaklął pod nosem. – Widać nie przywaliłem mu dostatecznie mocno.

– Walnąłeś go tak mocno, że powaliłoby to nawet muła.

– Powinno więc wystarczyć.

– Chciałbym tylko wiedzieć jedną rzecz – powiedział Tris, mocując nową podkowę.

– Co takiego?

– Twój przyjaciel vayash moru mówi, że nie wolno mi jechać do Dhasson. Co się zatem stanie, jeśli przekroczymy granicę Księstwa?

Vahanian milczał przez chwilę, a potem odpowiedział, nie podnosząc wzroku.

– Prześlesz wiadomość wujowi, a ja otrzymam zapłatę.

– A potem?

Kolejna chwila milczenia była już bardziej krępująca, słysząc było, jak Vahanian przybija podkowę.

– Posłuchaj, Tris, wiem, że chcesz, abym wziął udział w tej wielkiej krucjacie. Cóż, moje

dni wojaczki się skończyły. Myślę, że za to, co jesteś mi winny, będę mógł kupić udział w przemyśle jedwabiu do Nargi. To podwoi moje dochody i będę mógł zakończyć karierę przemytniczą jako bogaty człowiek. Kupię statek i dla odmiany zajmę się legalnym handlem na rzece, żeby przestali mnie tłuc.

– Dasz za wygraną – dodał Tris. Przez chwilę, zanim Vahanian przywdział znowu maskę, zdawało mu się, że zobaczył na jego twarzy coś więcej, potem jednak spojrzenie najemnika przybrało zimny wyraz.

– Tak – odparł – pewnie można tak powiedzieć. Harrtuck tak twierdzi. To nie ma jednak dla mnie znaczenia.

– Harrtuck mówi, że kiedyś miało.

– Przeszło mi.

– Naprawdę? Czy to możliwe? – naciskał książkę. Postawił końskie kopyto i oparł się o ścianę stajni.

– Dobrze mi szło, dopóki Harrtuck nie wynajął mnie, żebym uratował twoją królewską dupę – odparował Vahanian. – I nie zamierzam dać się zabić, walcząc z czymś, czego nie mogę pokonać.

– Ktoś musi spróbować. Bo on chce wszystkiego – wszystkich Siedmiu Królestw. Nie myślisz chyba, że Arontala poprzestanie na Margolanie, co? – ciągnął Tris. – Gdzie wówczas uciekniesz? – Zamilkł na chwilę. – Ja nie mam takiej możliwości. Straciłem rodzinę.

– To się często zdarza.

Tris przez chwilę wbijał wzrok w plecy Vahaniana, gdy najemnik podszedł do kolejnego konia i zaczął oglądać jego kopyta.

– Shanna.... to była rodzina? – spytał cicho.

Tym razem Vahanian milczał tak długo, że Tris sądził już, iż mu nie odpowie.

– Była moją żoną – powiedział wreszcie, nie patrząc na Trisa.

– I Arontala... ją zabił?

Vahanian podniósł wzrok, a w jego oczach malował się gniew i ból.

– Zadajesz dużo pytań.

– To odpowiedzi się liczą.

Po długim milczeniu Vahanian zaklął, wypuścił powietrze, wyprostował się i odwrócił.

– Pewnie i tak wyciągniesz to z Harrtucka – powiedział, przesuwając ręką po włosach. –

Tak, winię za to Arontalę. – Jego głos był cichy i zdławiony. – To się stało, zanim wstąpiłem do wojska, byłem młodszy niż ty teraz. Dobrze mi się żyło, a przynajmniej nie biedowałem; pracowałem jako kowal i wyciągałem biżuterię pogrzebową z jaskiń na Pograniczu, z grobowców, o których wszyscy już zapomnieli.

– Pewnej nocy pojawił się mag, który nazywał się Foor Arontala. Zaproponował mi niewyobrażalną sumę pieniędzy za talizman, który ponoć był w tych jaskiniach. Miałem tylko iść i przynieść go.

– I tak zrobiłem – powiedział cicho. – Znalazłem talizman w grobowcu, którego wcześniej nie widziałem, i przyniosłem go. Zawiesiłem na rzemyku na szyi, żeby nie zgubić. Tylko że tej nocy nadeszły Stwory.

– Stwory?

Vahanian przełknął z trudem ślinę.

– Stwory. Takie same jak te „magiczne bestie”, o których ciągle słyszymy. One są prawdziwe. I są przepełnione złem. Pojawiły się jakby znikąd i pragnęły jedynie naszej śmierci. Zamilkł, a jego ręka powędrowała bezwiednie do blizny, która biegła od ucha aż do obojczyka.

– Walczyliśmy z nimi z całych sił. Przebijałem je mieczem, rąbałem na kawałki, ale i tak

nie miało to żadnego znaczenia. O świcie nic nie zostało z wioski, nikt nie przeżył oprócz mnie.

A te stwory znikły wraz ze światłem dnia jak rozwiewający się dym.

Odwrócił się do Trisa; jego oczy błyszczały bólem wywołanym wspomnieniami.

– Wezwał je ten talizman – powiedział zdławionym głosem. – Arontala musiał o tym wiedzieć. To ja sprowadziłem je do wioski, i nic nie mogłem na to poradzić, kiedy się pojawiły.

– Czemu ty też nie zginąłeś?

Vahanian potrząsnął głową.

– Domyśliłem się jedynie, że talizman chroni tego, kto go nosi. Arontala pewnie też to wiedział.

– Co stało się potem?

– Zaniósłem tę przeklętą rzecz z powrotem do jaskini, w której ją znalazłem, podpaliłem wioskę i uciekłem. Potem nie widziałem już tego maga, dopóki nie pojawił się rok później, stojąc za oficerem dowodzącym we Wschodniej Marchii.

Vahanian pochylił głowę i oparł się o konia.

– Czy podoba ci się ta opowieść, książę? – spytał, próbując ukryć gorycz w swoim głosie.

Kiedy Tris nic nie powiedział, odwrócił się do niego i potrząsnął głową.

– Nie rozumiesz, co? – rzekł ze znużeniem. – Żadna walka nie przywróci im życia, więc jaki sens ma zemsta?

– Ktoś musi go powstrzymać.

Vahanian rozłożył szeroko ramiona w geście poddania się beznadziei.

– Powstrzymać go? Równie dobrze możesz chcieć przesłonić księżyc. Obłaskawić vayash moru. Wskrzesić umarłych. Nie da się tego zrobić. Ty będziesz martwy, a Arontala zwycięży.

– Muszę spróbować.

– Próbuj – wymruczał posępnie Vahanian, sprawdzając zapasy paszy dla koni. – Poproszę

bardów, żeby opowiedzieli mi tę historię. O przegranych sprawach powstają najwspanialsze pieśni do śpiewania w gospodach.

Za ścianą stajni dał się słyszeć jakiś stłumiony odgłos. Zanim Tris zdołał odpowiedzieć, Vahanian zgasił lampę, chwycił bron i padł na ziemię, pociągając go za sobą.

– Co, do diabła? – wychrypiał Tris, lecz Jonmarc dał mu znak, żeby zamilkł i dobył miecza. Podnieśli się ostrożnie i podeszli do otwartego okna stajni.

– Popatrz – wyszeptał Vahanian, zaciskając dłoń na kuszy. – Tam.

Tris dostrzegł kilka ciemnych sylwetek skradających się w mroku ku śpiącemu obozowi.

– Bandyci – powiedział.

Vahanian potrząsnął głową z ponurą miną.

– Nie. Handlarze niewolników.

– Skąd...

– Popatrz, jak się poruszają. Zachowują się zbyt profesjonalnie jak na bandytów. A ten odgłos to był bełt do kuszy. To zbyt kosztowna bron jak na bandytów. Mamy kłopoty.

– Musimy ostrzec pozostałych.

– Wróć do obozu. – Vahanian zaczął wspinać się na parapet okna stajni. – Obudź Harrtucka i Soteriusa. Do diabła, obudź każdego, kogo uda ci się znaleźć. Zайдę ich od tyłu, zobaczę, ilu uda mi się załatwić.

Tris spojrzał pytająco na najemnika, a ten nachmurzył się, jakby potrafił czytać w jego myślach.

– Nie, nie uciekam. Jeśli moje domysły są słuszne, będzie wam potrzebna wszelka możliwa pomoc. A teraz ruszaj – warknął. – I nie wychylaj się, dzieciaku – dorzucił chrapliwym szeptem za biegnącym do drzwi Trisem.

Rozdział dziewiętnasty

Idąc za radą Vahaniana, Tris trzymał się zarośli, uważając na obcych, którzy kręcili się w krzakach między zrujnowaną studnią a obozem karawany. Na odgłos kroków dobiegających z prawej strony padł na brzuch i sięgnął po sztylet. Leżąc nieruchomo z twarzą wciśniętą w mokre liście, zobaczył buty człowieka przechodzącego zaledwie o wyciągnięcie ręki od jego kryjówki. Wydawało mu się, że jego serce bije tak mocno, że inni muszą je słyszeć, ale handlarz niewolników przeszedł dalej.

Modląc się w duchu do Bogini, Tris podniósł się, wciąż ściskając sztylet w dłoni, i ruszył pochylony w stronę obozu. Na szczęście namiot Soteriusa był blisko stajni.

– Ban, obudź się! – syknął ponagląco, gdy wpadł do środka.

– On cię nie słyszy – odezwał się z tyłu szyderczy głos i Tris poczuł rękojęć noża wbijającą mu się między łopatki. Gdy jego oczy przyzwyczyły się do mroku panującego w namiocie, zobaczył Soteriusa związanego i zakneblowanego, patrzącego na niego szeroko rozwartymi ze strachu oczami.

Tris podniósł ręce w geście poddania i upuścił nóż.

A potem, gdy stojący za nim handlarz niewolników cofnął się, żeby podnieść leżącą bron, zaatakował go stopą, modląc się, żeby choć raz udało mu się powtórzyć kopniaka Vahaniana.

Mimo iż jego atak był dość niezdamny, zaskoczył napastnika i handlarz niewolników poleciał do tyłu z przekleństwem na ustach. Tris rzucił się na mężczyznę, przycisnął go do ziemi i wyrznął pięścią w podbródek tak mocno, że ten stracił przytomność. Potem chwycił skórzany rzemień z uprzęży Soteriusa i związał nieprzytomnego handlarza niewolników, a następnie zakneblował mu usta szmatą. Wyciągnął nóż i podszedł do Soteriusa, który tymczasem wydawał zduszone okrzyki radości, i uwolnił go.

– Na Boginię, Tris, przybyłeś w samą porę! – zawołał, rozcierając sobie nadgarstki. – Co się dzieje?

– Handlarze niewolników – rzucił Tris, zerkając na jeńca. – Jonmarc krąży na ich tyłach, ale widziałem, jak przynajmniej tuzin zmierzał w kierunku obozu. Musimy obudzić pozostałych.

Wtedy właśnie usłyszeli szcęk stali na otwartej przestrzeni za namiotami.

– Wygląda na to, że zabawa już się zaczęła – rzucił z nerwowym uśmiechem Soterius, dobywając miecza i rzucając się do wyjścia z namiotu. – Nie każmy im czekać.

Tris dobył miecza, wyszeptał pospiesznie modlitwę z prośbą o ochronę i pognali w stronę walczących. Napastnicy wybrali atak pod osłoną ciemności, ale ktoś, przyjaciel lub wróg, podpalił dwie bele słomy koło głównego namiotu karawany, rozświetlając nocne niebo. Zanim Tris i Soterius dotarli na miejsce, zostali rozdzieleni. Walcząc z dwoma handlarzami niewolników, Tris dostrzegł, że Soterius naciera na ogromnego, dwukrotnie większego od niego mężczyznę. Nagle oślepiający zielony płomień wystrzelił w ciemne niebo, eksplodując milionem iskiei z hukiem gromu. Wykorzystując konsternację napastników, Tris załatwił jednego z nich, zanim doszli do siebie. Zaśmiał się, rozpoznając sztuczkę Carroway'a, gdy kolejny czerwony płomień wystrzelił prosto w nocne niebo.

– Tak trzymaj, Carroway – wymruczał pod nosem, powalając drugiego handlarza niewolników. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył barda przemykającego od kryjówki do kryjówki, żeby znaleźć lepsze miejsce do wypuszczania fajerwerków.

Oceniając liczbę napastników na tuzin, Vahanian pomylił się przynajmniej trzykrotnie. A tymczasem napadnięta karawana i tak straciła już połowę ludzi – tych, których Kaine poprowadził przez przełęcz. Tris zastanawiał się, jak bardzo przypadkowa była ta jego sprzeczką z Lintonem, gdyż dzięki niej karawanę można teraz było o wiele łatwiej pokonać.

Kolejny przeciwnik Trisa zamachnął się mocno i drasnął go w ramię. W blasku ognia książę zobaczył zęby napastnika błyszczące w tryumfalnym uśmiechu. Kiedy mężczyzna szykował się do kolejnego ciosu, nagle zeszywniał i zatoczył się do tyłu, a czerwona plama

wykwitła wokół sztyletu tkwiącego mu w żebrach. Bez słowa handlarz niewolników zwałił się na ziemię, chwytając się za pierś, a z ciemności wyskoczył Carroway.

– Miła nocka na taką zabawę, co, Tris?! – krzyknął, przeskakując nad martwym mężczyzną, żeby podnieść swój nóż. Gnało ku nim jeszcze dwóch handlarzy niewolników.

Carroway machnął ręką i srebrny błysk przeszył rozświetloną przez ogień noc. Jeden z handlarzy upadł w biegu, a Tris wyszedł na spotkanie drugiemu, osłaniając Carroway'a, gdy ten sięgał po swój miecz.

– Właśnie na to miałem ochotę – rzucił lekko.

Dostrzegł w oddali, jak Carina broni małego namiotu służącego jej za szpital, próbując odeprzeć atak dwóch handlarzy niewolników. Jeden z mężczyzn zablokował mieczem jej łaskę, podczas gdy drugi zamachnął się z całej siły złamaną deską, trafiając uzdrowicielkę w łopatki i powalając ją na kolana. Rozwścieczony Tris przełamał natarcie swojego przeciwnika, pragnąc przyjść Carinie z pomocą, w tym momencie jednak bard został zmuszony do wycofania się i Tris musiał go wesprzeć.

– Obawiam się, że skończyły mi się sztuczki – wydyszał Carroway pomiędzy kolejnymi paradami. Odpierając ataki, Tris zobaczył, jak handlarze niewolników brutalnie podnoszą Carinę z ziemi, a z ciemności wypada jakaś zakapturzona postać i z przepastnych rękawów jej szaty wystrzela kula białego światła. *Alyzza!* pomyślał z nadzieją Tris, gdy porywacze Cariny cofnęli się o krok. Jednak nadzieja umarła, gdy dwóch innych handlarzy niewolników rzuciło się ku starej czarownicy z grubym płaszczem, lądując na niej z impetem i owijając ją tak ściśle, że Tris zaczął się martwić, czy Alyzza się nie udusi.

– Chyba nam wszystkim się skończyły – odparł, ledwie parując ciosy napastnika. Wrzaski i krzyki ogarniętych paniką kupców z karawany mieszały się z bojowymi okrzykami handlarzy niewolników, lecz Tris nie widział nigdzie w tym zamieszaniu Cama, Soteriusa i Harrtucka.

Wszędzie wokół płonęły namioty; teren obozu stał się teatrem światła i cienia. Podczas kiedy Tris rzucił się ze zdwojoną energią na przeciwnika, rozległ się ostry świst i belt kuszy wbił się w ziemię tuż koło jego stopy. Wykorzystując przewagę, jaką dało mu to odwrócenie uwagi, napastnik zamachnął się mieczem z morderczą furią i przepołowił klingę Trisa. Nadzieja, że to Vahanian przybył na ratunek, zbladła, gdy Tris podniósł wzrok i zobaczył, że jest otoczony przez pół tuzina handlarzy niewolników z naciągniętymi kuszami wymierzonymi prosto w niego i Carroway'a.

– Rzućcie bron! – krzyknął wysoki mężczyzna. – Z tej odległości nie możemy spudłować.

Zapewniam was, że żywi jesteście dla nas warci o wiele więcej niż martwi.

Załamany Tris upuścił to, co pozostało z jego miecza, a chwilę później broń Carroway'a

także uderzyła o ziemię. Czterech handlarzy niewolników rzuciło się do przodu i zmusiło ich do

kłęknięcia, brutalnie zabierając im resztę broni. Tris wymienił posępne spojrzenia z

przyjacielem, którego bladość odzwierciedlała ponurą ocenę sytuacji, w jakiej się znaleźli.

Walka dobiegła końca w przeciągu kilku chwil i handlarze niewolników zaczęli grupować

swoich jeńców wśród pozostałości głównej części obozu. Wciąż broniąca się Carina została

bezceremonialnie rzucona na ziemię obok księcia. Udało jej się jeszcze wymierzyć mocnego

kopniaka w nogi porywacza. Mężczyzna krzyknął i odwrócił się, jakby chciał ją uderzyć, ale

wysoki handlarz niewolników warknął na niego.

– Niech nikt nie uszkodzi jeńców, zanim nie zjawi się kapitan! – I napastnik oddalił się,

kuśtykając, ze wściekłym pomrukiem, który obiecywał kłopoty.

– Panie – wysapał goniec, który tymczasem nadbiegł. – Nadeszły wieści z przełęczą.

Druga grupa została pochwycona.

Handlarz niewolników uśmiechnął się chłodno.

– To dobrze – powiedział z zadowoleniem. – Bardzo dobrze. Kaine zasłużył na swoją

zapłatę. Niech spotkają się z nami tutaj. Razem zawieziemy towar klientom.

– Jak sobie życzysz. – Goniec ruszył w drogę, a wysoki handlarz niewolników zaczął przyglądać się jeńcom.

– Myślę, że wpadliśmy w tarapaty – wyszeptał Carroway do Trisa. – Wygląda na to, że dotarcie do Księstwa zajmie nam nieco więcej czasu.

– Ty tam! – warknął handlarz. – Cicho!

Handlarze niewolników zabezpieczyli obóz z profesjonalną szybkością. Trisa ogarnęła rozpacz, kiedy spojrzał na związanych i zakutych w łańcuchy jeńców. Z pięćdziesiątki, która została z Lintonem, zostało się tylko dwudziestu. Pozostali raczej zginęli, broniąc obozu, niż uciekli napastnikom. Z goryczą stwierdził, że Cam, Soterius, Harrtuck i Vahanian byli pośród tych zaginionych.

– To już wszyscy, a przynajmniej wszyscy, którzy jeszcze oddychają – zameldował niski mężczyzna z dziobami po ospie na twarzy.

– A co z dowódcą karawany?

Mężczyzna z ospowatą twarzą potrząsnął głową.

– Serce nie wytrzymało. – Cmoknął z dezaprobatą. – Znalazłem go martwego w łóżku.

– Ludzie mają za ciężką rękę – rzekł z naganą w głosie przywódca handlarzy, przyglądając się zniszczonemu obozowisku. – Tym razem zbyt wielu zabili. To zmniejsza nasze dochody.

Przy następnym ataku za każdego zabitego jeńca zostaną im zmniejszone racje piwa.

– Tak, Tarren – odparł mężczyzna z ospowatą twarzą. – To powinno ich pohamować.

Nad obozem unosiła się ciemna, gryząca chmura dymu. Zza wozów dobiegały

przestraszone krzyki pomieszane z rubasznym śmiechem żołdaków, zdradzając miejsce pobytu żeńskich niedobitków karawany. Tris zacisnął szczęki i zaczął szarpać więzy krępujące jego nadgarstki, ale ta szarpanina potwierdziła tylko, że porywacze zabezpieczyli się przed łatwą

ucieczką jeńców.

– Co my tu mamy? – Tarren podszedł do miejsca, gdzie siedziała Carina. Szata uzdrowicielki była poplamiona sadzą i podarta – świadectwo żywiołowego oporu, jaki stawiała – a włosy potargane. Nie podniosła wzroku, odkąd strażnicy zaciągnęli ją tutaj, i Tris podejrzewał, że to zniknięcie brata zabrało jej nadzieję bardziej niż tragiczne położenie, w jakim sama się znalazła.

– Jesteś uzdrowicielką?

Carina podniosła wzrok i obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

– Jestem – powiedziała beznamiętnie.

– Doprawdy? – Tarren przyjrzał się jej niechlujnemu wyglądowi. – Za uzdrowicieli można dostać dobrą cenę. Ale może tylko ukradłaś pas uzdrowiciela. Muszę się upewnić. – Jego oczy się zwęziły. – Jeśli nie, to jestem pewien, że masz inne... talenty... które możemy wykorzystać – powiedział i w tym właśnie momencie noc przeszył kolejny pełen przerażenia krzyk dobiegający z za wozów.

– Tarren, znaleźliśmy go! – Do kręgu światła zbliżał się jakiś mężczyzna. Gdy podszedł bliżej, Tris zobaczył, że niesie w ramionach bezwładną postać.

– Żyje? – Tarren zmarszczył brwi.

– Ledwie – odparł nowo przybyły. – Znaleziono go na skraju obozu. I z tuzin naszych ludzi z bełtami od kuszy w plecach – dodał, rzucając ciało u stóp Tarrena, jakby to był worek mąki.

Tris wciągnął gwałtownie powietrze. Na ziemi leżał blady i nieruchomy Vahanian.

Tarren przeniósł wzrok z leżącego bez ducha Vahaniana na Carinę.

– Nagroda za martwego jest niezła, ale będzie wyższa, jeśli pożyje wystarczająco długo, żeby dało się go przesłuchać. Uzdrowicielko – powiedział szorstko. – Mam dla ciebie

propozycję. Udowodnij swój talent na tym przemytniku, a pozostaniesz pod moją opieką. –

Uśmiechnął się drapieżnie. – Jeśli ci się nie uda, to oddam cię pod czułą opiekę moich zaufanych strażników.

Tris poczuł, jak wali mu serce. Vahanian był bledszy niż zwykle, a jego wargi już lekko posiniały. Oddychał szybko i płytko, a na jego tunice widoczna była paskudna szkarłatna plama.

Tarren podszedł bliżej, dobywając sztyletu, a Carina cofnęła się instynktownie. Handlarz niewolników pochylił się i przeciął jej więzy.

– W porządku – rzekł, krzyżując ręce na piersi. – Jeżeli on przeżyje, przeżyjesz i ty. Jeśli umrze... jest wiele burdeli, które chętnie cię przyjmą.

Carina uklękła przy Vahanianie i zaczęła powoli przesuwając prawą dłoń nad ciałem przemytnika. Gdy jej ręka znalazła się nad jego twarzą, powierzchowne ślady walki – rozbita warga, fioletowy siniak na policzku, zadrapanie na szczęce – znikły. Tarren bacznie się przyglądał, unosząc brew na widok zachodzących zmian.

W tym samym czasie Tris spowolnił oddech i zapadł w trans. Był jakby w zawieszeniu między dwoma światami, tylko mgliście świadomy otaczającego go obozu i handlarzy niewolników, i wyczuwał uzdrowicielską moc Cariny na innym poziomie, poziomie energii życiowej. Tris i Carina przekonali się już, że trans pozwala na ograniczoną komunikację.

Tris pomóż mi! zawołała do niego.

Tris wziął głęboki oddech i skupił zmysły na energii życiowej Cariny, przesyłając jej własną energię, tak jak czynił to już wcześniej w chacie uzdrowicielki. Kiedy dotknął jej duszy, wyczuł, ile siły już ją kosztuje to uzdrawianie.

Dłonie Cariny dotarły do brzucha Vahaniana i uzdrowicielka zbladła. Rozdarła koszulę najemnika i odsłoniła głęboką ranę brzucha. Tris starał się odsunąć od siebie ten widok, zapanować nad emocjami i przesłać Carinie więcej energii, ale w odpowiedzi poczuł

napływającą falę paniki.

– *On umiera, Tris! Nie sądzę, żebym tym razem zdołała go uzdrowić.*

Tris sięgnął dalej swoimi magicznymi zmysłami, siłą woli zagłębił się jeszcze bardziej, aż nie czuł już dymu i nie słyszał krzyków jeńców; nie istniało nic innego oprócz ciemności za jego zamkniętymi oczami.

A potem dostrzegł cienką, ulotną smugę światła, tak słabą, że ledwie świeciła w tych ciemnościach. Zamrugła i Tris instynktownie zanurkował ku niej, wyężając całą siłę woli, aż udało mu się ją dosięgnąć. Obejrzał się do tyłu i zobaczył samego siebie jako drugą, jarzącą się mocniejszym blaskiem smugę. Instykt podpowiedział mu, że musi wzmocnić migoczącą smuzkę energii Vahaniana własną energią. Wyobraził sobie, że z całej siły trzyma wysuwający mu się z rąk koniec sznura, mając nadzieję, że zdoła użyć swoich sił na tyle długo, żeby Carina mogła dokończyć uzdrawianie.

Przestroga udzielona mu przez Alyzzę na polanie powróciła, nieproszona. Nigdy, przenigdy nie można uwięzić duszy, która nie chce pozostać, ostrzegła go stara czarownica. Ale Tris trzymał migoczącą smuzkę życiowej energii Vahaniana z całych sił i nie wyczuwał w tej duszy pragnienia odejścia. Smuzka wciąż migotała, lecz Tris z ulgą dostrzegł, że już nie słabnie. Nie wyczuł też gwałtownego oddzielenia duszy od ciała, jakiego doświadczył przy śmierci Kait, kiedy zatrzymał jej ducha, lecz nie życie. Miał nadzieję, że to może oznacza, że robi to, czego Carina potrzebuje, że podtrzymuje życie Vahaniana, podczas gdy ona pracuje, i używa swojej siły, wspierając zarówno uzdrowicielkę, jak i jej pacjenta.

Ten wysiłek zaczął mu się dawać we znaki i Tris z trudem utrzymywał koncentrację. Raz smuzka zamigotała niebezpiecznie i Tris chwycił ją z całych sił. Miał wrażenie, jakby w odpowiedzi popłynęła ku niemu, i uczeplił się tej nadziei, dostrzegając słabe ślady życia. Tutaj w ciemnościach, kiedy był odcięty od wszystkich zmysłowych doznań, poza odczuwaną

obecnością jasnego niebieskiego Światła, czas nie znaczył. Wreszcie Tris poczuł ciepło, które napłynęło ze skraju jego postrzegania, napierające stanowczo i rozgrzewające chłód czerni.

Jeszcze chwilę, usłyszał błaganie Cariny. Zdwoił wysiłki i przekonał się z ulgą, że smużka życia Vahaniana już nie migocze, lecz pulsuje słabym, ale równym niebieskim blaskiem.

Zdawało się, że minęła wieczność, zanim znowu usłyszał głos Cariny. *Przerwij kontakt*, poleciła. Tris wyobraził sobie, że delikatnie puszcza tę wzmocnioną błękitną smugę i wycofuje się przez ciemność, która przybrała teraz odcień bladego zmierzchu. Wrócił gwałtownie do własnego ciała i otworzył oczy, boleśnie świadom, że zdrętwiały mu stopy, a mięśnie pleców są nieprzyjemnie napięte.

Vahanian jęknął i wziął głęboki oddech. Teraz oddychał spokojnie i głęboko, a kolory powróciły na jego policzki.

– Dobra robota – powiedział z uznaniem Tarren. – Wy tam! – zawołał do dwóch handlarzy niewolników stojących w niewielkim tłumie, który obserwował uzdrawianie.

– Zwiążcie go, i to porządnie – rozkazał.

Dwaj mężczyźni cofnęli się o krok, a na ich twarzach odmalował się widoczny strach.

– Vayash moru – wyszeptali, a ich szept obiegł niewielki tłumek.

Tarren spojrział na nich z pogardą.

– Bzdura. Bajki dla dzieci i tyle.

Mężczyźni skulili się, rozdarci między strachem przed Vahanianem i lękiem przed swoim dowódcą.

– A teraz zwiążcie go, i to mocno – powtórzył Tarren tonem, w którym pobrzmiewała groźba silniejsza niż zemsta nieumarłych. Bładzi, ale posłuszni, handlarze niewolników uczynili jak im kazano i przywiązali Vahaniana do słupa wbitego w ziemię między Trisem a Cariną.

Siedzący po prawej stronie Trisa Carroway w milczeniu pokiwał z aprobatą głową. Po lewej

stronie Cariny siedziała Alyzza, wciąż z zarzuconym na głowę kapturem, i kołysząc się w przód i w tył, nuciła jakąś przejmującą melodię.

Kiedy Tarren wraz z pozostałymi odeszli, Tris spojrział na Carinę. Uzdrowicielka opierała się o pal, do którego była przywiązana, i miała wzrok wbity w ziemię.

– Byłaś fantastyczna – pochwalił ją. – Nigdy nie wierzyłem w cuda, ale to był niemalże cud.

Carina uśmiechnęła się słabo, dziękując za pochwałę.

– Nie udałoby mi się tego dokonać bez ciebie. Naprawdę – powiedziała szeptem.

Wszelka żywiołowość znikła z jej głosu, który stał się beznamiętny i zmęczony. Pewnie myślała o Camie i dotkliwie odczuwała stratę zarówno brata, jak i pomocnika przy uzdrawianiu.

– Nie wiemy na pewno, co stało się z Camem i pozostałymi – powiedział Tris z takim przekonaniem, na jakie go było stać, choć w głębi serca obawiał się najgorszego. – Ban i Tov są sprytni. Może udało im się wymknąć i sprowadzą pomoc.

Carina potrząsnęła głową.

– Chcę w to wierzyć – wyszeptała łamiącym się głosem – ale myślę, że tylko się oszukujemy. A byliśmy już tak blisko Dhasson.

– Jakoś nam się uda – obiecał Tris, choć nie wiedział, w jaki sposób ma spełnić tę obietnicę. – Musi. Muszę do tego doprowadzić.

Carina przez dłuższy czas patrzyła mu w oczy, jakby na nowo go oceniała.

– Nie ośmielę się żywić nadziei – wyszeptała wreszcie – choć chciałabym.

Vahanian poruszył się, a potem znowu zapadł w niespokojny sen.

– A co z nim? – spytał zmartwiony Tris. Wiedział, jak bliski śmierci był przedtem najemnik. Jakakolwiek próba ucieczki będzie zależała od tego, jak szybko odzyska siły.

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze Carina. – Czuje się o wiele lepiej, ale było naprawdę

źle. Nie wyczułam żadnych trwałych uszkodzeń, lecz nie miałam dużo czasu.

Przerwał im Carroway; bard pochylił się w ich stronę i syknął przez zęby, żeby zwrócić uwagę Trisa.

– Jaki mamy plan? – wyszeptał, zerkając na strażników.

– Patrzymy i czekamy, przynajmniej na razie – odparł księżę, wzruszając ramionami. – I mamy nadzieję, że nadarzy się jakaś sposobność.

– Nie zostało nas wielu – stwierdził trzeźwo Carroway.

– Mniej do uratowania, ale jednocześnie mniej do pomocy w walce.

– Wiem. – Tris zamknął oczy, gdyż siniaki i odniesione tego dnia obrażenia zaczęły mocno dawać mu się we znaki. – To będzie musiało wystarczyć.

O świcie dołączyła do nich reszta handlarzy niewolników. Na teren zniszczonego obozu wtoczyły się z turkotem furgony z zaopatrzeniem, a za nimi juczne muły i dwa wozy wypełnione kolejnym tuzinem skutych kajdanami niewolników. Ludzie ci przyglądali się nowym jeńcom z wystudiowanym brakiem zainteresowania, unikając kontaktu wzrokowego. Tris pomyślał, że najwyraźniej dali już za wygraną, a to oznacza, że wszelka próba ucieczki będzie musiała wyjść od nich samych. Zamknął oczy, zmuszając się do odnalezienia wewnętrznego spokoju, i powtórzył ostatnie lekcje z Cariną. Tym razem musi być gotowy. Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, jego moce – choć nowo odkryte – muszą znaleźć się pod kontrolą. Spojrzał na pochyloną postać Vahaniana. *Śpij dobrze, przyjacielu, pomyślał. Potrzebuję czasu.*

Przez cały poranek Tris przyglądał się bacznie handlarzom niewolników. Banda liczyła nie więcej niż trzydziestu ludzi. Sprawnie rozbili obóz i byli dobrze zaopatrzeni, mało prawdopodobne więc, żeby dali im okazję do łatwej ucieczki.

Po raz pierwszy zauważył tę młodą dziewczynę przy śniadaniu, kiedy przemykała szybko

pomiędzy handlarzami, unikając kontaktu z nimi. Pomyślał, że jest kilka lat młodsza od Kait, ale w jej spojrzeniu widać większe doświadczenie życiowe. Jej brązowe włosy, brudne i splątane, związane były z tyłu kawałkiem sznurka. Sukienka dziewczyny została wykonana z dobrego materiału, teraz jednak była zbyt złachmaniona i poplamiona, żeby służyć czemuś więcej niż tylko chronieniu jej przed chłodem.

Jej sposób poruszania się sugerował inteligencję, chociaż w czasie tych dwóch świec, kiedy jej się przyglądał, dziewczyna sprawiała wrażenie, że jest chodzącym nieszczęściem. Najpierw wylała gorący karif na jednego z handlarzy niewolników, za co została uderzona, ale przyjęła to bez słowa. Potem kopniakiem roztrąciła węgielki z ogniska, od czego zapaliła się trawa, przeszkadzając w ten sposób w śniadaniu, za co przeprosiła służalczo, żeby nie zarobić kolejnych razów.

Kiedy jednak potknęła się o sznur namiotu i śniadanie Tarrena wylądowało na ziemi, Tris zauważył, że mrugnęła do niego porozumiewawczo, zanim podniosła się, żeby posprzątać ten bałagan. Nie była więc niezdarna, raczej obdarzona poczuciem humoru, psociła z premedytacją. Nim zdołał jednak dowiedzieć się czegoś więcej, znikła w namiocie kucharza.

Kiedy zaczęto przygaszać poranne ogniska, Vahanian poruszył się.

– Czym dostałem? – jęknął, próbując otworzyć oczy. A potem zamrugał, oślepiony blaskiem słońca.

– Sądząc po ilości krwi, ostrzem miecza – odpowiedział sucho Tris.

Vahanian chyba dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest skrepowany; szamotał się przez chwilę, a potem oparł się o słup, do którego go przywiązano, dając za wygraną.

– Niech pomyślę – wymruczał. – Przegraliśmy.

– Aha – mruknął Tris.

W tym momencie pojawiła się ta sama dziewczyna z bochenkiem chleba pod pachą i

dzbankiem oraz kubkiem w ręce. Szła wzdłuż szeregu związanych jeńców, dając każdemu sporą kromkę chleba i przytrzymując kubek, żeby mógł się napić. Znowu wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Trisem, jakby mieli jakąś wspólną tajemnicę, a potem podeszła do Vahaniana.

– Jakim cudem masz tyle szczęścia, że karmisz jeńców? – spytał.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Cóż, przysłali mnie, żebym zobaczyła, czy naprawdę jesteś vayash moru – odparła. –

Jeśli ja przeżyję, to oni też spróbują do ciebie podejść. A może i nie.

Wzruszyła ramionami.

Vahanian wypił łąpczywie wodę.

– Nie rozumiem – powiedział.

Wcisnęła mu kawałek chleba między wargi.

– Połowa obozu jest pewna, że powróciłeś z martwych – wyjaśniła szeptem, zerkając ukradkiem przez ramię. – Zakładali się, że z nadejściem świtu rozwiejesz się jak dym.

Vahanian przełknął i znowu ugryzł chleb.

– Oskarżano mnie już o wiele rzeczy, ale to coś nowego.

– Proszę, obiecaj mi coś. – Dziewczyna pochyliła się, jakby chciała włożyć mu do ust kolejny kęs chleba. – Słyszałam, jak mówili o nagrodzie za ciebie. – W jej zielonych oczach pojawił się figlarny błysk. – Zabierz mnie ze sobą, kiedy uciekniesz.

– Wczoraj byłem martwy – powiedział, popijając wodę, którą mu podała. – Dlaczego sądzisz, że gdzieś się wybieram?

– Słyszałam, co Tarren o tobie opowiadał. Wybierasz się.

Vahanian spojrzał na Trisa, a potem znowu na dziewczynę.

– W porządku. Jak masz na imię? – spytał.

– Berry – odpowiedziała, podając mu ostatni kęs. – Muszę już iść – stwierdziła nagle, oglądając się przez ramię, po czym przesunęła się do Cariny, lecz już się nie odzywała karmiąc pozostałych jeńców.

Handlarze niewolników pozostali w spalonym obozowisku kolejne dwa dni. Rankiem drugiego dnia pojawił się jeździec – ciemny mężczyzna o szczupłej twarzy.

– Mamy towarzystwo – wyszeptał Tris do swoich towarzyszy. Vahanian podniósł wzrok, a potem zeszywniał z twarzą ściągniętą gniewem.

– Vakkis. – To nazwisko zabrzmiało jak przekleństwo.

– Znasz go?

Najemnik pokiwał ponuro głową.

– Aż za dobrze. To łowca nagród. To przed nim ostrzegałem Lintona i to z nim chciałem spotkać się w gospodzie. Tylko tym razem to nie ja jestem na jego liście – powiedział, obrzucając Trisa znaczącym spojrzeniem. – To ciebie szuka.

Tymczasem Tarren wyszedł, aby osobiście powitać Vakkisa, i choć handlarz niewolników nie porzucił całkowicie rezerwy wobec nowo przybyłego, widać było, że to Vakkis ma nad nim przewagę. Po krótkiej rozmowie obaj mężczyźni ruszyli do miejsca, gdzie byli przywiązani jeńcy; za nimi szło dwóch handlarzy z końmi. Handlarze obrzucali Vahaniana nieufnym spojrzeniem, wyraźnie lękając się przemytnika, a on uśmiechał się paskudnie, ściągając wargi, żeby pokazać zęby.

Vakkis zatrzymał się przed Vahanianem. Ten podniósł wzrok i spojrzał wyzywająco w jego oczy.

– No, no – napawał się radością łowca nagród, – Zobaczcie, co tu złapaliśmy. Nie polowałem na ciebie, Jonmarc, ale nie pogardzę dodatkową nagrodą.

– Niech cię demon porwie.

W odpowiedzi Vakkis wymierzył Vahanianowi policzek i krew pociekła z kącika ust najemnika.

– Może i porwie mnie demon, Jonmarc – odparł, masując wierzch dłoni – ale zapewniam cię, że ty pójdziesz razem ze mną.

Vahanian nic nie odpowiedział, lecz jego spojrzenie stało się zabójczo zimne, gdy Vakkis zrobił krok i stanął przed Trisem.

– Ach, dobrze. Świetnie wypełniłeś moje polecenia, Tarrenie – rzekł. – Właśnie tego tu szukałem.

Obejrzał księcia dokładnie, a on miał nieprzyjemne uczucie, jakby był towarem wystawionym na sprzedaż.

– Mamy wspólnego... przyjaciela... który chętnie cię znowu zobaczy – powiedział Vakkis.

– Musisz wytłumaczyć się z wielu rzeczy.

– Na twoim miejscu uważałbym na siebie – odparł spokojnie Tris, choć serce mu waliło.

Miał nadzieję, że zdoła zachować się równie niepokornie jak Vahanian. – W końcu widziałem naszego... przyjaciela... w akcji. Nie licz na to, że pożyczysz wystarczająco długo, żeby wydać te pieniądze.

Tris myślał, że Vakkis jego też spoliczkuje za bezczelność, lecz łowca nagród tylko skrzyżował ręce na piersiach.

– Nie martwię się tym. Ale ty powinieneś. Lepiej być łowcą niż ofiarą.

– To jeszcze nie koniec.

– Zobaczymy. – Łowca nagród spojrzał teraz na Tarrena. – Strzeż ich dobrze. Podwój liczbę strażników. Sprowadź ich z powrotem do Shekerishet, a twoja kompania będzie bogata. Jeśli ci się nie uda, wszyscy zginiemy.

Ta groźba nie zrobiła wrażenia na Tarrenie.

– Dotrą do pałacu – odparł krótko.

– To dobrze. – Vakkis po raz pierwszy rozejrzał się po obozie. – A teraz chodź ze mną.

Mamy wiele do omówienia.

Tris patrzył, jak dwaj mężczyźni odchodzą, a gdy znaleźli się poza zasięgiem wzroku, zerknął na Vahaniana.

– Wygląda na to, że znamy właściwych ludzi.

Najemnik uśmiechnął się krzywo.

– Tak, pewnie tak. Możesz poczytać sobie za zaszczyt, że twój brat posłał za tobą Vakkisa.

On jest najlepszy w tym fachu. Przez dobrych kilka lat psułem mu listę jego osiągnięć, ale chyba wszystko kiedyś się kończy.

– Chciałbym, żebyś nadal psuł mu tę dobrą passę.

Niebawem Berry znowu zaczęła swoją rundkę, roznosząc jeńcom chleb i wodę.

– To na was Tarren polował, prawda? – spytała Vahaniana, karmiąc Trisa chlebem i podsuwając mu kubek do picia.

– Zdaje się, że tak – odparł. – A dlaczego ty tu jesteś?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Byłam w złym miejscu w złym momencie. Zostałam schwytana w pułapkę.

– Czy słyszałaś, jak rozmawiają, dokąd się dalej udajemy? – spytał między kęsami Tris.

– Wracamy do Margolanu, do pałacu. Tarren pokłócił się zeszłej nocy ze swoim zastępcą co do tego, którym szlakiem powinni podążać. Vakkis chce, żeby pojechali prostą drogą, ale ona biegnie skrajem lasu Ruune Videya. Tarrenowi to nie przeszkadza, ale ludzie są zabobonni. Nie chcą zbliżyć się do tego lasu.

– To którą drogą pojedą?

Berry podsunęła skórkę chleba Vahanianowi.

– Tą, którą chce pojechać Vakkis. Ale to nie znaczy, że handlarzom to się podoba.

– To może być okazja, na którą czekamy – szepnął Carroway. – Słyszeliście te opowieści.

– Coś jeszcze? – naciskał Tris.

Berry potrząsnęła głową.

– Nie. Będę dalej słuchać. A tymczasem weź to. – Udała, że się potknęła, a gdy się podnosiła, upuściła coś w związane ręce Vahaniana. – To nic wielkiego – powiedziała, a Tris dostrzegł błysk metalu, zanim Jonmarc zdążył ukryć to coś w zaciśniętej pięści. – Ale jest ostre.

– Dziękuję ci – powiedział Vahanian. – Jesteś z nami.

Berry się uśmiechnęła.

– To dobrze. Ups – stwierdziła nagle. – Muszę iść.

I przesunęła się w stronę Cariny, zerkając przez ramię.

Następnego dnia zbudzono jeńców o świcie. W porannym chłódzie w obozie wrzała krzątanina; handlarze zbierali wszystko, co wartościowe z dobytku karawany, i przygotowywali się do wymarszu. Tris i pozostali jeńcy zostali związani razem kawałkami sznura, a potem zapędzono ich do odkrytych wozów, gdzie koniec każdego sznura przywiązano mocno do desek pojazdów.

Tris czuł, jak chłód ściska jego serce. Przysięga, którą złożył Kait i Pani, rozbrzmiewała w jego pamięci, a możliwość spełnienia jej wydawała się równie odległa jak góry Pogranicza.

Może Harrtuck miał rację, że podróż i związane z nią trudy wreszcie zaczęły zmieniać rozpieszczonego księcia w króla. Tris wystawił twarz na wiatr, błagając Panią, żeby te lekcje nie przyszły za późno, żeby zdążył ocalić swoich przyjaciół, królestwo i duszę siostry.

– Zawsze lubiłem jeździć powozem – wymruczał pod nosem Vahanian.

Carina spiorunowała go wzrokiem, ale nic nie powiedziała.

– To nie wygląda dobrze – wyszeptał Carroway. – Nie spiesz mi się, żeby wrócić do

Shekerishet.

– A zwłaszcza w ten sposób – dodał Tris.

Podróżowali aż do zapadnięcia zmierzchu. Po rozbiciu obozu przybył jakiś jeździec, który został poprowadzony prosto do namiotu Tarrena i Vakkisa. Kiedy przygaszono wieczorne ogniska, Tris usłyszał z tyłu szelest i kątem oka dostrzegł Berry.

– Jutrzejszej nocy, kiedy dotrzemy do lasu, musicie spróbować ucieczki – wyszeptała.

– Dlaczego?

– Słyszałam, jak Vakkis i Tarren rozmawiają z tym jeźdźcem, który właśnie przybył.

Przywiózł wieści od klientów. Zapłacą tylko za ładne kobiety i najsilniejszych mężczyzn.

Zamilkła na chwilę.

– I oczywiście za ciebie i twojego przyjaciela – powiedziała, skinąwszy głową w kierunku Trisa.

– I co z tego? – spytał Vahanian.

– To oznacza, że Tarren zabije pozostałych, kiedy tylko jutro pokonamy niziny. – W głosie Berry pobrzmiwał wyraźny strach. – Będzie potrzebował pomocy, żeby przeprowadzić wozy przez bagniste tereny. Ale nie będzie chciał marnować zapasów, żeby przewieźć „ładunek” przez las, jeśli mu za niego nie zapłacą.

Vahanian zmarszczył brwi.

– A co z uzdrowicielką? – spytał, zerkając ku Carinie.

– Tarren powiedział, że nie może jej sprzedać, bo nikt nie zaufa uwięzionej uzdrowicielce bez zakładników. Sądzą, że nie będzie wystarczająco się starać, jak przypuszczam. Zaczną zabijać, kiedy tylko dotrą do lasu – powtórzyła Berry. – Mam nadzieję, że macie jakiś plan.

– Pewnie, że mamy – odparł z przekonaniem. – Tylko bądź w zasięgu wzroku.

– Zyskaliśmy trochę czasu. – dorzuciła Berry z szyderczym uśmiechem. – Dodałam im

trochę psich grzybków do gulaszu. Myślę, że nie będzie im się najlepiej spało. – I rzeczywiście,

Vahanian usłyszał, jak w oddali jakiś człowiek wymiotuje.

– Berry.

– Tak?

– Cieszę się, że jesteś po naszej stronie.

– Miejcie się na baczności! – ostrzegła i zniknęła w ciemnościach.

Vahanian spojrzał na Carinę. Uzdrowicielka milczała, jakby myślami była gdzieś daleko i miała nadzieję, że milczenie pozwoli jej usłyszeć, jak Cam ją woła.

– Teraz jest dobry moment na parę modlitw, kapłanko.

Carina podniosła wzrok, ale nie spojrzała mu w oczy.

– Nie jestem kapłanką – wyszeptała. – Nie mogę ci pomóc w tej sprawie.

– Może należy pomyśleć o zmianie fachu – mruknął Vahanian, Carina jednak odwróciła wzrok, nie chcąc dać się wciągnąć w tę słowną utarczkę.

– Opowiedz mi o swoim planie – wyszeptał Tris.

Vahanian nachmurzył się.

– Dotrzemy do lasu, a ty posłużysz się tą swoją straszną mocą i sprawisz, że wszyscy znikną.

– I to jest ten plan? – spytał sceptycznie Tris.

– Masz lepszy?

– Wiecie – powiedział Carroway szeptem. – To się może udać.

Tris odwrócił się do niego.

– Jak sobie to wyobrażasz?

– Nie jestem całkiem pewien, gdzie się znajdujemy, ale wiem, że w niektórych miejscach

las biegnie wzdłuż klifu z mnóstwem jaskiń. Handlarze nie będą mogli nas ścigać, kiedy już

uciekniemy.

– Zapominacie o czymś istotnym – wtrącił Vahanian. – O ucieczce.

– Poprosimy duchy o pomoc – rzekł Carroway. – Posłuchają Trisa. Duchy Ruune Videya zostały zabite przez niesprawiedliwego króla. – Wzruszył ramionami. – Może okażą współczucie.

– A może skończymy tak samo jak ci handlarze niewolników, jeśli duchy nie będą chciały nas słuchać, zakładając, że w ogóle zwrócimy ich uwagę – wyszeptał Tris.

– Niech to sobie poukładam – wymruczał najemnik. – Nasza jedyna nadzieja na wykaraskanie się z tego zasadza się na tym, że ten tu Upiornik przywoła gromadkę duchów i napuści ich na handlarzy, a my możemy mieć nadzieję, że nie zwrócą się przeciwko nam?

– Uchwyciłeś to, co najistotniejsze – odparł bard.

Vahanian jęknął.

– Świetnie. A jeszcze gorsze jest to, że nie mogę wymyślić nic lepszego.

Tris zamknął oczy.

Babciu, potrzebuję cię. Proszę, zaczął błagać duchy. Pokażcie mi, co muszę zrobić.

Słuchaj swojego instynktu, usłyszał wspomnienie głosu Bava K'aa. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, będziesz wiedział, co robić. Jeśli zwątpisz, to wszystko stracone.

Ale skąd będę wiedział?

Będiesz wiedział, odparł głos starej czarodziejki, kiedy będziesz zbyt przerażony, żeby zrobić cokolwiek innego.

Rozdział dwudziesty

Tak jak mówiła Berry, następnego dnia handlarze niewolników zaczęli podążać w kierunku lasu. Między traktem do Dhasson a południową, bardziej prostą drogą do Margolanu rozciągało się bagno Hansona. Wozy zaczęły toczyć się wolniej, od kiedy opuścili trakt

prowadzący do Dhasson, a dwie świece później handlarze niewolników opróżnili furgony.

W samo południe trakt był już tak rozmiękły, że jeńcy i handlarze często musieli używać siły, żeby przepchnąć wozy przez błoto. Tris czuł narastające przygnębienie. Dotarcie do południowego traktu będzie wymagało wysiłku handlarzy niewolników i wszystkich jeńców, tak jak mówiła Berry. Jednak kiedy już się tam znajdą, handlarze będą z łatwością mogli pozbyć się wszelkiego towaru, którego nie zdołają sprzedać, żeby zmniejszyć ciężar wozów przed niebezpieczną podróżą przez las. A więc ich czas już się kończył.

Kiedy tylko weszli na teren bagniska, Tris zaczął się zastanawiać, czy opowieści Carroway'a o niespokojnych duchach w lesie były prawdziwe. W jego umyśle sformował się plan odzyskania wolności, ale zależał on całkowicie od natury tych leśnych duchów – jeśli w ogóle jakieś istniały – i od tego, czy poddadzą się jego mocy. Jednak na próżno czekał na jakieś duchy – spokojne czy też nie – i już zaczął popadać w rozpacz, myśląc, że te opowieści były tylko historyjkami mającymi powstrzymać młodzików przed zbyt dalekimi eskapadami.

Kiedy jednak znalazł się na przeciwległym skraju bagniska, duchy zaczęły go wzywać.

Pierwszy kontakt był tak gwałtowny, że o mało co się nie przewrócił. Carina podtrzymała go, przyglądając mu się z troską, jakby podejrzewała, że to coś więcej niż śliskie błoto sprawiło, że się potknął.

Dlaczego tu przybyłeś? zawyła kakofonia głosów w jego umyśle. Tris wzmocnił swoje myślowe tarcze, nie chcąc, by ten kontakt go przytłoczył.

Jestem więźniem, odpowiedział. Kim jesteście i komu służycie?

Jesteśmy zagubieni i służymy zemście! zawyły głosy. Teraz wyczuwał ich obecność na polanie, były jednak niewidzialne dla wszystkich poza tymi, którzy obdarzeni byli wzrokiem maga. *Kim jesteś?*

Krewniakiem i dziedzicem Bava K'aa, odparł Tris, pchając wóz, żeby nie zwracać na siebie

uwagi handlarzy niewolników. Coraz trudniej mu było skupić się na dwóch rzeczach jednocześnie, ale wściekłość duchów wymagała świadomego podtrzymywania tarcz.

Bava K'aa... Bava K'aa... Bava K'aa. To imię powtórzone zostało niczym echo przez setki głosów, aż stało się jękiem przypominającym zawrodozenie wiatru. *Uwolnij nas, jej krewniaku, zajęczały głosy. Daj nam okazję do zemsty!*

Tris wyczuwał gniew duchów spowodowany zdradą i mordem, ich zawiść wobec żywych i głębokie pragnienie wyrównania wyrządzonych im pokolenia temu krzywd. Nie wyczuwał jednak w nich zła, choć duchy opłakiwały swoją stratę tak bardzo, że atakowały każdą żywą istotę, która wkroczyła na ich teren.

Jesteś Przywoływaczem Dusz! zawołały głosy. *Możesz wejść do lasu, ale pozostali nie będą mile widziani.*

Moi przyjaciele i ja jesteśmy więźniami, powtórzył Tris, mając nadzieję, że plan, jaki zaczął mu się formować w głowie, uda się. *Zostaliśmy schwytani przez handlarzy niewolników. Nie mamy wyboru, musimy wejść do waszego lasu.*

Handlarze... handlarze... handlarze niewolników. Głosy powtarzały te słowa i Tris wyczuł ich wzbierający gniew. *Daj nam tych handlarzy niewolników!*

Wyswobodźcie nas z rąk handlarzy niewolników, obiecacie bezpieczne przejście jeńcom, rozkazał, *a kiedy dotrzemy do lasu, dam wam odpocząć.*

Odpoczynek... Głosy przeciągnęły to słowo w długi, syczący jęk. *Nie możemy odpocząć.*

Obiecacie, że jeńcy nie doznają krzywdy. Uwolnijcie nas, a pomożemy wam.

Odpoczynek... wysyczały głosy. *Przyjmujemy twoją propozycję, krewniaku Bava K'aa.*

Ale nasza moc drzemie w lesie. Podejdźcie do skraju lasu, a tam was uwolnimy.

Przysięgnijcie, że jeńcom nie stanie się krzywda.

Chcemy tylko handlarzy niewolników, zawyły duchy. Uwolnij nas, a będziecie mogli

bezpiecznie przejść przez las. Jeśli jednak nie zdołasz przeprowadzić nas do Pani, to ty i twoi przyjaciele dołączycie do nas na zawsze.

Tris pomyślał, że to pakt głupca, lecz wiadomo, jaki los czekał ich z rąk handlarzy niewolników, kiedy zapadnie zmrok. *Zgadzam się*, złożył przyrzeczenie.

Na skraju lasu... kiedy zapadnie ciemność, wyszeptały duchy, wycofując się. Ich nagłe zniknięcie wytrąciło go z równowagi, zupełnie jak człowieka, który opiera się silnemu wiatrowi, gdy ten nagle ustał. Dostrzegł swoim magicznym wzrokiem, jak jego tarcze ochronne jaśnieją mocno, chociaż próbował je usunąć.

– Hej, ty tam, przyłóż się do pracy! – zawołał handlarz niewolników i zdzielił Trisa batem po plecach. Ponieważ już miał zachwianą równowagę, to uderzenie zważyło go na kolana i z trudem powstrzymał okrzyk bólu.

Carroway pomógł mu się podnieść, obrzucając go zatroskanym spojrzeniem.

– Dobrze się czujesz? – wyszeptał, zerkając na patrzącego spode łba handlarza z batem.

– Niezupełnie – odparł przez zaciśnięte zęby. Smgnięcie biczem piekło, czuł, jak po plecach spływa mu krew, mieszając się z potem. – Ale myślę, że mam plan.

– Potrzebujemy go.

– Przekaż pozostałym. Z nadejściem zmierzchu przywołam duchy.

– I to jest ten plan? Zostaniemy zabici nie przez handlarzy niewolników, a przez duchy?

– Zawarliśmy... układ, przynajmniej tak sędzę. Cokolwiek zobaczycie, cokolwiek się stanie, ukryjcie się. Mnie i duchom zostawcie resztę.

– Chętnie – wymruczał Carroway. – Ale miałem nadzieję na jakiś inny plan.

– Lepszego nie będziemy mieć. – Tris całym sercem wierzył, że dobrze odczytał zamiary duchów.

– Jeszcze trochę, a nie będzie miał żadnego znaczenia fakt, że Carina uzdrowiła Jonmarca.

Tris podążył wzrokiem za spojrzaniem barda. Vahanian wyraźnie nie doszedł jeszcze do siebie po odniesionych obrażeniach, ale obawa handlarzy, że przemytnik może być vayash moru, sprawiała, że oszczędzano mu razów.

Tris jęknął, usiłując przepchać wóz przez szczególnie śliską kałużę błota. Obok niego Carroway przeklinał barwnie w rozlicznych dialektach margolańskiego dworu. Vahanian i Carina walczyli z grzęzawiskiem z drugiej strony wozu. Vahanian aż pobladł z wysiłku, a Carina, która mimo ich częstych sprzeczek z wielką troską zajmowała się teraz rannym przemytnikiem, chwyciła mężczyznę pod pachę, podpierając go swoim szczupłym, lecz silnym ciałem.

– Za chwilę Tarren przyśle tu któregoś ze swoich mięśniaków, żeby dowiedzieć się, dlaczego się nie ruszamy – powiedział Carroway, nie spuszczać z oka handlarzy obrzucających przekleństwami inną grupę jeńców, których wóz ugrzązł w błocie aż po osie i nie chciał się ruszyć. Jeden z handlarzy, dwa razy większy od jeńców, zdzielił bestialsko biczem najbliższego mężczyznę, ale nie wykorzystał swojej siły, żeby im pomóc.

– Wiem – wymruczał Tris. – Spróbujmy go razem rozkołysać.

Alyzza, której handlarze nadal się obawiali, siedziała przez całą podróż nieruchomo na wozie, skrępowana, z kapturem na głowie. Teraz jednak stara czarownica przesunęła się powoli po deskach wozu bliżej miejsca, gdzie Tris i pozostali walczyli z utopionym w grzęzawisku wozem, i zaczęła cicho nucić, kołysząc się w takt melodii.

– Popatrzcie! – wyszeptał Carroway. Wóz zaczął się podnosić, na tyle, żeby pokonać wzniesienie. Carina i Vahanian wymienili spojrzenia z Trisem i Carroway'em, a potem oparli się o wóz, żeby wykorzystać tę okazję. Wozem szarpnęło i potoczył się swobodnie, tak że ledwie mogli za nim nadążyć. Alyzza przestała nucić.

– Dziękuję – wyszeptał Tris, a czarownica w odpowiedzi skinęła leciutko głową. Jeszcze

dwukrotnie przed zapadnięciem nocy musieli polegać na pomocy Alyzzy, żeby przepchnąć uparty furgon po pełnej kolein drodze. O zachodzie słońca mieli już za sobą najgorszy odcinek bagniska i Tris poczuł przenikające go zimno, które nie miało nic wspólnego z wieczornym chłodem. Kiedy handlarze niewolników rozbili obóz, rozpalili ogniska i przywiązali jeńców do pali, książę pomyślał, że koniec drogi przez bagna oznacza, iż jeńcy przestali być użyteczni. Jeśli ostrzeżenie Berry było słuszne, zaraz zacznie się zabijanie.

Obóz był usytuowany na skraju lasu, nad wysokim pionowym urwiskiem z płytkimi jaskiniami i osuwającymi się kamieniami. Tris przymknął oczy, próbując się skoncentrować.

Kiedy zapadnie ciemność, krewniaku Bava K'aa. Kiedy zapadnie ciemność.

Przyglądał się więc ze ściśniętym żołądkiem przygotowaniom do kolacji. Przyciszone rozmowy handlarzy i rzucane ukradkowo spojrzenia tylko potwierdzały słowa Berry. Tris zerknął na Vahaniana; mężczyzna męczył się z maleńkim ostrzem, które dała mu dziewczyna, starając się osłabić sznury krępujące mu nadgarstki.

Tris wiedział, że ten dzień był ciężki dla nich wszystkich, ale szybki marsz i wyczerpująca praca fizyczna najbardziej odbiły się na Vahanianie. Przed tym marszem pewnie byłby w stanie uczestniczyć w krótkiej bitwie, teraz jednak Tris wątpił, aby Vahanian mógł zrobić coś więcej poza stoczeniem drobnej potyczki.

Carina sprawiała wrażenie zamyślanej. Choć jej ciągłe sprzeczeki z Vahanianem w trakcie podróży z karawaną były irytujące, to teraz, gdy uzdrowicielka nie odpowiadała na zaczepki, Vahanianowi zdawało się tego brakować. Podwójny cios – zniknięcie brata i nieszczęsny los, jaki przypadł im w udziale – okazał się ponad siły Cariny.

Carroway wyglądał na najbardziej zdenerwowanego. Jeśli ostrzeżenia Berry były słuszne, to z ich piątki mieli zginąć właśnie on, Carina i Alyzza. Ale okazało się, że Carroway również przygotowuje się do walki. W fałdach tuniki miał ukryty mały sztylet, który handlarze

niewolników przegapili. Teraz trzymał ostrze zdrętwiałymi palcami. Widząc zaniepokojone spojrzenie Trisa, uśmiechnął się łobuzersko. Jeśli dojdzie do walki, to da tym handlarzom popalić.

O zmierzchu, gdy wieczorne ogniska się dopaliły, Tarren i jego zastępca podeszli do jeńców.

– Jesteś pewien, że nie znajdziemy kupców na pozostałych? – spytał ten drugi, starając się pogodzić rozkazy ze smykałką do interesów. – Nie jest to najlepsza partia, jaką mieliśmy, ale na Wschodzie są kopalnie, które wzięłyby sporą gromadkę bez zadawania pytań, jeśli tylko by dychali.

Tarren potrząsnął głową.

– Wiem, wiem – rzekł. – Mnie się to też nie podoba, ale trzeba sobie poradzić z lasem. A to podoba mi się jeszcze mniej.

Zastępca popatrzył na ścianę drzew i pokiwał głową.

– Ano, zgadza się. Cóż, w takim razie trzeba się tym teraz zająć, jeśli nie da się inaczej.

– To jest ten – wskazał mieczem na Trisa – po którego posłał Vakkis – stwierdził, a Tarren skinął głową.

– A ten tu – rzucił chełpliwy uśmieszek w kierunku Vahaniana – to dodatkowa nagroda na osłodę.

Spojrzał na Tarrena.

– A co z pozostałymi?

– Ten chudy – Tarren wskazał głową na Carroway’a – nie przeżyłby ani jednego dnia w kopalni. Pozostali są bezużyteczni. Zabij ich.

Zastępca przeciągnął palcem po ostrzu, robiąc kolejny krok w kierunku jeńców. Zatrzymał się przed Cariną i dopiero wtedy uzdrowicielka podniosła wzrok, choć z jej ciemnych oczu nic

nie można było wyczytać.

– Może zacznę od ciebie, piękna pani – zaśmiał się zimno handlarz niewolników. – Pewnie nie pamiętasz, ale nieźle mi przyłożyłaś tą swoją laską. Czas spłacić dług. – Carina skuliła się, opierając się plecami o pal.

– Nie! – wychrypiał Vahanian, i gdy zastępca Tarrena pochylił się ku niej z ostrzem, jego więzy puściły i rzucił się na mężczyznę, chwytając za rękę trzymającą nóż.

Przygniótł handlarza kolanami do ziemi, wyrwał mu nóż i cisnął w mrok, a potem resztką sił uderzał mężczyznę w twarz pięściami tak długo, aż ten legł bezwładnie. Odgłos kroków ostrzegł go o nadejściu następnego przeciwnika i Vahanian wyciągnął miecz zastępcy z pochwy, padł i przetoczył się, by podnieść się do przysiadu.

Tris zaczął szarpać swoje więzy, mając w głowie tylko jedno słowo. *Teraz!* zakrzyknął ku ciemnym zjawom na obrzeżu lasu. Zimny wiatr przemknął przez polanę i sznury krępujące mu nadgarstki opadły, a potem zewsząd nadpłynęła mgła i spowiła całą okolicę.

– Będę cię osłaniał! – krzyknął Carroway, pocierając świeżo uwolnione nadgarstki. Siła gniewu duchów uderzyła w Trisa jak niewidzialny huragan.

– Kryć się! – zawołał, przekrzykując wiatr.

W obozie wybuchła panika. Kątem oka Tris dostrzegł Vahaniana walczącego z kolejnym przeciwnikiem, a tymczasem kłębiąca się mgła zaczęła przybierać ludzkie kształty, zwijających się z bólu postaci z rozwartymi do krzyku ustami – prosto z koszmarów. Utrzymywanie połączenia z duchami wymagało od Trisa całej siły woli; ich liczba rosła, a zawodzące jęki stawały się coraz głośniejsze. Czuł, jak traci nad nimi panowanie.

Chrońcie! zawołał w myślach i poczuł ich gniew, pragnienie zemsty od tak dawna nie zaspokojone, wrogość, która zbierała się niczym burzowe chmury. Carroway walczył tymczasem ukradzionym mieczem, odpierając handlarzy niewolników, którzy rzucili się na Trisa. Vahanian

w szybkim tempie tracił siły. Jego przeciwnik zdawał się wyczuwać słabość najemnika i podwoił siłę natarcia, spychając go w stronę urwiska szaleńczymi ciosami, które mogły człowieka przepołowić.

W pewnym momencie udało mu się drasnąć Vahaniana płytko w ramię. Pewien teraz, że ma przewagę, handlarz natarł z całych sił, tak że Vahanian musiał parować szaleńczo, żeby ujść z życiem. I wtedy, kiedy Tris był pewien, że Vahanianowi nie uda się już dłużej odpierać ataku handlarza niewolników, z półki skalnej nad nimi spadł kamień wielkości melona i trafił nie spodziewającego się niczego mężczyznę prosto w czubek głowy, a ten osunął się na ziemię bez słowa.

W ślad za kamieniem rozległ się złośliwy chichot i Tris zobaczył Berry przeskakującą z jednej półki skalnej na drugą, uchylającą się przed strzałami handlarzy niewolników, zrzucającą grad głazów i kamieni na ich głowy.

Powrócił gwałtownie do świata duchów, gdyż ciemna chmura wrogości pęczniała. Chciał, żeby duchy lasu przepędziły handlarzy niewolników, teraz jednak, gdy zebrały się wokół niego, wiedział, że mają inne plany. Zimny wiatr przemknął przez polanę lodowatym podmuchem, mroząc Trisa aż do szpiku kości i targając jego włosy. Obok niego Carina wyszarpnęła pał z ziemi i posługując się nim jak laską, odpierała atak na wpół oszalałego handlarza, który rzucił się na Trisa.

Vahanian podbiegł do nich, zdyszany i blady.

– Mogę pomóc go osłaniać! – krzyknął do niej. – Kiedyś musisz zacząć posługiwać się mieczem.

– Nie mogę – wysapała Carina, podcinając swoją laską nogi przebiegającemu handlarzowi, po czym uderzyła go mocno w głowę. – Uzdrowiciele nie mogą używać ostrzy.

– To głupia zasada! – krzyknął w odpowiedzi Vahanian, atakując handlarza, który chciał

rzucić się na Carroway'a, co pozwoliło bardowi cisnąć sztyletem i powalić mężczyznę. –

Musiała kosztować życie wielu uzdrowicieli.

– Nie spodziewałam się, że to zrozumiesz.

– Kiedyś będziesz musiała mi wytłumaczyć, w czym zdzielenie człowieka przez łeb jest lepsze od przebicia go mieczem – odparował Vahanian.

Tymczasem Tris z trudem utrzymywał koncentrację; ten wysiłek wyczerpywał go. We mgle, która niemal całkowicie przesłoniła polanę, prawie nic nie było widać. Nawet księżyc zdawał się przekłęty tej nocy i lśnił dziwnym blaskiem, gdy ciemność zaczęła zasłaniać jego światło. Głęboko w miazmatach mgły Tris słyszał pełne przerażenia wrzaski handlarzy niewolników i bitewny szcęk stali. Pozostali jeńcy, uwolnieni przez duchy, chwycili za bron albo rzucili się do ucieczki. Kilku handlarzy niewolników uciekło przed mgielnymi upiorami do mrocznego lasu, ale ich mrozące krew w żyłach wrzaski świadczyły o tym, że coś gorszego niż widma czeka w lesie na tych, którzy pójda w ich ślady.

Mgła kłębiła się, tu i ówdzie przeszywana kulami magicznego ognia, które Alyzza ciskała na tych kilku handlarzy niewolników, którzy pozostali, by walczyć. Nagle mgła zgęstniała i łatwiej było teraz dostrzec zjawy. Tris był pewien, że ich ściągnięte grymasem twarze będą go prześladować w koszmarach do końca życia, a kiedy wiatr zawył głośniejszym, wiedział, że już nad tym nie panuje.

– Kryć się! – krzyknął do przyjaciół. – Nie panuję już nad nimi!

Po ich pobladłych twarzach poznał, że właśnie tak podejrzewali.

– Uciekajcie! – zawołał, przekrzykując wycie wiatru. – Utrzymam je z dala od was!

Biegnijcie do jaskiń!

Vahanian i Carroway pochwycili Carinę za ramiona i ruszyli pędem ku nędznej osłonie, jaką dawał klif. Carina opierała się.

– Tris, a co z Trisem?! – wołała, starając się przekrzyknąć wycie wichru.

– Wynoście się stąd! – Tris uniósł ręce w obronie przed podmuchem, który omal go nie przewrócił. Czuł wrogość duchów i ustawienie ochronnej aury wokół przyjaciół wymagało sięgnięcia po resztki mocy.

– Tris sobie poradzi – zapewnił Carinę Vahanian, ciągnąc ją za sobą w stronę urwiska.

Zatrzymali się tuż pod półką. – Berry, skacz! – zawołał, wyciągając do niej ręce. A kiedy ją złapał, o mało co nie padając na kolana, pociągnął obie kobiety ku szczelinie w skale. Najpierw wcisnął w nią Berry, potem protestującą Carinę, a na koniec Carroway’a i zasłonił otwór własnym ciałem. W prawej ręce trzymał miecz w gotowości, a lewym ramieniem osłaniał twarz przed duchami ogarniętymi morderczym szaleństwem.

Tris otworzył się na duchy, rzucając na szalę swoją słabnącą moc i duszę, żeby utrzymać bladoniebieską tarczę mocy nad rozpadliną, w której skryli się jego przyjaciele.

A potem mrok przesłonił księżyc.

Tris słyszał już nieraz odgłosy zażartej walki i krzyki ginących ludzi, lecz wrzaski, jakie rozległy się teraz wokół niego, były nieludzkie, a tortury, jakim żadne zemsty duchy poddawały handlarzy niewolników, przekraczały wyobraźnię artysty przedstawiającego Miejsce Mroku. Odgłosy umierania ludzi mieszały się ze straszliwym zawodzeniem, aż Tris zapragnął zakryć uszy rękoma, nie ośmielił się też otworzyć oczu, żeby nie postradać zmysłów. Wiatr niósł ciężki, metaliczny odór krwi. Tris wzdrygał się za każdym razem, gdy upiory przelatywały nad nim i przez niego. Wbrew własnej woli odczuwał ich pragnienie krwawej zemsty i nie był w stanie uwolnić się od siły, która płonęła chęcią oczyszczenia polany z żywych i dokonania zemsty.

Mrok zdawał się trwać wiecznie. Wreszcie Tris poczuł, jak duchy słabną, zaspokoiwszy pragnienie zabijania. Ośmielił się spojrzeć w niebo i zobaczył jasny dysk księżyca przesłonięty ciemną kulą, która powoli odsuwała się na bok, aż w końcu, niemalże po upływie wieczności,

księżyc znowu załśnił. Po zakończeniu krwawego żniwa mgła niechętnie wycofała się w stronę lasu.

Dotrzymaliśmy naszej części paktu, krewniaku Bava K'aa. zawyły głosy. Nikt, kto był przetrzymywany siłą, nie doznał krzywdy. A teraz zaprowadź nas na spoczynek.

Zebrawszy resztę sił, Tris wyciągnął ręce w geście błogosławieństwa. Kiedy zaczął szeptać słowa mocy, poczuł, jak duchy kłębią się wokół niego, emanując tęsknotą, żalem i uczuciem osamotnienia. Czerpał siły ze współczucia, które wezbrało w nim na myśl o długim wygnaniu, zdradzie, stracie i żałobie, jakich doświadczyły duchy, i wplótł je w ostateczne błogosławieństwo, odprawiając rytuał przejścia. Jego wzrok maga widział czekające na wyzwolenie dusze, a w oddali, na skraju ciemności, bardziej wyczuł obecność, niż zobaczył Tę, Która Władą Nocą.

Jej wezwanie skierowane do zagubionych dusz było najśłodszą rzeczą, jaką kiedykolwiek słyszał, choć nigdy nie zdołałby wymówić tego w języku śmiertelników. Nawet jego własna dusza pragnęła podążyć za tym wezwaniem, ale ciało zatrzymywało go w tym świecie. *Udajcie się teraz na spoczynek*, wypowiedział słowa błogosławieństwa, a duchy zaczęły się wyzwalać z więzów, które przykuwały je do lasu. *Odpoczywajcie w wieczności.*

Jakby nagle zostały wypuszczone ze ściskających je palców, duchy opuściły Trisa, a on osunął się na kolana. Był zbyt wyczerpany, żeby zauważyć, że ziemia wybiega mu na spotkanie, a potem wszystko pogrążyło się w ciemnościach.

Kiedy Vahanian ośmielił się otworzyć oczy, na polanie panował spokój. Duchom Ruune Videya udało się dokonać zemsty. Ciała handlarzy niewolników leżały rozwłócone po całym obozie niczym zepsute lalki, poskręcane, z twarzami wykrzywionymi strachem. Ciężkie wozy wyglądały jak poprzewracane zabawki między szczątkami namiotów. Wśród tych zniszczeń

leżał nieruchomo twarzą do ziemi Tris. Vahanian nie widział żadnych jeńców oprócz Alyzzy, której oczy błyszczały szaleństwem.

Dał znak pozostałym, żeby opuścili kryjówkę, i usłyszał, jak Carina wciąga głośno powietrze na widok leżącego Trisa. Uzdrowicielka podbiegła do niego i delikatnie przewróciła na plecy.

– Czy on... – zaczął Vahanian.

– Żyje – kiwnęła głową ze łzami w oczach. – Nie wiem, co zrobił ani jak to zrobił, i chyba nie chcę wiedzieć. Ale jest straszliwie wyczerpany. Jak się wreszcie ocknie, będzie go potwornie bolała głowa.

– A co z resztą jeńców, czy nie żyją? – spytał najemnik, gdy Carroway i Berry zaczęli chodzić pomiędzy leżącymi ciałami.

– Nie ma potrzeby obawiać się o bezpieczeństwo pozostałych jeńców – odezwał się za nimi głos. Vahanian obrócił się z mieczem w dłoni, a potem wpatrzył się ze zdumieniem w jasnowłosego mężczyznę wyłaniającego się z ciemności.

– Są bezpieczni. Rozproszyli się, lecz to, co wasz przyjaciel wezwał, nie zrobiło im krzywdy. – Nowo przybyły podszedł bliżej posuwistym krokiem. Zatrzymał się na odległość ramienia od Vahaniana i skłonił się nisko z szacunkiem.

– Kim jesteś? – spytała Carina, choć Vahanian mógłby się założyć, że uzdrowicielka wie, kim jest ich gość.

– Jestem Gabriel – odparł vayash moru. – Służę Mrocznej Pani, naszej Władczyni – powiedział, jakby to była zwyczajna prezentacja. – Zostałem do was przysłany.

– Dlaczego? – spytał podejrzliwie Vahanian.

– Duchy lasu posłuchały rozkazu waszego przyjaciela. Ale istnieją także inne, mniej naturalne istoty, które służą Ciemności. Moja Pani przysłała mnie, abym doprowadził was

bezpiecznie do miejsca, gdzie będziecie mogli przenocować i zaspokoić wasze potrzeby.

– Wiesz, Jonmarc – wtrącił Carroway, nie spuszczać wzroku z Gabriela – Tris i ja mieliśmy prawdziwego pecha ostatnim razem, kiedy duch znalazł nam miejsce na nocleg.

– Często tak robisz? – spytał Vahanian, a Gabriel zwrócił ku niemu swoje nieodgadnione spojrzenie.

– Pani opiekuje się swoimi – odparł.

– Znasz go?! – wykrzyknęła Carina. Berry skuliła się między Vahanianem a Cariną, przyglądając się Gabrielowi szeroko rozwartymi oczami, nieufnie, lecz z fascynacją.

– Uhm, spotkaliście się już – wykrztusił najemnik, a cienkie wargi Gabriela wykrzywiły się w lekkim uśmiešku.

– Twoi towarzysze są znani mojej Pani – odparł uprzejmym tonem. – Ich misja też jest Jej znana.

– To widać po tym, jak łatwo nam szło – wymruczał najemnik.

Z tyłu, w głębi lasu, rozległ się szelest i wycie, którego nie mogło wydać z siebie żadne znane Vahanianowi stworzenie.

– Chodźcie – powiedział Gabriel. – Świt już blisko. Idźcie za mną.

Pochylił się i podniósł bezwładne ciało Trisa, jakby ten był śpiącym dzieckiem, po czym ruszył szybkim krokiem.

Podążyli za nim w milczeniu ścieżką niemal całkowicie przesłoniętą gęstymi gałęziami drzew, zbici w ciasną gromadkę. Vahanian miał wrażenie, jakby las ich obserwował. Wszyscy odczuli wielką ulgę, kiedy wreszcie wychynęli z gąszczu i zobaczyli przed sobą ciepłe światła gospody. Gabriel poprowadził ich tylnymi schodami na górę, do pokoju wystarczająco dużego, żeby pomieścić całą grupę, i położył Trisa na łóżku.

– Załatwię sprawy z karczmarzem. Będziecie tu bezpieczni – powiedział.

– Tak po prostu? – spytał Vahanian. – Zamierzasz tak nas tu zostawić?

Gabriel skinął głową.

– Spotkamy się jeszcze. Przed wami daleka droga, zanim wypełnicie swoją misję.

Przynoszę wam jednak wiadomość od Zgromadzenia Sióstr. Trisowi nie wolno przekroczyć granicy z Dhasson. Arontala rzucił zaklęcie na granicę i przywołał bestie, które zagrażają północnemu królestwu. Jeśli Tris wejdzie do Dhasson, bestie się zgromadzą, a wtedy on nie przeżyje.

Nieproszone i aż nazbyt realne wspomnienie tych bestii dopadło Vahaniana.

– Gdzie zatem...

– Musicie się udać do Biblioteki Zachodniej Marchii – przerwał mu Gabriel.

– Mieli mi zapłacić w Dhasson – stwierdził spokojnie Vahanian.

Gabriel zsunął sygnet z lewej ręki i podał mu go.

– Ten pierścień jest wart twojego zachodu – powiedział beznamiętnie vayash moru. –

Potraktuj go jako zaliczkę. Kiedy Tris dostanie to, czego potrzebuje, w Bibliotece, udacie się do stolicy Księstwa. Tam moje zasoby finansowe – i króla Harrola – będą więcej niż wystarczające, żeby wypłacić to, co ci obiecano.

– Nie zmierzaliśmy do stolicy Księstwa.

– Nie? – powiedział Gabriel z niepokojącym uśmiechem, który odsłaniał ostre czubki jego długich siekaczy.

– Nagroda za twoją głowę w Margolanie dorównuje nawet królewskiej nagrodzie wyznaczonej we Wschodniej Marchii. Jesteś także, powiedzmy, „niemile” widziany w Nargi. Na granicy z Dhasson aż roi się od magicznych bestii. Gdzie zdołasz się ukryć, Jonmarc, jeśli nie w Księstwie, wśród tamtejszych najemników i wynajętych żołdaków?

Gabriel zaśmiał się cicho, widząc spojrzenie Vahaniana.

– Nie dziw się, że jesteś znany Zgromadzeniu Sióstr. Przynajmniej chwilowo ty i Tris podążacie tą samą drogą.

Vahanian odwrócił się, klnąc, i wsunął pierścień na palec lewej ręki.

Gabriel spojrział na pozostałych.

– Pomogę wam, w czym tylko będę mógł. Teraz jednak odpocznijcie. Nie musicie się już obawiać handlarzy niewolników.

– Panie – odezwała się uzdrowicielka. – Nazywam się Carina Jesthrata i wraz z bratem również zmierzaliśmy z ważną misją do Dhasson. Wyruszyliśmy z Isencroftu, gdzie byłam... jestem... uzdrowicielką króla Donelana. Król leży powalony wyniszczającym zaklęciem i umiera. Kiara Sharsequin, jego dziedziczka, wysłała nas, abyśmy znaleźli dla niego lekarstwo. Wiemy, że Zgromadzenie Sióstr ma wielką cytadelę w Dhasson, koło Valiquet, gdzie, jak mówią, przebywają najlepsze uzdrowicielki Zgromadzenia. Jechaliśmy tam, żeby zobaczyć, czy mają jakieś lekarstwo.

Gabriel sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał.

– Rzeczywiście jest w tym ręka Mrocznej Pani – wyszeptał. – Pani – zwrócił się z szacunkiem do Cariny – wybacz, ale nie mogę zapewnić ci bezpiecznej podróży do Valiquet. Jednak w stolicy Księstwa znajduje się mniejsza posiadłość Zgromadzenia Sióstr. Jeśli pojedziesz z tą grupą, to może Siostry coś ci doradzą.

Carina wyglądała na przybitą.

– Należy również wziąć pod uwagę – kontynuował Gabriel – że Biblioteka Zachodniej Marchii słynie ze swoich ksiąg. Być może w tej bibliotece czarodziejów znajdziesz informacje o uzdrawianiu.

Carina pokiwała powoli głową.

– Jeśli to Siostry sprawują pieczę nad Biblioteką, to może znajdę tam kogoś, kto mi

pomoże albo zaprowadzi mnie do Sióstr w Dhasson.

– Jest jeszcze jedna sprawa – zauważył Gabriel. – Bestie grasują w lesie między tym miejscem a Zachodnią Marchią. – Jego spojrzenie na Vahaniana mówiło, iż wie o nim więcej, niżby się najemnikowi podobało. – Boją się tylko ognia. Zabierzcie więc ze sobą smołę, zróbcie pochodnie oraz strzały, które można od razu zapalić. Dopiero wtedy zdołacie odeprzeć te bestie.

– Łatwo powiedzieć – wymruczał zjadliwie Vahanian.

– Dziękujemy ci – dodała Carina.

Ale Gabriel znikł, choć nie zauważyli, żeby koło nich przechodził.

– Czy fakt, że wcale mi się to nie podoba, ma jakieś znaczenie? – rzucił z sarkazmem Carroway.

Berry zaczęła radośnie podskakiwać u boku Vahaniana, a on patrzył z podziwem, że po tym wszystkim, co przeszli, dziewczyna jeszcze jest w stanie się cieszyć.

– Możecie w to uwierzyć?! – zakrzyknęła. – Prawdziwy vayash moru, znał Jonmarca i wcale nas nie zjadł ani nic z tych rzeczy!

Radosne podniecenie dziewczyny wywołało pełen znużenia uśmiech nawet na twarzy Vahaniana.

– Trzymaj z nami, Berry, a jeszcze nie raz się zadziwisz – rzucił.

Jednak jego uśmiech znikł, gdy spojrzał na leżącego nieruchomo Trisa. Jeszcze tak niedawno kpił sobie z niego: Co zamierzasz zrobić? Przesłonić księżyc? Obłaskawić vayash moru? Wskrzесиć umarłych? A tymczasem tej nocy Tris właśnie tego dokonał.

Wiedząc o tym, on sam będzie zmuszony podjąć decyzję, kiedy przybędą do stolicy Księstwa. Jeśli, jak wiele razy przysięgał, naprawdę pragnie zemsty na Arontali, powinien oddać się na służbę młodemu magowi na wygnaniu, a wówczas Tris będzie miał prawdziwą szansę na wygraną w tej walce. Vahanian odwrócił wzrok, nie był bowiem jeszcze gotów na podjęcie

takiej decyzji. Być może zostanie ona powzięta za niego i za nich wszystkich, jeśli taka będzie wola Pani, pomyślał ponuro.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Jared Drayke tak mocno ściągnął wodze swojego narowistego ogiera, że zwierzę stanęło dęba. W to zimowe popołudnie dym ze spalonej wioski wisiał wokół nich niczym mgiełka, a ogień wciąż płonący na zgłiszczach budynków sprawiał, że było nienaturalnie ciepło.

– To już ostatni z nich. Wasza Królewska Mość – zameldował kapitan, kłaniając się uniżenie.

– Jesteś pewien? – spytał Jared, przyglądając się zniszczeniom.

– Tak, Wasza Królewska Mość. Żaden vayash moru nie wyjdzie już z tej wioski, żeby nas nękać, możesz być tego pewien – powiedział z zadowolonym z siebie uśmiechem kapitan.

Jared przyglądał się, jak słomiany dach jednego z budynków wali się, wyrzucając w górę deszcz iskier.

– Dobra robota, kapitanie.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość – odparł żołnierz, kłaniając się raz jeszcze. – Jakie rozkazy, Wasza Królewska Mość?

– Wiesz, czego macie szukać. – Jared był już znudzony tą farsą, którą był zmuszony odgrywać. – Spalcie te wszystkie potwory i każdego, kto udziela im pomocy.

Kapitan skinął głową.

– Tak, Wasza Królewska Mość. – I odwrócił się, żeby zebrać rozproszonych żołnierzy.

Jared zawrócił konia i dołączył do swoich gwardzistów.

– Dobrze dziś poszło, nie sądzisz, Wasza Królewska Mość? – spytał jego towarzysz, baron, który niedawno otrzymał swój tytuł,

– To tylko kropla w morzu – odparł z rozdrażnieniem i ruszyli w stronę Shekerishet, –

Powinieneś posłuchać tych petycji, które do mnie wnoszą z prośbą o pomoc – powiedział, przypatrując się kątem oka łatwowiernemu baronowi. – Plugawe potwory kradną dzieci, zabijają bydło, pustoszą całe wioski. A wszystko to z pomocą tego mrocznego Zgromadzenia Sióstr.

– Nigdy im nie ufałem – oznajmił żarliwie baron. – Pewnie same wykradają dzieci do tych swoich krwawych rytuałów albo czegoś podobnego.

– Czy chciałbyś zobaczyć przesłuchanie jednej z nich?

– Siostry? – wykrztusił baron. – Schwytałyście jedną z nich?

– Kiedy wrócę do pałacu, przesłucham ją. Zechcesz się przyłączyć? – Ogromna udręka malująca się na tłustym obliczu barona, rozdartego między prośbą króla a strachem, sprawiła Jaredowi dużą przyjemność.

– Jeśli król sobie życzy... – wykrztusił wreszcie baron.

Jared odwrócił się, żeby ukryć rozbawienie.

– To może się okazać... pouczające – powiedział, poganiając konia do szybszego biegu.

Baron podążył za nim z wahaniem, a potem trzymał się tak daleko z tyłu, jak protokół na to pozwalał, gdy schodzili po stromych kręconych schodach do najniższych partii pałacu.

Wyrzeżany w kamieniu Shekerishet wcinał się w zbocze wysokiej litej skały, a jego lochy znajdowały się w jaskiniach głęboko pod górą. Od niemal pięciuset lat ta milcząca, groźnie wyglądająca forteca, nigdy nie zdobyta przez wroga, stała na straży Margolanu.

Jej najgłębiej położone części były domeną Arontali. To tu przyprawdzano na przesłuchanie najbardziej użytecznych dla niego więźniów – tych, których podejrzewano o magię, lub nieszczęśników, którzy naprawdę byli vayash moru.

Tłusty wielmoża był blady jak ściana, a ręce trzęsły mu się tak mocno, że był zmuszony zatknąć kciuki za pas. Jared musiał przyznać sam przed sobą, że odczuwa podobny niepokój. A właściwie to o wiele większy, gdyż tylko on wiedział, jak potężny stawał się Arontala w miarę,

jak rosła liczba nieszczęśników, których torturował i zabijał. Mag był teraz biegły w wygaszaniu mocy swoich więźniów przez podawanie im mikstury ze smoczego korzenia.

Ich branka już czekała. Klęczała ze związanymi rękoma i stopami, pochylona tak, że czołem niemal dotykała ziemi. Odpoczywała lub spała, a może po prostu została tak otumaniona narkotykami, że nie była w stanie się wyprostować. Jej splątane ciemne włosy wymykały się spod kaptura, a brązowa szata wskazująca na to, że należy do Zgromadzenia Sióstr, była podarta i zabłocona, co świadczyło o tym, że jej pochwycenie nie przebiegło gładko. Nie obyło się też bez dużych kosztów, pomyślał Jared, marszcząc brwi, kiedy przypomniał sobie, jak wielu gwardzistów zginęło przy próbie dostania się do fortecy czarodziejek.

Arontala czekał na nich, niemal wtopiony w cienie tańczące na zimnych kamiennych ścianach oświetlonej pochodniami komnaty. Powitał ich ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy. Wokół nich na ławach i stołach rozłożone były narzędzia tortur, poplamione krwią poprzednich ofiar. W komnacie był także inkwizytor, milczący i groźny w swojej ciemnej tunice. Jared zobaczył, jak mały, tłusty baron przełyka ślinę i przerażony cofa się, aż wpada na ścianę. W przypadku tego tutaj nie potrzeba nawet zakładnika, żeby wiedział, gdzie jego miejsce, pomyślał z zadowoleniem. Wystarczy jedno spojrzenie Arontali i będzie błagał o szybką śmierć.

– Wasza Królewska Mość jest gotowa? – spytał Arontala tonem, który, jak Jared doskonale wiedział, tylko pozornie oddawał cześć pozycji i potędze śmiertelnego króla.

– Tak – odpowiedział z nutą zblazowania w głosie, żeby zrobić wrażenie na nieszczęsnym baronie, który przykleił się tak mocno do ściany, że przypominał gobelin.

– Zatem zaczynaj – polecił Arontala inkwizytorowi, który podszedł do kobiety i postawił ją na nogi.

Baron zemdlął.

Przesłuchanie trwało ponad dwie świece i nawet Jared był zaskoczony determinacją ofiary.

Bezłitośnie poturbowana, z ranami świadczącymi o kunszcie inkwizytora, Siostra nadal milczała, wbijając w Arontalę spokojne spojrzenie, które doprowadzało mrocznego maga do furii.

– Zdaje się, że to do niczego nie prowadzi – zauważył oschle Jared, gdy inkwizytor wypróbował kolejne narzędzie, zadając z premedytacją ból, jednak na próżno, Siostra bowiem tylko krzyczała i nic nie chciała mówić.

– Jest uparta – stwierdził wściekły Arontala, a Jared skrył uśmiezek zadowolenia z frustracji maga.

– Może – odparł – ona jest pierwszym prawdziwym magiem, którego przesłuchujesz, w przeciwieństwie do tych wioskowych czarownic, z którymi tak lubisz się bawić.

– Nawet magowie mają granice wytrzymałości. – Arontala zacisnął zęby i dał znak inkwizytorowi, żeby wypróbował kolejny zestaw narzędzi.

– I swoje słabości – dodał Jared, rozkoszując się pierwszą od jakiegoś czasu okazją, żeby dopiec mrocznemu magowi.

– Tak jak królowie. Wasza Królewska Mość – odparł spokojnie Arontala, nie zadając sobie szczególnego trudu, żeby ukryć pobrzmiewający w jego głosie sarkazm.

– Fakt pozostaje faktem, że musisz jeszcze odnaleźć i zniszczyć szczątki Bava K’aa – zauważył Jared. – A dopóki tego nie zrobisz, jesteśmy zagrożeni.

– Zniszczyliśmy wszystkie cytadele stąd aż do granicy z Księstwem i na zachód aż po Isencroft – odparł cierpko Arontala.

– Po prostu nie szukałeś wystarczająco intensywnie – Jared przeszedł nad omdlałym wielmożą, zmierzając ku schodom. – Dość już zabawy na dziś – powiedział sucho. – Będę w swoich komnatach.

– Jak sobie życzysz, panie – odparł Arontala głosem zdławionym ledwie kontrolowaną złością. Zanim Jared pokonał pierwszy zakręt schodów, zobaczył, jak Arontala zabiera narzędzia

inkwizytorowi i podchodzi do odurzonej narkotykami nieszczęsnej branki, a potem usłyszał jej krzyki odbijające się echem na krętych schodach.

Ledwie dotarł do głównej sieni, kiedy dogonił go kapitan gwardii.

– Jeśli Wasza Królewska Mość będzie łaskawy... – rzekł, kłaniając się.

– Nie będzie – burknął zirytowany Jared.

Ten człowiek wyraźnie miał za sobą długą jazdę, jego ubranie było ubłocone i pokryte pyłem drogi.

– Co? – warknął. – Jakie przywiozłeś wieści?

– Wieści z granicy z Księstwem, Wasza Królewska Mość – odparł zdenerwowany kapitan.

– Złożono meldunek, że kobieta z mieczem na ogromnym rumaku sama przegoniła dwóch naszych gwardzistów i przeprowadziła grupę wieśniaków przez granicę do Księstwa.

Jared zmarszczył brwi.

– Kobieta z mieczem?

Kapitan pokiwał głową.

– Tak, Wasza Królewska Mość. Raport wskazuje na to, że to nie amatorka. Była wyszkolona w posługiwaniu się klingą, i to dobrze.

Jared zaklął.

– Cóż innego mogli ci powiedzieć twoi ludzie po tym, gdy nie utrzymali posterunku na trakcie? – warknął. – Zdumiewa mnie, że nie wymyślili olbrzyma wysokiego na dziesięć stóp!

Kapitan wyraźnie czuł się nieswojo w roli posłańca przynoszącego złe wieści.

– Trudno powiedzieć, panie – odparł nerwowo – ale trzymali się tej historyjki, choć inni żołnierze śmiali się, że panienka ich przepędziła. Mówili, że była ładną dziewczyną, ale ubraną w odzienie, które bardziej przystoi mężczyźnie.

– I powiedzieli, że jak wyglądała? – Jared zaczynał nabierać podejrzeń.

Kapitan przełknął ślinę.

– Kasztanowe pofalowane włosy, związane z tyłu w warkocz. Byłaby z niej ładna dzierlatka, gdyby nie miała ochoty posiekać człowieka na kawałki – dodał.

– Na bojowym koniu, powiadasz?

Zdenerwowany kapitan znowu skinął głową.

– Tak, Wasza Królewska Mość. Na wielkim koniu nauczonym kopać i stawać dęba.

Mówili też, że dobrze wiedziała, jak na nim jeździć. O mało co nie porozbijał im głów kopytami, zanim ich przepędziła.

Oczy Jareda się zwięziły.

– Poślij za nią swoich najlepszych ludzi do Księstwa – rozkazał. – Niech pojedą dwójkami, uzbrojeni w łuki, i najpierw powalą tego konia. Ale chcę mieć tę kobietę żywą, rozumiesz? – warknął.

– Tak, Wasza Królewska Mość – przyznał z wahaniem kapitan. – Ale wysłanie żołnierzy do Księstwa... A jak zostaną rozpoznani? Wojna...

– Nie kazałem ci myśleć, kazałem ci złapać tę sukę i przyprowadzić ją do mnie na przesłuchanie – przerwał mu Jared. – Czy myślisz, że sobie z tym poradzisz, czy mam wysłać kogoś innego?

W tej chwili znowu rozległy się krzyki udręczonej czarodziejki i twarz kapitana zbladła.

– Nie, Wasza Królewska Mość – wykrztusił nieszczęsny mężczyzna. – Jak sobie życzysz, Wasza Królewska Mość.

– I pospiesz się z tym. – Odwracając się, Jared był w jeszcze bardziej paskudnym nastroju niż wtedy, kiedy opuszczał katakumby.

– Tak, Wasza Królewska Mość – rzucił jeszcze za nim mężczyzna, gdy Jared zaczął wchodzić po szerokich głównych schodach wiodących do królewskich apartamentów.

Wiedział, że raport kapitana mógł oznaczać tylko jedno. Kiara Sharsequin wykręciła się od podróżowania z jego emisariuszem, wymknęła się z Isencroftu i przemierzała teraz Margolan. Jej zdrada nie poruszyła jego serca; spotkał ją tylko raz, wiele lat temu, i wcale nie był zainteresowany posiadaniem żony, po prostu musiał mieć dziedzica. Przyznał, że do tych pragmatycznych celów bardziej odpowiednia byłaby uległa partnerka, która wiedziałaby, gdzie jest jej miejsce. Jedynym powodem, aby znosić fochy księżniczki Isencroftu, były żyzne ziemie uprawne, które wniosłaby w posagu i które ponad dwukrotnie zwiększyłyby areał jego włości. A jeśli po ślubie królowa umarłaby przy wydawaniu na świat dziedzica, to nie byłoby to nic nowego. Praktyczne rozwiązanie.

Kiara jednak zrobiła mu wielki afront: nie dość, że wysliznęła mu się z rąk, to jeszcze przepędziła jego żołnierzy niczym chłopców na posyłki. Nie obchodziło go wcale to, że kilku wieśniaków znalazło się w Księżstwie. Kiedy dotarł do swoich komnat i zamknął za sobą okute żelazem drzwi, pomyślał, że bardziej niepokojące jest to, iż inni mogą sobie pomyśleć, że margolańskich żołnierzy, a tym samym i króla, można łatwo pokonać. I za to musi zostać ukarana, stwierdził naburmuszony Jared, nalewając sobie sporą porcję brandy do pucharu. Kiedy dołączył do niego Arontala, Jared wcale nie był zdziwiony, że mag pojawił się tak cicho.

– No i? – spytał, nie odwracając wzroku od ognia. Wypił już sporo brandy, rozkoszując się jej ciepłem i blaskiem płomieni.

– Czarodziejka nie żyje.

– I czego się dowiedziałeś?

– Że mistrzynie magii ze Zgromadzenia Sióstr nie są zrobione z żelaza ani kamienia –

odparł spokojnie mroczny mag, nie połykając przynęty. – Że można je zabić, choć nie można ich złamać.

– Zatem poniosłeś klęskę.

W mgnieniu oka Arontala przemierzył pokój i oparłszy się o ogromny kominek, wbił w Jareda beznamiętne spojrzenie.

– Pojęcie klęski zależy od tego, jaki pragnęło się osiągnąć cel, panie – odparł, nie starając się nawet ukryć pogardy. – Kolejna członkini Zgromadzenia Sióstr nie żyje, co nie ujdzie ich uwagi. Następna cytadela została opuszczona. Nadeszła wiadomość od króla Nargi, iż z chęcią użyje swoich żołnierzy, jeśli trzeba będzie silną ręką stłumić rewolty na terenach wzdłuż rzeki. Dhasson jest zbyt zajęty bestiami na granicy, żeby pospieszyć z pomocą zdrajcy. A ja... nieźle się pożywiłem – dodał, przesuwając językiem po wargach i lekko je ściągając, żeby odsłonić długie zęby. – Robimy postępy w naszej sprawie.

– Postępy! – ryknął Jared, zrywając się na równe nogi i przewracając z hukiem stojący z boku stolik. – Mój brat jest na wolności mimo twoich „ogromnych” wysiłków. Ta suka z Sharsequin wymknęła się z naszej sieci. A Zgromadzenie Sióstr, z którego zniszczenia jesteś taki dumny, po prostu zeszło do podziemia. Powiedz mi, że to nie jest klęska!

Arontala przyglądał mu się beznamiętnie, a jego kredowobiała cera niemal jaśniała w blasku ognia.

– Jest zbyt wcześnie, żeby móc to stwierdzić – rzekł, odsuwając się od kominka. – Zajmujesz tron. Twoje szkatuły nigdy jeszcze nie były tak pełne. I niezależnie od tego, co lud sądzi o twoich metodach, lęka się teraz vayash moru bardziej niż króla.

Uśmiechnął się.

– Podsunęliśmy im wspólnego wroga i wyeliminowaliśmy moich rywali, a wszystko to dla dobra Margolanu. Całkiem pomysłowo, nie sądzisz?

Jared spojrzał na szczupłego maga i nagle wyprowadził pijacki cios z półobrotu. Vayash moru znalazł się po drugiej stronie komnaty, zanim Jared skończył zamach, i przyglądał się, jak

król się zatacza.

– Powściągnij swój temperament, Jaredzie – powiedział, cmokając. – Nie chciałbym być zmuszony przypomnieć ci o warunkach naszego układu. – Krążył teraz wokół rozwścieczonego króla, tuż poza jego zasięgiem. – Ale jeśli będę musiał, to... jak by to ująć... „zduszę” takie zachowanie w zarodku. – I uśmiechnął się, błyskając drapieżnie zębami.

Jared rzucił się na maga z okrzykiem wściekłości, po czym wylądował na podłodze komnaty, podczas gdy Arontala oparł się znudzony o przeciwległą ścianę.

– Naprawdę, Jaredzie, to bez sensu. Co zamierzasz zrobić, gdy już dostaniesz mnie w swoje ręce, co? Zabić mnie? – szydził z niego. – Za późno. Ktoś już to zrobił dawno temu. Zapominasz też o czymś ważnym.

– O czym? – warknął Jared, który podniósł się chwiejnie i teraz bezsilnie piorunował wzrokiem tryumfującego maga.

– Za kilka miesięcy nadejdzie miesiąc Głogu, a wtedy nic już nie będzie miało znaczenia.

Uwięziłem dusze magów, których zabiliśmy, wraz z duszami Kait, Serae i wieloma duszami pałacowych duchów w Kuli z przeznaczeniem na ofiarę – wyjaśnił zadowolonym z siebie tonem.

– Jako posiłek dla Obsydianowego Króla, kiedy przebudzi się ze snu. Ja będę miał władzę nad największym magiem, jaki kiedykolwiek żył, doprowadziwszy do jego odrodzenia, a ty – dodał cierpko – będziesz miał władzę nade mną. Obydwaj będziemy mieli to, czego pragniemy, nieprawdaż, mój panie?

– Wynoś się! – krzyknął Jared, trzęsąc się z pijackiej wściekłości i strachu. – I nie wracaj, dopóki nie będziesz miał czegoś do pokazania. Przynieś mi ciało Bava K’aa albo głowę mojego brata, albo przyprowadź w łańcuchach tę zdzirę z Isencroftu. – Nie pozwolę z siebie kpić! – wrzasnął i cisnął dzbanem w maga, który odsunął się na bok szybciej, niż zdolne to było uchwycić oko śmiertelnika, i przypatrywał się z lekką dezaprobatą, jak zawartość dzbanka ścieka

po kamiennej ścianie.

– Jak sobie życzysz, Wasza Królewska Mość – odparł, niewzruszony. W mgnieniu oka stanął przy drzwiach komnaty. – Przyślę kogoś, żeby to posprzątał. – I zamknął za sobą drzwi, żegnany kolejnym przekleństwem i stukotem naczynia rozbijającego się o twarde drewno. Ochryply od krzyku, zdyszany Jared wpatrywał się w miejsce, gdzie przed chwilą stał mag. W którymś momencie ta cała sprawa poszła w zupełnie niewłaściwym kierunku. A kiedy nadejdzie miesiąc Głogu, będzie jeszcze gorzej, pomyślał.

Rozdział dwudziesty drugi

Tris Drayke obudził się – i od razu tego pożałował. Głowa mu pękała, a każdy mięsień w jego ciele protestował. Wreszcie otworzył oczy i zobaczył, że wpatruje się w jakiś obcy sufit. Udało mu się usiąść, co wymagało jeszcze większego wysiłku, po czym skrzywił się i zamknął oczy, kiedy świat się zakołysał, a głowa zaczęła pulsować tęnym bólem.

– Witaj z powrotem – wychrypiała Alyzza, wciskając mu w dłonie kubek parującej herbaty i pomagając podnieść go do ust. Przez chwilę skupiał się tylko na zapachu gorącego płynu i uczuciu ciepła, gdy spływał mu po gardle. A potem znowu otworzył oczy i zobaczył, że znalazł się w centrum zainteresowania małej grupki zebranej w tym nijakim pokoju w gospodzie.

Vahanian spoczywał na krześle koło kominka z mieczem na podorędziu i wyglądał niewiele lepiej, niż Tris się czuł. Berry siedziała na stole ze skrzyżowanymi nogami i grała z ożywieniem w *tarle* z Cariną, podczas gdy Carroway przyglądał im się z rozbawieniem.

– Gdzie jesteśmy? – spytał; jego głos brzmiał dziwnie chrapliwie, wydobywając się z wysuszonego gardła. Pociągnął kolejny łyk napoju z kubka podanego przez Alyzzę, a potem czarownica musiała mu podłożyć poduszkę, żeby nie przewrócił się na bok.

– Na drugim brzegu rzeki od strony Księstwa – odparł Vahanian. – Kawałek na północ od lasu i na wschód od miejsca, gdzie zostawiliśmy handlarzy niewolników. Kilka dni od Przełęcz

Dhasson.

Zamilkł na chwilę.

– Gabriel nas tu przyprowadził. Ponownie ostrzegł nas, że na granicę z Dhasson rzucono zaklęcie i jeśli spróbujesz ją przekroczyć, wezwie ono wszystkie zaczarowane bestie. Masz się teraz udać do Biblioteki Zachodniej Marchii, a potem do stolicy Księstwa – a my pojedziemy z tobą.

Tris zaczął sobie przypominać fragmenty ucieczki z rąk handlarzy niewolników, ten dreszcz podniecenia, gdy poczuł przepelniającą go moc, i przerażenie, gdy rozgniewane duchy starały się wyrzucić zemstę na handlarzach. Poza tym nic więcej nie pamiętał.

– Będziecie musieli mi wszystko opowiedzieć – rzekł. – Nic nie pamiętam po tym, jak leśne duchy nas zostawiły.

– Niewiele jest do opowiedzenia – odparł Vahanian. – Gabriel znalazł nas w lesie i przyprowadził tutaj. Wygląda na to, że dogadał się z karczmarzem, i dostaliśmy wszystko, czego nam było trzeba. Spałeś przez ostatnie dwa dni. Nie mogę powiedzieć, że bym miał coś przeciwko tej okazji do odpoczynku. Carina zarobiła trochę skriwenów na podróż, uzdrawiając jakiegoś nieszczęśnika, Carroway grał za pieniądze w głównej izbie, a Berry dawała nam wszystkim popalić w grze w *tarle* – podsumował, a dziewczyna uśmiechnęła się z satysfakcją.

– A co z pozostałymi jeńcami? – wykrztusił Tris, popijając herbatę.

– Sami nic nie widzieliśmy – odpowiedział ponuro Carroway – ale Gabriel zapewnił nas, że wszyscy uciekli. Nie było ich wśród trupów na polanie, choć nie wiem, jak sobie poradzili, kiedy znaleźli się w lesie.

Tris pokiwał głową.

– Zawarłem pakt... z duchami – bąknął cicho. – Zemsta w zamian za nasze życie – za życie wszystkich jeńców. Mam nadzieję, że... dotrzymały obietnicy. – Dopił napar i oddał kubek

Alyzzie, a czarownica pobiegła, żeby nalać kolejny kubek z kociołka gotującego się na ogniu.

– Wypij to – nalegała. – Doprowadziłeś się do skrajnego wyczerpania. Niejeden mag poniósł śmierć ze zmęczenia, za bardzo się angażując – zbeształa go. – Teraz już wiesz, dlaczego nawet najbardziej potężni magowie muszą odpoczywać po skorzystaniu z magicznej sztuki – zarechotała.

Tris dostrzegł nowy rodzaj szacunku w jej oczach i ta świadomość go przestraszyła. *Słodka Chenne*, pomyślał, *co ja tam zrobiłem? A jeśli nie potrafiłem nad tym wszystkim zapanować, to jak zdołam stawić czoła Arontali?* Odpowiedź na to ostatnie pytanie przerastała go w tej chwili, więc postanowił skupić się na parującym kubku w dłoniach.

– Jak się wszyscy mają? – spytał, patrząc po członkach grupy.

Vahanian wzruszył ramionami.

– U mnie bywało gorzej – stwierdził. – Nie odniosłem żadnych nowych obrażeń, więc jestem gotów jechać dalej, kiedy tylko zechcesz.

Tris przenosił spojrzenie z jednej twarzy na drugą i otrzymywał w odpowiedzi skinienie głowy albo wzruszenie ramion, potwierdzające gotowość do wyruszenia w drogę. Nie pamiętał zbyt wyraźnie tego, co się stało, kiedy przywołał duchy na polanę. Przypomnił mu się tylko błysk noża jakiegoś handlarza niewolników, krzyk Vahaniana, a potem wycie duchów, które rzuciły się, aby dokonać zemsty. Pamiętał także nawałnicę ich emocji – przytłaczający smutek, tęsknotę i wściekłość – oraz swoje własne przerażenie, gdy te wichry zemsty kłębiły się wokół niego, wymykając się spod jego kontroli. Wciąż słyszał wrzaski handlarzy niewolników i czuł smród krwi; wstyd, że przywołał tę potworność, walczył w jego duszy z poczuciem ulgi, że byli wolni.

Oni wiedzą, że przywołałem duchy i że straciłem nad nimi panowanie, uświadomił sobie, kiedy spojrzał na twarze swoich towarzyszy. I choć nie malował się na nich strach, to nie był to

również wyraz ulgi, nawet na twarzy Carroway'a. Tris pomyślał, że to zupełnie tak, jakby znany ci dobrze koń do codziennych przejażdżek pewnego dnia okazał się rumakiem bojowym albo nawet demonicznym wierzchowcem, potrafiącym latać w świetle księżyca i zabijać spojrzeniem. *Nie są pewni, czym się stałem, pomyślał, czując się z tym nieprzyjemnie. I nie wiedzą, czy się na to pisali. Być może dla nich wszystkich stawka w tej grze stała się przerażająco realna.*

– No cóż – zaczął, wiedząc, że czekają na jego decyzję – jeśli wszyscy uważacie, że jesteście gotowi do jazdy, to wyruszmy jutro rano. Im szybciej dotrę do Zachodniej Marchii, tym szybciej wszyscy spokojniej odetchniemy.

– Chodź, Berry – powiedziała Carina. – Pomożesz nam przygotować konie do jazdy i spakować juki.

Berry poszła chętnie z Cariną, choć Tris podejrzewał, że zrobiła to raczej z nudów niż z jakiegoś innego powodu. Alyzza podążyła za nimi, zamykając za sobą ciężkie drzwi.

– Karczmarz jest na tyle uprzejmy, że daje nam na krechę – powiedział Carroway, przysiadając na rogu stołu. – Jak na kogoś, kto nie jada... a przynajmniej nie jada normalnego pożywienia... ten twój przyjaciel Gabriel znalazł nam miejsce z dobrą kuchnią.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– A najważniejsze, że to miejsce nie rozwiało się, kiedy się obudziliśmy, więc ja jestem zadowolony.

– Macie dziwny sposób wybierania gospody – stwierdził Vahanian, odwracając się z powrotem do ognia.

– Chyba już nigdy nie uznam niczego za dziwne – stwierdził z przejęciem Carroway. – Ale jak już będziemy bezpieczni – kiedykolwiek to nastąpi – będą się o mnie zabijali w pałacach i wiejskich dworach, żeby tylko usłyszeć moje opowieści. – Uśmiechnął się szerzej. – Dzięki, Tris. – Tris przewrócił oczami.

– Ależ proszę bardzo.

Dopił resztkę herbaty i ostrożnie znowu się położył. Ze zdumieniem stwierdził, że jest głodny.

– Skoro podają tu takie dobre jedzenie, to gdzie ono jest?

Carroway zerwał się na nogi i skłonił teatralnie.

– Wystarczy tylko poprosić. Pozwolę wam dwóm wytyczyć drogę na północ. A ja pójdę zobaczyć w kuchni, co moja przyjaciółka Shaia ma dziś w garnku na wieczór – powiedział, znacząco unosząc brwi.

– Cokolwiek ma w garnku, dopilnuj, żeby nie rozwadniali tak piwa jak zeszłego wieczoru!

– zawołał przez ramię Vahanian, kiedy bard ruszył ku drzwiom.

– Jak sobie życzysz. – Carroway wyśliznął się na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi.

Po jego wyjściu zapadło krępujące milczenie. Tris leżał, wpatrując się w popękany sufit gospody, a Vahanian nie ruszył się ze swojego miejsca przy kominku. Wreszcie najemnik się odezwał.

– Co tam się stało? – spytał chrapliwym głosem. – Przyzwałeś je?

Tris milczał chwilę, zanim odpowiedział.

– Tak.

Znowu zapadła cisza, przerywana tylko trzaskiem i sykiem polan w kominku.

– I kontrolowałeś to, co przybyło?

Tym razem Tris milczał jeszcze dłużej.

– Początkowo – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Później już chyba nie.

Vahanian aż odwrócił się na krześle, żeby spojrzeć na niego.

– Chyba nie? – spytał z niedowierzaniem. – Te demony chciały zabić każdą żywą istotę, a ty nie wiesz, czy one cię słuchały?

Tris przełknął ślinę.

– To nie były demony.

– Wyglądały jak demony.

– Ale nimi nie były. Po pierwsze dlatego, że żaden mag Światła nie przyzwie demona.

– Chyba że przez przypadek.

– A po drugie, nawet gdybym chciał, to nie wiedziałbym jak – ciągnął Tris, ignorując uwagę Vahaniana.

– Czyli twierdzisz, że te istoty nie były demonami, i jesteś niemal pewien, że nad nimi panowałeś, przynajmniej przez jakiś czas.

Tris westchnął.

– Chyba tak. Ale to brzmi gorzej, kiedy tak to ująłeś.

– Nie widziałeś tego, co przywołałeś.

– Nie – przyznał Tris. – Nie widziałem. Ale jesteśmy wolni.

Vahanian opróżnił resztkę zawartości kubka.

– Ano jesteśmy – odparł. – I jeśli chodzi o mnie, to nie mogę się doczekać przybycia do stolicy Księstwa.

Kilka godzin później Vahanian skończył zajmować się końmi i przygotowaniami do ich porannego wyjazdu.

Carroway, tak jak obiecał, dostarczył im sutą kolację. Wszyscy byli wyraźnie zmęczeni.

Berry walczyła uparcie ze snem, ale w końcu i ona zasnęła na płaszczu Cariny przy kominku.

Przygasili już ogień, lecz Carina musiała jeszcze przynieść ze swoich juków proszek, aby uśmierzyć ból głowy Trisa, więc zirytowany Vahanian zgodził się zaprowadzić ją do stajni.

– Mógłbyś iść nieco wolniej – mruknęła, ledwie za nim nadążając. Niemal ginęła w swoim

pożyczonym płaszczu i musiała unosić jego skraj, żeby nie ciągnął się po ziemi.

– Posłuchaj, to ty potrzebowałaś tej cholernejszej mikstury. – Vahanian zwolnił nieco. – Może po prostu poprosisz swoją Boginię, żeby napełniła ci tę buteleczkę?

Carina obrzuciła go surowym spojrzeniem.

– Mówiłam ci już przecież. Nie jestem kapłanką.

– Och, zgadza się. – Najemnik zerknął na nią z ukosa. – Ty tylko walisz biednych łajdaków przez łeb, zamiast zranić ich porządnie mieczem.

– Jesteś niemożliwy – odparowała, wymijając go i wchodząc do ciepłej stajni. Ich konie, wyszczotkowane i nakarmione, zarżały cicho na powitanie.

– Mówiono już o mnie gorzej – stwierdził. – Za wiele tu cholernych przypadków jak na mój gust. Tris zmierzał do Dhasson, a teraz jedzie do tej Biblioteki. A skoro są tam te stare czarownice, tobie to też na rękę.

Carina wzruszyła ramionami.

– Pani kieruje nami wedle swojej woli – odparła.

Vahanian spojrzał na nią kwaśno.

– Powiedz mi, kapłanko, kim jesteś... tak naprawdę?

Uzdrowicielka zatrzymała się gwałtownie i popatrzyła na niego, a potem pochyliła głowę i zaczęła przeglądać zawartość torby.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Nie wiesz? – Vahanian podszedł kilka kroków i oparł się o ścianę. W wilgotnym nocnym powietrzu stajnia pachniała owsem i częściowo zjedzonymi jabłkami oraz ciepłym, słodkim zapachem koni. – Myślę, że wiesz. Nigdy nie próbuj blefować przy mężczyźnie, który zarabiał na życie hazardem. To nazwisko, które podałaś, „Jesthrata”, to słowo z języka górali.

„Wędrowniczka”, czyż nie? – naciskał. – To nie jest prawdziwe nazwisko, raczej przydomek

podróżny, jaki człowiek przybiera, kiedy chce jak najszybciej zostawić coś za sobą.

– To fascynująca teoria – wymruczała Carina, pochłonięta grzebaniem w torbie.

– Aż mnie korci, żeby zapytać, dlaczego nadworna uzdrowicielka nosi takie przezwisko – ciągnął dalej Vahanian, zdając sobie sprawę z jej skrępowania. – Choć nie znam się za bardzo na dworskim życiu, to zawsze sobie wyobrażałem, że większość przebywających tam ludzi to ci, którzy nie byli już potrzebni na innych królewskich dworach.

– Ciekawe – stwierdziła cierpko Carina, nie podnosząc wzroku. – Mów dalej.

– Wiem wszystko o życiu w drodze, I wiem, że ty jesteś na to trochę zbyt dobrze urodzona.

– Masz ogromną wyobraźnię jak na przewodnika. – Dziewczyna wreszcie podniosła wzrok i wbiła w niego gniewne spojrzenie. – Dlaczego nie możesz po prostu udawać, że dołączyłam do was na krótko, i zająć się odgrywaniem roli przewodnika?

– Jest tylko jeden mały szkopuł – odpowiedział szorstko Vahanian. – Widzisz, strzelają do mnie ludzie, którzy wiedzą, kim ty jesteś. A to mi się nie podoba. Więc, tak jak powiedziałem twojemu przyjacielowi Trisowi, albo znam całą historię, albo nie robię za przewodnika.

– W porządku. – Carina zebrała fałdy płaszcza i wzięła swoją miksturę. – Nie musisz być naszym przewodnikiem. Jedź i zaczekaj na nas w stolicy Księstwa. Spokojnie znajdziemy to, czego szukamy, bez ciebie.

– Może tak, a może nie. Ale to nie jest uprzejme traktowanie po tym, jak ocaliłem ci życie...

– Co takiego?! – wykrzyknęła Carina z gniewnie błyszczącymi oczami. – Ty niewdzięczny bydlaku! Byłbyś martwy tydzień temu, gdybym cię nie uzdrowiła!

– I ty też byłabyś martwa, gdybym nie załatwił tego przyjaznego handlarza niewolników.

Zatem jesteście kwita. A teraz – zbliżył się tak, że rozgniewana uzdrowicielka znajdowała się zaledwie na wyciągnięcie ręki od niego – zapytam raz jeszcze. Kim tak naprawdę jesteś?

Przez chwilę spodziewał się, że go uderzy. A potem nagle coś przesłoniło błysk w jej oku i Carina się odwróciła.

– W porządku – powiedziała beznamiętnym głosem po dłuższej chwili milczenia. – Niech będzie tak, jak sobie życzysz.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła opowiadać.

– Mój ojciec był pomniejszym wielmożą w górach na wschodniej granicy Isencroftu, królewskim kuzynem. To miejsce leży daleko od miasta, dlatego mają tam swoje własne zwyczaje i poglądy. Jedyną rzeczą, jakiej tam nie lubią bardziej niż bliźniąt – zniżyła głos niemal do szeptu – jest wszelkiego rodzaju magia.

Vahanian zmarszczył brwi.

– Wszędzie potrzebują uzdrowicieli.

Carina potrząsnęła głową.

– Nie tam. To surowa kraina i nie zwracają sobie głowy słabymi. „Lepiej umrzeć niż spowalniać stado” – zacytowała. – A uzdrowiciele tylko spowalniają proces umierania. – Tym razem zamilkła na dłużej. – Może i znieśliby bliźnięta swojego władcy, bo był ich panem, ale nawet on nie był w stanie tolerować magii, kiedy już się o niej dowiedział. – W jej oczach zalśniły łzy. – Przekonałam się, że potrafię uzdrawiać, gdy miałam dwanaście lat. A kiedy mnie na tym przyłapali, rok później postanowili oddać mnie i Cama „na wychowanie”. Tyle że nie chcieli, żebyśmy wracali. – Spojrzała na niego wyzywająco. – Więc przyjąłem wybrane przeze mnie nazwisko, jako że nie miałam już rodziny ani domu. Nieźle nam się żyło, Camowi i mnie, z kolejnymi grupami najemników, aż spotkaliśmy Kiarę i ona pozwoliła nam zamieszkać w Isencrofcie. Oto cała historia. Masz to, po co przyszedłeś?

Vahanian patrzył jej w oczy.

– Tak – powiedział wreszcie, a ona się odwróciła. – Mam. – Zamilkł na chwilę. – Zatem

nie lubią uzdrowicieli, co? – Potrząsnął głową. – To najgłupsza rzecz, o jakiej słyszałem, oprócz walenia ludzi po głowie patykiem.

– Naprawdę jesteś niemożliwy – powtórzyła, ale tym razem w jej głosie nie było już irytacji.

Vahanian uświadomił sobie nagle, jak ciepło zrobiło się w stajni. Carina stała zaledwie kilka cali od niego, owinięta przepastnym płaszczem wydawała się mała i bezbronna. Poczł zapach ziól, którymi była przesiąknięta jej szata, i nagle zdał sobie sprawę, że serce bije mu w piersi jak oszalałe. Pożądanie, jakie w nim obudziła, nie było niczym nowym: narastało w nim od tygodni, mimo przytyków, na jakie sobie wobec niej pozwalał. Niebezpieczeństwo, w jakim się znaleźli w obozie handlarzy niewolników, tylko wzmocniło to uczucie, choć aż do tej chwili Vahanian był w stanie o nim nie myśleć. Ale tutaj, będąc z nią sam na sam, i to tak blisko, że mógł jej dotknąć, poczuł je na tyle mocno, że rozpoznał w nim zagrożenie.

– Tak o mnie mówią – rzekł, odwracając się z wysiłkiem, po czym udał zainteresowanie popręgami siodła wiszącego na ścianie. – Chodź już – powiedział nieco bardziej szorstko, niż zamierzał. – Jutro trzeba wczesnie wstać. Prześpijmy się trochę.

Podążyła za nim bez słowa z powrotem do gospody, a Vahanian cały czas przeklinał siebie w duchu za to, że był takim głupcem.

Musiło ci się pomieszać w głowie, kiedy ci handlarze niewolników przebili cię mieczem, zganił go surowo wewnętrzny głos. Najpierw jesteś na tyle głupi, że przyjmujesz robotę bez otrzymania za nią zapłaty. A potem nie opuszczasz ich, mimo że to bardziej gorący towar, niż sądziłeś. A teraz zaczynasz patrzeć w ten sposób na osobę, która cię wynajęła. Może i została wygnana, ale to arystokratka. Nie oszukuj siebie, Jonmarc, ostrzegł go głos w głowie. Choć twoi towarzysze spoufalili się z tobą, to przypomną sobie, gdy tylko dotrzecie do stolicy, gdzie jest twoje miejsce. Jesteś tylko wynajętym pomocnikiem i nie zapominaj o tym.

Kiedy już doszli do pokoju i zobaczyli, że pozostali śpią przy ogniu, jego nastrój jeszcze się pogorszył. Pomogła połowa butelki brandy i świecę później Vahanian położył się, żeby zakosztować ostatniego spokojnego snu, jaki będzie mu dany przez przynajmniej dwa tygodnie.

Rozdział dwudziesty trzeci

Rankiem cała grupa była w zaskakująco dobrym nastroju. Okazało się, że Gabriel już zapłacił za nich rachunek w gospodzie. Alyzza poinformowała ich, że udaje się w innym kierunku, i wyruszyła w drogę tuż po wschodzie słońca. Pękata sakiewka Gabriela pozwoliła wyposażyć ich wszystkich w konie i uprzęż, a karczmarz, wdzięczny za dobrze płacących klientów, znalazł odzienie, które zastąpiło ich podarte ubrania. Samodziałowe, proste i szorstkie szaty dobrze chroniły przed zimnem i sprawiały, że nie wyróżniali się spośród innych podróżnych. Ich przebrania z nocy Nawiedzin zniszczyły się już dawno temu, zresztą i tak w miarę, jak oddalali się od Shekeriszet, przestali farbować włosy i zmieniać swój wygląd. Jasne włosy Trisa bardzo przyciągały uwagę, toteż zazwyczaj nosił je związane w kucyk i przykryte kapeluszem.

Tak więc znowu ruszyli na północ; wybrali inną drogę od tej, którą podążała karawana i handlarze niewolników, obawiając się zasadzki. Niepokoili się, czy dotrą do Zachodniej Marchii, zanim wczesne śniegi uczynią drogi nieprzejezdnymi. Z każdą mijającą godziną śnieg padał coraz mocniej i w miarę, jak posuwali się traktem na północ, w rowach i na obrzeżach pól zaczęły pojawiać się zaspas. Przez miesiąc, jaki minął od Nawiedzin, dni stały się krótsze, a wiatr zimniejszy.

Tak daleko na północy śniegi przychodziły o wiele wcześniej i leżały dłużej niż na równinach południowego Margolanu. A Biblioteka była usytuowana dalej na północny wschód niż stolica Księstwa, u podnóża gór. Wczesna zima była tam jeszcze bardziej prawdopodobna i Tris zastanawiał się, czy nie będą potem mieli trudności z opuszczeniem Biblioteki.

Zgodnie z sugestią Gabriela mieli przy sobie wiązki pochodni zamoczonych w smole, pudełka z hubką i krzesiwem oraz wiaderka gęstej, przelewającej się smoły, która potrzebowała tylko iskry, żeby zapłonąć. Tris przekonał się, że potrafi przywołać iskrę z taką łatwością, jakby krzesał ogień, dlatego zgodził się wieźć więcej żagwi, które szybko zapali, jeśli natkną się na bestie.

– Skriwena za twoje myśli – powiedział do Carroway’a.

Vahanian jechał teraz na szpicy, Carina i Berry w środku, a Tris razem z bardem zamykali tyły. Co kilka świec mężczyźni zamieniali się miejscami, po kolei przejmując wartę.

Carroway uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Jeśli musisz wiedzieć, myślałem o tym, co podają o tej porze roku w Shekerishet.

Pieczoną baraninę, ziemniaki z porami i ciepłe puddingi. – Westchnął. – I o tych balach na zakończenie sezonu, zanim mieszkający z dala od dworu wielmoże powrócą do swoich posiadłości na zimę. Na każdym takim balu potrzebny był bard i dobrze mnie karmili za moją fatygę!

Tris uśmiechnął się i przez chwilę sam się rozkoszował tymi wspomnieniami. Szybko nauczył się zadowalać twardymi sucharami i kielbaskami oraz być wdzięcznym za to, że nie są zapleśniałe ani pełne robaków. Wspomnienia ciepłej sali biesiadnej i smakołyków z dworskiej kuchni coraz bardziej przypominały na wpół zapomniany sen.

– Teraz pod rządami Jareda kalendarz towarzyski mógł ulec pewnej zmianie – stwierdził, otrząsając się z tych myśli. – A Arontala zawsze psuł każdą imprezę, gdy tylko pojawił się w drzwiach. Ciekawe, czy wielmoże mają ochotę na świętowanie teraz, kiedy Jared jest królem.

– Czasami zastanawiam się, co się stanie, kiedy już wrócimy do domu – rzekł Carroway, poważniejąc. Zapatrzył się na szare, nagie drzewa wyznaczające nierówną linię horyzontu. – Jeśli nawet nie przezimujemy w Bibliotece ani w stolicy Księstwa, to będziemy musieli gdzieś

się zatrzymać, żeby przeczekać te najgorsze miesiące. Jeżeli Zgromadzenie Sióstr wysłała cię do tej Biblioteki, to musi tam być coś, czego potrzebujesz, może księgi albo zaklęcia, czy co tam.

– Sam się nad tym zastanawiałem – powiedział Tris. – Muszę jeszcze wiele się nauczyć, zanim będę mógł mieć nadzieję na pokonanie Arontali. A nie mam na to lat... w najlepszym razie miesiące.

– Jest jeszcze kwestia zebrania i wyposażenia armii – podsunął mu przyjaciel. – To się nie wydarzy w jakiejś bibliotece. Żeby pokonać Arontalę, będziemy musieli spędzić jakiś czas – pewnie miesiące – w stolicy Księstwa. I nie będzie to tanie. Dobrze, że twój wuj ma fundusze; przydałoby się też, żeby za ciebie poręczył. A potem będziemy musieli wrócić do Margolanu, co także nie będzie łatwym zadaniem.

– Musimy to zrobić do przyszłego lata i miesiąca Głogu – wyjął Tris, ogarnięty poczuciem beznadziei. – Duch babki przyszedł do mnie we śnie. Powiedział mi, że Arontala zamierza odprawić rytuał magiczny w miesiącu Głogu, żeby uwolnić ducha Obsydianowego Króla z miejsca, w którym został uwięziony pod koniec Wielkiej Wojny. Jeśli mu się uda i zdobędzie jeszcze większą moc...

– Wówczas nie da się go powstrzymać bez kolejnej wielkiej wojny, jeszcze gorszej niż ta pierwsza – dokończył za niego Carroway. – Nie mamy wiele czasu, Tris.

– Wiem. Wierz mi, wiem.

Zrobiło się zimniej, a niebo poszarzało i zachmurzyło się, co nie wróżyło dobrze na nadchodzące dni. Tris podjechał do przodu – nadeszła jego kolej jechania na szpicy – pozostawiając Carroway'a i Carinę pogrążonych w rozmowie o legendzie Biblioteki i o tym, co użytecznego uzdrowicielka może tam znaleźć.

Tris próbował się otrząsnąć z ponurego nastroju, który ogarnął go wraz z nadejściem jesiennej pogody. Zaczął zastanawiać się nad harmonogramem nakreślonym przez Carroway'a.

Nawet bez tej nieoczekiwanej wyprawy do Biblioteki zostało im bardzo niewiele czasu. *Nie mogę stawić czoła Arontali tak jak wtedy, gdy wezwałem duchy w lesie, pomyślał. Arontala jest vayash moru – i tylko Pani wie, od jak dawna jest magiem. Jak mogę mieć nadzieję na pokonanie tak potężnego maga, mając tak niewielką wiedzę przekazaną mi przez babkę i tak niewiele czasu na naukę?*

Duch jego babki powiedział mu o lekcjach, które sobie przypomni, kiedy nadejdzie właściwy czas. Nie mógł sobie wyobrazić bardziej odpowiedniej chwili niż ta teraz, ale choć próbował przypomnieć sobie zapomniane lekcje, zarówno świadomie, jak i w transie, nic poza podstawami magii nie przychodziło mu do głowy. *Jak mogę prosić armię, by podążyła za mną, kiedy każdy głupiec widzi, że nie mam szansy?*

Dzień mijał, chmury ciemniały, a on popadał w coraz bardziej ponury nastrój, aż dotarli do osłoniętego przed wiatrem płaskiego miejsca, gdzie obok rozwalonej studni rozbili obóz na noc. Tej nocy trzymali się blisko ognia, wypatrując wrogów – zarówno ludzi, jak i magicznych bestii. Śnieg przestał padać, lecz wiał przejmujący wiatr, a ziemia była już zmarznięta.

Karczmarz obdarzył ich hojnie na drogę zapasami chrupkiego chleba, suszonego i solonego mięsa, gomółkami sera i pełnymi bukłakami, które miały im wystarczyć na kilka dni.

– To gdzie w końcu jest ta Biblioteka? – spytał Vahanian, roztrącając żar ogniska czubkiem buta.

Tris pochylił się do przodu, wpatrując się w żarzące się węgielki.

– Nie jestem tak naprawdę pewien. Legenda mówi, że w górnym biegu Nu, tam, gdzie wody płaczą.

– Płaczą? – rzucił sceptycznie Vahanian. – Wspaniale. Świetne wskazówki. Jeszcze coś pomocnego?

– Jeśli Biblioteka leży nad rzeką, to podążając w górę jej nurtu, powinniśmy tam w końcu

dotrzeć – wtrąciła Carina.

– Cóż, skoro już to wyjaśniliśmy, zamierzam trochę się przespać – stwierdził Vahanian, wstając. – Obudźcie mnie, kiedy przyjdzie czas na moją wartę.

Tris miał bardzo niespokojne sny. Widmowe twarze z lasu kręciły się wokół niego, wyjąc, wysysając z niego życie i wyrrywając się spod jego kontroli. A potem wśród tego wycia usłyszał głos Kait, odległy i błagalny. *Tris, pomóż mi!* Znowu zobaczył jej twarz przyciśniętą do przezroczystej bariery, przerażony i zdesperowany wzrok, wyciągniętą ku niemu rękę. Rzucił się ku niej, lecz kiedy jego palce miały zetknąć się z jej palcami, obraz Kait zaczął się oddalać, a głos słabnąć, i znowu osaczyło go wspomnienie leśnych duchów. Duchy przeobraziły się teraz w sokoły Kait; zaczęły gniewnie wrzeszczeć, nadlatując ku niemu ze wszystkich stron z wysuniętymi szponami i ostrymi dziobami, gotowe go zabić. Opędzał się od nich, ale wciąż na niego napadały, wzniecając wokół skrzydłami burzę, rozdzierając mu skórę szponami.

Tris przebudził się, drżąc, i usiadł gwałtownie, aż koc zsunął się z niego. Z trudem łapiąc oddech, zamknął oczy, ale sen się rozwiął.

Panie, mogę na słówko? odezwał się jakiś głos i nagle ogarnął go chłód. Po chwili Tris uświadomił sobie, że słyszy te słowa w swoim umyśle. Otworzył oczy i zobaczył stojącego przed nim ducha młodej kobiety. Wyglądała na niespełna dwadzieścia lat, była piękną dziewczyną z długimi ciemnymi włosami, o szczupłej sylwetce. Tris nie wiedział, czy bardziej niepokoi go smutek malujący się w jej oczach, czy szacunek, z jakim się do niego zwracała.

I choć był wyczerpany, to poczuł przyływ litości. Rozejrzał się dookoła, upewniając się, że rzeczywiście się obudził – Vahanian pełnił wartę, nieświadom obecności widmowego gościa.

Co cię dręczy? spytał w myślach.

Jesteś Przywoływaczem Dusz, powiedział duch, a Tris kiwnął głową. Zjawa uśmiechnęła się i zaklaskała. *Zatem na ten właśnie dzień czekałam! Proszę, panie, wysłuchaj mojej historii.*

Byłam zaręczona z młodzieńcem z sąsiedniej wioski, ale mój ojciec nie chciał pozwolić na nasz ożenek. Postanowiliśmy uciec pewnej nocy, więc wykradłam mój posag i wymknęłam się, żeby spotkać się z moim ukochanym tu przy studni. Twarz ducha spochmurniała i Tris dostrzegł w jego oczach gniew. Mój ukochany przybył pijany i rozgniewał się, że posag był taki mały.

Pokłóciliśmy się, a on popchnął mnie na studnię tak, że uderzyłam się i upadłam. Umierając, słyszałam jego śmiech, kiedy zbierał mój posag, opowiadał ze smutkiem duch.

Mogę obdarzyć cię spokojem i uwolnić twoją duszę, abys mogła odnaleźć Panią, zaproponował Tris, poruszony jej opowieścią.

Jesteś Przywoływaczem Dusz. Przywołaj mnie z martwych, nalegała dziewczyna; w jej spojrzeniu widać było nadzieję. Pozwól mi się zemścić na tym, który mnie zabił, i pogodzić się z ojcem.

Tris potrząsnął głową. *Nie mogę,* odparł. *Sprowadzanie martwych z powrotem pomiędzy żywych jest zakazane.*

Przez kogo? zapytał duch, a Tris zrozumiał, że ten błysk w oku to nie była nadzieja, lecz pragnienie zemsty. *Jesteś Przywoływaczem. Wyczuwam twoją moc. Ona mnie przyciąga. Daj mi to, co mi się należy!*

Tris ponownie potrząsnął głową. Im dłużej przebywał w obecności tego ducha, tym bardziej nieprzyjemnie się czuł. W tej dziewczynie był mrok, który przeszywał go zimnem. *Z pewnością nie jest to zbyt wielki wyczyn dla takiego maga jak ty,* błagała go dziewczyna. *Zmarłam zaledwie dwa dni temu. Zobacz, moje ciało leży w śniegu zaraz za studnią. Mój ojciec jest bogatym człowiekiem. Wynagrodzi cię za przyprowadzenie jego jedynej córki.* Popatrzyła na niego błagalnie. *Zeszłej nocy przeszła tędy moja matka, nawołując mnie. Nie miałam siły odpowiedzieć, więc poszła dalej. Oni mnie oplakują, panie. Pozwól mi wrócić do domu.* *Tylko sama Pani może wskrzesić zwłoki,* odparł Tris. *To jest zakazane.*

W oczach dziewczyny zapłonęła wściekłość. *Nie jesteś lepszy od mojego ukochanego,* rzuciła szyderczo. *Błagałam cię, prosiłam, a ty mi odmawiasz.*

Mrok, który początkowo tylko kładł się cieniem na zjawie, teraz obrysował jej kontury i Tris instynktownie przywołał magiczną osłonę wokół siebie i swoich przyjaciół, wyrzucając ducha poza ochronny krąg.

Jak śmiesz! wrzasnął duch i jego głos zabrzmiał ogłuszająco w umyśle Trisa. *Pokażę ci, tak jak i jemu pokażę!* przysięgła. *Znajdę sposób, żeby wrócić, nawet jeśli będę musiała zawrzeć pakt z samą Staruchą!* Obraz dziewczyny rozwiął się, zmieniając w kłębiącą się mgłę, lecz Tris nadal odczuwał chłód, nawet wtedy, gdy sprawdził magiczną tarczę i upewnił się, że zrobił wszystko, co możliwe, żeby strzec przyjaciół. Wreszcie poczuł się wyczerpany i zapadł w niespokojny sen.

Świecę później, tuż przed świtem, obudził ich krzyk Berry. Stała na skraju ochronnego kręgu i wskazywała na coś ręką. Podnosząc się chwiejnie na nogi, Tris zobaczył Carinę tkwiącą nieruchomo przy studni, poza ustawionym przez niego ochronnym kręgiem. Vahanian zerwał się na równe nogi z mieczem w gotowości, a Carroway nadbiegł z miejsca, gdzie stał na warcie.

– Myślałem, że stałeś na warcie – wycedził przez zęby najemnik.

– Bo stałem, przysięgam – wyszeptał Carroway z szeroko rozwartymi oczami. – Jakiś odgłos dobiegł stamtąd – pokazał w przeciwnym kierunku – i poszedłem to sprawdzić. Nic tam nie było – opowiadał – a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem Carinę przy studni. Pomyślałem, że może chciała się napić, ale ona poruszała się jakby we śnie. Już miałem podejść do niej, kiedy Berry krzyknęła.

– Spójrzcie – powiedział Vahanian, okrążając studnię.

Leżało tam ciało młodej kobiety, częściowo ukryte pod śniegową zaspą. Na jej skroni widniał ciemny siniak, a wokół szyi widać było ślady po pasku albo sznurze. Jedna ręka

wystawała z zaspasy zakrzywiona niczym szpon, jakby chciała coś schwycić. Jednak to twarz trupa zwróciła uwagę Trisa: była to wykrzywiona strachem i wściekłością twarz tej martwej dziewczyny, której duch prosił go o pomoc.

Odwrócił się ku Carinie i cicho zawołał ją po imieniu. Uzdrawicielka patrzyła szklanym wzrokiem przed siebie, ze zdumionym wyrazem twarzy, wciąż stojąc nieruchomo, jakby była trupem.

– Co jej się stało? – spytał Carroway, nie próbując nawet ukryć strachu. Wyciągnął ku niej rękę, lecz Tris złapał go za nadgarstek.

– Co robisz? – zaprotestował bard.

– To jest ciało Cariny – Tris sięgał ku niej swoimi magicznymi zmysłami – ale opanowane przez innego ducha.

– O czym ty, do diabła, mówisz? – warknął Vahanian, kładąc dłoń na głowicy miecza.

– Zeszłej nocy, kiedy byłeś na warcie, przyszedł do mnie duch.

– Nie widziałem żadnych duchów.

– Nie był na tyle silny, by ktoś poza mną mógł go zobaczyć.

– Ona? – spytał szeptem Carroway, zerkając na ciało. – To jest ona?

Tris skinął głową i opowiedział im historię martwej dziewczyny.

Vahanian obrzucił go sceptycznym spojrzeniem.

– Zatem ten duch myślał, że możesz pstryknąć palcami i wskrzesić ją z martwych?

Następne pytanie zdawało się wisieć w powietrzu niewypowiedziane. Tris wiedział, że zastanawiają się, czy mógłby to uczynić, ale nie ośmielili się o to spytać, a on był im za to wdzięczny.

– Nawet gdybym mógł – wyjaśnił – to jest to zakazane przez Panią. Musiałem jej odmówić. Wówczas przysięgła, że sama znajdzie sposób na to, żeby wrócić – dodał prawie

szeptem. – Otoczyłem nas ochronnym kręgiem i myślałem, że będziemy bezpieczni.

– Tyle że się nie udało – stwierdził Vahanian.

– Krąg został przerwany i Carina z niego wyszła. Pewnie duch ją przywołał.

– Czy możesz sprowadzić Carinę z powrotem? – wyszeptała Berry, ściskając sztylet w dłoni.

W odpowiedzi Tris położył dłoń na ramieniu uzdrowicielki i zamknął oczy. Sięgnął ku niej w poszukiwaniu jej energii życiowej, tej lśniącej smużki, którą wyczuł tamtej nocy, kiedy uratował życie Vahanianowi. Z ulgą przekonał się, że ta smużka płonie – słaba, lecz widoczna – ale to nie dusza Cariny wyszła mu na spotkanie. Powitał go gromki śmiech. *Powiedziałam ci, że znajdę jakiś sposób*, kpił sobie z niego głos ducha. *Popatrz, co potrafię zrobić!*

– Popatrz, co potrafię zrobić – wyrwał go z transu głos Cariny. Tris otworzył oczy i zobaczył, że jej usta poruszają się, choć głos był bezbarwny i beznamienny, a oczy nadal wpatrywały się tępo przed siebie.

Patrzyli przerażeni, jak ciało Cariny zaczyna się trząść, a potem jedno ramię podniosło się jak u pociąganej za sznurki marionetki. Opadło, kiedy podniosło się drugie ramię. Potem uzdrowicielka zaczęła nieporadnie posuwać się do przodu, nie zwracając uwagi na to, że wpadła na studnię, zupełnie jakby szła na oślep.

Vahanian postąpił do przodu z dobytym mieczem i twarzą ściągniętą gniewem.

– Na Dziwkę! – zawołał. – Puść ją!

– Co zamierzasz zrobić z tym mieczem? – spytał cicho Carroway. – To jest nadal ciało Cariny.

Zbierając się na odwagę, Tris zablokował drogę powłóczącej nogami postaci.

– Na wszystkie oblicza Pani i całą moc Bogini – rozkazał cichym i spokojnym głosem. – Uwolnij jej duszę i odejdz.

– Jeszcze nie – odparł głos wydobywający się z ust Cariny; nie był to jednak głos uzdrowicielki i jej usta się nie poruszyły. – Dopóki nie uczynię tego, po co przyszedłam.

– Nie możesz zająć tego ciała – odparł spokojnie, nie dając za wygraną. – Ono nie jest twoje.

Przyprawiający o dreszcz śmiech rozdarł bezksiężycową noc.

– Teraz już jest moje.

Tris rzucił się do przodu i objął mocno Carinę, a jej ciało na rozkaz ducha zaczęło miotać się i wrywać. Ściskając ją z całych sił, Tris pomodlił się do Mrocznej Pani, zamknął oczy i zanurzył się w ciemność.

Zagłębiał się coraz bardziej, tak jak kiedyś, gdy Vahanian leżał umierający, a on wraz z Cariną odbyli podobną podróż do wnętrza. Ciało uzdrowicielki skręcało się w jego ramionach, starając się wyrwać z uścisku, a on z determinacją parł dalej w myślach. Kiedy Carina niemal już się uwolniła, Tris poczuł obejmujące ich obydwój silne ramiona.

– Cokolwiek, do diabła, robisz, nie pozwolimy jej uciec – usłyszał odległy głos Vahaniana, a potem najemnik i Carroway wzmocnili uścisk.

Rozległ się wściekły krzyk i ciało Cariny opadło bezwładnie, a Tris rzucił się w pościg za duszą widmowego gościa. *Oddaj ją*, rozkazał, wędrując po mrocznych ścieżkach magii.

Weź ją sobie, jeśli potrafisz, Władco Umarłych, szydził z niego duch. *Teraz jest moja*.

Tris miał wrażenie, jakby on i duch jednocześnie dotarli do tej jaśniejszej smużki życia, a potem z przerażeniem uświadomił sobie, że duch nie zamierza jej zgasić, ale chce wypędzić duszę Cariny i zastąpić ją własną.

Pani Ciemności, usłysz mnie! zawołał, podejmując ostatnią desperacką próbę. Już kiedyś pożyczył energię z własnej jaśniejszej smugi energii, żeby podtrzymać życie Vahaniana. Teraz rzucił się na tę białą-niebieską smugę, owinał ją własną energią życiową i całą siłą woli

wypchnął ducha kryjącego się w jej blasku.

Nie! krzyknął duch dziewczyny, a ciało Cariny skręciło się. Tris starał się całą mocą, jaką mógł zebrać, utrzymać w myślach obraz dwóch jarzących się smużek. Czuł, jak ramiona przyjaciół zacieśniają się wokół niego, gdy Carina miotła się i biła go pięściami. Blask potężniał, odpychając mrok, aż wreszcie z gardła dziewczyny wydobył się krzyk, który przeszył umysł Trisa, i mrok zniknął, a pozostał tylko blask.

Przez uderzenie serca panowała cisza. A potem Tris poczuł, jak smużka życiowej energii Cariny pulsuje mocniej i spokojniej, więc odetchnął z ulgą i wycofał się, aby powrócić do swego ciała. Czuł, że kolana się pod nim uginają, i tylko siłą woli utrzymał się na nogach, gdy ogarnęło go niewyobrażalne zmęczenie.

Nagle Carroway zatoczył się, uderzony od tyłu, i Tris dostrzegł nad ramieniem barda rękę z zakrzywionymi szponami.

– Popatrz... na... mnie – wychrypiał trup szarpiący Carroway'a. Bard z szeroko rozwartymi ze strachu oczami odepchnął zataczającą się postać, starając się od niej uwolnić. Vahanian postąpił do przodu z dobytym mieczem, stając pomiędzy ożywionym trupem a Trisem i Cariną.

– Niech Mroczna Pani porwie moją duszę! – krzyknął. – Cofnij się!

Istota ruszyła chwiejnie ku niemu, a wtedy uniesiony w górę miecz Vahaniana błysnął w różowym blasku poranka.

– Nie, proszę! – Z nieruchomych ust martwej dziewczyny wydobył się zduszony krzyk i ostrze rozplatało trupa potężnym ciosem w chwili, gdy słoneczny blask załśnił na śniegu. Ciało osunęło się u stóp najemnika, ponownie milczące i nieruchome.

– Co się stało? – Głos, który przerwał ciszę, należał do Cariny. Sądząc po zdumionym wyrazie twarzy uzdrowicielki, nie miała pojęcia, co się wydarzyło.

– Co pamiętasz? – wyszeptał Carroway. Twarz miał bladą, a oczy szeroko otwarte.

– Usłyszałam, że ktoś mnie woła – powiedziała, spoglądając pytająco na Trisa. – Może mi się to przyśniło, ale wydawało się takie realne. Wstałam i podeszłam do studni, ale nikogo tam nie było. – Wzdrygnęła się. – Zajrzałam do środka i zobaczyłam wpatrującą się we mnie twarz. – Zamilkła na chwilę. – To wszystko, co pamiętam.

Tris objął ją ramieniem i pogłaskał po włosach, jakby uspokajał małe dziecko. Twarz Vahaniana przybrała na chwilę dziwny wyraz.

– Wynośmy się stąd – powiedział szorstko.

– Tris, co się stało? – spytała jeszcze raz Carina. Berry podbiegła do niej i objęła, chowając twarz w jej szacie.

– Przywołał cię duch. – I Tris zaczął jej opowiadać najlepiej jak potrafił całą historię.

Berry wtrącała się od czasu do czasu, żeby coś uzupełnić.

Tymczasem Vahanian i Carroway zajęli się pakowaniem juków, starając się nie spoglądać w stronę miejsca, gdzie w porannym świetle leżał porąbany trup. Przerazenie odmalowało się na twarzy Cariny, gdy słuchając, przeniosła spojrzenie z Trisa na ciało dziewczyny, a potem na studnię.

– Ale jak... Jak jej ciało ożyło? – wyszeptała.

– Nie wiem tego na pewno – przyznał książę. – Kiedy odepchnąłem jej ducha, chciałem tylko odrzucić go daleko – powiedział ściszym głosem. – Mówi się, że o świecie świat duchów jest najbliższy naszemu. Może był na tyle blisko, że dziewczyna zdołała odzyskać swoje dawne ciało, a Jonmarcowi udało się ją zabić.

– Dziękuję wam – wykrztusiła wreszcie Carina, spoglądając najpierw na Trisa, a potem na pozostałych. – Tak bardzo wam dziękuję.

– Normalna sprawa – odparł sarkastycznie Vahanian. – Czy teraz możemy wynieść się stąd do diabła?

Tris zrobił krok w stronę obozu, lecz kolana się pod nim ugięły i zakręciło mu się w głowie od łupiącego bólu spowodowanego posługiwaniem się magią.

– Po diabła komu magia, jeśli potem człowiek czuje się tak parszywie? – zaklął pod nosem, wspierając się na ramieniu Carroway'a.

– Na pocieszenie powiem ci, że Carina wygląda równie kiepsko. Jesteś w stanie jechać? – spytał przyjaciel.

– Daj mi kubek kerifu i świecę, żebym pozbierał myśli – poprosił, gdy Carroway pomógł mu usiąść przy ognisku. – A potem pojedziemy, nawet jeśli będziecie musieli przywiązać mnie do końskiego grzbietu.

Vahanian poszedł uspokoić konie, a Carroway wcisnął w dłonie Trisa kubek mocnego, gorzkiego napoju, potem zaś zadbał, żeby Carina owinęła się ciepłym płaszczem i też dostała kubek napoju. Tris czuł, że wszyscy na niego patrzą, jakby nagle stał się tak samo dziwny i groźny jak ten trup na polanie.

Na szczęście Carina o nic go nie nagabywała, chociaż na pewno wiele pytań przychodziło jej do głowy. Tris wątpił, czy byłby w stanie dać odpowiedź dłuższą niż jedno słowo. Wcale bowiem nie żartował, mówiąc, że będą go musieli przywiązać do grzbietu konia. Był tak zmęczony, jakby ciężko pracował przez cały dzień, bez jedzenia i snu. *Słodka Pani, jeśli prawdziwa magia kosztuje tyle sił, to lepiej, żeby udało mi się za pierwszym razem, kiedy zaatakuję Arontalę, bo mało prawdopodobne, żebym to przeżył*, pomyślał. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że może zginąć od posługiwania się magią, a nie w bitwie, zanim zdoła przejąć koronę. *Nawet jeśli nie pożyję na tyle długo, żeby zostać królem, to wystarczy, że zniszczę Arontalę, trudno bowiem będzie znaleźć kogoś gorszego niż Jared*, pomyślał, zanim zaczęło go tak łupać w głowie, że myślenie stało się zbyt bolesne.

Kiedy wyruszyli w drogę, nikt już nie wspominał o tym incydencie przez resztę poranka.

Trisowi udało się utrzymać na końskim grzbiecie bez przywiązywania go, choć z wielkim trudem. Carina była zbyt roztrzęsiona, żeby jechać sama, i bez zwykłych docinków przyjęła propozycję jazdy na koniu razem z Vahanianem. Mknęli galopem, pragnąc jak najszybciej oddalić się od nawiedzanej studni.

Późnym rankiem, kiedy Carroway przestał jechać na szpicy, pozwolił koniowi zwolnić i zrównał się z wierzchowcem Trisa. Przez jakiś czas jechali obok siebie w milczeniu.

– Dobrze się czujesz? – spytał wreszcie bard. – Wyglądasz na wykończonego.

Tris z trudem zdobył się na uśmiech.

– Przejdzie mi.

Carroway już miał coś powiedzieć, ale się rozmyślił i zaczął z innej strony.

– Tris, czy zanim twoja babka umarła... kiedykolwiek powiedziała ci, że jesteś...

– Dziedzicem jej magii? Nie. Ale w snach widzę różne magiczne rytuały, które z nią odprawiałem, choć wcale tego nie pamiętam.

Zamilkł na chwilę, wpatrując się w swoje dłonie.

– Czy człowiek rodzi się magiem, czy nim zostaje? – ciągnął dalej. – Wiesz, odkąd pamiętam, widywałem pałacowe duchy i mogłem z nimi rozmawiać – nie tylko w czasie Nawiedzin, ale przez cały rok. Ale to... – Urwał, brakowało mu bowiem słów.

– Twoja babka była największym Przywoływaczem Dusz naszej ery – powiedział Carroway. – Często się zastanawiałem, czemu nikt z jej rodu nie odziedziczył jej talentu. Chyba mamy odpowiedź.

Trisa nadal bolała głowa, ale czuł, że Carroway'owi należy się wyjaśnienie.

– Kiedy byłem mały, babka pozwalała mi przyglądać się, jak odprawia magiczne rytuały.

Kiedy podrosłem, pozwalała mi pomagać – robić takie proste rzeczy jak przyzwanie ognia, żeby zapalić świecę albo rozpalić w kominku, czy rzucanie drobnych zaklęć. Tobie też pozwalała

pomagać – dodał, a przyjaciel pokiwał głową. – Zawsze myślałem, że w ten sposób chciała mnie obdarzyć czymś szczególnym, ponieważ byłem drugim synem. – Tris uśmiechnął się krzywo. – Wszyscy wiemy, że drudzy synowie są kimś niepotrzebnym – dodał. – Kiedy kazała nam przysiąc, że zachowamy to w tajemnicy, pomyślałem, że może dlatego, iż Jared by się wściekł, że ja robię coś, czego on nie robi. – Tris zamilkł, czekając, aż ból, który przeszył mu czaszkę, minie. – A potem, zanim zostałem odesłany z dworu na naukę, zaczęliśmy wykonywać bardziej skomplikowane rytuały magiczne. Kiedy wróciłem na dwór, babka była chora. – Spojrzał ku horyzontowi, pogrążony we wspomnieniach. – Nie pamiętasz? Poprosiła, żebym to ja ją pielęgnował. Pewnie nie mieli co ze mną zrobić, bo mi pozwolili. Byłem z nią, kiedy umierała. – Czy wydarzyło się wtedy... coś... niezwykłego? – naciskał delikatnie Carroway.

Tris spojrzał na niego, marszcząc brwi, udręczony bólem głowy i brakiem wspomnień.

– Nie pamiętam. W tym problem. Nigdy przedtem nie zwracałem na to uwagi, ale zdaje się, że nie pamiętam wielu momentów spędzonych z nią. Na Boginię, próbowałem sobie przypomnieć! Ale nie jestem w stanie. – Spojrzał na trzymane w rękach wodze. – Kiedy podróżowaliśmy z karawaną, babka przysłała do mnie we śnie i powiedziała, że przypomnę sobie nauki, które kazała mi zapomnieć – dla mojego własnego bezpieczeństwa – wtedy, kiedy będą potrzebne. – Uśmiechnął się sarkastycznie.

– Trudno mi sobie wyobrazić moment, w którym bardziej bym ich potrzebował, a mimo to niczego sobie nie przypomniałem.

– Może sytuacja się wyjaśni, kiedy dotrzemy do Biblioteki.

– Mam nadzieję, że masz rację – Tris przymknął oczy, znowu czując przeszywający ból głowy – bo wszystko położyłem na jednej szali i nie czas teraz, żebym uczył się metodą prób i błędów.

Zjedli śniadanie na zimno w drodze i zrobiliby to samo z obiadem, gdyby Carina nie

poprosiła, żeby się zatrzymali. Nie sprzeczała się z Vahanianem przez cały ranek. Siadając przy niewielkim ognisku, Tris stwierdził, że walka, jaką stoczyli tego ranka, wprawiła ich wszystkich w przygnębienie. Poczuł ulgę, kiedy wieczór nie przyniósł żadnych niespodzianek. Tej nocy rozbili obóz, nie zapalając ogniska, kilka dni drogi od miejsca, gdzie rzeka wyznaczała granicę między Dhasson a Księstwem.

Rozdział dwudziesty czwarty

Jechali w milczeniu drogą prowadzącą ku Zachodniej Marchii. Padał zimny deszcz. Tris odczuwał zdenerwowanie i irytację. Ani Carina, ani Vahanian nie byli zbyt rozmowni, a najemnik dwukrotnie dał znak grupie, żeby jechali dalej, podczas gdy on sam czekał, z mieczem w gotowości, wyczuwając coś, co się nie pojawiło. Tris pomyślał markotnie, że nie tylko on ma złe przeczucia.

Zachodnia Marchia znajdowała się w pobliżu granicy trzech królestw – Księstwa, Margolanu i Dhasson. Pamiętając o ostrzeżeniu Gabriela dotyczącym magicznych bestii, wybrali szlak bardziej na północ, dzięki któremu oddalali się od granicy z Dhasson.

Niestety, ostrzeżenie Gabriela nie mówiło, jak daleko rozciąga się zakłęcie graniczne Arontali. Choć nadal był dzień, to każdy z nich miał pochodnię i wiaderko ze smołą wiszące przy siodle. Carroway wiózł dwa kołczany strzał z grotami umoczonymi w smole. Carina owinęła koniec swojej laski płótnem nasączonym smołą, a Tris liczył na swoją umiejętność przywoływania ognia. Berry miała swoją własną bron. Pomajstrowała trochę przy recepturze, jaką bard stosował do sporządzania kulek, które ubarwiały jego opowieści, i stworzyła małe kuleczki, które po uderzeniu wybuchały płomieniem. Uzbrojona w procę, Berry zaskakiwała celnością.

Vahanian, który jako jedyny miał już doświadczenie w walce z bestiami, był wyraźnie najbardziej zdenerwowany. Jechał uzbrojony w prymitywną lancę zrobioną z solidnego kija,

której koniec owinięty był szmatami nasączonymi smołą. Kij był dłuższy niż laska Cariny i zaostzony. Sądząc po minie najemnika, miał tak samo złe przeczucia jak Tris. Im dłużej jechali, tym bardziej ponury miał nastrój i bardziej był rozdrażniony.

Tris pomyślał, że jeśli tak dalej pójdzie, każdy z nich będzie wrakiem człowieka, zanim dotrą do Zachodniej Marchii. Postanowili jechać tak szybko, jak konie będą w stanie to znieść, zatrzymując się tylko wówczas, gdy zwierzęta będą potrzebowały paszy, wody lub odpoczynku.

– Słyszycie? – spytał nagle Vahanian.

Tris zmarszczył brwi.

– Co takiego?

– Ano właśnie. – Najemnik pochylił lancę. – Jest zbyt cicho. – Nie widzieli nikogo na traktach, po których powinni podróżować kupcy i wieśniacy. – Nie podoba mi się to. Carroway podjechał bliżej.

– Nie słyszałem, co mówiłeś – rzekł – ale tu jest zbyt cicho, do diabła.

Tris uśmiechnął się cierpko.

– Wygląda na to, że wszyscy myślimy o tym samym.

Jego koń zarżał, przypominając mu, że już najwyższy czas na postój. Westchnął i poklepał wierzchowca po szyi.

– Konie potrzebują odpoczynku – powiedział i rozejrzał się dookoła z niepokojem. –

Problem tylko, gdzie się zatrzymać?

– Tam. – Carroway wskazał na wioskę na szczycie następnego wzgórza. – Pachnie dymem z paleniska. Może będziemy mogli kupić ciepły posiłek i trochę paszy dla koni.

– Bądźcie czujni – ostrzegł ich Vahanian.

Ostrożnie ruszyli w kierunku wioski. Kiedy podjechali bliżej, przekonali się, że to nie kolacja była źródłem zapachu dymu; zamiast osady zobaczyli tłące się zgliszcza.

– Popatrzcie tam! – pokazał Carroway. Obok spalonej gospody leżało jakieś ciało. Tris podprowadził konia bliżej, a potem zsiadł z niego z mieczem w dłoni. Przewrócił trupa stopą. Cokolwiek zabiło tego człowieka, nie był to ogień. Twarz mężczyzny porwana była głębokimi bruzdami, a gardło rozdarte.

– Jakie stworzenie poluje w ten sposób?! – krzyknęła Carina, podprowadzając bliżej konia.

– Tu jest coś, co powinniście zobaczyć! – zawołał Carroway.

Tris i Vahanian ruszyli do niego, przy czym najemnik cały czas czujnie rozglądał się po okolicy, z bronią w gotowości. Carroway wskazał na ciało leżące przy drzwiach jednego ze spalonych budynków. Tris uświadomił sobie, że nie jest to ludzkie ciało. Przetoczył stwora na plecy i wciągnął głośno powietrze.

Bestia była wyższa od człowieka. Miała silne tylne nogi i cienkie ramiona zakończone paskudnymi szponami. Mocno umięśnione nogi świadczyły o dużej szybkości, a masywne barki o nadludzkiej sile. Jednak to od spojrzenia na twarz, jeśli w ogóle można było ją tak nazwać, Trisowi zaparło dech w piersiach. Oblicze stwora o szarej skórze było przerażające. Ogromne, zapadnięte oczy umieszczone były po obu stronach głowy, nad potężnym pyskiem, a paszczę wypełniały wielkie błyszczące zęby. Bestia była wyraźnie nadpalona i w głowie Trisa zabrzmiało ostrzeżenie. Może to nie potwory spaliły wioskę. Może było to dzieło zdesperowanych mieszkańców, którzy mimo takiego poświęcenia nie zdołali ująć z życiem. Vahanian nic nie powiedział, lecz Trisowi wydawało się, że po raz pierwszy widzi w jego oczach strach.

– Weźmy wodę i wynośmy się stąd – powiedział Carroway, wskakując z powrotem na konia.

– Myślę, że to dobry pomysł. – Tris odwrócił się i gwałtownie zatrzymał. Na środku ulicy, w pobliżu wioskowej studni, stał mężczyzna.

Tris zrobił krok w jego kierunku, a Carroway uniósł łuk i wycelował w serce mężczyzny.

– Zwabił was ogień?! – krzyknął mężczyzna, podchodząc kilka kroków. Był starym człowiekiem, miał wychudłą twarz okoloną potarganymi białymi włosami i pobrudzoną ziemią, krwią i śliną, która kapłała mu z kącika ust. Biały zarost pokrywał mu brodę. Podarte łachmany odsłaniały ciało, na którym widoczne były ślady spotkania z bestiami w postaci długich krwawych zadrapań biegnących przez ramię i pierś – ślady, które wyraźnie przypominały bliznę, jaką miał Vahanian. Jego oczy błyszczały szaleństwem. – Zwabił was ogień? – powtórzył.

– Co się stało? – spytał Tris, a Vahanian zaklął pod nosem.

Mężczyzna rozłożył szeroko ręce.

– Przyszły duchy – powiedział, odwracając się, by wskazać na wioskę. – Przybyły po nas, ale my nie byliśmy dobrzy. Nie – powiedział, potrząsając głową – nie byliśmy dobrzy, więc to nie były dobre duchy. To były mroczne duchy z ognistymi skrzydłami.

Tris spoglądał na mężczyznę z przerażeniem i jednocześnie litością.

– Ogień – powiedział powoli, starając się przebić przez jego szaleństwo. – Co wznieciło ten pożar?

Mężczyzna się rozchmurzył.

– Och, my go wznieciliśmy – odparł. – Żeby je lepiej widzieć. Bo ogień odsyła je tam, skąd przyszły, nie wiesz?

– Jak udało ci się przeżyć?

Starzec zaczął się śmiać.

– Zdradzę wam tajemnicę – wyszeptał, sięgając pod tunikę sękatą i brudną ręką.

I wyciągnął amulet na wytartym skórzanym rzemieniu. Tris usłyszał, jak Vahanian zaklął siarczyście.

– Chciałem umrzeć, ale to mi nie pozwalało.

Ogarnięty przemożnym żalem, zaczął szlochać. Zerwał z szyi talizman i rzucił go Trisowi do stóp.

– Próbowałem. Atakowałem je gołymi rękoma, przebijałem mieczem, chodziłem wśród płomieni – szlochał łamiącym się głosem. – Ale talizman nie pozwolił im mnie zabrać, a teraz jestem całkiem sam.

Jego dłoń powędrowała do pasa, dobył sztyletu i uniósł go z determinacją.

– Ale teraz odchodzę – powiedział i w jego szalonych oczach odmalowało się zdecydowanie. – Idę do domu. – I zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, wbił sobie sztylet głęboko w pierś. Kiedy już sztywniał, jego wynędzniałą twarz rozjaśnił uśmiech. – Nie ma ognia – wyszeptał. – Wcale nie ma ognia – powtórzył i wypuścił z dłoni rękojeść noża.

– Zostaw tę przeklętą rzecz i wynośmy się stąd! – krzyknął Vahanian, gdy Tris pochylił się, żeby podnieść talizman. W niewielkim kawałku zaśnieżonego szarego metalu odcisnięty był prosty wzór składający się z poziomych i pionowych linii otaczających koło. Kiedy podbiegali do koni, Tris wsunął go do kieszeni.

– Patrzcie tam! – ostrzegła ich Carina, gdy pojawiły się bestie. Tris rzucił się w stronę swojego konia, a Carroway zajął pozycję z łukiem w gotowości. Zaraz za studnią pojawiły się trzy szare stwory przekrzywiające łby, żeby wyczuć krew żywych istot. Carroway nie ruszał się, dopóki się nie zbliżyły, a wówczas zapalił i wypuścił płonąca strzałę. Strzała trafiła w potwora i ten zawył, rozorując pazurami własną pierś, gdy ciemna posoka trysnęła z jego rozwartej paszczy, a potem upadł martwy.

– Carina i Berry, zostańcie między nami! – krzyknął Vahanian, gdy cała grupa zaczęła się wycofywać. Ich konie rżały cicho, przerażone zapachem bestii. Carroway zabił jeszcze jednego stwora. Carina i Vahanian zapalili swoją broń, a Tris cisnął ognistą kulę ku bestii na przedzie. Ze zgliszcz wytoczyły się jeszcze dwa stwory.

– Nie uda nam się długo ich odpierać! – krzyknął Carroway, wypuszczając kolejną strzałę.

Choć powalił trzy bestie, to dwie kolejne wychynęły z mroku, żeby zająć ich miejsce.

– Uciekajcie stąd! – rozkazał Tris. – Powstrzymam ich tak długo, jak będę mógł, a wy się stąd wynoście!

Carina zawróciła konia i pozostali poszli za jej przykładem; ich spanikowane wierzchowce popędziły wiejską uliczką z tętentem kopyt, podczas gdy Tris ciskał ogniste kule.

Nagle z tyłu rozległ się przerażony kwik konia i wrzask Berry.

– Berry! – krzyknęła Carina. Kon dziewczyny stanął dęba i popędził przed siebie spłoszony, pozostawiając ją na drodze.

– Doganiają nas! – zawołał Carroway, wypuszczając jeszcze dwie strzały.

Vahanian pochylił się na koniu i wbił pięty w jego boki, jadąc po Berry z wymierzoną do ataku lancą. Chwycił dziewczynę za płaszcz, a ona wspięła się na konia z tyłu za nim i chwyciła się go kurczowo.

Gardłowe wycie rozdarło mrok i pojawiły się dwie kolejne bestie, blokując drogę Carinie.

Uzdrowicielka wrzasnęła, gdy jeden ze stworów rzucił się na jej konia, i uderzyła go w pierś płonąca laską, ale jej wierzchowiec stanął dęba i o mało jej nie zrzucił. Wznosząc bojowy okrzyk, Vahanian puścił się pełnym galopem w kierunku stwora, a Berry pochyliła głowę i przywarła do jego pleców, ściskając go kurczowo zbielełymi palcami.

Lanca Vahaniana trafiła prosto w bestię atakującą konia Cariny i stwór stanął w płomieniach, a jego zwęgleniu towarzyszył gryzący smród. Najemnik strząsnął martwego stwora z lancy, starając się zapanować nad przestraszonym wierzchowcem i zmuszając go do stanięcia dęba, żeby mógł zaatakować kolejną bestię.

– To były moje ostatnie strzały – wydyszał Carroway.

– Dam wam szansę na ucieczkę! – zawołał Tris, przekrzykując panujący hałas. – Jedzcie

do drogi i nie oglądajcie się za siebie!

Po czym wbił pięty w boki swojego wierzchowca, pochylił się nisko i pognął w stronę przeklętej wioski, przyciągając uwagę bestii, czy to ze względu na ich instynkt drapieżcy, czy też klątwę Arontali.

– Teraz! – krzyknął, gdy bestie – prawie tuzin – popędziły za nim.

Słyszając tuż za sobą drapanie pazurów, stwierdził, że ma tylko kilka sekund, żeby podstęp się udał. Kiedy dobiegł go tętent końskich kopyt i wiedział już, że pozostali pomknęli w stronę traktu, Tris nagle zawrócił wierzchowca.

Otworzył się na swoją moc, a jego umysł wytworzył obraz szybciej, niż usta zdołały sformułować słowa. Ustawivszy tarczę osłaniającą jego samego i spanikowanego wierzchowca, Tris przywołał zasłonę ognia, która wystrzeliła z ziemi, spowijając bestie. Nawet wewnątrz ochronnego kręgu słyszał wycie ginących w płomieniach stworów.

Wszystko skończyło się tak szybko, jak się zaczęło, i Tris wraz z koniem stali w poczerniałym kręgu, wśród szczątków przeklętych bestii.

Nagle krzyk przerwał ciszę. Początkowo Tris sądził, że to Carina, ale potem zdał sobie sprawę, że ten dźwięk dobiegł z zagajnika na drugim skraju wioski, i skierował tam konia. Choć jego wierzchowiec drżał, zaniósł go posłusznie na rozstaje dróg.

Samotny podróżny, atakowany przez jedną z bestii, był bliski śmierci. Wprawdzie biegle posługiwał się mieczem, lecz bestia była nieprzejednana i Tris wiedział, że ma zaledwie kilka chwil na działanie.

– Cofnij się! – krzyknął, popędzając konia do galopu.

Nie mógł przywołać zasłony ognia – tu, wśród drzew, zginęliby razem z bestią. Wyciągnął więc rękę, a w jego myślach pojawił się obraz lancy Vahaniana. Kiedy koń podjechał bliżej, Tris przyzwał moc i płomień, po czym strumień ognia wystrzelił z jego wyciągniętej ręki. Trafił

bestię w samą pierś i stwór stanął w płomieniach.

– Uciekaj stamtąd! – zawołał do podróżnego. Ten jednak zsiadł z konia i pobiegł w gąszcz, po czym chwilę później pojawił się z małym zawiniątkiem i wskoczył na wielkiego ogiera.

– Tędy! – wskazał Tris, a wędrowiec pojechał za nim, kilkakrotnie oglądając się na powaloną bestię.

Pędzili z tętentem kopyt po traktach, aż zostawili daleko za sobą dym unoszący się nad wioską. Kiedy wreszcie zwolnili, Tris uświadomił sobie, że reszta jego grupy powinna być po przeciwległej stronie wioski. Czując nadchodzący koszmarny ból głowy po posłużeniu się magią, próbował odzyskać jasność myślenia. Postanowił, że poprosi Carinę o trochę tej jej herbaty na ból głowy, zakładając, że jego przyjaciele też się uratowali.

– Wszystko w porządku? – spytał zdyszany, ściągając wodze.

Podróżny zrobił to samo i schował do pochwy miecz, który wciąż ścisnął w dłoni.

– Dziękuję ci – powiedział, a gdy jego przepastny kaptur opadł, Tris zobaczył kobietę, mniej więcej w jego wieku, z kasztanowymi włosami splecionymi w warkocz. Spod płaszcza widać było błysk kolczugi napierśnika.

– Nie mieliśmy szans – powiedziała ze smutkiem. – Ten... stwór... wyskoczył jakby znikąd. Nie mogłam odeprzeć jego ataku.

– My? – spytał Tris, słysząc nutę smutku w jej głosie.

– Miałam oswojonego lisa i łownego gyregona – powiedziała cicho. – Lis próbował zaatakować, kiedy zostaliśmy zaskoczeni. Widziałam, jak zginął – dodała łamiącym się głosem.

– Gyregon jest ciężko ranny. – Dopiero teraz Tris zauważył zawiniątko, które trzymała na siodle przed sobą, a w nim opadający łepiek gyregona.

Zrównał się z jej wierzchowcem i zajrzał do swoich juków. Wyciągnął kawałek płótna i podał jej.

– Pachnie serem – powiedział z uśmiechem – ale możesz zrobić z tego nosidełko dla niego.

– Dziękuję – odparła, zaskoczona. Dopiero kiedy wyciągnęła rękę po szmatkę i skrzywiła się, Tris dostrzegł głębokie rozcięcie na jej ramieniu.

– Niebezpiecznie jest jeździć samej w nocy – zauważył. – Moi towarzysze powinni być na drugim skraju ten małej wioski. My również wpadliśmy w zasadzkę, ale odparliśmy bestie. – Nie wspomniał oczywiście o tym, jak do tego doszło. – Jest z nami uzdrowicielka. Może ona będzie mogła obejrzeć twoje ramię.

Dostrzegł w oczach podróżniczki niepewność.

– Możesz z nami przenocować – zaproponował. – I ruszyć w drogę rano. Wszyscy będziemy bezpieczniejsi, mając jeszcze jeden miecz – dodał, wskazując głową na broń, którą schowała do pochwy. – Wątpię, czy któreś z nas zaśnie tej nocy. – Zamilkł na chwilę. – A tak w ogóle to jestem Tris.

Może z to obietnica uzdrowienia, a może lęk przed samotnym obozowaniem sprawił, że podróżniczka podjęła decyzję, gdyż lekki uśmieszek zagościł na jej ustach.

– Jestem Kiara. Zostałam wysłana w Podróż przez kapłanki – przyznała, pozwalając, aby jej koń dotrzymywał kroku wierzchowcowi Trisa, i czujnie przyglądając się zarośłom w poszukiwaniu innych bestii. – To jest taki... rytuał przejścia... wśród mojego ludu. Sposób na sprawdzenie, z jakiej gliny jesteś ulepiony.

– Wygląda mi to na dobry sposób, żeby się zabić.

Kiara się uśmiechnęła.

– Może masz rację.

Popatrzyła w dal.

– Miałam do wyboru: albo tę Podróż, albo zaaranżowane małżeństwo, więc mówiąc szczerze, postanowiłam zaryzykować.

– Ktoś jest pewnie zawiedziony.

Kiara spojrzała na niego, jakby próbowała ocenić, czy ta uwaga jest szczerą.

– Rozgniewany, owszem – westchnęła. – Ale zawiedziony raczej nie. – Poprawiła prowizoryczne nosidełko z gyregonem. – Szczerze mówiąc, on ma sporo wspólnych cech z tym... czymś... co właśnie zabiłeś – powiedziała z obrzydzeniem.

– Mam zatem nadzieję, że twoja Podróż zakończy się powodzeniem.

Przyjrzała mu się bacznie.

– To, co tam zrobiłeś... Jesteś magiem?

Tris pomyślał, że po tym pokazie magii na rozstajach zaprzeczanie nie miałoby sensu.

– Raczej dopiero uczę się na maga – powiedział, zakłopotany. Zatrzymał się i stanął w strzemionach, żeby się rozejrzeć. – Teraz chciałbym wiedzieć, czy ta droga łączy się z traktem po drugiej stronie wioski. Nie mam ochoty znowu przejeżdżać przez tę wieś.

– Mam mapę. – Kiara wyciągnęła mapę z torby, krzywiąc się przy tym. Tris domyślił się, że rana jest głębsza, niż się wydawało.

Kiedy rozłożyła mapę, książkę przywołał małą kulę zimnego ognia. To, że Kiary to nie przstraszyło, zrobiło na nim wrażenie. A jeszcze bardziej zaintrygowało go, że potrafiła obronić się przed bestią, niezależnie od tego, jak długo trwała ta walka. Jeszcze raz jej się przyjrzał. Z tego, jak siedziała na koniu i jak się zachowywała – oraz z jakim stoickim spokojem zносиła swoją ranę – wywnioskował, że miała wojskowe przeszkolenie. Jej brązowe oczy były inteligentne, a obejście wskazywało na to, że jest wykształcona i pochodzi z zamożnej rodziny. Nie nosiła żadnych ozdób, miała na sobie tylko męski płaszcz i tunikę. Ale jego uwagę przykuła twarz dziewczyny. Zastanawiał się, jak to jest, że piękna kobieta – po bojowym przeszkoleniu czy nie – jedzie sama w dzikie ostępy, żeby uciec przed niechcianym zalotnikiem.

– Popatrz – powiedziała Kiara, wskazując miejsce na mapie. – Jeśli tu jesteśmy, to

niedaleko stąd te drogi powinny się spotkać.

Tris skinął głową.

– Jedzmy. Im szybciej znajdziemy moich przyjaciół, tym szybciej będziemy bezpieczni.

Przez dalszą część drogi Kiara milczała. Bardzo dotkliwie odczuwała nieobecność Szarostopego, ale nie miała chęci dzielić się tą stratą ze swoim towarzyszem podróży, który mógłby uznać, że oszalała, oplakując lisa. Za to często na niego zerkała. Jego sięgające do ramion jasne włosy związane były z tyłu w kucyk. Sposób zachowania i mowa wskazywały na wysoką pozycję społeczną, której jednak przeczyły pokryte odciskami dłonie. Zastanawiała się, co robi mag w tej dziczy. Choć była wdzięczna za zaproszenie, ten nagły ratunek wydawał jej się podejrzany. *Pani i Dziecię! Być może pakuję się w jeszcze większe kłopoty, ale myślę, że nie pożyję długo, jadąc sama!*

Jae poruszył się w swoim nosidełku i pogłaskała go po łuskach. Nieoczekiwana życzliwość, jakiej doznała ze strony Trisa, kazała jej przyjrzeć mu się raz jeszcze. Wyglądał na znużonego, jakby podróżował już od dłuższego czasu. Jego płaszcz był ze zwykłego, taniego płótna, a spodnie z samodziału. W oczach mężczyzny malowała się udręka i Kiara zastanawiała się, przed czym jeszcze, poza bestiami, ucieka. Coś w jego twarzy, wystających kościach policzkowych i profilu wydawało jej się znajome.

Nie musiała długo podróżować, by przekonać się, że tutaj każdy od czegoś ucieka. *Nie mówi wszystkiego*, pomyślała. Nie wyczuwała jednak zagrożenia z jego strony, co było dziwne, biorąc pod uwagę zachowanie innych zbrojnych, których spotykała po drodze. Zdawał się nie przejmować jej widoczną biegłością w posługiwaniu się mieczem ani bojowym rumakiem. *Ciekawe, dokąd zmierza jego drużyna*, zastanawiała się. *Może skręca gdzieś, zanim pojedę na północ do Zachodniej Marchii. Nie chciałabym się tłumaczyć, dlaczego udaję się do biblioteki, która już nie istnieje!*

Nie ujechali jeszcze świecy, kiedy z zarośli wyszedł jakiś mężczyzna. Dłoń Kiary

powędrowała ku mieczowi, lecz Tris ściągnął wodze swojego wierzchowca.

– Czekaleś na mnie?! – zawołał na powitanie. Mężczyzna z mieczem, szczupły i gibki, z ciemnobrązowymi włosami i opalenizną myśliwego, pokiwał głową.

– Trochę ci to zajęło. Już miałem jechać z powrotem, żeby cię poszukać – odparł tonem, w którym pobrzmiwała zarówno ulga, jak i irytacja.

– Natknąłem się na jeszcze jedno z tych przyjaznych magicznych zwierzątek – odparł sarkastycznie Tris. – I zabiłem go, zanim zdążył zjeść innego podróżnego – dodał, wskazując na Kiare.

W tym momencie Jae wysunął łypek z prowizorycznego nosidełka i się oblizał.

Widoczna na twarzy mężczyzny irytacja zmieniła się w niepokój.

– Zbierasz zbłąkane owieczki, co? – spytał ostrym tonem.

– Ma paskudną ranę i potrzebuje uzdrowiciela. Tak samo jak jej gyregon.

Wojownik przez chwilę stał nieustępliwie, potem jednak potrząsnął głową i odsunął się na bok.

– Cóż, to twoja wyprawa – rzucił, odwrócił się do nich plecami i ruszył drogą. – Im nas więcej, tym weselej.

Ten wyraźny pojedynek słowny między dwoma mężczyznami sprawił, że Kiara z jeszcze większą ciekawością obserwowała swojego nowego towarzysza. Wojownik, który wyszedł na ich spotkanie wyraźnie był przyzwyczajony do tego, że dowodzi, i uważał siebie za przywódcę tej wyprawy, jednak Trisa otaczała taka aura władczości, że musiał mu się poddać. Nie ujechali daleko, gdy mężczyzna dał im znak, żeby zsiadli z koni. Kiara zsunęła się z Upiora, starając się nie urazić gyregona, ale on i tak zaprotestował, podenerwowany. Tris wziął od niej wodze i zaprowadził Upiora do małej kępy drzew, gdzie przywiązał konia razem z innymi

wierzchowcami. Fakt, że nie obraził jej, proponując pomoc przy zsiadaniu z konia, zrobił na niej korzystne wrażenie.

– Uważajcie przy dzieleniu jedzenia. Mamy jeszcze jedną gębę do wyżywienia! – zawołał ich przewodnik, kiedy zbliżyli się do obozowiska.

– Cieszę się, widząc cię w jednym kawałku! – krzyknął wysoki mężczyzna, który podniósł się z miejsca przy ognisku. Był uderzająco przystojny, z twarzą okoloną czarnymi jak atrament włosami. Poruszał się bardziej z gracją tancerza niż żołnierza.

– Ja też – odparł Tris, przywiązując swojego konia. Oprócz nich w obozowisku była jeszcze chuda brunetka, która siedziała skulona przy ogniu, i młoda dziewczyna, zawzięcie krojąca nożem bochenek chleba.

– Ona została ranna – powiedział Tris, kiedy podeszli bliżej. – Powiedziałem jej, że jest z nami uzdrowicielka.

Słyszając to, kobieta przy ognisku podniosła wzrok i zamarła. Oszołomionej Kiarze zaparło zaś dech w piersiach, kiedy spojrzała w jej oczy.

Nie była nawet pewna, czy wykrztusiła z siebie imię Cariny, zanim ciemnowłosa uzdrowicielka ją uściskała. Obie jednocześnie mówiły i płakały.

– Czy ty też zostałeś tak powitany? – spytał oschle wojownik, podczas gdy pozostali przyglądali się temu ze zdumieniem.

Kiara wytarła rękawem oczy.

– Przepraszam – powiedziała, odzyskując głos. – Tylko że... Och, na Boginię! Jesteśmy kuzynkami, a Carina podróżuje od tak dawna...

Czarnowłosa mężczyzna podszedł do nich.

– Zatem musisz być Kiarą Sharsequin.

– Skąd...

– Spokojnie, Kiara. – Carina otarła łzy i wzięła głęboki oddech, żeby zapanować nad sobą.

– To przyjaciele. Chodź, niech no obejrzą to twoje ramię i Jae. Mamy wiele do omówienia.

Carina przedstawiła kuzynce Carroway’a, Vahaniana i Berry, i poszła, żeby przynieść z juków torbę uzdrowicielki, a w tym czasie Berry wcisnęła Kiarze w rękę pajdę chleba i kawałek mięsa. Widząc Jae wysuwającego łepkę z nosidełka, dziewczyna roześmiała się i wyciągnęła do niego rękę. Kiara spodziewała się zirytowanego syku, tymczasem ku jej zdziwieniu gyregon zaakceptował delikatny dotyk Berry.

Kiara ostrożnie zdjęła nosidełko, pozostawiając gyregona owiniętego w płócienny bandaż, i podała jej, a Berry, zawiesiwszy kociołek wody nad ogniskiem, usiadła ze skrzyżowanymi nogami i słuchała opowieści Kiary, karmiąc gyregona kawałeczkami sera.

Kiedy Carina skończyła uzdrawianie ramienia i Kiara nie czuła już w nim pulsującego bólu, wzięła delikatnie Jae od Berry; gyregon najpierw syknął na powitanie, a potem polizał ją po rękę. Po krótkiej chwili rozdarcie na brzuchu zwierzątka wyglądało na prawie zagojone. Wreszcie Carina zaparzyła herbatkę i podała ją Trisowi, który wyglądał na zbolałego, a on z wdzięcznością przyjął napar.

Zapadła już noc, kiedy Carina skończyła opowiadać o ich ucieczce od handlarzy niewolników. A to, co opowiedziała o roli, jaką Tris odegrał w odzyskaniu przez nich wolności, tylko potwierdzało, że młody mag dysponuje znacznie większą mocą, niż się wydawało.

Uzdrowicielka wyjaśniła, że pod wpływem pewnych okoliczności zmienili cel podróży i teraz wszyscy zmierzają do Biblioteki Zachodniej Marchii zamiast do Dhasson. Carinie udało się nawet opowiedzieć o zniknięciu Cama, nie tracąc panowania nad sobą, choć Kiara nie wstydziła się łez, które napłynęły jej do oczu.

Podczas gdy Carina opowiadała, Tris i Carroway robili pochodnie z sitowia i strzały mające zastąpić te, które zużyli, a Vahanian napełnił znowu wiaderko smołą, przygotowując się

do kolejnego spotkania.

– Muszę przerwać to opowiadanie historii – powiedział wreszcie – ale jeśli mamy jutro ruszyć w drogę, to czy wiadomo chociaż, gdzie jest ta wasza Biblioteka?

Przechylił się do tyłu, żeby oderwać z drzewa luźny kawałek kory, zanim znowu spojrzał na nich, przenosząc wzrok z Trisa na Carinę i z powrotem.

– Czy mapa byłaby pomocna? – spytała Kiara. Wyjaśniła, jakie wyznaczono jej zadanie, wspominając o poleceniu Wyroczni, aby odszukała tę legendarną bibliotekę.

– Wreszcie do czegoś dochodzimy – odparł Vahanian, biorąc mapę. – Jeśli ta starość jest prawdziwa – powiedział, przyglądając się jej przez chwilę – to jesteśmy o dzień drogi od Biblioteki. Oczywiście zakładając, że ona nadal istnieje. Ten Upiornik tutaj – dodał, wskazując głową w kierunku Trisa – powie ci, że ja jestem raczej człowiekiem z rodzaju tych, którzy wierzą tylko w to, co zobaczą na własne oczy.

– Może powinniśmy trochę się przespać – wtrącił Tris.

– Jutro będziemy mieli okazję przekonać się, czy Biblioteka jest prawdziwa, czy nie.

Kiara skinęła głową, nagle zdając sobie sprawę, jak bardzo jest wyczerpana.

– Pomogę ci znaleźć miejsce na postanie – zaproponowała Carina. – Trzymamy się raczej blisko siebie. – Uśmiechnęła się ze znużeniem. – Postanowiliśmy zrezygnować częściowo z prywatności, żeby nie dostać się znowu w łapy handlarzy niewolników.

– Dobry pomysł – przyznała Kiara. Przeniosła spojrzenie z Trisa na Vahaniana i Carroway'a. – Spodziewam się, że stanę na warcie.

– Pierwsza noc jest darmowa – rzucił żartem bard. – Jutro możesz objąć i swoją wartę, i moją – dodał.

Kiara zajęła się Upiorem, a potem zaniósła swoje koce tam, gdzie Carina zrobiła dla niej miejsce. Spędziwszy tak wiele czasu samotnie w drodze, była zaskoczona tym, jak miło jest

zapaść w sen, słysząc wokół siebie głosy innych ludzi.

Poranek przyszedł aż za szybko. Carroway ugotował na niewielkim ognisku kleik, który popili wodą ze źródelka za wzgórzem. Kiara zauważyła, że ta niewielka grupka przebywa ze sobą już na tyle długo, iż mają ustalony porządek czynności wykonywanych przed wyruszeniem w drogę, dlatego mimo zmęczenia potrafią zwinąć obóz w rekordowo krótkim czasie.

Kiedy opuścili miejsce obozowania, Kiara poczuła przyływ podniecenia. Podobne, pełne zniecierpliwienia oczekiwanie wyczuwała u pozostałych. Przez jakiś czas jechała z Cariną, ciesząc się z jej obecności. Jae przeskoczył z jej ramienia na ramię Berry i pozwolił dziewczynie głaskać się po łuskach, wydając pełne zadowolenia gwizdy.

Później tego ranka Kiara jechała obok Carroway'a, radując się jego piosenkami i opowieściami. Dobroduszne docinki pozostałych świadczyły o tym, że już znają te opowieści, a Carroway wyjaśnił jej, że często płaci za nocleg w gospodach zabawianiem gości.

Najciekawiej było, kiedy jechała obok Trisa. Początkowo był małomówny, ale otworzył się nieco, kiedy wyjawiała swoje własne ograniczone zdolności magiczne. Rozmawiali o magii, zarówno tej, którą uprawiali, jak i tej, o której słyszeli. Była zaskoczona, kiedy Carina odciągnęła ją na bok, gdy tego wieczora rozbijali obóz.

– O czym tak zawzięcie rozprawialiście z Trisem? – spytała.

Kiara wzruszyła ramionami.

– Głównie wymienialiśmy się teoriami na temat magii, porównywaliśmy informacje o tych magach, których spotkaliśmy, tego typu rzeczy.

– Jestem zdziwiona, że jesteś tak otwarta w stosunku do niego, zważywszy na...

Kiara zmarszczyła brwi.

– Zważywszy na co?

Carina przyjrzała jej się bacznie.

– Nie wiesz, co?

– Czego nie wiem? Przestań, proszę, mówić zagadkami.

– Nie przedstawiłam go, bo myślałam, że już macie to za sobą – odparła Carina. – Czy powiedział ci, kim jest albo dlaczego się tu znalazł?

Kiara potrząsnęła głową.

– Tak naprawdę to nigdy o tym nie rozmawialiśmy. A ja przyzwyczaiałam się w podróży, żeby nie zadawać takich pytań. Zakładałam, że mu ufasz.

Uzdrowicielka pokiwała głową.

– Całkowicie. Ale jest coś, o czym musisz wiedzieć. Tris i jego przyjaciele widzieli morderstwo króla Bricena i teraz zabójca pragnie ich śmierci. Trisowi powiedziano, że znajdzie odpowiedzi, których szuka, w Zachodniej Marchii.

– O czymś jeszcze mi nie mówisz.

Carina spojrzała jej w oczy.

– Kiara, to jest Martris Drayke. Z Margolanu. Młodszy brat Jareda Drayke’a.

Kiara wypuściła gwałtownie powietrze i spojrzała na Trisa, który stał przy ognisku, rozmawiając z Vahanianem.

– Słodka Chemie – wyszeptła.

Pomyślała, że teraz to podobieństwo do kogoś znajomego, które zauważyła, przyglądając się Trisowi z daleka, nabrało sensu. Mimo iż Jared był ciemnym szatynem, a Tris blondynem, mieli wspólne cechy – oprawę oczu i wystające kości policzkowe. Usta Trisa były jednak łagodniejsze w wyrazie, a jego postawa nie przypominała niedbałej arogancji Jareda. Odraza i gniew, jakie odczuwała z powodu tego, co widziała na drogach w Margolanie, znowu nią zawładnęły, na równi ze strachem na myśl o tym, co oznaczałoby dla jej ludu i dla niej samej

małżeństwo z takim królem. Czy dwaj bracia mogą być aż tak różni? Naprawdę polubiła Trisa i czuła się w przy nim swobodniej niż w obecności większości mężczyzn. Nie wykazywał chęci pokazania, że góruje nad nią posługiwaniem się mieczem, ani nie traktował jej protekcjonalnie. Wcale nie pytał o jej pozycję społeczną ani nie czynił aluzji do własnej królewskiej krwi.

– On zamierza znaleźć sposób na obalenie Jareda – ciągnęła dalej Carina. – A król Harrol z Dhasson może zechce go poprzeć. – W jej ciemnych oczach pojawił się niepokój.

– Dojdzie do wojny, Kiara, a my znajdziemy się dokładnie w jej środku.

Może nawet bardziej, niż ci się wydaje, kuzynko, pomyślała Kiara, spoglądając znowu na Trisa. Najlepiej nie zdradzać się na razie ze swoimi opiniami i nieco się odsunąć od Trisa, przynajmniej chwilowo.

– Dziękuję za ostrzeżenie – powiedziała zdawkowo. – A kiedy oni zajmą się kolacją, może opowiesz mi o pozostałych? Zaczynaj od niego – wskazała głową na Vahaniana.

Rozdział dwudziesty piąty

Wstali wcześniej niż zwykle, pragnąc jak najszybciej ruszyć w drogę. Świecę później zjechali z głównego traktu i podążyli ledwie przejezdnymi szlakami. Okolica usiana była chylącymi się ku upadkowi chatami i stodołami, a potem, w miarę, jak jechali dalej na północ, stopniowo znikwały wszelkie ślady ludzkiej bytności.

Ziemia była tutaj skalista, nie nadająca się pod uprawy ani na pastwiska, a górskie zbocza nie skrywały żadnych minerałów ani klejnotów. To tutaj dopływy rzeki Nu spływały z gór, zbyt płytkie, by mogły służyć jako szlaki handlowe. W drodze nie natknęli się na żadnego człowieka. A co najważniejsze, nie zobaczyli już żadnych bestii, choć wciąż mieli pod ręką pochodnie i smołę.

Część poranka podążali szlakiem, który skończył się skalną ścianą. Kolejny stary dukt prowadził na puste pole. Zakurzeni, głodni i zniecierpliwieni, podążyli trzecią, ledwie widoczną

drogą. Vahanian zsiadł z konia, żeby oczyszczać ją z zarośli.

Kiedy słońce stało już wysoko na niebie, dotarli do małego strumienia.

– Cóż, to powinno być gdzieś tutaj – stwierdził Vahanian, trzymając przed sobą mapę.

– Niczego nie widzę. – powiedziała Kiara, podjeżdżając do niego. Tris zauważył, że jego nowa towarzyszka, która poprzedniego dnia była taka przyjazna, teraz staje się coraz bardziej zamknięta w sobie.

– Tam. – Carroway wskazał na zarośnięte ruiny kamiennej budowli.

– Nie wygląda na bibliotekę, ale zobaczmy – powiedział Vahanian, popędzając konia.

Wśród karłowatych drzew i niskich zarośli wyrastały z ziemi pozostałości wieży, przesłonięte gąszczem pnączy i krzaków jeżyn. Popękane łupkowe płyty prowadziły do miejsca, gdzie niegdyś znajdowały się szerokie wejściowe schody. Wejście zamykała żelazna brama z solidną furtą. Mur, choć mocno zniszczony, nadal stał w całości.

– To nie może być to miejsce – powiedziała ściszym głosem Kiara. – Siostra i Sakwi byli tacy pewni... – Urwała, przyglądając się z rozczarowaniem temu widokowi.

Carina, która jechała obok niej, wyglądała na równie niezadowoloną.

Tris zeskoczył z konia i zaczął przedzierać się przez zarośla ku bramie. Carroway też zsiadł z wierzchowca i dołączył do niego.

– Co spodziewacie się tam znaleźć?! – zawołał za nimi Vahanian, podczas gdy pozostali zaczęli przywiązywać konie.

– Nie wiem! – krzyknął w odpowiedzi Tris. – Może nic.

Idąc ku ruinom, miał wrażenie, że coś jest nie tak. Nie miał poczucia zagrożenia, lecz czuł coś dziwnego, jakby jego zmysły kłóciły się z tym, co pokazywał mu wewnętrzny wzrok. Była tu magia, stara i potężna. Coś nakazywało mu zawrócić. *Zakłęcie?* zastanawiał się. *Takie, które ma zniechęcić przypadkowego podróżnego, żeby wybrał inną drogę?*

– Pozostałości muru są za wysokie, żeby się na nie wdrapać – stwierdził.

– Przyjrzyj się temu! – zawołał Carroway. Tris podniósł wzrok i zobaczył, że minstrel zrywa pnącza przykrywające ogromną pieczęć z inskrypcją umieszczoną na żelaznej bramie.

– Co jest na niej napisane? – spytał.

Carroway przesunął lekko palcami po ciemnej metalowej powierzchni, mrużąc oczy.

– Nie wiem. To jest napisane w języku, którego nie rozpoznaję. – Pochylił się jeszcze bardziej. – A tu jest miejsce... – dotknął zagłębienia – skąd coś zostało wyjęte.

– Pozwólcie mi zobaczyć – powiedziała Carina i bard odsunął się na bok. Uzdrowicielka pochyliła się, żeby przyjrzeć się pieczęci. – To nargijski – stwierdziła.

– Potrafisz to odczytać? – spytał Tris, podchodząc bliżej.

– Spróbuję. – Znowu pochyliła się nad płytą. – *C'sque nu osir, a'tesyra ja kescue* – przeczytała powoli.

– *Kuscue* – poprawił ją Vahanian. – *A'tesyra ja kuscue* – powtórzył w doskonałym nargijskim. – To znaczy „Zamykam tę bramę”.

Carina podniosła wzrok, zaskoczona.

– Nargijski nie jest łatwym językiem. Czy chcesz popatrzeć?

Najemnik podszedł, przedzierając się przez zarośla, i starł brud z pieczęci.

– *Ib vossir, e diselon, vi fosset a'ysse, c'sa* – przeczytał płynnie w tym dziwnym melodyjnym języku. – „Moją ręką zamykam tę bramę”... Tu jest data, jakieś pięćdziesiąt lat temu, jak sądzę.

– Wojny Magów – szepnął Tris.

– „Aby nikt nie zbezczeszczył tego przybytku nauki” – przetłumaczył kolejne wersy Vahanian. – „Tylko ci, którzy mają pieczęć Pani, mogą przejść”.

Carina spojrzała na niego podejrzliwie.

– Nargijczycy nie uczą obcych swojego języka. Gdzie się go nauczyłeś?

Vahanian wzruszył ramionami i odwrócił się.

– Jak człowiek przez dwa lata jest ich więźniem, to się nauczy.

– Pieczęć Pani – wyszeptła Kiara. – Wisior z gwiazdą. – Sięgnęła pod tunikę i wyjęła wisior, który rozjarzył się na jej otwartej dłoni. Podeszła i włożyła gwiazdę w zagłębienie.

Wszystko wokół nich uległo zmianie.

Za bramą stał wielki kamienny budynek, wysoki na cztery piętra, z wieżą sięgającą słońca.

Gąszcz pnączy i jeżyn znikł. Trawnik wokół Biblioteki był porządnie przystrzyżony, otoczony starymi drzewami, a dookoła sadzawki rozciągał się niewielki, dobrze rozplanowany ogród.

Żelazna brama na ogromnych zawiasach otworzyła się do środka i drzwi wejściowe do wieży uchyliły się. Dziarski mężczyzna o białych włosach podszedł do nich niemal tanecznym krokiem, rozkładając ręce na powitanie.

– Wejdźcie – powiedział. – Spóźniliście się, i to poważnie, ale czekaliśmy na was.

A potem gwałtownie, jakby ktoś postukał go w ramię, odwrócił się z irytacją i przemówił do pustki.

– Mam już dość twoich wygłupów jak na jeden dzień. A teraz zmykaj!

Znowu odwrócił się do Trisa i pozostałych.

– Nie zwracajcie na to uwagi – rzekł, zawstydzony. – On jest zupełnie nieszkodliwy.

Wejdźcie, proszę.

Tris ruszył do przodu, lecz Vahanian położył mu rękę na ramieniu.

– Nie jestem pewien, czy „nieszkodliwy” to właściwe słowo – ostrzegł go. – On rozmawia z powietrzem.

– Niezupełnie. – Tris zaśmiał się cicho. – Tu jest duch, zaraz z prawej. Jest dosyć nieznośny, cały czas go szturchał.

Mężczyzna stojący w drzwiach się rozpromienił.

– Bogini Światła! Jest jeszcze ktoś, kto go widzi! Wejdźcie już, wejdźcie – zaprosił ich gestem do środka. – Jestem Royster, Opiekun Biblioteki.

Tris poprowadził swoich nieufnych przyjaciół do ciemnego korytarza. Jae, który przysiadł na ramieniu Kiary, zaskrzeczał nerwowo. Kiedy weszli do środka, po obu stronach korytarza zapłonęły jasno pochodnie i zobaczyli około dwudziestu odzianych na brązowo postaci.

– To są moi bracia i siostry – przedstawił ich Royster, a potem roześmiał się na głos. – Nie są to prawdziwi krewni. Jesteśmy akolitami Zgromadzenia Sióstr i mamy za zadanie chronić i doglądać tego wszystkiego – powiedział, pokazując dokoła zamaszystym gestem. – Jesteśmy Opiekunami.

– A ja jestem Martris Drayke, wnuk czarodziejki Bava K’aa – rzekł, kłaniając się, Tris. – A to są moi towarzysze – dodał, przedstawiając każdego po kolei. – Przybyłem tutaj, żeby znaleźć sposób na pokonanie mrocznego maga, który zabił moją rodzinę. Carina szuka lekarstwa na zesłaną na króla Donelana magiczną chorobę. Kiara sama musi opowiedzieć o swojej Podróży, ale przysłało ją tu Zgromadzenie Sióstr. Czy możecie nam pomóc?

Royster podskoczył, jakby ktoś dał mu kuksańca, i z nachmurzoną miną spojrzał na pustkę po lewej stronie.

– Przestań przerywać! – skarcił ducha. – Dojdą do tego. Nie bądź taki niecierpliwy!

Zirytowany, skupił znowu uwagę na Trisie.

– Może – powiedział, uśmiechając się chytrze. – Jesteś urodzonym magiem? – spytał, przyglądając się bacznie Trisowi.

– Dopiero się uczę.

– Nie dajcie się zwieść – wymruczał pod nosem Vahanian. – Jeśli to tylko nauka, to nie chcę być przy tym, jak będzie używał prawdziwej magii.

– Tam przy drzwiach widziałeś Kessena – powiedział Royster. – Jesteś magiem świata duchów?

Tris skinął głową.

– Zarówno Zgromadzenie Sióstr, jak i duch mojej babki uważają, że możecie mi pomóc w nauce.

Royster pogładził się po brodzie.

– Nie wtrącaj się – burknął do ducha. – Lubisz go, bo on cię widzi. Ale nie ma na co patrzeć, mówię ci. – Znowu spojrzął na Trisa i w jego niebieskich oczach pojawił się błysk. – Założę się, że mogę ci pomóc – rzucił, pełen werwy. – Tymczasem rozgośćcie się. – Odwrócił się energicznie i dał im znak, żeby za nim poszli. – Wystarczy pokoi dla wszystkich. Najpierw pokój i łóżko, potem trochę jedzenia, a później będzie dość czasu na książki. Cicho tam – burknął na stronie do ducha.

– Wyczuwasz coś? – spytała Berry Vahaniana, kiedy podążali za dziarskim bibliotekarzem w głąb ogromnego budynku. Jae skrzeczał nerwowo. Pozostali Opiekunowie zniknęli w mroku równie cicho, jak się pojawili, i gdyby Tris nie był obdarzony magicznym wzrokiem, mógłby się zastanawiać, czy też nie byli duchami. Royster jednak zdecydowanie był śmiertelnikiem – chudym człowieczkiem drobnej budowy, niewiele wyższym od Cariny, z niesfornymi białymi włosami i brodą. Braki w budowie ciała nadrabiał energią – wydawał się być ciągle w ruchu, a poruszał się z taką dziarskością, że sprawiał wrażenie młodszego, niż był w rzeczywistości, choć Tris domyślał się, że mężczyzna ma blisko sześćdziesiąt wiosen.

– Tylko kłopoty – przyznał Vahanian. – Dość się już naoglądałem duchów na całe życie.

– Ja też – stwierdziła Berry. – Czy myślisz, że są tu jakieś vayash moru?

– Co za przyjemna myśl – odparł ponuro.

Pokoje wychodzące na korytarz były słabo oświetlone i przepastne, zastawione wysokimi

półkami ze starożytnymi tomami, oprawnymi w skórę księgami, stosami starannie zwiniętych zwojów oraz stertami rozłożonego pergaminu. *Mądrość magów*, pomyślał z podziwem Tris. Przez lata pozostająca w ukryciu. Ciekawość popychała go ku tym starym woluminom, a Kiara, Carroway i Carina wyglądali na równie podekscytowanych jak on. Vahanian natomiast wyraźnie czuł się nieswojo, a Berry aż podskakiwała z podniecenia.

Royster zaprowadził ich do kilku pokoiw przypominających dormitoria. W każdym znajdowało się twarde łóżko, krzesło, szafka nocna, kominek oraz mały stolik do nauki. Liczba pokoiw była wystarczająca dla wszystkich, ale Berry z wdzięcznością przyjęła propozycję Cariny, by dzielić z nią pokój.

Kiedy po obmyciu się Tris wyszedł znowu na korytarz, Carina już tam była.

– Odjęło ci mowę, co? – spytała, równając z nim krok.

Tris się uśmiechnął.

– Jestem tym wszystkim oszołomiony.

– Ja też. W porównaniu z tą biblioteką, ta w Isencrofcie to salonik.

– Idziecie?! – zawołał Carroway, który szedł kilka kroków przed nimi. – Jeśli się nie mylę, czuję zapach jedzenia. I to dobrego jedzenia.

– Ciągle myślę o tej pierwszej gospodzie, w której się zatrzymaliśmy. Wyglądała tak prawdziwie, a znikła nad ranem. A teraz dotarliśmy do Biblioteki, która sprawiała wrażenie, jakby jej tu nie było, a w końcu okazała się prawdziwa. – Tris wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Byłe tylko jedzenie było prawdziwe – zażartował bard. – W czasie tej podróży nauczyłem się obywać bez wielu rzeczy, ale zawsze potrafię docenić dobre jedzenie i ludzi, którzy lubią słuchać opowieści.

Zapach świeżo ugotowanego gulaszu zaprowadził ich do sali jadalnej – obszernej komnaty zastawionej rzędami stołów i krzeseł. Kilkoro odzianych w brązowe szaty Opiekunów było

zajętych przygotowywaniem kolacji. Royster, pochylony nad ogromnym kotłem, podniósł wzrok, gdy Tris do niego podszedł.

– Rzadko mamy gości na kolacji. Zupa powinna już być gotowa, jest też dość chleba i sera.

– Spojrzał w bok z irytacją. – Cicho. Jesteś duchem, a duchy nie jedzą, więc co ci do tego? – powiedział do swojego niewidzialnego towarzysza.

– To brzmi cudownie – przyznał Tris. – Ostatnio żyliśmy na racjach podróźnych.

– Przynieście zatem wszyscy talerze! – zawołał Royster, zapraszając gestem pozostałych.

Dziarski staruszek zasiadł naprzeciwko Trisa i Carroway'a. Carina i Kiara usiadły razem z nimi, Vahanian zaś zaniósł swoje jedzenie na drugi koniec stołu, a Berry poszła za jego przykładem. Jae znalazł sobie miejsce na skraju stołu, gdzie złożył z zadowoleniem swoje skórzaste skrzydła i skubał kawałek sera. Podróżnicy po kolei opowiedzieli bibliotekarzowi swoje historie. Kiedy skończyli, Royster pokiwał głową.

– Jeśli wiedza, której poszukujecie, w ogóle istnieje, to znajdziecie ją tutaj – powiedział. – To dlatego Zgromadzenie Sióstr tak starannie ukryło tę Bibliotekę. Wiedza tu przechowywana może w odpowiednich rękach wiele zdziałać. – Zamilkł na chwilę. – Po Wojnie Magów Zgromadzenie Sióstr nie mogło się zdobyć na zniszczenie Biblioteki, więc ukryło ją, aby jej tajemnic nie wykorzystano w złej sprawie. – Rozejrzał się dookoła, jakby wyobrażał sobie, że w tym mrocznym budynku roi się od uczniów. – Tylko najwyższe rangą i najbardziej zaufane z Sióstr mają do niej wstęp – wyjaśnił. – Ten wisior nie jest dawany ot tak sobie. Jedynie kilka osób spoza Zgromadzenia dostąpiło tego zaszczytu, a jeśli chodzi o Siostry, to najczęściej przybywają tu dzięki zaklęciu relokacyjnemu.

Słyszając to, Kiara się wzdrygnęła.

– Siostra, która wysłała mnie w tę Podróż, posłużyła się takim zaklęciem, żeby przenieść mnie z jednego miejsca w inne. To było... niepokojące przeżycie.

Royster uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Do tego trzeba się przyzwyczaić. Na szczęście to Siostry przybywają do nas, więc my, Opiekunowie, nie musimy podróżować. – Skończył jeść i zebrał ostatnie krople zupy kawałkiem chleba. – Vayash moru, którzy od dawna znani są Zgromadzeniu, dostarczają nam zaopatrzenie i wieści ze świata – opowiadał dalej. – Niektórzy z nich studiują w Bibliotece od setek lat. Ich lojalność wobec Pani jest absolutna. – Zamilkł na chwilę. – Powiedziano mi, że mam spodziewać się pojawienia Sióstr. Najwyraźniej wyczuły wasze przybycie. Myślę, że o świcie, lordzie Przywoływaczu Dusz, poznasz pierwszą z wielu swoich nauczycielek.

– Czy Siostry nie ryzykują, pozwalając ci tu przebywać? – spytał Vahanian, odchylając się na krześle. – Masz mnóstwo czasu. Skąd wiadomo, że nie staniesz się kolejnym Obsydianowym Królem?

Royster zaśmiał się cicho.

– Sądzę, że Siostry też o tym pomyślały. – Podskoczył, jakby ktoś go szturchnął, i spojrzał gniewnie w prawo. – Tak, oczywiście, że miałem o tym powiedzieć – mruknął, naburmuszony. – Bądź cicho.

Znowu spojrzał na Trisa i jego towarzyszy. – Myślę, że w tym przypadku zostałem wybrany zarówno przez wzgląd na to, kim jestem, jak i na to, kim nie jestem. Nie jestem magiem.

Vahanian obrzucił Roystera sceptycznym spojrzeniem.

– Niech no ja to zrozumiem. Przebyliśmy taki szmat drogi tylko po to, żeby bibliotekarz uczył Trisa magii?

Staruszek się zaśmiał.

– Właściwie to tak.

– Może chciałbyś też przejąć lekcje szermierki?

– Nie. Ale czegoś tu nie rozumiesz.

– A mianowicie? – spytał zirytowany najemnik.

– Nigdy nie można mieć pewności, czy magowie nie będą próbowali zdobyć mocy dla własnej korzyści. To dlatego Zgromadzenie Sióstr pozwoliło tu wejść tak nielicznym. –

Wzruszył ramionami. – Ja nie mogę zabrać tej wiedzy ze sobą i nie mógłbym się nią posłużyć. –

Jego oczy zwęziły się jak u karciarza przed wielkim rozdaniem. – Z drugiej jednak strony spędziliśmy całe życie pośród tych ksiąg. Znamy je wszystkie. Każdy z nas – wskazał na swoich milczących towarzyszy, którzy wchodzili do Sali, żeby zjeść kolację – ma swoją specjalność, dziedzinę magii, którą badał przez większą część życia. Uzdrawianie – skinął głową w kierunku Cariny, która podniosła od razu wzrok – magia bojowa – rzekł, zerkając na Vahaniana – i magia duchów – popatrzył na Trisa. – Jestem jak wasz własny chodzący i mówiący katalog, który w dodatku sporo zapamiętał.

Vahanian potrząsnął głową.

– Nie rozumiem. Dlaczego mielibyście uczyć się na pamięć czegoś, czego nie możecie wykorzystać?

Royster pochylił się do przodu i postukał najemnika w czoło.

– Dla wiedzy. Oto dlaczego.

– Po prostu dlatego, że jest – wymamrotał Vahanian, przewracając oczami.

– Ano właśnie. – odparł Royster z pełnym satysfakcji uśmiechem. – Jest jeszcze inny powód. Szacowne Siostry obawiały się, że kiedyś Biblioteka może zostać zniszczona. Moje życie polega zarówno na zapamiętywaniu treści książek, jak i na opiece nad nimi.

– W jaki sposób zostałeś bibliotekarzem? – pisnęła Berry. – Wojny Magów były dawno temu. Nie wyglądasz aż na tak starego.

Royster zaśmiał się z pobłażaniem, a potem spojrzał ostro w bok i się nachmurzył.

– Bądź cicho – odburknął duchowi. – To słodkie dziecko i nie miała nic złego na myśli, ty stary głupcze! – Potem odwrócił się do Berry, znowu się uśmiechając. – Och, jestem naprawdę stary, ale nie aż tak – przyznał bez ceregieli. – Ale masz rację, Wojny Magów były dawno temu. Szkoda. – I przerwał, żeby wydłubać spomiędzy zębów kawałek jedzenia. – Nie było wtedy przyzwoitych kronikarzy. Nie ma żadnego wartego przeczytania opisu całej wojny. – Zamilkł na chwilę. – Ach, ale zapytałaś mnie o coś – przypomniał sobie. – Kiedy miałem pięć lat, do naszej wioski przybył Kessen. Poddał próbie wszystkie dzieci. Opowiedział im historię, a one miały ją powtórzyć. Z nich wszystkich – powiedział z dumą – tylko ja potrafiłem powtórzyć ją słowo w słowo. – Wzruszył ramionami. – Byłem sierotą, więc Kessen zabrał mnie od razu ze sobą. I od tego czasu mieszkam w Bibliotece. – Rozejrzał się po swoich odzianych w szaty towarzyszach. – Tak było z nami wszystkimi. Teraz jeden z nas podróżuje z Siostrą, robiąc to samo. Trzeba mieć powołanie od Pani, żeby zostać Opiekunem.

– Kessen... to ten duch, który ci się naprzykrza? – Spytała Berry.

Royster zaśmiał się, a potem wycelował palcem w powietrze.

– Słyszałaś? – rzucił wyzywająco. – Ona powiedziała „naprzykrza”. „Naprzykrza”, ty bezcielesny stary duchu! Wiesz, że ona stara się być uprzejma – dodał, po czym uśmiechnął się słodko do Berry. – Tak, duch Kessen był moim nauczycielem Kessenem.

– Ale dlaczego...

– Dlaczego wciąż się tu kręci, zadręczając mnie dzień i noc? – spytał Royster z udawaną irytacją. – Powiem ci. Bo nigdy nie potrafiłem ułożyć tych cholernych ksiąg tak, żeby był zadowolony. „Royster”, zwykł mawiać „już ja dopilnuję, żebyś nabrał w tym wprawy, choćbym musiał cię tego uczyć do końca życia albo i po śmierci” – zacytował. – Kiedy ten stary głupiec wreszcie zmarł, nadal nie robiłem tego zgodnie z jego wymaganiami. – Prychnął. – Mnie tak pasuje. Mogę znaleźć wszystko, czego potrzebuję. Ale on i tak postanowił mnie prześladować. –

Pochylił się do przodu, jakby chciał podzielić się jakąś tajemnicą. – I wiesz co?

– Co? – wyszeptała konspiracyjnie Berry.

– Tak naprawdę to nie mam nic przeciwko temu. Przez te ostatnie pięćdziesiąt lat bywało tu trochę za spokojnie. Ale nie mów Kessenowi, bo mu to uderzy do głowy.

Berry pokazała, jak sznuruje sobie usta, a Royster poklepał ją po dłoni.

– Dobra z ciebie dziewczynka – powiedział.

Podczas kiedy Royster opowiadał, Tris zamknął oczy, skupiając się na duchu bibliotekarza i przywołując w myślach jego obraz. Kiedy otworzył oczy, duch Kessena był wyraźnie widoczny.

– Patrzcie, tam jest! – wykrztusiła Berry.

Bibliotekarz zaczął się śmiać.

– I dobrze ci tak, ty stary głupcze. Teraz już nie będziesz mógł tak się podkradać do ludzi.

– Spojrzał na Trisa. – To twoja robota, prawda?

Tris skinął głową.

– Obawiam się, że on nie może pozostać widzialny – rzekł. – Trudno to wytłumaczyć.

Myślę, że to mu się nie podoba, ale nie ma nic przeciwko temu, że go poznaliśmy – dodał.

– Zrób tak, jak on sobie życzy. Ale miło było się przekonać, że jednak ktoś tam jest.

Minęło tyle czasu, że niekiedy bałem się, że mówię sam do siebie.

Tris znowu zamknął oczy i poczuł, z jaką ulgą duch Kessena znikł.

– Znasz te wszystkie książki? – spytała Kiara, podejmując na nowo rozmowę. Wyglądała na nieco wytrąconą z równowagi i Tris uświadomił sobie, że po raz pierwszy była świadkiem tego, jak on posługuje się magią, poza przywoływaniem ognia.

Royster pokiwał głową.

– Każdą z nich. – Zaśmiał się cicho. – Jestem chodzącym katalogiem. Po kolacji

przedstawię was specjalistom.

– Czy oni mówią? – spytał mało uprzejmie Vahanian, popijając chleb haustem piwa.

Royster roześmiał się, usłyszeli też szmer rozbawienia wśród osób siedzących przy innych stołach.

– Och tak, mówimy – powiedział. – Ale spędziwszy tyle lat razem, mamy sobie niewiele nowego do powiedzenia. Dlatego uważajcie, czego pragniecie – teraz, kiedy mamy gości, nasza ciekawość może zaowocować taką ilością pytań, że nie będziecie chcieli na nie odpowiadać!

– Czy możesz pokazać nam przewodniki dla uzdrowicieli? – spytała Carina. – Zwłaszcza te dotyczące zesłanych magicznie chorób? Och, chciałabym zobaczyć wszystkie teksty! – Spojrzała na Kiarę błyszczącymi oczami. – Cóż to za okazja!

– Z chęcią ci pomogę – wtrąciła Kiara – ale Wyrocznia przysłała mnie tutaj, żebym znalazła sposób na ocalenie Isencroftu. Nie jestem pewna, czego masz dla mnie szukać – wyznała. – Służebnice Pani powiedziały tylko, że znajdę tutaj to, czego potrzebuję.

Royster przez chwilę rozważał jej prośbę.

– Może najlepiej będzie zacząć od kronik Isencroftu i opowieści o jego królach. Możesz znaleźć tam coś pomocnego.

– Macie zatem kroniki, co? – spytał Carroway. – Może jakieś ładne tomy z ciekawych czasów? – Spojrzał na Trisa i wzruszył ramionami, uśmiechając się przeprasząco.

– Nie chodzi o to, że nie dałeś mi dość materiału do pisania pieśni, ale jak powiedziała Carina, to jest niebywała okazja.

W oczach Roystera pojawił się błysk.

– Jesteś bardem?

Carroway skinął głową, a bibliotekarz się uśmiechnął.

– Mamy kroniki, o jakich nawet nie słyszałeś, o magach-wojownikach, o których pieśni

popadły w zapomnienie. Mamy też muzyczne instrumenty – dodał, a Carroway’owi zaświeciły się oczy. – Przekonasz się, że wielu Opiekunów to utalentowani muzycy i bajarze. Mamy wiele czasu dla siebie i wiele zimowych wieczorów. Obiecuję ci, bardziej, że będziesz miał swoje pieśni.

– Czy mogę iść z tobą? – spytała podekscytowana Berry. – Chciałabym posłuchać tych historii. – Spojrzała na Roystera, – Czy któreś z nich są o księżniczkach? Lubię opowieści o księżniczkach, zwłaszcza o tych, które wpadają w tarapaty, a potem zostają uratowane.

Royster uśmiechnął się po ojcowsku i zachichotał.

– Tak, znajdziesz ich tu sporo. Sam wybiorę dla ciebie te najlepsze... jeśli umiesz czytać – powiedział, patrząc na nią pytająco. Berry skinęła energicznie głową, a on się rozpromienił. – Dobra dziewczynka. Rzadko tak bywa w przypadku młodych dziewcząt. – Odwrócił się w stronę Vahaniana. – A ty?

Najemnik uniósł rękę.

– Widziałem już dość magii i więcej nie chcę jej oglądać. Po prostu dajcie mi miły, pusty pokój i pozwólcie zająć się bronią. Macie tu może przypadkiem salę do ćwiczeń z bronią i kuźnię? – Kiedy Royster pokiwał potakująco głową, Vahanian uśmiechnął się. – No cóż, to co innego. Chciałbym je zobaczyć, bo wolałbym nie ćwiczyć na śniegu. Trzeba też zająć się końmi i bronią.

Bibliotekarz zwrócił się teraz do Trisa.

– Siedzisz cały czas cicho, synu. Co mogę znaleźć dla ciebie?

– Nie jestem pewien. Jeśli są tutaj jakieś księgi o przyzywaniu duchów i magach świata duchów, to może dowiem się, dlaczego ta magia działa i co tak naprawdę robię. – Uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Do tej pory robiłem to metodą prób i błędów – przyznał. – Miałem sny, wizje, w których pojawiała się moja babka. Mówiła mi, że przypomnę sobie jej nauki, kiedy

będzie taka potrzeba – rozłożył ręce i wzruszył ramionami – ale nie jestem w stanie odszukać w pamięci żadnych wskazówek. – Zamilkł na chwilę. – I o Obsydianowym Królu, jeśli macie kroniki o nim i o tym, jak moja babka pomogła go pokonać. – Tym razem zamilkł na dłużej. – Być może będziemy musieli znów stawić mu czoła.

– Jestem do usług, mój panie – rzekł już całkiem poważnie Royster. – Podejrzewam, że może właśnie do tego przygotowaliśmy się przez całe nasze życie. Znajdę to, czego potrzebujesz. – Wskazał na mężczyznę z siwą brodą siedzącego przy stole obok. – Devin jest naszym ekspertem od przywołań. Maire – powiedział, pokazując głową na kobietę o białych włosach – wie wszystko o znaczeniu snów i odzyskiwaniu ukrytych wspomnień. A ja... – zakończył z błyskiem w oku – zawsze miałem słabość do opowieści o Obsydianowym Królu, więc będę z tobą nad tym pracował.

– Dziękuję – odparł Tris.

– To są zapewne ci goście, na których czekałeś? – rozległ się głos z tyłu, zaskakując wszystkich poza Roysterem.

Tris odwrócił się i zobaczył chudego ciemnowłosego mężczyznę, który sprawiał wrażenie niewiele starszego od niego samego – dopóki nie spojrzał mu w oczy. Z tych oczu osadzonych w bladej twarzy o subtelnych rysach wyzierało wiele dziesiątek lat. Mężczyzna miał żołnierską postawę, a jego ciemne włosy były krótko przycięte jak pod hełm.

Royster się uśmiechnął.

– Tak, zgadza się. Mikhail, pozwól, że ci przedstawię Martrisa Drayke’a i jego przyjaciół – powiedział. – A to jest Mikhail z dworu króla Harrola.

Vayash moru wykonał uprzejmy ukłon.

– Jestem zaszczycony – powiedział. – Król Harrol przysłał mnie do Zachodniej Marchii, jako że granice Dhasson są... trudne do przekroczenia dla śmiertelników.

– Zauważyliśmy – wymruczał Vahanian.

– Kazał, abym dowiedział się, jak pozbyć się tych bestii, które nękają Dhasson – ciągnął dalej Mikhail. – Król poprosił także, abym cię wypatrywał, jeśli los przywiedzie cię do Zachodniej Marchii. Będę szczęśliwy, mogąc zameldować o powodzeniu w obydwu tych sprawach.

– Znalazłeś rozwiązanie problemu bestii? – spytał Tris.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Niestety, wszystkie ślady wskazują na to, że to dzieło jednego maga – Foorą Arontali.

Nie potrafię powiedzieć, czy to on stworzył te bestie, ale pewne jest, że to on je wezwał. I dopóki nie zostanie wyeliminowany – albo dopóki ty nie zginiesz – one nie znikną.

– Gabriel ostrzegł nas, że na granicę rzucono zaklęcie, żeby uniemożliwić mi jej przekroczenie – powiedział książę – inaczej udalibyśmy się do Valiquet. Czy Harrol ma dla nas jeszcze jakieś inne wieści?

Mikhail wyciągnął z kieszeni sakiewkę i wręczył mu ją. Wewnątrz był list i pieczęć. Tris przeczytał szybko list.

– Obiecuje wszelką pomoc wojskową, jakiej Dhasson może udzielić, w razie oblężenia przez bestie. Dał mi też swoją pieczęć jako gwarancję dla ministra skarbu, aby pomógł nam zebrać armię... i spłacić nasze długi. – Zerknął na Vahaniana, a ten wzruszył ramionami.

– Jestem pewien, że król Harrol spodziewał się, że to, co tu znajdę, potwierdzi jego podejrzenia. Uważa, że aby pokonać te bestie, trzeba przełamać moc tego, kto je wysłał – powiedział Mikhail. – Tym samym kłopoty w Margolanie stają się sprawą Dhasson, dopóki Arontala nie zostanie wyeliminowany.

– Powodzenia – wymruczał ponuro Vahanian.

– Czy możemy teraz przejść do tych opowieści? – przerwała Berry i wszyscy zaśmiali się,

wstając od stołu. Kiedy już mieli wyjść, zimny podmuch wiatru przemknął obok nich i naczynia zaczęły jedno po drugim unosić się w powietrze.

– To Kessen – westchnął Royster. – Straszliwie go denerwuje, kiedy zaraz po jedzeniu nie sprzątnę ze stołu. – Oparł ręce na biodrach. – Zostaw te naczynia! – krzyknął do pustego pomieszczenia. – Wnuk Bava K’aa przybywa na naukę, a ty myślisz o naczyniach! – Machając z lekceważeniem ręką, odwrócił się i dał znak, żeby pozostali poszli za nim. Chwilę później naczynia upadły z hukiem na podłogę.

– Zawsze miał wybuchowy temperament – wymruczał bibliotekarz, nie oglądając się na stos rozbitych naczyń.

Rozdział dwudziesty szósty

Kiedy wstali następnego ranka, czekał na nich gość w brązowej szacie: szczupła, wysoka kobieta o krótko przyciętych białych włosach i przenikliwych niebieskich oczach. Zrobiła kilka kroków, stanęła przed Trisem i spojrzała na niego, jakby chciała wyrobić sobie zdanie na jego temat i zajrzeć mu w duszę.

– Jesteś Martris Drayke?

– Tak, jestem.

– Czego tu szukasz, synu Bricena?

Tris popatrzył jej stanowczo w oczy.

– Pragnę poznać moją moc i zapanować nad nią. Muszę znaleźć sposób na pokonanie Arontali i zdetronizowanie Jareda.

Siostra obrzuciła go taksującym spojrzeniem.

– W porządku. Czasu jest niewiele, a zadanie jest ogromne. Kiedy nadejdzie miesiąc Głogu, Arontala będzie chciał posłużyć się potężną magią – magią krwi – żeby uwolnić duszę Obsydianowego Króla. Jeśli mu się uda, dojdzie do wojny i pojawi się mrok większy niż za

czasów Wielkiej Wojny.

– Czy Zgromadzenie Sióstr nie może go powstrzymać? Jesteście doświadczonymi czarodziejkami...

– Tylko Przywoływacz Dusz może go pokonać. – Spojrzała Trisowi w oczy. – A ty jesteś jedynym Przywoływaczem w Siedmiu Królestwach.

– A więc ucz mnie – powiedział spokojnie Tris. – Przybyliśmy tutaj po to, żeby dowiedzieć się, jak odpędzić mrok w Margolanie, Isencrofcie i Dhasson.

– To jest ten sam mrok i ta sama misja. Wasze ścieżki spotkały się dzięki woli Pani. A ja jestem tu po to, aby być twoją pierwszą nauczycielką. Jestem Siostra Taru.

Zaraz po śniadaniu, kiedy Vahanian udał się do sali ćwiczeń z bronią, a Carina, Kiara i Carroway – oraz deptająca mu po piętach Berry – spotkali się z Opiekunami i zagłębili w czeluści Biblioteki, Taru zaprowadziła Trisa do skromnie umeblowanego gabinetu. Maire rozpałała ogień i postawiła imbryk na ogniu, żeby ugotować herbatę. Potem Taru pokazała Trisowi, by usiadł. Sama zasiadła wraz z Maire naprzeciwko niego.

– Jesteś zatem wnukiem Bava K’aa – powiedziała. – Moje Siostry uważają, że jesteś dziedzicem jej magii. A co ty o tym powiesz?

— Zawsze mogłem rozmawiać z duchami, wzywać je, widzieć – nawet wówczas, gdy inni nie mogli. Nie tylko w czasie Nawiedzin. Pamiętam niektóre lekcje z babką, kiedy byłem młodszy. Były to proste obrzędy, zaklęcia ochronne, magia domowa. Ale od czasu tych morderstw... – Głos mu się załamał i umilkł. – Od czasu tych morderstw – powtórzył, starając się zapanować nad sobą – czuję moc, jakiej nigdy przedtem nie czułem – we mnie i wokół mnie. Czasami, tak jak wtedy, gdy mieliśmy do czynienia z tymi handlarzami niewolników, moc przepływa przeze mnie i nie mogę nad nią zapanować.

Taru i Maire słuchały, jak Tris przedstawia historię ich podróży, opowiada o duchach,

które spotkał i uwolnił, i wreszcie o duchach Ruune Videya. Kiedy skończył opowieść, Siostry wymieniły spojrzenia.

– Przez te lata od śmierci Bava K’aa – zaczęła cicho Tani – posyłano do Ruune Videya magów, żeby uspokoić duchy. Żadnemu to się nie udało i żaden nie powrócił. Ty jednak przeżyłeś, żeby o tym opowiedzieć, ty – mający zaledwie dwadzieścia wiosen początkujący mag. Przekonałeś duchy lasu do swojej sprawy, wytargowałeś bezpieczeństwo swoich przyjaciół, a potem odesłałeś je na spoczynek!

Tris zarumienił się i spuścił wzrok.

– Wiem, że trudno w to uwierzyć.

– Tyle że my to potwierdziłyśmy – powiedziała spokojnie Taru. – W Ruune Videya już nic nie straszy. Myślę, że każdy mag wyczuł w tamtą noc gwałtowne szarpnięcie strumieni mocy. Ja sama to poczułam, choć nie znałam przyczyny. To dzika magia, ledwie mieszcząca się w granicach Światła – zakończyła, wbijając wzrok w Trisa.

– Przez jakiś czas potem czułem się naprawdę paskudnie – przyznał, zakłopotany. – Czy mogłybyście nauczyć mnie, co robić. Żeby nie mdleć za każdym razem, kiedy posługuję się potężną magią? Nie mogę walczyć z Arontałą, jeśli ciągle będzie mi się to przydarzało.

Lekki uśmiezek pojawił się na ustach Taru.

– Wyszkoleni magowie ginęli w takiej burzy, a ty jednak nie zginąłeś.

– Pomóżcie mi. Działam instynktownie, a to nie wystarczy. Gdyby Carina i Alyzza nie pokazały mi, jak się osłaniać, kiedy podróżowaliśmy z karawaną, postradałbym już zmysły przez te duchy. Tamtej nocy w lesie moje tarcze ochronne ledwie wytrzymały. Myślałem... że mogę tam utracić duszę. Miałem wrażenie, jakbym... był rozrywany na kawałki – przez moją moc i przez te duchy.

Taru baczenie mu się przyglądała.

– Twój instynkt cię nie zawiodł. Byłeś bardziej bliski śmierci... i zniszczenia twojej duszy, niż sądziłeś. Niewyszkolonemu magowi nie powinno było udać się to, co ty uczyniłeś. To nie instynkt – powiedziała, pochylając się do przodu – ani talent. To musi być wykszolenie, gruntowne wykształcenie, o którym ktoś kazał ci zapomnieć.

– Popatrz na mnie, Tris – wtrąciła Maire i wyciągnęła z fałdów swojego płaszcza kryształową figurkę Pani o czterech obliczach. – Chcę, żebyś skupił się na tym – dodała uspokajającym tonem. – Odprawimy magiczny obrzęd, a ja zabiorę cię głęboko w twoje wspomnienia. Będą dla ciebie tak realne jak wtedy, gdy się wydarzyły. To może nie być łatwe.

– Jestem gotów – powiedział Tris.

Taru ustawiła krąg ochronny wokół nich, a potem, kiedy już znaleźli się wewnątrz tego kręgu, rozstawiła kolejną tarczę, tym razem oddzielając ją oraz Maire od Trisa.

– Nie potrafię przewidzieć twojej reakcji i nie wiem, czy nad tym zapanujesz – wyjaśniła.

– To jest zarówno dla naszej ochrony, jak i dla twojej.

– Rozumiem.

Maire postawiła na stole posążek, na którym miał się skupić.

– Czy pamiętasz pierwszy magiczny rytuał, jaki odprawiłeś ze swoją babką?

Tris zastanawiał się przez chwilę.

– Babka zawsze pozwalała mi sobie towarzyszyć. Nauczyła mnie przywoływać ogień, który pojawiał się na dłoni, tego samego lata, kiedy zacząłem pobierać nauki. Miałem może pięć albo sześć lat. Myślę, że nie pomagałem jej w obrzędach, dopóki nie ukończyłem ośmiu albo dziewięciu lat.

Taru pokiwała głową.

– To wiek, w którym obiecujące dziecko rozpoczyna poważną naukę. Przenieś go do momentu, gdy miał dziesięć lat – poleciła. – I zobaczymy, co wie.

Maire spojrzała mu w oczy.

– Skup się na figurce, Tris – powiedziała – i słuchaj mojego głosu. Odcisnij obraz posążka w swoim umyśle. Zapamiętaj go. Niech ten obraz będzie szczegółowy, jakbyś trzymał figurkę w dłoni. Jakbyś czuł jej ciężar. Poczuj jej fakturę, jaka chłodna jest w dotyku, jaka gładka. Zobacz, jak lśni. Poczuj woń kadzidła, która do niej przyłgnęła. I smak kadzidła w ustach. Kiedy stanie się rzeczywisty, zatrzymaj ten obraz. Zachowaj go. A teraz niech obraz zniknie. Potrzymaj tę próżnię. Wsłuchaj się w mój głos. Trzymaj tę pustkę. Zamknij oczy. Oddychaj głęboko. Jeszcze raz. Przebywasz w tej pustce. Masz dziesięć lat, jesteś ze swoją babką w jej pracowni. Co widzisz?

Tris otworzył oczy i rozejrzał się po apartamentach Bava K'aa w Shekerishet. Znajomy zapach jej świec mieszał się z wonią dymu drzewnego i kadzidła. Letnie słońce wpadało przez gomółkowe okna, rzucając siatkę cieni na podłogę. Na stole leżały narzędzia potrzebne do obrzędu – kawałek pergaminu, jej rytualny sztylet, świeca i jakieś zioła. Babka krzątała się pomiędzy stołem a kominkiem, gdzie nad ogniem bulgotał mały kociołek. Tris czuł energię jej kręgu ochronnego, dającego poczucie bezpieczeństwa w obrębie plecionego dywaniku, którego używała jako przestrzeni do pracy. Słyszał, jak on sam opisuje na głos te przedmioty, jakby był we śnie.

– Co wiesz o magii, Martrisie Drayke? – usłyszał odległy głos. Bava K'aa pracowała dalej, jakby ten głos przemawiał tylko do niego. Kiedy znajdował się wewnątrz kręgu, nie obawiał się tego głosu.

– Ukończyłem naukę pierwszego poziomu zaklęć ochronnych i drugiego poziomu magicznych obrzędów – odparł; jego głos był cieńszy i załamywał się przy niektórych słowach, jak to bywa u młodzika w wieku dojrzewania. – Nie wolno mi jeszcze używać rytualnego sztyletu. Mogę przyzywać duchy i odsyłać je. Przyglądałem się już, jak babka błogosławi im

przy przejściu, i dołączyłem do niej na planach duchów, żeby poczuć, jak to się robi. Ćwiczymy codziennie wiele godzin.

– Dobrze, bardzo dobrze – uspokajał go głos. – A teraz zamknij oczy. Minał rok. Masz jedenaście lat. Co teraz wiesz, Martrisie Drayke?

Chłopak rozejrzał się dookoła po znajomej pracowni; widział kielichy i na wpół wypalone świece, wysłużony moździerz i tłuczek, flakoniki i pudełeczka.

– Babka mówi, że musimy się pospieszyć – odparł. – Czasami pomaga nam Carroway.

Ustawiałem już magiczne osłony i posługiwałem się jej kulą do wróżenia. Zeszliśmy do krypt i przywołaliśmy duchy moich przodków, a raz zniszczyliśmy demona. – Chłopak wzdrygnął się. – Przybył pod postacią duszy błagającej o przysługę. Prosił o skrzywdzenie żyjącej istoty, a to jest zakazane. Odmówiłem, a on pokazał swoją prawdziwą naturę. Walczyłem z nim i zniszczyłem go bez pomocy babki, ale z trudem. Byłem chory przez trzy dni i dostałem gorączki. – Zamilkł na chwilę. – Jesteśmy na trzecim poziomie zaklęć ochronnych i czwartym poziomie rytuałów.

– Jesteś bystrym chłopcem – odparł głos. – A teraz znowu zamknij oczy. Jest lato przed odesłaniem ciebie z dworu na naukę. Masz czternaście lat. Jak teraz wyglądają twoje magiczne studia?

Głos chłopaka był głębszy, nie był już głosem dziecka.

– Przebywałem z vayash moru i potrafię odprawiać rytuały piątego poziomu. Pomagałem babce w przywoływaniu wizji na potrzeby wojenne i sam przyzywałem duchy. Pośredniczyłem pomiędzy żywymi a umarłymi i pomagałem w przejściu tym, którzy pragnęli odnaleźć Panią.

Babka bardzo się martwi.

– Dlaczego?

– Bo wyjeżdżam, żeby pobierać nauki, a ona nie skończyła jeszcze mojej magicznej edukacji. Pracujemy od świtu do zmierzchu. Jestem zmęczony. Dwukrotnie nakłoniła matkę do

opóźnienia wyjazdu, i to bez podania prawdziwej przyczyny – ale nie uda jej się ponownie przekonać ojca. Mówi, że nie mogę zdradzać się z moją mocą nawet przed matką. Ale jednocześnie sama pragnie, aby odesłano mnie z dworu.

– Dlaczego?

– Bo boi się o mnie. Obawia się, że Jared zrobi mi krzywdę.

– Tris! – zawołał głos. – Wracaj. Oddychaj.

Tym razem obraz zniknął od razu, jednak wspomnienia – Bava K’aa i magicznych obrzędów – pozostały.

Maire i Taru przyglądały mu się z niepokojem, po czym Maire przyniosła filiżankę gorącej herbaty, którą książkę wziął drżącymi rękoma.

– Jeśli wtedy wiedziałem, jak posługiwać się magią – spytał Tris łamiącym się głosem, który jednak znowu był jego własnym – to dlaczego nie użyłem jej przeciwko Jaredowi? Na Panią i Dziwkę, jeśli mogłem posłużyć się magią, to dlaczego tego nie uczyniłem?

Taru zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Sądzę, że twoja babka wiedziała, w jakiej sytuacji się znalazłeś, i robiła wszystko, co było w jej mocy, aby cię ochronić. Bricen jednak nie chciał jej posłuchać w sprawie Jareda, dlatego głęboko ukryła twoje wspomnienia o magicznych naukach. Powiedz mi, jakie szczegóły z czasu z nią spędzanego przed tym magicznym obrzędem zapamiętałeś?

– Wiem tylko, że chciała, żebym z nią przebywał, i ja to lubiłem – odparł po chwili i zmarszczył brwi. – Wiem, że byłem zajęty, ale nie potrafiłbym powiedzieć czym.

Maire skinęła głową.

– Podejrzewam, że jeszcze zanim Jared sprowadził Arontalę do Shekerishet, dostał się pod jego wpływy. Bava K’aa na pewno to wyczuła. Wiedziała, że jeśli Jared i Arontala – będą podejrzewać, że masz jakieś zdolności magiczne, zabiją cię. – Zamilkła na chwilę. – A może

wiedziała także, że jej czas się kończy. Nie mogła cię już dłużej chronić – przynajmniej jako żyjąca czarodziejka. Ukrycie twojej edukacji było jedyną nadzieją na przygotowanie cię do tego, byś pewnego dnia chronił Margolan.

– To dlaczego zacząłem się posługiwać moją mocą po tych morderstwach?

– Czasami ludzie obdarzeni magicznym darem nie poznają swojej mocy, dopóki nie przeżyją jakiegoś ogromnego szoku; lęk sięga tak głęboko, że otwiera wszystkie kanały i uwalnia to, co blokowało przepływ mocy – wyjaśniła mu Taru. – Nie wiem, co według twojej babki miało obudzić twoją moc. Może miała się ona ujawnić w pewnym wieku albo w pewnym miejscu. Jednak uczucie żalu, strachu i gniewu w noc morderstw było na tyle silne, że zdałeś się na najbardziej pierwotny instynkt, żeby przeżyć. I to obudziło twój dar. – Odchyliła się na krześle i spojrzała na Trisa. – Co teraz pamiętasz?

Tris zastanawiał się przez chwilę, wpatrując się w filiżankę herbaty.

– Dużo – powiedział cicho. – Jest tak, jakby ktoś otworzył drzwi do pokoju w mojej głowie, o którego istnieniu przedtem nie wiedziałem.

Siostra pokiwała głową.

– Twoja babka wiele od ciebie wymagała. Z tego, co mówiłeś, osiągnąłeś poziom ucznia piątego roku. To solidne podstawy.

– Ale Arontala jest prawdziwym magiem! A Obsydianowy Król był największym magiem swoich czasów. Jak mogę mieć nadzieję na pokonanie ich?

Taru zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Wraz z mistrzostwem przychodzi arogancja. To, że będą cię lekceważyć, działa na twoją korzyść. Masz wielki dar – powiedziała – ale nie jestem jeszcze pewna, czy potrafisz panować nad swoją mocą. A to oznacza, że może ci zostać wydartą i użyta przeciwko tobie albo...

– Albo co? Czy może być coś jeszcze gorszego?

– Albo może przejąć władzę, tak jak to stało się w lesie, i zniszczyć zarówno ciebie, jak i wszystko wokół. – Zamilkła. – Przede wszystkim musimy cię przygotować do odzyskania miecza twojej babki, którego strzeże tutaj w katakumbach Biblioteki ducha króla Argusa.

– Nie rozumiem – powiedział Tris. – Kim jest król Argus? I dlaczego mam odebrać mu miecz, żeby pokonać Obsydianowego Króla?

Taru i Maire wymieniły spojrzenia.

– Argus był królem Księstwa w czasie Wojen Magów. Walczył u boku twojej babki przeciwko Obsydianowemu Królowi.

– Był przyjacielem mojej babki?

Taru zmarszczyła brwi.

– Raczej sprzymierzeńcem. Argus był lojalny jedynie wobec Księstwa. Potrafił być bezlitosnym wrogiem. Nikomu tak naprawdę nie ufał, może poza Bava K'aa. Ale jedno nie podlegało wątpliwości – był nieprzejednanym wrogiem Obsydianowego Króla. W ostatnich, najmroczniejszych dniach Wojen Magów, kiedy wszystko wydawało się stracone, Argus złożył przysięgę Paktu Istry, oddając swoje życie w zamian za życie Obsydianowego Króla, i Pani spełniła jego życzenie. Argus i Bava K'aa walczyli mieczem zwanym Pogromcą Magów, który został obdarzony ogromną mocą, aby zadać śmiertelny cios Obsydianowemu Królowi. –

Zamilkła na chwilę. – Niektóre członkinie Rady uważają, że nawet gdybyś był w pełni wyszkolonym magiem, to i tak nie udałoby ci się odnieść zwycięstwa bez Pogromcy Magów.

Dlatego musimy podjąć ryzyko odzyskania go.

– Ryzyko?

Taru spojrzała mu spokojnie w oczy.

– Moc Pogromcy Magów była tak wielka, że Bava K'aa i Argus uznali, iż musi on być pilnie strzeżony. Niektórzy twierdzili nawet, że powinien zostać zniszczony, lecz Bava K'aa

chyba obawiała się, iż pewnego dnia będziemy musieli stawić czoła kolejnemu zagrożeniu.

Dlatego też Argus, który sam był Przywoływaczem Dusz – choć dysponował mniejszą mocą niż

Bava K'aa – zgodził się strzec Pogromcy Magów w krypcie pod tym budynkiem.

Wzięła głęboki oddech.

– Żeby odzyskać miecz, trzeba stoczyć z nim walkę. Wielu próbowało. I wielu nie powróciło. Klęska oznacza dołączenie do stojącego na straży Argusa. Jego duch jest związany z tym miejscem potężną magią, zginął bowiem niecały dzień drogi od tych murów, pod Mostem Szubieniczników.

– Mamy czas tylko do miesiąca Głogu.

Taru potrząsnęła głową.

– Jeszcze mniej. Musisz dotrzeć do stolicy Księstwa, zanim spadną śniegi, kiedy można tam kupić najlepszych żołnierzy. Jesteśmy też za blisko margolańskiej granicy, abys mógł tu pozostać.

– Czy Jared naprawdę może dotrzeć do nas tutaj, do Biblioteki? Czyż nie jest ona chroniona zaklęciami?

Siostra skinęła głową.

– W obrębie tych murów nic ci nie grozi ze strony jego wojska. Ale nie możemy pozwolić na to, żeby odciął cię od stolicy Księstwa, a z każdym mijającym dniem jest to coraz bardziej prawdopodobne. Mamy niewiele czasu.

Rozdział dwudziesty siódmy

Następnego ranka Kiara weszła do sali ćwiczeń z bronią. Poranne światło dopiero zaczęło wypełniać obszerne pomieszczenie. Jae przycupnął na stojaku na broń, a dziewczyna zaczęła się rozciągać, początkowo powoli, a potem wykonując długie kroki i wysokie kopniaki. *Miło jest robić coś, co się dobrze zna*, pomyślała. Wykonała obrót i wygięcie w kade pierwszego stopnia,

a potem przeszła do trudniejszych elementów; bardziej złożonych i potencjalnie zabójczych.

Nagle dostrzegła Vahaniana stojącego w milczeniu pod ścianą i przyglądającego się jej.

– Dobra jesteś – przyznał szczerze. – Masz ochotę spróbować z prawdziwym przeciwnikiem?

– Miecze czy tylko krótkie ostrza?

Vahanian uniósł brew, jakby nie spodziewał się takiego wyzwania.

– Krótkie ostrza, jeśli myślisz, że dasz radę. Uliczne reguły.

– Proszę bardzo – powiedziała. Wzięła w obie ręce noże, wyprostowała się i stanęła naprzeciwko niego. Wschodzące za oknami słońce utworzyło szachownicę światła i cienia na drewnianej podłodze sali. Zaczęli krążyć wokół siebie. Kiara przyglądała się pracy nóg Vahaniana i jego postawie. *Wyszkolony we Wschodniej Marchii, pomyślała, jak Darry i matka. To powinna być niezła walka.*

Pierwsza rzuciła się do ataku, a Vahanian sparował go własnym ostrzem, zmuszając ją do cofnięcia się. Potem obrócił się i natarł. Ona jednak odchyliła się z gracją. Unikając jego cięcia i wykorzystując impet, żeby zająć go od tyłu i drasnąć w ramię.

– Przestań – warknęła, gdy on nadal krążył.

– Co mam przestać?

– Przestań traktować mnie ulgowo.

W odpowiedzi najemnik zaatakował i tym razem jego ostrze przecięło materiał jej rękawa, pozostawiając małe skaleczenie. Jae zaskrzeczał ze swojego stojaka, ale się nie wtrącał, a dwójka walczących nadal krążyła wokół siebie, parując kolejne pchnięcia. Zgrzyt i szczęk stalowych ostrzy odbijał się echem w pustej sali. Kiara wyczuła zmianę w zachowaniu Vahaniana; siła jego uderzeń wskazywała, że uznał ją za godnego przeciwnika.

Nagle zrobił wykop w stylu Wschodniej Marchii, a ona zablokowała go, choć jego siła o

mało co nie pozbawiła jej tchu. Pomyślała, że było warto, kiedy zobaczyła zdumienie na twarzy Vahaniana. Wykorzystała impet jego ataku, żeby się obrócić i wymierzyć mu kopniaka, tak że przejechała mu butem po uchu. Zobaczyła błysk w jego oku mówiący, że walka dopiero się zaczęła. Nie zwracała uwagi na innych, którzy weszli do sali i przyglądali się walce w milczeniu, stojąc pod ścianami. Vahanian znowu kopnął, a ona podcięła mu nogę, wykorzystując impet jego kopniaka przeciwko niemu. Mężczyzna upadł, zahaczając jednocześnie o jej nogi, i Kiara zwała się wraz z nim. Uderzenie serca później przyłożył jej czubek noża do gardła.

– Poddajesz się?

I w tej samej chwili poczuł, że jej nóż oparł się o jego mostek.

– Remis.

W kącikach jego ust pojawił się uśmiezek wyrażający niechętnie uznanie i Vahanian pomógł jej się podnieść. Obydwoje wyglądali na nieco skrępowanych oklaskami, jakimi powitał ich Tris i pozostali czekający na poranne ćwiczenia.

Vahanian pochylił się i oparł ręce na udach, żeby złapać oddech, a Kiara zauważyła z zadowoleniem, że mężczyzna jest spocony.

– Dobra jesteś – przyznał najemnik. – Cholernie dobra. Gdzie się tego nauczyłaś?

Zdyszana Kiara odgarnęła przedramieniem kosmyk włosów z twarzy i uświadomiła sobie, że krwawi.

– Mój nauczyciel walki pochodził ze Wschodniej Marchii. Wyjechał stamtąd w czasie

Niepokojów. Moja matka także urodziła się i wychowała we Wschodniej Marchii. W Isencrofcie każdy musi odsłużyć dwa lata w wojsku, nawet królewskie dziecko.

Vahanian zauważył płytkie draśnięcie na jej przedramieniu i poszedł po kawałek szmatki i odrobinę balsamu. Cięcie, jakie mu zadała, także krwawiło przez koszulę, ale zdawał się tym nie przejmować.

– Carina może to wyleczyć, jeśli zechcesz – powiedział z drwiącym uśmiechem. –

Zapewne nie będziesz musiała wysłuchiwać wykładu tak jak ja, kiedy potrzebuję uzdrowienia.

Pozostali stłoczyli się wokół nich, rzucając pełne podziwu uwagi, dopóki Vahanian nie uniósł ręki, prosząc o ciszę.

– Teraz, kiedy mamy salę do ćwiczeń z bronią z prawdziwego zdarzenia, a nie jakąś nędzną polankę w lesie – powiedział – czas wziąć się do porządnej nauki. Będziemy również ćwiczyć z łukiem i kuszą. Byłoby dobrze, gdyby nasz bard – skinął głową w kierunku Carroway’a – oświecił nas w kwestii rzucania nożami. Ja będę w dalszym ciągu pracował nad waszymi szermierczymi umiejętnościami. A ponieważ wyraziliście zainteresowanie pracą nóg, to może Kiara pomoże mi ćwiczyć z tymi, którzy myślą, że sobie z tym poradzą. – Wyglądził swoją tunikę. – Żeby się z tym wszystkim uporać, będziemy musieli trenować dwa razy więcej – stwierdził, a Kiara zaśmiała się cicho, kiedy zobaczyła reakcję pozostałych. – Jeśli zamierzacie rozpętać wojnę, to musicie ćwiczyć ile się da.

Świecę później Kiara zanurzała kubek w wiadrze stojącym przy oknie, kiedy podszedł do niej Tris.

– Jestem pod wrażeniem – powiedział.

Spojrzała na jego twarz, starając się w niej doszukać sarkazmu, lecz wcale go nie dostrzegła. Zawstydzona, poczuła, jak rumieniec wypływa jej na policzki.

– Dziękuję – wyszeptała. – To jedna z zalet mojej Podróży. – Odwróciła wzrok. – Tutaj mogę wykorzystać swoje wyszkolenie. Wśród dam dworu nie było ono potrzebne.

– Nie należy się przejmować damami dworu – odparł spokojnie Tris. – Przynajmniej ja tak zawsze uważałem.

Spojrzenie mężczyzny było poważne, a w jego zachowaniu nie było niczego, co wskazywałoby, że jej umiejętności budzą w nim niesmak. Podała mu kubek wody.

– Myślałam, że tylko ja nie przepadam na dworskim życiem.

– Wy dwoje, skończyliście już pić? – przerwał im Vahanian, przywołując ich z powrotem.

Tris uśmiechnął się szelmowsko i niespiesznie ruszył w kierunku grupy, a Kiara szła krok za nim, pogrążona w myślach.

Po ćwiczeniach z bronią Tris zobaczył, że Siostra Taru czeka na niego. Towarzyszył jej Opiekun Devin, mężczyzna w średnim wieku z krótko przystrzyżonymi białymi włosami, tonsurą i brodą przyprószoną siwizną. Jego ciemnobrązowe oczy były niepokojąco przenikliwe, a ciemna karnacja wskazywała na nargijskie lub trevathijskie pochodzenie. Tris poszedł z nimi do gabinetu i z wdzięcznością przyjął rozstawiony na stole poranny posiłek składający się z chleba, sera i suszonych owoców. Taru naląła mu do filiżanki gorącej herbaty z czajnika nad paleniskiem. Ogień ledwie odpędzał jesienny chłód.

– Opowiedziałam Devinowi, czego się wczoraj dowiedziałyśmy – powiedziała Taru. – Ma do ciebie wiele pytań.

Tris usiadł przy kominku.

– A ja chcę zrozumieć ten... dar. I chciałbym nie padać plackiem za każdym razem, gdy posłużę się potężną magią.

Devin się zaśmiał.

– Obawiam się, że taka jest cena magii. Jednak wraz z ćwiczeniami i wzrostem umiejętności przychodzi odporność. A teraz opowiedz mi o duchach z Shekerishet i twojej podróży na północ.

Minęła świeca, zanim Tris wszystko opowiedział. Opiekun kazał mu wracać do spotkań z duchami po drodze z Margolanu, wypytywał go, jak się czuł, posługując się swoją mocą, i co konkretnie robił w każdej sytuacji. Szczególnie zainteresowało go spotkanie z tym złym duchem, który opętał Carinę, i z duchami z Ruune Videya. Wreszcie, kiedy Tris nie miał już nic więcej do

powiedzenia, Devin zamknął oczy. Po chwili spojrzął na Taru.

– On jest rzeczywiście dziedzicem Bava K’aa. Mag świata duchów dysponujący mniejszą mocą nie przeżyłby tych prób.

– Ale byłem nieco zbyt blisko krawędzi – odparł Tris. – Nawet teraz wyczuwam duchy, które chcą mojego wstawiennictwa albo sprawiedliwości lub po prostu wolności, żeby mogły dokonać przejścia. Co mam zrobić, żeby nie doprowadziły mnie do obłądu?

Devin przez chwilę namyślał się w milczeniu.

– To jeden z ciężarów bycia Przywoływaczem Dusz – rzekł wreszcie. – Jesteś pośrednikiem między żywymi i umarłymi. Kiedy żywi dowiedzą się o twojej mocy, też będą cię szukać, mając nadzieję otrzymać ostatnie błogosławieństwo – albo przebaczenie – od umarłych, pragnąc uspokoić rozgniewane duchy albo wypędzić złe duchy. Bycie Władcą Umarłych i Nieumarłych to nie tylko tytuł. Wiążą się z tym wszystkie obowiązki w krainie cieni, jakie żywy król ma w królestwie światła. Konieczne jest zachowanie równowagi między tymi krainami.

– Jeśli to jest takie ważne, to dlaczego tak mało jest magów świata duchów?

– Magowie rodzą się z woli Pani – odparła Taru. – Może w pewnych okresach

Przywoływaczy Dusz jest więcej. Za naszych czasów częściej spotykanym darem jest magia Ziemi i Wody, zaś magia Ognia – na nasze szczęście – występuje rzadziej.

– Arontala jest magiem Ognistego Klanu – wymruczał Tris.

– Arontala chce zostać Przywoływaczem Dusz – rzekł Devin. – Wierzy, że kiedy uwolni Obsydianowego Króla i pozwoli jego duchowi korzystać ze swojego ciała, zdobędzie magiczne talenty tego ducha. A to doprowadzi do nieszczęścia.

Taru pokiwała głową.

– Możemy ci pomóc wyrobić w sobie wytrzymałość potrzebną do posługiwania się potężną magią. Będziesz musiał sporo się napracować.

– Jestem gotów.

– Przyniosę ci teksty o magach świata duchów – obiecał Devin. – Tu w Bibliotece są dwa dzienniki Obsydianowego Króla. Trzeci zaginął wiele lat temu. Mądrze poznać swojego wroga.

– Magia duchów to najrzadszy z darów – ciągnął dalej – i najbardziej niebezpieczny. Tylko mag świata duchów, czarnoksiężnik, może zatrzeć granicę między życiem a śmiercią. To jest dziedzina samej Bogini. Tylko kilka osób w każdym pokoleniu otrzymuje ten dar, jednak bez pośrednika pomiędzy żywymi i umarłymi jesteśmy niepełni. Wielu magów świata duchów zginęło, gdyż pokusa, jaką stwarza ich dar, jest najsilniejsza.

– Twoja moc przyciąga umarłych i nieumarłych jak ómy do światła – wtrąciła Taru. –

Większość ludzi dokonuje przejścia do królestwa Pani bez żadnego pośrednika. Pozostają jednak ci, których zatrzymuje poczucie winy – własnej lub osób żyjących – ci, którzy nie dokończyli tego, co rozpoczęli, oraz ci, którzy nie zaspokoili pragnienia zemsty. To właśnie te dusze cię odnajdują, niektóre w uczciwych zamiarach, a inne w mniej uczciwych. Wiele tajemnic magów świata duchów umarło wraz z Bava K'aa i Obsydianowym Królem. Nigdy nie zakładaj, że intencje duchów są takie, jakimi się wydają.

– Nie rozumiem.

Taru wzruszyła ramionami.

– Duchy widzą o wiele więcej, niż żywi są w stanie sobie wyobrazić. Potrafią wyczuć słabości żywych i wykorzystać je przeciwko nim.

Tris zamknął oczy. Obraz Kait z jego snu pojawił się nieproszony.

– Zrobiłbym wszystko, żeby uratować duszę mojej siostry – wyszeptał.

– Zatem już po tobie – odparł Devin. – Czy zdołasz bowiem unieszkodliwić Arontalę, który więzi jej ducha?

Tris milczał, wpatrując się w mrok.

– Aby pokonać Arontalę, musisz być skłonny zrezygnować ze wszystkiego, co ci najdroższe. Z twoich towarzyszy, ducha twojej siostry, tych, których kochasz najbardziej. Twoja babka tego nie potrafiła i dlatego Obsydianowy Król może znowu powstać, by nam zagrozić.

– Czemu nie zniszczyła takiego zła?

– Obsydianowy Król nie zawsze był zły – odparła Taru. – Niegdyś był dobrym człowiekiem. Niektórzy mówią, że zniecierpliwiło go postępowanie Pani i rozgoryczyła przypadkowość losu. Bava K’aa uważała, że opętał go pradawny zły duch. Zaczął brać w swoje ręce sprawy życia i śmierci, karać i wybaczać. Zaczął odgrywać rolę boga. I ta moc skusiła jego duszę.

– Jeśli babka go знаła, czemu go nie powstrzymała?

– Próbowala wiele razy. Widzisz, zanim została czarodziejką, a on czarodziejem, kochali się wzajemnie. Ona dostrzegała narastającą w nim gorycz i pragnienie władzy, ale była ostatnią osobą, która uwierzyła, że naprawdę jest zły, a jej lojalność omal nie kosztowała tego królestwa wolności. Twoi dziadkowie, niegdyś najbliżsi przyjaciele Obsydianowego Króla, byli zmuszeni go uwięzić. Bava K’aa nie mogła jednak zdobyć się na to, żeby go całkowicie zniszczyć.

– Twoja droga najeżona jest niebezpieczeństwami – ciągnęła Taru. – Nie wolno ci nigdy zatrzymać duszy, która chce odejść. Nie wolno nigdy ożywić trupa. I nie wolno nigdy zmuszać ducha do wypełniania twojej woli. Nawet jeśli wydaje ci się, że uczynienie tego jest największym dobrem. Zapamiętaj to, inaczej wszystko stracone.

– Pomogę ci lepiej się bronić przy użyciu magii – mówiła dalej Siostra Taru. – Wkrótce będziesz musiał wyruszyć do stolicy Księstwa, gdzie znajduje się cytadela Zgromadzenia Sióstr. Będziesz mógł tam kontynuować naukę.

Tris spojrzał jej w oczy; wiedział, że kobieta rozumie, o jaką stawkę toczy się gra.

– Zrobię wszystko, co będzie trzeba, aby wyzwolić Margolan – przysiągł.

– Wierzę w to, Martrisie Drayke. Módlmy się do Pani, aby to wystarczyło.

Rozdział dwudziesty ósmy

Wewnątrz grubych kamiennych murów Biblioteki nie było ani poranków, ani wieczorów.

Wędrowcom pogrążonym w swoich studiach, wyposażonym w pergamin, atrament i pióra trzeba było ciągle przypominać – zazwyczaj robiła to Berry – o nadchodzącej porze posiłków.

Vahanian spędzał dużo czasu w sali do ćwiczeń z bronią. W znalezionej za Biblioteką niewielkiej kuźni rozpałił palenisko i naprawił ich broń. Coraz krótsze późnojesienne dni upływały mu na naprawianiu zbroi i siodeł, podkuwaniu koni, ćwiczeniu wierzchowców i utrzymywaniu broni w gotowości. Pozostali w ogóle nie opuszczaliby Biblioteki, gdyby Vahanian nie upierał się przy tym, żeby naukę szermierki uzupełnić lekcjami łucznictwa. Kiedy poranna lekcja dobiegała końca, badacze natychmiast znikali w Bibliotece i siedzieli tam aż do czasu wieczornej sesji ćwiczeń.

Tris natomiast szedł na lekcję z Taru, Devinem i Maire.

Po wieczornej nauce szermierki i kolacji zagłębiał się w zakurzonych tomach, z którymi miał się zapoznać. Znajdował cichy kąt w Bibliotece i zasiadał tam z woreczkiem sera i chlebem. Jednak mimo że sporo już przeczytał, nigdzie nie znalazł wzmianki o „Łapaczu Dusz”.

Tris zauważył ostatnio, że Kiara trzyma się od niego z daleka. Przebywając ciągle z Cariną, nie dawała mu okazji do zapytania o przyczyny tej nagłej zmiany jej zachowania. A ponieważ brak rozmów z nią przeszkadzał mu bardziej, niż sądził, postanowił zapytać ją o to przy pierwszej okazji.

A ta nadarzyła się szybciej, niż się spodziewał. Przygotowując się do lekcji szermierki o świcie, Tris wyszedł z Biblioteki, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Chłodny, rześki poranek otrzeźwił go – była to przyjemna odmiana po wdychaniu stęchlizny starych skórzanych woluminów i kurzu Biblioteki.

W ogrodzie zobaczył Kiare. Siedziała sama na małej ławeczce, owinięta płaszczem, pogrążona w myślach.

- Witaj.
- Och! Witaj, Tris – odparła. – Nie słyszałam, jak nadchodzisz.
- Czy Carina znalazła już sposób na wyleczenie twojego ojca? – spytał, siadając na drugim końcu ławki.

Kiara potrząsnęła głową, a jej kasztanowy warkocz wymknął się spod kaptura i opadł na ramię.

- Nie sędzę. Jeszcze nie. – Odwróciła wzrok.
- Carroway mówił mi, że szukasz innych sposobów, aby pomóc twojemu królestwu. Dziewczyna odgarnęła z twarzy kosmyk włosów.
- Od dłuższego czasu sytuacja w Isencrofcie nie wygląda dobrze. Jeśli nie uda nam się wkrótce temu zaradzić, królestwo nie przetrwa.
- Mikhail zamierza poprosić doradców mojego wuja, aby udzielili nam wszelkiej możliwej pomocy – rzekł Tris. – Nie mogę obiecać, że pożyję wystarczająco długo, aby przejąć tron, ale jeśli mi się uda, to Margolan nie będzie stanowił żadnego zagrożenia.

Zobaczył łzy wzbierające w jej oczach, po czym Kiara odwróciła wzrok.

- Dziękuję – powiedziała cicho.
- Brakowało mi rozmów z tobą – stwierdził po chwili milczenia Tris,
- Miałam tak wiele spraw na głowie.
- Myślę, że nie o to chodzi. Czy powiedziałem coś, co cię uraziło?
- Nie, absolutnie nie.
- Zatem co się stało?

Kiara spuściła wzrok i milczała tak długo, że Tris obawiał się, iż już się nie odezwie.

– Czy pamiętasz, co ci powiedziałam, kiedy się spotkaliśmy? – przemówiła wreszcie. – O

tym, dlaczego opuściłam Isencroft?

Księżę skinął głową.

– Z powodu twojej Podróży.

– I czegoś jeszcze – dodała.

– Uciekasz przed zaaranżowanym małżeństwem.

– Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się z kim?

Och tak, pomyślał. I to wiele razy. Zaskoczyło go to, jak bardzo polubił towarzystwo

Kiary. W Margolanie miał duży wybór przyjaciółek, ale przekonał się, że niewiele z nich umiało rozmawiać o czymś interesującym, a jeszcze mniej potrafiło poprowadzić więcej niż jedną ciekawą konwersację. Tris trzymał się zatem na uboczu, znudzony kobiecym towarzystwem i zdegustowany postępowaniem Jareda, co wywoływało konsternację bardziej ambitnych ojców na królewskim dworze. Kiara była inna, dlatego jej odsunięcie się sprawiło mu większą przykrość, niż sądził.

– Jakie to ma znaczenie? – spytał. – Nie jesteś w Isencrofcie.

– Muszę tam wrócić – powiedziała cicho.

– Kochasz go?

– Nie! I nigdy bym nie mogła pokochać.

– Czy twój ojciec jest takim człowiekiem, że zmusiłby cię do zawarcia małżeństwa wbrew twojej woli?

Kiara potrząsnęła głową.

– Ojciec nie, ale okoliczności mogą mnie zmusić. Jeśli ojciec umrze, będziemy narażeni na niebezpieczeństwo. Jeszcze jedno słabe zbioru i nie będę miała wyboru. Zostanę zmuszona do zawarcia sojuszu, żeby nakarmić mój lud.

– Czy on jest po prostu kimś obcym, czy też naprawdę złym człowiekiem? – spytał delikatnie Tris. Szarówka sprawiała, że twarz Kiary tonęła w półmroku. Jednak nawet gruby płaszcz nie mógł całkowicie ukryć siły jej ramion ani gibkości ciała. Niezależność Kiary intrygowała go, tak jak jej umiejętności szermiercze. Był boleśnie świadom, że ta podróż to nie pora na oddawanie się uczuciom, wzięwszy pod uwagę jego małe szanse na przeżycie, żeby ukończyć swoją misję. Ale zaprzeczanie temu, że dał się porwać namiętności, również byłoby bez sensu, choć mógł jedynie mieć nadzieję na przyjaźń Kiary. Dziewczyna tymczasem przyglądała mu się przez chwilę, a Tris widział w jej spojrzeniu targające nią sprzeczne uczucia.

– Jestem zaręczona z Jaredem Drayke z Margolanu.

Tris poczuł siłę tych słów, jakby ktoś go uderzył.

– Nie.

Kiara odwróciła wzrok.

– To stary pakt, zawarty dawno temu. Ojciec chciał zwiększyć bezpieczeństwo Isencroftu, lubił też twojego ojca i ufał mu. Zjednoczenie dwóch królestw wydawało się logicznym posunięciem, więc zawarli układ, że poślubię dziedzica tronu Margolanu.

– Nie możesz wyjść za Jareda. On nigdy nie uszanuje tego paktu. Rozedrze Isencroft na strzępy, żeby wyżywić Margolan, a resztę pozostawi na pastwę bandytów.

Jednak obraz, jaki przyszedł mu do głowy, nie miał nic wspólnego z królami i traktatami.

Przypomniał mu się Jared w noc przewrotu i gwałt, któremu on sam zapobiegł. A kiedy jego wyobraźnia podsunęła mu twarz Kiary zamiast twarzy przerażonej służebnej, krew ścięła się lodem w jego żyłach.

– Myślisz, że tego nie wiem?! – krzyknęła Kiara. – Już dwukrotnie wyprowadziłam w pole jego ambasadora, I jeśli miałam jakiegokolwiek wątpliwości, to teraz już ich nie mam, zwłaszcza po tym, jak przejechałam przez Margolan.

– Powiedz mi, proszę, co widziałas.

Tris czuł, jak wzbiera w nim gniew, gdy Kiara powtarzała opowieści uchodźców i opisywała zniszczone wioski, wymordowanych mieszkańców i akty przemocy gwardzistów nad bezbronną ludnością. Kiedy skończyła, siedzieli w milczeniu, przytłoczeni ciężarem tych wydarzeń.

– Wiesz, że będę musiał go zabić – powiedział wreszcie Tris.

– Wiem.

Wziął ją za rękę.

– Posłuchaj mnie. Jeśli przeżyję i będę rządzić Margolanem, to przysięgam, że nigdy nie będę niczego wymuszać na Isencrofcie. Daję ci moje słowo.

– Dziękuję – powiedziała tak cicho, że jej słowa niemal porwał wiatr. Uścisnęła jego dłoń, po czym się odsunęła.

– Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy.

Znowu milczeli przez kilka chwil.

– Dokąd się udasz, kiedy nadejdzie czas, żeby stąd wyjechać? – spytała.

Tris odwrócił wzrok i spojrzał na zimny horyzont, gdzie znikął blask jutrzeńki.

– Najpierw do stolicy Księstwa. Wuj Harrol ma tam zgromadzone fundusze. Będą nam potrzebne, żeby zapłacić Vahanianowi. Jest jeszcze Berry. Mam nadzieję, że Carina wraz z uzdrowicielami znajdzie dla niej bezpieczne miejsce. A potem zbierzemy armię i zaplanujemy atak na Jareda.

– Najpierw jednak będziesz musiał zabić jego maga, prawda?

– Nie wiem, czy będę w stanie – przyznał Tris. – Ale przysięgam przed Panią na dusze mojej rodziny, że tak uczynię, i zrobię to.

Uśmiech Kiary był słodko-gorzki.

– Zatem znajdziesz jakiś sposób.

– Trudne zadanie dla księcia, który nigdy nie chciał być królem, co? Ale pewnie mają rację ci, którzy mówią, że to Pani wybiera ścieżkę, którą podążamy.

– Rzeczywiście wybiera – zgodziła się Kiara i opowiedziała mu o wizji, jaką miała na polu bitwy. – I od tego czasu – przyznała cicho – wiedziałam, że Ona ma dla mnie zadanie do wykonania. – Wzruszyła ramionami. – Tylko nie wiedziałam jakie. Może dlatego wysłała mnie w Podróż.

Kroki na suchych liściach przstraszyły ich oboje. Kiedy się odwrócili, zobaczyli Vahaniana.

– Tu jesteście – powiedział, opierając ręce na biodrach. – Wywróciliśmy Bibliotekę do góry nogami, szukając was dwoje. Czas na lekcję.

Kiedy lekcja dobiegła końca, Tris skierował się do Biblioteki, aby powrócić do swoich studiów. Bolące mięśnie świadczyły o tym, że Vahanian zafundował mu szczególnie wyczerpującą szermierczą sesję. Wewnątrz powitał go zapach gulaszu i pieczonego chleba – a więc Royster już zajął się przygotowaniami do kolacji. Tris wziął talerz chleba, owoców, suszonego mięsa i sera oraz dzbanek z wodą i wspiał się po schodach wieży na lekcje z Devinem i Taru. Pracowali nadal, kiedy kilka godzin później Berry przydreptała na górę, żeby im przypomnieć o kolacji i wieczornych ćwiczeniach z bronią.

Kiedy skończyli zajęcia z Vahanianem i udali się do jadalni, Royster i reszta już się tam zebrali. Przyzwyczaili się do tego, że niewidzialne ręce zastawiały stół do kolacji, Kessen bowiem pomagał przy posiłkach. Royster przez cały czas prowadził żartobliwą konwersację z duchem Kessena, co skończyło się potłuczeniem kielicha, kiedy jedna z ciętych ripost bibliotekarza rozsierdziła ducha ponad miarę.

– Szkoda, że nie widzę Kessena cały czas – powiedziała Berry, sięgając po kolejną pajdę

ciepłego chleba. – Nigdy nie spotkałam żadnych duchów, poza tymi paskudnymi zjawami, kiedy byliśmy z handlarzami niewolników. – Odgryzła duży kęs chleba i przeżuwała go łapczywie.

– Royster – spytał Mikhail – czy są jeszcze jakieś księgi o tych bestiach, których nie znalazłem? Wygląda na to, że nie sposób ich zniszczyć, poza spaleniem całego świata.

Royster wypił ostatni łyk piwa.

– Cóż – powiedział, oblizując wargi – jedynym rozwiązaniem jest zniszczenie maga, który je stworzył. Ostatnim razem, dziesięć lat temu, było tak samo.

– Dziesięć lat temu? – Vahanian pochylił się w jego stronę z nagłym zainteresowaniem. – Gdzie?

Royster szarpał brodę z namysłem.

– Na północy, koło granicy między Isencroftem a Margolanem, na skraju wielkiego morza. Grasowały tam straszne stwory.

– Co o tym wiesz? – naciskał Vahanian.

Bibliotekarz przez dłuższą chwilę wpatrywał się z namysłem w sufit.

– Nie myślałem o tym od lat. Tu, w Bibliotece, trochę mi się wszystko mąci. – Zmarszczył brwi. – Ach tak. – Rozchmurzył się. – Był tam mroczny mag, który sam siebie nazywał Lustari, czyli „Groźny”. To on stworzył te bestie po to, żeby trzymać w szachu swoich rywali. Uczynił wiele złego, dopóki nie został zniszczony.

– Przez Siostry?

Royster potrząsnął głową.

– Nie, to było dziwne – przypomniał sobie. – Fallon powiedziała, że Siostry nie znalazły sposobu na jego zniszczenie. Ale ktoś inny znalazł. Pewnie nie docenił jednego ze swoich rywali.

– Royster, czy kiedykolwiek widziałeś coś takiego? – przerwał im Tris, przesuając po

stole w kierunku starego bibliotekarza matowy metalowy talizman.

– Dlaczego zabrałeś tę przeklętą rzecz ze sobą? – warknął najemnik.

– Pewien szaleniec dał mi go w spalonej wiosce – wyjaśnił Roysterowi Tris. I opowiedział mu całą tę historię, a Vahanian słuchał, zaciskając usta i pięści.

– To coś przyciąga te potwory – powiedział wreszcie chrapliwym głosem. – Powinieneś był to zostawić przy tym szaleńcu.

Tris potrząsnął głową.

– On niszczył te bestie, a nie przyciągał. – Spojrzał na Mikhaila i Roystera. – Czy byłbyś na tyle potężny, żeby umożliwić mi przejście granicy z Dhasson?

– Nic nie zniszczy tych stworów – odparował Vahanian. – Nic oprócz ognia.

– Tris ma rację, Jonmarc – odparł cicho Royster. – Zaraz ci pokażę.

Siwowłosa mężczyzna zerwał się z krzesła i zniknął wśród regałów, po czym wyłonił się kilka minut później z zakurzonym oprawnym w skórę woluminem.

– Popatrzcie na to – powiedział, kiedy stłoczyli się wokół niego, wodząc sękatym palcem po kartach pożółkłego pergaminu i wersach starannie wykaligrafowanego manuskryptu napisanego w języku, którego Tris nie znał.

– To stara księga ze Wschodniej Marchii – wyjaśnił, zanim padło pytanie – z czasów przed Obsydianowym Królem. Opowiada ze szczegółami o wzlocie i upadku mrocznego maga oraz wszystkich szkodach, jakie wyrządził. Ale popatrzcie tutaj. – Pokazał palcem ilustrację i przyłożył do niej metalowy przedmiot – amulet idealnie pasował do rysunku.

– Widzicie? – I zaczął czytać tekst, jednocześnie go tłumacząc. – „Jednak kiedy doszło do ostatecznej bitwy, mag wykonał metalowy talizman mający moc chronienia tego, kto go nosił, przed bestiami zrodzonymi z magii. Król wziął ten talizman i żadna z bestii nie wyrządziła mu krzywdy. Król zaatakował bestie ogniem i wszystkie zostały zniszczone”. – Bibliotekarz

podniósł wzrok. – Proszę bardzo – powiedział, wzruszając ramionami. – Nie przyzywa ich.

Chroni osobę, która go nosi. To bardzo przydatny przedmiot. – Zastanawiał się przez chwilę. –

Ale jeśli chodzi o przedostanie się przez granicę, to nie wiem, czy zawierzyłbym mojemu szczęściu, jeśli zakłęcie Arontali przywołało setki tych bestii. Amulety mają swoje ograniczenia.

A poza tym reszta twojej grupy nie miałaby takiej ochrony. Ja bym nie ryzykował.

– Muszę zająć się końmi – wymruczał Vahanian i skinąwszy pozostałym głową, wyszedł z pomieszczenia.

Royster patrzył chwilę za nim.

– Dziwne – powiedział.

– Wiesz, jacy są ci wojacy – rzucił Tris, próbując ukryć zaniepokojenie. – Nie wiem, czy kiedykolwiek poczują się swojsko w obecności magii.

– Skoro już porównujemy biżuterię, to czy kiedykolwiek widziałeś coś takiego? – spytała

Kiara i wyjęła z sakiewki ukrytej pod tuniką zaczarowany krążek z gliny. Royster wziął delikatnie do ręki ten płaski gliniany owal i obracał go, żeby obejrzeć w świetle. Tris pochylił się do przodu, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Wyczuwał w tym prostym owalu magię, jednak, choć próbował, nie był w stanie odczytać run, które były wyciśnięte na jego powierzchni.

Royster przywołał jednego z Opiekunów – korpulentną kobietę w średnim wieku z krótkimi ciemnymi włosami. Uczona podeszła pospiesznie i wymienili z bibliotekarzem podekscytowane spojrzenia.

– To jest Ystra, która specjalizuje się w talizmanach – przedstawił ją.

– Rzeczywiście cieszysz się przychylnością Zgromadzenia Sióstr – powiedziała z podziwem Ystra. – Ja nigdy nie widziałam takiego talizmanu, tylko na rysunkach w książkach.

– Co on robi? – spytała Berry, przepychając się do przodu.

– Siostra powiedziała mi, że może przenosić ludzi z jednego miejsca w inne – wyjaśniła

Kiara, starannie chowając go z powrotem do sakiewki.

– Może przenosić ich za pomocą magii – potwierdziła Ystra.

– Taka magia wiele kosztuje maga, który rzuca to zaklęcie – dodał bibliotekarz.

– Siostry niechętnie dają tak potężny przedmiot. Użyj go tylko wówczas, gdy żadna inna moc nie pomoże. Potężna magia ma swoje konsekwencje – ostrzegła ją Ystra.

Kiedy wszyscy już się rozeszli, Tris ruszył w stronę stajni, żeby odnaleźć Vahaniana.

Znalazł najemnika ćwiczącego kopniaki na beli siana; mężczyzna podskakiwał i wykonywał obroty tak długo, że z jego koszuli przesiąkniętej potem zaczęła się unosić w zimnym nocnym powietrzu para. Tris stał w milczeniu przez kilka chwil, aż Vahanian wreszcie przerwał i oparł się o belę siana, żeby złapać oddech.

– Czego chcesz? – spytał.

– Przyszedłem porozmawiać.

– Mam już dość rozmów jak na jedną noc.

– A jeśli mógłbym udowodnić, że Royster ma rację w sprawie tego talizmanu?

– Jak zamierzasz to udowodnić?

– Może powinieneś przestać biczować się za coś, czego nie zrobiłeś.

Te słowa zawisły między nimi na kilka chwil.

– Co proponujesz? – zapytał wreszcie Vahanian.

– Pozwól mi przywołać ducha Shanny – powiedział Tris, patrząc mu stanowczo w oczy. –

Royster ma rację. Twoja wioska znalazła się w środku walki toczonej przez dwóch magów.

Sądzę, że to Arontala był tym, który zabił Lustariego, i dlatego pragnął tego talizmanu. Tyle że Lustari zaatakował, zanim Arontala zdołał przybyć po talizman. A ty zostałeś w to wciągnięty, ale to nie była twoja wina.

Tris nigdy nie widział takiego porażającego gniewu w spojrzeniu, jaki ujrzał teraz w

oczach najemnika.

– Czy jesteś pewien, że możesz tego dokonać? – warknął Vahanian.

– Jestem pewien – odparł. – Podejrzewam, że jest tutaj uwięziona przez twoje poczucie winy. Może mogę uwolnić was oboje.

Vahanian przełknął z trudem ślinę – w jego oczach widać było, że przeżywa wewnętrzną walkę – a potem skinął głową.

– Zrób to, jeśli potrafisz – powiedział cicho. – Ale przysięgam na Mroczną Panią, że jeśli to jest jakaś sztuczka, to wyrwę ci serce.

– To nie jest żadna sztuczka, Jonmarc. Przysięgam.

Tris zamknął oczy i odnalazł jądro swojej magii, a potem pozwolił jej popłynąć wśród wszystkich tych zagubionych i niespokojnych dusz, które snuły się w ukrytych miejscach. Nagle jeden z duchów odpowiedział na jego wołanie. Tris otworzył oczy i zobaczył przed sobą młodą jasnowłosą kobietę, którą można by uznać za ładną, gdyby nie smutek w jej oczach. Jedno spojrzenie na Vahaniana wystarczyło, by mieć pewność, że mu się udało, oniemiały najemnik był bowiem blady jak trup.

– Witaj, Jonmarc – powiedział duch. – Tęskniłam...

– Ja też za tobą tęskniłem – odparł Vahanian zduszonym głosem. – Och, Shanno, tak mi przykro!

Duch zbliżył się o krok.

– Walczyłeś dzielnie, Jonmarc. Byłeś nieustraszony.

– Chciałem umrzeć z tobą.

Duch potrząsnął głową.

– Pani położyła na tobie swoją rękę. To nie był twój czas.

Podpłynęła bliżej, a Vahanian wyciągnął ku niej rękę. Obraz Shanny zrobił to samo i jego

ręka przeszła przez dłoń najemnika.

– Nie jesteś winien tego, co się wydarzyło – powiedziała z przekonaniem. – Nic więcej nie mogłeś zrobić.

– Mogłem dać ten naszyjnik tobie – odparł Vahanian, nie zważając na łzy, które spływały mu po twarzy. – Mogłem cię uratować.

Duch uśmiechnął się smutno.

– Próbowalesz, kochany. A teraz proszę, pozwól mi spocząć w spokoju. Pozwól mi odejść.

Jej obraz zamigotał i przygasł.

– Zostań ze mną – błagał Vahanian łamiącym się głosem.

– Mogę pozostać tylko w twoich wspomnieniach. Proszę, jeśli mnie kochałeś, wybacz sobie i pozwól mi spocząć w spokoju. – Jej obraz rozwiewał się. – Zawsze będę cię kochała – wyszeptała, unosząc rękę na pożegnanie. – Żegnaj.

Vahanian wyszeptał słowa rozstania, lecz głos mu się załamał, gdy duch rozpląnął się i zniknął. Tris wypowiedział cicho słowa rytuału przejścia i przestał wyczuwać obecność ducha.

Wyraźnie poczuł swój powrót do ciała i rozbolała go głowa.

Jeszcze przez chwilę przyglądał się ze współczuciem płaczącemu najemnikowi, a potem pozostawił Vahaniana, by mógł w samotności pograć się w rozpacz, i cicho wysliznął się ze stajni. Posłużył się odrobiną magii, żeby zamknąć wrota na skobel od środka, aby nikt mu nie przeszkadzał.

Ledwie znalazł się na ścieżce prowadzącej do Biblioteki, gdy spotkał Carinę.

– Gdzie byłeś? – spytała. – Kiara i Royster posłali mnie, żebym cię poszukała. Chyba znaleźli coś w jednej z ksiąg. Chodź! – Nagle zmarszczyła brwi. – Jonmarc jest z tobą?

– Jest zajęty w stajni. Wróci za chwilę.

Carina popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Pewnie już widział przedtem taki rodzaj biżuterii?

Tris wziął głęboki oddech i nie chcąc kłamać, skinął głową.

– Jestem zdumiona, że on w ogóle wygrywa w karty, jeśli tak wygląda jego pokerowa twarz – stwierdziła, ale tym razem bez zwykłej zadziorności. – Nie musisz odpowiadać, ale z tej jego reakcji i zachowania w tamtej wiosce wnoszę, że poprzednim razem jego walka z tymi bestiami nie skończyła się powodzeniem.

Tris znowu się zawahał, a potem pokiwał głową.

– Czy sądzisz, że on naprawdę odejdzie, kiedy już dotrzemy do stolicy Księstwa?

Księżę wzruszył ramionami.

– Tak przynajmniej twierdzi. A zawsze dotrzymuje słowa. – Spojrzał na Carinę z lekkim uśmiechem. – Myślałem, że chętnie się od niego uwolnisz.

Tym razem to ona wzruszyła ramionami.

– Dobrze włada mieczem – powiedziała wymijająco. – A poza tym już dwa razy go uzdrawiałam, więc aż boję się pomyśleć, co może sobie zrobić, kiedy będzie sam.

Tris zaśmiał się cicho.

– Masz rację. Ale kiedy dotrzemy do stolicy Księstwa, ty i Kiara wróćcie do Isencroftu.

– Wiem – odpowiedziała. – I choć tęsknię za domem, to wcale mi się do tego nie spieszy.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Kiedy Tris i Carina dotarli na trzecie piętro Biblioteki, zobaczyli podekscytowaną Kiarę i Roystera pochylonych nad ogromną księgą. Pożółkłe strony były zakurzone i kruche, a odczytanie drobnego pisma napisanego starym atramentem wymagało jasnej lampy.

– Tris, musisz to przeczytać! – zawołała rozemocjonowana Kiara, przywołując go.

Pochylił się, wodząc wzrokiem za jej palcem, którym przesuwała po czytanych przez Roystera wersach.

– „Przez trzy dni i trzy noce toczyła się magiczna bitwa między Obsydianowym Królem a czarodziejką Bava K’aa” – czytał. – „Poddaj się! – zażądał Obsydianowy Król – a umrzesz bezbolesną śmiercią”. – „Poddam się dopiero po twojej śmierci – odparła czarodziejka. Sądząc, że jest śmiertelnie ranna, Bava K’aa rzuciła swoje ostatnie, najbardziej potężne zaklęcie – zaklęcie szarej magii, które miało złączyć dusze ich obydwójga. Obsydianowy Król stworzył bowiem zaklętą kulę, która otwierała się na samą Otchłań, aby chwytać i więzić dusze mające potęgować jego moc. Właśnie w tej Otchłani Bava K’aa zamierzała zamknąć Obsydianowego Króla, choćby miała już na zawsze strzec tej kuli”.

– „Kiedy Bava K’aa wymówiła słowa zaklęcia, w ochronnym kręgu między nią a Obsydianowym Królem pojawił się w jaśniejącym blasku obraz Pani. Duch króla został uwięziony w kryształowej kuli, lecz Pani nie pozwoliła duchowi Bava K’aa odejść. Kiedy zamrugaliśmy oczami, blask i Pani zniknęli, a Bava K’aa osunęła się na podłogę. Podnieśliśmy ją i zabraliśmy stamtąd, jako że jej rany, choć ciężkie, nie były śmiertelne. Kulę oddano pod opiekę synów Mrocznej Ostoji, gdzie pozostaje aż do dziś”.

– To jest to – wyszeptał Tris. – Łapacz Dusz.

Kiara spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Łapacz Dusz?

Tris opowiedział jej o pulsującej blaskiem kuli w komnatach Arontali.

– Boję się, że Arontala znalazł jakiś sposób na uwięzienie duszy Kait – rzekł. – Wciąż widzę ją w snach przyciśniętą do ściany szklanego więzienia, wzywającą mnie.

Royster pogрузzył się głęboko w myślach.

– Mroczna Ostoja to posiadłość na granicy Księstwa i Margolanu – mruknął po chwili. –

Foor Arontala stamtąd pochodzi.

– Foor Arontala był jednym z synów Mrocznej Ostoji – odezwał się z mroku znajomy głos.

Podnieśli wzrok i w blasku księżyca, który wpadał przez gomółkowe okna, zobaczyli Gabriela. –

On nas zdradził i wykradł kulę.

Tris poczuł chłód, który nie miał nic wspólnego z zimową nocą.

– Czy zdoła uwolnić ducha Obsydianowego Króla?

– Będzie próbował, kiedy nadejdzie miesiąc Głogu. Arontala ma ogromną moc, a magia krwi, którą się posługuje, wzmocniła go jeszcze bardziej. Musicie go powstrzymać.

– To za pół roku, w czasie letniego przesilenia.

– Wtedy, kiedy nasz świat i świat duchów rozdziela niewiele barier albo zgoła żadna – dodał cicho Royster.

– Pamiętam, jakie nieszczęścia sprowadził ze sobą ten mroczny czarodziej. Ta ziemia nie zniesie kolejnego budzącego grozę maga – stwierdził Gabriel.

– Znałeś moją babkę? – spytał Tris.

Vayash moru skinął głową.

– Była wspaniałą kobietą. I zaufaną przyjaciółką.

– Kim są synowie Mrocznej Ostoi? – wtrąciła się Kiara.

Gabriel spojrział na nią i jego ciemne oczy zaśniły na tle bladej skóry.

– Synowie Mrocznej Ostoi są Tymi, Którzy Wędrują Nocą – odparł. – Mroczna Ostoja od dawna była schronieniem dla naszego ludu. A jeszcze dłużej była nim świątynia Mrocznej Pani pośród tych wzgórz.

– Jeśli Arontala był jednym z synów Mrocznej Ostoi, to znaczy, że on jest...

– Jest vayash moru – potwierdził Gabriel.

– Ale to bez sensu – zaprotestowała Kiara. – Uchodźcy opowiadali mi, że Jared Drayke próbuje pozbyć się wszystkich vayash moru.

– To prawda, ale Arontala jest zdrajcą swojego ludu, dlatego obawia się nas. Uważa, że

gdybyśmy działali razem, moglibyśmy go pokonać. Jest jeszcze coś, czego lęka się nawet bardziej. – Gabriel spojrzął na Trisa. – Wie teraz, że jesteś magiem świata duchów. On również na pewno odczuł moc, jaką posłużyłeś się w Ruune Videya. Arontala boi się, że sprzymierzymy się z tobą, jeśli wystąpisz przeciwko niemu.

– A moglibyście to zrobić? – spytał obojętnym tonem Tris.

– Tak sędzę. Mój lud nigdy nie składał przysięgi wierności żadnemu śmiertelnemu królowi. Jesteśmy samotnikami. – Obliznął wąskie usta. – Ale odwiedziłem Margolan i widziałem spalone ciała i odcięte głowy moich pobratymców oraz wielu śmiertelników, zabitych tak samo jak vayash moru, żeby wzbudzić strach ludzi. Jeśli jeszcze jacyś pozostaną po twoim powrocie, panie, to myślę, że pójdą za tobą.

– Myślałam, że Mroczna Ostoja została opuszczona – powiedziała Kiara.

Gabriel wzruszył ramionami.

– Kiedy Arontala wykradł kulę, zniszczył fundamenty dworu. I w tym chaosie zginął lord Mrocznej Ostoi. Od tego czasu dwór stoi pusty i czeka na to, jaka będzie wola Mrocznej Pani. Ale co znaczy dziesięć lat wobec stu? Będzie następny lord.

– Co sprowadza cię do Zachodniej Marchii? – spytał Tris.

– Przybyłem, żeby porozmawiać z Mikhailem o pewnych sprawach związanych z Mroczną Ostoją.

– I pewnie będziesz chciał nieco sobie poczytać w samotności – wtrącił z uśmiechem Royster. Gabriel także się uśmiechnął, lecz było to niepokojące, gdyż wyraźnie odsłonił swoje ostre zęby.

– Myślałem kiedyś, że nieśmiertelność przyniesie odpowiedzi na wszystkie pytania – powiedział zblazowanym tonem. – Teraz dowiaduję się, że ona jedynie zadaje kłam tym odpowiedziom i zastępuje je kolejnymi pytaniami.

– Jeśli vayash moru są nieśmiertelni – rzekła powoli Carina – to jak można ich zabić?

– Nieśmiertelność to relatywne określenie, pani uzdrowicielko – odparł Gabriel. – Upływ lat nas nie zabija, tak jak i choroba. Jednak bycie nieśmiertelnym nie oznacza boskości. Mnie i moich pobratymców można zabić za pomocą ognia, osinowego kołka i magii. Vayash moru, tak jak wszyscy, których nazywa Pani śmiertelnymi, mają swoje słabości, nie są bowiem bogami.

– Zatem Arontalę można zniszczyć.

Gabriel znowu wzruszył ramionami.

– Tak sędzę. Wiem bez wątpienia, że jest vayash moru. Nie potrafię jednak powiedzieć, jakie zdolności daje mu magia ani jaką ochronę zawdzięcza krwawym obrzędom, które odprawił. Wiem jedno: moc krwawej magii ma straszliwie wysoką cenę. Ci, którzy posługują się nią, aby zwiększyć swoją siłę, często odsłaniają swoje słabości, które inny mag może wykorzystać.

– Zanim stąd odjedziemy, postaram się, panie, abyś obejrzał każdy tekst, który może ci się przydać – zakończył tę rozmowę Royster, zwracając się do Trisa.

– My ? – spytała Kiara.

Bibliotekarz się uśmiechnął.

– Oczywiście. Czekałem pięćdziesiąt lat, aż coś takiego się wydarzy. Zamierzam uczyć go w stolicy Księstwa. – Spojrzał na Trisa. – Poza tym nie będąc magiem i w ogóle, nie przydam się w walce – dodał przepaszając tonem. – Kessen dobrze mnie wybrał – nie nadaję się do pracy, która obciąża serce. Ale w sprawach rozumu – postukał się w czoło – mogę pomóc. Zawsze miałem słabość do opowieści o Bava K’aa – przyznał. – Byłem skrybą każdej Siostry, która przez te lata chciała coś dodać do zapisków. Zabranie mnie ze sobą to jak zapakowanie sporej części Biblioteki, a przecież o wiele łatwiej mnie wieźć – zakończył, mrugając.

– Będziemy zaszczytzeni twoim towarzystwem – odparł Tris – choć nie mogę obiecać, że droga będzie bezpieczna.

– To delikatnie powiedziane – wymruczała Carina.

– Muszę was teraz opuścić. – Gabriel skłonił się uprzejmie. – Zobaczymy się jeszcze.

Mikhail jest sługą Pani i będzie wam bardzo pomocny. Ale ostrzegam was – powiedział z powagą. – Wśród mego ludu są zdrajcy. Nie ufajcie żadnemu vayash moru, chyba że ja was do niego pošlę. Wpływy Arontali sięgają daleko. Ci, których przeciągnął na swoją stronę, i ci, których zniewolił, będą wypełniać wszystkie jego polecenia. Nie podróżujcie lekkomyślnie nocą. Po czym vayash moru znikł w podmuchu wiatru.

Pewnego wieczoru na początku drugiego miesiąca pobytu w Bibliotece Tris przeglądał stertę książek w gabinecie na trzecim piętrze, kiedy nagle drzwi się otworzyły i Kiara wśliznęła się do środka z imbrykiem w jednej ręce i małym płóciennym woreczkiem w drugiej.

– Czy mogę wejść?

Tris uśmiechnął się i odłożył książkę na bok.

– Proszę bardzo – powiedział, wskazując na krzesło przy kominku. Kiara postawiła imbryczek na stole i wyjęła z płóciennego woreczka kawałek chrupkiego chleba, gomółkę sera i masywny kubek.

– Carina przysłała mnie na górę z tą jej herbatką na ból głowy – powiedziała. – A ponieważ szłam w tę stronę, Royster podrzucił ci jedzenie. Wygląda na to, że pokłócił się z Kessenem i kolacja będzie dziś wieczór nieco później – dodała, śmiejąc się. Opadła z wdzięcznością na krzesło i podziękowała za zaproszenie do jedzenia.

– Zjadłam coś, kiedy byłam w kuchni. Ale może łyknę trochę tej herbaty – czytałam tak długo, że mi oczy omal nie wyszły! – Zamilkła na chwilę. – Siostra Taru mówi, że Cam i ci twoi dwaj przyjaciele dotarli do cytadeli Zgromadzenia Sióstr w północnym Margolanie.

– Oni żyją?! To najlepsza wiadomość od dłuższego czasu!

– Carina poczuła taką ulgę, że nie mogła przestać płakać. Taru mówi, że twoi przyjaciele spotkają się z nami w stolicy Księstwa – dodała. – Posłała ich przodem, żeby zaczęli już werbować żołnierzy. Cam pojechał do Isencroftu z eliksirem, który ma powstrzymać postęp choroby mojego ojca. Nie mogą jednak go uzdrowić, dopóki żyje mag, który rzucił na niego zaklęcie.

– Czy wiesz, kto je rzucił?

Kiara spojrzała mu w oczy.

– Arontala. Pragnie śmierci mojego ojca, gdyż wtedy będziemy musieli związać przymierzem Isencroft z Margolanem, żeby przetrwać.

– Przykro mi.

Odwróciła wzrok.

– Robisz wszystko, co możesz. Ten eliksir pozwoli nam zyskać na czasie. Carina znalazła w księgach inne rzeczy, które mogą ulżyć mu w cierpieniu i dać siłę, dopóki...

– Dopóki nie zabiję Arontali – dokończył Tris.

Spojrzała mu w oczy, a potem spuściła wzrok i skinęła głową.

– Tak. Chcę przywołać wizję – dodała po chwili – żeby zobaczyć, czy Cam dotarł bezpiecznie i czy ojciec czuje się lepiej.

Tris nalał kubek herbaty i podał go Kiarze. Upiła kilka łyków i zamknęła oczy.

– Nigdy nie miałem okazji poprosić cię, żebyś opowiedziała mi więcej o swojej magii – powiedział, przyglądając się jej w blasku ognia. Jae zeskoczył z ramienia dziewczyny i pozbiarał kawałeczki sera, które Tris mu rzucił, po czym zwinął się w kłębek na skraju biurka.

Kiara wzruszyła ramionami.

– Nie mam talentu prawdziwego maga – przyznała. – Moj dar jest bardzo ograniczony.

Przywoływanie wizji, trochę wieszczenia w sprawach bezpośrednio związanych z

bezpieczeństwem królestwa. Moja magia pokazuje tylko strzępki informacji, bez kontekstu. –

Westchnęła. – Milczy jednak w sprawie przyszłości Isencroftu.

Tris łyknął herbaty. Od razu zaczęła zmniejszać napięcie ramion i ból pulsujący mu w skroniach.

– Może ta przyszłość nie jest jeszcze pewna – powiedział delikatnie. – Może ją zmieniamy, choćby teraz, przez to, co robimy.

Podsunał Jae kolejny okruszek sera; gyregon pochłonął go, a potem przeciągnął się leniwie i przetoczył na bok, żeby go podrapać po brzuszku.

– Nie zachowuje się tak wobec każdego – stwierdziła Kiara. – Zyskałeś prawdziwego przyjaciela.

– Mam taką nadzieję. – Tris spojrzał jej w oczy, a ona odwróciła wzrok i zarumieniła się lekko, jakby zrozumiała prawdziwe znaczenie jego słów.

– Dziękuję za herbatę. I za towarzystwo. Tu na górze jest czasami nudna.

– Proszę bardzo – powiedziała, ośmielając się znowu na niego spojrzeć. Wyciągnęła rękę i Jae przysiadł na jej ramieniu, gulgocząc w proteście.

– Kiara. – Tris nagle spoważniał. – Proszę, nie wywołuj wizji beze mnie. Mam po prostu przeczucie... Taru wróciła do cytadeli na naradę, Gabriel odszedł... Zastanów się jeszcze nad tym.

Kiara potrząsnęła głową.

– Gdzie możemy być bardziej bezpieczni niż tutaj, chronieni przez te wszystkie zakłęcia Zgromadzenia Sióstr? Carina chce sprawdzić, czy Cam dotarł bezpiecznie do domu, a ja tęsknię za tym, żeby choć przelotnie zobaczyć ojca, gdyż martwię się, jak on się czuje.

Tris westchnął.

– Pewnie nie będziemy już bardziej bezpieczni. Ale proszę, zaczekaj na mnie.

– W porządku – powiedziała – zgadzam się.

Po kolacji Carroway opowiedział im kilka nowych historii, a potem trójka Opiekunów dołączyła do niego na świecę kameralnego muzykowania. Tris wypił kolejny kubek grzanego wina i odetchnął głęboko, ciesząc się pierwszą okazją do odpoczynku. Obecność Kiary sprawiała mu przyjemność na równi z występem. Widział również, że Carroway rozkoszuje się możliwością zaprezentowania im lutni, którą dali mu Opiekunowie. Program zakończył się przy dziesiątym dzwonku, i kiedy Carroway oraz inni muzycy odebrali gratulacje i wyszli z pokoju, reszta osób pozostała.

– Co się dzieje? – spytał Vahanian.

– Kiara chce przywołać wizję, żeby zobaczyć, jak miewa się jej ojciec – wyjaśnił mu Tris.

– Będzie potrzebowała nas do utworzenia kręgu, ale tobie chyba damy spokój.

Vahanian spojrzał na niego z ukosa.

– Myślę, że poczekam na zewnątrz kręgu i będę pilnował tyłów, jeśli nie masz nic przeciwko temu, Upiorniku. W końcu jeśli twoja królewska dupa zostanie spalona na skwarke przez spartaczoną magię, to pozostałych czeka podróż w jedną stronę, na stryczek.

– Ja też chcę się przyglądać – pisnęła Berry.

– Nie – powiedział Tris.

– Zdecydowanie nie – dodała Carina.

– Czy nie powinnaś już spać? – spytał Vahanian.

Berry zrobiła kwaśną minę.

– Nie kładę się spać o tak wczesnej porze – oświadczyła. – Nigdy nie widziałam, jak się przywołuje wizję. Ale będzie zabawa.

– To może być niebezpieczne – ostrzegł ją Tris.

Berry zbyła jego słowa lekceważącym ruchem ręki, który dziwnie przypominał gest

Vahaniana.

– Nie boję się. Walczyłam z handlarzami niewolników, widziałam duchy i vayash moru.

– Rzeczywiście, ona przydaje się w walce – rzucił od niechcienia najemnik, a Berry rozpromieniła się. – W porządku, pozwolę ci stać za mną, ale pod jednym warunkiem.

– Pewnie! – zgodziła się entuzjastycznie.

Vahanian wbił w nią beznamiętne spojrzenie.

– Niezależnie od tego, co się stanie, nie wchodź mi w drogę.

Dziewczyna zrobiła zrozumiąłą minkę.

– Oczywiście, że nie będę ci wchodzić w drogę. Nie przeszkadzałam ci przecież tam w lesie, kiedy rzucałam kamieniami, co?

– Wy dwoje chyba jesteście ulepieni z jednej gliny – zauważył oschle Tris, kiedy ruszyli za Kiarą do saloniku.

W kinkietach płonęły nowe pochodnie, a w kominku buzował ogień. Na środku pokoju stał mały stolik otoczony sześcioma krzesłami, a na stole leżała – na podstawce z brązu w kształcie splecionych smoków – bursztynowa kula do wróżenia wielkości melona.

– Jest piękna. – Kiara wyciągnęła do niej rękę i cofnęła, zanim jej palce dotknęły gładkiej powierzchni kuli. Jae siedzący na jej ramieniu syknął i zatrzepotał nerwowo skrzydłami.

– Nadal mi się to nie podoba – stwierdziła Carina. – W Isencrofcie miałaś Komnatę, która była chroniona i zabezpieczona zaklęciami. Kiedy Alyzza i Tris próbowali przywołać wizję w czasie podróży z karawaną, było tam... coś... co go szukało – powiedziała, wzdrygając się.

– Jesteście w fortecy Zgromadzenia Sióstr – przerwał im Royster. – Ona także ma zabezpieczenia. – Podskoczył, jakby go ktoś szturchnął, i wbił gniewne spojrzenie w pustkę. – Pytał cię ktoś? – burknął.

Tris zobaczył, jak Kessen ciągnie Roystera za koszulę, tym razem wcale nie dla zabawy.

– Myślę, że on próbuje ci coś powiedzieć – rzekł. – Sądzę, że nie żartuje.

Bibliotekarz zamarł, nieprzywykły do tego, że ktoś inny także widzi jego towarzysza.

– W porządku – powiedział opryskliwie do ducha. – No więc co takiego?

– Co on powiedział? – zapytały jednocześnie Carina i Kiara.

– Uważa, że to nie jest dobry pomysł.

– Muszę wiedzieć – powiedziała nieustępliwie Kiara. – Nic mi nie będzie.

– Ale, Kiara... – zaczęła Carina.

– Zrobię to sama, jeśli będę musiała – przerwała jej.

Uzdrowicielka pokiwała głową.

– W porządku. – Spojrzała na pozostałych. – Kiedy wszyscy już usiądą, zacznę ustawiać

krąg ochronny – powiedziała. Vahanian i Mikhail stanęli koło drzwi, podczas gdy pozostali

zajmowali swoje miejsca. Kiara stanęła przed kulą do wróżenia, po prawej miała krzesło Cariny,

a po lewej Trisa. Devin siedział obok Trisa, a Maire i Royster zamykali krąg. Kiara przymknęła

oczy i stała przez chwilę w milczeniu, przygotowując się. Carina krążyła powoli po pokoju,

wyznaczając ochronny krąg. Tris powtórzył w duchu rytuał ochronny, żeby wzmocnić jego siłę.

– Moce, wysłuchajcie mnie! Bogini Światła, przybądź! – wyrecytowała Kiara, nadal mając

oczy zamknięte. – Jestem Wybranką Isencroftu, z królewskiego rodu. Zebraliśmy się po to, żeby

przywołać pradawne Moce. Duchy Ziemi, wysłuchajcie mnie! – Kiara położyła dłoń na

bursztynowej kuli. – Wiatry Północy, bądźcie mi posłuszne! Wody Południowych Krain,

zmieńcie swój bieg zgodnie z wolą Wybranki. Ognie Wschodzącego Słońca, poddajcie się moim

rozkazom. Nakazuję wam prawem dziedziców Isencroftu odsłonić to, co ukryte, i znaleźć to, co

nam drogie. Niechaj tak się stanie!

Głęboko w środku kuli rozjarzył się blask, kłębiąca się mgła, która wytrysnęła z jej

najgłębszego jądra. Ten blask powoli stawał się coraz jaśniejszy. Kiara wpatrywała się uważnie w jego głębię.

– Patrzcie! Tam! – wyszeptała Carina, pochylając się, ale nie przerywając kręgu splecionych rąk. Tris pozwolił swoim magicznym zmysłom poczuć to samo, co ona.

– Ojciec – wyszeptała Kiara. – Droga Pani, wygląda lepiej. Carino, widzisz?

Uzdrowicielka pokiwała głową z radosnym uśmiechem.

– Naprawdę wygląda lepiej, choć nie tak jak kiedyś. Och! Kiaro, popatrz! – zawołała, ściskając boleśnie rękę przyjaciółki.

– Cam jest z nim!

– Czekał, obraz znowu się zmienia – powiedziała Carina.

Kulę spowiła nagle mgła i temperatura w pokoju spadła. Potem mgłę zabarwiła wydobywająca się z kuli czerwona jak krew poświata. Z jej wnętrza wystrzelił promień szkarłatnego światła. Promień trafił Kiare prosto w pierś i dziewczyna osunęła się na kolana.

– Przerwij krąg! – syknęła Carina. – Musisz przerwać krąg!

Ponieważ Kiara nie reagowała, wpatrzona przed siebie nie widzącym wzrokiem, Carina rozkazała:

– Wietrze i Ogniu, Morzu i Ziemi, uwalniam was! – W jej głosie pobrzmiwała nuta paniki.

– Nie możesz rozkazywać tym mocom – powiedział głęboki głos wydobywający się z otwartych ust Kiary.

– Kiaro! – krzyknął Vahanian, rzucając się ku niej, ale Mikhail odciągnął go do tyłu.

– Nie możesz tego przerwać. Zostaw to Trisowi.

Tris puścił dłonie siedzących obok niego osób i zrobił krok w kierunku Kiary.

– Wypuść ją – powiedział spokojnie.

Światło zaczęło pulsować i Kiarą wstrząsnął dreszcz, a jej twarz ściągnęła się bólem.

Carina i Berry krzyknęły.

– Wypuść ją! – rozkazał Tris, skupiając całą swoją moc i wolę. – Czego szukasz?

– Szukam Martrisa Drayke – wychrypiał głos wydobywający się z gardła Kiary. – I chcę zawrzeć układ.

– Jaki układ?

– Poddaj się, a ja nie zabiję twoich przyjaciół.

– Mamy rachunki do wyrównania – warknął Vahanian. – Żadnych układów.

Tris zbliżył się o krok.

– Jeśli to mnie chcesz – powiedział spokojnie – oto jestem. Wypuść ją.

– Szukaliśmy jej w całym Margolanie za zdradę, jakiej się dopuściła – wychrypiał głos. –

Ona należy do nas.

– Ona należy do siebie samej. Wypuść ją.

– Wypuszczę ją – ryknął głos – ale prosto w ramiona Mrocznej Pani!

Strumień światła wytrysnął z kuli i Kiarą wstrząsnęły drgawki; tkwiła teraz zawieszona w krwistoczerwonym blasku.

– Nie pozwolę na to – wycedził Tris i rzucił się w stronę kuli. Jęknął z bólu, gdy jego ciało przeleciało przez szkarłatne światło. – Tarcza! – zawołał, przyzywając swoją moc, i pojawił się błękitny blask, który spowił go, blokując dostęp światła do celu.

Tymczasem Kiara osunęła się na podłogę i Carina rzuciła się ku niej, stając między przyjaciółką a kulą.

– Jesteś teraz silniejszy – zahuczał głos. – Powinienem być cię zabić, kiedy miałem po temu okazję. Zrezygnuj ze swojej głupiej misji, a ja przerwę udrękę twojej siostry.

W kuli pojawiła się twarz Kait wykrzywiona bólem i strachem, przyciśnięta do szklanej

ściany.

– Niech cię Dziwka porwie! – wychrypiał Tris i przyzwał całą swoją moc, żeby jednym potężnym pchnięciem zmusić szkarłatne światło do powrotu do jądra kuli. I kiedy zrobił to ostatnim wysiłkiem, w komnacie rozległ się krzyk, krzyk Kait.

Kula rozjarzyła się oślepiającą jasnością jak słońce i kryształ pękł w deszczu odłamków żarzących się jak węgielki. Tris upadł, a błękitny blask znikł, gdy pozostali stłoczyli się wokół niego.

– Myślę, że wszyscy się ze mną zgodzą: nigdy więcej żadnych wizji – burknął Vahanian, chwytając Trisa pod pachę, żeby pomóc mu usiąść na krześle.

– Zgoda – powiedziała Carina; razem z Devinem i Roysterem klęczała obok Kiary leżącej na podłodze i podobnie jak pozostali, pokaleczonej odłamkami kuli wróżebnej.

– Ja też nie będę oponował – dodał słabym głosem Tris, osuwając się na krzesło z bólem głowy. – Co z Kiarą? – wykrztusił, dumny z tego, że jeszcze nie zemdlął.

– Żyje. Jest nieprzytomna. Chciałabym zanieść ją do łóżka, żeby mogła to odespać. –

Carina spojrzała na niego. – To był Arontala, prawda?

Tris zaczął kiwać głową, ale zaraz przestał, bo tak bardzo go rozboleła, że omal nie stracił przytomności.

– To była ta sama istota, którą wyczułem wtedy, kiedy byliśmy z karawaną. Jared chce Kiary – powiedział cicho. – Przeciwwstawiła mu się, a on nie da za wygraną, dopóki nie będzie jej miał.

Niepokój w oczach Cariny wskazywał, że doszła do takiego samego wniosku.

– Zatem nie mamy wyboru, prawda? – rzekła. – Nie uda nam się złamać zaklęcia wyniszczającego króla Donelana, póki Arontala żyje. A dopóki Jared rządzi, Kiara nie może być spokojna. Musimy pomóc wam go pokonać, inaczej ani Isencroft, ani Kiara nie będą już nigdy

bezpieczni.

– Zgadza się – potwierdził Mikhail. – Aby zniszczyć bestie, które nękają Dhasson, musimy zabić Arontalę. – Spojrzał Trisowi w oczy. – Nawet Mroczna Ostoja nie jest już bezpieczna.

Pomogę wam.

– Dziękuję – wyszeptał księżę, czując, jak opuszczają go siły.

Mikhail pochylił się i wziął Kiarę na rękę.

– Zaniosę ją do jej pokoju – powiedział. – Z tego, jak wyglądasz, wnoszę, że ledwie uda ci się wejść po schodach.

– Hej, oprzyj się o mnie – zaproponował Vahanian, gdy Trisowi udało się wstać, a potem się zachwiał. – Carroway, złap go z drugiej strony, będzie potrzebował pomocy.

Maire przyjrzała się Trisowi z niepokojem.

– Przyniosę trochę gorącej herbaty i coś, żeby wyczyścić te skaleczenia.

– A ja zajrzę do ciebie, ale najpierw zajmę się Kiarą – obiecała Carina.

– Ja zaś poślę na górę zielarza Seldona – zaoferował Royster. Dziarski bibliotekarz wyglądał na przestraszonego.

– A co z tobą? – spytała Carina Vahaniana.

– Co masz na myśli?

– Gdzie ty jesteś w tym wszystkim? Arontala na pewno wie, że jesteś z nami. Nie sądzisz chyba, że potraktuje cię łagodniej niż pozostałych.

– Teraz muszę was doprowadzić żywych do stolicy Księstwa. Jeśli pożyjemy tak długo, potem będę się tym martwił.

Carina odwróciła się na pięcie i podążyła za Mikhailem.

– Powinienem był pozostać w Margolanie – powiedział cicho Tris, gdy Vahanian i

Carroway pomagali mu wejść po schodach. – Gdybym wtedy zabił Jareda, to wszystko by się nie

wydarzyło.

– Wynieśliśmy cię na noszach – przypomniał mu bard. – Czyżbyś o tym zapomniał? A

poza tym oni mieli przewagę liczebną. Bylibyśmy teraz martwi i nie miałby kto powstrzymać Jareda.

– Wrócę tam sam, to mnie chce Arontala...

– Twoi przyjaciele mają swoje własne powody, żeby podążać za tobą – przerwał mu idący za nimi Royster. – Ich misje są równie ważne jak twoja.

– Właśnie przed taką wpadką cię ostrzegałem – utyskiwał Vahanian, kiedy wspinali się po schodach. – Mam ochotę zamknąć cię gdzieś w celi, żeby mieć pewność. Że pożyjesz na tyle długo, aby dotrzeć do Margolanu.

Tris był zbyt wyczerpany, by odpowiedzieć. Kiedy już dotarli do jego pokoju, zrezygnował z dalszej pomocy przyjaciół, jednak w połowie drogi do łóżka wzrok mu się zmącił i ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, było krzesło, o które się oparł, żeby się nie przewrócić.

Rozdział trzydziesty

Tris powoli otwierał oczy. Ból głowy dokuczał mu tak bardzo, że wszystko, na co patrzył, otoczone było niewyraźną poświatą. Nawet blask ognia w kominku był zbyt jaskrawy. Skóra na rękach i twarzy piekła go, jakby została poparzona pokrzywami, a on czuł się tak, jakby był pobity.

– Cieszę się, że do nas wróciłeś – doleciał z półmroku koło jego łóżka głos Taru.

Udało mu się odwrócić głowę, żeby na nią spojrzeć. Wysiłek spowodował, że wszystko wokół zawirowało.

– Tym razem doszedłem aż do swojego pokoju, zanim zemdląłem.

Taru prychnęła.

– Gdy tylko twoi przyjaciele cię puścili, upadłeś na twarz na środku pokoju. –

Uśmiechnęła się lekko. – Dobrze, że zdjęli ci buty, zanim położyli cię do łóżka. Ale masz rację.

Po posłużeniu się magią wszedłeś po schodach i nie trzeba cię było nieść – przynajmniej tak mi powiedziano – a przytomność straciłeś tylko na kilka godzin. To zasługa twojego szkolenia.

Tris zamknął oczy.

– Nie jest dobrze.

Taru podeszła bliżej i położyła mu rękę na ramieniu.

– Nie, jeszcze nie jest – powiedziała nieco łagodniejszym tonem. – Ale masz jeszcze kilka miesięcy do konfrontacji z Arontalą.

– A jak miewa się Kiara? – Tris pomyślał, że jeśli będzie szeptał, to głowa nie będzie go aż tak bolała od słuchania własnego głosu.

– Odsypia to. Carina powiedziała mi, że przywoływanie wizji zawsze ją dużo kosztowało.

A ten atak był specjalnie tak pomyślany, aby był przerażający i jednocześnie wyczerpujący.

Gdybyś się nie wtrącił, nie przeżyłaby. – Zamilkła. – Ano właśnie. – W jej głosie pojawiła się nutka irytacji. – Co sobie myślałeś, kiedy postanowiłeś zrobić coś takiego podczas mojej nieobecności?

Tris westchnął.

– Kiara powiedziała, że robiła to już wielokrotnie, a ponieważ to nie ja przywoływałem wizję, nie sądziłem, że ten rytuał przyciągnie czyjąś uwagę. Myliliśmy się.

– To było jak rozpalenie ogniska. – Przesunęła kilka przedmiotów na szafce obok łóżka i

Tris znowu otworzył oczy. Podniósł ręce i zobaczył, że są pokryte drobnymi skaleczeniami.

Taru chwyciła jego dłoń i posmarowała skaleczenia maścią, co zmniejszyło pieczenie.

Potem zrobiła to samo z jego szyją i twarzą.

– Odepchnięcie mocy przy użyciu łatwo tłukącego się przedmiotu nie było

najmądrzejszym posunięciem – stwierdziła sucho. – Ale miałeś szczęście. Gdyby moc naprawdę

skupiła się w tej kuli, a nie w kanale, którym była przesyłana, to poza tym, że pokój został obsypany odłamkami szkła, doszłoby do niezłej eksplozji.

– Rozumiem – odparł zawstydzony Tris.

Wyraz twarzy Taru złagodniał.

– Nie bądź dla siebie zbyt surowy. Postąpiłeś w nietypowy sposób, ale udało się. Istnieją jednakże powody, dla których należy używać metod, których cię uczymy. Magowie doszli do tego drogą bolesnych doświadczeń – na przykład poprzez pękające kule wróżebne. Naradzimy się z Devinem. Twój poziom mocy stwarza na tym etapie nauki zagrożenia, które normalnie pojawiłyby się dopiero znacznie później. Musimy to rozważyć.

– Nie możemy tu zostać dłużej – stwierdził Tris, gdy Taru pomogła mu usiąść i wcisnęła mu w dłoń kubek herbatki na ból głowy zaparzonej przez Carinę.

– Nie, nie możecie – zgodziła się. – Nie możecie zostać tu odcięci od świata przez śnieg.

To jeden z powodów, dla których udałam się na naradę z moimi Siostrami. Z daleka śledziły twoją naukę i zgadzają się, że nauczyłeś się niemal wszystkiego, czego można się nauczyć w Bibliotece. – Zamilkła. – Wszystkiego poza tym, jak poradzić sobie z Argusem. A teraz pojawiło się nowe niebezpieczeństwo. – Przysunęła krzesło i usiadła. Nalała sobie filiżankę herbaty, a gdy upiła łyk, Tris uświadomił sobie, że ona również pracowała ponad siły.

– Chodzi o to, co stało się dziś wieczorem? Czy Jared może nas tu dosięgnąć? Nie jesteśmy w Margolanie.

Taru potrząsnęła głową.

– To prawda, ale jesteśmy blisko granicy Księstwa i królewscy żołnierze często patrolują ten region. Vayash moru mówią nam, że już pojawiły się niewielkie oddziały margolańskich żołnierzy podróżujących bez mundurów i prowadzących poszukiwania. Jeśli będą przeczesywać ten region, droga do stolicy Księstwa będzie dla was jeszcze bardziej niebezpieczna. – Zamilkła,

pogrążywszy się w myślach. – Najbardziej niebezpieczny będzie pierwszy dzień podróży, stąd do Mostu Szubieniczników. Za mostem królewscy żołnierze patrolują brzeg rzeki. Myślę, że nawet Jared nie ośmieli się posłać swoich żołnierzy tak głęboko na terytorium innego suwerennego państwa. To oznaczałoby wojnę. Royster pojedzie z wami. Biorąc pod uwagę... nietypowe okoliczności... otrzymałam pozwolenie od Zgromadzenia Sióstr na zabranie tekstów, które będzie mógł wykorzystywać w twojej nauce. Pozostało ci jednak jeszcze jedno zadanie do wykonania.

Tris opadł na poduszkę, czując całe zmęczenie wielu ostatnich tygodni.

– Pogromca Magów.

– W tej sprawie również naradzałam się z moimi Siostrami. Doszliśmy wspólnie do wniosku, że jesteś jego prawowitym właścicielem, jednak musisz stoczyć walkę, aby go zdobyć.

– Dlaczego sądzisz, że mi się uda?

– Nikt z tych, którzy rzucili wyzwanie Argusowi, nie był Przywoływaczem Dusz.

Tris rozważał to przez chwilę.

– Ale czy warto tak ryzykować? Jak zauważył Jonmarc, jeśli dam się zabić przed główną rozgrywką, do niczego to nie doprowadzi – powiedział z krzywym uśmiechem, przypominając sobie dokładnie słowa Vahaniana.

Taru musiała uświadomić sobie, że to parafraza, gdyż na jej ustach pojawił się ślad uśmiechu.

– Twój przyjaciel dobrze kryje się ze swoimi zdolnościami, ale Pani miała ważny powód, żeby wybrać go do tego zadania.

– Nie mów tego Jonmarcowi. – Tris dopił herbatę. – On uważa, że sam podejmuje decyzje.

Taru uśmiechnęła się.

– Pani pozwala nam na to, żebyśmy sami siebie oszukiwali, jeśli odpowiada to Jej celom –

odparła. – A co do twojego pytania, uważamy, że odpowiedź brzmi „tak”. Poruszyłam tę kwestię w rozmowie ze Zgromadzeniem Sióstr i wywiązała się... dyskusja – przyznała. – Choć zazwyczaj nie pokładam zbyt dużej wiary w talizmanach i amuletach, to niemądrze byłoby lekceważyć ich moc. Rzadko kiedy wystarczają same w sobie, jednak odpowiednie narzędzie w rękach wybrańca Pani staje się potężną bronią. Sądzymy, że Pogromca Magów ma ważną rolę do odegrania w twojej misji. Siostry uważają, że ryzyko poniesienia klęski w Margolanie jest większe niż prawdopodobieństwo tego, że Argus cię pokona. – Zamilkła. – Jednakże... – Jednakże?

– Niemądrze byłoby lekceważyć zagrożenie. Kiedy już odpoczniesz, nadejdzie właściwy czas. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to kiedy wrócisz, wyruszymy do stolicy Księstwa.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, pomyślał Tris. Nie za bardzo jej się to podoba, stwierdził, przyglądając się Siostrze. Nie jest pewna, czy jestem na to gotowy, ale kończy nam się czas.

Moglibyśmy pojechać do stolicy Księstwa i uczyć się dalej, ale istnieje ryzyko, że nie uda nam się tu wrócić. Jeśli jednak nie możemy sobie poradzić bez tego miecza, to nie mamy wyboru.

Przyglądał się, jak Taru pije herbatę. *Zaczyna się czuć osaczona, a Zgromadzenie Sióstr nie lubi być do niczego zmuszane. Witajcie w moim świecie.*

– Nie mów, proszę, pozostałym o istniejącym ryzyku. – Tris opadł znowu na poduszki, zakręciło mu się bowiem w głowie. – Cokolwiek się stanie, nic na to nie poradzą. Przebyli tak daleką drogę, tak wiele ryzykowali – nie chcę, żeby się martwili.

Taru zabrała dodatkowe poduszki, żeby mógł się położyć.

– Rozmawiałam z Cariną i Devinem. Możemy potrzebować ich pomocy. Ale spełnię twoją prośbę, choć podejrzewam, że twoi przyjaciele sami się tego domyślą.

Pewnie powiedziałyby coś więcej, ale Tris nie mógł już dłużej walczyć ze snem i poddał mu się, mając nadzieję, że nie będzie śnić.

Następnego wieczora Kiara i Carina spożywały kolację w pokoju księżniczki. Kiara wciąż dochodziła do siebie po przywołaniu wizji, która mocno ją wyczerpała. Taru poszła przynieść więcej ziół do balsamu Cariny mającego złagodzić ból skaleczeń spowodowanych przez rozbitą kulę, a dziewczyny czekały pogrążone w myślach, popijając herbatę.

Wreszcie Kiara się odezwała.

– Taru mówi, że nadszedł już czas, abyśmy opuścili Bibliotekę. Udamy się pewnie do stolicy Księstwa. – Zobaczyła wyraz udręki malujący się na twarzy kuzynki. – Wiem, że wołałabyś tego uniknąć.

Carina zawahała się, a potem pokiwała głową.

– Chodzi o to, że... odżywa wiele spraw, o których wołałabym zapomnieć. – Minęło siedem lat od śmierci Rica i powinnam już była się z tym uporać.

– Wiesz – powiedziała delikatnie Kiara – mimo iż minęło tyle czasu, właściwie nigdy nie opowiedziałas mi, co się stało.

Carina milczała przez chwilę, wpatrując się w ogień. Kiedy wreszcie się odezwała, mówiła tak cicho, że Kiara ledwie ją słyszała.

– Kiedy Cam i ja mieliśmy szesnaście lat, zaciągnęliśmy się do oddziału najemników

Wschodniej Marchii. On był tak wielki, że nikt nawet nie pytał nas o wiek. Potrzebowali uzdrowicielki i byli zadowoleni, kiedy dostali jeszcze Cama. Dobrze nam się żyło. –

Uśmiechnęła się lekko, zapatrzona w dal. – Ric był kapitanem najemników. Najlepszym szermierzem w całej kompanii. Pięć lat starszy od nas, był po trosze zawadiaką. – Uśmiechnęła się melancholijnie. – Dobrze się nami opiekował. Łamał wiele zasad, ale troszczył się o swoich ludzi. Poszlibyśmy za nim do samej Staruchy. – Zamilkła, tym razem na dłużej. – Zakochaliśmy się w sobie. Następnej zimy poprosił mnie, żebym za niego wyszła. A ja się zgodziłam. I wtedy

doszły nas wieści o kłopotach na granicy z Dhasson. Najeźdźcy. Miała to być łatwa potyczka. Ale nie była. – Spuściła wzrok. – Przynieśli Rica z paskudną raną brzucha. Próbowałam go uratować. – W jej głosie pobrzmiwało poczucie winy. – Zignorowałam wszystko, czego kiedykolwiek nauczyłam się o uzdrawianiu, o zapuszczaniu się zbyt głęboko, o staraniu się za mocno. Kiedy umarł, o mało co nie umarłam razem z nim. – Spojrzała na Kiare, a jej oczy błyszczały od łez. – Nie pamiętam, co było potem, aż obudziłam się w cytadeli Zgromadzenia Sióstr w Księstwie. Później Cam opowiedział mi, że byłam żywa i jednocześnie martwa. Nie słyszałam, nie mówiłam i nie widziałam. Był zrozpaczony. – Znowu spuściła wzrok. – Jedyne, co przyszło mu do głowy, to udać się do Zgromadzenia Sióstr i błagać ich, żeby się mną zajęły. – Wzruszyła ramionami. – Powiedział, że go odesłały, mówiąc, że znajdą go, jeśli uda im się mnie uzdrowić.

Kiara знаła resztę tej opowieści. Nie wiedząc, dokąd się udać, Cam pojechał do Isencroftu, gdzie Donelan przyjął go bardzo serdecznie. Rok później Siostry wezwały Cama z powrotem do stolicy Księstwa. Carina została uzdrowiona, jednak bardzo się zmieniła, była nieobecna duchem. Kiara podejrzewała, że to dlatego jej kuzynce udało się unikać potencjalnych zalotników – przynajmniej do czasu pojawienia się Jonmarca Vahaniana.

– Minęło wiele lat – powiedziała cicho. – Teraz jest inaczej. Nie jesteś sama. Wiesz, że nie pozwolimy, żeby coś ci się stało... zwłaszcza Jonmarc. – Zamilkła. – Nie mów mi, że nie zauważyłaś, jak on na ciebie patrzy.

Carina zarumieniła się i odwróciła wzrok.

– Wiesz – powiedziała – tam w obozie handlarzy niewolników, kiedy przynieśli do mnie Jonmarca, a on był tak bliski śmierci, czułam się tak, jakbym przeżywała to wszystko od nowa. Gdyby nie Tris, straciłabym go. Czułam, jak mi się wymyka, ale Tris go przytrzymał. Bałam się jednak, że jeśli Tris zanurzy się zbyt głęboko, żeby nie dać Jonmarcowi odejść, stracę ich

obydwu.

– Ale nie straciłaś.

– Ale mogłam – odparła cicho Carina. – O wiele bezpieczniej jest, kiedy nic cię nie obchodzi.

Kiara wstała, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Niebo było szare, a drzewa nagie.

Wkrótce spadną obfite śniegi. Milczały obie jakiś czas, zatopione w myślach.

– Nie wierzę, że przebyłam tak daleką drogę po to tylko, żeby moja Podróż skończyła się niepowodzeniem – powiedziała wreszcie Kiara.

– O czym ty mówisz?

– Wyrocznia posłała mnie do Biblioteki w Zachodniej Marchii, abym dowiedziała się, jak uratować Isencroft. Wszyscy inni znaleźli to, po co przybyli. Ty dowiedziałaś się, że Cam dotarł do ojca z eliksirem od Zgromadzenia Sióstr, i znalazłaś więcej informacji, które pomogą ojcu wyzdrowieć. – Upiła łyk herbaty. – Wygląda na to, że Tris znalazł to, czego potrzebuje, chociaż będzie musiał uczyć się z Siostrami przez resztę zimy. Mikhail dowiedział się więcej o bestiach, Carroway ma swoje opowieści, pieśni i legendy, nawet Berry poznała historie, które chciała poznać. Jonmarc ma salę do ćwiczeń z prawdziwego zdarzenia, żeby wszystkich uczyć, i może odpocząć od podróży. Ja jednak nie jestem bliżej ocalenia Isencroftu, niż byłam.

Usłyszały odgłos opadającej zasuwki i Taru zamknęła za sobą drzwi.

– Powiedz mi, Kiara Sharsequin, czego się dowiedziałaś w drodze z Isencroftu? – spytała Siostra, a Kiara zawstydziała się, że czarodziejka usłyszała jej narzekania.

– Widziałam rozlew krwi w Margolanie i wywłaszczonych wieśniaków – powiedziała cicho. – Dowiedziałam się, jakim królem jest Jared Drayke. Spotkałam vayash moru, walczyłam z magicznymi potworami i odkryłam, że Biblioteka istnieje.

– A twoi towarzysze? Co zyskałaś na ich poznaniu?

Tym razem Kiara zastanawiała się dłużej.

– Z pewnością odświeżyłam swoje umiejętności szermiercze z Jonmarkiem! – stwierdziła, uśmiechając się smutno. – Mikhail obiecał poprosić króla Harrola o doradców. Zaproponował także, że przedstawi mnie królowi Stadenowi i pomoże mi zapoznać go z moją sprawą, kiedy zwrócę się o pomoc do Księstwa.

– A co z Martristem Drayke? – naciskała dalej Taru. Kiara spojrzała na swój kubek, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Tris obiecał mi, że jeśli przejmie tron, to Margolan nie będzie stanowił zagrożenia dla Isencroftu – powiedziała cicho. – I ze przyśle wszelką możliwą pomoc.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Czego dowiedziałaś się o samym Martrisie Drayke? Kiara zarumieniła się i odwróciła wzrok.

– Jest człowiekiem honoru, dzielnym mężczyzną, który nie rzuca słów na wiatr. Będzie z niego dobry król.

Taru obrzuciła ją wyrozumiałym spojrzeniem nauczycielki.

– Czy uwierzyłabyś, że brat Jareda Drayke'a może taki być, gdybyś nie podróżowała u jego boku?

– Nie. Nie sądzę.

– A co z tym drugim powodem, dla którego odbywasz tę Podróż? Twoim osobistym powodem?

Zawstydzona Kiara wymieniła spojrzenia z Cariną.

– Masz na myśli uniknięcie zaaranżowanego małżeństwa?

– Tak.

– Wiem już na pewno, jakim demonem jest Jared Drayke i jakie moce go wspierają. A Tris przyrzekł, że nie będzie niczego wymuszał na Isencrofcie.

– A co chciałaś tu znaleźć, Kiara z Isencroftu? – spytała Taru lekko karcącym tonem. –

Jakiś talizman albo magiczną księgę?

Kiara spłoszyła i nic nie odpowiedziała.

– Otrzymałaś obietnice sojuszu i pomocy dla Isencroftu ze strony Dhasson i Margolanu, a najpewniej otrzymasz jeszcze od Księstwa. Uczestniczysz w wysiłkach podejmowanych po to, aby obalić Jareda Drayke’a i pokonać Arontalę – wysiłkach, które muszą zakończyć się powodzeniem, żeby ocalić twojego ojca. Masz szansę na zdobycie wolności – zarówno dla Isencroftu, jak i dla siebie.

Wyraz twarzy Taru złagodniał.

– Powinnaś rozważyć coś jeszcze. Pakt między Isencroftem i Margolanem można by odczytać jako układ zawarty między Kiarą a Jaredem, jednak formalnie rzecz biorąc, Donelan oddaje swoją córkę dziedzicowi Margolanu. Jeśli Jared Drayke zostanie pozbawiony tronu, dziedzicem zostanie Martris Drayke – powiedziała z rozbawieniem, dostrzegając zaskoczenie Kiary – a wtedy będziesz mogła pójść za głosem serca.

– Jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi – wyjąkała księżniczka, zawstydzona przenikliwością Taru.

– Wyrocznia powiedziała ci, że to z Margolanu wywodzi się zarówno źródło twojego problemu, jak i jego rozwiązanie, czyż nie?

– Nigdy nie sądziłam, że to ludzie i przeżycia w trakcie Podróży będą liczyć się bardziej niż to, co znajdę na jej końcu.

– Nie jest to jeszcze koniec twojej Podróży, choć czas, jaki masz spędzić w Bibliotece, dobiega końca – odparła Taru. – Zgromadzenie Sióstr uważa, iż Pani chce, abyś odegrała jakąś rolę w pokonaniu Arontali. Znaki wskazują na to, iż będzie to trudniejsze – a może nawet wcale się nie uda – jeśli się na to nie zgodzisz.

– Słodka Chenne – wyszeptała Kiara. – Zastanawiałam się nad tym, czy nie jechać do Margolanu z Trisem i pozostałymi. Carina postanowiła, że musi tak zrobić. Ja nie byłam pewna, czy mogę pozostawić Isencroft na tak długo.

– Isencroft nie może sobie pozwolić na to, abyś nie uczestniczyła w tej sprawie.

– Słyszałam, jak Mikhail i Jonmarc rozmawiali z Trisem – wtrąciła się Carina. – Chcą wyruszyć w drogę, zanim spadnie śnieg. Mikhail mówi, że małe grupki margolańskich żołnierzy są w odległości kilku świec stąd. To skrytobójcy.

Kiara wzdrygnęła się.

– Osaczają nas. Nie rozumiem, dlaczego nie wyjechaliśmy wcześniej.

– Tris musi jeszcze załatwić jedną sprawę, zanim będziecie mogli wyruszyć – wyjaśniła Taru. – Jest już gotów do wejścia do krypty króla Argusa. Miecz Argusa, Pogromca Magów, musi zostać zdobyty w walce.

– Taru poprosiła, żebym była w pobliżu, kiedy on tam pójdzie – dodała Carina.

– Żeby go poskładać, jeśli mu się nie uda?

– Jeśli mu się nie uda, to nie wróci, Kiara. Taka jest cena – powiedziała uzdrowicielka. –

Ci, którzy próbowali zdobyć ten miecz, nie powrócili. Taru chce, żebym tam była, bo nie wiemy, w jakim będzie stanie, jeśli mu się uda.

Słowa Cariny odbijały się echem w umyśle Kiary nawet wówczas, gdy uzdrowicielka i czarodziejka życzyły jej dobrej nocy i zostawiły ją samą z jej myślami.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Choć Tris nie powiedział swoim towarzyszom o zamiarze odzyskania Pogromcy Magów, podejrzewał, że Carina opowiedziała im całą tę historię. Po obiedzie w dniu, w którym miał wejść do krypty, jego przyjaciele wyraźnie ociągali się z odejściem, jakby nie wiedzieli, co powiedzieć. W końcu Berry pocałowała go w policzek na szczęście, a Carroway z poważną miną

klepnął go w ramię i życzył mu łaski Bogini. Carina zaś zapewniła go, że będzie czekała razem z Roysterem, a potem odeszła, żeby przynieść swoje leki.

Kiara pozostała, tak samo jak Vahanian.

– Carina nam powiedziała... o Pogromcy Magów – wyznała, unikając jego wzroku. –

Uważaj na siebie, proszę.

Tris ośmielił się wziąć ją za rękę i delikatnie pocałował.

– Mam wiele powodów, żeby wrócić – odparł, patrząc jej w oczy. Zarumieniła się i wyszeptała błogosławieństwo, a potem odeszła.

Przez chwilę Tris i Vahanian milczeli.

– Najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem – pojedynek bez sekundanta – powiedział wreszcie Vahanian. – Nie mogę być twoją osobistą obstawą, siedząc tu na górze.

Tris uśmiechnął się blado.

– Chciałbym prosić cię o przysługę. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął sakiewkę z pieczęcią króla Harrola, a potem ku zdumieniu Vahaniana wręczył mu ją.

– Jeśli nie wrócę, zaprowadzisz pozostałych w spokojne miejsce – powiedział z powagą. – Chcę, żebyś dał mi słowo, że zapewnisz im bezpieczeństwo.

Vahanian obracał pieczęć w dłoni.

– Skąd pewność, że nie wezmę swojej zapłaty i po prostu się nie ulotnię?

Tris spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie zrobisz tego.

Vahanian przez chwilę milczał.

– Daję słowo – powiedział wreszcie. – Ale lepiej, żebyś wrócił w jednym kawałku – dodał groźnie.

Tris zaśmiał się cicho.

– Wierz mi, taki mam plan. – A potem podał mu rękę i objęli się ramionami w braterskim uścisku. – Dziękuję.

– Mamy przed sobą długą drogę. Podziękujesz mi, kiedy znajdziemy się na jej końcu.

Tris poszedł następnie do niewielkiej kaplicy w Bibliotece poświęconej ulubionemu w Księstwie aspektowi Jedynej Bogini – Kochance i jej mrocznemu odpowiednikowi – Dziwce.

Położył swój miecz na ołtarzu skąpanym blaskiem świec i poprosił o błogosławieństwo – tak, jak to robił Soterius przed każdą bitwą. Miał nadzieję, że Pani ześle mu jakiś znak, podobnie jak to uczyniła tamtej nocy w tłumie, kiedy doszło do przewrotu. Jednak jego zmysły maga nie wyczuwały obecności żadnego nadnaturalnego bytu.

Słodka Pani, pomodlił się. Pozwól mi wypełnić zadanie i zdobyć ten miecz. Jeśli jednak postanowisz inaczej, wysłuchaj prośb twoich zagubionych dzieci w Margolanie i niech sprawiedliwość zwycięży w jakiś inny sposób.

Czekał, jednak w kaplicy panowała cisza, słychać było tylko jego oddech. Wreszcie schował miecz do pochwy i wstał, robiąc znak Pani; miał nadzieję na kilka godzin snu, zanim nadejdzie czas działania.

Po jedenastym dzwonku Tris, Taru i Royster udali się do jednego z małych saloników na pierwszym poziomie Biblioteki. Royster przywiązał sznur do żelaznego pierścienia osadzonego w ogromnym kamiennym kominku, a potem przeszedł na prawą stronę paleniska i tak długo przesuwał dłonią po drewnianej boazerii, aż usłyszeli cichy trzask. Panel w ścianie odsunął się na bok, odsłaniając schody prowadzące w ciemność.

Ruszyli w blasku pochodni stromymi i krętymi kamiennymi schodami. Schodząc, Royster popuszczał sznur. Wreszcie znaleźli się w małej sieni, na której końcu widać było masywne, okute żelazem drzwi. Royster zatrzymał się. Ciemność śmierdziała tutaj zetlałym materiałem i

mokrą ziemią, a pozostałości starej magii sprawiły, że Tris dostał gęsiej skórki.

– To jest wejście do grobowca króla Argusa – powiedział Royster. – Nie możemy iść dalej.

Jedno z nas cały czas będzie czuwać. Jeśli nie będziesz w stanie wejść z powrotem po schodach, pociągnij za sznur, a my przyjdziemy po ciebie.

Taru uniosła rękę w geście błogosławieństwa i wyszeptała modlitwę do Pani.

– A teraz idź – powiedziała. – I powróć z mieczem, jeśli Argus uzna cię za godnego jego posiadania.

Royster i Taru odwrócili się i zaczęli wchodzić po schodach. Tris wsadził pochodnię w pustą obejmę. Używając magii i siły, otworzył ciężkie drzwi, a potem przywołał ogień, który pojawił mu się na dłoni. Pochodnię pozostawił na zewnątrz po to, żeby oświetlała mu drogę powrotną. W krypcie unosił się trupi odór. Tris z trudem dostrzegł dwie pochodnie na ścianie przy drzwiach, a przed sobą coś ogromnego i ciemnego.

– Ogień – wyszeptał, żeby zapalić pochodnie. Stał w grobowcu króla-wojownika. Z prawej strony grobowca zobaczył zbroję kunsztownej roboty czekającą przez całą wieczność na swojego właściciela. Po lewej pięknie wykonane siodło zdobiło wielkiego drewnianego konia. Pośrodku pomieszczenia stał katafalk, na którym spoczywała naturalnej wielkości postać Argusa pogrążonego w wiecznym śnie. Trisowi serce zabiło mocniej, kiedy zrobił krok w kierunku miejsca spoczynku króla.

Szelest z tyłu i poruszenie jego magicznych zmysłów było jedynym ostrzeżeniem. Tris obrócił się, unosząc miecz. Z ciemności wyłonił się wojownik ze ścięgien i kości i ruszył chwiejnie ku niemu z groźnie wzniesionym mieczem. Nieumarły wojownik zamachnął się tak mocno, że jego cios niemal wytrącił mu miecz z ręki. Tris sparował i z przerażeniem stwierdził, że ze stosu zetlałych szmat pod ścianą podnosi się drugi kościotrup.

Cóż to za szara magia? pomyślał, parując druzgocące ciosy. Było oczywiste, że Argus

stosuje własne reguły gry. Kiedy trzeci wojownik ruszył chwiejnie ku Trisowi, uzmysłowił sobie boleśnie, że jego siły śmiertelnika zawiodą znacznie wcześniej, niż ci nieustępliwi wojownicy dadzą za wygraną. Wreszcie rozrąbał pierwszego kościotrupa, po czym zobaczył, jak kości ze stukotem pełzną ku sobie po kamiennej posadzce, a magiczne ścięgna przyciągają je do siebie. Spod przeciwległej ściany ruszył czwarty, a potem piąty kościotrup. Dysząc ciężko, Tris stwierdził, że w tym tempie walka zakończy się, zanim się na dobre zacznie. Pot lał mu się po plecach w tej lodowato zimnej sali. Jeden z wojowników przedostał się przez jego obronę i drasnął go boleśnie. A potem, gdy Tris znowu trafił do celu i rozchłastał kościotrupa od obojczyka aż po biodro, w jego umyśle nagle zabrzmiały słowa Taru.

Żaden nie był Przywoływaczem Dusz.

– Stójcie! – zawołał, gdy jeden z mieczy uderzył go z taką siłą, że o mało co nie złamał mu ramienia. – Cofnijcie się! – Przywołał swoją moc i wtedy zmysłami maga zobaczył wojowników na planie duchów, gdzie wyglądali jak śmiertelnie ranni żywi ludzie.

– Na moc Pani, cofnijcie się! – zażądał i nieumarli wojowie w milczeniu stanęli pod ścianami z opuszczonymi mieczami. Tris wyczuł jednak inną magię wypełniającą kryptę, obecność kogoś innego, gotowego do ataku.

W tym momencie pochodnie zgasły, pograżając wszystko w całkowitej ciemności. Drzwi do krypty zamknęły się z trzaskiem, choć przedtem musiał pchać z całych sił, żeby je otworzyć. Dało się słyszeć narastające jękliwe zawodzenie, które odbijało się echem w kamiennej komnacie, a temperatura spadła tak, że Tris miał wrażenie, iż jego oddech unosi się parą w powietrzu.

Wezwał ogień, żeby zapalić pochodnie, jednak zaraz inna moc je zgasiła. Tris zamknął oczy i polegając na swoich zmysłach maga, poczuł silną obecność skradającej się ku niemu niebezpiecznej istoty. Serce mu zabiło, gdy duch zaatakował i zobaczył ohydną, najeżoną

zębami paszczę, taką samą jak u tamtych magicznych bestii.

Duch rzucił się na niego i Tris poczuł zimną jaźń prześlizgującą się obok niego i przez niego, a zawodzenie stało się tak głośne, że aż dzwoniło mu w uszach. Zębiska kłapnęły koło jego szyi i usłyszał drapanie pazurów o kamień. Choć serce waliło mu jak oszalałe, a instynkt podpowiadał, żeby uciekał lub walczył, Tris starał się zachować spokój.

Ostona! nakazał i otoczyła go tarcza ochronna rzucająca bladą błękitną poświatę w czarnej jak atrament krypcie. Potworna zjawa miotła się teraz na zewnątrz tarczy, bardziej przerażająca w tym słabym świetle niż w ciemnościach. *Odejdź! Twoja moc nic tu nie znaczy! Na Panią, znikaj!*

Bestia zaatakowała po raz ostatni magiczną osłonę Trisa, która rozjarzyła się błękitem, lecz jej pazury na próżno drapały ochronną tarczę. Wycie bestii było tak przeraźliwe, że Tris miał wrażenie, iż rozsadzi mu bębniaki w uszach. A potem upiór znikł. Spocony, ze ściśniętym gardłem, Tris próbował złapać oddech, ostrożnie opuszczając osłonę i każąc pochodniom zapłonąć.

– Żadnych więcej sztuczek, bracie.

Odwrócił się tu stronę, z której dobiegał głos, i poczuł suchość w ustach, gdy z mroku wyłoniła się znana mu postać. Jared stał zaledwie kilka kroków od niego z mieczem w jednej ręce i drugą ręką schowaną za plecami.

– Niemożliwe, żebyś tu był – wyszeptał Tris, unosząc miecz.

Jared zaśmiał się zimno.

– Ale jestem. Przybyłem zakończyć to, co zacząłem – to, co powinienem był zakończyć już dawno temu. – Zbliżał się powoli. – Spraw mi to przyjemność. Zawsze potrafiłem złać ci tyłek – powiedział, robiąc kolejny krok do przodu. – Ale teraz postaram się, żebyś miał mnóstwo czasu na pomyślenie o tym, jak głupio zrobiłeś, występując przeciwko mnie – wycedził Jared. –

Mnóstwo czasu, kiedy będziesz umierał. Sądziłeś, że możesz mi odebrać koronę i królestwo... i

żonę – powiedział. – Ale ja zatrzymam to, co moje. Może i jesteś Władcą Umarłych, ale ja jestem samą śmiercią – wychrypiał i wyjął rękę zza pleców. Trzymał w niej za włosy głowę Kiary; jej twarz ściągnięta była grymasem bólu i przerażenia.

Okrzyk wydarł się z gardła Trisa, który każdą cząstką ciała i całym sercem pragnął rzucić się na Jareda.

Ten zaś zaśmiał się cicho.

– Jestem równie prawdziwy jak twoje koszmary, bracie – powiedział, kołysząc głową.

Równie prawdziwy jak moje koszmary. A one wcale nie są prawdziwe.

– Rozwiej się! – krzyknął Tris. Jego głos był piskliwy z przerażenia, gdy trzymał się kurczowo jądra swojej mocy. – Nie... jesteś... prawdziwy. Znikaj!

Obraz Jareda znikł tak szybko jak przelatująca myśl.

A potem bez żadnego ostrzeżenia niewidzialne ręce pchnęły Trisa do tyłu tak mocno, że aż się zachwiał. Nad katafalkiem zaczęła kłębić się mgła i u stóp grobowca stanął potężnie zbudowany mężczyzna.

– Po co tutaj przybyłeś? – spytała gromkim głosem zjawa.

Tris skłonił się z szacunkiem.

– Jestem Martris Drayke, syn Bricena z Margolanu, wnuk czarodziejki Bava K'aa.

– Podejdź bliżej – powiedział duch Argusa. – Tak – wymruczał, przyglądając mu się przez chwilę – widzę w tobie podobieństwo do ojca. Czemu zakłóciłeś mój odpoczynek?

– Za twoim pozwoleniem, panie, przybyłem po Pogromcę Magów.

– Pogromcy Magów nie można dostać! – ryknął duch. – Można go tylko wygrać w walce.

I w tym momencie moc ataku ducha rzuciła Trisa na kolana. Mocarne ramiona objęły go niczym żelazne okowy, tak że z trudem mógł złapać oddech. Tris zaczął się miotać, próbując się

wyrwać, jednak duch tylko się zaśmiał i ścisnął mocniej.

– To jest zbyt łatwe – szepnął mu do ucha, ściskając jeszcze mocniej. – Niemożliwe, abys był wnukiem Bava K’aa.

Łapczywie chwytając powietrze, Tris pozwolił ciału opaść bezwładnie i wezwał swoją moc, a potem zaatakował z całych sił zjawę, którą teraz widział wyraźnie dzięki wzmocnionym przez magię zmysłom.

– Ano właśnie, tak jest lepiej – zaśmiał się duch – dla Trisa był on równie materialny i rzeczywisty jak każdy śmiertelny przeciwnik – i puścił go.

A chwilę potem Argus wykonał skok, jakiego nie mógłby wykonać żaden śmiertelny wojownik, i przewrócił Trisa na ziemię, tak że ten na chwilę stracił oddech.

– Musisz się bardziej postarać, chłopcze – powiedział.

Zaciskając zęby, Tris posłał ku niemu swoją magię i duch zatoczył się do tyłu.

Zdawało się, że walczą tak już całą wieczność. Tris wiedział, że Argus dysponuje czymś, czego on sam nie ma – niespożytymi siłami nieśmiertelnej istoty. Robił więc uniki i markował ciosy, starając się nie zwracać uwagi na ból głowy wywołany przez magię i zmęczenie, które sprawiało, że każdy ruch okupiony był koszmarem bólem.

W końcu Argus skoczył na niego i obydwaj zwalili się na ziemię. Tris nie chciał się poddać, ale nie miał już sił, żeby się wyrwać.

– Przyznaj, chłopcze. Zostałeś pokonany – szydził Argus, potęgując uścisk, żeby sprawić mu ból.

– Nie odejdę bez Pogromcy Magów – wycedził Tris pokrwawionymi ustami.

– W ogóle nie odejdiesz!

W tym momencie Trisowi przyszło do głowy rozwiązanie tak oczywiste, że nie wiedział, jak mógł o tym wcześniej nie pomyśleć. Ze zrodzoną z desperacji pewnością siebie zamknął

oczy i poprzez wewnętrzne magiczne ścieżki przeskoczył na mroczny plan duchów. Zanurzał się coraz głębiej, tak jak kiedyś przy studni, gdy dusza Cariny znalazła się w niebezpieczeństwie, i jeszcze wcześniej, kiedy Vahanian leżał umierający wśród handlarzy niewolników. Tym razem ścieżka była znajoma i zanim Argus zdołał zacieśnić uścisk, Tris śmignął niczym atakujący sokół ku błękitnej smużce energii życiowej Argusa. Nie zważając na konsekwencje, wyobraził sobie migoczącą smużkę swojej własnej duszy i zaczął owijać nią duszę Argusa, tworząc zawiły lśniący węzeł.

– Hej tam, cóż takiego czynisz?! – ryknął Argus.

– Jeśli nie mogę odejść z Pogromcą Magów, to nie pozostanę tutaj jako twój sługa! –

krzyknął Tris. – Spędzimy wieczność razem, spleceni duszami, bliżsi sobie niż bracia. Nie uda ci się pomyśleć ani jednej myśli beze mnie, a ja nie będę mógł śnić bez ciebie. – Kontynuował oplatanie, a nici życia migotały i lśniły.

– Przestań!

– Tak?

Argus zwolnił uścisk.

– Nie potrzebuję kolejnego piekielnego głosu w mojej głowie.

– Jesteśmy w sytuacji patowej – odparł Tris. – Ja się nie poddam i ty w końcu wygrasz, gdyż moje ciało śmiertelnika się zmęczy. Ale jeśli mam z tobą pozostać, będzie to na moich warunkach.

Przeklinając, Argus wypuścił Trisa z uścisku.

– Weź ten cholerny miecz. Od pięćdziesięciu lat nikt tak ze mną nie walczył – powiedział, a błysk w jego oczach świadczył, że cieszyły go te zmagania. – I tak stracę, nawet kiedy wygram, bo nie mogę znieść tego, że ktoś będzie w moich myślach, tak jak nie mogę powrócić do świata żywych.

Po czym ciężkie kamienne wieko grobowca samo się otworzyło, a drzwi do krypty uchyliły się.

– Weź miecz – powiedział Argus, stając obok grobowca. – A wraz z nim zabierz błogosławieństwo króla Argusa.

Tris rozplątał lśniące nici życia równie ostrożnie, jak zaplątywał węzły, aż dwie smużki zaczęły jarzyć się osobno. A potem powrócił mroczną ścieżką do swojego ciała i starając się ignorować nieznośny ból głowy i obolałe ciało, podniósł się z trudem. Podszedł chwiejnie do grobowca i kiedy Argus skinął przyzwalająco głową, włożył rękę do środka. Dotknął zimnej stali i wyciągnął miecz wykonany z niezrównanym kunsztem, którego misternie kuta rękojeść ozdobiona była inkrustacją z klejnotów tworzących herb królewskiego rodu Księstwa, – Niech Pani ci błogosławi. – Argus podniósł rękę na pożegnanie, a potem jego obraz zaczął zanikać.

– Mogę ci dać wieczny spoczynek – rzekł Tris, choć spuchnięte usta sprawiły, że słowa te zabrzmiały niewyraźnie.

Argus potrząsnął głową.

– Jeszcze nie. Przysiągłem, kiedy byłem śmiertelnikiem, że oddam moje życie, aby pokonać Obsydianowego Króla. A on nie został jeszcze zabity. Dopóki tak się nie stanie, nie mogę zaznać spokoju. – Podniósł rękę w hołdzie dla Trisa. – Zasłużyłeś sobie na mój miecz i błogosławieństwo. Moje ciało i moja armia leżą pogrzebane nad rzeką. Jesteśmy do usług, choć musimy pozostać w tej opuszczonej krainie.

Duch zamigotał się i rozwiął. Nieszczęśni wojowie jeden po drugim zaczęli znikać, gdy zimny podmuch przemknął przez kryptę, rzucając dziwne cienie na ściany. Pogromca Magów lśnił bez żadnej skazy w dłoni Trisa, mimo lat spędzonych w grobowcu, a on sam czuł pulsowanie jego mocy ukrytej głęboko w zaczarowanym ostrzu pokrytym runami.

– Niech Pani przyjmie wasze dusze – wyszeptał. Zgasił w myślach pochodnie, zamknął wieko grobowca i wyszedł chwiejnie z krypty. Był dumny, że nie osunął się na kolana przed dotarciem do podnóża schodów. Ostatnie, co zapamiętał, to pociągnięcie za sznur i odległy głos dzwonu.

Kiedy otworzył oczy, leżał na kanapie w salonie Biblioteki. Koło niego spoczywał Pogromca Magów, a obok sakiewka od króla Harrola. Royster drzemał na krześle, ale obudził się gwałtownie i uśmiechnął szeroko do Trisa.

– Wiedziałem, że ci się uda! – wykrzyknął, uradowany, zrywając się na nogi.

– Spokojnie, tylko spokojnie – wymruczał Tris, któremu głowa pękała. Pragnął tylko gorącej kąpieli i miękkiego łóżka. – Nie wierzę, że się zdrzemnąłeś.

– Och, nie spałem przez długi czas, bardzo długi czas – odparł, niemal tańcząc z radości. – Ale po pierwszej nocy moje stare kości potrzebowały nieco odpoczynku.

Tris miał dość sił, żeby otworzyć usta ze zdumienia.

– Pierwszej nocy? – powtórzył.

Royster zaśmiał się cicho.

– Owszem. Nie wiesz, że byłeś tam cały dzień i noc? Musiałem zagrozić temu przekłętemu głupcowi Jonmarcowi gniewem Pani, żeby nie pognął tam za tobą. Byłeś nieprzytomny przez cały dzień, odkąd przynieśliśmy cię na górę. Ale ja wiedziałem, że ci się uda, chłopcze.

Wiedziałem!

Tris rozejrzał się po pokoju. Towarzysze Trisa spali w salonie rozłożeni na krzesłach i bibliotecznych ławach. Przenikliwy skrzek Jae obudził ich i natychmiast stłoczyli się wokół Trisa.

– Poczekajcie no! – zawołał Royster. – Nie męczcie go. Będzie dość czasu na opowieści.

Hej, ty – wezwał Carinę. – Podejrzewam, że Trisa strasznie boli głowa i przydałaby się twoja pomoc. A reszta niech wraca do swoich pokoi. – I Royster jak nauczyciel wyprosił wszystkich pozostałych z salonu.

Tris widział w oczach Cariny tysiące niewypowiedzianych pytań, gdy pochyliła się nad nim i zaczęła wodzić swoimi chłodnymi palcami po jego czole, zmniejszając rozsądzący mu głowę ból.

Kiedy skończyła, Tris wsparł się mocno na bibliotekarzu, a Carina wzięła go pod drugie ramię i razem udali się do jego pokoju, gdzie Royster pościelił mu łóżko jak dla chorego dziecka, a Carina podgrzała nad ogniem kubek z herbatą. Mimo słabych protestów Trisa ściągnęli mu buty i położyli do łóżka w ubraniu, wciskając w dłonie parujący kubek herbaty.

– Śpij – poleciła mu surowo Carina, pilnując, żeby wypił herbatę. Pachniała ziołami i miodem, a unosząca się z niej para łagodziła straszny ból głowy. Tris oddał Carinie pusty kubek i opadł na poduszki. Zapadł w sen i nie pamiętał już nic aż do rana.

Rozdział trzydziesty drugi

Trzy noce później Tris i jego towarzysze przygotowywali się do pospiesznego wyjazdu. W chłodnym powietrzu z końskich grzbietów unosiła się para, kiedy zaciskali popręgi i przytracali do nich swój skromny dobytek. Vahanian dodał wiadro smoły oraz łuki i strzały do ekwipunku każdego jeźdźcy, a sam wziął swoją pochodnio-lancę. Kiedy znaleźli się już w siodle, z mroku wynurzyli się Mikhail i Gabriel.

– Przypomnijcie mi raz jeszcze, dlaczego jesteśmy bezpieczniejsi, jadąc nocą obok magicznych bestii i skrytobójców? – burknął Vahanian.

Gabriel skrzywił się lekko, rozbawiony.

– Bo nocą my pojedziemy z wami – odparł vayash moru. W mroku za nimi Tris dostrzegł inne poruszające się postacie.

– Wybaczcie, ale pozwolę sobie zauważyć, że nie ma was zbyt wielu – rzucił cierpko najemnik.

Gabriel wzruszył ramionami.

– Oni należą do mojej rodziny. Są całkowicie lojalni. Uważają również, że to nasza wspólna sprawa.

– I dobrze wiedzą, kto jest z nami, a kto nie?

Niepokojący uśmiech Gabriela odsłonił jego siekacze.

– Zgadza się.

– Jak wygląda droga między Biblioteką a mostem? – Spytał Tris, mając nadzieję, że jego głos nie zdradza zdenerwowania. Wierzchowiec Trisa zarżał i zaczął grzebać kopytem, jakby wyczuwał zarówno nieumarłych, jak i grożące im niebezpieczeństwo.

– Tam, gdzie przejeżdżaliśmy, jest bezpiecznie – powiedział Mikhail. – Ale widzieliśmy zwiadowców w odległości świecy stąd.

– Skoro ich widzieliście, dlaczego ich po prostu nie pozarliście? – warknął Vahanian.

– To by zdradziło nasz udział w tej sprawie, prawda? – odparł spokojnie Mikhail.

– A co z bestiami? – spytała Kiara, a stojąca za nią Berry podprowadziła konia bliżej do Cariny. Royster otworzył szeroko oczy i ścisnął mocno wodze.

– Żadnych nie widzieliśmy.

– Śniegi są coraz większe – powiedział Gabriel, gdy dwóch innych vayash moru otworzyło wrota stajni. – Lepiej ruszajmy.

Kiedy już znaleźli się na trakcie, vayash moru skryli się w mroku. Vahanian jechał na szpicy, z lancą wsuniętą lekko w olstra i mieczem na podorędziu. Tris podążał za nim, a Kiara jechała na tyłach z Berry, Cariną, Carroway'em i Roysterem w środku. Każde z nich trzymało broń w gotowości, nawet Royster, który, jak się okazało, pod okiem Berry udoskonalił swoje

umiejętności strzelania z procy.

– Musimy tylko dotrzeć do mostu – powiedziała uspokajająco Carina.

– Dlaczego nazywają go Mostem Szubieniczników? – chciała wiedzieć Berry.

– Bo wieszali na nim ludzi – odpowiedział z roztargnieniem Royster, po czym wzruszył ramionami, kiedy reszta grupy obrzuciła go ponurymi spojrzeniami. – Wybaczcie, ale to prawda.

– Jeśli śnieg nadal będzie tak padać, nie dojedziemy tej nocy – powiedział Vahanian ponurym głosem. – Jedźcie ostro, ale trzymajcie się razem.

Tris popędził konia. Miał nadzieję, że mrok ukryje jego zmęczenie przed przyjaciółmi.

Gdyby wiedzieli, ile kosztowało go posłużenie się magią w walce z Argusem i jak bardzo wciąż był wyczerpany mimo ogromnych wysiłków Cariny, to na pewno opóźniliby wyruszenie w podróż. Jednak wyglądało na to, że meldunki o margolańskich zwiadowcach zmartwiły nawet Taru, zachęcała ich bowiem do jak najszybszego wyjazdu.

Pogromca Magów, najwspanialszy miecz, jaki kiedykolwiek miał w posiadaniu, wisiał u jego pasa. Właściwie był to najwspanialszy miecz, z jakim kiedykolwiek współpracował, gdyż magiczny miecz zdawał się mieć niemal ludzką osobowość. Taru miała niewiele czasu, żeby podzielić się z nim wiedzą o zaczarowanej broni, ale udało mu się dowiedzieć trzy rzeczy o tym mieczu. Po pierwsze, chwilowo spotęguje jego magię bojową. Po drugie, będzie go ochraniał przed truciznami, jadem i przedmiotami obłożonymi klątwą, choć Taru nie wiedziała, jak wielka jest moc miecza, i ostrzegła Trisa, żeby w tym względzie zbytnio na nim nie polegał. I po trzecie, jest to po mistrzowsku wykuta i doskonale wyważona broń, którą nawet Vahanian obrzucał zazdrosnym spojrzeniem, choć nikt poza Trisem nie ośmielił się jej dotknąć.

Jechali w milczeniu po zaśnieżonych, zalanych blaskiem księżyca drogach, tak szybko, jak tylko to było możliwe.

O tej porze nie widać było żadnych innych podróżnych, a w tym słabo zaludnionym

zakątku Księstwa było niewiele oberży. Kiedy mijały godziny i nic się nie działo, Tris zaczął się zastanawiać, czy nie martwili się bezpodstawnie.

– Już niedaleko – powiedział ze znużeniem Vahanian jakąś godzinę przed świtem.

Dostrzegli w oddali brzeg rzeki i Most Szubieniczników. Wyobraźnia Trisa podsunęła mu obraz kołyszących się wisielców, choć wiedział, że to tylko gałęzie drzew. Na skraju drogi, przy zakolu rzeki, usadowiła się niewielka osada. Kiedy się do niej zbliżyli, słomiany dach któregoś domu nagle stanął w płomieniach; silny podmuch żaru sprawił, że musieli się cofnąć.

– Uważajcie! – zawołał Carroway, gdy z ciemnych domów posypały się strzały.

– Zasadzka! – krzyknął Vahanian. – Jeźdźcie do mostu!

Tris poczuł, jak strzała drasnęła go w udo. Natychmiast wzniosł ochronną tarczę, ale ognisty podmuch z ciemności ledwie został przez nią odbity. Pomyślał, że coś jest nie tak, bardzo nie tak. Serce zaczęło mu walić jak szalone, a pulsująca krew dudniła w uszach. Strumień ognia rozgorzał mocniej, a on walczył, żeby utrzymać się na koniu. Ogień znowu wystrzelił i Tris zaatakował, ale tylko instynktownie – nie był nawet w stanie rozważyć, jaką mocą powinien odpowiedzieć. Eksplozja wstrząsnęła nocą, deszcz iskier wystrzelił w niebo i błękitny blask zgasł.

– Jedźmy! – krzyknęła Kiara, gdy do wioski wpadli z tętentem kopyt jacyś jeźdźcy. Tris osunął się na koniu, chwytając za grzywę, zakręciło mu się bowiem w głowie. Słyszał szczęk stali i świst strzał, gdy jego koń pędził przez śnieg za pozostałymi.

A potem bardziej wyczuł, niż zobaczył w blasku księżyca, ciemne sylwetki poruszające się zbyt szybko, by ludzkie oko mogło temu się przyjrzeć. Usłyszał zduszony krzyk jednego z łuczników, a następnie kwik spanikowanego konia, którego jeździec został ściągnięty z siodła.

– Nie oglądajcie się za siebie! – krzyknęła Carina, chwytając wodze Roystera i pociągając przestraszonego konia bibliotekarza za sobą.

Z trudem łapiąc oddech, Tris usiłował spoconymi rękoma utrzymać się na koniu; czuł się tak, jakby mocne wino zakłóciło zarówno jego normalny, jak i magiczny wzrok. Gdy zbliżyli się do mostu, zobaczył powstające z ziemi duchy; instynkt podpowiedział mu, że to Argus i jego ludzie pragną stoczyć swoją ostatnią bitwę. Przerażone krzyki nielicznych prześladowców, którzy jeszcze pozostali, upewniły go w przekonaniu, że duchy nie były wytworem jego nagłych majaczeń. Próbował wznieść ochronną tarczę i rzucić proste zaklęcie, żeby osłonić swoich przyjaciół, lecz jego moc wydawała się odległa i nie chciała odpowiedzieć na jego wezwanie. Zimowy wiatr targał ich włosami i smagał twarze, gdy pędzili kamiennym mostem nad ciemnymi, lodowatymi wodami rzeki Nu. Choć pozostawili za sobą zarówno prześladowców, jak i obrońców, żaden z jego towarzyszy nie zwolnił, dopóki most nie został daleko w tyle. Świtało już, kiedy Vahanian, wciąż jadący na przedzie, wreszcie ściągnął wodze spienionego wierzchowca i stanął w strzemionach, żeby policzyć swoich towarzyszy.

– Wszyscy obecni – powiedział; w jego głosie wyraźnie wyczuwało się znużenie. –

Znajdźmy jakieś miejsce, żeby się przespać.

Przerwało mu ostre staccato bełtów wbijających się w ziemię. Z pobliskich zarośli wyłonili się żołnierze w barwach wojska Księstwa.

– Rzućcie broń! – rozkazał dowodzący nimi kapitan.

Vahanian instynktownie sięgnął po miecz i krzyknął, gdy bełt drasnął go w ramię.

– Następny trafi w serce – ostrzegł go żołnierz.

Najemnik zaklął i rzucił miecz. Tris wymienił zaniepokojone spojrzenia z pozostałymi, ale wszyscy zrobili to samo, gdy otoczyło ich jeszcze więcej żołnierzy z uniesionymi i naciągniętymi kuszami. Dwóch z nich podeszło i zebrało ich broń.

– Spiesz się – powiedział Tris, mając nadzieję, że wygląda lepiej, niż się czuje.

Utrzymanie się w siodle wymagało wielkiego wysiłku, miał też wrażenie, jakby trawiła go

gorączka. A kiedy wypuścił z ręki Pogromcę Magów, poczuł się jeszcze gorzej. Nadal nie mógł dosięgnąć swojej mocy i wyczuwał w sobie ziejącą pustkę, która powodowała, że czuł się fizycznie chory.

– No pewnie – zaśmiał się kapitan. – Król kazał nam wypatrywać grupy z dwoma szermierzami, bardem i uzdrowicielką. – Skinął głową w kierunku zielonego pasa Cariny i worka w kształcie lutni przy jukach Carroway’a. – Możecie powiedzieć generałowi, dlaczego wam tak śpieszno.

Przez świecę jechali w milczeniu w otoczeniu uzbrojonych żołnierzy. Tris czuł, że draśnięcie na udzie piecze go, a on sam zaczyna się trząść. Dostrzegł, że Carina przygląda mu się z niepokojem. Żołnierze odstawili ich do niewielkiego fortu kilka godzin jazdy od Mostu Szubieniczników. Kapitan dał im znak, żeby zsiadli z koni, a Tris raczej zsunął się, niż zeskoczył ze swojego wierzchowca, ale udało mu się utrzymać na nogach.

– Zaczekacie tu do powrotu generała – powiedział kapitan, wprowadzając ich do dużej, skąpo umeblowanej celi. Czterej żołnierze stali z wycelowanymi w nich kuszami, dopóki drzwi nie zostały zamknięte, a dwóch pozostało na straży, kiedy dowódca wyszedł.

Tris oparł się o ścianę i powoli osunął na podłogę, a Carina podbiegła do niego.

– Co się stało? Czy jesteś ranny? – spytała.

– Coś jest nie tak – wymruczał. – Magia... jest poza moim zasięgiem.

– Co on ma na myśli? – wyszeptał Vahanian. Tymczasem Carina znalazła ranę na nodze

Trisa i przycisnęła do niej palec, a potem go powąchała.

– Smoczy korzeń – powiedziała. – Czubki strzał były zatrute.

– Smoczy korzeń? Przecież on nie rośnie nigdzie w pobliżu, a poza tym w najgorszym razie powoduje bóle brzucha.

– To dlatego, że nie jesteś magiem – odparła ściszym głosem. – Kiedy z Camem

dołączyliśmy do najemników tutaj w Księżstwie, słyszałam opowieści o tym, że należy posłużyć się smoczym korzeniem, jeśli chce się powstrzymać maga. Powiadają, że podawany w odpowiednio dużych dawkach przez dłuższy czas smoczy korzeń zabija lub doprowadza maga do obłądu.

– Czy możesz mu pomóc? – spytał zaniepokojony Carroway.

– Spróbuję, ale nigdy nie słyszałam o antidotum na smoczy korzeń, poza tym że jego działanie powinno z czasem zaniknąć. Zacznę od sznurowatego pnącza. – I zabrała się do przeglądania zawartości mieszkań przytroczonych do pasa, które żołnierze pozwolili jej zatrzymać. – Pomaga przy niektórych truciznach, które zaciemniają umysł. Rana nie jest głęboka, więc dawka nie mogła być duża.

– To wyglądało tak, jakby mu się nagle pogorszyło, kiedy zostaliśmy schwytani – zastanawiała się na głos Kiara. – Właściwie to o mało co nie spadł z konia, kiedy kazali nam rzucić miecze.

– Może Pogromca Magów częściowo pochłonął truciznę? – spytał Carroway.

– To całkiem możliwe – odparł Royster. – Zaczarowane przedmioty często mają takie właściwości, a jest to szczególnie użyteczne w przypadku broni maga.

Carina przetoczyła Trisa na plecy i rozerwała jego nogawkę, żeby lepiej odsłonić draśnięcie. Potem skrajem płaszcza wyczyściła ranę i sporządziła pastę z suszonych liści ze swojego mieszka i stęchłej wody, którą Carroway przyniósł z wiadra w kącie. Minęło pół świecy i palący ból znikł, a Tris przestał się trząść.

– Dziękuję – wyszeptał do uzdrowicielki, która zajmowała się już draśnięciem na ramieniu Vahaniana.

– Cieszę się, że czujesz się lepiej – powiedział chrapliwym głosem najemnik. – A teraz zastanówmy się, jak mamy się stąd wydostać.

– Nie sądzisz, że to dziwne, iż wojsko czekało na nas na drugim brzegu? – spytał

Carroway. – Czy nie wydaje ci się, że ten generał jest w zмовie z Jaredem? Pomyśl tylko, po tamtej stronie mostu, w nocy, mieliśmy vayash moru i Argusa, a z nadejściem świtu, jak tylko przekroczyliśmy most, straciliśmy naszych obrońców. I akurat wtedy pojawiło się czekające na nas wojsko.

Wymienili zaniepokojone spojrzenia, rozważając słowa barda.

– Ale król Staden jest dobrym królem! – zaprotestowała Berry. – A przynajmniej tak wszyscy mówią – dodała, kiedy popatrzyli na nią.

– Staden może nie mieć z tym nic wspólnego – odparł Vahanian, krzywiąc się z bólu, gdy Carina opatrywała jego ramię. – Kiedy ten generał zaprowadzi nas do miasta, będzie mógł z nami zrobić wszystko, co zechce. Rozkazy łatwo sfałszować.

Kiara stała na straży koło umieszczonej wysoko na ścianie celi szczeliny.

– Zdaje się, że przyjechał generał – oznajmiła nagle.

Tris z trudem podciągnął się do pozycji siedzącej, mając nadzieję, że wygląda lepiej, niż się czuje.

Wszedł kapitan Księstwa, a za nim ciemnowłosa mężczyzna w płaszczu.

– To są ci cudzoziemcy, których aresztowaliśmy, generale – powiedział kapitan i odsunął się na bok, żeby generał mógł zajrzeć przez kraty. – Przejechali przez Most Szubieniczników, jakby gonił ich sam demon. Jest ich trochę więcej, ale czworo pasuje do opisu.

Widząc, że kuzynka cofnęła się i zbladła, wciągając gwałtownie powietrze, Kiara wystąpiła do przodu.

– Panowie – powiedziała, wykonując lekki ukłon. – Moi towarzysze i ja zostaliśmy napadnięci przez rozbójników, stąd nasz pośpiech zeszłej nocy. Dwóch z nas jest rannych.

Podróżowaliśmy w interesach do stolicy Księstwa. Nikogo nie skrzywdziliśmy. Proszę pozwolić

nam odjechać.

Generał przyjrzał się im. Był średniej budowy ciała, miał ciemnobrązowe włosy i inteligentne oczy. Gdyby nie mocno zaciśnięte usta i napięcie w niebieskich oczach, można by go uznać za przystojnego. Zapewne nie był starszy od Vahaniana, a fakt, iż osiągnął stopień generała, świadczył o jego kompetencji. A ze sposobu, w jaki się poruszał, Tris domyślił się, że biegle włada mieczem, który wisiał mu u pasa.

– Obawiam się, że to niemożliwe, pani. Mam rozkazy od króla. Nie wiem i nie obchodzi mnie, czego on od was chce. Za świecę wyruszamy do miasta. Tam możecie przedstawić swoją sprawę.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz przeszkodziła mu Carina.

– Gregor – zawołała cicho, wysuwając się do przodu.

Na widok uzdrowicielki generał otworzył szeroko oczy, jakby zobaczył ducha.

– To ty? – wyszeptał. – Widziałem przecież, jak umarłaś... razem z Ricem. Cóż to za magia?

Carina spuściła głowę i podeszła bliżej do krat.

– To nie jest żadna sztuczka, Gregor. Cam zawiózł mnie do Sióstr i one mnie uratowały, wyrywając z ramion Pani.

Twarz Gregora przybrała surowy wyraz.

– A ty nie zdołałaś tego uczynić dla mojego brata.

Carina spłonęła rumieńcem.

– Gregor, wysłuchaj mnie, proszę. Mamy pilne zadanie do wykonania. Proszę, wypuść nas.

– Mam swoje rozkazy.

– To przynajmniej daj schronienie tej dziewczynie i staruszkowi. Wyślij ich do Sióstr. Król nic o nich nie wspominał.

– Jak śmiesz błagać mnie o przysługę? – odparł. – Dlaczego miałbym to zrobić?

Uzdrowicielka spojrzała na niego z twarzą mokrą od łez.

– Przez wzgląd na Rica – powiedziała cicho. – Na to, co kiedyś było. Proszę, Gregor.

Proszę.

Generał przyglądał jej się przez chwilę w milczeniu. Z jego twarzy niczego nie dało się wyczytać. Wreszcie zaklął i odwrócił się.

– Zaprowadźcie dziewczynę i tego starca do Zgromadzenia Sióstr – rozkazał kapitanowi. –

Powiedzcie wyraźnie, że mają tam być zatrzymani, dopóki król nie każe ich wypuścić.

Odwrócił się z powrotem do Cariny i obrzucił ją zimnym spojrzeniem.

– Wszystkie długi zostały spłacone – powiedział.

Jadowity ton jego głosu sprawił, że Vahanian ruszył w stronę krat, lecz Kiara położyła mu ostrzegawczo dłoń na ramieniu i kazała pozostać na miejscu. Tris poczuł, jak narasta w nim gniew, i zobaczył, że w oczach Carroway'a także zapłonął ogień.

Carina wbiła wzrok w podłogę.

– Dziękuję – wyszeptała.

– Większość ludzi traktuje uzdrowicieli z szacunkiem – wtrącił cierpko Vahanian z miejsca, w którym stał. Jego ręka powędrowała z przyzwyczajenia do pochwy, która teraz była pusta.

Gregor obrzucił go lodowatym spojrzeniem, a potem popatrzył na Carinę.

– Dwóch z takiej samej gliny, co, Carino? – rzucił ostro, a uzdrowicielka spłoszowała.

Gregor znowu spojrzał na Vahania.

– Miałem ogromny szacunek do narzeczonej mojego brata do momentu, kiedy nie udało jej się go uratować. Kiedy myślałem, że umarła, to wspomnienie było jeszcze do zniesienia. Teraz, gdy wiem, że ona przeżyła, a brat nie, sprawy mają się zupełnie inaczej.

Obrzucił spojrzeniem całą grupę.

– Nie wiem, czego król od was chce, ale ja chętnie wymierzam w jego imieniu sprawiedliwość. – Po czym generał obrócił się na pięcie i wyszedł.

Drzwi do celi otworzyły się i kapitan dał znak Roysterowi i Berry, żeby wyszli. Carina przytuliła mocno dziewczynę.

– Wszystko będzie dobrze, Carino. Zobaczysz – powiedziała Berry z dziecinną wiarą, a kobieta z trudem zdobyła się na uśmiech.

– Będziecie bezpieczni w Zgromadzeniu – powiedziała ze ściśniętym gardłem.

Royster położył dłoń na jej ramieniu.

– Zaopiekuję się dziewczynką – powiedział.

– Dziękuję ci.

Kiedy wyprowadzono tę dwójkę z celi i wartownicy powrócili na swoje miejsca, Carina ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać. Kiara przyklękła obok kuzynki i objęła ją, machnięciem ręki każąc innym się odsunąć, Vahanian odwrócił się od krat celi z siarczystym przekleństwem i kopnął leżący pod nogą kamień. Carroway przysiadł obok Trisa.

– Przynajmniej jedziemy we właściwym kierunku – stwierdził, starając się wykrzesać z siebie choć trochę nadziei.

Tris zamknął oczy i oparł się o ścianę.

– Pytanie brzmi, czy tam zostaniemy?

– Jazda do miasta zajmie nam dwa dni. Czy myślicie, że... dziś w nocy... Gabriel...

Tris potrząsnął głową.

– Wątpię. Oni walczą z Jaredem, a nie z tym królem. Poza tym vayash moru sami decydują, co, gdzie i kiedy. Właściwie nie jesteśmy w niebezpieczeństwie – a przynajmniej jeszcze nie. Nie będą ryzykować represji w Księżstwie, zabijając śmiertelników.

– Jeśli te stare czarownice są tak inteligentne, na jakie wyglądają, to może wpadną na to, że coś jest nie tak, kiedy Royster i Berry pojawią się w ich drzwiach – powiedział Vahanian, opierając się o ścianę. – Choć niezbyt często ruszają na ratunek. – Znowu zaklął. – Co oznacza, że jesteśmy zdani sami na siebie.

Kapitan wrócił świecę później z sześcioma uzbrojonymi ludźmi, żeby zaprowadzić więźniów do ich koni. Stał przed Vahanianem z rękoma wspartymi na biodrach. Oczy najemnika zwęziły się i splunął tuż pod nogi kapitana.

– Zostaniecie zawiezieni na przesłuchanie – oświadczył oficer. – Jeśli będziecie współpracować, nic wam się nie stanie. Ruszać się.

Spędzili noc pod silną strażą w kolejnej stancy, a kiedy obudzili się o świcie, ruszyli w drogę do stolicy Księstwa. Stojący na trakcie prowadzącym do zamku kupcy i żebracy usuwali się na bok, żeby mogli przejechać. Dotarli do solidnej bramy u podnóża zamku, a kiedy ją minęli, masywna żelazna krata opadła ze zgrzytem.

– Nie podoba mi się to – wymruczał Vahanian.

– Myślę, że tym razem się z tobą zgodzę – wyszeptała Carina.

W czasie jazdy wyobrażnia Trisa podsuwała mu różne możliwości, a żadna z nich nie była miła. Spodziewał się, że kiedy dotrą do zamku, ich grupa zostanie rozdzielona, przeszukana w celu odebrania im reszty broni i zamknięta – a może nawet zakuta w kajdany – w lochu, w oczekiwaniu na eskortę do Margolanu.

Królewscy gwardziści spotkali się z kapitanem na wewnętrznym dziedzińcu.

– Przejmujemy więźniów – powiedział jeden z nich.

– Generał Gregor rozkazał mi doprowadzić ich osobiście – odparował kapitan.

– Możesz przekazać generałowi podziękowania od króla, ale teraz my zajmiemy się więźniami.

Niezadowolenie kapitana było wyraźne, skłonił się jednak i dał znak swoim ludziom, żeby się wycofali.

– Pójdziecie z nami – powiedział beznamiętnie dowódca gwardzistów, a ludzie w królewskich barwach uformowali kolumnę po obu stronach więźniów. Vahanian i Tris wymienili zdziwione spojrzenia, kiedy gwardziści zaczęli ich prowadzić po krętych schodach na wyższy poziom pałacu, aż znaleźli się w porządnie umeblowanej komnacie.

– Zaczekajcie tu – powiedział kapitan. Wydobył sztylet zza pasa i przeciął krępujące ich sznury, a potem skłonił się krótko i wyszedł, pozostawiając tylko wartowników strzegących wyjść. Więźniowie spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

– Czy znasz tego króla, Tris? – spytała Kiara.

– Nigdy go nie spotkałem, ale może Jared go zna – odparł Tris.

Sala audiencyjna, choć urządzona bez przepychu, była całkiem wygodna. Nad kominkiem, w którym płonął ogień, wisiał duży portret króla o potężnej posturze i surowym spojrzeniu, ubranego jak na polowanie; król trzymał w ręce trofeum – upolowanego lisa, i opierał tryumfalnie nogę na martwym jeleniu. Pozostałe ściany zdobiły misternie utkane gobeliny.

– Powiedziałbym, że sprawy się komplikują – stwierdził Vahanian, rozcierając nadgarstki.

– Nic już nie rozumiem. Najpierw eskortują nas tutaj, jakby czekała na nas szubienica, a teraz wygląda na to, że podadzą obiad.

– Może tak właśnie zrobią – odparł zdenerwowany Carroway. – Pytanie tylko, czy będziemy gośćmi, czy gałązką oliwną dla Jareda?

W tym właśnie momencie otworzyły się drzwi. Połysk zielonego brokatu, szelest tafty i odgłos nadbiegających kroków zaskoczyły wszystkich. A potem dziewczyna z błyskiem w oku i kaskadą kasztanowych włosów poprzeplatanych perłami na złotych niciach rzuciła się na Vahaniana, niemal go przewracając.

– Mówiłam wam, że nic mi się nie stanie! – krzyknęła Berry i zanim najemnik zdołał zareagować, objęła go rękoma za szyję i pocałowała w policzek.

– Widzę, że nie muszę już pytać, który z was to Vahanian – dobiegł ich od strony drzwi głęboki baryton i ze zdumieniem zobaczyli przypatrującego się im potężnie zbudowanego mężczyznę z brodą i masywnymi ramionami skrzyżowanymi na piersi. Jego twarz nie była tak surowa jak na portrecie nad kominkiem, malowała się na niej radość i pobłażliwość.

Berry puściła Vahaniana i podbiegła w mało dystyngowany sposób, żeby przywitać się z pozostałymi wędrowcami. Jej podarta tunika znikła, a zamiast niej pojawiła się sięgająca do kostek suknia z brokatu z Mussy, ze stanikiem błyszczącym od klejnotów i pereł. Niesforne kasztanowe loki zostały poskromione i splecione w nobliwy warkocz przeplatany połyskującym w blasku ognia złotem i perłami.

Po umyciu, wyperfumowaniu i upudrowaniu znikła chłopczyca i pojawiła się piękna młoda dziewczyna, która była zbyt podekscytowana obecnością gości, żeby przejmować się swoim wspaniałym strojem.

– A to jest Carina – zakończyła Berry przedstawianie wszystkich.

– Słyszałem wiele o każdym z was. – Król podszedł bliżej. – Wybaczcie to... nietypowe powitanie – powiedział z uśmiechem i lekkim ukłonem. – Jestem Staden, król Księstwa. Znać już, jak sędzę, moją córkę Berwyn.

Za Stadenem do sali audiencyjnej wpadli Soterius i Harrtuck, a zaraz za nimi wszedł

Royster. Przywitali się z Trisem i pozostałymi gromkimi radosnymi okrzykami.

Tris wystąpił do przodu.

– Witaj, Wasza Królewska Mość – powiedział, kłaniając się. – Wybacz nasze zaskoczenie, ale nie mieliśmy pojęcia...

Król się zaśmiał.

– Tak, Berwyn opowiedziała mi o swoim podstępie. Obawiam się, że odziedziczyła po matce zamiłowanie do psikusów – powiedział z błyskiem w oku. – Ale sądzę, że ta gra uratowała jej życie, gdyż porywacze na pewno obchodziliby się z nią bardziej surowo, gdyby znali prawdę. Z tego samego powodu nie rozgłaszaliśmy, że porwano nam córkę, kiedy jej orszak został napadnięty przez bandytów – dodał.

– Córka wielmoży – mruknął Vahanian, a król Staden pokiwał głową. – Ta, o której podróżni w gospodzie mówili, że została porwana przez handlarzy niewolników.

– Wiedzieliśmy, że nie uda jej się ukryć arystokratycznego pochodzenia – rzekł król – ale mieliśmy nadzieję, że nie będzie aż tak ważnym jeńcem. – Jego oczy spoważniały. – Kiedy Berwyn powróciła zeszłej nocy, powiedziała mi, że was schwytano. Wybaczcie, że użyłem moich gwardzistów, ale wasi przyjaciele – wskazał głową na Soteriusa i Harrtucka – ostrzegli mnie, że inaczej możecie nie odpowiedzieć na moje wezwanie.

Staden się uśmiechnął.

– Ja i moje królestwo mamy wobec was dług – oświadczył i stanął przed Vahanianem. – Tak, pasujesz do podanego przez Berwyn opisu awanturника – powiedział z uśmiechem, wyciągając do niego rękę, którą najemnik potrząsnął podejrzliwie. – Mówiła mi, że byłeś jej szczególnym obrońcą. Dziś wieczorem odbędzie się uczta na waszą cześć – oznajmił. – Dla was wszystkich za odwagę, jaką się wykazaliście, przyprowadzając moją córkę do domu. Otrzymacie wszystko, o co mnie poprosicie.

– Wasza Królewska Mość... – zaczął Tris, a król Staden odwrócił się ku niemu, uściskał mu rękę na powitanie i poklepał go po ramieniu.

– Berwyn opowiedziała mi o twojej sytuacji, książę Drayke. Odbyłem wiele polowań z twoim ojcem i uważałem go za godnego towarzysza. Rozumiem powagę twojej misji.

– Jestem wdzięczny za twoją gościnność, obawiam się jednak, że twoje królestwo może

znaleźć się w niebezpieczeństwie, jeśli nas otwarcie powitasz.

Staden zbył ostrzeżenie Trisa lekceważącym machnięciem ręki.

– Jutro porozmawiamy. Będziecie mieli do dyspozycji wszystkie zasoby mojego królestwa, a moi najlepsi żołnierze i najmądrzejsi wojskowi stratedzy będą do waszych usług – oświadczył. – Nie jestem zachwycony obecnością margolańskich najeźdźców w granicach mojego królestwa i słyszałem opowieści o uchodźcach tłoczących się w przygranicznych wioskach. Wszyscy na tym skorzystamy, kiedy w Margolanie zasiądzie na tronie godny tego człowiek.

– Ale dziś wieczór – ciągnął – będziemy ucztować. Nigdy nie sądziłem, że znowu zobaczę swoją córkę. Zwróciliście mi ją. Nic nie jest ważniejsze. Chodźcie, musicie się przygotować – powiedział, klaskając w dłonie.

W sali pojawili się służący i poprowadzili Trisa oraz pozostałych do wyjścia.

– Moja służba pomoże wam się przygotować! – zawołał za nimi król, a Berry stała obok niego, obejmując go rękoma w pasie.

Rozdział trzydziesty trzeci

Trisa zaprowadzono do komnaty, która dorównywała najwygodniejszym apartamentom w Shekerishet. Jeden służący przygotował parującą kąpiel nasyconą piżmowymi olejkami, drugi rozłożył na łóżku świeże ubrania, a trzeci przyszykował poczęstunek składający się z wina, pokrojonych owoców i chleba. To, że uratowali Berry pozwoliło mu na odprężenie się w obcym miejscu. Zdjął zabrudzone i podarte ubranie podróżne i wśliznął się do gorącej kąpieli. *Wygląda na to, że aż za dobrze nauczyłem się pierwszej lekcji rządzenia*, pomyślał z ironią, popijając wino z pucharu. *Zacząłem spodziewać się teraz, że dostanę nożem w plecy, niezależnie od tego, gdzie jestem.*

Tris otrząsnął się ze skutków zatrucia smoczym korzeniem – albo dzięki antidotum

podanemu przez Carinę, albo dlatego, że od chwili zranienia minęło kilka dni. Wzdrygnął się, przypominając sobie uczucie pustki, kiedy moc pozostawała poza jego zasięgiem. Odczuwał jej brak tak, jakby coś niezbędnego do życia zostało wysrane ze szpiku jego kości, i nie wątpił w to, co powiedziała Carina – smoczy korzeń podawany przez dłuższy czas w znacznej dawce rzeczywiście może zabić maga lub doprowadzić go do obłądu. Postanowił omówić tę kwestię ze Zgromadzeniem Sióstr przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Lepiej, że zetknąłem się z tym teraz, kiedy mogę znaleźć sposób na poradzenie sobie z tym, niż później, kiedy stanę do walki z Jaredem.

Służący ucieszyli się wyraźnie, kiedy skończył niespieszną kąpiel. Tris zastanawiał się, jak bardzo Berry naciskała na służbę, żeby zaspokajała wszystkie jego potrzeby. Mimo że dorastał w otoczeniu lokajów i pacholków, nie przypominał sobie, żeby aż tak mu dogadzano, nawet w jego własnym królestwie.

Dzwony na wieży rozzwoniły się, obwieszczając porę kolacji, i Tris wygładził tunikę, przechadzając się po sali audiencyjnej w oczekiwaniu na swoich towarzyszy. Służący Stadena bardzo dobrze poradzieli sobie ze znalezieniem strojów, które by na niego pasowały. Był ubrany w szarą tunikę i spodnie z delikatnej satyny; garderobiany uparł się, wprawiając go tym w gniew, żeby dodać – jak to nazwał – „płaszcz czarodzieja” dla dopełnienia jego stroju. Kiedy Tris zobaczył siebie w lustrze, musiał przyznać, że wygląda jak prawdziwy Przywoływacz, mag świata duchów odziany w mroczne barwy.

Carroway i Soterius przyszli razem. Bard wyraźnie cieszył się z tej pierwszej od trzech miesięcy okazji, żeby wystroić się w dworskim stylu. Miał na sobie ekstrawagancką jaskrawą tunikę z jedwabiu z szerokimi rękawami. Soterius był całkowicie inaczej ubrany – miał na sobie strój w kolorze stonowanej myśliwskiej zieleni, zupełnie pozbawiony ozdób, odznaczający się jedynie świetnością brokatowej tkaniny i doskonałym dopasowaniem. Tris był zaskoczony,

kiedy kilka chwil później pojawił się Gabriel odziany od stóp do głów w ciemne błękity.

– Siostry powiedziały mi, że was tu znajdę – rzucił od niechcenia vayash moru,

wyjaśniając swoje niespodziewane przybycie.

– Nie! Nie zrobię tego. Możesz mnie błagać, ile chcesz. Wystarczy już to, że nie mogę

zabrać ze sobą miecza. Zmykaj już! – To Tov Harrtuck kłócił się z przydzielonym mu

garderobianym, był bowiem niewzruszony w kwestii założenia swojej podniszczonej skórzanej

kamizelki do brokatowego stroju w kolorze głębokiego brązu.

Garderobiany ciągnął go za wytartą kamizelkę, próbując zedrzeć ją z niego siłą, ale

naburmuszony Harrtuck nie dawał za wygraną jak terier, który chwycił kość, wzbudzając tym

wesołość Trisa i pozostałych.

– Panie, proszę, przemyśl to jeszcze. Dziś wieczór macie być gośćmi króla! Z pewnością

możesz zrobić wyjątek...

– Lubię moją kamizelkę – odparował Harrtuck. – I tak udało ci się wbić mnie w to... coś –

powiedział, wskazując na swój wykwintny strój. Tris uświadomił sobie, że przez te wszystkie

lata, odkąd znał wojaka, ani razu nie widział, niezależnie od tego, jaka to była okazja, żeby

Harrtuck ubrał się inaczej, niż nosił się w koszarach.

– Panie, proszę. – Garderobiany był niemal bliski łez, lecz Harrtuck pozostawał

nieprzejednany, choć wyglądało na to, że ten flegmatyczny żołnierz skorzystał z przygotowanej

kąpieli i podjął próbę okiełznania swoich niesfornych włosów i przycięcia odrośniętej brody.

– Nie! Nie zrobię tego! A teraz odejdźcie. Idźcie ubierać Vahaniana. Będzie was musiało

być z pół tuzina, żebyście zdołali odebrać mu miecz – powiedział, przepędzając skołowanych

służących z komnaty. Zamknął z bukiem drzwi i oparł ręce na biodrach, jakby przygotowywał

się na ich powrót. Potem odwrócił się do Trisa i pozostałych, gderając pod nosem i drapiąc się

po brodzie.

– Na Panią i Dziwkę! Pytam was, po co człowiek ma się tak męczyć, żeby przygotować się do uczy? – Zdawał się tak udręczony, że Tris i Carroway wybuchnęli śmiechem. – Tak, proszę bardzo, śmieJCie się – powiedział, kiedy nawet Soterius się przyłączył. – Nasz mały paw odzyskał swoje strojne piórka – rzucił z dobroduszną uszczypliwością w stronę Carroway’a. – A Ban przy ubieraniu pewnie myślał tylko o paniach.

– Nie jest przecież aż tak źle – odparł Tris, starając się stłumić wesołość. – Myślę, że ze mną obeszli się nie najgorzej.

Harrtuck zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

– Tak, panie, masz rację. Każdy, kto na ciebie spojrzy, będzie wiedział, że jesteś czarodziejem i królem – rzekł niespodziewanie poważnie. A potem potrząsnął głową i znowu zaczął się nad sobą uzalać. – Strojenie kogoś takiego jak ja to marnowanie dobrego materiału. – Obrzucił Soteriusa chmurnym spojrzeniem, gdy ten z werwą pokiwał głową. Jego biadolenie zostało w tym momencie przerwane, gdyż otworzyły się drzwi i weszli ich pozostali towarzysze.

Royster wkroczył do komnaty dziarskim krokiem i z szerokim uśmiechem na twarzy. Jego potargane, białe jak śnieg włosy były przystrzyżone i ujarzmione pod czapką uczonego. Ten chudy, mały człowieczek nie posiadał się z dumy z powłóczystej szaty akademika, która zastąpiła jego strój do jazdy konnej. Zanucił skoczną śpiewkę, wykonując pełen energii piruet przed swoją publicznością.

– Nieźle, prawda? – spytał, mrugając. – Niemal żałuję, że nie ma tu Kessena! – Spojrzał pospiesznie na Trisa. – Oczywiście nie chcę, żebyś go przywoływał, ale pękłby ze złości, gdyby mnie zobaczył! Szaty uczonego, ha! Mam nadzieję, że pozwolą nam zatrzymać te stroje – rzucił szelmowsko. – Zachowam je aż do powrotu do Biblioteki i będę je nosić codziennie, żeby go drażnić!

Kiara i Carina weszły razem. Skórzany strój do jazdy i napierśnik Kiary oraz podrózne

buty i płaszcz z szorstkiego materiału zniknęły. Zamiast nich pojawiła się jedwabna suknia w kolorze miedzi, która podkreślała kolor jej włosów i uwypuklała dopasowanym krojem jej gibką sylwetkę. Spojrzała na Trisa i na jej twarzy pojawił się uśmiech, a on zarumienił się, zdając sobie sprawę, że jego mina musi zdradzać odczuwany przez niego zachwyt. Jae, który krążył nad głową księżniczki Isencroftu, wylądował teraz miękko na jej ramieniu, i Tris zauważył, że mały gyregon ma na szyi delikatny złoty łańcuszek.

Carina szła krok za nią. Zamiast szat uzdrowicielki miała na sobie zieloną suknię z jedwabiu z Mussy, a jej krótkie czarne włosy zdobiła opaska wysadzana perłami. Kiara wyraźnie była w swoim żywiole, żartowała z pozostałymi i z przyjemnością przyjmowała ich komplementy. Carina zaś trzymała się raczej na uboczu, czując się zagubiona bez szaty symbolizującej jej status uzdrowicielki.

– Nieźle się wyszykowałaś – powiedział Vahanian, stając za nią, a ona splonęła rumieńcem.

– Przynajmniej suknia jest zielona – wykrztusiła, po raz pierwszy nie wiedząc, co powiedzieć.

Vahanian zaśmiał się cicho.

– Zawsze zastanawiałem się, co uzdrowicielki noszą pod tymi szatami – wymruczał.

Carina udała, że chce mu przyłożyć, a on się uchylił. – Hej, spokojnie. Chciałem tylko powiedzieć, że w tej sukni możesz śmiało konkurować z Kiarą.

– Naprawdę? – odparła, zerkając na kuzynkę, która żartowała sobie z krzykliwej kamizelki Carroway'a.

– Ależ oczywiście. – Najemnik wykonał uprzejmy ukłon i nie było w tym ani krzty kpiny.

Był odziany od stóp do głów w czarny aksamit z lekkim złotym wykończeniem na kołnierzu i mankietach, co pasowało doskonale do jego włosów i karnacji. Tris doszedł do wniosku, że sama

Berry musiała brać udział w dobieraniu im garderoby. Jedynym nie pasującym elementem w stroju Vahaniana były czarne zniszczone buty i brak pasa na miecz. Najemnik pociągał z irytacją za kołnierzyk. – Nadal chciałbym wiedzieć, kto powiedział, że nie możemy zabrać ze sobą naszych mieczy. Moim zdaniem to głupia zasada.

– Nie można nosić miecza w obecności króla – wyjaśniła Carina. – Wszyscy o tym wiedzą.

– Wybacz – odparował, powracając do ich dawnego droczenia się – ale nie każdy spędza całe dni na królewskim dworze. Ja nie ruszam się nigdzie bez mojego miecza.

– To pewnie dobry pomysł, biorąc pod uwagę, gdzie bywasz.

– Jest jedna drobna sprawa, która nie została jeszcze załatwiona – przerwał ich rozmowę

Tris, zerkając na Vahaniana. – Mamy rachunki do wyrównania. – Podeszedł do stołu i wyciągnął spod niego ciężką okutą mosiądzem skrzynię. – Obiecałem ci zapłacić, kiedy dotrzemy do Księstwa. Oto twoja zapłata.

Otworzył zamek i podniósł wieko skrzyni, ukazując ogromną stertę dhassońskiego złota.

Było tego tyle, że człowiek mógłby żyć w zbytku do końca swoich dni. Tris spojrzał na Vahaniana i niewypowiedziane pytanie zawisło między nimi.

Choć z postawy przemytnika można było się domyślić, że usłyszał wyzwanie pobrzmiwające w głosie Trisa, to z wyrazu jego oczu nie można było niczego wyczytać. Stał, milcząc, i spoglądał na skrzynię.

– Jadę do Margolanu – stwierdził wreszcie. – Schowaj to w jakieś bezpieczne miejsce do mojego powrotu.

Tris wybuchnął śmiechem i walnął przyjaciela w plecy, a Kiara i pozostali zgromadzili się wokół najemnika, okazując radość z jego decyzji. Vahanian wzruszył ramionami, skrępowany całym tym zainteresowaniem, a potem uśmiechnął się z przyjemnością, widząc ich aprobatę.

– Szacowni goście, ucza czeka – obwieścił sługa, stając w głównych drzwiach, i wszyscy

ruszyli korytarzem w stronę sali biesiadnej. Mimo poczucia bezpieczeństwa, jakie dawała mu obecność Berry i obietnica pomocy ze strony jej ojca, Tris wstrzymał oddech, gdy otworzyły się szerokie podwoje sali.

Wewnątrz czekały na nich uginające się od jedzenia stoły. Służący poprowadził ich do głównego stołu, gdzie miał do nich dołączyć Staden i królowa. Ogień płonął jasno w ogromnym kominku, a w powietrzu rozchodziła się woń pieczonej dziczyzny i grzanego wina. Czterech muzyków zaintonowało skoczną melodię na lirze, flecie, cymbałach i bębenu. Podczas gdy przebrani w kostiumy artyści zabawiali gości, podczaszy nalewali piwo.

– To się nazywa uczta – stwierdził Carroway. Zajęli przeznaczone dla nich miejsca przy stole i Tris z radością przyjął fakt, że siedzi koło Kiary. Carina miała za towarzysza Vahaniana, i Tris zauważył, że wydając polecenie stolnikowi, Berry bawi się w swatkę. Sama zachowała dla siebie miejsce obok Vahaniana, przy królu Stadenie i królowej. Po lewej stronie królowej siedzieli Gabriel, Soterius i Harrtuck, a Royster i Carroway – na przeciwległym końcu stołu, bliżej muzyków.

Przy dźwięku zagranej na trąbce fanfary otwarto drzwi po drugiej stronie sali biesiadnej i pół tuzina odzianych w liberie trębaczy obwieściło przybycie króla. Staden wyglądał olśniewająco w szkarłacie i złocie. Królowa szła obok niego, wyglądała jak starsza wersja własnej córki. Za nimi kroczyła Berry z wysoko uniesioną głową. Zamiast zielonej sukienki, którą nosiła rano, miała na sobie satynową suknię w kolorze wina. Wszyscy powstali, gdy monarcha przechodził przez salę, a Tris zobaczył, jak Berry mruga do niego szelmowsko. Staden zajął miejsce za stołem i spojrzał na zebranych.

– Panowie i panie, szanowni goście – zaczął. – Żadna uczta nie jest wystarczająco wspaniała, aby powitać moją córkę Berwyn, która bezpiecznie wróciła do domu. – Zamilkł na chwilę, gdy tłum zaczął wiwatować. Potem uniósł rękę, prosząc o ciszę. – Za jej bezpieczny

powrót dziękujemy Bogini i tym oto gościom – wskazał na Trisa i jego towarzyszy – którzy przywieźli ją do domu mimo grożącego im niebezpieczeństwa. – Ponownie rozległy się oklaski. – W podziękowaniu za ten uśmiech losu niechaj ucza się rozpocznie! – zakończył, rozkładając szeroko ramiona z tym samym szelmowskim uśmieszkiem, który Tris nieraz widywał na twarzy Berry.

Carina klaskała uprzejmie, jednak myślami była gdzie indziej. Tris zauważył, że Vahanian próbuje wyrwać ją z tego stanu, przekomarzając się z nią.

– Przepraszam – wyszeptała. – Po prostu nie jestem w nastroju do zabawy – wyjaśniła. –

Nie chcę innym psuć wieczoru. Macie prawo świętować, tylko że... powrót tutaj...

– Czuję to samo, myśląc o Pograniczu – odparł Vahanian niezwykle poważnym tonem. –

Nie byłem tam od dziesięciu lat, odkąd pochowałem żonę.

Carina spojrzała na niego, zaskoczona tym wyznaniem. Pochylił się ku niej, ściszając jeszcze bardziej głos i dotykając jej dłoni.

– Umarli nam wybaczą. Wiem o tym teraz. Chcą, żebyśmy żyli dalej.

Carina milczała przez chwilę, ale nie odwróciła wzroku.

– Chcę w to wierzyć – wyszeptała.

– Pragnąłbym, abyś uwierzyła.

Przez chwilę milczeli, a potem Vahanian zburzył ten poważny nastrój, podsuwając jej puchar.

– Dopóki jednak tak się nie stanie, najlepiej przyłączyć się do świętowania, popijając mocne wino – rzekł i dał znak podczaszemu, aby napełnił im kielichy.

– Ostrzegam, że nigdy nie zachowuję się jak należy – zwrócił się po chwili do Berry, starając się rozbawić Carinę.

– To pewnie dlatego Berry posadziła nas obok siebie – odparła uzdrowicielka, próbując

włączyć się do zabawy. – Gdybyś zachował się niestosownie, polanie cię wodą byłoby niegrzeczne z jej strony. Ja jednak mogę... – Urwała, dotykając ostrzegawczo kielicha.

– Jestem pewien, że wcale nie o to chodziło. – Vahanian zerknął w stronę Berry. –

Zauważyła, jaka jesteś zauroczona opowieściami Harrtucka o moich przygodach i...

– Zauroczona? – powtórzyła Carina i zaczęła wstawać.

Vahanian złapał ją za nadgarstek i pociągnął z powrotem na krzesło.

– Opowieściami – podkreślił z uśmiechem, widząc jej gniewne spojrzenie. – Uśmiechnij się. Wszyscy patrzą.

– Jesteś niemożliwy.

– Nareszcie zaczynasz to rozumieć.

Tris zobaczył, jak Kiara uśmiecha się, słysząc ich przekomarzania.

– Chcesz się założyć, kto wygra? – spytała go.

Zaśmiał się.

– Może być remis.

– Myślę, że on do niej pasuje. Nigdy przedtem nie widziałam, żeby kogoś zauważała na tyle, by się na niego złościć.

– To może kłótnia nie byłaby zła – przyznał z uśmiechem Tris. – Choć nie wiem, jak byśmy to wyjaśnili dworzanom.

Podawano im jedno wykwintne danie po drugim, a każde poprzedzone było jakimś występem. Tris pomyślał, że choć Księstwo słynie z bogatych kopalni złota, to na co dzień jego mieszkańcy nie pozwalają sobie na ekstrawagancję. Król jednak wie, jak uczcić tak wyjątkową okazję. Podekscytowana Berry oklaskiwała osłonięte welonami tancerki z Trevath, które w połyskujących jedwabiach oraz z dzwoneczkami na nadgarstkach i kostkach nóg dawały zdumiewające egzotyczne przedstawienie. Potem pojawili się śpiewacy i muzycy, magicy oraz

błaźni, a każdy próbował przyćmić występ swojego poprzednika. Tris domyślał się, że Carroway z trudem powstrzymuje się od dołączenia do nich.

On sam po raz pierwszy od momentu ucieczki z Margolanu czuł się rozluźniony. Nie chciał myśleć o przygotowaniach, które rozpoczną się rankiem. Zamiast tego wolał porozmawiać z Kiarą. Ona również sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę trzymać się z dala od poważnych tematów, zaczęli więc żartobliwie się przekomarzać. Porównywali swoje doświadczenia z czasu dorastania na królewskich dworach oraz wymieniali spostrzeżenia na temat życia w pałacu – pod kloszem i jednocześnie na widoku publicznym.

Kiedy podano ostatnie danie, Staden wstał i podniósł ręce, prosząc o ciszę. Z wielką pompą przeszedł od stołu do tronu, prowadząc Berry za rękę.

– Zanim całkowicie oddamy się zabawie – przemówił gromkim głosem – muszę uznać mój dług wobec naszych gości i wynagrodzić ich za zasługi w sprowadzeniu Berwyn z powrotem do domu. Choć żadna nagroda nie jest warta tyle co życie księżniczki, proszę, aby przyjęli ten symboliczny dar i podzielili się nim między sobą wedle własnego uznania. – Do sali weszło czterech gwardzistów, ciągnąc ciężki wózek na kółkach przykryty sztandarem Księstwa. Kiedy zatrzymali się przed królem, na skinienie Stadena teatralnym gestem ściągnęli sztandar.

Tris wciągnął głośno powietrze i usłyszał pełne zdumienia szepty swoich towarzyszy. Na wozie stała duża skrzynia wypełniona bajorńską sumą w złocie i klejnotach. Tris pomyślał, że wystarczyłoby to na otrzymanie tytułu szlacheckiego albo wynajęcie żołnierzy, aby stoczyć wojnę. Hojność Stadena nie uszła uwagi gości, którzy zaczęli krzyczeć na widok tego ogromnego bogactwa, aż król musiał poprosić o ciszę.

– Dziękuję – powiedział, zwracając się do Trisa i pozostałych. – Księstwo ma wobec was dług. – Jego spojrzenie spoczęło na Vahanianie. – Dziś wieczór pozostała do przyznania jeszcze jedna nagroda – dodał z uśmiechem. – Berwyn opowiedziała mi o szczególnej odwadze, jaką

odznaczył się jeden z was, ratując ją, i za tę odwagę pragnę podziękować Jonmarcowi Vahanianowi.

Kątem oka Tris dostrzegł, jak Carina trąca łokciem Jonmarca, żeby wstał, a cichy szmer rozmów na sali wyraźnie wskazywał, że nawet tutaj imię najemnika jest znane. Vahanian wyprostował się i podszedł do króla, a z jego postawy nikt nie mógł wątpić, że ma przed sobą szermierza i żołnierza, choć był bez broni.

– Moja córka powiedziała mi, że nie jesteś wasalem żadnego króla. Czy to prawda? – spytał Staden.

– To prawda – odparł spokojnie Vahanian.

– Dziś z wdzięczności za twoją odwagę w imieniu mojej córki nadaję ci tytuł lorda Mroczej Ostoi, pana na włościach i dworze. W zamian za to – dodał król z miną człowieka, który wie, jak rozegrać taką partię – nie proszę o złożenie mi hołdu lennego, – Wszyscy zgromadzeni znowu wciągnęli głośno powietrze. – Proszę jedynie, abys zgodził się zostać Lordem Protektorem mojej córki, Berwyn z Księstwa, gdyby kiedyś potrzebowała, abys z mieczem w dłoni bronił jej życia. Co na to powiesz, Jonmarcu Vahanianie?

Vahanian przez dłuższą chwilę patrzył w oczy Berry, jakby zaglądał w jej duszę, po czym, kiedy wydawało się, że napięcie w sali sięgnęło zenitu, skinął głową.

– Tak zrobię, ale tylko po to, aby ją bronić – powiedział. – Nie chcę żadnych ziem, królestwa ani bogactw.

– Tylko Jonmarc ma śmiałość, żeby targować się z królem – wyszeptała Kiara, a Tris zaśmiał się cicho.

– Czy to dla ciebie niespodzianka?

– Raczej nie. Niezależnie od tego, co mówi Carina, ja go lubię.

– To dobrze. Ja też.

Staden zdawał się nie przejmować konsternacją, jaką wywołała próba targowania się w wykonaniu Vahaniana. Być może Berry ostrzegła ojca także przed tym.

– Zgoda – oświadczył król. – A teraz przyjmij moje błogosławieństwo i uklęknij – nie przede mną, ale przed Berwyn.

Najemnik znowu się zawahał i Tris przez chwilę myślał, że jego duma mu na to nie pozwoli. Potem jednak sztywno przyklęknął na jedno kolano i skłonił głowę. Staden wziął jego prawą rękę w swoje dłonie, a Berry przykryła ich złączone dłonie satynową szarfą.

– W imieniu Bogini i mocy jej wszystkich obliczy nadaję ci tytuł lorda Vahaniana, pana na Mroczej Ostoi i rycerza księżniczki Berwyn – oświadczył Staden, a w sali rozległy się gromkie brawa.

– Powstań, lordzie Vahanianie – rzucił tubalnym głosem król, uśmiechając się. – Niech chroni cię ręka Mroczej Pani. Idź z błogosławieństwem naszego królestwa i wdzięcznością naszej królewskiej osoby. Niech wszyscy powitają lorda Vahaniana, pana na Mroczej Ostoi! – Vahanian wstał, a goście zaczęli wiwatować i klaskać.

Najemnik przecisnął się przez ciżbę gratulujących mu ludzi i usiadł przy stole z pełnym zadowolenia uśmiechem.

– Proszę bardzo. Powiedz to – zwrócił się do Cariny.

– Co mam powiedzieć?

– Nie wiem, ale ty zawsze masz coś do powiedzenia.

Carina uśmiechnęła się znacząco.

– Spodziewam się, że będę częściej widywała Gabriela – odparła słodko.

Vahanian zmarszczył brwi, spoglądając na nią podejrzliwie.

– Dlaczego Gabriela?

– Będziesz musiał o to zapytać Roystera. Legendy z tego regionu, które nam opowiadał,

były naprawdę fascynujące.

– Och, doprawdy? – spytał sceptycznie. – Będę to musiał sprawdzić.

– Zrób tak – odpowiedziała z zawadiackim uśmiechem.

– Zawsze musisz mieć ostatnie słowo, prawda?

– Ależ nie – zaśmiała się uzdrowicielka i zajęła się winem. – Nigdy.

– I znowu to robisz.

Carina odwróciła wzrok z niewinną miną.

– Co takiego?

Kiara, która przysłuchiwała się ich przekomarzaniom, pochyliła się ku Trisowi.

– Jak sądzisz, jak długo oni są w stanie to ciągnąć? – spytała konspiracyjnym szeptem.

Wzruszył ramionami.

– Pewnie przez całą noc. Chcesz się założyć?

Zachichotała.

– Jasne. Po prostu weź sobie trochę z mojej doli z tego stosu – powiedziała, skinąwszy głową w kierunku ich skarbu.

Zabawa trwała całą noc, a wszelka oficjalność znikła, gdy Staden oddalił się o północy, wyprowadzając z sali opierającą się Berry. Carroway, który opuścił swoje miejsce, żeby przyłączyć się do minstreli, zaskarbił sobie ich szacunek pokazem zręcznej zonglerki. Harrtuck i Soterius podeszli do stołu gwardzistów w przeciwległym kącie sali. Sądząc po słyszalnym od czasu do czasu rechocie, Harrtuck wypił już sporo piwa i zaczął opowiadać swoje historyjki. Tris zauważył z rozbawieniem, że Royster stał się ekscentrycznym ulubieńcem pań i spędził ten wieczór w otoczeniu arystokratek, które rywalizowały o szansę, żeby usiąść u jego stóp i słuchać opowieści o pożądaniu i męstwie. Jae, po obżarciu się wykwinnymi przysmakami podsuwanymi mu przez Berry, przydreptał do starego bibliotekarza siedzącego koło kominka i usadowił się

blisko ciepłego paleniska, a potem zasnął, pochrapując z zadowoleniem, głaskany po grzbiecie przez jedną z bardziej odważnych dam.

Muzycy zaczęli grać skoczną melodię do tańca i ku zaskoczeniu Trisa Kiara pociągnęła go na parkiet, zachęcając do przyłączenia się do energicznych obertasów i kręgów tanecznych. Nigdy nie uważał siebie za szczególnie dobrego tancerza, choć dworskie obowiązki wymagały, aby nauczył się podstawowych kroków. Kiara natomiast była świetną tancerką i zawojowała Trisa swoim zapałem do tańca.

Vahanian także poddał się nastrojowi zabawy i zaciągnął Carinę na parkiet, żeby dołączyć do kręgu tańczących.

– Możesz poprosić Kiarę – protestowała. – Ja nie tańczę.

– Ja też nie – odparł. – A przynajmniej nie na trzeźwo. Ale to nie jest tak naprawdę taniec.

– Nie jest?

– To przypomina chodzenie po pokładzie statku, ale na suchym lądzie, i po wypiciu odrobiny piwa. O tak – powiedział, wciągając ją do kręgu tańczących i obejmując ramieniem w pasie. Kiara, uśmiechając się szeroko, wzięła ją pod ramię. Muzyka zagrała z początku powoli, a potem nabierała tempa, aż wreszcie wijący się krąg taneczny rozpadł się i pary zaczęły wirować, utrzymując się na nogach tylko dzięki temu, że tańczący trzymali się siebie nawzajem.

Tris czuł, że jego podekscytowanie ma niewiele wspólnego z rytmem muzyki. Wyglądało na to, że Kiara cieszy się z jego obecności tak samo, jak on cieszy się z jej bliskości. I choć nie miał złudzeń co do przyszłości swojej misji, w tej chwili oboje chcieli po prostu cieszyć się tym wieczorem. Nawet Carina dała się porwać skocznej melodii; kiedy już ku radości Vahaniana pozwoliła prowadzić się muzyce, okazała się bardzo dobrą tancerką. Jonmarcowi zaś naturalna zwinność szermierza służyła na parkiecie tanecznym równie dobrze jak w sali do ćwiczeń z bronią, i szybko złapał skomplikowany układ kroków, kręcąc się na parkiecie z Cariną, gdy

muzyka osiągnęła crescendo.

Tris z trudem łapał oddech, kiedy znalazł się twarzą w twarz z Kiarą przy ostatnich krokach tańca. Obejmowali się w pasie, unosząc splecione dłonie ku górze. Ich spojrzenia się spotkały i Kiara pochyliła się ku niemu tak blisko, że czuł jej oddech na swoich ustach.

– Zróbcie tak jeszcze raz, ale szybciej! – zawołał rozradowany dziewczęcy głosik. Tris niechętnie oderwał wzrok od Kiary i zobaczył klaszczącą z entuzjazmem Berry. Księżniczka miała na sobie prostą płócienną koszulę i miękkie pantofle, które bez wątpienia pożyczyła od swojej służącej, żeby uciec ojcu i wrócić do zabawy.

– Zdyszałam się – szepnęła Kiara, wysuwając się z jego objęć.

– Ja też – przyznał Tris. Kątem oka zobaczył, że Carina także wykręciła się od kolejnego tańca i opadła zmęczona na krzesło. Berry złapała Vahaniana za rękę i pociągnęła z powrotem w wir tańca, gdy muzycy zaczęli grać kolejną skoczną melodię. – Przydałby się łyk świeżego powietrza.

– Owszem – zgodziła się Kiara. Wyśliznęli się więc tylnymi drzwiami i podążyli długim, oświetlonym pochodniami korytarzem.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, rozkoszując się chłodem korytarza po opuszczeniu gorącej, zatłoczonej sali. Cieszyli się, że mają okazję żyć tylko tą chwilą. Na końcu zachodniego skrzydła znaleźli niewielką świątynię poświęconą Bogini.

– Nigdy nie widziałam tak pięknego sanktuarium – wyszeptała Kiara, rozglądając się po małym ośmiokątym pomieszczeniu. Przez dwie wielkie tafle witraży przesączał się świt. Na ołtarzu płonęły cztery czerwone świece, po jednej dla każdego oblicza Bogini Światła. Nad nimi stał niespotykane piękny marmurowy posąg o czterech twarzach przedstawiających Matkę, Dziecię, Kochankę i Wojowniczkę. Posąg odbijał się w niewielkim jeziorku, z którego wyzierały cztery oblicza Mroku.

Barwy witraży powtarzały ten motyw. Czerwień ognia wojowniczkimścicielki, bursztyn Matki, głęboki błękit Kochanki i soczysta zieleń Dziecka przepuszczały światło, które tworzyło kalejdoskop barw rozlewających się po małej nawie. Po prawej stronie ołtarza, na podwyższeniu, stała misa wyroczni do przywoływania wizji, a po lewej, na złotym piedestale, leżała nieskazitelna kryształowa kula.

– Mimo że zostaliśmy tak serdecznie powitani przez Stadena, nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze będę się czuła bezpiecznie – wyszeptała Kiara.

– Szkoda – rzekł Tris. – Chciałbym to zmienić.

– Może ci się uda.

Trisowi serce biło tak mocno, że wydawało mu się, iż Kiara je słyszy, gdy pochylił się, by ją pocałować. Księżniczka przez chwilę wahała się, potem jednak objęła go za szyję swoimi silnymi ramionami, a on przytulił ją mocniej do siebie. Chwilę później, nie mogąc złapać tchu, Tris cofnął się i spojrzał na nią z rozbawieniem.

– Nie boisz się, że zmienię cię w jaszczurkę? Przecież jestem czarodziejem.

Zaśmiała się cicho.

– Jae spodobałoby się takie towarzystwo. A ty nie boisz się, że wyzwę cię na pojedynek?

W końcu jestem „panienką z mieczem”.

Tym razem to Tris się zaśmiał.

– Myślę, że to by mi się podobało, panienko z mieczem – powiedział z czułością. – Niezła uczta, co? – spytał, wplątując palce w jej włosy.

Uśmiechnęła się.

– Minęło tyle czasu, odkąd się dobrze bawiłam, że zaczęłam już myśleć, iż zapomniałam, jak to się robi.

– Nie pozwolę ci zapomnieć.

– Obiecujesz? – spytała, dotykając ręką jego policzka.

– Obiecuję. – Przyciągnął ją do siebie i stali przez chwilę w milczeniu; Tris opierał policzek o jej głowę, a ona przytuliła twarz do jego piersi. Tymczasem brzask wpadający przez okno jaśniał coraz bardziej. Tris podniósł wzrok w stronę światła przenikającego przez oblicza Pani i zamarł. Jaśniejąca od jutrzeńki twarz Chenne zaczęła się rumienić, jakby była żywa, a jej bursztynowe oczy parzyły na niego z taką wyrazistością, że miał wrażenie, jakby zagłądały mu w duszę.

Nie poddawaj się zwątpieniu, powiedział głos w jego głowie. Pojadę z tobą. I zjawa nagle znikła.

– Tris, co się stało? – Spytała Kiara, odsuwając się od niego z niepokojem.

Próbował coś powiedzieć, lecz gardło miał tak ściśnięte, że wydobył się z niego tylko skrzek. Przełknął z trudem ślinę, wpatrując się w okno, które znowu było jedynie taflą szkła, i zdołał wykrztusić:

– Chyba muszę się przespać. Zaczynam mieć zwiidy.

– Jakie zwiidy? – Kiara patrzyła na niego podejrzliwie, a kiedy nic nie odpowiedział, zmarszczyła mocniej brwi.

– Poczuleś Ją przed chwilą, prawda?

Tris skinął milcząco głową, nadal wpatrując się w nieruchomy witraż.

– Wydawało mi się, że widzę Chenne – wyszeptał, a słowa te nawet w jego uszach zabrzmiały nierealnie. – Ale teraz nic tam nie ma.

– Widziałeś – powiedziała z przekonaniem Kiara, przytulając go. – Ja nic nie słyszałam, ale coś... poczułam. Znam to uczucie – przyznała nieśmiało. – Tego samego doznałam już wcześniej, kiedy Ona była w pobliżu. – Zamilkła na chwilę. – Co powiedziała?

– Żeby nie poddawać się zwątpieniu. I że pojedzie ze mną.

– Ja także. Wiesz o tym, prawda? Pojadę z tobą do Margolanu.

Tris spojrzał jej w oczy. Targały nim sprzeczne uczucia. Euforia, że jakimś cudem ona odwzajemnia jego miłość, radość, że będzie dzielić z nim jego misję, i lęk, że z ich wyprawą związane jest duże ryzyko.

– Nie chcę, żeby coś ci się stało – powiedział cicho. – Myślę, że bym tego nie zniósł.

Uśmiechnęła się.

– A ja nie sądziłam, że będziesz próbował mnie zamknąć pod kloszem – zbesztła go łagodnie – Przecież walczę równie dobrze jak ty – albo i lepiej, sam to powiedziałaś. I nigdy nie zaznam spokoju, dopóki Arontala nie umrze. Nigdy nie będę wolna, tak jak i Isencroft – stwierdziła stanowczo. – To jest teraz tak samo twoja misja jak i moja. – Uśmiechając się, położyła mu palec na ustach. – Nie trzeba nad tym debatować – powiedziała łagodnie. – To już postanowione.

Pocałował ją raz jeszcze, tym razem dłużej i bardziej namiętnie, aż wreszcie to ona odsunęła się od niego. Światło poranka wypełniło otaczające ich święte miejsce, przypominając im, ile czasu minęło.

– Carina pewnie wyśle grupę poszukiwawczą po mnie, jeśli zaraz nie wrócę – powiedziała Kiara z uśmiechem.

Tris także się uśmiechnął.

– Może. Chociaż Jonmarc sprawiał wrażenie, że nie pozwoli jej za szybko się oddalić.

Księżniczka zachichotała.

– Bawi mnie przyglądanie się, jak Carina tak się denerwuje w obecności Jonmarca.

Zazwyczaj jest piekielnie opanowana. On jest pierwszym mężczyzną, którego nie udało jej się odstraszyć.

– Myślę, że jego nie jest łatwo odstraszyć – odparł Tris i wziął ją za rękę. Kiedy

wychodzili ze świątyni, zerknął przez ramię, ale wizerunek Pani na szkle pozostał tylko wizerunkiem.

– Nie znajdziesz żadnej sensownej odpowiedzi, Tris. – Kiara odgadła, o czym myśli. –
Więc przestań próbować.

Uśmiechnął się i westchnął, gdy ruszyli korytarzem.

– Pewnie masz rację – przyznał. – To zabawne, że jeszcze nie tak dawno temu uważałem,
że nie ma żadnych tajemnic. A teraz...

– Teraz jesteś jednym z „ogarów Bogini”.

Spojrzał na nią pytająco.

– Czym?

Wzruszyła ramionami.

– Przeczytałam to gdzieś w księdze o czarodziejce, która żyła dawno temu. Nazywała samą
siebie „ogarem Bogini”, bo przychodziła, kiedy Pani ją wzywała, i robiła to, co Pani kazała.

– Ogar Bogini, co? – Tris pomyślał o drodze, jaką musi przebyć, o czekających na niego
przeciwnościach i o tym, że jego przyjaciele pokładają wiarę w jego magię, ryzykując życie.

Dobre stado ogarów potrafi powalić groźnego przeciwnika, na przykład borsuka albo
niedźwiedzia. Jutro spotkają się ze Stadenem, żeby porozmawiać o wojnie, i księżę, który nigdy
nie chciał być królem, zbierze armię, żeby pomścić swoją rodzinę i odzyskać królestwo. Jutro.
Ale dziś wieczór, pomyślał, ściskając mocno dłoń Kiary, udało mu się zdobyć coś, o czym nigdy
nie marzył nawet w najśmielszych snach. Tylko tego teraz potrzebował. Jutro i tak nadejdzie,
szybciej, niżby chciał.